MICHAEL DOBBS

PRECZ Z WIELKIM BRATEM

UPADEK IMPERIUM RADZIECKIEGO

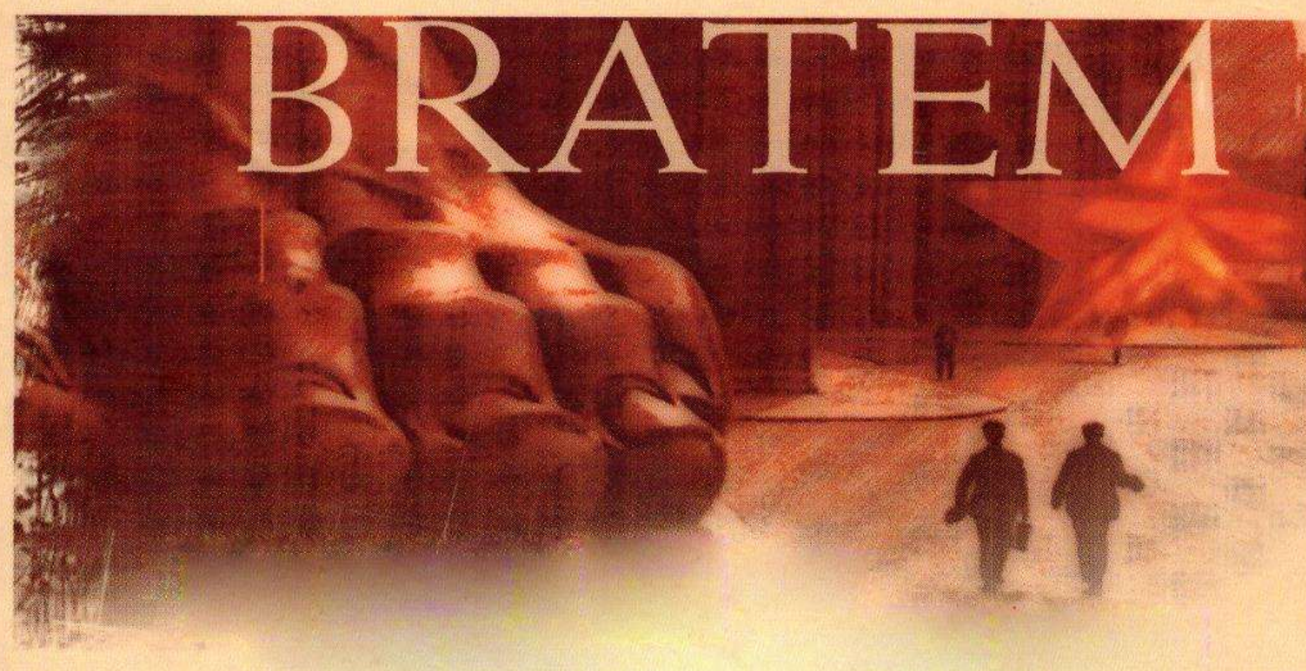

DLA LISY

Znów spojrzał na otwarty zeszyt. Stwierdził, że kiedy tak siedział pogrążony w bezradnych rozmyślaniach, równocześnie - jakby automatycznie - pisał. I to nie tym samym ścieśnionym, krzywym pismem co wcześniej. Pióro ślizgało się zmysłowo po gładkim papierze, kreśląc dużymi, zgrabnymi literami:

PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM
PRECZ Z WIELKIM BRATEM

raz za razem, raz za razem, zapełniając pół strony.

George Orwell, *Rok 1984*
(tł. Tomasz Mirkowicz, PIW)

PODZIĘKOWANIA

Książka ta jest wynikiem moich reporterskich podróży do Jugosławii, Polski i Związku Radzieckiego w latach 1977-1993. Krajami byłego komunistycznego świata zacząłem się jednak interesować dużo wcześniej. Miałem osiem tygodni, kiedy po raz pierwszy pojechałem do Rosji, a to dzięki moim rodzicom - Josephowi i Marie, którzy poznali się w ambasadzie brytyjskiej w Moskwie w 1948 roku. Potem bywałem jeszcze w Rosji przy różnych okazjach, za czasów wszystkich przywódców - od Stalina po Jelcyna. Kiedy objąłem placówkę korespondenta w Jugosławii i w Polsce, także podążałem szlakiem rodziców. Im właśnie przede wszystkim muszę podziękować za wprowadzenie mnie w smugę cienia Wielkiego Brata, dzięki czemu mogę opisać swe doświadczenia.

Zbierając materiał do tej książki, korzystałem z inspirujących opowieści i gościnności przyjaciół, kolegów, rozmówców z różnych krajów. Wielu z tych ostatnich wymieniam w przypisach, ale chciałbym szczególnie podziękować kilku osobom, które bezpośrednio pomagały mi w kompletowaniu materiałów. Podobnie jak inni reporterzy „Washington Post" w Moskwie, miałem szczęście korzystać z rady i pomocy Maszy Lipman, utalentowanej dziennikarki rosyjskiej, redaktora tygodnika „Itogi". Chciałbym podziękować dwóm moim współpracownikom, Brianowi Sloyerowi i Marian Alves, którzy tu, w Waszyngtonie, zamiast mnie spędzili długie godziny w Bibliotece Kongresu. Jestem także winien podziękowania Markowi Kramerowi z Uniwersytetu Harvarda za udostępnienie interesujących dokumentów z archiwów ZSRR i krajów Europy Wschodniej.

Mój agent, Rafe Sagalyn, oraz redaktor z wydawnictwa Knopf, Ashbel Green, odegrali ważną rolę, zachęcając mnie do napisania tej książki i pilotując moją pracę do końca. Po lekturze rękopisu pomocnymi komentarzami służyli mi też Jeff Frank, obecnie dziennikarz „New Yorkera", mój niegdysiejszy moskiewski kolega po fachu Fred Hiatt oraz David Brown, zajmujący się w „Washington Post" tematyką medyczną. Odpowiedzialność za jakiekolwiek pozostałe błędy spoczywa na mnie. Chciałbym także podziękować Donowi Oberdorferowi, byłemu korespondentowi dyplomatycznemu „Washington Post", autorowi *The Turn*, za udostępnienie mi materiałów z dwóch zorganizowanych na uniwersytecie w Princeton konferencji poświęconych końcowi Zimnej Wojny. Okazały się

bardzo pomocne.

Upadek komunizmu był jednym z wielkich tematów prasowych dwudziestego wieku. Jestem wdzięczny redaktorom „Washington Post”, a w szczególności Jimowi Hoaglandowi i Michaelowi Getlerowi, za wyznaczenie mnie do obsługi wielu spośród najbardziej dramatycznych wydarzeń, począwszy od strajków w Polsce w sierpniu 1980 roku. Dzięki licznym rozmowom z obecnymi i byłymi reporterami „Washington Post” mogłem znacznie lepiej zrozumieć te wydarzenia - byli to m.in. Bradley Graham, Jackson Diehl, Robert Kaiser, Dusko Doder, Celestine Bohlen, Gary Lee, Fred Hiatt, Margaret Shapiro, David Hoffman, Lee Hockstader, Dan Southerland, Blaine Harden, Mary Battiata, John Pom- fret, Christine Spolar i, w szczególności, David Remnick. Nikt nie mógłby sobie wymarzyć lepszych kolegów.

Chciałbym też z wdzięcznością wspomnieć o pomocy, którą otrzymałem od Instytutu Zaawansowanych Studiów Rosyjskich im. Kennana, działającego przy Międzynarodowym Ośrodku Badawczym im. Woodrowa Wilsona w Waszyngtonie. Instytut Kennana po moim powrocie z Moskwy do Waszyngtonu w sierpniu 1993 roku zapewnił mi zarówno stypendium, jak i odpowiednie miejsce do pracy.

Przede wszystkim jednak jestem wdzięczny rodzinie, za udział w moich przygodach i zrozumienie dla częstej nieobecności w domu. Moja żona, Lisa, była najbardziej wnikliwym czytelnikiem i spostrzegawczym krytykiem. Dzieci - Alex, Olivia i Joseph - nie do końca zdają sobie sprawę, czym był „cały ten komunizm”; wiedzą tylko, że zabrał ich ojcu mnóstwo czasu, i to w długi czas po tym, kiedy ogłoszono jego zgon i wyprawiono mu pogrzeb. Pewnego dnia przeczytają tę książkę i zrozumieją, dlaczego ryczące czołgi przejeżdżały obok naszego domu w sierpniu 1991 roku.

PRZEDMOWA

Gdy 25 grudnia 1991 roku o godzinie 19.35 ściągnięto czerwoną flagę z masztu na Kremlu, był to równie jednoznaczny zwiastun końca ery radzieckiej jak szturm na Pałac Zimowy w Petersburgu 7 listopada 1917 roku - jej początku. Ale czy ktoś potrafi powiedzieć, kiedy rzeczywiście rozpoczął się upadek komunizmu?

Za jeden z punktów wyjściowych tej historii można by uznać dzień 26 kwietnia 1986 roku, kiedy eksplozja w elektrowni atomowej w Czarnobylu ujawniła technologiczne zacofanie systemu radzieckiego. Inną cezurą mógłby też być dzień 11 marca 1985 roku, kiedy pięćdziesięcioczteroletni Michaił Gorbaczow został sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Są też mocne argumenty nakazujące uznać za datę początkową tego procesu 31 sierpnia 1980 roku, kiedy rząd komunistyczny po raz pierwszy odstąpił swe prawo do reprezentowania klasy robotniczej - niezależnemu związkowi zawodowemu. Można też cofnąć się aż do daty śmierci Józefa Stalina, 5 marca 1953 roku. Z chwilą, kiedy Nikita Chruszczów po raz pierwszy podkopał reputację „Największego Geniusza Wszech Czasów i Narodów", wiara w komunistyczną utopię zaczęła stopniowo zanikać.

Dla mnie rewolucja antybolszewicka rozpoczęła się 8 maja 1980 roku. Tego dnia po raz pierwszy z bliska przyjrzałem się strażnikom Stalinowego dziedzictwa. Dotychczas widziałem ich jedynie z oddali, przez pryzmat machiny propagandowej, która ukazywała ich jako dostojnych przedstawicieli nieomylnej partii, wybranej przez historię do wypełniania woli mas. Kiedy patrzyłem na nich z bliska, przypomniałem sobie określenie, jakie Hannah Arendt odniosła do przywódców Trzeciej Rzeszy: „banalność zła". Aura biurokratycznej anonimowości - jedna z podstaw ich władzy - prysła jak bańka mydlana.

Mieszkałem wówczas w Belgradzie. Zmarł właśnie Josip Broz Tito, ojciec komunistycznej Jugosławii i ostatni, legendarny bohater II wojny światowej. W dniu pogrzebu w stolicy Jugosławii było aż tłoczno od zagranicznych dygnitarzy. Byli tam obowiązkowo wszyscy, którzy coś znaczyli - z wyjątkiem prezydenta Cartera, który nie chciał, by widziano, jak ściska dłoń Leonidowi Breżniewowi

w niespełna pięć miesięcy po inwazji ZSRR na Afganistan. Kraje bloku radzieckiego przysłały swych najwyższych przywódców. Wśród żałobników był też komunistyczny półbóg Korei Północnej, Kim Ir Sen, i jeden z największych masowych morderców XX wieku - Pol Pot z Kambodży.

Dzięki niedbalstwu służb bezpieczeństwa przedarłem się do rejonów zarezerwowanych dla VIP-ów, posługując się zwyczajną legitymacją dziennikarską. Przez następne pół godziny mogłem pogawędzić ze zgromadzeniem wysokich kapłanów marksizmu-leninizmu. Tu, w rogu sali dla VIP-ów, trafiłem na dwa tryby wielkiej państwowej machiny represji: budowniczego Muru Berlińskiego i kata Praskiej Wiosny, wymieniających właśnie uprzejmości. Kilka metrów dalej dostrzegłem prezydenta Bułgarii skaczącego wokół swoich kolegów z innych państw jak jakiś nadgorliwy kelner, któremu bardzo zależy na zaspokojeniu oczekiwań klienta. Stojąc w kolejce, by zobaczyć trumnę Tity, zdałem sobie sprawę, że wpatruję się prosto w mętne, diable oczy samozwańczego „Geniusza Karpat". Rumuński przywódca, Nicolae Ceausescu, miał jedną z najbardziej nieprzyjemnych twarzy, jakie zdarzyło mi się widzieć: głębokie, czarne zmarszczki wokół długiego, sterczącego nosa, wysokie czoło, kręcone siwe włosy. Ogólną zasadą było, że im bardziej groteskowy był kult otaczający „Wielkiego Przywódcę", tym bardziej pospolity okazywał się jego obiekt.

W centrum zgromadzenia posadzono - niczym średniowiecznego cesarza odbierającego hołd od swoich wasali - samego Wielkiego Brata. Można było odnieść wrażenie, że Leonid Breżniew ma kłopoty ze zrozumieniem, co się wokół niego dzieje. Miał opuchniętą twarz. Kurczowo, jak dziecko uczepione matczynej spódnicy, trzymał się Andrieja Gromy ki, swego niezastąpionego ministra spraw zagranicznych. „Gdzie jest Andriej Andriejewicz?" - mamrotał w widocznej panice, kiedy Gromyko zniknął na kilka sekund. Wielki Brat otoczony był pochlebcami. „Chciałbym podziękować wam za waszą pracę na rzecz pokoju" - płaszczył się przed nim prezydent Bangladeszu, niemal czołgając się po czerwonym dywanie. Breżniew uniósł krzaczaste brwi. „Staramy się, jak możemy" - zakrakał. - „W walce o pokój jesteśmy gotowi na wszystko".

W południe w półtoramilionowym mieście zapadła cisza, wyraz hołdu wobec człowieka, który władał Jugosławią od 1945 roku. W zazwyczaj gwarnym Belgradzie teraz można było słyszeć jedynie tykanie zegarów i ćwierkanie ptaków. Potem, równie niespodziewanie, ciszę przerwało wycie syren fabryk i okrętów zakotwiczonych na pobliskim Dunaju i Sawie. Orkiestra wojskowa zagrała po-

wolnego marsza pogrzebowego. Na stopniach gmachu jugosłowiańskiego parlamentu pojawiło się ośmiu generałów, niosących liczne odznaczenia swego dowódcy. Samą trumnę eskortowali polityczni spadkobiercy Ti ty - ośmiu członków nowej, kolektywnej prezydentury, reprezentujących etnicznie zróżnicowane elementy jugosłowiańskiej federacji. Do ostatnich dni przepełniony pychą Tito zdecydował, że jedna osoba w żadnym razie nie może zająć jego miejsca. Zamiast tego po jego odejściu władzę miał sprawować komitet, którego członkom przysługiwało prawo weta wobec posunięć wszystkich pozostałych. Była to jednak recepta przede wszystkim na paraliż władzy, a wnet - na wojnę domową.

Kiedy kondukt pogrzebowy dotarł na wzgórze położone nad Sawą, gdzie znajdowała się rezydencja Tity, orkiestra zaczęła grać *Międzynarodówkę* - hymn ogólnoświatowego ruchu komunistycznego. Trumna została spuszczona do grobowca i zakryta marmurową płytą ze złoconym napisem: JOSIP BROZ TITO 1892-1980. Przed nagrobkiem, dla zaakcentowania swego znaczenia, przewijali się nic nie znaczący członkowie kolektywnej prezydentury. Po nich przyszła kolej na królów, książęta, prezydentów, premierów, sekretarzy partii komunistycznych i dyktatorów Trzeciego Świata - filary trwałego, jak się wydawało, porządku świata, który jednak już wkrótce miał lec w gruzach.

Przed rokiem 1980 praca korespondenta w krajach komunistycznych opierała się na jego własnych odczuciach i przemyśleniach. Źródła informacji ograniczały się do zachodnich dyplomatów, pracowników oficjalnego aparatu propagandowego i garstki dzielnych dysydentów. Praktycznie nie sposób było uczciwie porozmawiać ze zwyczajnym człowiekiem. Fabryki były całkowicie niedostępne, chyba że zdecydowałbym się na towarzystwo rządowego opiekuna. Cenzura była tak silna, że zazwyczaj o protestach słyszeliśmy dopiero w długi czas po ich zakończeniu. Nasze zadanie polegało na skomponowaniu spójnego obrazu całego społeczeństwa na podstawie oderwanych od siebie strzępów informacji. Przypominało to gigantyczne puzzle, w których brakuje setek elementów.

Nasz osiadły tryb życia zakończył się dosłownie z dnia na dzień. Zaledwie parę miesięcy po tym, jak w czasie pogrzebu Tity wpadłem na polskiego przywódcę Edwarda Gierka, przyszło mi słać depesze o jego upadku. Wkrótce stwierdziłem, że piszę głównie o strajkach, marszach głodowych, przewrotach, wojnach i o przebudowie mapy Europy. Jako reporter „Washington Post”, najpierw w Europie Wschodniej, a potem w Związku Radzieckim, miałem doskonały widok na „dekadę, która wstrząsnęła światem”. W gruncie rzeczy wraz kolegami stałem

się - w jakiejś małej części - fragmentem rewolucji. Nasze korespondencje odczytywano na falach zachodnich stacji radiowych i słuchano w krajach bloku radzieckiego. Była to jedna z dróg przełamywania monopolu informacyjnego jednopartyjnych reżymów.

Podróże po rozpadającym się świecie komunistycznym zaprowadziły mnie spod Muru Berlińskiego na plac Tiananmen, z tropikalnej Nikaragui aż na wysmaganą wichrem wyspę Sachalin. Byłem w miejscach, o których odwiedzeniu nigdy nie śniłem, jak sierociniec w Bukareszcie, gdzie utrzymywała się minusowa temperatura, czy wewnętrzne korytarze Kremla. Włóczyłem się po centrali KGB w Moskwie, wizytowałem miejsca eksplozji nuklearnych, przemierzałem ruiny przepięknych niegdyś miast, jak Tbilisi i Vukovar. Miałem dużo szczęścia i osobiście poznałem większość głównych aktorów upadku komunizmu. Byłem pierwszym zachodnim dziennikarzem, któremu zezwolono wejść do gdańskiej Stoczni im. Lenina w czasie wielkiego strajku w sierpniu 1980 roku. Pozwolenie wydał nieznany wówczas nikomu Lech Wałęsa. Dziesięć lat później, kiedy Borys Jelcyn wskoczył na czołg przed siedzibą rosyjskiej Dumy, by skupić wokół siebie przeciwników komunistycznego puczu, byłem w tłumie mniej więcej stu mieszkańców Moskwy, stojąc twarzą w twarz z późniejszym prezydentem.

Demontaż imperium komunistycznego był także wielkim dramatem ludzkim - równie wielkim, na swój sposób, jak rewolucja październikowa. Upadek komunizmu zmienił życie milionów ludzi, nie wyłączając tych, którzy nigdy nie mieszkali w żadnym kraju komunistycznym, ale których wcześniej objęła zimna wojna. Niektórzy poczuli powołanie do rzeczy wielkich, innych spotkała śmierć. Przez dziesięć lat dramatopisarze i elektrycy ulegli magicznej metamorfozie i stali się prezydentami, dysydenci - premierami, marksiści - nacjonalistami, a pierwsi sekretarze trafili za kratki. Strategiczne założenia, które kształtowały sposób myślenia pokolenia dyplomatów i polityków, zostały odwrócone do góry nogami. Przestało istnieć supermocarstwo, a do ONZ przystąpiło dwadzieścia nowych państw. Poczciwa i zastygła w bezruchu zimna wojna - a więc świat Checkpoint Charlie i doktora Strangelove'a - zniknęła na zawsze.

Komunizm rzucił głęboki cień na dwudziesty wiek. A jednak konsekwencje tego nieudanego eksperymentu, polegającego na próbie wprowadzenia w życie utopii, będą odczuwane jeszcze długo w ciągu następnego stulecia. Wiele katastroficznych scenariuszy zagrożeń dla przyszłości ludzkości - szantaż nuklearny,

katastrofy ekologiczne, wojna globalna, przejęcie władzy państwowej przez mafię - powstało w byłym świecie komunistycznym. Prawdopodobnie największym dzisiaj wyzwaniem dla społeczności światowej jest integracja dawnych społeczeństw komunistycznych z nowoczesnym światem.

Aby stawić czoło temu wyzwaniu, musimy najpierw zrozumieć, skąd się wzięło. Konwulsje, które ogarnęły Europę Wschodnią i były Związek Radziecki, odzwierciedlają dezintegrację ideologii totalitarnej. Korzenie eksplozji prymitywnego nacjonalizmu tkwią w wysiłkach starej nomenklatury, za wszelką cenę pragnącej zachować władzę i przywileje. Reformy gospodarcze w Rosji kuleją głównie z tego powodu, że struktura jej gospodarki jest niewydajna, a lwia *część* majątku narodowego znajduje się w rękach kompleksu wojskowo-przemysłowego. Drapieżny kapitalizm i mentalność mafijna nowej burżuazji biorą swe początki z systematycznej korupcji reżymu komunistycznego.

Musi przeminąć co najmniej jedno pokolenie, a może dwa lub trzy, aby zostały przegnane duchy totalitarnej władzy. Rzeki i stepy olbrzymiej Eurazji będą zatrute jeszcze przez dziesięciolecia w rezultacie licznych awarii urządzeń nuklearnych spowodowanych arbitralnymi i nieodpowiedzialnymi decyzjami przywódców komunistycznych. Mur Berliński obalono w jeden dzień, ale wiele lat jeszcze upłynie, zanim mieszkańcy Europy Wschodniej zostaną zaakceptowani jako obywatele nowej Europy. Dziesiątki tysięcy rumuńskich sierot - produkt dziwacznej polityki społecznej Ceausescu - dorastać będzie w upośledzeniu fizycznym i intelektualnym. Etniczne wojny między Serbami, Chorwatami, Ormianami i Azerami, Rosjanami i Czeczenami będą powodowały masakry i kontrmasakry przez wiele pokoleń.

Wielki Brat pewnie i umarł, ale duch komunizmu będzie nas straszyć jeszcze przez dziesiątki lat.

CZĘŚĆ PIERWSZA
BUNT PROLI

Jeśli jest jakaś nadzieja, to w prolach.

George Orwell, ***Rok 1984***

Pochód wolności i demokracji sprawi,
że marksizm-leninizm znajdzie się na śmietniku historii.

Ronald Reagan

ZARIECZE
26 grudnia 1979

Czarne limuzyny marki Ził przemknęły po moście nad skutą lodem rzeką Moskwą, minęły paradną, przypominającą weselny tort bryłę hotelu Ukraina i wjechały na proste przedłużenie alei Kutuzowa. Na ich widok milicjanci okutani w długie płaszcze zimowe, mające stanowić ochronę przed trzydziestostopniowym mrozem, szaleńczo machając białymi lizakami, nakazywali kierowcom zjeżdżać na pobocze. Po chodniku włóczyli się agenci w cywilu, bacznie wypatrujący w tłumie jakichkolwiek podejrzanych ruchów. Szczelnie zaciągnięte białe zasłonki i wielotonowy pancerz kuloodporny chroniły pasażerów pędzących ziłów od ciekawych spojrzeń przechodniów, brnących w szaroburym błocie ponurej moskiewskiej zimy[1].

Mężczyźni w limuzynach, członkowie Biura Politycznego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, należeli do wewnętrznej elity kremlowskiej. To właśnie ich pozbawione wyrazu twarze gapiły się na mieszkańców całego kraju z plakatów na murach i płotach. To ich napuszone przemowy wypełniały księgarnie od Kaliningradu po Chabarowsk. Potrzeby fizyczne tych ludzi zaspokajał Dziewiąty Zarząd Główny KGB, zapewniając im wszystko - od daczy i filmów pornograficznych po szyte na miarę garnitury i opiekę medyczną na najwyższym poziomie. Dopieszczani przez potężną machinę propagandową i wszechobecny aparat bezpieczeństwa, żyli wolni od nacisków, z jakimi dzień w dzień musi sobie dawać radę każdy zachodni polityk - a więc od badań opinii publicznej, demonstracji, ataków prasowych. Byli pozbawionymi własnego oblicza przedstawicielami nieomylnej partii.

W alei Kutuzowa zapaliły się zielone światła. Aleja jest jedną z dwunastu arterii rozchodzących się z centralnie usytuowanego Kremla. Wytyczył ją Stalin, jako wielki trakt prowadzący do wrót radzieckiej stolicy. Po obu jej stronach postawiono budynki z luksusowymi mieszkaniami dla wyższych dostojników partyjnych. Aleja prowadzi prosto do Mińska, Warszawy i Berlina. Właśnie tym szlakiem podążali zarówno Napoleon, jak i Hitler, dokonując inwazji na Rosję - i tracąc wszystko w beznadziejnych zmaganiach z bezkresną przestrzenią Rosji i surowością rosyjskiej zimy. Ziły i pojazdy ich eskorty pomknęły drogą z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Kolumna samochodów jechała pasem na stałe zarezerwowanym dla „grubych szyszek” -jak ich nazywali

mieszkańcy Moskwy. Kilkaset metrów za łukiem triumfalnym upamiętniającym klęskę Napoleona poniesioną w bitwie z Kutuzowem w 1812 roku, kawalkada dotarła do rogatek miasta.

W latach siedemdziesiątych radziecka stolica rozwijała się kosztem obszernych połaci otaczających ją lasów sosnowych. Miasto rozszerzało się we wszystkich kierunkach z wyjątkiem jednego: zachodniego, wzdłuż wijącej się rzeki Moskwy. Tutaj, ukryty pomiędzy łagodnymi wzgórzami, falującymi na wietrze brzozami i miasteczkami jak z obrazka, rozciągał się plac zabaw klasy rządzącej. W skomplikowanym systemie kar i nagród obmyślonym przez Stalina w celu utrzymania kontroli nad zapętloną biurokracją nie było wyższej nagrody nad wiejski domek w tym bukolicznym otoczeniu. Dla radzieckiej elity - od ministrów, poprzez fizyków jądrowych i primabaleriny po generalicję - dacza była nie tylko miejscem odpoczynku, ale i ucieczki od ciężkiej atmosfery stolicy, zanieczyszczonego powietrza i paranoicznego wrażenia, że się jest pod stałą obserwacją.

Sznur limuzyn skręcił w lewo, zjechał z autostrady, ignorując kilka znaków „zakaz wjazdu", i wjechał na nieskazitelnie utrzymaną wiejską drogę ginącą w pokrytym śniegiem lesie. Kawalkada podążyła wzdłuż brzegu ściętej lodem rzeki Setuń i wjechała na prywatną posesję otoczoną trzymetrowej wysokości zielonym płotem z drewna. W jakieś dwadzieścia minut po opuszczeniu centrum Moskwy ziły zaparkowały przed kopią neoklasycystycznego pałacu. Bogato zdobiony w burżuazyjnym stylu, ulubionym przez przywódców radzieckich, pałac wyglądał jak krzyżówka muzeum i urzędu. Na terenie obiektu były odkryte i kryte baseny kąpielowe, kort tenisowy i prywatne kino[2].

Pasażerowie kryjący się za firankami limuzyn przybyli, by poinformować sekretarza generalnego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego o ostatecznych planach inwazji na Afganistan.

Patrząc na zapuchniętą twarz Leonida Breżniewa, cerę w kolorze pergaminu i błędne, pozbawione życia oczy, trudno było uwierzyć, że kiedyś polityk ten był mężczyzną energicznym i towarzyskim. Formalnie nie miał wykształcenia. Właściwie w życiu nie przeczytał zbyt wielu książek. Poza polityką interesowały go polowania, prowadzenie szybkich samochodów i telewizyjne transmisje z meczów hokejowych. Nie przejawiał entuzjazmu wobec roboty papierkowej i słabo wypadał jako mówca. Ale, jak by powiedzieli bolszewicy, był „dobry kadrowo".

Sam dbał o siebie. Nadrabiał ograniczenia intelektualne fenomenalnym instynktem pozwalającym na umiejętne posługiwanie się władzą i wpływami. Miał talent do zawierania sojuszy z innymi aparatczykami. Na najwyższe szczeble biurokracji radzieckiej wyniosło go intuicyjne wyczucie, komu schlebiać, kim manipulować, komu dać łapówkę i, jeśli to niezbędne, kogo wdeptać w ziemię.

Jego koledzy z Politbiura wciąż go nie doceniali. Jednym z głównych powodów, dla których wybrali go w 1964 roku na sekretarza generalnego w miejsce potępionego Nikity Chruszczowa, była niechęć do silnych, charyzmatycznych przywódców. Potrzebny był im uległy, tymczasowy pionek. Breżniew zaś - zwany „baletnicą” ze względu na łatwość, z jaką zmieniał stanowisko stosownie do przeważającej opinii - wydawał się idealnym kandydatem. Mieli rację, sądząc, że nowy przywódca nie będzie tak wybuchowy jak Chruszczów i że stłumi niepokoje wstrząsające aparatem partyjnym. Ale nie docenili jego wytrzymałości. Breżniew przetrwał i wymanewrował ich wszystkich.

Wkraczając w szesnasty rok swego panowania, był na poły komunistycznym bożkiem i narodowym klaunem. Kult jednostki otaczający genseka osiągnął absurdalne rozmiary. Mediom nie wystarczało przedstawianie trzęsącego się siedemdziesięciotrzyletniego przywódcy jako mądrego i dalekowzrocznego męża stanu. Prezentowały go także jako błyskotliwego stratega wojskowego, człowieka starannie wykształconego i wybitnego myśliciela epoki współczesnej. „Od Iljicza do Iljicza” - krzyczały plakaty propagandowe, w których porównywano Breżniewa do Włodzimierza Iljicza Lenina, założyciela państwa radzieckiego. Breżniew był innym posiadaczem legitymacji partyjnej numer 000002 (legitymację numer 000001 zarezerwowano dla Lenina).

Im bardziej Breżniew niedołężniał, tym więcej spotykało go zaszczytów i honorów. Przed końcem życia zdołał zebrać więcej orderów niż Lenin, Stalin i Chruszczów razem wzięci. Radzieckie podręczniki do historii były przepisywane, aby z przeciętnych dokonań wojennych Breżniewa uczynić znaczący udział w pokonaniu III Rzeszy. Radzieccy krytycy okrzyknęli jego chełpliwe, napisane przez zawodowego pisarza wspomnienia wojenne Małaja Ziemla (Mała Ziemia) arcydziełem literackim. Książkę drukowano w milionowych nakładach. Odczytywano ją w radiu i w telewizji, publikowano w odcinkach w różnych czasopismach i „zgłębiano” w szkołach oraz na zebraniach partyjnych.

Było to zresztą powodem pośmiewiska wśród szarych obywateli ZSRR. Publicznie dołączali oni do chóru oficjalnych pochwał dla sekretarza generalnego, przyjmowali rezolucje wyrażające poparcie dla jego inicjatyw politycznych i

uczestniczyli w uroczystościach z okazji jego urodzin. Ale w zaciszu własnego domu naśmiewali się z jego błędów językowych i narcyzmu. W 1978 roku po wydaniu jego pamiętników, mieszkańcy Zariecza zaczęli na otoczoną mu- rem posesję Breżniewa mówić „Małaja Ziemla”[3].

Mimo że relacje z tego, co powiedział i zrobił, wypełniały pierwsze strony radzieckich gazet, Breżniew zazwyczaj pracował nie więcej niż godzinę-dwie dziennie. Pod koniec lat siedemdziesiątych ledwo był w stanie zadbać o siebie, nie mówiąc już o doglądaniu spraw potężnego imperium. Posiedzenia Biura Politycznego ograniczono do piętnastu czy dwudziestu minut. Sekretarz generalny z rzadka odwiedzał swój apartament w Moskwie czy biuro na Kremlu. Całe tygodnie spędzał w daczy w Zarieczu albo w swoim ulubionym domku myśliwskim w Zawidowie, w widłach Wołgi i Moskwy. Życie rodzinne stało się dlań ciężarem. Jego pełna temperamentu córka, Galina, szokowała Moskwę skandalami, wystawnym trybem życia i romansami z podejrzanymi artystami cyrkowymi. Jego zięć, Jurij Czurbanow, zajął jedną z czołowych pozycji w mafii bawełnianej w Uzbekistanie. Breżniew natomiast zamykał się na całe godziny w swoim gabinecie jedynie w towarzystwie osobistego ochroniarza, starego kolegi frontowego Aleksandra Riabenki. Grali w warcaby lub domino.

Stan zdrowia Breżniewa był jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic Kremla. Dla każdego jednak, kto widział jego nieobecny wyraz twarzy czy to, jak wielką trudność sprawia mu chodzenie i jak niewyraźnie mówi - było oczywiste, że gensek jest inwalidą. Ale zaawansowanie jego fizycznych i umysłowych dolegliwości było znane jedynie trzem czy czterem wysokim rangą członkom Biura Politycznego i garstce lekarzy, ochroniarzy oraz krewnych. Prawda jest taka, że największe państwo świata pozbawione było sprawnego przywódcy co najmniej od 1974 roku, a więc od chwili, kiedy sekretarz generalny przeżył serię łagodnych ataków spowodowanych miażdżycą naczyń mózgowych[4].

W miarę jak jego arterie twardniały i zwężały się, Breżniew tracił kontrolę nad wieloma funkcjami fizycznymi swego organizmu. Lekarze zauważyli szokującą, najwidoczniej nieodwracalną zmianę osobowości swego pacjenta, spowodowaną zniszczeniami ośrodkowego układu nerwowego. Niegdyś dowcipny i bezpretensjonalny, stracił zdolność do krytycznego postrzegania swych uczynków. Raz po raz popadał w głęboką depresję i wybuchał płaczem z najbardziej błahych powodów. Kiedy indziej poddawał się iluzji własnej doskonałości i czytał na głos lizusowskie artykuły o sobie, drukowane w kontrolowanej przez ,rząd prasie. Domagał się, by go puszczano za kierownicę samochodu jeszcze długo po tym,

kiedy wszedł w okres drugiego dzieciństwa. Kilkakrotnie niemal by zabił siebie i przerażonych ochroniarzy, prowadząc limuzynę zbyt blisko urwiska, na krętych górskich drogach Krymu, gdzie miał letnią rezydencję[5]. Próżność Breżniewa karmiła świta pochlebców, zawsze gotowych do zapewniania go, że jest doskonałym kierowcą - a nie tylko „ukochanym ojcem ludzi radzieckich".

To, co normalnie byłoby poważną, ale możliwą do wyleczenia chorobą, zostało mocno skomplikowane nadmiarem pigułek nasennych i lekarstw. Breżniew przez długi czas cierpiał na bezsenność. Jego asystenci i bliscy podrzucali mu bardzo silne środki uspokajające, które często połykał, popijając swą ulubioną żubrówką. W połowie lat siedemdziesiątych nawiązał czuły związek z pielęgniarką zatrudnioną w KGB, która zapewniała mu stały dopływ lekarstw - przyjmowanych przez niego bez wiedzy lekarzy Leki na obniżenie ciśnienia osłabiały jego układ nerwowy, przez co popadał w apatię i bezwład, potęgowały się objawy demencji, a bezsenność stawała się nie do zniesienia. Było to błędne koło. Po jednym kryzysie następował kolejny.

Lekarze i członkowie ochrony osobistej, usiłując ustrzec sekretarza generalnego przed nim samym, często uciekali się do drobnych oszustw. Rozcieńczali żubrówkę przegotowaną wodą, a Breżniew podejrzliwie patrzył na szklankę z płynem i mówił: „Coś z tą wódką jest nie całkiem w porządku". Przy innych okazjach dawali mu fałszywe pigułki nasenne. Problem polegał na tym, że Breżniew, nie mogąc odróżnić prawdziwej pigułki nasennej od fałszywej, spragniony snu, połykał coraz więcej pastylek. Ochroniarze bali się, że może to się skończyć mimowolnym samobójstwem[6].

Nadzwyczajny wysiłek wkładano w przygotowanie jego publicznych wystąpień. Wymyślono specjalne ruchome schody, aby gensek był w stanie pokonać stopnie Mauzoleum Lenina na placu Czerwonym. Zapewniono mu też osobisty samolot. Autorzy przemówień pisanych dla niego w Biurze Politycznym wiedzieli, że mają unikać niektórych długich słów, których wymówienie sprawiłoby Breżniewowi trudność. Ekipy reanimacyjne towarzyszyły mu wszędzie, dokąd się udawał. Specjalny sprzęt medyczny instalowano w każdym miejscu jego pobytu. Lekarze otrzymywali ścisłe polecenia, aby zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby Breżniew wypełnił swe uroczyste obowiązki. Szef służb medycznych Kremla, Jewgienij Czazow, narzekał potem, że próby ukrycia stanu zdrowia przywódcy były nie tylko „obłudne", ale i „sadystyczne"[7].

Kiedy Breżniew przemawiał, lekarze nigdy nie mieli pewności, czy potem uda mu się zejść z podium. W październiku 1979 roku Czazow towarzyszył swemu

pacjentowi podczas uroczystości jubileuszu trzydziestolecia Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Niewiele brakowało, by doszło do katastrofy. Breżniew, wyczerpany, stracił czucie w nogach. Na godzinę przed uroczystym posiedzeniem wschodnioniemieckiego parlamentu ochroniarze wynieśli sekretarza generalnego z jego rezydencji. Kiedy nadeszła pora na jego przemówienie, nie mógł wstać z fotela. Przerażony Czazow siedział w kącie, a przywódcy Polski i NRD - Edward Gierek i Erich Honecker - chwycili swego radzieckiego towarzysza za łokcie i pociągnęli do mównicy. W cudowny sposób Breżniew dotrwał do końca swego trzydziestopięcio- minutowego wystąpienia bez wzbudzania podejrzeń zachodnich dziennikarzy co do stanu swego zdrowia[8].

Kiedy już było po wszystkim, Ministerstwo Spraw Zagranicznych ZSRR wystosowało oficjalny protest wobec „nieprzyjaznego gestu” Edwarda Gierka, który pomagał Breżniewowi dojść do mównicy. Wedle radzieckiej noty, gest ten stworzył mylne wrażenie, że towarzysz Breżniew jest „niedołężny”. Czazow napisał potem, że bardziej na miejscu byłaby raczej wdzięczność. „Nie jestem przekonany, czy Breżniew miałby dość sił, żeby w ogóle wstać z fotela bez niczyjej pomocy”[9].

Urodzony w 1906 roku Breżniew był świadkiem przeobrażenia Rosji ze słabego, praktycznie bezbronnego kraju w potężne, wzbudzające strach i respekt całego świata mocarstwo. Wnet po dojściu do władzy w 1917 roku bolszewicy, na podstawie podpisanego w Brześciu Litewskim traktatu pokojowego, zostali zmuszeni do oddania Niemcom terytoriów zamieszkanych przez jedną trzecią ludności miejskiej Rosji. Do 1945 roku nie tylko odzyskali całą ziemię, którą wcześniej utracili, ale i objęli kontrolę nad olbrzymimi połaciami Europy Środkowej i Wschodniej. Zwycięstwo w II wojnie światowej zaowocowało utworzeniem strefy buforowej o szerokości ośmiuset kilometrów wzdłuż zachodnich rubieży ZSRR. Dla Breżniewa i jego kolegów prawdziwa zachodnia granica biegła teraz na Łabie, gdzie spotkali się żołnierze amerykańscy i radzieccy tuż po zwycięstwie nad Trzecią Rzeszą. Było to imperium, którego ogrom przerósł najdziksze marzenia carów.

Zostało ono ukształtowane w formie współśrodkowych kół, których centrum była Matka Rosja. „Imperium wewnętrzne” składało się z takich narodów, jak Ukraińcy, Gruzini, Litwini, Łotysze, Estończycy, Kazachowie i Ormianie. Wszystkie te nacje zostały wcielone do właściwego Związku Radzieckiego. Na-

stępne koło obejmowało kraje „demokracji ludowej" w Europie Wschodniej, takie jak Polska, Niemcy Wschodnie i Węgry. W skład „imperium zewnętrznego" wchodziły państwa Trzeciego Świata - m.in. Nikaragua, Angola i Afganistan. Kraje te wywalczyły sobie wolność, zrywając kajdany imperializmu, ale jeszcze nie osiągnęły stadium „realnego socjalizmu". Tylko w ciągu ostatniej dekady partie marksistowsko-leninowskie przejęły władzę w ponad dwunastu takich krajach. W rezultacie analitycy zarówno w Moskwie, jak i w Waszyngtonie doszli do wniosku, że światowy układ sił nieubłaganie zmienia się na korzyść socjalizmu.

Także z geostrategicznego punktu widzenia przewagę zdawała się zyskiwać Moskwa. W ciągu minionych dwudziestu lat Związek Radziecki dokonał olbrzymiego wysiłku zbrojeniowego. Wychodząc z pozycji wyraźnej niższości, kiedy Breżniew przejmował władzę, z czasem dorównał Stanom Zjednoczonym. W niektórych dziedzinach, na przykład pod względem liczby czołgów i ciężkich rakiet balistycznych, osiągnął zdecydowaną przewagę. W stanie ciągłej gotowości znajdowały się rakiety dalekiego zasięgu z sześcioma tysiącami głowic nuklearnych, nakierowane na Waszyngton, Chicago, Nowy Jork i Los Angeles. Wystarczyło tylko nacisnąć guzik. Setki kolejnych rakiet, średniego zasięgu, wycelowano w miasta Europy Zachodniej, takie jak Londyn, Frankfurt, Paryż.

Breżniew uważał za swój obowiązek bronić tego dziedzictwa i przekazać je w nienaruszonym stanie swoim następcom. Opierał swoje działania na carskiej zasadzie, zgodnie z którą raz zdobytego terytorium nigdy nie można oddać.

W tłumaczeniu na drętwą terminologię naukowego socjalizmu, ów carski upór nie pozwalający na cofnięcie się choćby o krok znany był jako „nieodwracalność procesów historycznych". Skoro kraj raz przeszedł z jednego etapu historycznego do następnego - od feudalizmu do kapitalizmu albo od kapitalizmu do socjalizmu - nie było dlań odwrotu. Poparcie dla możliwości regresu z socjalizmu do kapitalizmu oznaczało podważenie podstaw dialektyki marksistowskiej.

Prywatnie Breżniew potrafił być brutalnie szczery co do celów radzieckiej polityki zagranicznej. Kiedy w sierpniu 1968 roku, tuż po radzieckiej inwazji na Czechosłowację, Alexander Dubćek i inni czechosłowaccy reformatorzy zostali porwani i odstawieni do Moskwy, przywódca ZSRR udzielił im surowej lekcji realpolitik. Rezultaty II wojny światowej - powiedział Dubćekowi - są nienaruszalne i będziemy ich bronić nawet za cenę ryzyka wywołania nowej wojny"[10].

W dziesięć lat po zdławieniu czechosłowackiego eksperymentu z „socjalizmem

o ludzkiej twarzy" radziecki reżym okazał się zarówno nie zreformowany, jak i niereformowalny. W dalszym ciągu w sferze spraw międzynarodowych utrzymywała się ta sama, niezmienna zasada. Świat wydawał się trwale podzielony na dwa ideologicznie przeciwstawne obozy. Powstrzymywana przez równowagę szantażu nuklearnego, żadna ze stron nie zdobyła środków do pokonania drugiej.

W rzeczywistości stan radzieckiego społeczeństwa i gospodarki był bardziej kruchy, niż ktokolwiek to sobie wyobrażał. Powłóczący nogami, nieobecny wzrokiem Breżniew odgrywał rolę publicznego wizerunku wielkiego wielonarodowego imperium nieodwracalnie chylącego się już ku upadkowi. Jesienią 1979 roku Związek Radziecki stał się sklerotycznym gigantem. Jego biurokratyczne arterie wyschły i zesztywniały. Lata indoktrynacji ideologicznej - a mówiąc prościej: lata kłamstw - stworzyły atmosferę totalnego cynizmu. Akty prawne wydawane w centrum wnet puszczano w niepamięć; okazałe przedsięwzięcia były ogłaszane i nigdy nie doprowadzane do końca; statystyki przestały mieć jakiekolwiek znaczenie. W tej surrealistycznej atmosferze późnej ery Breżniewowskiej rząd przeznaczał miliardy rubli na budowę istniejących jedynie w wyobraźni fabryk i nie istniejących linii kolejowych. Po latach odkryto, że przywódcy środkowoazjatyckiej republiki Uzbekistanu rutynowo składali w Moskwie raporty o fikcyjnych zbiorach bawełny, a wpływy rozdzielali między siebie.

Choroby, które toczyły gospodarkę, dotknęły nawet kompleks wojskowo-przemysłowy - największy priorytet radzieckiego kierownictwa. Związek Radziecki mógł wyprzedzać Stany Zjednoczone pod względem liczby czołgów, rakiet i liczebności armii, ale przegrywał w znacznie ważniejszym wyścigu. Radzieccy generałowie zaczęli głośno wyrażać poważny niepokój związany z brakiem „inteligentnych broni" zdolnych konkurować z zaawansowanym technologicznie uzbrojeniem Zachodu. Chociaż niektóre oficjalne badania amerykańskie wskazywały, że Związek Radziecki „wyprzedza" albo „dogania" Zachód w najważniejszych dziedzinach technologii zbrojeniowej, takich jak pociski samonaprowadzające czy broń do zwalczania okrętów podwodnych, radzieccy naukowcy wiedzieli bardzo dobrze, że nie jest to wiemy obraz sytuacji[11]. Związkowi Radzieckiemu groziła całkowita klęska w wyniku rewolucji technologicznej, która przeobrażała społeczeństwa zachodnie.

Niezdolni zebrać sił do wewnętrznej odnowy, radzieccy przywódcy chcieli usankcjonować mocarstwową pozycję ZSRR drogą ekspansji zewnętrznej. Stali

się zakładnikami własnej ideologii. Dogmat o nieodwracalności procesów historycznych oznaczał, że żadna część imperium - nawet bezużyteczna i kosztowna - nigdy nie może wpaść w ręce wroga. Dążąc do zdobycia wpływów globalnych, Breżniew zapomniał o jednej z podstawowych zasad realpolitik: trzeba wiedzieć, kiedy się zatrzymać. Ujmując to słowami Wiaczesława Mołotowa, szefa dyplomacji Stalina, „Trzeba zrozumieć, że wszystko ma swoje granice. W przeciwnym razie można się udławić”[12].

Kryzys, w obliczu którego stanęli najpotężniejsi ludzie w Związku Radzieckim, narastał od miesięcy. W kwietniu 1978 roku grupka radykalnych intelektualistów i lewicowych oficerów przejęła władzę w Afganistanie, górzystym kraju zamieszkanym przez piętnaście milionów ludzi, przylegającym do południowej granicy ZSRR. Zamachowcy ogłosili wprowadzenie ustroju socjalistycznego. Przywódcy na Kremlu dowiedzieli się o przewrocie z depeszy agencji Reutera[13]. Niemniej zaczęli określać przedstawicieli nowej afgańskiej władzy mianem „towarzyszy”. Upojeni sukcesem ideolodzy wskazywali na afgańską „rewolucję” jako na kolejny triumf nad siłami imperializmu. „Nie ma dzisiaj państwa na świecie, które nie byłoby gotowe na przyjęcie socjalizmu” - składali entuzjastyczne deklaracje radzieccy aparatczycy[14].

Jednak Afganistan - kraj o na poły klanowej strukturze politycznej, niemal średniowiecznym standardzie życia i dziewięćdziesięcioprocentowym analfabetyzmie - nie wydawał się najlepszym miejscem na urządzenie raju klasy robotniczej. Po osiemnastu miesiącach, odkąd nad Kabulem powiewała czerwona flaga, „rewolucja” znalazła się na skraju przepaści. Mułłowie wezwali do „świętej wojny” przeciwko bezbożnym komunistom. Większość terytorium kraju - w tym niektóre wielkie miasta - już została opanowana przez antyrządowe oddziały partyzantów. Wojsko było w rozsypce. Człowiek, który ogłosił się „Wielkim Przywódcą Rewolucji Kwietniowej”, marzyciel-teoretyk marksizmu nazwiskiem Mohammad Taraki, słał do ZSRR liczne prośby o pomoc.

Breżniew dał Tarakiemu wiele z tego, o co ów prosił - czołgi, helikoptery, doradców wojskowych - ale nie godził się na bezpośredni udział wojsk radzieckich w afgańskiej wojnie domowej. Na początku września publicznie uściskał i objął Tarakiego w czasie uroczystości na Kremlu. Wkrótce potem nadeszła wiadomość, że afgański prezydent został obalony w wyniku przewrotu pałacowego i aresztowany pod zarzutem terroryzmu. Kiedy 9 października Breżniew powrócił do Moskwy z Berlina Wschodniego, powitano go jeszcze bardziej niepokojącymi

wiadomościami. Taraki nie żył. Gazeta „Kabul Times" opublikowała lakoniczną notatkę, że „od pewnego czasu" cierpiał na „poważną chorobę". W rzeczywistości został zamordowany na polecenie swojego następcy, Hafizullaha Amina. Członek straży pałacowej opisywał później, jak to pomógł przywiązać „Wielkiego Przywódcę" ręcznikiem do łóżka i potem udusił go poduszką. Śmiertelne konwulsje trwały piętnaście minut[15].

Radzieccy przywódcy mieli poważne wątpliwości co do lojalności człowieka obecnie opisywanego przez afgańskie media jako „Nieustraszony Komendant Rewolucji". Zgodnie z raportami radzieckiego wywiadu, Amin realizował sekciarską i represyjną politykę, która mogła doprowadzić do powszechnego buntu. Ponadto podejrzewano, że planuje wstępne rokowania dyplomatyczne z Waszyngtonem. Amin studiował w Stanach Zjednoczonych; krążyły pogłoski, że został skaptowany przez CIA. Kreml nie miał niezbitych dowodów potwierdzających te podejrzenia, ale przywódcy radzieccy opanowani byli paranoiczną wizją „imperialistów" rozbudowujących sieć elektronicznych placówek podsłuchowych na południowej granicy ZSRR, zdolnych do śledzenia wszystkiego, co się rusza w radzieckiej Azji Środkowej[16]. Do listopada rezydentura KGB w Kabulu doszła do wniosku, że „rewolucję" może uratować jedynie siłowe odsunięcie Amina od władzy. To z kolei wymagałoby radzieckiej interwencji wojskowej[17].

Wszyscy mężczyźni, którzy tego zimowego dnia 1979 roku zebrali się w daczy Breżniewa, urodzili się przed bolszewickim zamachem stanu w Piotrogrodzie. Podobnie jak sekretarz generalny, byli produktem swoich czasów. Wiejscy chłopcy z szerokich rosyjskich równin, zawdzięczali swoje kariery i zajmowane stanowiska wyłącznie Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Lata, w których kształtowały się ich osobowości, wypełnione były wojną, głodem i rewolucją. Wszyscy czuli to, co jeden z nich określił jako „bezlitosne (...) nieugięte spojrzenie" wielkiego tyrana, który posiadł władzę nad życiem i śmiercią 250 milionów ludzi[18]. Mieli na sumieniu unicestwienie milionów radzieckich obywateli - nie wyłączając własnych krewnych i przyjaciół. Oczyściło to im drogę do awansu w radzieckiej biurokracji. Teraz byli już starymi ludźmi - nadszedł dla nich czas nagrody za życie w politycznej uległości.

Oprócz samego Breżniewa w pokoju było czterech mężczyzn: szef KGB Jurij Andropow, minister obrony Dmitrij Ustinow, minister spraw zagranicznych Andriej Gromyko i najbliższy, zaufany współpracownik sekretarza generalnego, Konstantin Czernienko[19]. Każdy z nich zawdzięczał Breżniewowi swoje miejsce

w Politbiurze i każdy z nich był osobiście zainteresowany przedłużaniem rządów trwałego inwalidy. W zamian za symboliczne hołdy Breżniew pozwalał, by jego wasale zarządzali swoimi domenami, jak im się tylko podoba, i błyszczeli w świetle jego chwały.

Jako szef KGB, Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, Andropow był pierwszym członkiem Biura Politycznego, który się dowiedział, że stan zdrowia Breżniewa się pogarsza. Kremlowscy lekarze jemu bezpośrednio składali raporty. Przez długi czas nie dzielił się tymi informacjami ze swoimi kolegami, ponieważ bał się, że wywoła obłędną walkę o władzę. „W imię spokoju w kraju i w partii, w interesie dobrobytu społeczeństwa musimy zachować milczenie. Właściwie musimy ukrywać niedomagania Breżniewa" - powiedział Czazowowi. - „Jeśli walka o władzę zacznie się w warunkach anarchii, w czasie, kiedy nie ma silnego przywództwa, doprowadzi ona do załamania gospodarki i całego systemu"[20].

Czujność Andropowa miała jeszcze inną przyczynę. Przedwczesna walka o władzę mogła zniweczyć jego własne szanse na objęcie stanowiska sekretarza generalnego. Wedle Czazowa, Andropow był „przerażony", myśląc o innych członkach kierownictwa, na przykład Aleksieju Kosyginie czy Nikołaju Podgórnym. W miarę kurczenia się zakresu ich władzy i wzmacniania własnej pozycji Andropow porzucał swe obiekcje co do informowania Biura Politycznego o stanie zdrowia Breżniewa.

Ten wysoki mężczyzna o ascetycznym wyglądzie, w okularach z metalowymi oprawkami i zaczesywanymi do tyłu siwymi włosami, zarządzał ogólnoświatową siecią szpiegów, informatorów i agentów prowokatorów. KGB, jako spadkobierca leninowskiej Czeki i stalinowskiej NKWD, był państwem w państwie. Znany jako „miecz i tarcza" Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, odpowiedzialny był za wszystko - od zwalczania dysydentów i zakładania podsłuchów po wywiad zagraniczny i ochronę członków kierownictwa partii.

Jako szef tak potężnej, z pozoru, organizacji, Andropow doskonale zdawał sobie sprawę z kruchości władzy radzieckiej. Jego młodsi współpracownicy mówili, że cierpi na „kompleks węgierski"[21]. Po ukończeniu czterdziestu lat, kiedy zaczął zajmować wyższe stanowiska, Andropow został wysłany do Budapesztu w charakterze ambasadora ZSRR. Zdobył tam, w 1956 roku, ważne dla swojej dalszej kariery doświadczenie: był świadkiem zbrojnego powstania przeciwko reżymowi komunistycznemu i jego brutalnego zdławienia przez radzieckie czołgi. Z okien ambasady widział komunistów powieszonych na latarniach. W drodze na lotnisko, dokąd jechał, by powitać radzieckiego wysłannika wysokiej

rangi, znalazł się pod ostrzałem. Jego żona, Tatiana, przeżyła załamanie nerwowe, z którego nigdy w pełni nie wyszła[22]. Andropow był zaskoczony szybkością, z jaką rewolucja zmiotła mocno, z pozoru, osadzony na Węgrzech reżym stalinowski. Niezadowolenie garstki intelektualistów i młodych wojskowych przybrało na sile w ciągu zaledwie kilku tygodni, po czym przekształciło się w potężny ruch protestu. Tajna policja została rozwiązana w kilka godzin. Lojalni, wydawać by się mogło, członkowie partii komunistycznej z dnia na dzień przeobrazili się w fanatycznych antykomunistów.

Węgierskie powstanie nauczyło Andropowa jeszcze jednego: kontrrewolucję może powstrzymać u jej początku bezwzględna interwencja wojskowa. Co więcej, udana demonstracja przytłaczającej siły może zapobiec przyszłym rebeliom. Jako radziecki ambasador w Budapeszcie, Andropow odgrywał ważną rolę w tłumieniu powstania, nakłaniając byłego premiera Węgier do podpisania listu „zapraszającego" oddziały radzieckie do tego kraju[23]. Niemal ćwierć wieku później proponował, by wykorzystać scenariusz węgierski w Afganistanie.

Najbliższym sojusznikiem Andropowa w Politbiurze był marszałek Ustinow. Podobnie jak szef KGB, Ustinow reprezentował niezwykle potężną instytucję. Siły zbrojne ZSRR, dysponujące ponad stu osiemdziesięcioma dywizjami i pięcioma milionami żołnierzy - były wzbudzającym grozę kolosem. Bez Armii Czerwonej nie byłoby Związku Radzieckiego. Żadna ofiara nie byłaby zbyt wielka dla instytucji, która wywalczyła bolszewikom zwycięstwo w wojnie domowej, pokonała niemieckiego najeźdźcę i przekształciła zacofany kraj w światowe supermocarstwo. Armia była zarówno źródłem narodowej dumy, jak i instrumentem spajającym ogromne, wielonarodowe imperium. Każdego roku ponad milion osiemnastoletnich Uzbeków i Rosjan, Litwinów i Gruzinów trafiało do etnicznego tygla na dwa lata obowiązkowej służby wojskowej. Zadaniem armii było przekształcanie tych surowych rekrutów zarówno w dobrych żołnierzy, jak i dobrych obywateli radzieckich.

Ustinow, z zawodu inżynier, był uosobieniem kompleksu wojskowo-przemysłowego. W wieku trzydziestu trzech lat został wybrany przez Stalina do wypełnienia ważnego zadania: miał zapewnić Armii Czerwonej uzbrojenie niezbędne do pokonania Wehrmachtu. Jako komisarz ludowy ds. uzbrojenia, Ustinow nadzorował ewakuację zakładów zbrojeniowych z europejskiej części Rosji na Syberię. W ciągu sześciu miesięcy po inwazji Hitlera na Rosję ponad tysiąc pięćset fabryk zbrojeniowych dosłownie przewieziono o blisko dwa tysiące kilome-

trów na wschód. Maszyny i wyposażenie, gdyby je przetransportować jednocześnie, zapełniłyby około półtora miliona wagonów kolejowych[24]. Był to jeden z najbardziej zdumiewających wyczynów organizacyjnych II wojny światowej, a zarazem jedno z decydujących posunięć, dzięki którym Związek Radziecki odniósł zwycięstwo. Po wojnie Ustinow nadzorował budowę systemów przenoszenia dla radzieckiej bomby atomowej. Krótko rzecz ujmując, przeprowadził Armię Czerwoną z epoki kawalerii do ery broni nuklearnej.

Do 1976 roku, kiedy Ustinow został ministrem obrony, radzieckie fabryki tętniły pracą. Produkowano w nich dziennie średnio pięć myśliwców, osiem czołgów, osiem dział i jedną międzykontynentalną rakietę balistyczną[25]. W czasie dyskusji w Biurze Politycznym Ustinow bezustannie domagał się zwiększenia nakładów na cele wojskowe i zazwyczaj stawiał na swoim. Dla członków kierownictwa było jasne, że wydatki zbrojeniowe wyczerpują zasoby gospodarcze Związku Radzieckiego, ale nikt nie miał dość odwagi, by położyć temu kres. Negocjacje z imperialistami można było prowadzić jedynie z pozycji siły. Breżniew lubił mawiać, że „społeczeństwo nas zrozumie. Pokój kosztuje"[26].

Minister obrony miał cechy mocnego rosyjskiego mużika, chłopa. Był serdeczny i towarzyski. Być może z wyjątkiem Andropowa, był też najciężej pracującym członkiem Politbiura. Jeszcze po siedemdziesiątce regularnie poświęcał pracy piętnaście godzin dziennie[27]. Ale też, podobnie jak wielu przywódców radzieckich starszego pokolenia, był zdeklarowanym stalinistą. Nigdy nie wybaczył Chruszczowowi zbezczeszczenia pamięci tyrana w tajnym wystąpieniu na XX Zjeździe KPZR w 1956 roku. Potępiając zbrodnie Stalina, Chruszczów zmieszał radziecką historię z błotem i podważył wiarę społeczeństwa w ideologię komunistyczną. Pozostałym członkom kierownictwa Ustinow powiedział, że „żaden wróg nie spowodował większych nieszczęść niż Chruszczów. Nie jest tajemnicą, że Zachód nigdy nas nie lubił. Ale Chruszczów dał Zachodowi dość argumentów i amunicji, by starczyło ich na długie lata"[20].

Trzecim członkiem trójki bezpieczeństwa narodowego był Andriej Gromyko. Dla wielu ludzi na Zachodzie Gromyko ucieleśniał radziecką politykę zagraniczną. Jego obcesowe zachowanie - w kołach dyplomatycznych znany był jako Grim[1] Grom - zdawało się stanowić kwintesencję kremlowskiego podejścia do stosunków międzynarodowych. Utalentowany lingwista, jako minister spraw zagranicznych od tak dawna znajdował się w centrum wydarzeń, że praktycznie

---

[1] *Grim* (ang.)- srogi, nieprzyjemny.

stał się jednoosobową instytucją. Załatwiał sprawy na zlecenie Stalina w Poczdamie i w Jałcie, kiedy decydowały się losy powojennej Europy. Uczestniczył w San Francisco w pracach nad projektem karty założycielskiej Narodów Zjednoczonych. Siedział obok Chruszczowa, kiedy ten walił butem w pulpit podczas obrad Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Negocjował z Charlesem de Gaulle'em i Czou Enlajem, Henrym Kissingerem i Ho Szi Minem.

Zachodnie gazety nadały Gromyce miano Mister Niet, ponieważ tylko w latach 1946-1948 dwudziestosześciokrotnie zgłosił weto wobec rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, jako pierwszy radziecki przedstawiciel w tym międzynarodowym gremium. Na Kremlu jednakowoż mówiono o nim Towariszcz Da, z racji uległości wobec przełożonych[29]. Jako zawodowy dyplomata Gromyko wspiął się na szczyt radzieckiej biurokracji dzięki lojalności i długiej służbie. Spełnił swoje ambicje, zostając w 1973 roku pełnym członkiem Politbiura, i nie uczyniłby niczego, co mogłoby zachwiać jego uprzywilejowaną pozycją. Mimo że choroba Breżniewa wydatnie poszerzyła zakres jego odpowiedzialności politycznej, Gromyce nieśpieszno było do krzyżowania szpad z potężniejszymi od siebie członkami Biura Politycznego, jak choćby z Ustinowem. W najważniejszych sprawach bezpieczeństwa narodowego opinia ministra obrony i przewodniczącego KGB były decydujące[30].

Ostatni spośród przybyłych tego dnia do Zariecza, Konstantin Czernienko, miał niewiele wspólnego z polityką zagraniczną. Zjawił się tu raczej z okazji swojej zażyłości z Breżniewem, którego znał od ponad trzech dziesięcioleci. Był głównym mataczem od papierkowej roboty na Kremlu, odpowiedzialnym między innymi za sporządzanie projektów komunikatów Biura Politycznego. Wykonywał sporo niepotrzebnych, drobniejszych robót dla sekretarza generalnego, takich jak zbieranie pochwalnych wycinków prasowych, wydzielanie papierosów czy opowiadanie starych historyjek wojennych. Czernienko był tępakiem, z którego, za plecami, wyśmiewali się współpracownicy i ochroniarze.

Miał ulubione powiedzonko: „Wszystko w porządku, wszystko w porządku", które powtarzał bez końca. Kiedyś z tego powodu naraził się swemu patronowi. Któregoś dnia Breżniew usiadł w fotelu w swoim gabinecie i skarżył się, że w nocy ani na chwilę nie zmrużył oka. Czernienko, który także cierpiał na bezsenność, był niezupełnie przytomny. „Wsio charaszo" - wymamrotał, niezbyt świadom, co się wokół niego dzieje. - „Wszystko w porządku".

„Co jest w porządku?!" - ryknął Breżniew. - „Nie mogę spać, a ty wciąż powtarzasz, że wszystko w porządku!"

„Och” - wybełkotał Czernienko, teraz już całkiem rozbudzony. - „To nie jest w porządku[31]”.

Sztab Generalny miał poważne wątpliwości co do pomysłu inwazji na Afganistan. Górzysty teren i żołnierskie tradycje Afgańczyków stwarzały w przeszłości olbrzymie problemy zarówno carskiej Rosji, jak i imperium brytyjskiemu. Podobne zastrzeżenia zgłaszali też urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którzy obawiali się międzynarodowej reakcji na wkroczenie oddziałów radzieckich do Afganistanu. Ale Ustinow i Andropow byli przekonani, że demonstracja siły zastraszy afgańską opozycję i przywróci porządek w tym kraju. Planowali krótką, zdecydowaną akcję, przypominającą nieco inwazję na Czechosłowację w 1968 roku. Ośmielone i pozostające pod ochroną wojsk radzieckich „zdrowe siły” odzyskają kontrolę nad afgańską partią, odbierając ją uzurpatorowi, Aminowi. Obecność oddziałów radzieckich w stołecznym Kabulu i innych miastach garnizonowych miała umożliwić armii afgańskiej zgniecenie antyrządowego powstania. Radzieckim żołnierzom pod żadnym pozorem nie wolno było uczestniczyć w walkach zbrojnych przeciwko mudżahedinom. Rozprawić się z nimi mieli sami Afgańczycy[32].

Kiedy oficerowie ze Sztabu Generalnego wyrazili sceptycyzm wobec tego planu, Ustinow wezwał malkontentów do swojego gabinetu. Przed jego biurkiem, nad którym wisiał portret Lenina, stanęło dwóch marszałków i kilku generałów. „Odkąd to generałowie ustalają kierunki polityki Związku Radzieckiego?” - z wściekłością rzucił pytanie. - „Wasze zadanie polega na tym, aby planować konkretne operacje i wykonywać rozkazy”[33]. Sugerowany w podtekście zarzut bonapartyzmu - uważanego przez radzieckich komunistów za grzech śmiertelny - wystarczył, by ich przywołać do porządku. Elegancko zasalutowali i zabrali się do pracy.

Skoro trójka odpowiedzialna za politykę zagraniczną podjęła decyzję o użyciu siły w Afganistanie, wstrzymać inwazję mógł tylko gensek. Ale Breżniew był wstrząśnięty strasznym losem Tarakiego, zamordowanego zaledwie kilka dni po tym, jak publicznie się obejmowali. To, że Amin odmówił przyjęcia radzieckiej rady, uznał za osobisty afront. „Co powiedzą na to w innych krajach?” - pytał swoich doradców w charakterystycznym przypływie emocji. - „Czy można wierzyć Breżniewowi, jeśli wszystkie zapewnienia o poparciu i opiece mają pozostać pustymi słowami?”[34]

Decyzja o inwazji została przyjęta przez Biuro Polityczne wieczorem 12 grudnia. Jeden po drugim dwunastu członków kierownictwa poparło Breżniewa i złożyło podpisy pod uchwałą Komitetu Centralnego numer 176/125, zatwierdzając serię „posunięć”, które miały zostać dokonane w kraju „A”[35]. Posunięcia te były tak tajne, że ich nie zapisano. Aby wyeliminować możliwość przecieku przez maszynistkę Biura Politycznego, Czernienko sam odręcznie spisał uchwałę.

Zaplanowano dwie fazy operacji. Za zgodą Amina trzy dywizje wojsk radzieckich miały być wysłane do Afganistanu pozornie w celu „uratowania rewolucji”. Następnie wojsko miało przystąpić do realizacji drugiej fazy - siłowego odsunięcia Amina i osadzenia bardziej ugodowego afgańskiego przywódcy. W oczach radzieckich planistów wojskowych Operacja „Burza” była równocześnie gestem „bratniej pomocy” i inwazją[36].

Gdy 26 grudnia ścisłe kierownictwo Politbiura konferowało w daczy Breżniewa, czterysta samolotów transportowych już lądowało na kabulskim lotnisku. Następował wyładunek wojska i transporterów opancerzonych, po czym samoloty odlatywały po kolejne jednostki i sprzęt. Wszystko odbywało się bez wyłączania silników[37]. Operację nadzorowali Ustinow, Andropow oraz Gromyko, którzy właśnie zdawali sprawę Breżniewowi z jej przebiegu.

Sekretarz generalny, w przekonaniu, że jego zadaniem jest zachowanie imperium, które zostało zbudowane kosztem tak wielkiej daniny krwi, wydał rozkaz kontynuowania Operacji „Burza”. Nazajutrz Czernienko podyktował notatkę, w której zapisał, że sekretarz generalny „zatwierdził zaproponowany przez towarzyszy plan działań w najbliższej przyszłości”[38].Wkrótce potem słyszano, jak Breżniew chełpi się, że „będzie po wszystkim w trzy-cztery tygodnie”[39].

Wiele lat później, kiedy przetrząsano archiwa w poszukiwaniu decyzji politycznej prowadzącej do krwawych wydarzeń 27 grudnia, udało się znaleźć jedynie te dwie notatki nakreślone przez Czernienkę. Wówczas ludzi, którzy podjęli fatalną decyzję o inwazji na Afganistan, od dawna nie było już wśród żywych, a Związek Radziecki już nie istniał.

KABUL
27 grudnia 1979

Hafizullah Amin był pewien, że Armia Czerwona przybywa mu na ratunek. Jego osobisty wysłannik właśnie powrócił z Moskwy z nowiną, że Związek Radziecki jest wreszcie gotowy udzielić Afganistanowi „bratniej pomocy[7]’. Kreml przyjął do wiadomości jego tłumaczenie, dlaczego obalił i zamordował Tarakiego, pierwszego „Wielkiego Przywódcę” afgańskiej rewolucji. Już wkrótce prawo Amina do władzy zostanie zagwarantowane.

Nie wszystko jednak toczyło się po jego myśli. W ciągu minionych tygodni komuniści lojalni wobec Tarakiego dokonali kilku zamachów na członków nowej władzy. Na początku grudnia udało im się lekko zranić Amina i zabić jego bratanka. Rebelianci antykomunistyczni podeszli o kilka kilometrów w stronę stolicy, odcinając główną drogę prowadzącą z północy na południe. Ze względów bezpieczeństwa Amin już tydzień wcześniej wyprowadził się z Domu Ludu w centrum Kabulu. Jego nową rezydencję stanowiła monstrualna trzypiętrowa forteca, pałac Dar-ol-Aman, wzniesiona przez byłego afgańskiego króla u podnóży gór Hindukusz, ponad dziesięć kilometrów na południowy zachód od Kabulu. Strzegła jej brygada afgańskiej piechoty. Jedynej, wijącej się niczym serpentyna, drogi prowadzącej do gmachu broniły czołgi.

Amin wątpił w lojalność swoich oddziałów, za to całkowicie ufał radzieckim doradcom. Wiedział, że przywódcy ZSRR mają mu za złe, iż zamordował Tarakiego, ale uznał, że wygodniej im jest poprzeć zwycięską stronę. Przekonany, że to on jest zwycięzcą w bratobójczej walce, Amin z wdzięcznością przyjął radziecką propozycję „opieki”. Pozwolił, by elitarny batalion ze środkowoazjatyckich republik ZSRR - tak zwany muzułmański - zajął pozycje w pobliżu jego pałacu[40]. Radzieccy doradcy doskonale znali szczegóły ustaleń w zakresie bezpieczeństwa. W obawie, że afgański kucharz mógłby go otruć, Amin posunął się nawet do tego, iż zatrudnił dwóch kucharzy z Uzbekistanu.

Amin wydał 27 grudnia obiad dla członków afgańskiego rządu. Chciał im pokazać swoją nową rezydencję i pochwalić się swoimi koneksjami z kremlowską wierchuszką. „Radzieckie dywizje już są w drodze. Wszystko idzie świetnie” - zapewniał gości, mówiąc o tysiącach radzieckich żołnierzy schodzących z samolotów w kabulskim porcie lotniczym Bagram. - „Jestem w stałym kontakcie z towarzyszem Gromyką. Zastanawiamy się, jak poinformować świat o decyzji udzielenia nam pomocy przez ZSRR”[41].

Pod koniec obiadu wszyscy zasiadający przy stole poczuli nagłą niedyspozycję. Amin, wraz z wieloma swoimi gośćmi, stracił przytomność. Wezwano radzieckich i afgańskich lekarzy. Chociaż jasne było, że doszło do zbiorowego zatrucia pokarmowego, nikomu nie przyszło do głowy, by podejrzewać radzieckich kucharzy.

Lekarzy powitał straszny widok. W całym pałacu - na korytarzach, schodach, w przedsionkach - leżeli w nienaturalnych pozach afgańscy prominenci. Niektórzy byli nieprzytomni. Inni, zgięci we dwoje, zaciskali dłonie na brzuchu. Jeszcze inni krzyczeli z bólu. Radzieccy lekarze wojskowi, których nie uprzedzono o spisku mającym doprowadzić do obalenia afgańskiego przywódcy, weszli do pokoju Amina. Leżał na łóżku, ubrany tylko w szorty. Puls miał słaby. Szczęka zwisała mu bezwładnie i przewracał oczami. Lekarze przepłukali żołądek, wstrzyknęli antidota na zatrucie pokarmowe i podłączyli kroplówkę. Nagle powieki Amina zadrżały. „Nieustraszony Komendant" wracał do życia.

Kiedy odzyskał świadomość, zaczął zadawać pytania. „Co się dzieje w moim domu?" - rzucił. - „Kto to zrobił? Czy to przypadek, czy jakaś dywersja?"[42] Wciąż nie przychodziło mu do głowy, żeby podejrzewać radzieckich towarzyszy. „Możesz mi wierzyć albo nie, ale to robota grupy Tarakiego" - powiedział swojej żonie, której nie było przy stole[43].

Wąskie aleje i kręte uliczki Kabulu były opustoszałe, kiedy Grigorij Bojarinow podejmował akcję, która miała zapoczątkować ostatnie wielkie przedsięwzięcie kolonialne ZSRR. Godzina policyjna rozpoczynała się o dziewiętnastej i od tej pory na ulicach wolno było przebywać jedynie funkcjonariuszom służb bezpieczeństwa. Wydawało się, że na przedmieściach, pośród licznych lepianek, panuje spokój. Wiele rodzin afgańskich, zamkniętych w domach, przygotowywało się do kolacji. Z niezliczonych podwórek dobiegały dźwięki włączonych radioodbiorników i telewizorów. Rześkie, zimowe powietrze wypełniał aromatyczny zapach szaszłyków - ostra mieszanina woni oliwy, płonących drew i skwierczącego mięsa.

Plan zatrucia i aresztowania afgańskiego przywódcy nie powiódł się. Amin jedynie skubał podane potrawy i dzięki temu przedwcześnie ozdrowiał. Jego współpracownicy opierali się radzieckim propozycjom, aby przewieźć go do radzieckiego szpitala wojskowego w Kabulu. Władze afgańskie, zaalarmowane zbiorowym zatruciem pokarmowym, wzmocniły straże wokół pałacu. Teraz trzeba było przesunąć porę ataku sił radzieckich, pierwotnie planowanego na

godzinę dwudziestą trzecią.

Skulony w transporterze opancerzonym, stojącym o kilka kilometrów od pałacu Dar-ol-Aman, Bojarinow czekał na sygnał do ataku. Pięćdziesięciosiedmioletni pułkownik był zapewne najbardziej doświadczonym członkiem sześć- dziesięcioosobowej grupy uderzeniowej. Był jednym z najlepszych w ZSRR ekspertów w zakresie walki partyzanckiej. Jako młody porucznik w czasie II wojny światowej zdobył wiele odznaczeń za odwagę. Zrzucany na spadochronie za linią frontu, siał zniszczenie na tyłach niemieckiej armii. Napisał nawet pracę naukową na ten temat i został szefem szkoły snajperów KGB. Przez ostatnich osiemnaście lat służył jako szef wydziału walki partyzanckiej w uczelni sztabowej KGB. Szkolił młodych ludzi, którzy już wkrótce mieli pójść do boju u jego boku. Wcześniej, tego roku, Bojarinow spędził już trzy miesiące w Afganistanie, doradzając armii afgańskiej i analizując sytuację wojskową.

Jeśli coś miało się dziać w Afganistanie, Bojarinow chciał uczestniczyć w tych wydarzeniach. Ten przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna, znany wszystkim jako Grisza, czuł, że to jego obowiązek względem szkolonych przez niego „chłopców” w oddziałach KGB Alfa i Zenit. Równocześnie, podobnie jak inni zawodowi oficerowie, miał wiele zastrzeżeń do całej tej afgańskiej awantury. Przed powrotem do Afganistanu usiłował pocieszyć kolegę z KGB, któremu nie udało się dostać do elitarnych oddziałów uderzeniowych. „Nie martw się, jeszcze będziesz miał dość Afganistanu.

Wiem, że brzmi to gorzko, ale obawiam się, że będzie to trwało bardzo długo”[44]. Kiedy dowództwo przedstawiło mu zarys operacji, sucho skomentował projekt w rozmowie z przyjacielem: „Miejmy nadzieję, że ludzie, którzy przygotowali ten atak, wiedzą, co robią”[45].

Krótko przed dziewiętnastą trzydzieści radzieccy komandosi za pomocą czterdziestu kilogramów plastyku wysadzili w powietrze pocztę w Kabulu. Ładunki zniszczyły system telekomunikacyjny afgańskiej stolicy. Huk eksplozji odbił się echem od gór okalających Kabul. Stało się to sygnałem do ataku dla grup radzieckich komandosów rozrzuconych po różnych dzielnicach miasta. W ciągu kilku minut radzieckie i afgańskie oddziały toczyły bój o główne gmachy stolicy: Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Sztabu Generalnego, centralnego więzienia. Czerwone pociski smugowe i błyski z luf dział rozjaśniały nocne niebo. Batalion muzułmański zaczął ostrzeliwać pałac Dar-ol-Aman, a kolumna pojazdów opancerzonych ruszyła wijącą się niczym serpentyna drogą w stronę siedziby Amina.

Plan ataku był źle wykonywany od samego początku. Ostrzał rozpoczął się za wcześnie i atakujący zaprzepaścili możliwość zyskania przewagi dzięki zaskoczeniu. Pociski odbijały się od murów pałacu, jakby były z gumy. Spalony afgański autobus zablokował wjazd do rezydencji Amina i radzieccy komandosi zmuszeni byli atakować pieszo. Mimo ciężkiego ostrzału z wyższych kondygnacji udało im się wedrzeć na parter dzięki ręcznym granatnikom. Po kilku minutach walki w pałacu straty radzieckiej grupy uderzeniowej wynosiły połowę stanu - komandosi albo nie żyli, albo byli ranni.

Dmitrija Wolkowa odłamek granatu trafił w gardło tuż po tym, jak zdobył afgański czołg na drodze dojazdowej do pałacu. Giennadij Zudin został postrzelony w głowę, kiedy kulił się za jedną z korynckich kolumn zdobiących fasadę. Walerijowi Jemiszewowi, jednemu z pierwszych, którym udało się wedrzeć do pałacu, afgański granat niemal urwał prawą rękę. Jego przyjaciel przerwał walkę na kwadrans, aby przymocować zwisającą kończynę do ciała gumową taśmą. Zginął jeden z radzieckich lekarzy, Wiktor Kusnieczenkow.

Wewnątrz pałacu panował kompletny chaos. Dla zakamuflowania swojej tożsamości radzieccy komandosi ubrani byli w źle dopasowane afgańskie mundury wojskowe. Ponieważ obie strony używały także radzieckiej broni, trudno było odróżnić jednych od drugich. Aby się rozpoznać, Sowieci wykrzykiwali rosyjskie przekleństwa, kryjąc się przed ogniem broni maszynowej w długich korytarzach pałacu. Kopniakiem otwierali drzwi, wrzucali do pokoju granat i biegli do następnego pomieszczenia. Wrzaski i jęki rozlegały się ze wszystkich stron. Kiedy już było po wszystkim, radzieckie oddziały sanitarne wywiozły z pałacu dwie ciężarówki ciał Afgańczyków.

Bojarinow został raniony odłamkami, kiedy wbiegał do pałacu. Twarz i dłonie mu krwawiły. Jego trzydziestoosobowy oddział otrzymał rozkaz zajęcia parteru, ale większość żołnierzy zniknęła. Biegnąc korytarzem, zauważył ciężko rannego Siergieja Kuwilina, w szoku po eksplozji.

„Musimy zniszczyć centrum łączności!” - zawołał Bojarinow.

„Nikt z naszych nie przeżył. Jestem tu sam”.

„Dobrze! Teraz jest nas dwóch![46]”

Bojarinow cisnął kilka granatów do centrum łączności i popędził po schodach do apartamentu Amina. Kuwilin miał utrzymać parter. W tym momencie seria z automatu, wystrzelona gdzieś z górnej części klatki schodowej, rozerwała twarz Bojarinowa na strzępy.

Radzieckie pociski artyleryjskie waliły w pałac prezydencki. Hafizullah Amin rozkazał dowódcy straży, aby dowiedział się, skąd prowadzony jest ostrzał. „Radzieckie wojsko przyjdzie nam z pomocą” - dodał z przekonaniem[47].

W kilka minut później wrócił spanikowany komendant. Telefony nie działają. Udało mu się skontaktować z naczelnym dowództwem w Kabulu przez radio. Sztab też jest ostrzeliwany. Ani jeden afgański oddział nie opuścił swoich pozycji. Nie było doniesień o buncie czy zamieszkach. Została tylko jedna możliwość: pałac atakuje „sojusznicza armia”.

„To niemożliwe! Kłamiesz!” - krzyczał Amin, rzucając popielniczką w niefortunnego komendanta. - „To nasze własne, zbuntowane oddziały!”[48]

Podobnie jak niegdyś czechosłowacki przywódca Alexander Dubćek, Amin również nie mógł uwierzyć, że jego radzieccy sojusznicy zwrócili się przeciwko niemu. Mimo całej swojej brutalności zachował - z czasów studenckich na uniwersytecie w Kabulu - niewinną wiarę w ojczyznę światowego socjalizmu. Jako młody komunista raczył swoich podopiecznych opowieściami o mężnej Armii Czerwonej. Atak tej właśnie armii był nie tylko zdradą. Był świętokradztwem.

Kiedy odgłosy strzelaniny przybrały na sile, Amin wybiegł ze swojego gabinetu. Za meblami w korytarzu kulili się dwaj rosyjscy lekarze. Ujrzeli afgańskiego przywódcę ubranego jedynie w białe szorty. W zabandażowanych rękach wciąż tkwiły końcówki kroplówek. Jeden z lekarzy usunął je i pociągnął Amina do ukrycia. Nagle usłyszeli dziecko płaczące gdzieś w ciemności. Był to głos pięcioletniego synka Amina. Ujrzawszy ojca, chłopczyk rzucił się do niego i chwycił go za nogi. Ojciec i syn razem upadli tuż obok ściany.

Radzieccy żołnierze odkryli potem ich ciała w kałuży krwi. Najwyraźniej wpadli w krzyżowy ogień. Kiedy leżeli i umierali, tyran przyciskał główkę syna do swojej piersi[49]. Kiedy walka zamarła, członek opozycyjnej frakcji afgańskiej nalegał, aby wydać na Amina formalny wyrok śmierci „w imieniu Partii i ludu”[50]. Fakt, że dyktator już nie żył, nie powstrzymał go przed wystrzeleniem w jego ciało jeszcze kilku kul.

Kiedy radzieccy komandosi atakowali pałac Dar-ol-Aman, człowiek, który wkrótce miał objąć prezydencki fotel Amina, chronił się w bunkrze po drugiej stronie Kabulu. Próżny i gadatliwy Babrak Karmal, nałogowy alkoholik, był jednym z pierwszych przywódców afgańskiej „rewolucji”.

W wyniku konfliktów z Tarakim i z Aminem został zesłany do Czechosłowacji, jako afgański ambasador. KGB prze- szmuglowało go z powrotem do Kabulu 23

grudnia 1979 roku - na cztery dni przed inwazją[51].

Karmal chełpił się potem, że stanął na czele „powstania ludowego” przeciwko tyranowi Aminowi. W rzeczywistości nie miał nic wspólnego z walką. Pierwsze posiedzenie afgańskiego Biura Politycznego odbyło się w radzieckiej bazie wojskowej na lotnisku Bagram pod czujnym okiem KGB-owskich ochroniarzy Karmala. To właśnie tutaj mianował się on sekretarzem generalnym Komitetu Centralnego Lu-

Narodowo-Demokratycznej Partii Afganistanu. To właśnie tu wysłuchał nagranego zawczasu własnego przemówienia do narodu, które wyemitowano z nadajnika w radzieckim mieście granicznym Termez. W przemówieniu tym Karmal nazwał Amina „agentem amerykańskiego imperializmu”.

„Nadszedł dzień wolności i odrodzenia” - stwierdził nowy afgański przywódca. - „Tirańska machina tortur Amina i jego popleczników - barbarzyńskich rzeźników, katów, uzurpatorów i morderców dziesiątek tysięcy naszych rodaków - została zniszczona”[52].

Nieco później, tej samej nocy, kiedy zginął Amin, Karmal wsiadł do transportera opancerzonego. Pojazd dołączył do radzieckiego konwoju, strzeżonego przez trzy czołgi, i ostrożnie posuwał się w stronę miasta. O świcie konwój dotarł do centrum Kabulu. Był jasny, rześki poranek. Wszędzie pełno było uzbrojonych mężczyzn. Czołgi i bojowe wozy piechoty z hukiem krążyły po ulicach zatarasowanych płonącymi samochodami i rumowiskami zbombardowanych budynków. Karmal i jego obstawa zostali dostarczeni do gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, znajdującego się w rękach oddziałów radzieckich.

Kiedy nowy afgański prezydent docierał do Kabulu, inny konwój zmierzał w przeciwnym kierunku. Trumny z ciałami dwunastu radzieckich komandosów zabitych w czasie szturmu na pałac Dàr-ol-Amàn ładowano do samolotów transportowych[53]. Specjalne honory oddano Bojarinowowi: pośmiertnie otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Były to pierwsze ofiary wojny, która miała trwać jeszcze blisko dziesięć lat i pochłonąć o wiele więcej istnień ludzkich: ponad trzynaście tysięcy radzieckich żołnierzy oraz pół miliona Afgańczyków.

Ci, którzy przeżyli atak na pałac Amina, patrząc na trumny ładowane tego zimowego poranka do transportowca stojącego na lotnisku Bagram, byli przekonani, że wojna się skończyła. W rzeczywistości dopiero się rozpoczynała.

Długofalowy rezultat inwazji był niemal dokładnym przeciwieństwem celów, które chciało osiągnąć kierownictwo radzieckiego Politbiura. Zamiast zgnieść afgańską opozycję, tchnęli w nią nowe życie. Zamiast zadać cios imperialistom,

sprowokowali powstanie nieprawdopodobnej koalicji, składającej się ze Stanów Zjednoczonych, Chin i Arabii Saudyjskiej. A zamiast obronić prestiż światowego systemu socjalistycznego, skłonili obywateli radzieckich do postawienia pytania o kierunek, w którym podąża drugie na świecie supermocarstwo.

Kiedy wyładowano trumny na radzieckiej ziemi, nie było salw honorowych ani orkiestry. Kreml nie chciał, aby ktokolwiek się dowiedział, że radzieccy obywatele zginęli w działaniach wojennych w Afganistanie. Pogrzeby poległych odbyły się w tajemnicy. Przyjęto standardową formułkę tłumaczącą rodzinom ofiar nieszczęśliwe wypadki podczas nie istniejącej wojny. Bojarinow i inni zginęli „w czasie wypełniania nienacjonalistycznych obowiązków”.

PICUNDA
28 grudnia 1979

Zalesiony półwysep wcinający się w Morze Czarne, gruziński kurort Picunda, znany był ze swojego naturalnego piękna już w czasach starożytnej Grecji. Wiekowe sosny porastają tamtejszą linię brzegową, dając schronienie przed nagłymi sztormami zimowymi czy ostrym letnim słońcem. W I wieku n.e. Grecy założyli na tym wąskim półwyspie ufortyfikowany ośrodek handlowy. Jego silne mury miały odstraszać piratów. Tysiąc lat później władcy bizantyjscy przekształcili fortecę w rodzaj średniowiecznego uzdrowiska wyposażonego we wspaniałe łaźnie.

Po włączeniu Gruzji do Związku Radzieckiego Picunda stała się kurortem dla komunistycznej nomenklatury. Nikita Chruszczów lubił to miejsce tak bardzo, że kazał tu wznieść luksusową willę wprost na plaży. Obiekt otoczono, oczywiście, ohydnym betonowym murem. Krył się za nim, między innymi, basen pływacki o wymiarach olimpijskich, sala gimnastyczna i kort tenisowy. Dwie inne, nieco mniej okazałe wille zbudowano na sąsiednich działkach dla niższych rangą aparatczyków[54]. Właśnie w Picundzie, w październiku 1964 roku, Chruszczów dowiedział się o zamachu stanu na Kremlu, po którym odsunięto go od władzy.

Dwaj najmłodsi członkowie Politbiura przechadzali się tego zimowego popołudnia krętymi korytarzami daczy Chruszczowa. Obaj doszli do wniosku, że Związek Radziecki zmierza w niewłaściwym kierunku. Zarówno Michaił Gorbaczow, jak i Eduard Szewardnadze byli zdeklarowanymi komunistami, absolutnie lojalnymi wobec systemu, który ich wyniósł do władzy. Od starszych członków Politbiura odróżniała ich wciąż młodzieńcza energia i optymizm, niemal naiwna wiara w możliwość doskonalenia socjalizmu. O ich pokoleniu mówiono po rosyjsku *szestidiesiatniki* - Judzie lat sześćdziesiątych". Lata, które ich formowały, naznaczone były Chruszczowowską odwilżą - krótkim okresem między Stalinowskim terrorem i stagnacją ery Breżniewowskiej. Poprzednia generacja, reprezentowana przez Breżniewa, wychowana była w atmosferze wszechobecnego strachu. Konserwatywna do szpiku kości, niechętnie odnosiła się nawet do kosmetycznych reform systemu, w obawie przed zburzeniem całej struktury. W przeciwieństwie do nich, *szestidiesiatniki* byli pełni wiary w swe zdolności. Aż palili się do tego, by wszystko uporządkować. Na nich wojna i terror nie odcisnęły tak wyraźnego piętna.

Różnice pokoleniowe między przywódcami radzieckimi dobrze oddawał dowcip popularny u zmierzchu ery Breżniewa. Stalin, Chruszczów i Breżniew siedzą w pociągu, który zepsuł się w samym środku Syberii. Po godzinach oczekiwania między pasażerami wywiązuje się kłótnia na temat: jak powtórnie uruchomić pociąg.

„Zastrzelmy jednego z maszynistów” - sugeruje Stalin.

„Nie, to nieludzkie. Musimy przestrzegać socjalistycznych norm współżycia” - sprzeciwia się Chruszczów. - „Zaproponujmy im podwyżkę płac”.

Nie mogąc dojść do porozumienia, dwaj starsi mężczyźni proszą Breżniewa o rozsądzenie sporu. Ten rozważa tę kwestię przez dłuższy czas, po czym mówi:

„Już wiem. Po prostu zasuńmy rolety i udawajmy, że pociąg wciąż jedzie. I tak nikt się nie zorientuje”.

Związek Radziecki praktycznie tkwił w bezruchu już od piętnastu lat. I chociaż Gorbaczow i Szewardnadze nie mieli jasnego pomysłu, jak na powrót uruchomić pociąg, rozumieli, że priorytetem było uświadomienie sobie, że kraj utknął w miejscu. Oznaczało to konieczność uniesienia rolet, wpuszczenia świeżego powietrza i skończenia z fikcją, że Związek Radziecki nieustannie odnosi same sukcesy.

Jako członek Politbiura odpowiedzialny za rolnictwo Gorbaczow miał doskonały punkt obserwacyjny pozwalający na poznanie katastrofalnych efektów centralnego planowania. Największe państwo świata - posiadające więcej hektarów żyznej ziemi niż Kanada i Stany Zjednoczone razem wzięte - nie było w stanie samo się wyżywić. Przed rewolucją październikową Rosja była eksporterem zboża. Teraz zmuszona była importować zboże z kapitalistycznego Zachodu. Rosyjscy chłopi, zapędzeni do olbrzymich państwowych gospodarstw rolnych w czasie kampanii kolektywizacyjnej Stalina, zapomnieli, jak się uprawia ziemię. Zamiast produkować towary na rynek, wypełniali polecenia biurokratów. Ceny ustalane były administracyjnie i miały niewielki związek z realnymi kosztami. Zakłócona struktura cen rodziła wiele absurdów. Ponieważ produkcję chleba w znacznym stopniu subsydiowało państwo, a cena chleba była niższa od ceny zboża - wykorzystywanie chleba jako paszy dla zwierząt hodowlanych miało wyraźny sens ekonomiczny.

Bez trudu można się było domyślić, że wczesne wysiłki Gorbaczowa, by zwiększyć produkcję rolną, zakończyły się kompletną klęską. W 1979 roku zbiory zbóż osiągnęły katastrofalny poziom 179 mln ton, a więc 40 mln ton poniżej planu.

Braki trzeba było zrównoważyć importem. Radzieccy przywódcy, jak zwykle, obwiniali pogodę. Ale Gorbaczow wiedział doskonale, że sedno problemu tkwi w systemie organizacji rolnictwa - a właściwie całej radzieckiej gospodarki. Dyscyplina pracy była tak niska, że absencja wśród kołchoźników dochodziła do setek tysięcy osób dziennie. Jedna trzecia zbiorów niszczała z powodu nieodpowiedniego magazynowania, przestarzałych środków transportu i powszechnych usterek technicznych. Traktory i kombajny schodziły z taśm produkcyjnych w tak złym stanie, że z reguły trzeba je było reperować zaraz po tym, jak dotarły do gospodarstwa[55].

Publicznie Gorbaczow utrzymywał, że sytuacja jest dobra. Ale szczerze wyznawał prawdę Szewardnadzemu, którego znał od dobrych dwudziestu lat. Obaj mieli ze sobą wiele wspólnego. Jako młodzi ludzie razem wspięli się na śliski szczyt radzieckiej polityki. Rozpoczynali karierę w Komsomole - organizacji młodych komunistów. Gorbaczow został pierwszym sekretarzem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w swoim rodzinnym Kraju Stawropolskim w 1970 roku. W efekcie w wieku trzydziestu dziewięciu lat stał się pełnomocnikiem Kremla w przeważająco rolniczym rejonie wielkości, mniej więcej, stanu Illinois. Dwa lata później Szewardnadze został szefem partii w swojej ojczystej republice, w Gruzji, po drugiej stronie Kaukazu.

Obaj partyjni bonzowie razem spędzali wakacje w Picundzie. W czasie długiego spaceru przez las sosnowy Szewardnadze opowiadał o swoich wysiłkach, by zwiększyć produkcję rolną w Gruzji poprzez stosowanie wobec rolników zachęt finansowych. Eksperyment przeraził marksistowskich doktrynerów, którzy obawiali się odrodzenia zniszczonej przez Stalina tak zwanej klasy kułaków - zamożnych rolników, z uporem broniących swej niezależności. Szewardnadze zaprosił Gorbaczowa na spotkanie z jednym z tych nowych kułaków, który w swojej zagrodzie hodował dziesięć mlecznych krów. I co tu zrobić z tą ideologiczną potwornością?

„Jeśli chcesz, możemy go rozkułaczyć" - powiedział Szewardnadze swoim stłumionym głosem. - „Ale wówczas nie będzie ani tego gospodarstwa, ani mleka, ani krów"[56].

Nowy sekretarz partii do spraw rolnictwa zaśmiał się. „Oczywiście, że moglibyśmy go rozkułaczyć, żeby twoi teoretycy się nie złościli. Ale jak można poprawić życie na wsi bez takich kułaków?" - odparł[57].

Innym razem Szewardnadze wygadał się, że jego zdaniem w Związku Radzieckim wszystko jest „przegniłe". „Nie możemy tak dłużej żyć. Musimy pomyśleć,

co moglibyśmy zrobić, aby uratować kraj" - powiedział Gorbaczowowi[57].

Zarówno Gorbaczow, jak i Szewardnadze byli doświadczonymi funkcjonariuszami partii, biegłymi w meandrach radzieckiej polityki. Wiedzieli, jak zamaskować swoje „eksperymenty" niegroźnie brzmiącymi terminami. I mimo że raz po raz zdarzały im się przebłyski szczerości, wraz z pozostałymi członkami kierownictwa publicznie brali udział w rytualnych pokazach obłudy.

Gorbaczow ćwiczył swe lizusowskie umiejętności na ważnych osobistościach, które przewijały się przez Stawropol. Panował tam ciepły klimat, pełno było górskich zdrojowisk. Kraj Stawropolski był ulubionym celem wakacyjnych wypadów „szyszek" z Moskwy. Miejscowy sekretarz KPZR odpowiadał za dogadzanie grubym rybom i pomaganie im w pozbyciu się stresów. O szefach partii ze Stawropola mawiało się niekiedy jatko o sekretarzach do spraw wypoczynku. Możliwości korupcji były olbrzymie. Sekretarz partii w sąsiednim Kraju Krasnodarskim, Siergiej Miedunow, był notorycznym łapówkarzem, powiązanym z lokalnym półświatkiem. W przeciwieństwie do niego, Gorbaczow cieszył się opinią stosunkowo uczciwego aparatczyka. Tak samo jednak jak on, aby przetrwać w politycznej dżungli, zmuszony był zasypywać swoich gości podarunkami i zaspokajać ich najróżniejsze zachcianki[58].

W młodości aktor amator, Gorbaczow szczególnie dobrze odgrywał szczerość. Kiedy wychwalał Breżniewa albo mówił o wspaniałej przyszłości czekającej kolejne pokolenia radzieckich obywateli, jego głębokie, piwne oczy zdawały się błyszczeć entuzjazmem i przekonaniem. W czasie posiedzeń Politbiura zawsze zgadzał się z opinią starszych. Kiedy przychodziła kolej na jego wystąpienia, niezmiennie wspierał zdanie przywódcy, bez względu na to, jak było absurdalne czy konserwatywne. Kiedy cały kraj wezwano do pozytywnej krytyki pamiętników Breżniewa, Gorbaczow okazywał wymagany entuzjazm. W czasie konferencji ideologicznej w Stawropolu wychwalał zniedołężniałego sekretarza generalnego za jego „codzienną tytaniczną pracę", „głęboko filozoficzną przenikliwość" i „leninowski talent przywódczy". „Komuniści i wszyscy robotnicy Stawropola są bezgranicznie wdzięczni Leonidowi Iljiczowi Breżniewowi za jego przepełnioną autentycznym partyjnym duchem twórczość literacką" - twierdził Gorbaczow. Nakazał wszystkim miejscowym gazetom drukować w odcinkach pękate dzieło „w odpowiedzi na niezliczone prośby robotników Stawropola"[59].

Jeśli uznać Gorbaczowa za utalentowanego pochlebcę, Szewardnadzego trzeba nazwać wirtuozem. Zgodnie z gruzińską tradycją, płaszczył się u stóp

mocniejszego. W 1976 roku, w czasie XXV Zjazdu KPZR, sławił „dogłębną znajomość życia” Breżniewa, jego „szerokie horyzonty, stałość, człowieczeństwo, bezkompromisowość klasową, lojalność, pryncypialność, umiejętność zgłębienia duszy rozmówcy i zdolność do tworzenia atmosfery zaufania między narodami”. Obłudnie rozwodził się nad niezachwianą wiernością swego narodu wobec starszego rosyjskiego brata. „Nazywają Gruzję krajem słońca. Ale dla nas, towarzysze, prawdziwe słońce nie wstaje na wschodzie, ale na północy - w Rosji. Jest to słońce idei Lenina”[60].

W czasie odpoczynku w Picundzie przyszły sekretarz generalny i jego przyszły minister spraw zagranicznych usłyszeń komunikat, który miał rzucić głęboki cień na ich wysiłki zmierzające do wytyczenia nowego kursu komunistycznego supermocarstwa. Rankiem 28 grudnia Radio Moskwa zaczęło transmisję wystąpienia Babraka Karma- la, w którym ogłosił on nastanie „dnia wolności”. Kilka godzin później radio podało, że afgański rząd zwrócił się z pilną prośbą do Związku Radzieckiego o „natychmiastowe polityczne, moralne i gospodarcze wsparcie, łącznie z pomocą wojskową”. „Władze państwowe Związku Radzieckiego spełniły prośbę Afganistanu” - dodał prezenter, nie wdając się w szczegóły[61].

Jako kandydaci na członków Biura Politycznego, nie dysponujący prawem głosu, ani Gorbaczow, ani Szewardnadze nie zostali poinformowani o planach inwazji na Afganistan. Obaj twierdzili potem, że decyzja ta ich zaszokowała. Opisywali ją jako „fatalny błąd” i „zbrodnię przeciwko ludzkości”[62]. W czerwcu 1980 roku jednak, wraz z innymi członkami Komitetu Centralnego, jednogłośnie przyjęli uchwałę, w której stwierdzili, że Armia Czerwona pokrzyżowała „imperialistyczne” plany przekształcenia Afganistanu w „przyczółek agresji militarnej” przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Szewardnadze przeszedł samego siebie, raz jeszcze wychwalając Breżniewa za jego dalekowzroczne przywództwo, ogłaszając, że interwencja była „śmiałym, niezwykle solidarnym, niezwykle odważnym krokiem (...) postawionym przy pełnym poparciu każdego obywatela Związku Radzieckiego”[63].

Wysyłając wojsko do Afganistanu, przywódcy na Kremlu wyobrażali sobie, że kupują w ten sposób kilka lat pokoju, podobnie jak uczynili to w 1968 roku, dokonując inwazji na Czechosłowację. Trudno o bardziej mylne przekonanie. Kiedy Gorbaczow i inni członkowie Komitetu Centralnego wznosili dłonie w głosowaniu, aprobując udzielenie „bratniej pomocy” Afganistanowi, o wiele poważniejsze kłopoty szykowały się na drugim krańcu imperium: w Polsce.

GDAŃSK
15 sierpnia 1980

Bramy Stoczni im. Lenina były zamknięte na klucz, kiedy przybyłem tam drugiego dnia strajku, który okazał się zapowiedzią upadku komunizmu. Na bramie, niczym talizman chroniący strajkujących przed furią reżymu komunistycznego, zawieszono portret Jana Pawła II, polskiego papieża. U góry powiewała swobodnie polska, biało-czerwona flaga. Przymocowany tuż obok transparent głosił: STRAJK OKUPACYJNY. Robotnicy w brudnych kombinezonach zaciskali pięści na szarych, metalowych prętach bramy. Wpatrywali się w tłum kilkuset sympatyków i krewnych. Bramę ozdobiono świeżymi białymi i czerwonymi kwiatami.

W ciągu kilku minionych tygodni w Polsce wybuchły setki strajków protestacyjnych przeciwko podwyżkom cen mięsa. Za każdym jednak razem były tłumione za zamkniętymi drzwiami. Przywódcy strajków zakładali, że obecność dziennikarzy, w szczególności zagranicznych, jedynie skomplikuje negocjacje z władzą. Komunistyczni ideolodzy uważali fabryki, kopalnie i stocznie za bastiony proletariatu; wznoszone zresztą były tak, by wytrzymać ataki wrogów klasowych. W ciągu wielu lat moich podróży po krajach obozu radzieckiego ani razu nie otrzymałem zezwolenia na zwiedzenie fabryki bez opieki oficjeli rządowych.

Ku mojemu zachwytowi brama stoczni nagle się uchyliła i zostałem wprowadzony do zakazanego świata. Żaden marksistowski ideolog nie byłby w stanie satysfakcjonująco objaśnić sceny, która teraz roztaczała się przed moimi oczami. Oto bowiem robotnicy buntowali się przeciw „robotniczemu” państwu. Strajkujący wypoczywali na trawie, siedząc na porozdzieranych kawałkach styropianu. Wszędzie toczyły się gorące dyskusje, jakby z ludzi właśnie zdjęto dożywotnie śluby milczenia. Niektórzy robotnicy wspięli się na mury okalające stocznię; na ich widok przejeżdżający po drugiej stronie kierowcy trąbili z uznaniem. Widok nabrał surrealistycznego charakteru za sprawą kilkudziesięciu pacjentów stoczniowego szpitala, którzy wałęsali się po terenie przedsiębiorstwa w pasiastych piżamach i czerwonych szlafrokach. Kiedy strajkujący dowiedzieli się, że jestem przedstawicielem zachodniej gazety, podchodzili do mnie podekscytowani i ściskali mnie serdecznie. Po całej stoczni rozniosły się okrzyki: „Ameryka, Ameryka!”

Zaprowadzono mnie do wielkiej sali ozdobionej popiersiem Włodzimierza Lenina z jednej strony i modelem żaglowca z drugiej. Trwały już negocjacje komitetu strajkowego z dyrektorem stoczni, Klemensem Gniechem. Natychmiast zwróciłem uwagę na mężczyznę siedzącego naprzeciw Gniecha. Niewysoki, około metra siedemdziesiąt, ubrany był w wygnieciony ciemny garnitur i kraciastą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Oprócz wielgachnych wąsów natychmiast zauważyłem jego żywe, ruchliwe oczy, figlarny uśmiech i zuchwały, z lekka skrzeczący głos. Można w nim było wyczuć urodzonego buntownika.

„To nasz przywódca. Nazywa się Lech Wałęsa" - wyszeptał mój przewodnik, Grzegorz Obemicowicz. - „To on zdecydował, żeby cię tu wpuścić".

Wałęsa rozumiał, niemal instynktownie, że możliwość kierowania opinią publiczną ma dla niego najwyższą wartość. Zdawał też sobie sprawę, że za pomocą zachodnich mediów może przełamać blokadę informacyjną wprowadzoną przez komunistyczne władze. Od dzieciństwa potajemnie słuchał audycji Radia Wolna Europa i BBC. Wiedział, że jakiekolwiek doniesienia zachodnich dziennikarzy o strajku w stoczni będą natychmiast nadawane na obszarze Polski przez zachodnie rozgłośnie, a zatem - słyszane przez miliony Polaków.

Kartą atutową Wałęsy było otwarte mówienie prawdy. To odróżniało go od pogardzanych aparatczyków i stanowiło podstawę jego autorytetu. Kiedy pierwszego dnia zapytałem go, dlaczego zdecydował się wpuścić do stoczni zachodniego dziennikarza, podczas gdy przywódcy innych strajków nie godzili się na naszą obecność, odpowiedział: „Chcemy pokazać ludziom, że nie muszą się bać".

Później strajk w Stoczni im. Lenina stał się wydarzeniem prasowym na skalę międzynarodową. Negocjacje prowadzone były w świetle jupiterów telewizyjnych. W ciągu kilku pierwszych dni atmosfera była jednak wybitnie poufała. Czułem się tak, jakbym się przechadzał za kulisami teatru, w którym grano wyszukaną sztukę. Przez całe lata komunistyczne władze zmuszały zachodnich dziennikarzy do oglądania spektaklu z balkonu. Podejrzewaliśmy, że to, co się dzieje na scenie, jest fałszem, ale nigdy nie mieliśmy okazji zdobyć pewności. Aktorzy przyzwyczaili się do kwestii, które pisali dla nich partyjni ideolodzy. A jednak ci ludzie w stoczni zbuntowali się przeciwko reżyserowi i zaczęli na nowo pisać scenariusz. Udawany świat stworzony przez komunistyczną propagandę legł w gruzach.

Patrząc, jak robotnicy zaczynają sobie wzajemnie ufać, zrozumiałem, dlaczego komuniści tak wielką wagę przywiązywali do płotów i murów. W celu zachowania i wzmocnienia swojej władzy doprowadzili zasadę „dziel i rządź" do logicznej

skrajności. Najbardziej widocznym murem była żelazna kurtyna oddzielająca kraje komunistyczne od zewnętrznego świata. Ale równie ważne były wewnętrzne mury oddzielające robotników od intelektualistów, operatorów dźwigów od spawaczy, Polaków od Żydów. Niektóre z tych barier były realne. Przybierały kształt cenzury, ograniczeń swobody przemieszczania się czy zakazu powoływania niezależnych organizacji jakiegokolwiek rodzaju. Istniało też jednak wiele barier psychologicznych, stanowiących rezultat dziesięcioleci arbitralnej władzy i klimatu rozsiewanego wokół strachu. Wolność stowarzyszeń stanowiła śmiertelne zagrożenie dla totalitarnego reżymu. Jako samozwańczy instrument „postępu historycznego", partia komunistyczna kontrolowała zatomizowane i pokonane społeczeństwo.

Kiedy wspominam strajk w stoczni, wciąż przychodzi mi na myśl niesamowita lekkość ducha. Było wówczas wiele trudnych chwil, szczególnie na początku, ale w przeważającej mierze panował nastrój zaraźliwej wesołości. Ciepłe sierpniowe słońce pomogło w stworzeniu wakacyjnej atmosfery. Ale głównie rodziła się ona dzięki uśmiechom na twarzach ludzi, dzięki poczuciu obalania murów, zwyczajnemu lekceważeniu dotychczasowych świętości i temu, że to wszystko razem było po prostu niewiarygodne. Kiedy robotnicy dyskutowali, z czego wykonać pomnik upamiętniający ofiary represji komunistycznych, ktoś wskazał na naturalnych rozmiarów popiersie Lenina na podium. „Nie będzie nam już potrzebny. Bierzmy jego" - zaproponował, wzbudzając ironiczne okrzyki.

W rozmowach, które toczono w stoczni w sierpniu 1980 ro ku, pobrzmiewała nuta samowyzwolenia. Po latach kłamstw ludzie zaczęli wreszcie patrzeć sobie nawzajem prosto w oczy i mówić prawdę. Uczyli się, jak się nie bać - zgodnie z nadziejami Wałęsy. Z czasem pomogli i nam uwolnić się od uprzedzeń. Odkryliśmy, że ludzie, których poprzednio z lekceważeniem traktowaliśmy jak przedstawicieli Marksowskiego lumpenproletariatu, to indywidualności z własnymi nadziejami, zmartwieniami i różnymi punktami widzenia.

Pamiętam też widok tłumu stojącego przed bramą stoczni - jak sięgnąć wzrokiem, wszędzie było pełno ludzi. Taki sam tłum, zadowolony, zdyscyplinowany i niewiarygodnie cierpliwy, rok wcześniej witał papieża w czasie jego pielgrzymki do Polski. W tłumie byli przedstawiciele wszystkich grup i warstw społecznych - robotnicy, urzędnicy, studenci. Czekając, aby choć przelotnie ujrzeć Wałęsę, prowadzili spontaniczne dyskusje. Przypomniał mi się opis rewolucji październikowej Johna Reeda w *Dziesięciu dniach, które wstrząsnęły światem:*

„Przez całe miesiące w Piotrogrodzie i w całej Rosji każde skrzyżowanie było publiczną trybuną. W pociągach, tramwajach, ciągle i wszędzie wybuchały improwizowane debaty”.

W ciągu następnej dekady miałem obserwować jeszcze wiele razy nie tylko rozdyskutowanych Polaków, ale także Litwinów, Łotyszy, Estończyków, Czechów, Ukraińców, Niemców i w końcu Rosjan - rozmontowujących rewolucję, którą opisał Reed.

Lech Wałęsa był dzieckiem powojennej Polski. Nie ominęły go wielkie wstrząsy społeczne, które zaowocowały powstaniem pierwszego w komunistycznym świecie niezależnego ruchu związkowego: masowa migracja ze zubożałej wsi, walka Kościoła katolickiego z ateistycznym reżymem, strajki i demonstracje na wybrzeżu Bałtyku w 1970 roku. Jego życie mogłoby chyba być symbolem powojennej historii Polski - okresu wielkich nadziei i gorzkich rozczarowań.

Kiedy Wałęsa urodził się we wrześniu 1943 roku w maleńkiej miejscowości Popowo w środkowej Polsce, kraj znajdował się pod niemiecką okupacją. Nim jeszcze przyszedł na świat, Niemcy wywieźli jego ojca do obozu pracy, gdzie zmarł dwa lata później. Kiedy Lech poszedł do szkoły, Polska na dobre należała już do obozu radzieckiego, jako kraj wyzwolony przez Armię Czerwoną. Sowieci zatrzymali wschodnią jej część dla siebie, rekompensując Polakom stratę trzystukilometrowym pasem byłego terytorium Niemiec. W Warszawie osadzili rząd kierowany przez komunistów, na najważniejsze stanowisku wyznaczając szkolonych w Moskwie aparatczyków. Wszystko w tej nowej władzy - od programu intensywnej industrializacji, przez wszechobecny tajny policję, po stalinowską architekturę i podnoszące na duchu hasła obiecujące socjalistyczną utopię - wzorowano było na modelu radzieckim.

Długa historia walki z okupantem, w tym także rosyjskim, przygotowała Polaków do oporu wobec prób zsowietyzowania kraju. W szkole zachęcano dzieci do zapisywaniu się do pionierów i naśladowania „Dziadka Lenina”. W domu jednak dzieci wychowywano na opowieściach o antyrosyjskich powstaniach XIX wieku i „cudzie nad Wisłą” z sierpnia 1920 roku, kiedy to polsku armia pod wodzą marszałka Józefa Piłsudskiego pokonała Armię Czerwoną. W swoich zakładach robotnicy poddawani byli nic kończącemu się zalewowi marksistowskiej propagandy na obowiązkowych zebraniach partyjnych. Swe potrzeby duchowe zaspokajali jednak w kościele, w czasie niedzielnej mszy świętej, poza zasięgiem pozornie wszechmocnego państwu.

W 1966 roku, w wieku dwudziestu trzech lat, Wałęsa przeprowadził się ze środkowej Polski do Gdańska, idąc śladem milionów młodych Polaków. Gdańsk, dawne wolne miasto Danzig, było częścią ziem „odzyskanych" przez Polskę w wyniku klęski nazistowskich Niemiec. W czasie pierwszej fali migracji, tuż po II wojnie światowej, wysiedlono w większości niemiecką ludność. Druga fala migracji nastąpiła w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, w wyniku programu gwałtownej industrializacji realizowanego przez komunistyczne władze PRL. W ciągu zaledwie dwudziestu lat rolniczy, w zasadzie, kraj został zurbanizowany.

Ta społeczna rewolucja miała racjonalne przesłanki. Marksistowscy ideolodzy wierzyli, że najefektywniejszym sposobem umocnienia władzy partii - i zniweczenia „reakcyjnego" wpływu Kościoła - będzie stworzenie miejskiej klasy pracującej. Kościół mógł wciąż utrzymywać swe wpływy na wsi, ale partia miała zdominować miasta.

Jeśli partia zapewniłaby nowemu proletariatowi godziwe warunki pracy i życia, strategia ta mogła się okazać sensowna. Ale fabryki i kopalnie robotniczego państwa były katorga, przypominający raczej Dickensowską Anglię niż obiecaną socjalistyczną utopię. Wałęsa wspominał później, że w Stoczni im. Lenina brakowało elementarnych urządzeń socjalnych, „Była to manufaktura, po której chodziliśmy| jak brudasy, oberwańcy, bez szansy umycia się, bez szansy wysikania się - to nie jest mały problem, gdy pracuje się na statku, i to w akordzie. Żeby załatwić swoją potrzebę, trzeba stracić pół godziny, zanim wygramolisz się na górę. Załatwiano się w jakiejś pakamerze. Był to poziom rzucający na kolana"[64]. W deszczowe dni robotnicy wracali do domów przemoczeni do nitki, ponieważ nie zapewniono im żadnego miejsca, gdzie mogliby się przebierać. Zawady bezpieczeństwa pracy były w zaniku. Krótko po tym, jak Wałęsa podjął pracę w «toczni jako pomocnik elektryka, dwudziestu dwóch robotników spłonęło żywcem w wyniku eksplozji na statku, który pośpiesznie wykańczali.

Robotnicy mieszkali w niemal równic prymitywnych warunkach. Młodzi gnieździli się w trzy-, czteroosobowych pokojach w hotelach robotniczych. Kuchnia i łazienka znajdowały się na końcu każdego korytarza. Często wybuchały tam kłótnie, szczególnie w dzień wypłaty, kiedy topili «woje troski w wódce. Okolice hoteli robotniczych były rumowiskiem tłuczonego szkła i nie zbieranych śmieci.

Gdańsk miał jednak pod dostatkiem ducha wolności. To strategicznie ważne miasto portowe, zamieszkano przez blisko pół miliona ludzi, zawsze spoglądało

na zewnątrz. Od czternastego do siedemnastego wieku było jednym z najważniejszych bałtyckich ośrodków handlowych. Cudowne stare miasto, z barokowymi i gotyckimi kościołami oraz renesansowym ratuszem, wzniesiono w okresie, kiedy Gdańsk był uznanym partnerem handlowym takich miast, jak Brugia, Londyn i Hamburg. Olbrzymie spichrze wzdłuż brzegów Wisły są pozostałością czasów, kiedy Polska była największym eksporterem zboża w Europie. W okresie komunizmu, kiedy importowała żywność, zboże zaczęło wędrować w przeciwnym kierunku.

Po I wojnie światowej Gdańsk ogłoszono wolnym miastem. Pozostawał wówczas pod kontrolą Ligi Narodów. Miasto stało się iskrą, która doprowadziła do wybuchu II wojny światowej. Hitler stanowczo chciał odzyskać Gdańsk i przeciąć polski skrawek terytorium łączący centrum kraju z wybrzeżem. Pierwsze strzały II wojny światowej padły kilka kilometrów stąd, oddane w stronę przybrzeżnego fortu Westerplatte z niemieckiego pancernika *Schleswig-Holstein* w dniu 1 września 1939 roku. Umierać czy nie umierać „za Danzig" stało się palącym dylematem moralnym dla milionów młodych Europejczyków, którzy z ledwością potrafili wskazać to miasto na mapie.

Opinia o tym mieście jako zarzewiu politycznych niepokojów utwierdziła się za sprawą robotniczego buntu w grudniu 1970 roku. Do pierwszej konfrontacji z siłami bezpieczeństwa doszło tuż przed bramą stoczni. Robotnicy zamierzali przemaszerować do siedziby władz miejskich. Domagali się, podobnie jak polscy powstańcy od setek lat - chleba i wolności. Ludzi śpiewających komunistyczny hymn, *Międzynarodówkę*, powitały serie ognia z karabinów. W ciągu kilku sekund dziesiątki manifestantów znalazły się na ziemi. Rachunek ofiar tego pojedynczego starcia wynosił czterech zabitych i piętnastu rannych[65].

Wałęsę, jako członka ówczesnego, pierwszego komitetu strajkowego w stoczni, opanowała myśl uczczenia pamięci poległych towarzyszy. Pamiętał, jak ci, którzy przeżyli, przewiązali kaski zamordowanych robotników czarną krepą i przymocowali je do bramy stoczni. We krwi ofiar umoczyli prześcieradła, z których zrobili cztery czerwone krzyże i wywiesili je przez okno stoczniowego szpitala. „Zamordowanych uczciliśmy minutą ciszy i odśpiewaliśmy hymn Polski, akcentując słowa „Co nam obca przemoc wzięła, szablą odbierzemy". Na bramach zainstalowane zostały duże głośniki, aby otumanione wojsko mogło usłyszeć, o co nam chodzi. Zaczęto skandować: mordercy, mordercy, mordercy..."[66].

Komunistyczne władze jednak z równą determinacją usiłowały zatrzeć wszelkie ślady tragedii. Ciała ofiar zniknęły w środku nocy i zostały pochowane w nie

oznakowanych grobach. Rodziny poległych ostrzeżono, że mają się zachowywać spokojnie, w przeciwnym bowiem razie stracą pracę albo miejsce w kolejce po mieszkanie. Komunistyczni aparatczycy i dowódcy wojskowi, którzy wydali rozkaz strzelania do robotników, nigdy nie zostali ukarani. Obietnicy wzniesienia pomnika poległym nie dochowano. Do końca nie było nawet wiadomo, ilu ludzi zginęło w wyniku zajść. Oficjalnie podawano, że pięćdziesięciu pięciu, ale wielu gdańszczan podejrzewało, że w rzeczywistości liczba ofiar śmiertelnych jest znacznie większa.

Wałęsa w rocznice wydarzeń grudniowych publicznie potępiał komunistyczne władze. Organizował nielegalne demonstracje przed bramą numer dwa w stoczni i domagał się, aby władze wywiązały się z obietnicy wzniesienia pomnika upamiętniającego zamordowanych stoczniowców. Liczba uczestników tych demonstracji rosła od sześciu osób w 1976 roku do setki w 1977. W roku 1978 było już ich pięćset. W grudniu 1979 roku kierownictwo stoczni usiłowało nie dopuścić do manifestacji. Skrócono dzień pracy i odesłano robotników do domów ze względu na „oszczędność energii". Mimo to przyszło około pięćset osób, by posłuchać Wałęsy, który domagał się utworzenia wolnych związków zawodowych, niezależnych od partii komunistycznej. Na koniec przemówienia zaapelował, aby uczestnicy demonstracji pojawili się w tym samym miejscu za rok o tej samej porze, ale by każdy przyniósł ze sobą duży kamień.

„Zbudujemy z tych kamieni kopiec, zalejemy go cementem i to będzie nasz pomnik. Wzniesiemy go sami!"[67]

Strajk w stoczni pierwotnie planowano na 13 sierpnia 1980 roku. Ale Wałęsa musiał zostać w domu i pomóc swojej cierpiącej żonie Danucie. Właśnie urodziła piąte dziecko, rewolucję trzeba więc było przełożyć o dwadzieścia cztery godziny.

Strajk zorganizowała trójka młodych robotników stoczniowych: Jerzy Borowczak, Ludwik Prądzyński i Bogdan Felski[66]. Dwudziestokilkuletni, bez zobowiązań rodzinnych i prawie bez zahamowań, praktycznie nie mieli nic do stracenia. Podobnie jak starszych robotników, napawały ich wściekłością fatalne warunki życia i arogancja monopartyjnego państwa. Jednak w przeciwieństwie do starszych kolegów- nie byli tak ostrożni. Wszak byli jeszcze dziećmi, kiedy w grudniu 1970 roku polska służba bezpieczeństwa otworzyła ogień do robotników pod stocznią, i nie doświadczyli jeszcze politycznej klęski. Konsumpcyjna kultura lat siedemdziesiątych, popularyzowana przez partię jako sposób na odwrócenie

uwagi młodego pokolenia od polityki, zetknęła ich z zachodnim stylem życia i tamtejszym sposobem myślenia. Podczas gdy starsi robotnicy przerażeni byli potęgą represyjnego aparatu komunistycznej władzy, dla tych młodych ludzi reżym się nie liczył.

Borowczak i jego przyjaciele mieli pewność, że zdołają przekonać swoich kolegów z pracy, aby dołączyli do akcji protestacyjnej. Dziesiątki tysięcy polskich robotników już strajkowały przeciw podwyżkom cen mięsa wprowadzonym przez rząd na początku czerwca. Za każdym razem robotnicy odwoływali strajk w zamian za rządowe obietnice znacznych podwyżek płac. Takie obietnice miały jednak niewielkie znaczenie w warunkach wysokiej inflacji. Po kilku miesiącach pracownikom powodziło się równie źle jak przedtem. Dlatego było bardzo ważne, aby strajk w Gdańsku został zorganizowany fachowo.

Młodzi radykałowie wiedzieli, że w celu podtrzymania protestu i skłonienia do udziału w strajku całej stoczni potrzeba im będzie kogoś doświadczonego. Wałęsa był idealnym kandydatem. Cieszył się znacznym autorytetem w stoczni, jako jeden z przywódców nieudanego buntu z 1970 roku. Był także znany w Gdańsku, jako ważna figura w podziemnym ruchu związkowym. W mieście mieszkali też inni opozycjoniści - lepiej wykształceni i mający szerszą, strategiczną wizję walki z reżymem. Ale Wałęsa był obdarzony szczególnym talentem do publicznego naruszania porządku publicznego. Nie przepuścił żadnej okazji, by dokuczyć komunistom. Potrafił wskakiwać do jadącego autobusu lub tramwaju i w mgnieniu oka rozdać ulotki antyrządowe. Kiedy jechał taksówką, usiłował pozyskać taksówkarza dla sprawy wolnych związków zawodowych. Rozdrażnione jego zachowaniem kierownictwo stoczni w 1976 roku zwolniło go z pracy za niesubordynację. Często był zamykany w areszcie na czterdzieści osiem godzin, ale wszystkie próby pokonania tego wstrętnego małego elektryka spełzały na niczym. Wałęsa wykłócał się nawet ze swymi strażnikami.

Na początku sierpnia kierownictwo Stoczni Gdańskiej dało wolnym związkom zawodowym doskonały pretekst do strajku. Wręczono wypowiedzenie starszej wiekiem operatorce dźwigu, Annie Walentynowicz, na pięć miesięcy przed spodziewaną emeryturą. W uzasadnieniu zarzucono jej „poważne naruszenia” dyscypliny pracy. Jej prawdziwym przewinieniem było kolportowanie „Robotnika Wybrzeża” - biuletynu wolnych związków zawodowych. Stoczniowy związek zdecydował się na kontratak.

Jeśli za początkową organizacją strajku stała myśl przewodnia, to trzeba ją

przypisać Bogdanowi Borusewiczowi, trzydziestoletniemu wówczas redaktorowi naczelnemu „Robotnika Wybrzeża". Ten absolwent Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego od dawna popadał w konflikty z władzami. W czasie niepokojów studenckich w 1968 roku został skazany na trzy lata więzienia za rozdawanie nielegalnych ulotek w Gdańsku. Utrzymywał bliskie kontakty ze środowiskami intelektualistów i dysydentów w Warszawie. To właśnie Borusewicz namówił trójkę młodych ludzi ze stoczni - Borowczaka, Prądzyńskiego i Felskiego - by poprowadzili swoich kolegów z pracy do strajku. Przyzwyczajony do konspiracji, nalegał, aby plany strajku utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Nawet Wałęsie o dacie jego rozpoczęcia powiedziano z zaledwie dwudziestoczterogodzinnym wyprzedzeniem[69].

Rankiem 14 sierpnia trzech młodych robotników obeszło cały, rozległy teren stoczni. Każdy z nich niósł kilkanaście plakatów i mniej więcej pięćset ulotek, wydrukowanych na nielegalnych maszynach „Robotnika Wybrzeża". Borowczak udał się do swojego wydziału, K-5, po drugiej stronie przebiegającego przez środek stoczni kanału. W kącie hali tego wydziału rdza zżerała sterty importowanego sprzętu do spawania stali, wartego wiele milionów dolarów. Problem polegał na tym, że nikt nie umiał zrobić z niego właściwego użytku[70].

Robotnicy w szatni tłoczyli się dookoła Borowczaka, kiedy rozpoczął rozdawanie ulotek. Podpisane przez radę redakcyjną „Robotnika Wybrzeża" ulotki zawierały żądanie przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz. „Jest to stała tendencja władz, aby izolować tych, którzy mogliby stać się przywódcami" - napisano w ulotce. - „Jeżeli nie potrafimy się temu przeciwstawić, nie będzie nikogo, kto wystąpi przeciw podwyżce norm, łamaniu BHP czy zmuszaniu do nadgodzin. We własnym interesie należy więc takich ludzi bronić. (...) Jeżeli tego nie uczynicie, wielu z was może znaleźć się w podobnej sytuacji"[71]. Aby zwiększyć szanse na udział w strajku, Borowczak dodał drugie żądanie: tysiąc złotych podwyżki.

Jego koledzy zgadzali się z nim, ale byli przestraszeni. „Dlaczego większy wydział nie rozpocznie strajku?" - zapytał jeden z robotników. „Nie będziemy tutaj dłużej stać. Wracajmy na halę" - powiedział inny, rozglądając się wokół nerwowo. Borowczak wiedział, że jeśli robotnicy wejdą do hali, gdzie znajdą się pod czujnym okiem sekretarza partii, wszystko będzie stracone. Nie miał pojęcia, czy inne wydziały dołączą do strajku, ale zdecydował się zaryzykować.

„Chodźmy do K-3 i K-4" - powiedział, wymieniając nazwy dwóch gigantycznych wydziałów produkujących kadłuby. - „Oba już stanęły"[72].

Około trzydziestu robotników zgodziło się pójść za nim. Trzymając zaimprowizowany transparent z wypisanymi dwoma postulatami, pomaszerowali z powrotem, przez most zwodzony, do głównej części zakładu. Wszędzie po drodze zbierały się grupki zaciekawionych robotników patrzących na manifestantów - samotną grupkę zdeterminowanych mężczyzn - maleńkich na tle potężnych dźwigów i czerwonych plakatów propagandowych wysławiających komunistyczną przyszłość. „Chodźcie z nami!” - skandowali. Ten sam okrzyk pobrzmiewał w całej stoczni przed dziesięcioma laty. Małymi grupkami - po trzy, cztery osoby - robotnicy schodzili z w połowie wykończonych statków i dołączali do coraz liczniejszego pochodu. Ktoś uruchomił syreny alarmowe stoczni - uzgodniony znak rozpoczęcia strajku.

Robotnicy, w niebieskoszarych kombinezonach i żółtych kaskach, poszli wzdłuż zaplecza hali elektryków W-4, gdzie kiedyś przez cztery lata pracował Wałęsa. Następnie skierowali się do wydziału K-3, na odległym krańcu stoczni, w pobliżu bramy numer trzy. Tłum liczący kilkuset robotników zebrał się już na zewnątrz wydziału K-3. Ludzie czytali tekst na plakacie wywieszonym przez Ludwika Prądzyńskiego. Efekt spotkania się dwóch grup w jednym miejscu był elektryzujący. „Hurra, hurra!” - wykrzykiwali. Nagle przestali się czuć osamotnieni.

Teraz stanowili już siłę - było ich kilka tysięcy. Z rosnącą pewnością siebie powoli raz jeszcze obeszli całą stocznię, pozyskując nowych zwolenników. Zatrzymali się pod bramą numer dwa, gdzie rozegrały się tragiczne wydarzenia Grudnia 1970 roku. Ale tym razem, zamiast wylać się na ulice, strajkujący się zatrzymali. Ogłoszono minutę ciszy ku czci poległych. Potem, głosami drżącymi z emocji, zaintonowali hymn narodowy: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”.

Lech Wałęsa usłyszał wycie syren stoczniowych w domu, w Stogach. Mieszkał na brudnym, robotniczym przedmieściu - popadającym w ruinę blokowisku na wschodnich krańcach Gdańska. Doskonale wiedział, co oznacza ten sygnał. Stocznia nazwana imieniem założyciela pierwszego państwa socjalistycznego rozpoczęła strajk.

Problemy rodzinne nie pozwoliły mu wyjechać z domu wcześniej. Działalność w wolnych związkach zawodowych sprawiła, że kilka dni temu nie mógł towarzyszyć żonie przy porodzie córeczki, Ani. Milicja, z nakazem aresztowania, zapukała do drzwi ich dwupokojowego mieszkania w chwili, kiedy Danuta Wałęsowa szykowała się do wyjazdu do szpitala. Zatrzymywanie działaczy opozycji na czterdzieści osiem godzin, bez przedstawiania formalnych zarzutów, było

standardową formą szykan. Kiedy Wałęsę zwolniono, Ania już przyszła na świat. Koszmar porodu w zatłoczonym, niechlujnym szpitalu wyczerpał Danutę. Ledwo mogła się utrzymać na nogach. Nalegała, by Lech ubrał starsze dzieci i odprowadził je do szkoły, zanim popędzi zmieniać świat.

Jadąc tramwajem do stoczni, w swym odświętnym ubraniu, czyli wyświechtanym szarym garniturze wymagającym solidnego czyszczenia, Wałęsa zastanawiał się, dlaczego nie zatrzymano go po raz drugi. Widział ñata 125p jadącego za tramwajem: służba bezpieczeństwa nie spuszczała go z oka. Władze spodziewały się w Gdańsku kłopotów. Kilka dni wcześniej główny ideolog partyjny ogłosił, że milicja zna nazwiska i adresy dwunastu tysięcy opozycjonistów w Polsce. Wskazanie potencjalnych „wichrzycieli” w takim mieście jak Gdańsk było stosunkowo prostą sprawą. Wałęsę nachodziły ciemne myśli: „A może czekają na wyłożenie kart z naszej strony, a potem uderzą we wszystkich jednocześnie”[73].

Wałęsa dotarł do stoczni w trzydzieści pięć minut później. Po drodze zdążył się już uporać ze swymi wątpliwościami. Myślał o maleńkiej Ani i o życiu, jakie ją czekało w Polsce Ludowej. Nie było drogi wstecz. Zwyczajni Polacy muszą wziąć swój los we własne ręce bez oglądania się na makiaweliczne kalkulacje aparatczyków.

Wokół bramy numer dwa - głównego wejścia do stoczni - kłębił się tłum. Wałęsa zauważył, że strażnicy sprawdzają każdą przepustkę. Aby dostać się do zakładu, z którego wyrzucono go przed kilku laty, musiał się wspiąć na pobliski, ceglany mur.

Na głównym placu stoczni, tuż obok szpitalnego gmachu z czerwonej cegły, właśnie trwał wiec. Dyrektor Klemens Gniech usiłował przekonać robotników, aby zakończyli strajk. Wydawało się, że może odnieść sukces. Słychać było nieprzyjazne okrzyki i gwizdy, ale niektórzy ludzie zaczęli wracać na stanowiska pracy. Wałęsa wspiął się na koparkę. „Poznaje mnie pan?” - zapytał ze złością, bezceremonialnie klepiąc Gniecha po ramieniu. - „Dziesięć lat pracowałem na Stoczni i czuję się nadal stoczniowcem, ponieważ mam mandat zaufania załogi. Już cztery lata jestem bez pracy”[74].

Dyrektor zaniemówił z zaskoczenia. Robotnicy okrzykami powitali swojego przedstawiciela. Czując, że ma nad Gniechem przewagę, nieustępliwy elektryk na wszelki wypadek postawił jeszcze więcej żądań. Między innymi domagał się przywrócenia go do pracy i wzniesienia pomnika ku czci zastrzelonych stoczniowców. Podniósł postulat podwyżki płac o kolejny tysiąc, domagając się dwóch tysięcy złotych miesięcznie. Okrzyki poparcia przybrały na sile. Czując,

że ma za sobą tłum, Wałęsa ogłosił strajk okupacyjny i obiecał robotnikom, że on ostatni opuści stocznię.

„Przepchałem się do niego, stanąłem przed nim" - wspominał później Wałęsa - „i (...) zadając ciosy z lewej i prawej, rozciągnąłem go na dywanie, tego pana dyrektora, stoczyłem go prawie z ringu. Krzyczałem mu, że robotnicy nic nie zawieszą, że nie wierzą jego kłamstwom, że nie ruszą do momentu, dopóki nie będą mieć pewności, że nie zostaną znowu oszukani. I tak robotnicy stali się silni i stałem się ich przywódcą i jeszcze nim jestem"[75] .

WARSZAWA
15 sierpnia 1980

Edward Gierek dowiedział się o strajku w Stoczni im. Lenina, przebywając na wakacjach w Związku Radzieckim. Wypoczynek nad Morzem Czarnym stał się dorocznym rytuałem wśród namiestników Moskwy w Europie Wschodniej. Zawsze w sierpniu, na zaproszenie Breżniewa, pierwsi sekretarze partii komunistycznych zbierali się w dziewiętnastowiecznym pałacu na południowym krańcu Półwyspu Krymskiego. Opływając w carskie splendory, wdychali morskie powietrze, ubolewali nad nieszczęściami dotykającymi świat kapitalistyczny i wydawali komunikaty na swoją cześć.

Podróże na Krym dały Gierkowi możliwość zademonstrowania dobrych stosunków z Breżniewem. Obowiązkowo kręcone przez telewizję zdjęcia dwóch szefów partii komunistycznych całujących się w policzki stanowiły znaczący sygnał dla politycznych rywali Gierka w Polsce. Był to jeden z powodów, dla których zdecydował się na te wakacje akurat w momencie, kiedy w całej Polsce dochodziło do niepokojów wśród robotników. Koledzy z Politbiura mogli narzekać na politykę gospodarczą i za jego plecami prowadzić nie kończące się gry i biurokratyczne intrygi. Małe jednak były szanse na to, że zdecydują się na jakiekolwiek poważne działania przeciwko niemu, dopóki cieszyć się będzie zaufaniem Kremla.

Edward Gierek nie wypoczął w czasie tych wakacji. Wkrótce po przybyciu na Krym, a więc pod koniec lipca, odbył bardzo nieprzyjemną rozmowę z Breżniewem. Gensek był zirytowany strajkiem w Lublinie, który sparaliżował główny szlak kolejowy Moskwa-Berlin[76]. Przez cztery dni Związek Radziecki nie miał łączności kolejowej ze swoimi pierwszorzutowymi oddziałami w NRD. Breżniew nie krył, że nie będzie tolerować takiego stanu rzeczy. Gierek usiłował uspokoić starego. Przez kilka dni wyglądało na to, że fala strajków opada. I wtedy nadeszła straszna wiadomość z Gdańska.

Z Warszawy wysłano po pierwszego sekretarza samolot specjalny. Prosto z lotniska Gierek udał się do siedziby KC. Kiedy otworzył dębowe drzwi sali obrad Biura Politycznego, jego koledzy z szacunkiem powstali z miejsc[77].

Politbiuro obradowało w trybie nadzwyczajnym od pierwszego dnia strajku w Stoczni im. Lenina, czyli już drugi dzień. Sekretarz odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa, Stanisław Kania, poinformował, że strajk sparaliżował już

większość regionu gdańskiego. Wzdłuż całego wybrzeża zaobserwowano falę panicznego wykupowania towarów. Były oznaki rozszerzania się kryzysu na inne części kraju. W siłach zbrojnych w całej Polsce zarządzono stan pogotowia, a do Gdańska wysłano posiłki milicyjne i wojskowe.

„ A gdzie są członkowie partii?” - zapytał Gierek, gdy zasiadł na honorowym miejscu u szczytu owalnego stołu konferencyjnego, tuż pod olejnym portretem Lenina[78].

Pytanie było skierowane do Kani, aparatczyka o grubych szczękach i prostej, chłopskiej twarzy. Tb on zastępował Gierka w czasie jego pobytu na Krymie. Objechał cały kraj, wizytując miejsca objęte kryzysem, a więc między innymi Gdańsk. Rozumiał coś, czego nie potrafił pojąć Gierek: partia straciła autorytet.

„[Członkowie partii] nie mają siły do przeciwdziałania” - odpowiedział. - „Nie było sygnałów o przygotowaniach do strajku. Zostali zaskoczeni. (...) Niebezpieczeństwo naruszenia porządku jest realne”[79].

Inni członkowie Politbiura zgadzali się z Kanią. W czasie dwóch tygodni nieobecności Gierka nie było ani jednego dnia bez strajku. Pogarszające się warunki życia wpłynęły demoralizująco na szeregowych członków partii. „Elementy antysocjalistyczne” wykorzystywały uzasadnione niezadowolenie robotników. Żądania ekonomiczne przekształcono w postulaty polityczne - łącznie z utworzeniem wolnych związków zawodowych. Mimo ostrej cenzury i uspokajającego tonu oficjalnych środków przekazu, informacje o coraz to nowych niepokojach rozprzestrzeniały się szybko. Zachodnie stacje radiowe, szczególnie Radio Wolna Europa, informowały o wydarzeniach w Polsce szczegółowo i obficie.

Informacje z Gdańska Gierek uznał za zapowiedź swego politycznego upadku. Były górnik, cieszący się opinią troszczącego się o robotników, doszedł do władzy na fali niepokojów w grudniu 1970 roku. Równocześnie wydarzenia te były ostatnim gwoździem do trumny kariery politycznej poprzednika Gierka - autokratycznego Władysława Gomułki. W kilka tygodni po objęciu stanowiska Gierek odwiedził Stocznię im. Lenina, by prosić robotników o „pomoc”. „Pomożemy, towarzyszu Gierek!” - krzyczeli robotnicy. Słowo „pomożemy” stało się hasłem ekipy Gierka[80].

Pierwszy sekretarz lepiej niż ktokolwiek z obecnych w sali obrad rozumiał prawo dżungli obowiązujące w świecie partyjnej polityki. Podejrzewał, że jego wrogowie w Biurze Politycznym wykorzystują ostatni wybuch strajków przeciwko niemu[81]. Zadawał sobie pytanie, które zazwyczaj zadają sobie szefowie partii komunistycznych w takich sytuacjach: „Kto może zyskać na moim

upadku?"

Odpowiedź wydawała się prosta: aparat bezpieczeństwa. W okresie niepokojów społecznych siły zbrojne i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych były gwarantem politycznej stabilności państwa. Przed zakończeniem strajków w żadnej z tych instytucji nie mogło dojść do jakichkolwiek wstrząsów. Kierownictwo służb bezpieczeństwa, dysponujących olbrzymią siecią agentów i informatorów w całym kraju, miało największe możliwości manipulowania sytuacją na swoją korzyść.

Kania wydawał się nieszkodliwy. Znany był ze skłonności do alkoholu i często zdarzało się, że po przerwie obiadowej był już niezdolny do pracy. W kołach partyjnych ta przywara nie była generalnie uważana za przeszkodę w obejmowaniu eksponowanych stanowisk: tacy ludzie byli bardziej ugodowi i bardziej uzależnieni od swoich kolegów z Polit- biura. Aczkolwiek ostatnio Kania zdradzał niepokojące oznaki niezależności. Co więcej, miał potężnego sojusznika w ministrze obrony, generale Wojciechu Jaruzelskim[82].

Podobnie jak wielu innych wysokich rangą polskich komunistów, Gierek nie mógł zrozumieć, dlaczego kierownictwo służb bezpieczeństwa nie przedsięwzięło podstawowych środków zaradczych i dopuściło do eskalacji strajków. Uważał, że jeśli chcieliby powstrzymać strajki, mogli po prostu odizolować przywódców i odciąć od źródeł informacji korespondentów zachodniej prasy w Warszawie. Ale Kania wciąż powtarzał, że sytuacja jest opanowana i że Gierek powinien wyjechać na wakacje na Krym. Teraz, kiedy strajki rozszerzały się na całe wybrzeże, o wiele trudniej było przywrócić porządek.

Pierwszym odruchem Gierka był kontratak. Powiedział członkom Biura Politycznego, że strajki są ewidentnie inspirowane przez „siły zewnętrzne".

„To moje głośne myślenie, nie do dyskusji na dziś, ale trzeba to brać pod uwagę" - powiedział Gierek, sugerując, że skłonny jest uciec się do interwencji zbrojnej. - „Z tego co powiedziałem, wynika że okres napięcia może potrwać dłużej, że może ono przyjąć groźną formę i zmusić do użycia siły"[83].

W ciągu kilku godzin od powrotu Gierka do Warszawy machina represji została przełączona na wyższy bieg, a kolumny oddziałów prewencyjnych przemieszczały się w kierunku Gdańska. Polski rząd zarządził stan gotowości w trzech pułkach stacjonujących w okolicach Gdańska. U brzegów Bałtyku pojawiły się radzieckie okręty wojenne. Oddziały Układu Warszawskiego w Niemczech Wschodnich i zachodniej części Związku Radzieckiego rozpoczęły - jak je

eufemistycznie określiła radziecka agencja informacyjna TASS - „rutynowe manewry”[84]. Odcięto łączność telefoniczną z Gdańskiem. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych utworzono grupę zadaniową, której polecono opracowanie planu zdławienia buntu i normalizacji „społeczno-politycznej sytuacji w kraju”. Plan, pod kryptonimem „Lato ’80”, przewidywał wysadzenie w Stoczni im. Lenina desantu z helikoptera, aresztowanie Wałęsy i innych przywódców strajku oraz całodobową obserwację „sił antysocjalistycznych”[85].

Sprawą absolutnie najważniejszą w owej chwili było ograniczenie buntu do Stoczni im. Lenina.

Podczas gdy Gierek domagał się nałożenia blokady na wszelkie informacje o niepokojach w Gdańsku, pewien łysiejący mężczyzna ubrany w nadgryziony przez mole szlafrok zajęty był rozpowszechnianiem tych informacji tak szybko, jak tylko było to możliwe. Ów mężczyzna, Jacek Kuroń, mieszkał w trzypokojowym mieszkaniu przy ulicy Adama Mickiewicza, piętnaście minut tramwajem od budynku Komitetu Centralnego. Od miesiąca sypiał nie więcej niż po trzy-cztery godziny na dobę. Całe dnie i noce spędzał ze słuchawką telefonu w dłoni, przekazując zachodnim agencjom prasowym w Warszawie informacje uzyskane od komitetów strajkowych powstających w całej Polsce.

Notatnik adresowy Kuronia zawierał nazwiska i numery telefonów setek działaczy opozycyjnych w miastach i miasteczkach w całym kraju - od Arłamowa po Zakopane. Zachodni korespondenci żartowali, że ten notes był najbardziej wywrotowym dokumentem w całym imperium radzieckim. Jego właściciel siedział za wielkim drewnianym biurkiem zawalonym filiżankami z nie dopitą kawą, pustymi paczkami po papierosach, starymi gazetami, pośpiesznie sporządzanymi notatkami i pogruchotanym pomarańczowym aparatem telefonicznym. Pełen energii Kuroń z rzadka odbierał telefon. Raczej wykręcał numer, słuchał przez piętnaście-dwadzieścia sekund i wyrzucał z siebie kilka poleceń. Ochrypły od ciągłego mówienia, palenia i picia kawy, przerywał tylko na chwilę, by wykręcić kolejny numer. Wyrzucał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego - jakby się spodziewał, że w każdej chwili łączność może zostać przerwana. W rzadkich chwilach, kiedy nie rozmawiał przez telefon, Kuroń poświęcał swoją uwagę nie kończącemu się strumieniowi gości, którzy przewijali się przez jego mieszkanie. Kiedy za ostatnim zamykały się drzwi, Kuroń rzucał się na kanapę w kącie pokoju, żeby przespać się kilka godzin.

Dla komunistycznej władzy ta niechlujna persona była wcielonym diabłem -

„elementem antypaństwowym” i „najemnikiem światowego imperializmu”. W gwałtownie rozwijającym się w Polsce ruchu dysydenckim Kuronia uważano natomiast niemal za półboga. Był organizatorem, ideologiem i przywódcą równocześnie.

Były „czerwony harcerz” i wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, Kuroń odebrał ortodoksyjne, marksistowskie wykształcenie. Był aktywistą młodzieżowego ruchu komunistycznego - wydawało się, że stoi przed nim olśniewająca kariera w PZPR. Na na początku lat sześćdziesiątych poróżnił się z władzami - był autorem trockistowskiej rozprawy, w której oskarżał biurokrację komunistyczną, że wyzyskuje klasę robotniczą równie bezwzględnie jak kapitaliści. Od 1965 roku spędził ponad sześć lat w więzieniu za „działalność antypaństwową”. Gdy przebywał za kratami, ewoluowały jego poglądy polityczne. Znajdował inspirację w polskich dziełach historycznych, szczególnie w pracach poświęconych dziewiętnastowiecznym powstaniom przeciwko władzy rosyjskiej. Przestał myśleć w kategoriach marksistowskich. I chociaż nigdy nie został katolikiem, nabrał szacunku wobec roli Kościoła, dbającego o zachowanie polskiej tożsamości narodowej. Zaczął rozważać zagadnienie, jak w cieniu totalitarnego reżymu może powstać społeczeństwo obywatelskie.

W przeciwieństwie do tego, co mówiły o nim oficjalne media, Kuroń nie był rzecznikiem siłowej konfrontacji z władzą. Właściwie był przekonany, że społeczeństwo nie ma szansy na zwycięstwo w otwartej walce z przeciwnikiem uzbrojonym po zęby. To była lekcja buntu robotniczego z 1970 roku.

Jedynym rozwiązaniem było całkowite pominięcie partii. Społeczeństwo powinno ignorować instytucje komunistycznego reżymu i stworzyć własne, nieoficjalne struktury, przesuwające granice totalitaryzmu. Zachowując się tak, jakby byli wolni, Polacy w końcu staną się wolni. Podziemna prasa winna ośmieszać rządową cenzurę. „Latający uniwersytet” - wykłady w prywatnych domach - winien stanowić przeciwwagę dla państwowego systemu kształcenia. Sieć komitetów samoobrony społecznej będzie zaczątkiem autentycznej wolności stowarzyszeń. Struktury komunistycznej władzy pozostaną listkiem figowym wobec Kremla, ale Polska stanie się społeczeństwem pluralistycznym pod każdym względem - z wyjątkiem nazwy.

Motto Kuronia brzmiało: „Nie palcie komitetów; zakładajcie własne”.

Działacze wolnych związków zawodowych w Gdańsku stanowili część wielkiej rodziny opozycyjnej Kuronia. Sercem sieci był Komitet Obrony Robotników (KOR). Założony w 1976 roku przez grupę warszawskich intelektualistów, miał

udzielać wsparcia ofiarom brutalności milicji. KOR wnet rozwinął się w grupę nacisku politycznego. Jego członkowie wydawali oświadczenia zwracające uwagę na przypadki gwałcenia praw człowieka i krytykujące posunięcia gospodarcze partii komunistycznej. KOR stał się rodzajem czapki organizacyjnej dla wielu grup opozycyjnych - od grup samoobrony rolników po podziemne oficyny wydawnicze.

Kiedy w lipcu 1980 roku w proteście przeciwko rządowym zapowiedziom podwyżek cen mięsa podniosła się nowa fala strajków, Kuroń w swoim mieszkaniu założył strajkowe centrum informacyjne.

Jacek Kuroń i jego przyjaciele uważali, że polscy komuniści nigdy dobrowolnie nie oddadzą z trudem zdobytej władzy. Uważali jednak, że nagie fakty świadczące o upadku polskiej gospodarki zmuszą reżym do porozumienia z opozycją. Utrzymując na niskim poziomie warunki życia zwykłych ludzi, kraje komunistyczne Europy Wschodniej osiągnęły w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych bardzo wysokie wskaźniki wzrostu gospodarczego. Ale era prosperity już się zakończyła. W 1979 roku po raz pierwszy w powojennej Polsce wzrost gospodarczy miał wartość ujemną - minus dwa procent. Poświęcenie ludzi okazało się daremne. Boom skończył się katastrofą.

Najbardziej palącym problemem, w obliczu którego stał reżym, było zadłużenie zagraniczne paraliżujące finanse państwa. Na początku lat siedemdziesiątych ekipa Gierka pożyczała miliardy dolarów na finansowanie gigantycznych przedsięwzięć inwestycyjnych. Zachodnie banki i rządy prześcigały się w udzielaniu kredytów; blok radziecki był generalnie uważany za strefę „małego ryzyka”. Sądzono, że Kreml nigdy nie pozwoli swoim satelitom na niewywiązywanie się ze zobowiązań. Gierek chełpił się, że zbuduje „drugą Polskę”. Pomysł polegał na tym, aby zbudować setki nowoczesnych fabryk, radykalnie zwiększyć produkcję dóbr konsumpcyjnych i spłacić dług zwiększonym eksportem na Zachód. Ale plan nie wypalił. Jedynie nieliczne przedsięwzięcia wybrane przez - teoretycznie rzecz biorąc - wszechwiedzących planistów miały sens ekonomiczny. Większość była wynikiem osobistych zachcianek członków kierownictwa, wielkich łapówek otrzymywanych od zachodnich koncernów i czystej niekompetencji biurokratów. W 1980 roku Polska winna była swoim wierzycielom około osiemnastu miliardów dolarów. Dosłownie każdy dolar zarobiony w handlu zagranicznym był przeznaczany na obsługę długu.

Antykomunistyczna opozycja gotowa była pomóc rządowi w szukaniu drogi wyjścia z kryzysu. Ale wszystko ma swoją cenę. Polskie społeczeństwo musi mieć

prawo do rozwijania swoich własnych, „samorządnych" instytucji. Partia komunistyczna musi się wyrzec gwałtu i zagwarantować, że nie wycofa się z ustępstw poczynionych w chwilach słabości. Przywódcy, którzy do tej pory nie odpowiadali przed nikim poza sobą, mają się podporządkować jakiejś formie kontroli społecznej. Oznaczało to, co najmniej, publiczną debatę o stojącej przed krajem katastrofie gospodarczej.

Kiedy rząd odciął łączność telefoniczną i teleksową z Gdańskiem, Kuroń, człowiek o niespożytej energii, wymyślił system zastępczy, pozwalający ominąć blokadę informacyjną. Kiedy tylko coś się wydarzyło w stoczni, jego współpracownicy z wolnych związków zawodowych wsiadali do samochodu i pędzili stodwieście kilometrów w stronę Warszawy. Kiedy napotykali pierwszy działający publiczny aparat telefoniczny, dzwonili do Kuronia. Metoda była uciążliwa, ale zdawała egzamin.

16 sierpnia, w sobotę, informatorzy Kuronia donieśli, że komitet strajkowy zgodził się na kompromisową ofertę podwyżki płac i odwołał strajk. W kilka godzin później nadeszła wiadomość, że stoczniowcy zdecydowali się kontynuować strajk - w geście solidarności z innymi robotnikami regionu gdańskiego.

Kuroń przekazywał informacje dalej, a Wałęsa chciał właśnie wracać do żony i dzieci, kiedy stanęli przed nim podenerwowani przedstawiciele innych zakładów. „Jeśli nas zostawicie - zginiemy!" - wołali reprezentanci strajkujących kierowców autobusów i tramwajarzy. - „Autobusy nie dadzą sobie rady z czołgami". Kilkuset młodych, w większości, robotników otoczyło Wałęsę, skandując „Solidarność! Solidarność!" Wałęsa chwycił mikrofon i zaczął przemawiać do tłumu zgromadzonego przed bramą stoczni[86]:

„Obiecałem wam, że zostanę tutaj do końca. Kto chce dalej strajkować?"

Okrzyki: „Chcemy, chcemy!".

„Kto chce zakończyć strajk?"

Cisza.

„Strajk trwa dalej!"

Był to decydujący moment - co natychmiast potrafił docenić Kuroń. Władze komunistyczne nie miały już do czynienia z pojedynczym przypadkiem niepokojów robotniczych, ale z szerokim ruchem protestu, który miał potem rosnąć dopóty, dopóki nie objął wszystkich warstw polskiego społeczeństwa. Pierwszym krokiem robotników Gdańska było założenie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, reprezentującego interesy robotników strajkujących w całym kraju. Wałęsę wybrano na jego przewodniczącego. Główne żądanie robotników,

przeszywające niczym sztylet serce ideologii komunistycznej, dotyczyło wyrażenia zgody na powstanie niezależnych, samorządnych związków zawodowych.

WARSZAWA
29 sierpnia 1980

Edward Gierek z goryczą wspominał, jak to cały kraj odetchnął z ulgą, kiedy on obejmował władzę. Strajkujący robotnicy na całym wybrzeżu honorowali go jak jednego ze swoich. Komunistyczni aparatczycy przewidywali, że Gierek pomoże odbudować nadszarpnięty autorytet partii. Kreml obsypywał go komplementami, opisując jako „wybitnego marksistę-leninistę". Nawet Zachód dołączał się do pochwał wypowiadanych pod adresem tego przystojnego przywódcy komunistycznego; Gierek zaś, jak się wydawało, znał wartość dobrych stosunków ekonomicznych i współpracy gospodarczej. Każdy miał już dość Gomułki, którego do władzy wyniosła poprzednia fala robotniczego protestu w 1956 roku.

Gierek stwierdził, że Polska historia zatoczyła pełne koło. Wszyscy się od niego odwracali, podobnie jak wszyscy odwracali się od Gomułki w grudniu 1970 roku. W ciągu kilku dni stał się obiektem niemal powszechnego pośmiewiska. W Stoczni im. Lenina w Gdańsku ci sami robotnicy, którzy przed dziesięciu laty krzyczeli: „Pomożemy, towarzyszu Gierek!" - widząc go teraz w telewizji, gwizdali i wyśmiewali się z niego. Jego sojusznicy w Biurze Politycznym wydawali się zakłopotani, że utrzymują z nim kontakty. Sowieci narzekali złowrogo na „zagrożenie socjalizmu" w Polsce i „błędy" popełnione przez polskie kierownictwo. Zachodni politycy, którzy kiedyś wydeptywali ścieżki do jego drzwi, teraz rozwodzili się nad niezwykłym zachwianiem jego pozycji. Wszędzie mówiono, że jest skończony.

Jak zwykle Polacy wyrażali swoje uczucia do przywódców politycznych za pomocą dowcipów. „Pytanie: Jaka jest różnica między Gierkiem i Gomułką? Odpowiedź: Nie ma żadnej, tyle że Gierek jeszcze tego nie wie".

W czasie posiedzeń Biura Politycznego tandem Kania- - Jaruzelski już zaczął krytykować jego politykę gospodarczą. Jaruzelski, którego Gierek uważał wcześniej za swojego sojusznika, twierdził, że o olbrzymim zadłużeniu zagranicznym Polski dowiedział się z audycji w Radiu Wolna Europa. Kania, sekretarz partii odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa, narzekał, że Biuro Polityczne traktowane jest z „całkowitym lekceważeniem"[87]. Inni członkowie Politbiura, którzy poprzednio płaszczyli się przed pierwszym sekretarzem, także przyłączyli się do ataku. Dla odparcia krytyki Gierek był zmuszony poświęcić sześciu swoich najbliższych współpracowników. Był to dla niego okres olbrzymiego stresu. Czuł się osamotniony i porzucony[88].

Pierwszy sekretarz nadal wyposażony był we wszelkie atrybuty władzy: kuloodporną limuzynę, usłużne sekretarki, ochronę osobistą. Przez czarny prosty telefon mógł bezpośrednio rozmawiać z Breżniewem. Stojący obok biały aparat przyciskowy zapewniał natychmiastowe połączenie z przywódcami partii komunistycznych w innych krajach bloku radzieckiego - od Czechosłowacji po Bułgarię. W sąsiednim pokoju mieściło się specjalne centrum komunikacyjne wyposażone w wielką mapę ścienną Polski z czterdziestoma dziewięcioma miniaturowymi żarówkami, po jednej w każdym województwie. Siedząc przed mikrofonem, Gierek mógł rozmawiać z każdym wojewodą w kraju. Mógł też nacisnąć guzik zapalający wszystkie żaróweczki oznaczające czterdziestu dziewięciu lokalnych sekretarzy partii gotowych wykonywać jego rozkazy. Był to wytwór gospodarki nakazowej, w której polecenia wydawane były odgórnie[89].

Ku jego konsternacji, machina biurokratyczna nie reagowała już na jego rozkazy. Nie polegało to na tym, że ktoś inny przechwycił ster władzy. To raczej ster sam przestał działać. Wyżsi rangą funkcjonariusze występowali w telewizji i nikt nie zwracał na nich uwagi. Szeregowi członkowie partii szybko zapominali o otrzymywanych instrukcjach. Lampki na mapie w pokoju numer 115 migotały, a lista zakładów objętych strajkiem wydłużała się coraz bardziej. Komitety zakładowe w Stoczni im. Lenina i setkach innych bastionów proletariatu przestały działać z dnia na dzień. Sama partia - potężna organizacja licząca ponad trzy miliony członków - nie robiła nic. Jej przywódcy stali się generałami bez wojska.

Początkowo Gierek pocieszał się myślą, że przywódcy strajków nie reprezentują robotników. Złudzeń pozbawił go przedstawiciel strony rządowej w Gdańsku, Mieczysław Jagielski, który utrzymywał, że strajk cieszy się „całkowitym poparciem" społecznym. „Moje odczucie jest takie, że będziemy musieli wyrazić zgodę na powstanie wolnych związków zawodowych" - donosił Jagielski 26 sierpnia.- „Dziś jeszcze nas pytają o stosunek i zgodę, ale jutro już mogą nie pytać"[90].

Następnego dnia, 27 sierpnia, na spotkanie z Gierkiem przyszedł radziecki ambasador, wyposażony w list przedstawiający wzrastającą troskę Kremla rozwojem wydarzeń w Polsce. Radzieccy przywódcy byli rozwścieczeni tak liczną obecnością zagranicznych dziennikarzy w Stoczni im. Lenina. Domagali się bardziej energicznej kampanii propagandowej przeciwko strajkującym. Powoływali się przy tym na przykład Lenina, który rozprawił się z „anarchosyndykalistami" w 1921 roku. Gierek zrozumiał, że jest to nawiązanie do czystek wśród przywód-

ców opozycji oraz brutalnego zdławienia buntu w porcie wojennym w Kronsztadzie przez lojalne oddziały Armii Czerwonej. Życie straciło wówczas kilka tysięcy ludzi. Wstrząśnięty tym porównaniem Gierek powiedział ambasadorowi, że wyprowadzenie wojska na ulice tylko pogorszy sytuację.

„Żołnierz w czołgu jest skuteczny, tylko gdy strzela. To są Polacy i dziś nawet nie wiemy, czy żołnierze strzelaliby do robotników”[91].

Pierwszy sekretarz odkładał decyzję o przedsięwzięciu środków zaradczych. Wydawało się, że liczy na cud albo przynajmniej na konkretne wskazówki z Moskwy - jak radzić sobie z kryzysem podważającym całą teorię marksizmu- -leninizmu. Sytuacja wciąż się pogarszała. W piątek, 29 sierpnia, strajkowała połowa kraju. Według oficjalnej statystyki, około siedmiuset zakładów było okupowanych przez mniej więcej siedemset tysięcy robotników. „Gotowość strajkową” ogłoszono w wielu pozostałych fabrykach w kraju. Niewiele brakowało, by protesty przekształciły się w strajk generalny. Niepokoje pracownicze rozszerzyły się poza wybrzeże, objęły łódzkie zakłady tekstylne i górniczy Śląsk. W praktyce kryzys dotknął wszystkie sektory polskiego przemysłu.

Informacja o tym, że do strajku dołączyli górnicy, była dla Gierka strasznym ciosem. Uważał Śląsk za swoją osobistą domenę - jedyny region Polski, który nigdy go nie zdradzi. Śląsk był dla niego trampoliną, z której wybił się ku szczytom kariery politycznej. Ślązacy są z natury powściągliwi, pracowici i niełatwo poddają się dramatycznym, politycznym gestom. Miejscowa służba bezpieczeństwa krótko trzymała tamtejszych dysydentów. W miarę pogarszania się sytuacji w pozostałych częściach kraju Gierek zastanawiał się nad uczynieniem ze Śląska swojej ostatniej twierdzy.

„(...) gdy przyjdzie nam opuścić Warszawę, to wycofamy się na południe i następnie będziemy zdobywać województwo po województwie” - powiedział w desperacji swojemu współpracownikowi, świadomy klęski[92].

W ciągu minionych dwóch tygodni pierwszy sekretarz kilkakrotnie zmieniał zdanie na temat tego, jak zareagować na niepokoje. W swoich pamiętnikach, spisanych w dziesięć lat po tych wydarzeniach, twierdzi, że konsekwentnie sprzeciwiał się użyciu siły. Jego koledzy z Politbiura i radziecki rozmówca przedstawiają odmienny obraz jego działań i stanu umysłu w czasie tych pełnych napięcia dni. Według tych przekazów, na początku kryzysu Gierek rozważał możliwość zwrócenia się o pomoc zbrojną do Związku Radzieckiego. Koledzy w Biurze Politycznym sprzeciwili się temu pomysłowi i projekt został zarzucony. Innym razem Gierek nalegał, aby z protestami radzić sobie pokojowo. Wewnątrz

targały nim różne uczucia: pragnienie zachowania władzy w swoich rękach, rozgoryczenie brakiem lojalności w najbliższym otoczeniu, obawa o własną reputację.

„(...) było kilku Gierków" - wspomina Kania, człowiek, który był wtedy najbliżej pierwszego sekretarza - „nie tylko ten wczesny, z początku lat siedemdziesiątych, który miał społeczne poparcie, i ten późniejszy, który musiał schodzić z politycznej sceny. W każdym okresie było kilku Gierków, a w trudnym czasie kilku w ciągu jednego dnia"[93].

Teraz Gierek siedział spokojnie na zebraniu Politbiura. Wokół niego toczyła się debata. Jego taktyka - nieustanne odwlekanie decyzji - nie zdawała już egzaminu. W zasadzie były dwie możliwości: zgodzić się na powstanie wolnych związków zawodowych albo zgnieść strajki siłą. Grupa operacyjna MSW opracowała plan ataku na Stocznię im. Lenina i opanowania portów na wybrzeżu. Tego poranka szef grupy, generał Bogusław Stachura, zameldował, że jego oddziały są gotowe do „likwidacji gniazda kontrrewolucji w Gdańsku"[94]. Przywódca twardogłowych w Politbiurze (czy też, jak się mówiło w Polsce, partyjnego „betonu"), Władysław Kruczek, był poprzednio przewodniczącym związków zawodowych. Ów zabytek epoki stalinowskiej zażądał natychmiastowego wprowadzenia stanu wyjątkowego. „Trzeba zacząć bronić władzy Nawet najlepsze wystąpienia nic nie dadzą"[95].

Dla członków Politbiura odpowiedzialnych za bezpieczeństwo był to sygnał do kontrofensywy. Chociaż w tajemnicy zaczęli już przygotowywać plany zamachu, uznali, że nie nadszedł jeszcze czas na ich realizację[96]. Kania uznał propozycję aresztowania Wałęsy za „marzenie". Jaruzelski, praktyczny oficer wojskowy, wskazał, że polska konstytucja nie przewiduje „stanu wyjątkowego". Jeśli ma być użyta siła, rząd musi wprowadzić „stan wojenny", ale taki krok byłby „nierealny" w czasie, kiedy strajki objęły połowę kraju. Nie powinno się wydawać rozkazów, których nie można wykonać. Podobną opinię wyraził szef milicji, minister Stanisław Kowalczyk. Służbom bezpieczeństwa brakowało ludzi do zdławienia strajków w całym kraju jednocześnie. Podległe mu oddziały mogły zająć tereny portowe w Gdańsku, ale na pewno doszłoby do przelewu krwi.

Biuro Polityczne znalazło się w kłopocie. Gorączkowe prośby Gierka o wskazówki z Moskwy nie dawały żadnych rezultatów. Oficjalnie odpowiadano mu, że Breżniew jest „nieosiągalny". Kreml nie był gotów do wyrażenia zgody na herezję, jaką było utworzenie wolnych związków zawodowych. Dla Moskwy żądanie

Polaków było równoznaczne z „zalegalizowaniem opozycji antysocjalistycznej”[97]. Z drugiej strony, radzieccy politycy przerażeni byli tym, co się wydarzy, jeśli polskie kierownictwo nie osiągnie porozumienia z robotnikami. Postąpili więc tak, jak zazwyczaj postępowali radzieccy biurokraci, kiedy nie potrafili podjąć decyzji: przestali odbierać telefony. Swoje własne oddziały stacjonujące w Polsce postawili w stan pełnej gotowości bojowej i powołali pod broń sto tysięcy rezerwistów[98].

Pierwszy sekretarz podsumował nastrój posiedzenia, mówiąc swoim kolegom w Politbiurze, że postulat utworzenia wolnych związków zawodowych jest nie do przyjęcia z ideologicznego i politycznego punktu widzenia. Było jednakże inne, krótkoterminowe rozwiązanie. „Grozi nam strajk generalny. Musimy wybrać mniejsze zło, a potem znajdziemy sposób, by się z tego wydobyć”.

GDAŃSK
31 sierpnia 1980

Ostatni dzień strajku w Stoczni im. Lenina zaczął się, jak zwykle, mszą świętą. W centralnej części stoczni wzniesiono drewniany podest, na którym urządzono ołtarz połowy. Platformę przykryto dywanem i ustawiono drewniany krucyfiks. Kilka metrów obok ołtarza, na ścianie budynku administracyjnego, powiewała wypłowiała flaga z sierpem i młotem. Kapłan w błyszczącym, białym ornacie przełamał hostię przed dziesięciu tysiącami klęczących robotników i kamerami telewizyjnymi z całego świata. Inni księża weszli w tłum, aby wysłuchać spowiedzi.

Kiedy nadszedł czas podpisania porozumień, dających robotnikom prawo utworzenia niezależnych związków zawodowych, Wałęsa składał autograf trzydziestocentymetrowym długopisem - pamiątką ubiegłorocznej pielgrzymki papieża do Polski. Był to typowy gest Wałęsy - puszczanie oka do milionów rodaków. Wiedział, że państwowa telewizja zaplanowała transmisję obszernych fragmentów uroczystego podpisania porozumień, chciał więc, by bez trudu można go było odróżnić od funkcjonariuszy partyjnych, z którymi negocjował. Nigdy by nie pozwolił, aby uznano go za jednego z nich. Chciał także publicznie zademonstrować swoją wdzięczność wobec człowieka, który zainspirował swój naród do głośnego wyrażenia sprzeciwu wobec totalitarnej władzy. Zamysł się powiódł. Tego wieczoru widzom polskiej telewizji pozwolono po raz pierwszy ujrzeć strajkujących, którzy od dwóch tygodni przeciwstawiali się komunistycznej władzy. Kiedy ujrzeli robotnika z olbrzymimi wąsami i długopis z wizerunkiem papieża, a tuż obok biurokratów w drogich garniturach, od razu wiedzieli, po czyjej są stronie.

Nietypowe dla Wałęsy było natomiast to, że przemówienie kończące strajk odczytał z kartki. Wyraził szacunek dla Jagielskiego, negocjatora ze strony rządowej, i „jakiejś grupy dość rozsądnej" w Biurze Politycznym, która sprzeciwiała się użyciu siły. „Rzeczywiście dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem. (...) czy osiągnęliśmy wszystko to, co chcieliśmy, co pragniemy, o czym marzymy? Zawsze mówię szczerze i otwarcie to, co myślę, to i teraz powiem szczerze: nie wszystko, ale wszyscy wiemy, że uzyskaliśmy bardzo wiele. (...) Uzyskaliśmy wszystko, co w obecnej sytuacji mogliśmy uzyskać. Resztę też uzyskamy, bo mamy rzecz najważniejszą: nasze niezależne, samorządne związki zawodowe. To jest nasza

gwarancja na przyszłość!”[99] Podkreślił słowa „niezależne” i „samorządne”, niczym magiczną mantrę, i dopiero wówczas powiedział: „Uznaję strajk za zakończony”.

Teraz przyszła kolej na Jagielskiego. Przemawiać miał wobec delegatów i olbrzymiego tłumu, który zgromadził się przed budynkiem, stojąc w pełnym, sierpniowym słońcu. Wicepremier ostatnie czterdzieści osiem niespokojnych godzin spędził, krążąc między Gdańskiem i Warszawą, gdzie zdawał relacje swoim kolegom w Politbiurze i ambasadorowi ZSRR. Kreml nigdy nie odpowiedział na doktrynalne zapytanie o wolne związki zawodowe. Polscy przywódcy uznali, że to milczenie oznacza, iż Sowieci dają im wolną rękę, byle tylko doprowadzili do zakończenia strajków.

„Szanowni zebrani” - zaczął Jagielski. - „Pokazywaliśmy, jaka jest sytuacja, jakie są możliwości, co można zrobić, do czego można się zobowiązać i co potem konsekwentnie realizować. Potwierdzam i w pełni podtrzymuję, co było powiedziane. Rozmawialiśmy tak, jak Polacy ze sobą powinni rozmawiać. Jak rozmawia Polak z Polakiem”.

Kiedy powtórzył sformułowanie Wałęsy, przemówienie przerwał wybuch oklasków. W powszechnej opinii Jagielski dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków w ciągu tygodniowych negocjacji. Z godnością reprezentował skorumpowany i niepopularny reżym.

Po wyjeździe delegacji rządowej członkowie komitetu strajkowego dźwignęli Wałęsę na ramiona i po raz ostatni ponieśli go do bramy numer dwa. Cała stocznia śpiewała mu *Sto lat*. Kiedy Wałęsa wspiął się na wózek widłowy i wzniósł zaciśniętą pięść na znak zwycięstwa, olbrzymi tłum wybuchnął skandowanym okrzykiem: „Le-szek, Le-szek!” Wyglądało to jak scena z filmu: morze radosnych, choć wymęczonych twarzy, biało-czerwona flaga powiewająca na wietrze i czerwony transparent z napisem „Robotnicy wszystkich fabryk, łączcie się!” I rzeczywiście, ta scena trafiła do filmu. W tłumie przy stoczniowej bramie był też Andrzej Wajda, któremu właśnie przyszedł do głowy pomysł na nowy film, *Człowieka z żelaza*.

Kiedy ucichły wiwaty, Wałęsa powiedział do tłumów, że niczego nie byłby w stance osiągnąć sam. „Zrobiliśmy to razem. Wszyscy razem. To jest nasza moc. Tb jest nasza siła”. Potem przypomniał swoim słuchaczom, dlaczego wracał pod bramę numer dwa. Moja działalność wiąże się z Grudniem 1970. Może mnie ktoś oskarży, że jestem dyktatorem, ale powiem, że musimy się spotykać tutaj

16 grudnia. Zawsze, zawsze. Zawsze musimy pamiętać tych, którzy zostali zabici”'[100].

Znów zaczęto skandować „Le-szek, Le-szek!”- tym razem ze zdwojoną siłą. Robotnicy w żółtych kaskach otwarli bramę stoczni na całą szerokość i strajkujący wylali się na skąpane w słońcu ulice Gdańska. W tej chwili wszystko wydawało się możliwe. Sierpień był triumfem pamięci nad zapomnieniem. Tymczasem jednak zaczęły się zbierać chmury burzowe.

WASZYNGTON
3 grudnia 1980

Doradca prezydenta Jimmy'ego Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego, śledzący rozwój wydarzeń w Polsce ze swego biura w Białym Domu, popadał w coraz większy pesymizm. Jak większość amerykańskich Polaków, Zbigniew Brzeziński był podekscytowany powstaniem Solidarności i wskrzeszeniem patriotyzmu Polaków, ale też nie mógł uwierzyć, że Kreml zignoruje tak poważne zagrożenie dla swojego panowania nad krajami obozu socjalistycznego. Związek Radziecki wielokrotnie demonstrował - we Wschodnich Niemczech w 1953 roku, na Węgrzech w roku 1956 i w Czechosłowacji w 1968 - że jest gotów do użycia siły w obronie swego wschodnioeuropejskiego imperium. Historia Polski natomiast pełna była bohaterskich, acz kończących się zawsze klęską, powstań przeciwko rosyjskiej władzy.

Brzeziński bardzo dobrze wiedział, że Stany Zjednoczone nie zapobiegną wysłaniu radzieckich czołgów do Polski, jeśli nie będą gotowe podjąć ryzyka wojny nuklearnej. A to oznaczałoby podbicie stawki. Jeśli Waszyngton miałby powody wierzyć, że Związek Radziecki przygotowuje inwazję na Polskę, zobowiązany był o tym powiedzieć. W sierpniu 1968 roku Stany Zjednoczone zdobyły niezbite dowody, że wokół granic Czechosłowacji odbywają się zmasowane manewry wojskowe, ale nie zareagowały. Brzeziński był przekonany, że bierność Amerykanów mimowolnie wzmocniła pozycję twardogłowych w radzieckim Politbiurze. Gdyby administracja Johnsona ostrzegła Breżniewa, że inwazja na Czechosłowację wywrze zgubny wpływ na stosunki Wschód-Zachód, historia mogłaby się potoczyć innym torem. Brzeziński, autor popularnego podręcznika uniwersyteckiego o bloku radzieckim, był zdecydowany uchronić Cartera od powtórzenia błędu Johnsona. Zgodnie z jego strategią, należało czynić wokół sprawy tyle hałasu, ile tylko było możliwe, aby wyperswadować Sowietom interwencję wojskową[101].

Na początku grudnia satelity szpiegowskie dostarczyły informacji, która zdawała się potwierdzać najgorsze przeczucia Brzezińskiego. Na fotografiach satelitarnych widać było, że ruch cywilny na granicy PRL i NRD prawie zamarł, co wskazywało na to, że została zamknięta. Żołnierze radzieccy przy granicy z Polską rozbijali namioty szpitalne i gromadzili zapasy amunicji. W północnej Czechosłowacji długie kolumny czołgów i artylerii przemieszczały się ku Polsce. Oblodzone drogi były zdradliwe; wybrano wyjątkowo dziwną porę roku jak na tak

potężne manewry. Raz po raz czołgi obsuwały się do rowów albo uderzały w słupy telegraficzne. Na terytorium Polski dwie radzieckie dywizje pancerne, stacjonujące pod Legnicą, postawiono w stan podwyższonej gotowości.

Informacje zebrane dzięki satelitom szpiegowskim potwierdzał wyjątkowo dobrze ulokowany agent. Rozczarowany komunizmem i rozgoryczony masakrą robotników w Gdańsku w 1970 roku pułkownik Ryszard Kukliński od blisko dziesięciu lat współpracował z CIA. Był wymarzonym informatorem wywiadu. Błyskotliwy oficer sztabowy, cieszący się całkowitym zaufaniem ministra obrony, generała Wojciecha Jaruzelskiego, miał dostęp do najściślejszych tajemnic reżymu. Zdołał dostarczyć do Waszyngtonu sensacyjne szczegóły o radzieckich planach wojennych i o tym, do jakiego stopnia polskie wojsko uzależnione jest od Kremla. W październiku 1980 roku, na trzy miesiące przed utworzeniem Solidarności, został zaproszony do tajnego zespołu powołanego w Ministerstwie Obrony Narodowej, który miał przygotować podstawy do wprowadzenia stanu wojennego. Mógł teraz na bieżąco informować CIA o wszystkich szczegółach radzieckiej kampanii zastraszania polskiego rządu[102].

Na początku grudnia Ryszard Kukliński doniósł, że Kreml postawił Jaruzelskiemu ultimatum. Osiemnaście dywizji wojsk Układu Warszawskiego - piętnaście radzieckich, dwie czechosłowackie i jedna niemiecka - wkroczy do Polski 8 grudnia o północy. Polska armia otrzymała rozkaz pełnej współpracy. Operację przedstawiano jako rutynowe ćwiczenia pod kryptonimem „Sojuz 80”. W praktyce była to zakamuflowana inwazja. Jaruzelski był tak wstrząśnięty, że zamknął się w swoim gabinecie, nie chcąc widzieć nawet swoich najbliższych współpracowników. Szczególnie załamany był tym, że w operacji mają uczestniczyć także oddziały niemieckie. Jeśli groźby z ultimatum miały zostać spełnione, oznaczałoby to, że armie niemiecka i radziecka wspólnie dokonają rozbioru Polski po raz drugi w ciągu półwiecza. Polski Sztab Generalny był zaskoczony i sparaliżowany[103].

Obawa przed nowym rozbiorem popchnęła Brzezińskiego do działania. Opuściwszy Polskę w wieku dziesięciu lat, na krótko przed inwazją nazistowskich Niemiec, zerwał z nią większość swych związków. Ale czuł się częścią znaczącej diaspory polskiej, której członkami byli, między innymi, Karol Wojtyła - papież Jan Paweł II, sekretarz stanu Edmund Muskie, izraelski premier Menachem Begin i laureat literackiej Nagrody Nobla w 1980 roku, Czesław Miłosz. (W czasie kryzysu Solidarności emigracja pełniła funkcję wpływowej międzynarodowej grupy doradczej do spraw Polski. W szczególnie krytycznym momencie papież i

doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego konferowali przez telefon w swoim ojczystym języku).

Brzeziński, syn przedwojennego polskiego dyplomaty, w pewnej mierze znał też Jaruzelskiego - generała, który dwanaście miesięcy później wprowadził wymierzony przeciwko Solidarności stan wojenny. Starszy brat przyrodni Brzezińskiego i Jaruzelski chodzili w Warszawie do katolickiej szkoły prowadzonej z wojskowym drylem przez ojców marianów[104]. Obaj chłopcy spędzali razem sporo czasu, służąc do mszy, spacerując w swoich granatowych mundurkach i śpiewając piosenki sławiące polskiego dyktatora wojskowego, marszałka Piłsudskiego. Kiedy wybuchła wojna, losy rzuciły ich w różne strony. Jaruzelscy zostali zesłani do Związku Radzieckiego i później wrócili do Polski jako wyznawcy komunizmu. Brzezińscy trafili do Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Przez kilka ostatnich dni Brzeziński nawoływał Polaków do porzucenia dzielących ich różnic w obliczu zagrożenia radzieckiego. Doradzał wysłannikom Solidarności, by zespolili swe wysiłki i nie ryzykowali konfrontacji. Przywódców rządowych zachęcał, by zapewniali Moskwę o woli Polski pozostania w Układzie Warszawskim, ale sprzeciwiali się radzieckiej inwazji. Po raz kolejny myślą przewodnią jego strategii było pragnienie uniknięcia błędów przeszłości. Sowieci zdolni byli do bezwzględnego działania w Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku, ponieważ z góry wiedzieli, że armia czechosłowacka nie stawi im oporu“”'.

Zaniepokojony upływem czasu, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego namówił Cartera, by skorzystał z „gorącej linii” i przesłał wiadomość Breżniewowi. „Gorąca linia” dalekopisowa łącząca Biały Dom z Kremlem pod względem technologicznym była mniej doskonała od telefonu, ponieważ nie dawała możliwości kontaktu głosowego (faksy zainstalowano dopiero w 1986 roku). Ale już to, że amerykański prezydent posługuje się urządzeniem, którego początki wiążą się z kryzysem kubańskim 1962 roku, kiedy to problemy komunikacyjne zaprowadziły świat na skraj wojny nuklearnej - podkreślała powagę chwili.

Po kilku minutach rozklekotana maszyna zainstalowana na korytarzu obok gabinetu Breżniewa wypluwała wiadomość od prezydenta USA. List zaczynał się uspokajającą nutą: PRAGNĘ POINFORMOWAĆ PANA, ZE DZIŚ WIECZOREM ZŁOŻĘ OŚWIADCZENIE WYRAŻAJĄCE ZANIEPOKOJENIE WYDARZENIAMI ZWIĄZANYMI Z POLSKĄ. ZANIM TO NASTĄPI, CHCIAŁBYM PRZEKAZAĆ PANU, ŻE STANY ZJEDNOCZONE SĄ ABSOLUTNIE ZDECYDOWANE NIE WYKORZYSTYWAĆ WYPADKÓW W POLSCE ANI ZAGRAŻAĆ

USPRAWIEDLIWIONYM INTERESOM BEZPIECZEŃSTWA ZWIĄZKU RADZIECKIEGO W TYM REGIONIE.

Potem jednak nadeszła groźba: JEDNOCZEŚNIE JEDNAK MUSZĘ STWIERDZIĆ, ŻE ROZWIĄZANIE NARZUCONE NARODOWI POLSKIEMU SIŁĄ WPŁYNĘŁOBY JAK NAJBARDZIEJ NEGATYWNIE NA NASZE STOSUNKI[106]. Pięciozdaniowa wiadomość była podpisana cokolwiek absurdalnie: Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI, JIMMY CARTER.

O godzinie 16.21 czasu waszyngtońskiego - dwadzieścia jeden minut po północy w Moskwie - z Kremla nadeszło potwierdzenie odebrania wiadomości.

MOSKWA
5 grudnia 1980

Lecąc do Moskwy na wezwanie radzieckiego kierownictwa, Stanisław Kania i Wojciech Jaruzelski mieli poczucie nadchodzącej katastrofy. Wiedzieli, że sojusznicze wojska Układu Warszawskiego obozują wzdłuż granic Polski, w każdej chwili gotowe je przekroczyć. Żołnierzom rozdawano ostrą amunicję, stawiano połowę szpitale z myślą o rannych, zainstalowano już linie łączności. Prośby Kani i Jaruzelskiego o prywatne spotkanie z Breżniewem były odrzucane. Polscy przywódcy zostali wyłączeni z udziału w pierwszym dniu radzieckiego szczytu, podczas którego miały zapaść decyzje o losie ich kraju.

Kania, który objął stanowisko pierwszego sekretarza po Gierku, myślał o swoim synu, Mirku, który właśnie służył w wojsku[107]. Nikt nie wiedział, jak zachowają się polscy żołnierze w razie inwazji radzieckiej. Nawet jeśli zostaną zamknięci w koszarach, bardzo prawdopodobny będzie wybuch spontanicznego oporu, który niemal na pewno zakończy się strasznym przelewem krwi. Jaruzelski wspominał wiele polskich buntów przeciwko obcej władzy, które kończyły się krwawą klęską. Jego dziad wraz ze swoimi braćmi został skazany na dwanaście lat zesłania na Syberię za udział w antycarskim powstaniu styczniowym w 1863 roku[108].

Podobnie jak Brzeziński, Kania i Jaruzelski wciąż myśleli o zdławieniu przez Sowietów Praskiej Wiosny 1968 roku. Czechosłowaccy reformatorzy pod wodzą Dubćeka utracili zaufanie Moskwy, mówiąc o „socjalizmie z ludzką twarzą” i manipulując świętym Graalem ideologii marksistowsko-leninowskiej. Polscy komuniści przyjęli inną strategię. Przedstawiali siebie jako godnych zaufania obrońców socjalizmu w radzieckim stylu. Kiedy zaatakowali ich inni przywódcy bloku radzieckiego, potulnie przyjęli słowa krytyki. Przyznali, że „siły antysocjalistyczne” stanowią poważne zagrożenie. Jednocześnie upierali się, że sytuacja jest pod kontrolą i że dysponują zarówno wolą, jak i środkami do pokonania wrogów socjalizmu. Sugerowali nawet, że jeśli wypadki naprawdę wymkną się spod kontroli, sami poproszą o „bratnią pomoc”[109].

Na miejsce przesłuchania radzieccy przywódcy wybrali willę stojącą na Wzgórzach Lenina. Widok wijącej się rzeki Moskwy i pozłacanych kopuł monastyru Nowodziewiczego od stuleci przyciągał tu władców i pretendentów do władzy w Rosji. Z tego miejsca we wrześniu 1812 roku Napoleon - zdobywca całego kon-

tynentu - wpatrywał się w płonące dachy Moskwy. Zderzywszy się z taktyką armii rosyjskiej, polegającą na paleniu wszystkiego i pozostawianiu za sobą gołej ziemi, tu właśnie doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak odwrót do Paryża na czele swej gwałtownie topniejącej *Grande Armée.* Był to moment zwrotny jednej z wielkich historycznych kampanii wojskowych. W okresie radzieckim Politbiuro nakazało wybudować na szczytach wzgórz luksusowe domy gościnne. Otoczono je wysokimi betonowymi murami zaopatrzonymi w ciężkie, kute w stali bramy. To właśnie tutaj polskim przywódcom miano przedstawić dowody kontrrewolucji.

Polaków wprowadzono do wielkiej sali konferencyjnej, wyposażonej w stanowiska do tłumaczeń symultanicznych. Okna były szczelnie zasłonięte. Przywódcy Związku Radzieckiego i innych krajów Układu Warszawskiego, którzy poprzedniego dnia odbyli już zamknięte spotkanie, patrzyli na nich zza wielkiego stołu, nad którym wisiały ciężkie żyrandole. Dwaj spośród obecnych, Janos Kâdâr z Węgier i Gustav Husak z Czechosłowacji, objęli władzę w wyniku interwencji radzieckiej. Trzeci, Erich Honecker, dochodził w 1953 roku do stanowisk, pokonując szczeble kariery w komunistycznym ruchu młodzieżowym, kiedy radzieckie czołgi stłumiły powstanie robotników w Berlinie.

To Honecker odgrywał rolę Wielkiego Inkwizytora. Przestraszony, że „polska zaraza" może się rozszerzyć na Niemcy Wschodnie, był szczególnie aktywnym zwolennikiem radzieckiej interwencji wojskowej. Zaproponował nawet pomoc dwóch do czterech niemieckich dywizji dla zapewnienia przedsięwzięciu sukcesu. Przed podróżą do Moskwy uzyskał od swoich kolegów z Politbiura pełnomocnictwa na wypadek inwazji[110].

„Dla socjalizmu w Polsce powstają zagrożenia i trzeba je zatrzymać Istniało niebezpieczeństwo zmiany ustroju, a polskie możliwości są już prawie wyczerpane. (Gotowi jesteśmy pomoc w walce z kontrrewolucją, dorozumienia z Gdańsku i Szczecina to błąd, kapitulacja przed wrogimi siłami. Nie wolno się cofać ani na krok"[111].

Honecker, fanatyk sprawności fizycznej, codziennie ćwiczył w swojej prywatnej siłowni. Miał mnóstwo doświadczeń związanych z obroną „zdobyczy socjalizmu". Jako szef enerdowskiej służby bezpieczeństwa w sierpniu 1961 roku nadzorował budowę Muru Berlińskiego. Nazywany przez komunistów „Ochronnym Murem Antyfaszystowskim", ów prawie dwustukilometrowy pas betonu, drutu kolczastego i stanowisk karabinów maszynowych miał zapobiec ucieczkom mieszkańców NRD na Zachód. Wybudowano go w błyskawicznym tempie: w

ciągu jednej nocy podzielono na dwie części jedno z największych miast w Europie. Konstrukcja ta była dla Honeckera powodem do wielkiej satysfakcji. Wspominał później, że dzięki temu zmusił świat, by „zauważył” Niemiecką Republikę Demokratyczną[112].

Nicolae Ceausescu, niezależny dyktator rumuński fetowany w zachodnich stolicach za to, że odmówił udziału w inwazji na Czechosłowację, tym razem przyłączył się do ataku. Dążąc do zdobycia popularności we własnym kraju i nakłonienia Zachodu, by udzielił mu koncesji handlowych, samozwańczy „Geniusz Karpat” twierdził, że realizuje politykę „narodowej niezależności”. W rzeczywistości jego władza była wierną kopią reżymu stalinowskiego. Jako najwyższy przywódca (*conducator)* Rumunii, Ceausescu zawdzięczał swą władzę wszechobecnej służbie bezpieczeństwa, niewolniczo lojalnej partii i kultowi jednostki doprowadzonemu do absurdalnych rozmiarów. Był dość bystry, aby zrozumieć, że wszystkie jego zdobycze mogą zostać zakwestionowane, jeśli pozwoli się na rozszerzenie „polskiej zarazy”.

„Każdy kompromis jest równoznaczny z kapitulacją Partii” - pojękiwał *conducator*. - „Oprócz środków politycznych trzeba też poczynić inne kroki, które wzmocnią władze państwowe i zdławią kontrrewolucję. Trzeba wprowadzić element siły”.

Teraz przyszła kolej Kadara. Zainstalowany u władzy przez Armię Czerwoną w następstwie powstania w 1956 roku, węgierski przywódca cieszył się opinią najbardziej wrażliwego i giętkiego polityka w Europie Wschodniej, złagodził swój image „rzeźnika z Budapesztu”, popularyzując ideologię konsumpcyjną (tak zwany komunizm gulaszowy) i eksperymentując z mechanizmami rynkowymi w gospodarce. Ale pozostał brutalnym realistą, jeśli chodzi o granice radzieckiej tolerancji i charakter swoich kremlowskich patronów. „Czy wiecie, z jakimi ludźmi macie do czynienia?” - ze zdenerwowaniem pytał Dubćeka na trzy dni przed wkroczeniem oddziałów radzieckich do Czechosłowacji"[3]. .Jego własna, starannie konstruowana strategia mogła upaść w efekcie rewolucyjnych zmian, jakie dokonywały się w Polsce.

Załamującym się ze zdenerwowania głosem Kadar mówił swoim kolegom z bloku radzieckiego, że to, co się dzieje w Polsce, jest „polską sprawą”, ale ma wpływ na „całą socjalistyczną wspólnotę”. „Uważamy, że polscy towarzysze dadzą sobie radę. Musimy jednak pokazać naszą solidarność z nimi i zaofiarować im swoją pomoc”.

„Wojskowa pomoc udzielona Czechosłowacji w 1968 roku przez inne kraje socjalistyczne okazała się absolutnie niezbędna” - zapiszczał Husak, odpowiedzialny za „normalizację” w Czechosłowacji tuż po radzieckiej inwazji. - „Polskie kierownictwo jest dobre, ale brakuje mu odwagi i zdecydowania”.

Oczy Husaka zaszły łzami. Był on ofiarą stalinowskich represji i spędził siedem lat w więzieniu na podstawie dętych zarzutów o „nacjonalizm burżuazyjny”, ale nie powstrzymało go to od przeprowadzenia czystki, w wyniku której czechosłowacka partia komunistyczna, po obaleniu Dubćeka, utraciła jedną trzecią członków. Duszna atmosfera polityczna sprawiła, że stał się obiektem nienawiści czechosłowackich intelektualistów, z których wielu było zmuszonych do podejmowania pracy fizycznej. Husaka to jednak nie obchodziło. Niezwykle ambitny, rozumiał, że droga do sukcesu w kraju komunistycznym oznacza spełnianie życzeń Moskwy, i to bez zadawania zbędnych pytań.

Każdemu udzieliwszy głosu, kremlowscy przywódcy zgotowali swoim polskim partnerom kolejną rundę zastraszania, tym razem jeden na jednego. Jaruzelski usiłował przekonać Ustinowa, że polskie wojsko - w przeciwieństwie do czechosłowackiej armii w 1968 roku - jest lojalne i zdyscyplinowane. Radziecki minister obrony zbył tę uwagę milczeniem. Ubrany w mundur marszałka, nadymał się i walił pięścią w stół, wciąż powtarzając: „Trzeba działać z determinacją. Trzeba atakować”[114].

Do decydującego starcia doszło między dwoma przywódcami partyjnymi. Kania usiłował wytłumaczyć Breżniewowi, że radziecka interwencja wojskowa nie tylko może spowodować powszechne powstanie, ale będzie też miała katastrofalny wpływ na stosunki międzynarodowe. Przypomniał, jak młodzi Polacy atakowali niemieckie czołgi koktajlami Mołotowa w czasie powstania warszawskiego pod koniec II wojny światowej. Mówił Breżniewowi, że żaden naród w Europie nie jest skłonny do podejmowania tak wielkiego ryzyka w imię niepodległości. W końcu Kania obiecał sekretarzowi generalnemu, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza nie dopuści do jakichkolwiek zmian „ładu konstytucyjnego”.

Kiedy Kania skończył, zniedołężniały Breżniew wypowiedział enigmatyczne słowa, które zdawały się wyrażać całościowe podejście Kremla do kryzysu: „No dobrze, nie wejdziemy”.

Breżniew przerwał, usiłując wziąć oddech.

„Ale jeśli będą jakieś komplikacje, wejdziemy. Wejdziemy”.

Jeszcze jedna długa pauza.

„Ale bez was nie wejdziemy”[115].

W kilka godzin później głównodowodzący Układu Warszawskiego cofnął rozkaz wkroczenia do Polski 8 grudnia na ćwiczenia „Sojuz 80”. Rozkaz ten trafił już wcześniej do osiemnastu świetnie wyszkolonych dywizji[116]. Pierwszy etap kryzysu został zakończony. Drugi właśnie miał się rozpocząć.

Kiedy polscy przywódcy lecieli do Warszawy, radzieckie, wschodnioniemieckie i czechosłowackie wojska, które czekały na sygnał do zgniecenia „kontrrewolucji” w Polsce, zaczęły się wycofywać znad granicy. Mijały dni, a groźba radzieckiej interwencji nie materializowała się. W zachodnich stolicach odetchnięto z ulgą. Stosunki między mocarstwami, już poważnie nadszarpnięte przez inwazję na Afganistan, nie wrócą do ery lodowej. Ale pozostało dręczące pytanie: Co spowodowało, że starcy na Kremlu wycofali się znad krawędzi?

W swoich pamiętnikach zarówno Kania, jak i Brzeziński przypisują sobie, przynajmniej częściowo, zasługę przekonania Breżniewa, by się wycofał. Argumenty polskich przywódców oraz publiczne i zakulisowe ostrzeżenia formułowane przez Biały Dom musiały wywrzeć jakiś wpływ na kalkulacje Sowietów. Ale dokumenty Politbiura, odtajnione po upadku komunizmu, dają inne wytłumaczenie radzieckiej powściągliwości. Radzieccy przywódcy nie chcieli dokonywać inwazji na Polskę, traktując to jako ostateczność, dopuszczalną jedynie w razie wybuchu masowych zamieszek. Kreml przyjął strategię wywierania nacisku na polskie kierownictwo, aby samo wykonało brudną robotę. Manewry wojskowe na wielką skalę wokół polskich granic - które musiały być obserwowane przez amerykańskie satelity wywiadowcze - były szczególnie skuteczną metodą presji psychologicznej. Być może także Amerykanie, kilkakrotne ostrzegając o radzieckiej inwazji na Polskę, mimowolnie przysłużyli się Moskwie: zwiększało to wszak nacisk na Warszawę, by poczyniła bardziej zdecydowane kroki przeciwko Solidarności.

Z kremlowskich dokumentów wynika, że radzieckie kierownictwo zaczęło aktywnie rozważać możliwość wprowadzenia stanu wojennego już w październiku - całe czternaście miesięcy przed tym, nim Jaruzelski w końcu sam powziął nieodwołalną decyzję. Wiedzieli o awaryjnych planach wprowadzenia stanu wyjątkowego i chcieli, aby polskie kierownictwo je zrealizowało. Breżniew przeciwstawiał bierność polskiego kierownictwa polityce represji przyjętej przez następców Ti ty w Jugosławii. Za pretekst do aresztowania trzystu albańskich dysydentów posłużyły tam drobne przestoje w pracy.

„Wałęsa podróżuje z jednego końca kraju na drugi i przyjmowany jest z wszelkimi honorami” - narzekał Breżniew. - „Może rzeczywiście powinni wprowadzić stan wojenny”.

Inni członkowie Politbiura zgodzili się z nim. „Jeśli stan wojenny nie zostanie wprowadzony, sytuacja będzie się coraz bardziej komplikowała” - stwierdził Ustinow. - „Dochodzi do wstrząsów w [polskiej] armii”[117].

Ostentacja, z jaką radzieccy generałowie ogłaszali swoje plany inwazji polskim kolegom, także miała posmak politycznej groźby. Sowieci pozwolili wręcz członkom polskiej delegacji na skopiowanie mapy pokazującej dokładnie, gdzie będzie rozmieszczonych osiemnaście dywizji wojsk Układu Warszawskiego. Polscy oficerowie sztabowi towarzyszyli radzieckiej misji rozpoznawczej do Polski[118]. Wspominając po dwunastu latach wydarzenia grudnia 1980 roku, Jaruzelski przyznał, że w czasie pamiętnego spotkania radzieccy przywódcy odgrywali przedstawienie, żeby Polacy „ze strachu odchodzili do zmysłów”[119]. Zastępca szefa sztabu Układu Warszawskiego, generał Anatolij Gribkow, przyznał, że Kreml chciał „wywrzeć nacisk na polskie kierownictwo i społeczeństwo w każdy możliwy sposób”[120].

Operacja przyniosła zamierzone efekty. Po powrocie z Moskwy Jaruzelski zarządził przyśpieszenie przygotowań do stanu wojennego. Sporządzano listę czterech tysięcy głównych działaczy Solidarności, którzy mieli być internowani natychmiast po ogłoszeniu stanu wojennego[121].

Na początku 1981 roku strategia Kremla była jasna. „Musimy ciągle naciskać na polskie kierownictwo” - powiedział Ustinow 29 stycznia w czasie posiedzenia Politbiura. - „W marcu zamierzamy przeprowadzić w Polsce manewry wojskowe. Myślę, że powinniśmy je rozszerzyć, aby stworzyć wrażenie, że nasze oddziały są gotowe [do interwencji]”[122]. Trzy miesiące później w tajnym kremlowskim dokumencie określono polskie obawy przed radziecką inwazją, jako „czynnik powstrzymujący kontrrewolucję”, który winien być „wykorzystany w możliwie najszerszym zakresie”[123].

Presja na polskie kierownictwo osiągnęła szczyt w początkach kwietnia - w kilka dni po kolejnej, mocno nagłośnionej groźbie inwazji. Radzieckie samoloty wojskowe zaczęły latać nad Polską bez proszenia o pozwolenie[124]. Potem Sowieci wysłali samolot wojskowy, na którego pokładzie Kania i Jaruzelski mieli się udać na potajemne spotkanie z Ustinowem i Andropowem. Mając w pamięci los setek tysięcy swoich rodaków, polscy przywódcy zastanawiali się, czy kiedykolwiek powrócą z tej podróży[125]. Rozmowy odbyły się w wagonie kolejowym, w

lesie, po radzieckiej stronie granicy. Przez pełnych sześć godzin Ustinow i Andropow oskarżali Polaków, że przymykają oko na „kontrrewolucję" i nie reagują na „ataki antyradzieckie". Tyrady trwały do trzeciej nad ranem.

Kania i Jaruzelski uchylili się od spełnienia radzieckiego żądania natychmiastowego wprowadzenia stanu wojennego, ale obiecali, że „przywrócą porządek własnymi siłami". Andropow doniósł radzieckiemu Politbiuru, że polscy towarzysze wydawali się „niezwykle spięci", „nerwowi" i „wykończeni" psychicznie[126].

Sowieci wciąż grozili interwencją zbrojną, ale przecież mieli wiele powodów, by unikać takiego posunięcia. Przede wszystkim nie przemawiały za tym względy ekonomiczne. Wyższy rangą oficjel radziecki tłumaczył Honeckerowi, że korciło ich, by dać Polakom nauczkę, ale gospodarka radziecka osłabiona była trzema z rzędu fatalnymi zbiorami płodów rolnych. Produkcja ropy naftowej, napędzająca zarówno machinę militarną, jak i gospodarkę cywilną, spadła o blisko dziesięć procent poniżej przewidywań z 1980 roku, Planiści liczyli na duży wzrost eksportu gazu ziemnego, który wyrównałby braki, ale było to możliwe tylko pod warunkiem otrzymania z Zachodu wielkiego wsparcia technicznego i finansowego[127]. Jeśli Zachód odpowiedziałby na interwencję w Polsce, wprowadzając embargo handlowe - rezultaty byłyby katastrofalne[128].

Względy militarne były jeszcze bardziej nieodparte. Niemal sto tysięcy radzieckich żołnierzy już walczyło w Afganistanie. Operacja, która zgodnie z planami miała być szybka i stosunkowo bezbolesna, przeobrażała się w klasyczne wojskowe bagno. Co gorsza - nie było widać jego końca. Andropow, który brał udział w opracowywaniu planów inwazji, zdał sobie teraz sprawę, że radzieckie wojsko nie jest przygotowane do takich niekonwencjonalnych działań. Niektórzy jego współpracownicy odnieśli wrażenie, że namyślał się nad całą operacją[129]. W każdym razie inwazja na Polskę nadwerężyłaby siły Kremla do granic możliwości.

„W praktyce już mamy trzy fronty" - powiedział Ustinow, tłumacząc radziecką wizję świata Jaruzelskiemu, kiedy obaj ministrowie obrony dokonywali inspekcji oddziałów uczestniczących we wspólnych ćwiczeniach wojskowych. Starając się przekrzyczeć silniki helikoptera, radziecki marszałek wyliczał „fronty" na palcach. Były to kolejno: Afganistan, Chiny, które współpracowały ze Stanami Zjednoczonymi, i w końcu Polska, gdzie Solidarność zachowywała się jak koń trojański imperializmu. W domyśle oznaczało to, że trzeba zlikwidować jeden z tych frontów[130].

Michaił Susłow, ideolog Biura Politycznego i szef komisji do spraw Polski, jeszcze zwięźlej ujął problem. Powiedział swoim współpracownikom, że Związek Radziecki po prostu nie może sobie pozwolić na „drugi Afganistan”[131].

Podobnie jak generałowie walczący w ostatniej wojnie, zarówno polscy, jak i zachodni politycy opanowani byli obsesją „wariantu czeskiego”. Ale świat zmienił się od 1968 roku, a między Czechosłowacją i Polską było wiele różnic. Nawet gdyby Kreml nie ugrzązł w Afganistanie, inwazja na Polskę była o wiele trudniejszym przedsięwzięciem wojskowym niż relatywnie pokojowa operacja w Czechosłowacji. Polaków było ponad dwukrotnie więcej niż Czechów i Słowaków. Polska ma też historyczne doświadczenie w opieraniu się obcym wojskom. Co więcej, Sowieci nigdy nie postawili krzyżyka na polskim kierownictwie - jak na Dubćeku. Szczególnie Jaruzelski cieszył się w Moskwie sporym szacunkiem[132].

W czasie potajemnego spotkania w wagonie kolejowym stojącym pośród białoruskich lasów Ustinowa niepokoiło, że Jaruzelski i Kania są przybici. Nie odpowiadało mu też, że wciąż zwlekają. Obcesowo zbywał milczeniem prośby Jaruzelskiego o przyjęcie jego rezygnacji ze względu na przemęczenie. „Ci dwaj są nam potrzebni” - powiedział kilka dni później jednemu ze swych kolegów z Politbiura[133].

Radzieccy przywódcy traktowali swoich polskich partnerów jak podwładnych, związanych dyscypliną międzynarodowego ruchu komunistycznego. Kiedy Breżniew telefonował do Kani lub Jaruzelskiego, zwracał się do nich per „ty”, jakby rozmawiał z podrzędnym funkcjonariuszem partyjnym z Omska albo z Tomska. Polscy politycy natomiast zawsze starali się używać wobec niego grzecznościowej formy „wy”. Kania i Jaruzelski odpowiadali na niezrozumiałe monologi, jakby były esencją ludzkiej mądrości, potulnie dziękując mu za jego stałe „zaufanie” i „poparcie”. Sposób, w jaki Sowieci traktowali polskich przywódców, był niekiedy bezinteresownie obraźliwy. Głównodowodzący wojskami Układu Warszawskiego, marszałek Wiktor Kulikow, wyrzucił nawet Kanię za drzwi swej rezydencji, rzekomo za to, że był pijany[134].

W wielkiej politycznej partii pokera rozgrywanej w latach 1980-1981 radzieccy przywódcy mieli olbrzymią przewagę. Bez trudu mogli zaglądać w karty przeciwnika. Polacy i Amerykanie wiedzieli, że Sowieci mogą dokonać inwazji, ale tylko się domyślali, jakie są ich prawdziwe intencje. W przeciwieństwie do nich, Sowieci mieli dostęp do szczegółowych informacji z pierwszej ręki na temat

praktycznie wszystkiego, co się działo w polskim Biurze Politycznym. Ich szpiedzy byli wszędzie: w fabrykach, w urzędach, w koszarach wojskowych. Rezydent KGB w Polsce wiedział o wszystkim, co się działo w polskim MSW. Polskie wojsko było zintegrowane z radzieckim systemem dowodzenia, obejmującym radzieckich „doradców" i „inspektorów" na każdym szczeblu[135]. Radzieccy przywódcy zwracali baczną uwagę na skłonność do alkoholu Kani czy załamania nerwowe Jaruzelskiego.

W końcu ta dogłębna znajomość mocnych i słabych stron pozwoliła Sowietom na przekucie swej klęski - w sukces.

WARSZAWA
12 grudnia 1981

Szczupły, sztywny i chorobliwie nieśmiały Wojciech Jaruzelski był dla swoich rodaków wielką zagadką. Z jego przemówień wynikało, że jest ortodoksyjnym marksistą. Przyswoił sobie polityczną terminologię zdobywców Polski. Wiedziano, że Moskwa mu ufa; w przeciwnym razie nie zostałby, w wieku trzydziestu trzech lat, najmłodszym generałem w polskiej armii. Ale Polacy byli także pod wrażeniem jego arystokratycznych manier i doskonałej dykcji. Mówiono, że pochodził z rodziny szlacheckiej, uprzywilejowanego ziemiaństwa, stanowiącego kręgosłup Polski przedwojennej. Mówiono, że Jaruzelski i jego rodzina doznali radzieckich prześladowań. To, co naprawdę myślał arystokratyczny generał, uprawiający szermierkę i jazdę konną, wydawało się na zawsze ukryte za grubymi szkłami ciemnych okularów.

Młody Wojciech dorastał w maleńkich Trzecinach, położonych w lesistych rejonach na północny wschód od Warszawy. Tam zakłopotanie było jeszcze większe. Mieszkańcy Trzecin pamiętali jego ojca, Władysława, który wsławił się męstwem w walkach z bolszewikami w czasie wojny polsko-radzieckiej w 1920 roku. Pamiętali jego matkę, Wandę - spokojną, pełną poświęcenia panią, która wychowała dzieci na dobrych katolików i dobrych Polaków, czytając im opowiadania o polskich bohaterach walczących z rosyjskim okupantem. Pamiętali też samego Wojciecha, nieśmiałego, słabowitego chłopca, nie opuszczającego żadnej niedzielnej mszy świętej. W wieku dziesięciu lat pojechał do szkoły z internatem w Warszawie. Ludziom z Trzecin trudno było uwierzyć, że był to ten sam Wojciech, który później stanął na czele komunistycznego rządu i został pierwszym sekretarzem partii komunistycznej. Coś musiało mu się stać. Opowiadano, że Sowieci porwali prawdziwego Wojciecha i zręcznie podstawili komunistycznego sobowtóra[136].

Ale to był prawdziwy Wojciech. Jaruzelski idealnie pasował do klasycznej marksistowsko-leninowskiej definicji „wroga klasowego”. Herb jego rodziny, Ślepowron, pochodzi z XIII wieku. Jego dziad od strony ojca został zakuty w kajdany i zesłany na Syberię za udział w wielkim antycarskim powstaniu w 1863 roku. Z powodu jego nieposłuszeństwa rodzinie skonfiskowano większość majątku. Mimo szlachectwa, Władysław Jaruzelski mógł być jedynie administratorem byłych dóbr rodzinnych. We wrześniu 1939 roku, po zajęciu wschodnich terenów Polski przez Armię Czerwoną, Jaruzelscy uciekli do swoich krewnych

na Litwę. Kilka dni przed atakiem Hitlera na Związek Radziecki, w czerwcu 1941 roku, Jaruzelski senior został aresztowany jako „element społecznie niebezpieczny". Z obozu pracy zwolniono go w styczniu 1942 roku, w myśl porozumienia osiągniętego przez polskiego premiera na wychodźstwie, generała Władysława Sikorskiego, ze Stalinem. Gdy ten silny, niemal stukilogramowy mężczyzna wyszedł z obozu, wyglądał jak szkielet - ważył o połowę mniej. Zmarł na dyzenterię i z niedożywienia sześć miesięcy później[137].

Resztę rodziny spotkał niemal równie ciężki los. Kiedy aresztowano jego ojca, Wojciech wraz z matką i siostrą zostali deportowani na Syberię. Podróż w przepełnionym wagonie towarowym trwała miesiąc. Na Syberii spędził blisko dwa lata, zatrudniony przy dosłownie niewolniczej pracy: ścinał drzewa i w magazynie przenosił olbrzymie worki z mąką. Cierpiał na przeszywające bóle kręgosłupa, nasilające się w okresach napięcia, jak na przykład w 1981 roku. Bezpieka namawiała Jaruzelskiego, żeby złożył podanie o obywatelstwo radzieckie w związku z zajęciem wschodnich terenów Polski przez ZSRR. Kiedy odmówił, został umieszczony w więzieniu z pospolitymi przestępcami, którzy okradali go z rzeczy osobistych i bili. Po trzech tygodniach takiego bytowania przyjął ofertę NKWD. Wkrótce potem zwrócił się z prośbą o przyjęcie do polskiej armii, formowanej na radzieckiej ziemi przez komunistycznego oficera Zygmunta Berlinga. Tłumaczył później, że wstąpienie do wojska stwarzało szansę na „powrót do Polski z bronią w ręku"[138].

Kiedy Jaruzelski jako szesnastoletni chłopak znalazł się w Związku Radzieckim, nie przejawiał wiele zrozumienia - jak delikatnie ujął to jego partyjny biograf - ani dla tego państwa, ani dla komunizmu. W szkole należał do niezwykle religijnej katolickiej organizacji młodzieżowej znanej jako Żołnierze Maryi. Jak sam wspomina, podzielał antyradzieckie przekonania szlachty. Armię Czerwoną uważał, przy pierwszym zetknięciu, za hordę barbarzyńców. „Uderzyło mnie od razu, jak wielu ich było" - pisał później. - „Miałem wrażenie, że jest tam nieprzebrane mrowie żołnierzy, odzianych w szare szynele i wyposażonych w stosy karabinów. Byłem przeświadczony, że to straszna, dziwna i wroga potęga"[139]. Mimo to po powrocie do Polski ze Związku Radzieckiego Jaruzelski stał się oddanym żołnierzem obcej ideologii. W 1947 roku, w wieku dwudziestu czterech lat, przeżył, jak to później określał, duchowe „odrodzenie". Złożył wniosek o przyjęcie do partii komunistycznej i wnet został jej członkiem[140].

Według Jaruzelskiego zadziwiające nawrócenie dokonywało się etapami. Na

bezkresach syberyjskiej tajgi przekonał się, że zwyczajni Rosjanie nie są diabłami wcielonymi, jak sobie pierwotnie wyobrażał. Zaczął dostrzegać różnicę między narodem rosyjskim a represyjnym systemem politycznym. Zaczął podziwiać ich niewiarygodną wytrzymałość i oddanie w walce, do której rzucali się z okrzykiem: „Za Stalina, za Ojczyznę!" Komunizm był z pewnością okrutny i straszny, ale miał pewne cechy, które to kompensowały. Komunistyczne marzenia o uczciwszym i sprawiedliwszym społeczeństwie nie odbiegały tak bardzo od wartości, które Wanda Jaruzelska zaszczepiła swoim dzieciom, jeśli nie liczyć tradycyjnego antyrosyjskiego nastawienia polskiej szlachty. Partia komunistyczna zdawała się oferować bardziej realistyczny program powojennej odbudowy oraz szybsze wchłonięcie dawnych ziem niemieckich niż partie burżuazyjne. Wokół partii gromadzili się nie tylko żołnierze, jak Jaruzelski, ale także intelektualiści, jak Czesław Miłosz czy Leszek Kołakowski.

Innym wyjaśnieniem ideologicznej wolty Jaruzelskiego może być jego osobowość. Od dzieciństwa z całych sił starał się zdobyć akceptację swoich przełożonych. W katolickiej szkole z internatem uważano go za wybitnego ucznia. Nasiąkł tam konserwatywnymi przekonaniami swoich mariańskich nauczycieli, śpiewając pieśni sławiące wojskowego dyktatora Polski, marszałka Piłsudskiego, i z przejęciem śledził kampanie wojskowe hiszpańskiego generała Franco. Był pełnym entuzjazmu harcerzem wzorującym się na młodocianych bohaterach uczestniczących w obronie Polski przed „czerwonym najeźdźcą". W późniejszym okresie życia tak samo usilnie starał się wywrzeć wrażenie na dowództwie Układu Warszawskiego i członkach radzieckiego Politbiura. Kiedy w 1989 roku do władzy doszła Solidarność, utrzymywał kontakty z byłymi dysydentami, na przykład z Adamem Michnikiem, których jeszcze niedawno wtrącał do więzienia.

W tym wszystkim był element walki o akceptację społeczną toczonej przez człowieka odrzuconego. W szkole zawsze był najdrobniejszym dzieckiem w klasie. W polityce komunistycznej był potomkiem rodziny szlacheckiej i nigdy - jak sam stwierdził - nie mógł się pozbyć kompleksu niższości wobec „klasy robotniczej"[141]. Na emeryturze, jako ostatni przywódca Polski komunistycznej, walczył o ocalenie swej historycznej reputacji.

W miarę pokonywania coraz wyższych szczebli drabiny biurokratycznej Jaruzelski przymykał oczy na wiele niewygodnych faktów. Posiadł żołnierski nawyk wykonywania rozkazów bez zadawania pytań. Jako minister obrony w 1968 roku nie miał zbyt wiele skrupułów, rozkazując polskiemu wojsku wziąć udział

w radzieckiej inwazji na Czechosłowację. Nigdy nie przyszło mu do głowy wątpić w prawdziwość słów radzieckiej propagandy o arsenałach niemieckiej broni i zachodnich planach zajęcia Czechosłowacji.

Czasami brak ciekawości graniczył z nienormalnością. Kiedy w październiku 1981 roku przejął po Kani fotel pierwszego sekretarza, wręczono mu klucz do sejfu kryjącego najtajniejsze sekrety i skandale polskiego reżymu. Mimo że o tym sejfie było głośno, Jaruzelski nigdy się nie pokwapił, żeby zapoznać się z jego zawartością. „Nie wiem, jak wytłumaczyć ten brak ciekawości" - wyznał potem. - „To prawdopodobnie coś bardzo osobistego"[142].

Pięć lat spędzonych w Związku Radzieckim było dlań brutalną lekcją realpolitik. Miesięczna podróż pociągiem na Syberię - na trasie dwukrotnie dłuższej niż szerokość Stanów Zjednoczonych - dała mu wyobrażenie o ogromie wschodniego sąsiada Polski. Od środka poznał potęgę radzieckiego systemu i jego sił zbrojnych. Zrywając z polskimi tradycjami romantycznymi, Jaruzelski był dumny ze swej realistycznej postawy. Z własnego doświadczenia wiedział, że opór wobec olbrzymiego imperium był bezowocny. Za swój obowiązek uważał uchronienie Polski przed horrorem kolejnej rosyjskiej inwazji. Jak stwierdził w prywatnej rozmowie z kolegą, „naszą historyczną misją jest niedopuszczenie do interwencji radzieckiej"[143].

Bez względu na przyczyny nawrócenia się Jaruzelskiego na komunizm, Sowieci darzyli go pełnym zaufaniem. Wkrótce po wyborze na pierwszego sekretarza zadzwonił do niego z gratulacjami Breżniew, namawiając go do realizacji planu zdławienia „kontrrewolucji". „Nikt w PZPR nie cieszy się tak wielkim autorytetem jak ty" - stwierdził radziecki przywódca, odczytując z przestankami przygotowany uprzednio tekst[144].

Zaufanie Kremla do Jaruzelskiego wydaje się dziwne w świetle jego pochodzenia klasowego i długotrwałych obaw radzieckich przed „bonapartyzmem", to znaczy wtrącaniem się armii do polityki. To, że Jaruzelski przetrwał represje stalinowskie w pokorze, wywarło korzystne wrażenie na radzieckich przywódcach. Zdobył też uznanie za służbę w czasie wojny, udział w budowaniu polskiego wojska pod komunistycznym dowództwem i za doskonałą znajomość języka rosyjskiego[145].

Oficjalny życiorys Jaruzelskiego nie pozostawia wątpliwości co do tego, że generał brał udział w krwawym rozrachunku z Armią Krajową w latach tuż po II wojnie światowej. Był protegowanym radzieckich generałów, którzy nadzorowali polskie Ministerstwo Obrony. Według jednej z relacji, był jedynym polskim

generałem, który w 1956 roku głosował przeciwko odwołaniu urodzonego w Rosji ministra obrony, marszałka Konstantego Rokossowskiego, i odesłaniu go do Związku Radzieckiego[146]. Jaruzelskiemu powierzono następnie odpowiedzialność za wychowanie polityczne w siłach zbrojnych. Było to wyjątkowo ważne stanowisko, zarezerwowane dla kogoś, kto potrafi dobrze ułożyć sobie współpracę z Rosjanami. Kiedy w 1968 roku mianowano go ministrem obrony, jako następcę przejawiającego skłonności nacjonalistyczne Mariana Spychalskiego[2], Sowieci byli zachwyceni[147].

W swoich pamiętnikach Jaruzelski opisał siebie jako „fanatycznego wyznawcę" doktryny komunistycznej. „Bez mówienia wiedzieliśmy, że musimy bronić naszej wiary i jej dogmatów"[148].

Radzieccy przywódcy raz po raz narzekali, że Jaruzelskiemu brakuje „odwagi" i „zdecydowania". Ale nie mieli wątpliwości co do jego „moralno-politycznej postawy"[149]. Wnikliwie studiowali jego dossier. Znali swojego człowieka.

Krok po kroku Jaruzelski obejmował wszystkie główne stanowiska w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Był zwierzchnikiem sił zbrojnych, premierem i pierwszym sekretarzem partii komunistycznej. Dawnemu „żołnierzowi Maryi" brakowało tylko jednego - aby ogłosił się dyktatorem. Ale wciąż nie potrafił się na to zdecydować.

Po objęciu stanowiska premiera Jaruzelski przeprowadził się do siedziby poprzedniego dyktatora wojskowego, marszałka Piłsudskiego, w Alejach Ujazdowskich[150]. To właśnie tutaj Piłsudski obmyślał program sanacji państwa po zamachu majowym w 1926 roku. Duch jego prawicowego poprzednika zdawał się straszyć Jaruzelskiego, starającego się znaleźć rozwiązanie polskich problemów. W miarę pogłębiania się kryzysu często spędzał całe noce w narożnym gabinecie na pierwszym piętrze, śpiąc na łóżku polowym. Przytłoczony poczuciem straszliwej odpowiedzialności, spędzał bezsennie długie godziny. Kilkakrotnie otworzył szufladę swego biurka, w której leżał jego służbowy pistolet. Wpatrywał się w broń przez kilka minut, po czym zamykał szufladę[151].

---

[2] Pomyłka autora. Wprawdzie w 1948 roku Spychalski był oskarżany o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne", ale po 1956 r. nigdy takich tendencji nie zdradzał. Odsunięcie go na boczny tor (przewodniczący Rady Państwa) miało przede wszystkim uderzyć w Gomułkę, gdyż Spychalski był jego bliskim współpracownikiem zarówno w latach 1943-1948, jak i od października 1956 roku (przyp. red. nauk.).

Naciski wzmagały się ze wszystkich stron. Znów pojawiły się pogłoski o masowych zgrupowaniach radzieckich oddziałów przy polskiej granicy. Jaruzelski nie miał złudzeń, co się stanie w wypadku inwazji. Pamiętał, jak Breżniew nakazał aresztować Dubćeka w kilka tygodni po tym, jak ucałował go ciepło w oba policzki. Wizja aresztowanych i wywiezionych do Moskwy członków czechosłowackiej ekipy komunistycznej stała się jego obsesją od samego początku kryzysu[152]. Inwazja na Czechosłowację była piknikiem w porównaniu z krwawą jatką, do której doszłoby tutaj w razie wkroczenia wojsk radzieckich.

Innym powodem zmartwień był stan gospodarki. Produkcja w 1981 roku spadła o dwanaście procent (w 1980 roku spadek wyniósł cztery procent, a w 1979 roku - dwa). Wydobycie węgla, głównego dewizowego towaru eksportowego Polski, drastycznie się obniżyło w wyniku wprowadzenia czterdziestogodzinnego tygodnia pracy górników. Rezerwy walutowe były praktycznie zerowe. Polska stała się niemal całkowicie zależna od rosyjskich dostaw surowców. Kilka tygodni wcześniej Kreml groził, że zmniejszy o dwie trzecie dostawy ropy naftowej. Dostawy gazu ziemnego, fosforu, rud żelaza i bawełny miały zostać zredukowane o połowę. Bez nich polski przemysł zostałby unieruchomiony[153].

Jaruzelski wiedział, że Zachód ostro zareaguje na zgniecenie Solidarności. Ale miał też powody ufać, że nowo sformowana administracja Reagana odetchnie z ulgą na wieść o „wewnętrznym rozwiązaniu" polskiego kryzysu. Wiedział, że Waszyngton jest wyjątkowo dobrze poinformowany o zakulisowym dramacie rozgrywającym się w Polsce. Jego zaufany współpracownik, pułkownik Kukliński, zbiegł na Zachód na początku listopada z kompletem kopii planów stanu wojennego. Polscy przywódcy obawiali się, że administracja Reagana ostrzeże Solidarność o nadchodzącym niebezpieczeństwie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Jaruzelski wziął milczenie Waszyngtonu za cichą aprobatę swych planów. Doszedł do wniosku, że Stany Zjednoczone uważają stan wojenny za korzystną alternatywę wobec inwazji radzieckiej, która miałaby zgubne konsekwencje dla stosunków Wschód-Zachód[154].

Jest jeszcze inne wytłumaczenie bierności administracji Reagana wobec informacji Kuklińskiego: staromodna urzędnicza rywalizacja. Garstka wyższych rangą pracowników CIA, którzy wiedzieli o istnieniu Kuklińskiego, zdecydowana była nie dzielić się swoją wiedzą z nikim innym z amerykańskiego rządu. Nawet wówczas, kiedy ich „źródło" zbiegło z Polski. Sami traktowali ostrzeżenia o stanie wojennym ze sceptycyzmem, ufając instynktowi liderów Solidarności, którzy wierzyli, że Jaruzelski nie ośmieli się wysłać polskiego wojska przeciwko

cywilom[155].

Dzień, który Jaruzelski opisywał później jako „najtrudniejszy dzień w moim życiu”, rozpoczął, jak zwykle, w otoczeniu współpracowników wojskowych[15*]. Na dziewiątą rano zwołał osoby odpowiedzialne za wprowadzenie stanu wojennego do swojego gabinetu. Zadanie wyłapania tysięcy działaczy Solidarności i zgniecenia akcji protestacyjnych przypadło ministrowi spraw wewnętrznych, Czesławowi Kiszczakowi - zorientowanemu w meandrach polityki generałowi, który poprzednio kierował wywiadem wojskowym. Florian Siwicki, szef sztabu sił zbrojnych, miał być odpowiedzialny za wojskowe aspekty przedsięwzięcia, łącznie ze współdziałaniem z wojskami radzieckimi. Inny długoletni protegowany Jaruzelskiego, Michał Janiszewski, odpowiadał za przygotowanie regulacji prawnych stanu wojennego i nadzorowanie państwowego aparatu biurokratycznego. Czwórka generałów tworzyła wewnętrzny rdzeń powstałej właśnie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.

Generałowie byli przekonani, że Solidarność sięgnie do swego ostatecznego oręża, strajku generalnego. Przewidywali, że robotnicy zajmą fabryki, podobnie jak w sierpniu 1980 roku. Tym razem jednak władza była w pełni przygotowana. Nie będzie potrzeby wydawania rozkazu strzelania do polskich robotników, czego Jaruzelski poprzysiągł sobie nigdy nie uczynić. W wielkiej tajemnicy reżym zgromadził oddziały trzydziestu tysięcy wyszkolonych do tłumienia zamieszek (ZOMO). Ubrani tak, by wyglądać jak mrowie Darthów Vaderów, z tarczami z pleksiglasu, maskami gazowymi i działkami wodnymi, zomowcy mieli za zadanie metodycznie rozbijać kolejno wszystkie strajki. Polską armię, liczącą trzysta dwadzieścia tysięcy żołnierzy, pozostawiono w odwodzie, zapewniając bezpieczeństwo infrastrukturze państwowej i zastraszając społeczeństwo masową demonstracją siły. Wyprowadzając tysiące czołgów z koszar, Jaruzelski mógł przy okazji pokazać Moskwie, że nie jest mu potrzebna „bratnia pomoc”[157].

Zastraszony przez Kreml i przyparty do muru przez Solidarność, generał wierzył, że stan wojenny jest jedynym wyjściem z kryzysu. Opozycja zapowiadała masowe demonstracje w Warszawie, które miały się odbyć za pięć dni. Za kilka kolejnych dni dla dziesiątków tysięcy żołnierzy przypadał też termin zakończenia służby i powrotu do cywila; w ich miejsce do armii napłynęliby nowi, nie wyszkoleni rekruci, naznaczeni doświadczeniem Solidarności. Nadeszła pora działania. Stan wojenny należało wprowadzić w czasie weekendu, kiedy fabryki będą puste[158].

Jaruzelskiemu udało się już powiązać Operację „X” z obietnicami pomocy gospodarczej z ZSRR. Na jego prośbę Kreml przysłał do Warszawy na kilka dni swego czołowego planistę, Nikołaja Bajbakowa, aby omówić polską listę życzeń o wartości dwóch miliardów dolarów. W wyniku rozmów osiągnięto wątłe porozumienie. Jeśli polski rząd podejmie zdecydowane działanie, aby zgnieść Solidarność, Moskwa pomoże Warszawie opanować chaos gospodarczy[159]. Przed wydaniem rozkazu wprowadzenia stanu wojennego generał chciał wyjaśnić radzieckie intencje wojskowe względem Polski.

Jak to często bywało pomiędzy partiami komunistycznymi, stosunki między Moskwą i Warszawą przesycone były intrygami i oszustwami. Jak później zauważył Jaruzelski, miał do czynienia z ludźmi, którzy bez mrugnięcia powieką jednego dnia zdolni byli całować się z przywódcą satelickiego państwa, a nazajutrz wysyłali przeciw niemu wojsko[160]. Wiedział, że Sowieci utrzymują dobre stosunki z polskimi twardogłowymi i że ci ostatni gotowi są wysłać „zaproszenie”, które mogłoby zostać wykorzystane jako pretekst do interwencji wojskowej. W interesie Jaruzelskiego było stworzenie wrażenia, że w określonych warunkach sam być może zwróci się o radzieckie wsparcie. W ten sposób do niego należałoby ostatnie słowo w sprawie ewentualnego wystosowania takiego zaproszenia.

To najbardziej wiarygodne wyjaśnienie wzmianek w radzieckich dokumentach, zgodnie z którymi Polska zwracała się z prośbą o pomoc wojskową. Miałaby ona zostać udzielona, w razie gdyby w wyniku Operacji „X” nie przywrócono w kraju porządku. Jaruzelski nie tylko chciał zademonstrować swoją lojalność względem Moskwy, ale także wysondować radzieckie intencje. Jak sam twierdzi, wciąż „sprawdzał” drugą stronę[161]. Przywódcy na Kremlu podejrzewali, że próbuje czegoś takiego. „Jaruzelski okazuje pewną przebiegłość” - powiedział Susłow, przewodniczący komisji Politbiura do spraw Polski. - „Wysyłając prośby o pomoc, chce sobie stworzyć alibi. (...) Potem będzie mógł powiedzieć:

«Zwróciłem się do Związku Radzieckiego o wsparcie i nie otrzymałem pomocy, o którą prosiłem»”[162].

Rankiem 12 grudnia w obecności swoich trzech kolegów Jaruzelski zatelefonował do Breżniewa. Sekretarz generalny był niedysponowany, połączono go więc z Susłowem, który też był poważnie chory. Do dziś istnieją różnice zdań na temat treści tej rozmowy. Radzieccy oficjele utrzymują, że Jaruzelski prosił o obietnicę radzieckiej pomocy, jeśli Operacja „X” się nie powiedzie. Jaruzelski twierdzi, że chciał otrzymać zapewnienie, że Związek Radziecki będzie traktował

wprowadzenie stanu wojennego jak wewnętrzną sprawę Polski.

„A co będzie, jeśli sprawy się skomplikują?” - zapytał Jaruzelski, nawiązując do enigmatycznego ostrzeżenia, które Breżniew skierował do Kani rok temu.

„No, zawsze mówiłeś, że dasz sobie radę o własnych siłach” - odparł Susłow[163].

W kilka godzin później zadzwonił Ustinow. Marszałek chciał podbudować Jaruzelskiego przed nadchodzącą bitwą. Jak zwykle radziecki minister obrony przemawiał zawadiackim tonem, jakim oficer zwraca się do swego podwładnego. Wzmocnił koniec rozmowy słowami *nastupat'* (atakować) i *rieszitielno* (zdecydowanie)[164]. Jaruzelski w ciągu ostatnich szesnastu miesięcy słyszał te słowa bardzo często.

Po wysłuchaniu Moskwy Jaruzelski skupił się na sytuacji w Gdańsku. Stosunki z Solidarnością jeszcze nigdy nie były tak złe, jak w ostatnich dziesięciu dniach. Bezpośrednią przyczyną kryzysu było użycie ZOMO do rozbicia strajku w szkole straży pożarnej. Liderzy Solidarności odpowiedzieli na szturm - próbę generalną przed znacznie poważniejszym starciem - wzywając do manifestacji antyrządowych. Powrócili do kolebki ruchu, Stoczni im. Lenina w Gdańsku, aby rozważyć propozycję przeprowadzenia referendum, które przesądziłoby o wolnych wyborach i powołaniu rządu tymczasowego. W opinii Jaruzelskiego realizacja takich propozycji byłaby jednoznaczna z demontażem władzy komunistycznej w Polsce.

Komisja Krajowa Solidarności była naszpikowana agentami bezpieki, którzy informowali Warszawę o bezkompromisowych nastrojach obrad. Do godziny czternastej Jaruzelski usłyszał już wystarczająco dużo. Wydał swoim współpracownikom polecenie rozpoczęcia Operacji „X”[165].

GDAŃSK
12-13 grudnia 1981

Powinien to być moment triumfu. Lech Wałęsa znów był w Stoczni im. Lenina i siedział za stołem prezydialnym w tej samej sali, w której negocjował porozumienia gdańskie z komunistycznymi władzami Polski. Sala skąpana była w świetle telewizyjnych jupiterów. W ciągu pięciuset dni Wałęsa przeistoczył się z nieznanego dysydenta z zakątka radzieckiego imperium w osobistość rozchwytywaną przez międzynarodowe mass media. Odwiedził Japonię i Francję, spotkał się z gorącym przyjęciem Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie, prowadził rozmowy z papieżem Janem Pawłem II w Watykanie. Wszystkiemu, co robił, przyglądano się z Kremla i Białego Domu, jego słowa analizowali dziennikarze na całym świecie. Otrzymał nominację do pokojowej Nagrody Nobla, a tygodnik „Time" uznał go za człowieka roku.

Wałęsa przyciągał uwagę mediów. Schlebiał paparazzim, którzy jeździli za nim po całej Polsce. Pozwalał się fotografować w czasie kąpieli, w czasie modlitwy w kościele, besztania dzieci czy wówczas, gdy wznosił do nieba zaciśnięte pięści w geście zwycięstwa.

Tym razem był dziwnie ponury i bierny. Wydawało się, że niewiele go obchodzi tocząca się wokół niego dramatyczna dyskusja o tym, jak zareagować na ostatnie rządowe prowokacje. Siedział z lekka przechylony na bok, przerzucał stos gazet, robiąc samolociki z papieru, i bawił się swą nową, czeską fajką. Miał nabrzmiałą i bladą twarz. Nie uczestniczył w głosowaniach, w których jego koledzy przyjmowali ostre rezolucje. Kuroń, organizacyjny mózg polskiej opozycji politycznej, nawoływał do utworzenia rządu koalicyjnego. Jeden z radykałów zaczął prowokować lidera Solidarności, nalegając, aby chociaż przemówił.

„Leszek, siedzisz tam jak maharadża i nic nie mówisz. Porozmawiaj z nami".

„Mówicie tyle głupstw, że dobrze byłoby sprawdzić, czy ktoś wam czegoś nie dodał do jedzenia" - odciął się Wałęsa[166].

Nie kończące się kłótnie zarówno z rządem, jak i z kolegami z Solidarności zmęczyły Wałęsę. Czuł, że zbliżający się kataklizm będzie ciężką próbą dla pierwszych wolnych związków zawodowych w świecie komunistycznym. W czasie ostatniego spotkania z Jaruzelskim, na początku listopada, generał wydawał się Wałęsie nieustępliwy. Układ sił wewnątrz reżymu najwyraźniej zmieniał się na korzyść zwolenników polityki twardej ręki. Kilku doradców Wałęsy ostrzegało go, że rząd szykuje konfrontację.

Bronisław Geremek, historyk mediewista, doradzający Wałęsie od sierpnia 1980 roku, formułował w czasie obrad Komisji Krajowej Solidarności obawy intelektualistów. „Nie możemy wygrać frontalnej konfrontacji z rządem” - mówił przywódcom Solidarności. - „Nie jesteśmy do tego gotowi, a oni są. Pamiętajcie, to oni wybiorą czas i miejsce konfrontacji, nie my”.

Wysłuchano go w milczeniu.

Poza salą obrad życie toczyło się normalnym torem. Na ziemi leżała gruba warstwa śniegu. Przy stoczniowej bramie numer dwa, często pojawiającej się w telewizyjnych programach informacyjnych na całym świecie, trwał ożywiony handel solidarnościowymi pamiątkami. Można było kupić kalendarze ścienne Solidarności na 1982 rok, plakaty, emblematy z przedwojennym orłem w koronie i dziesiątki znaczków do wpięcia w klapę, na przykład z nowym, bezczelnym hasłem „Kocham Związek Radziecki”. Nad wejściem do stoczni wisiał transparent wzywający do utworzenia trybunału ludowego, który by ukarał „morderców i złodziei polskiego narodu”.

Wczesnym wieczorem do stoczni zaczęły napływać niepokojące wieści. Przedstawiciel Solidarności w Olsztynie zadzwonił z informacją, że jednostki ZOMO opuściły koszary w pełnym rynsztunku bojowym. Depesze teleksowe mówiły o ruchach wojsk na południe i na wschód od miasta. Zatelefonowano do szefa gdańskiej milicji, który powiedział przywódcom Solidarności, aby się nie przejmowali, gdyż wokół Gdańska trwa zmasowana akcja milicji przeciwko kryminalistom.

Tuż przed północą jeden ze współpracowników Wałęsy wręczył mu kartkę z informacją: „Wszystkie linie telefoniczne i teleksowe zostały odcięte”.

Przywódca Solidarności wstał. Jego twarz w świetle telewizyjnych reflektorów wydawała się jeszcze bardziej nabrzmiała niż przedtem. Jak opisał to później, „podświadomie przeczuwał”, co ma się zdarzyć. Zdecydował jednak, że opór jest bezcelowy[167].

„Panie i panowie, nie mamy łączności ze światem zewnętrznym. Może będzie jutro, a może nie. W związku z tym życzę państwu dobrej nocy”.

Wyprostował się, uniósł wysoko ręce, jakby chciał powiedzieć: „Nic więcej nie mogę zrobić”. I wyszedł z sali.

Kiedy Wałęsa dotarł do swojego mieszkania na przedmieściach Gdańska, funkcjonariusze ZOMO pukali już do drzwi czołowych działaczy i zwolenników Solidarności w całej Polsce. Jeśli nie było odpowiedzi, po prostu wyważali drzwi.

Wśród zatrzymanych w czasie Operacji „X” oprócz działaczy związkowych byli też najsławniejsi ludzie w kraju: pisarze, aktorzy, historycy, reżyserzy filmowi i naukowcy. Aby stworzyć pozory sprawiedliwości, obławą objęto także garstkę byłych działaczy komunistycznych, na przykład Gierka. Okazało się, że niektórzy z naznaczonych do internowania już nie żyją, co wskazuje na to, że listy tworzono na wiele miesięcy wcześniej.

O drugiej nad ranem ZOMO w szarobłękitnych mundurach polowych otoczyło hotel Monopol w Gdańsku, gdzie nocowali członkowie Komisji Krajowej Solidarności. Zablokowano wszystkie wyjścia. Milicjanci chodzili od pokoju do pokoju, zakuwali przedstawicieli Solidarności w kajdanki i wyprowadzali do oczekujących ciężarówek policyjnych. Funkcjonariusze oddziałów antyterrorystycznych w obcisłych nylonowych kurtkach pilnowali dachu. Dwudziestosiedmioletni przywódca warszawskiej Solidarności, Zbigniew Bujak, obserwował wszystko z drugiej strony ulicy. Jego pierwszą myślą było, że rząd zwariował. Cała Polska zastrajkuje![168]

Dzwonek do drzwi Wałęsy na Zaspie zabrzęczał około trzeciej nad ranem[169]. Przywódca Solidarności już poszedł spać. Jego żona, Danuta, spojrzała przez wizjer i zobaczyła twarz gdańskiego sekretarza PZPR, Tadeusza Fiszbacha.

Towarzyszył mu wojewoda i sześciu milicjantów z pałkami. Fiszbach, cieszący się opinią liberała, został obudzony nieco wcześniej. Kazano mu zabrać Wałęsę na pokład samolotu do Warszawy, na „rozmowy z Jaruzelskim”. Sekretarz wydawał się poirytowany. Wałęsa zrazu odmówił. Kiedy jednak Fiszbach stwierdził, że ZOMO jest gotowe zabrać go do Warszawy siłą, spakował trochę rzeczy osobistych i wyszedł. (Wałęsa nie spotkał się z Jaruzelskim. Po kilku tygodniach pobytu w willi pod Warszawą zabrano go do domku myśliwskiego w pobliżu radzieckiej granicy, gdzie całkiem niedawno zabawiała się „czerwona burżuazja”.)

O szóstej rano Jaruzelski wystąpił w telewizji w mundurze, z polską flagą w tle. „Ojczyzna nasza znalazła się nad przepaścią” - stwierdził. - „Chodzi o przyszłość Polski, o którą moje pokolenie walczyło na wszystkich frontach”.

Głosem załamującym się z emocji oskarżył przywódców Solidarności niemal o wszystko - od „aktów terroryzmu” po sabotaż gospodarczy. Stwierdził, że gdyby dopuścić do rozwoju obecnej sytuacji, rezultatem byłby „głód”, „chaos” i „wojna domowa”. Socjalizm jest jedyną możliwą drogą dla Polski. Z ciężkim sercem ogłosił, że na terenie całego kraju został wprowadzony stan wojenny. By wyprowadzić kraj znad przepaści, została stworzona Wojskowa Rada Ocalenia

Narodowego. Powstały trybunały wojskowe mające karać każdego, kto podejmie działania przeciwko „interesom państwa".

Jaruzelski zakończył swoje wystąpienie pierwszym wersem hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy". Kiedy wypowiadał te słowa, z głośników telewizyjnych popłynęły akordy patriotycznego mazurka, śpiewanego przez polskich legionistów na emigracji po rozbiorze Polski w XVIII wieku.

Z punktu widzenia Jaruzelskiego pierwsze dni stanu wojennego minęły zaskakująco dobrze. Tylko nieliczni przywódcy Solidarności - Bujak był najważniejszym z nich - zdołali się ukryć. Większość jednak aresztowano. Zgodnie z oczekiwaniami robotnicy w wielu dużych fabrykach podjęli próby zorganizowania strajków. Wszystkie zostały brutalnie zdławione przez oddziały ZOMO, zazwyczaj pod osłoną nocy. Stocznia im. Lenina, uważana przez cały kraj za bastion Solidarności, wytrwała niespełna tydzień. Organizatorzy strajków nie potrafili przekonać zastraszonych robotników, by pilnowali terenu stoczni łącznie z bramą numer dwa. Uzyskawszy przewagę psychologiczną, ZOMO w kilku miejscach rozbiło mur stoczni i rozpędziło protestujących.

Najwięcej ofiar pochłonął stan wojenny w kopalni „Wujek", na Śląsku, gdzie zwolennicy Solidarności uzbroili się w siekiery, łańcuchy i żelazne pręty. Gdy górnicy usłyszeli o brutalności milicji i masowych aresztowaniach w innych częściach Śląska, poprzysięgli się bronić. W trzy dni po wprowadzeniu stanu wojennego doszło tam do ostrej walki wręcz. Kopalnię zaatakowały jednostki ZOMO wspierane przez czołgi i helikoptery. Otoczeni przez rozwścieczonych górników na wąskim placu, milicjanci otworzyli ogień. Zginęło dziewięciu manifestantów. Mur w miejscu, gdzie zabito górników, stał się prowizorycznym sanktuarium. Ułożone na nim kaski poległych, które pozostały tam jeszcze przez wiele miesięcy po walce, wraz z naręczami świeżych kwiatów i napisami wyrażającymi poparcie dla nielegalnych związków zawodowych[170].

Zmasowanym uderzeniem w Solidarność Jaruzelski odniósł sukces, niwecząc najważniejsze osiągnięcie ruchu: pokonanie strachu oddzielającego Polaka od Polaka. Podobnie jak przed sierpniem 1980 roku, reżym komunistyczny znów panował nad zatomizowanym i pokonanym społeczeństwem. Psychologiczne mury, które zburzyła Solidarność, odbudowano praktycznie z dnia na dzień. Ludzie znów zaczęli podejrzliwie odnosić się do siebie. Każdy mógł być informatorem milicji. Dla większości rodzin w czasie tej wyjątkowo mroźnej zimy 1981 roku najważniejsza jednak nie była polityka, ale utrzymanie ciepła w mieszkaniu i zdobycie wystarczającej ilości jedzenia.

Już po twarzach przechodniów w dzień po wprowadzeniu stanu wojennego było widać, że Jaruzelski wygrał tę partię. Pełnia życia i poczucie dumy, które były znakiem firmowym okresu Solidarności, zniknęły z dnia na dzień. Ludzie się zmienili. Miliony szeregowych członków Solidarności wycofały się w bezpieczną prywatność swoich mieszkań. Ich miejsce na ulicach zajęły setki tysięcy ludzi powiązanych w jakiś sposób z reżymem. Natychmiast zaczęli zrywać plakaty Solidarności, strzec publicznych gmachów i wydawać zezwolenia takiego czy innego rodzaju. Na ich cynicznych, zdeprawowanych twarzach malowała się olbrzymia ulga. Przez długi czas takim właśnie ludziom wiodło się dobrze; ostatnio musieli siedzieć cicho, czekając na lepsze czasy.

Jaruzelski na krótką metę wygrał „wojnę" z polskim społeczeństwem. Operacja „X" była przedsięwzięciem tego rodzaju, że jeszcze długo będzie analizowana przez wszystkich, którzy planują wprowadzenie dyktatury wojskowej. Zamach wykazał, że możliwe jest odwrócenie rewolucji informacyjnej. Nawet najbardziej zaawansowana technologia komunikacyjna na świecie nie stanowi ochrony przed totalitarnym reżymem. Zdeterminowany dyktator zawsze przecież może zablokować automatyczne centrale telefoniczne oraz skonfiskować maszyny do pisania, kserokopiarki i komputery.

Jednakże koszt takich działań był przeogromny. W celu przywrócenia kontroli partii nad Polską Jaruzelski musiał zepchnąć kraj w okres średniowiecza. Przekształcił uprzemysłowione państwo w sercu Europy w kraj odcięty od zewnętrznego świata, bez telefonów i teleksów. Aresztował dziesięć tysięcy najlepszych i najzdolniejszych obywateli. Wprowadził ostrą cenzurę w środkach masowego przekazu, zamknął setki gazet, a prezenterom telewizyjnym nakazał występować w umundurowaniu wojskowym. Dekrety stanu wojennego uwzględniały wszystko - od wprowadzenia obowiązku pracy i testów lojalności politycznej dla milionów pracowników po zakaz żeglarstwa rekreacyjnego i ograniczenie sprzedaży benzyny. Wprowadzono godzinę policyjną, trwającą od zmierzchu do świtu. Granice Polski zostały zamknięte. Aby nie dopuścić do swobodnego przepływu informacji, zakazano podróżowania po kraju bez zezwolenia. Nawet konta bankowe zostały zamrożone, aby ci działacze Solidarności, którym udało się uniknąć aresztowania, nie mieli dostępu do pieniędzy.

Kraj przygnieciony takimi prawami nie miał żadnych szans na konkurowanie z kimkolwiek we współczesnym świecie. Restrykcje liberalizowano stopniowo, a Jaruzelski przekonał się, że aby utrzymać władzę, musi oprzeć się na partyjnych

konserwatystach. Oznaczało to porzucenie wszystkich nadziei na reformę gospodarczą i wpychało Polskę w kolejną dekadę stagnacji.

Ale to nie wszystko. Partia komunistyczna czuła się przegrana i poniżona, gdyż tylko wojsku zawdzięczała przetrwanie. W okresie bezpośrednio po II wojnie światowej polscy komuniści czuli swego rodzaju rewolucyjny poryw. Sukcesy w odbudowie wyniszczonego wojną kraju i przyłączenie ziem zachodnich, przejętych od Niemiec, zapewniły im poparcie społeczne. Ale w grudniu 1981 roku stało się jasne, że komunizm może się utrzymać w Polsce tylko dzięki karabinom i obozom internowania. Aby uratować system, Jaruzelski musiał prowadzić wojnę przeciwko klasie robotniczej. Przywódców związkowych zastąpił wojskowymi komisarzami i rozkazał załogom czołgów, by utorowały im drogę do fabryk.

Paradoksalnie stan wojenny był szczęściem w nieszczęściu dla Solidarności. Po szesnastu miesiącach szamotaniny z rządem ruch zdradzał objawy rozdwojenia osobowości. Część liderów Solidarności pragnęła, aby związek służył sprawie niepodległości narodowej; inni chcieli się koncentrować na kwestiach społecznych. Niektórzy działacze postrzegali siebie jako rzeczników robotników w olbrzymich zakładach przemysłowych, zagrożonych przez wolny rynek; inni uważali, że reforma gospodarcza jest pierwszym krokiem do obalenia komunizmu. Gdyby historia toczyła się normalnym torem, te różnice zdań doprowadziłyby do otwartego rozłamu. Uderzenie wojskowe zjednoczyło walczące ze sobą frakcje i pozostawiło mit Solidarności nietknięty.

Zamknięci przez Jaruzelskiego w obozach internowania, przywódcy Solidarności uważali siebie za współczesny odpowiednik polskich oficerów zamordowanych przez Sowietów w Katyniu w czasie II wojny światowej czy antycarskich powstańców z 1830 i 1863 roku. Wzorem swoich poprzedników uznali, że cierpią dla słusznej sprawy - dla niepodległości Polski. Byli zdecydowani żyć według maksymy Piłsudskiego: „Być zwyciężonym i nie ulec - to zwycięstwo”. Akumulator uczuć patriotycznych, który wyładowywał się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, znów był w pełni naładowany.

W końcu stan wojenny okazał się dla Jaruzelskiego pyrrusowym zwycięstwem. Nawet w najczarniejszych chwilach grudnia 1981 roku, kiedy naród już całkiem opuścił ręce, jasne było, że koło polskiej historii znów się obróci. Polacy zostali zwyciężeni, ale się nie poddali. Były granice odbudowy starego ładu. Doświadczenia okresu Solidarności zmieniły ludzi, a ideologia komunistyczna stra-

ciła całą swoją atrakcyjność. System planowania centralnego okazał się beznadziejnie nieskuteczny. Skazany był na demontaż, jeśli tylko Polska miałaby szansę na ucieczkę od, pozornie nie kończącego się, cyklu kryzysów gospodarczych i politycznych wstrząsów. Jaruzelski i jego doradcy rozumieli potrzebę zasadniczych zmian, ale obawiali się rozluźnienia kontroli politycznej, ponieważ podważyliby w ten sposób fundamenty Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nie było wyjścia z tej pułapki.

Siłowe rozwiązanie kryzysu okazało się pyrrusowym zwycięstwem także dla Sowietów. Raz jeszcze, podobnie jak wcześniej w latach 1956 i 1968, udało im się z powrotem zagnać dżinna wolności do butelki. Europa Wschodnia nie musiała się już obawiać zagrożenia dla „demokracji socjalistycznej". Radzieckie czołgi nadal mogły się cieszyć szeroką strategiczną równiną między Rosją a Niemcami. Z drugiej strony, teraz właśnie na przywódcach radzieckich spoczął ciężar pomocy Polsce, aby mogła przetrwać blokadę gospodarczą wprowadzoną przez Zachód. ZSRR nie mógł sobie pozwolić na obarczanie się kolejnym międzynarodowym kryzysem w okresie rosnących problemów gospodarczych u siebie w kraju. Breżniew narzekał, że „nadwerężamy się do granic możliwości, żeby pomóc Polakom, a oni wciąż stawiają nowe żądania". Zasugerował, aby pomoc gospodarcza ograniczała się jedynie do prestiżowych przedsięwzięć, „co nie powinno stanowić wielkiego obciążenia dla naszej gospodarki"[171].

Radzieckim planistom z dużym trudem udawało się przekonywać Breżniewa do podejmowania trudnych decyzji gospodarczych. Otoczony pochlebcami, całkowicie uzależniony od lekarzy i ochroniarzy, sekretarz generalny stracił kontakt z rzeczywistością polityczną. Jego program składał się z prób zadowolenia wszystkich i przyjmowania udawanych hołdów, jako czegoś, co mu się po prostu należy. Żyjąc w pułapce wielkich iluzji, wyobrażał sobie, że jest zarówno nieomylny, jak i niezastąpiony[172].

Ale nie był nieśmiertelny.

MOSKWA
10 listopada 1982

Zgodnie z corocznym rytuałem radzieckich liderów, 7 listopada Leonid Breżniew przyjmował na placu Czerwonym pochód z okazji rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Przez kilka godzin, mimo wyjątkowego chłodu, stał na trybunie Mauzoleum Lenina i niemrawo machał, kiedy czołgi T-72 i wyrzutnie rakiet balistycznych przetaczały się po bruku. Natychmiast po pochodzie został odwieziony na odpoczynek do domku myśliwskiego w Zawidowie. 9 listopada powrócił do swojej daczy w Zarieczu. Jego osobisty fryzjer był kompletnie pijany, nie mógł więc go ogolić, jak to robił każdego popołudnia. Breżniew z kolei zbyt źle się czuł, żeby się tym przejmować.

„Co za bezużyteczny facet” - mamrotał pobłażliwie. - „Znów go ścięło”[173].

Wraz z postępującym zdziecinnieniem sekretarz generalny coraz bardziej odcinał się od swojej niesfornej rodziny i popadał w coraz większe uzależnienie od ochroniarzy z KGB, którzy pomagali mu w spełnianiu podstawowych życiowych funkcji. Odgrywali wobec niego rolę niańki. Rano pomagali siedemdziesięciopięcioletniemu przywódcy wstać z łóżka, potem grali z nim w domino, starali się dostosować do jego nastrojów i martwili się o stan jego zdrowia. Postępowali z nim jak z małym dzieckiem.

Wieczorem 9 listopada Breżniew wcześnie położył się do łóżka. Zazwyczaj nie kładł się przed dwudziestą pierwszą i oglądał w telewizji program „Wriemia”, ale tego dnia był zmęczony prawie dwustukilometrową jazdą z Zawidowa. Narzekał na ból gardła. Następnego ranka ochroniarze czekali, aż jego żona, Wiktoria Pietrowna, opuści sypialnię, by mogli wejść do środka i go rozbudzić. Do dziewiątej zostało kilka minut. Breżniew leżał na boku. Najwidoczniej jeszcze spał.

„Leonidzie Iljiczu, czas wstać” - powiedział Władimir Medwiediew, dowódca nocnej zmiany, i delikatnie potrząsnął gensekiem.

Breżniew nie zareagował. Miedwiediew zaczął nim potrząsać energiczniej, ale sekretarz generalny nie otworzył oczu. Ciało wydawało się zimne. Ochroniarze postąpili zgodnie z instrukcjami przygotowanymi na taką okazję: zaczęli masaż serca i sztuczne oddychanie usta-usta. Wezwali też kremlowskiego lekarza, Jewgienija Czazowa, który przyjechał dwanaście minut później. Wkrótce potem do pokoju wkroczył zespół medyczny i rozpoczął pełną reanimację. Czazow nie miał wątpliwości, że te energiczne działania prowadzone są jedynie na pokaz.

Breżniew nie żył już od kilku godzin[174].

Pierwszym członkiem Politbiura, który przybył do zmarłego genseka, był Jurij Andropow, najpewniejszy jego sukcesor. Mimowolnie westchnął, patrząc na ciało człowieka, który przewodził Związkowi Radzieckiemu przez minionych osiemnaście lat. Wpatrywał się w nabrzmiałą, bladosiną twarz martwego przywódcy. Nagle Andropow pożegnał się i wyszedł.

Obywatele ZSRR dowiedzieli się o tym wydarzeniu dwadzieścia sześć godzin później. W imieniu pogrążonego w żałobie Politbiura wiadomość o śmierci Breżniewa przekazał ludziom radzieckim Igor Kiryłłow, doświadczony prezenter programów informacyjnych centralnej telewizji, głos i twarz Wielkiego Brata przez blisko dwadzieścia lat. Mistrz intonacji i modulacji, Kiryłłow miał talent przekazywania propagandy Kremla masom. Głosem kapiącym lukrowaną dumą ogłaszał wypełnienie planów pięcioletnich. Odczytywał komunikaty Politbiura, jakby były oczywistymi prawdami, z którymi nikt uczciwy nie może w żaden sposób polemizować. Kiedy przekazywał informacje z krajów kapitalistycznych - ulubionymi tematami było bezrobocie i przestępczość - w jego głosie natychmiast można było usłyszeć nutę moralnego oburzenia. Wiadomości o śmierci Breżniewa nadał ton smutny, ale i uspokajający.

„Drodzy towarzysze" - zaczął. Zrobił przerwę dla większego efektu i powiedział: - „Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego i całe społeczeństwo radzieckie [pauza] poniosły olbrzymią stratę [pauza]. Leonid Iljicz Breżniew [pełna czci modulacja, długa pauza], niezłomny kontynuator wielkiej idei Lenina [pauza], żarliwy patriota [pauza], wybitny rewolucjonista oraz bojownik o pokój i komunizm [pauza], wybitny polityk i mąż stanu naszych czasów [pauza], zakończył życie [długa, żałobna pauza]".

Ale chwileczkę, towarzysze. Nie wszystko stracone. „Ludzie wiedzą z doświadczenia, że jakikolwiek obrót przybierają wydarzenia i jakiekolwiek spotykają nas koleje losu [pauza], nasza partia zawsze wypełniać będzie swoją historyczną misję. [W głosie można wyczuć wzrastającą pewność.] Wewnętrzna i zagraniczna polityka KPZR wypracowana pod kierownictwem Leonida Iljicza Breżniewa [nabożna pauza] będzie realizowana stanowczo i ze zdecydowaniem [ostateczna nuta triumfu; w tle płyną pierwsze nuty muzyki żałobnej]".

Całe lata później, po upadku komunizmu, Kiryłłow wyjaśniał, że uczył się w sławnej szkole aktorskiej Stanisławskiego[175]. Jeśli aktor chce być przekonujący,

musi naprawdę przeżywać swoją rolę. Jeśli potrafi przekonać siebie, że jest beznadziejnie zakochany, może też przekonać innych. Jak rzadko kto w jego wieku - urodził się w 1932 roku, w okresie największego nasilenia Stalinowskiego terroru - Kiryłłow wiedział o gułagu i celowo wywołanym głodzie, który pochłonął miliony istnień ludzkich. Wyrzucił to jednak ze swojego umysłu. Zdołał przekonać siebie, że partia ma rację. W końcu, kiedy kult jednostki otaczający Breżniewa osiągnął absurdalne rozmiary, nawet Kiryłłow zaczął mieć wątpliwości. Ale wciąż zachowywał się tak, j a k b y wierzył. Oto dwójmyślenie, które trzymało w śmiertelnym uścisku 287 milionów ludzi.

W udawanym oddaniu Kiryłłowa ideologii tkwi analogia do ery Breżniewa. Ogólnie rzecz biorąc, zwyczajni obywatele ZSRR przestali wierzyć w idee socjalizmu, ale wciąż odgrywali swe role. Cały kraj żył w wielkim zakłamaniu. W domowym zaciszu ludzie śmiali się ze zniedołężniałego przywódcy. Publicznie jednak zachowywali powagę.

Okres Breżniewa został później nazwany przez radzieckich historyków „erą stagnacji". Byłoby jednak błędem twierdzić, że w Związku Radzieckim przez te lata nie wydarzyło się nic ważnego. Pogłębiające się za Breżniewa rozczarowanie do ideologii było preludium do rewolucji Gorbaczowa. W ciągu osiemnastu lat reżym przegrał bitwę o rząd dusz obywateli, koncentrując się zamiast tego na kontrolowaniu ich zachowań. Wszechogarniająca religia, zdolna mobilizować miliony ludzi, przeobraziła się w ideologię cyników. Związek Radziecki utracił poczucie misji, zanim umarł Breżniew. Nawet sekretarz generalny nie wierzył już w przyszłość socjalistycznej utopii.

„Całe to gadanie o komunizmie to duby smalone na użytek mas" - mówił swojemu bratu, Jakowowi. - „W końcu trzeba ludziom pozostawić coś, w co mogą wierzyć. Zabraliśmy im Kościół, zabiliśmy cara, musieliśmy więc dać im coś w zamian. Niech budują komunizm"[176].

W porównaniu ze scenami, jakie towarzyszyły śmierci Stalina przed niespełna trzydziestu laty, pogrzeb Breżniewa był wydarzeniem powściągliwym i nie wzbudzającym emocji. Stalin nawet po śmierci siał postrach i grozę. W marcu 1953 roku członkowie Politbiura drżeli przed nim, kiedy leżał na łożu śmierci w swojej daczy. Kiedy rozeszła się wieść, że „Największy Przywódca Wszech Czasów i Narodów" zakończył życie, miliony ludzi w całym kraju wyszły na ulicę i płakały. Tłumy pragnące zbliżyć się do zwłok wystawionych na widok publiczny były tak wielkie, że pięćset osób na ulicach Moskwy zadeptano na śmierć. Kiedy

zmarł Breżniew, radzieccy obywatele co najwyżej wzruszyli ramionami. Skomplikowany rytuał pogrzebowy na placu Czerwonym - trumnę nieśli członkowie Politbiura, grano *Marsza żałobnego* Chopina, włączono syreny fabryczne, a kompania reprezentacyjna oddała salwy honorowe - był niemal identyczny. Ale nie było prawdziwego żalu.

Co ciekawe, do kryzysu ideologicznego doszło w czasie, kiedy przeciętnym obywatelom radzieckim żyło się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Poprawa warunków życia i tak była jednak znacznie mniejsza, niż obiecywał reżym. Stan zdrowia ludności pozostał na bardzo niskim poziomie, mięso i masło z rzadka pojawiały się na półkach sklepowych, a płace były niskie. A jednak za czasów Breżniewa zelżał terror i zakończył się okres potwornej biedy, wiążących się z erą Stalina. Starsi wspominali później „erę stagnacji" jako złote lata, kiedy bochenek chleba kosztował szesnaście kopiejek, nie było bezrobocia i każdy obywatel miał zagwarantowane pięć metrów kwadratowych bezpłatnego mieszkania. Rosyjskie rodziny zaczęły dorabiać się „luksusów" - lodówek, kolorowych telewizorów; mogły nawet marzyć o małym radzieckim samochodzie.

Gdyby następcy Breżniewa byli w stanie podtrzymać stopniowe podnoszenie się standardu życia, być może nie doszłoby do pierestrojki i drugiej rewolucji rosyjskiej. Ale to okazało się niemożliwe w czasie, gdy Związek Radziecki prowadził wojnę w Afganistanie, pompując pieniądze w wyścig zbrojeń ze Stanami Zjednoczonymi i wspierając swoich satelitów w krajach Trzeciego Świata. Na początku lat osiemdziesiątych myśląca część radzieckiej elity zdawała sobie sprawę, że taka rozrzutność nie może trwać wiecznie. Aby w dalszym ciągu ponosić rosnące koszty utrzymania imperium, Rosja była zmuszona sięgnąć do rezerw narodowego majątku - bogactw naturalnych. Innymi słowy, kraj zaczął żyć na koszt przyszłości.

Kiedy planiści usiłowali zwrócić uwagę genseka na ten problem, zbywał ich niecierpliwie. Breżniew był święcie przekonany, że naturalne bogactwa Rosji są niewyczerpane.

„Do diabła z wami i z waszymi cyferkami" - powiedział kiedyś Bajbakowowi, szefowi Państwowego Komitetu Planowania. - „Jedźmy na polowanie"[177].

W kilka miesięcy po śmierci Breżniewa, w kwietniu 1983 roku, około stu radzieckich ekonomistów i socjologów zebrało się w Nowosybirsku, aby szukać odpowiedzi na odwieczne rosyjskie pytania: Kto jest winien? Co robić? Ośmieleni zachętami Andropowa do odbudowania potęgi drugiego supermocarstwa

świata, uczestnicy seminarium usiłowali dociec przyczyn pogarszających się wyników ekonomicznych kraju. Odrzucono standardowe wyjaśnienia, takie jak warunki pogodowe, brak wyszkolonej siły roboczej, niska dyscyplina pracy. Szeroko oskarżano natomiast centralne planowanie. W opinii naukowców gospodarka podążała stalinowskimi koleinami niskiej wydajności, produkowania tandety i grabieży zasobów naturalnych. Obsesja osiągania celów ustalonych przez rzekomo wszechwiedzących planistów tłumiła indywidualną inicjatywę. System nakazowo-rozdzielczy, w którym wszystkie co bardziej istotne decyzje zapadały w centrum, mógł funkcjonować w miarę dobrze w kraju, którego infrastruktura wciąż się kształtowała. Ale system ten nie był w stanie sprostać wyzwaniom nowoczesnej gospodarki.

Aby uniknąć problemów z cenzorami, organizatorzy konferencji w Nowosybirsku postarali się o przedstawienie swoich konkluzji w marksistowsko-leninowskim żargonie. Wyniki obrad opublikowano w pięćdziesięciu ośmiu numerowanych egzemplarzach. Każdy został oznaczony jako „Tajne - wyłącznie do użytku służbowego". Mimo tych środków ostrożności, jeden z egzemplarzy zawędrował na Zachód i w mgnieniu oka wywołał sensację[178]. Tak zwany Raport Nowosybirski umożliwiał wgląd w rozwijającą się w Związku Radzieckim zakulisową dyskusję o sposobach radzenia sobie z zagrożeniami zrodzonymi przez rewolucję technologiczną dokonującą się w całym uprzemysłowionym świecie. Coś się ruszało za monolityczną i pozornie zastygłą w bezruchu fasadą.

Za czasów Stalina Związek Radziecki przyjął uproszczoną formułę wzrostu gospodarczego. Uznano, że wzrost jest wprost proporcjonalny do nakładów na „czynniki produkcji": siłę roboczą, surowce i ziemię. Jeśli to było konieczne do osiągnięcia pożądanych rezultatów, używano siły. W latach trzydziestych, w okresie największego nasilenia Stalinowskiej kampanii industrializacji kraju, trzydzieści milionów chłopów przymusowo wysiedlono ze wsi, aby zapewnić niewolniczą siłę roboczą socjalistycznemu przemysłowi. Kolejnych piętnaście-trzydzieści milionów radzieckich obywateli padło ofiarą terroru lub głodu. Przywódcy bolszewiccy byli przekonani, że cel - budowa socjalistycznej utopii-usprawiedliwia każdą ofiarę. Ich buta zapierała dech w piersiach. „Nie ma twierdzy, której nie potrafią zdobyć bolszewicy" - twierdził jeden ze współpracowników Stalina. - „Naszym zadaniem nie jest studiowanie ekonomii, ale jej zmiana. Nie wiąże nas żadne prawo"[179].

Ekstensywny model gospodarczy z niewielkimi modyfikacjami został utrzy-

many przez następców Stalina. Zarówno Chruszczów, jak i Breżniew mieli słabość do wielkich inwestycji wykorzystujących nieograniczone zasoby kraju. Chruszczów kolonizował dziewicze połacie Kazachstanu w bezowocnych wysiłkach rozwiązania kryzysu żywnościowego. Breżniew polecił wybudować linię kolejową przez spowitą mrozem tundrę, aby dotrzeć do pokładów miedzi Udokanu i kopalni złota Jakucji. Na początku lat osiemdziesiątych ZSRR zajmował pierwsze miejsce na świecie w wy-

dobyciu węgla, produkcji żelaza, drewna i cementu. Chlubił się największą na świecie zaporą przy elektrowni wodnej, największą hutą stali, najcięższymi traktorami, najpotężniejszymi rakietami. Jednocześnie przemysł nie był w stanie wyprodukować przyzwoitych żyletek albo papieru toaletowego w wystarczających ilościach.

Reformatorzy z Nowosybirska proponowali, by przestawić gospodarkę z wzrostu ekstensywnego na intensywny. Nowym hasłem miała się stać jakość, nie ilość. Zachodnie analizy wykazały, że statystyczna radziecka fabryka na wykonanie podobnego produktu zużywa dwa lub trzy razy więcej energii niż zachodnia. Technologiczna przepaść między Związkiem Radzieckim i Zachodem pogłębiała się przez cały czas. W roku 1982, roku śmierci Breżniewa, liczba komputerów per capita w Związku Radzieckim miała się tak do tegoż wskaźnika w Stanach Zjednoczonych jak 1:400. Jeśli chodzi o roboty przemysłowe, stosunek ten wynosił 1:15[180].

W porównaniu z późniejszą krytyką gospodarki radzieckiej, Raport Nowosybirski obszedł się z nią łagodnie. Wedle ówczesnych standardów był jednak rewolucyjny. Podważał oficjalny dogmat Lenina, zgodnie z którym w Związku Radzieckim już powstało „społeczeństwo bezklasowe”, i przewidywał, że reforma gospodarcza zapoczątkuje walkę polityczną między różnymi grupami interesów. Autorzy raportu domagali się całkowitej „restrukturyzacji” systemu zarządzania gospodarką w celu ożywienia inicjatywy.

Nikt sobie jeszcze nie zdawał z tego sprawy, ale właśnie wymyślono nowe hasło, które odmieniło komunistyczny świat: pierestrojka.

NOWA HUTA
22 czerwca 1983

Podczas gdy przywódcy światowego systemu komunistycznego żegnali się z Breżniewem, na peryferiach radzieckiego imperium rozgrywał się mały dramat, który - ze względu na swą skalę - stanowił ideologiczne wyzwanie dla następców zmarłego genseka. Robotnicy Nowej Huty, dwustu- tysięcznego miasta na południu Polski, zapałali zimną nienawiścią do zdobiącego centralny plac posągu Włodzimierza Iljicza Lenina. Urządzali pod pomnikiem manifestacje, malowali na nim antykomunistyczne hasła, wreszcie usiłowali go obalić za pomocą drągów i lin. Któregoś razu podłożyli nawet ogień pod posąg ojca międzynarodowego proletariatu, oblawszy benzyną jego powiewający na wietrze płaszcz. Pomnik także stracił rękę.

Zdecydowane bronić Włodzimierza Iljicza przed jego niewdzięcznym potomstwem, komunistyczne władze wzniosły wokół osmalonego kilkunastometrowego monumentu zasieki z drutu kolczastego. Do Nowej Huty skierowano tysiące zomowców. Uzbrojeni milicjanci patrolowali plac dniem i nocą. Czasami do dwunastu pojazdów tworzyło obronny, żelazny krąg wokół pomnika. W pobliżu stacjonował wóz z armatką wodną, gotowy do działania w razie niespodziewanego ataku.

Dla społeczeństwa, wciąż będącego w szoku po wprowadzeniu stanu wojennego, wydarzenia te pełne były słodkiej ironii. Nowa Huta miała się stać modelową komunistyczną wspólnotą. Władcy Polski chcieli stworzyć socjoekonomiczne laboratorium, w którym bogobojnych chłopów chciano przeistaczać w nowych proletariuszy opisywanych przez Marksa i Lenina. Miasto miało być polityczną przeciwwagą dla pobliskiego Krakowa, starej stolicy Polski, uważanego za bastion konserwatywnej reakcji. Budowie Nowej Huty we wczesnych latach pięćdziesiątych towarzyszyła propagandowa kanonada. Ukazywano w niej niewiarygodne wyczyny „bohaterów pracy socjalistycznej", które potem stały się inspiracją dla filmu Wajdy *Człowiek z marmuru*. Aby uczcić ukończenie budowy, gigantycznej hucie wzniesionej w mieście nadano imię Lenina.

W całym imperium radzieckim były setki podobnych „modelowych" miast, jak na przykład Karl-Marx-Stadt w Niemieckiej Republice Demokratycznej czy Komsomolsk nad Amurem na radzieckim Dalekim Wschodzie. Miasta te, zuniformizowane i przygnębiająco brzydkie, przecinały bliźniacze szachownice ulic

i przytłaczała taka sama pompatyczna architektura. Aleja Lenina zawsze prowadziła do placu Lenina, nad którym dominował posąg Lenina z wzniesioną prawicą, w klasycznej pozie „halo, taxi". Najokazalszy gmach na każdym z tych placów był zawsze siedzibą miejscowego komitetu KPZR, a sekretarz partii zawsze miał gabinet na pierwszym piętrze. Jedyną ozdobą pełnych dziur ulic były wyblakłe transparenty propagandowe z hasłami w rodzaju CHWAŁA PARTII czy OBIECUJEMY OSIĄGNĄĆ CELE PLANU PIĘCIOLETNIEGO. Sklepy i punkty usługowe otrzymywały nazwy w rodzaju „Sklep spożywczy nr 8", „Piekarnia nr 12" czy „Fryzjer". Szare bloki mieszkalne klecono byle jak: nikogo nie obchodziło, czy będą tam proste ściany albo czy balkony nie spadną na ulicę. W poszczególnych krajach różna była tylko mieszanka zapachów, ale podstawowe jej składniki były te same: swąd spalin niskooktanowej benzyny, woń potu, niedomytych patelni i garnków, tanich perfum, węgla brunatnego, kapusty, moczu i butwiejących gazet.

Wiele z tych miast było miastami zakładowymi, zbudowanymi wokół jednego, ciągnącego się kilometrami państwowego przedsiębiorstwa, jak huta, kopalnia węgla czy wielki zakład zbrojeniowy. Fabryka dominowała w życiu mieszkańców miasta, podobnie jak dominowała nad krajobrazem. Dawała im pracę, ale i zatruwała powietrze, którym oddychali, i wodę, którą pili. Zakład pracy utrzymywał przedszkola, organizował kolonie letnie dla dzieci pracowników, ale też poddawał ich nie kończącej się komunistycznej indoktrynacji. Rozdawał mieszkania, a równocześnie pełnił funkcję przedłużenia policji państwowej: za złe zachowanie można było zostać wykreślonym z kolejki po mieszkanie.

Nowa Huta różniła się od innych modelowych miast socjalistycznych także pod innym, bardzo ważnym względem.

Na rogu alei Karola Marksa i alei Rewolucji Październikowej stała pokaźna budowla z betonu, której nie było w pierwotnych planach. Był to, zwieńczony olbrzymim stalowym krzyżem, kościół Matki Boskiej Królowej Polski, znany wszystkim w mieście jako Arka. Walka o to, by udowodnić planistom, że popełnili błąd, przepełniła całą nowohucką społeczność nieposłuszeństwem.

Pierwszy krzyż pojawił się w tym miejscu w roku 1957, na fali niepokojów społecznych, które wyniosły do władzy Gomułkę. Przez następnych dziesięć lat krzyż kilkakrotnie był usuwany przez milicję i uparcie stawiany na nowo przez mieszkańców Nowej Huty. W końcu w 1967 roku, siedemnaście lat od założenia miasta, arcybiskup metropolita krakowski wbił w ziemię łopatę, tym samym rozpoczynając budowę pierwszego kościoła w mieście. Kolejnych dziesięć lat

trwały utarczki z biurokracją i walka z „obiektywnym" brakiem materiałów budowlanych. Arka jednak powstała. Wielką część prac, łącznie z transportem dwóch milionów kamieni z górskich potoków, mieszkańcy miasta wykonali gołymi rękami. Konsekrując kościół w 1977 roku, arcybiskup powiedział: „Nowa Huta była budowana jako miasto bez Boga, ale wola Boga i ludzi, którzy tu pracowali, zwyciężyła. Niech to będzie dla wszystkich lekcją"[181].

Arcybiskup wkrótce został papieżem Janem Pawłem II, pierwszym papieżem spoza Włoch od czterystu pięćdziesięciu pięciu lat. W 1979 roku, w czasie jego pierwszej pielgrzymki do ojczyzny, Karolowi Wojtyle odmówiono pozwolenia na odwiedzenie Arki. Odprawił więc mszę na podkrakowskich polach, z czarną, diaboliczną hutą w tle. Teraz powracał do Polski po raz kolejny i tym razem miał odwiedzić Nową Hutę. Mieszkańcom „miasta bez Boga", przygnębionym, tym, że pomnik Lenina wciąż jeszcze stoi, zależało na pokazaniu światu, komu naprawdę są wierni.

Pierwsza wizyta papieża w Polsce stała się duchowym impulsem, który przygotował grunt pod utworzenie Solidarności. Witające swego rodaka milionowe tłumy śledzące każdy jego krok zyskały poczucie solidarności. Polacy już nigdy nie mieli się czuć osamotnieni i wyizolowani, jak w mrocznych latach totalitaryzmu. Jeśli ktoś był wyizolowany - to tylko komunistyczni władcy Polski.

W czasie pielgrzymki w 1979 roku Jan Paweł II mówił językiem prostym i bezpośrednim; całkowicie odmiennym językiem posługiwał się zaś komunistyczny reżym. Papież mówił o trzydziestu pięciu latach doświadczeń komunizmu jako o zjawisku przejściowym, nic nie znaczącym wobec tysiącletniej historii Kościoła katolickiego w Polsce. To przesłanie było czytelne od pierwszego dnia wizyty, kiedy na warszawskim placu Zwycięstwa papież skrytykował państwo za próby stworzenia społeczeństwa ateistycznego. „Chrystusa nie można wyłączyć z dziejów człowieka w jakimkolwiek miejscu na ziemi" - grzmiał. Tłum odpowiedział na te słowa wybuchem dziesięciominutowych owacji, kończących się skandowaniem: „My chcemy Boga, my chcemy Boga!"[182]

Od tej chwili Karol Wojtyła stał się niekoronowanym królem Polski.

W czasie swej tygodniowej podróży po Polsce papież rozwinął jeden ze swych ulubionych tematów - kwestię duchowej jedności Europy. Postrzegał swój ukochany Kraków jako część cywilizacji europejskiej, dla której granice polityczne mają drugorzędne znaczenie. W Europie Wojtyły, Europie roku 966, kiedy odbył się chrzest Polski, nie było żelaznej kurtyny ani Muru Berlińskiego. Księża, uczeni i idee przemieszczali się swobodnie z miasta do miasta. Jan Paweł II był

przekonany, że jego wybór na papieża to Boży sposób na przypomnienie Zachodniej Europie, że Polacy, Czesi, Słowacy, Chorwaci, Serbowie, Bułgarzy, a nawet Rosjanie także są częścią szerszej cywilizacji chrześcijańskiej.

Urodzony w 1920 roku, roku polskiego triumfu nad Rosją Radziecką, zwanego „cudem nad Wisłą", doświadczył tragedii rodzinnych, katorżniczej pracy i prześladowań politycznych. Ledwo znał swoją matkę, nauczycielkę, która zmarła w czasie porodu, wydając na świat martwą dziewczynkę. Karol miał wówczas zaledwie sześć lat. Jego ojciec, służący niegdyś w armii austro-węgierskiej, zginął w pierwszym roku II wojny światowej. „W wieku dwudziestu lat" - wspominał później Karol Wojtyła - „straciłem już wszystkich ludzi, których kochałem, a nawet tych, których mógłbym kochać, jak moja siostra, która, jak mi powiedziano, zmarła na sześć lat przed moim przyjściem na świat"[183]. Psychologowie spekulowali, że w kulcie Czarnej Madonny przyszły papież poszukiwał kompensaty miłości matczynej, której prawie nie dane mu było doświadczyć.

Wojtyła przeżył terror okupacji niemieckiej w Krakowie, jako student teologii. Hans Frank, szczególnie brutalny gauleiter nazistowski, na swoją siedzibę wybrał zamek wawelski. Od Hitlera otrzymał rozkaz traktowania Polaków jak rasy niewolniczej. „Poziom życia Polaków musi być bardzo niski" - instruował führer. - „Księża mają mówić to, co im każemy. Ich zadaniem jest doprowadzić do tego, żeby Polacy byli spokojni, głupi i niewykształceni"[184]. Wojtyła widział, jak zabierano krakowskich Żydów do pobliskiego obozu śmierci w Oświęcimiu. Polskich intelektualistów Niemcy pozbyli się w bardzo podobny sposób. Zmusili Wojtyłę do pracy fizycznej, najpierw w kamieniołomach, a później przy noszeniu wiader z wapnem w oczyszczalni wody. W nocy 6 sierpnia 1944 roku Gestapo przeprowadziło akcję aresztowania mężczyzn w wieku od piętnastu do pięćdziesięciu lat w odwecie za powstanie warszawskie. Gdyby znaleźli Wojtyłę, prawdopodobnie zostałby zabity. Szczęśliwie dla młodego teologa schronienia udzielił mu arcybiskup krakowski, książę Adam Sapieha.

Wojtyła mieszkał przy ulicy Franciszkańskiej, z przerwami, przez niemal piętnaście lat, zarówno jako student, jak i arcybiskup. Kiedy w czerwcu 1983 roku powrócił tu jako papież, wracał właściwie do domu. Zwracał się do sióstr zakonnych po imieniu, śpiewał i żartował z wielotysięczną rzeszą młodzieży, oczekującej na zewnątrz, by go powitać. „Ojcze Święty, ufamy ci!" - wołali młodzi ludzie. - „Ratuj Polskę!"

Ostatniego dnia wizyty w Polsce papież odprawił mszę świętą na krakowskich

Błoniach, olbrzymiej łące pod zamkiem na Wawelu. Nad tłumem dwóch milionów ludzi powiewały transparenty z napisami: „Solidarność żyje” oraz „Nie ma wolności bez Solidarności”. Nawiązując do wprowadzenia stanu wojennego przez Jaruzelskiego, papież apelował do wiernych, aby się nie poddawali. Mówił, że naród polski jest „powołany do zwycięstwa”.

Kiedy wypowiedział te słowa, dwa miliony ludzi uniosło w milczeniu ręce z palcami ułożonymi w literę V - znak zwycięstwa. Jeden z przywódców podziemnej Solidarności, Eugeniusz Szumiejko, któremu udało się wymknąć z milicyjnej obławy, stał za wielkim tłumem, na szczycie wału. Nagle ujrzał, jak nad morzem czarnych głów wznosi się fala zaciśniętych, białych dłoni[185]. Widok ten zapierał dech w piersiach. Był dowodem na to, że Jaruzelski nie zdołał zniszczyć ducha, z którego zrodziła się Solidarność. Po mszy część tłumu, pod sztandarami Solidarności, wyruszyła pieszo do Nowej Huty, aby zobaczyć, jak papież konsekruje nowy kościół.

Szli z okrzykiem „Chodźcie z nami!” - tym samym, który skandowano w roku 1970 i w 1980. „Chodźcie z nami! Dziś nie biją!”

Dotarłszy do nowego kościoła, tłum połączył się z dwu- stupięćdziesięciotysięczną rzeszą wiernych. Wszyscy mieszkańcy „miasta bez Boga” przyszli powitać papieża. Oto był dowód, że biegu historii nie odwrócą czołgi, obozy internowania i zasieki z drutu kolczastego, że stan wojenny minie i że wielki pomnik w Nowej Hucie, wzniesiony na cześć twórcy światowego komunizmu, pewnego dnia legnie w gruzach.

Kreml przyjął wiadomość o triumfalnym powrocie Jana Pawła II do ojczyzny ze źle skrywaną złością. Radzieckie środki masowego przekazu oskarżały polskich księży o nawoływanie wiernych do „politycznego chuligaństwa” i inspirowanie „kontrrewolucyjnego zakłócenia porządku publicznego”. Radzieccy przywódcy wzywali swoich polskich towarzyszy do bezwzględnego zgniecenia „reakcyjnego” skrzydła Kościoła katolickiego.

„Polska Zjednoczona Partia Robotnicza nie wkłada wystarczająco dużo wysiłku w walkę z Kościołem” - żalił się towarzyszom z Politbiura radziecki minister spraw zagranicznych, Andriej Gromyko. - „Doszło do tego, że wielotysięczne rzesze ludzi padają na kolana przed papieżem”[186].

Jaruzelski opierał się radom Moskwy, by uderzyć w Kościół. Usiłował wytłumaczyć, że potrzebuje go jako „sprzymierzeńca” w kampanii zaprowadzania

ładu i spokoju w Polsce oraz odzyskiwania szacunku w kraju i za granicą. Kremlowscy władcy wciąż byli wrogo nastawieni do tego punktu widzenia. Ich podejrzenia sformułował najmłodszy członek Politbiura, deklarujący się jako gorący wyznawca monoteistycznej religii komunistycznej. „Jaruzelski usiłuje przedstawiać sytuację w różowych kolorach" - mówił do swoich kolegów. - „Musimy poznać jego prawdziwe intencje. Musimy się dowiedzieć, czy chce wprowadzić pluralistyczny system władzy w Polsce"[187].

Takie były poglądy Michaiła Siergiejewicza Gorbaczowa na rok przed objęciem stanowiska sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

CZĘŚĆ DRUGA
BUNT MASZYN

W Polsce w sierpniu 1980 roku zastrajkowali ludzie.
W Związku Radzieckim mamy do czynienia ze strajkiem materii nieożywionej.

Adam Michnik

Wszystko, co ludzkie, jeśli nie posuwa się do przodu, musi się cofać.

Edward Gibbon,
Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego

SACHALIN
1 września 1983

Po wyborze Ronalda Reagana na czterdziestego z kolei prezydenta Stanów Zjednoczonych Pentagon zaczął publikować doroczne raporty o zagrożeniu militarnym ze strony ZSRR. Błyszczące broszury, pełne kolorowych ilustracji rakiet, które mogą spaść na Nowy Jork czy Los Angeles, wykresów obrazujących wzrastającą przewagę Układu Warszawskiego pod względem liczby czołgów i żołnierzy, niewyraźnych fotografii nuklearnych łodzi podwodnych, ukazywały świat, w którym układ sił zmienia się nieubłaganie na korzyść komunistycznego supermocarstwa. Z wydania na wydanie na łamach „Soviet Military Power" zwiększały się połacie globu zakolorowane na czerwono. Złowrogie czerwone strzałki przecinały główne szlaki morskie świata, ukazując wysiłki Kremla zmierzające do zbudowania floty liczącej tysiąc okrętów wojennych. Spora część Azji, Afryki i Ameryki Południowej pokryta była plamami i symbolami oznaczającymi obecność radzieckich, kubańskich czy wschodnioniemieckich doradców wojskowych. Żadna część Ziemi, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi, nie była wolna od rozszerzającego się radzieckiego niebezpieczeństwa.

Dzięki technologii satelitarnej amerykańscy analitycy wojskowi mogli obserwować postęp zbrojeń radzieckich, o skali zupełnie nie uzasadnionej w czasie pokoju. Okazało się później, że i tak nie doszacowali ich rozmiarów, nie zauważyli wielu głowic nuklearnych schodzących z radzieckich taśm montażowych. Widok z orbity nie dawał też możliwości zrozumienia realiów panujących na Ziemi.

Z bliska radziecka machina militarna nie była ani straszna, ani efektywna, jak to było widać z nieba. Kompleks militarno-przemysłowy cierpiał te same niedostatki co reszta radzieckiej gospodarki. Na porządku dziennym była panosząca się biurokracja, niekompetencja, marnotrawstwo, zacofanie technologiczne. Mimo oddawania wojsku coraz większej części zasobów gospodarczych, przywódcy ZSRR wciąż nie czuli się bezpiecznie.

Kilka lat później, u schyłku zimnej wojny, radzieccy dowódcy wojskowi przedstawili swoim amerykańskim odpowiednikom mapę odzwierciedlającą ich wizję świata. W przeciwieństwie do map amerykańskich, mapa radziecka ukazywała olbrzymi kraj otoczony wrogami. Na wschodzie były Chiny, czekające na szansę zajęcie nie zaludnionych bezkresów syberyjskich. Na południu - państwa islam-

skie, z którymi Rosja prowadziła wojny od pięciuset lat. Na zachodzie - ideologicznie nieprzejednane siły imperializmu. A wszędzie dokoła - drugie supermocarstwo, jego bazy wojskowe, elektroniczne stacje nasłuchowe, wywrotowe rozgłośnie radiowe i zwyciężający wszystko konsumpcjonizm.

Aby obronić się przed tak wieloma zagrożeniami, przywódcy ZSRR propagowali doktrynę „świętej" granicy. Granice radzieckiego państwa uświęcone zostały krwią milionów żołnierzy - dlatego są nienaruszalne. Patriotycznym obowiązkiem obywateli była ich obrona do ostatniej kropli krwi. Strefy nadgranicznej strzegło pół miliona żołnierzy. Radziecka obrona przeciwlotnicza składała się z dwóch i pół tysiąca myśliwców przechwytujących, pięciu tysięcy radarowych stacji wczesnego ostrzegania i dziesięciu tysięcy wyrzutni rakiet ziemia-powietrze, rozmieszczonych wzdłuż łuku o długości ośmiu tysięcy kilometrów, rozciągającego się od Kamczatki po Kaliningrad[1].

Rozkazy były jednoznaczne: „Użyć broni i sprzętu bojowego" do zniszczenia każdego intruza. Kiedy jednak nadszedł czas próby, prawie całkowicie spartaczono robotę.

Giennadij Osipowicz wspiął się do kabiny swego myśliwca przechwytującego Su-15 na godzinę przed świtem. Był 1 września 1983 roku. Pilot otrzymał namiary niezidentyfikowanego celu „wojskowego" zbliżającego się do Sachalinu z kierunku Kamczatki, wulkanicznego półwyspu sterczącego ze wschodniego krańca Rosji. Zadaniem Osipowicza było zniszczenie celu, jeśli i kiedy naruszy radziecką przestrzeń powietrzną. O 5.42 czasu lokalnego otrzymał rozkaz startu.

Gdy pilot poderwał samolot w powietrze, „intruz" leciał już nad terytorium radzieckim od niespełna godziny. Cztery myśliwce wzniosły się nad Kamczatką, by go zestrzelić, ale straciły z nim kontakt, kiedy wziął kurs na Morze Ochockie. Później się okazało, że osiem z jedenastu radiolokacyjnych stacji śledzących na Kamczatce działało nieprawidłowo.[2]

Osipowicz, weteran z dziesięcioletnim doświadczeniem na Dalekim Wschodzie, wiedział, że chełpliwa teza o szczelności granic Związku Radzieckiego jest mitem. W rzeczywistości system był pełen luk. Amerykanom najwidoczniej sprawiało olbrzymią przyjemność sprawdzanie wytrzymałości nerwowej radzieckich pilotów. Ich myśliwce kierowały się wprost na granicę i w ostatniej chwili zawracały. Amerykańskie samoloty zwiadowcze RC-135 nieustannie krążyły w rejonach przygranicznych. Wojna nerwów zbierała żniwo. Sześć miesięcy wcześniej eskadra amerykańskich samolotów bezczelnie naruszyła przestrzeń powietrzną Wysp Kurylskich, archipelagu zdobytego na Japonii pod koniec II

wojny światowej. Komisja na wysokim szczeblu udzieliła radzieckim pilotom ostrej reprymendy za brak czujności[3].

Indywidualna inicjatywa nie była jednak mile widziana w siłach obrony powietrznej (PWO). Piloci radzieccy z lotnictwa taktycznego, latający na nowoczesnych myśliwcach, traktowali swoich kolegów z PWO z pobłażliwością, jak roboty sterowane z ziemi. Suchoj-15 Osipowicza był typowym samolotem PWO - mało zwrotnym i paliwożernym. Łatwo wzbijał się w powietrze, ale trudno nim było manewrować. Jeden ze zbiegłych na Zachód określił go jako coś ledwie odrobinę lepszego niż „wysokościowa platforma do odpalania rakiet”[4]. Samoloty te miały ograniczony zasięg. Kiedy jeden z radzieckich pilotów zapędził się swym MiGiem-25, cudem techniki, aż do wybrzeży Japonii, wydano rozkaz, aby samoloty PWO nigdy nie miały dość paliwa, by dolecieć nad obcy obszar powietrzny. Oznaczało to, że maksymalny czas lotu może wynosić czterdzieści do pięćdziesięciu minut, co ledwo wystarczało na wykonanie zadania[5].

Po mniej więcej dziesięciu minutach Osipowicz spostrzegł intruza poprzez warstwę chmur. Na początku obcy obiekt wyglądał jak latająca kropka o średnicy dwóch-trzech centymetrów. Na tle ciemnego nieba wyraźnie widoczne jednak były jego światła pozycyjne. Kiedy Osipowicz zbliżył się doń na odległość około pięciu kilometrów, ujrzał dziwny, garbaty samolot. Była to wielka maszyna; Osipowicz nigdy przedtem takiej nie widział.

O 6.15 w słuchawkach Osipowicza rozległ się charkot. Kontrola naziemna na Sachalinie wywołała jego sygnał rozpoznawczy. 805. wydała rozkaz: »Przygotować się do otwarcia ognia" i zapytała, czy cel został namierzony.

„Cel namierzony” - odpowiedział pilot, zauważywszy, że rząd lampek na tablicy przyrządów' zaczyna migotać. Samolot wyposażony był w dwa pociski powietrze-powietrze R-98. Jeden z nich zaprogramowany był na uderzenie w źródło promieniowania podczerwonego, jak na przykład płomień wylotowy silnika odrzutowego. Drugi miał zostać naprowadzony na cel przez radar. By zbliżyć się do intruza, Osi powieź włączył dopalacze. Radio wycharczało rozkaz, którego pilot nie zrozumiał.

„Powtórz”.

Głos kontrolera przeszedł w krzyk: „Osiem-zero-pięć, cel naruszył granicę państwa! Zniszczyć cel!”[6].

Ale wykonanie wyroku na samolocie zostało zawieszone w ostatniej chwili. W dole, na ziemi, między bazami sił powietrznych na Sachalinie - liczącym blisko

dwa tysiące kilometrów pasie przepięknych gór wyrastających z równiny połyskującej tu i ówdzie instalacjami wojskowymi - krążyły gorączkowe rozkazy. Oficer dyżurny w jednostce Osipowicza był zaskoczony wyjątkowo „głupim" zachowaniem intruza. Samobójcze misje nie były w amerykańskim stylu. Powiedział koledze z sąsiedniej jednostki myśliwców, że wszystko to wydaje mu się „bardzo podejrzane". „Nie wydaje mi się, żeby wróg był tak głupi. Może to jeden z naszych?" Następnie zadzwonił do centrum kontrolnego w Makarowie, na wschodnim cyplu wyspy, aby się dowiedzieć, co robi intruz.

„Jeszcze nas nie zbombardował" - usłyszał uprzejmą odpowiedź[7].

W ośrodku dowodzenia w Chabarowsku, sześćset kilometrów na zachód, powstały podobne wątpliwości co do tożsamości „celu". Oficer dyżurny uznał, że może to być samolot pasażerski. „Trzeba zrobić wszystko, aby go zidentyfikować" - nalegał. Jego przełożony, generał Kamieński, także był w kłopocie. „Może to jakiś samolot cywilny albo Bóg wie co" - powiedział do dowódcy obrony powietrznej na Sachalinie, generała Kornukowa.

„Jak to cywilny?!" - wybuchnął Kornukow, którego wyciągnięto z łóżka przed czterdziestoma pięcioma minutami i poinformowano, że amerykański samolot RC-135 zmierza wprost w kierunku wyspy. Wiedział, co mu grozi za przepuszczenie takiego samolotu. - „Skierował się na Kamczatkę. Przyleciał znad oceanu, nie podał swoich danych. Daję rozkaz do ataku"[8].

W kilka sekund później nawet sam Kornukow zaczął mieć wątpliwości. Usiłując zrozumieć, o co chodzi w tym nocnym dramacie, odwołał swój wcześniejszy rozkaz. „Czy światła pozycyjne są zapalone, czy nie?!" - wykrzyknął z nagła. W ciągu następnej minuty powtórzył pytanie jeszcze pięć razy. Brak świateł pozycyjnych świadczyłby, że samolot ma wrogie intencje. Odpowiedź na to zależała od Osipowicza.

„Pozycyjne światła nawigacyjne włączone, antykolizyjne włączone" - odpowiedział przez radio.

„Niech nasz myśliwiec zapali światła jako sygnał ostrzegawczy" - rozkazał Kornukow. - „Rozkaż mu zbliżyć się do celu, zakołysać skrzydłami i zmusić go do lądowania". Aby uciszyć wrzawę, jaka wdzierała mu się do słuchawek, wydał jeszcze jeden rozkaz: „Przestańcie tam gadać w ośrodku dowodzenia. Mówić możesz tylko ty, ja i kontroler. Nikt więcej"[9].

Lecąc nieco poniżej, z tyłu obcego samolotu, Osipowicz wystrzelił cztery serie pocisków przeciwpancernych, razem dwieście czterdzieści trzy. W odpowiedzi cel zwolnił, co groziło tym, że Osipowicz wysunie się do przodu. Oba samoloty

przelatywały teraz w poprzek wyspy ze wschodu na zachód (na co potrzebowały dwunastu minut) i kierowały się nad Morze Japońskie. W gęstej, księżycowej mgle, tuż przed brzaskiem, Osipowiczowi wydawało się, że obcy samolot robi unik. Wiedział, że jeżeli zwolni, jego Su-15 utraci sterowność i zwali się w dół. Więc zanurkował na dwa tysiące stóp i okrążył raz jeszcze intruza. Jego myśli skupiały się na mrugających lampkach tablicy kontrolnej[10].

Dwustu czterdziestu pasażerów samolotu Koreańskich Linii Lotniczych, odbywającego lot numer 007 z Anchorage do Seulu, nie zdawało sobie sprawy z dramatu rozgrywającego się za iluminatorami. Niektórzy przykryli się kocami i spali. Inni czekali, aż stewardesy podadzą śniadanie nad Japonią. Większość iluminatorów była zasłonięta, ponieważ właśnie odtwarzano film mu pokładowym wideo. W kabinie załogi tłumiono ziewanie i prowadzono luźne rozmowy o wakacjach i odprawie celnej. Rozmowa zeszła na temat wymiany walut.

„Co chcesz wymienić” - zapytał jeden z członków załogi - „Dolary na nasze?"

„Tak.”

„Musisz iść do budynku lotów krajowych”.

„Pewnie otworzą go o dziewiątej. Albo dopiero o dziesiątej."

Kapitan Chun Byung-in i jego koledzy nie mieli pojęcia, ze od ponad dwóch godzin przelatują nad terytorium ZSRR i że siedzą ich radzieckie stacje radiolokacyjne. Wnet po starcie z Anchorage zaprogramowali w komputerze pokładowym boeinga standardowy kurs do Seulu. Byli przekonam. że w rej chwili znajdują się trzysta kilometrów na wschód, w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, w pobliżu wybrzeży Japonii. Ale zaszła tragiczna pomyłka. Zamiast lecieć dobrze znanym szlakiem, samolot zboczył nad terytorium radzieckie. Nie zadziałał pokładowy system nawigacji inercyjnej - albo piloci zbyt późno go włączyli, albo został źle nastawiony. Możliwości popełnienia błędu było wiele, ale lot był zbyt długi i nudny, nikt więc nie zauważył, że samolot zszedł z wyznaczonego kursu“.

W momencie, kiedy Osipowicz usiłował zwrócić na siebie uwagę intruza seriami z działek, kapitan Chun rozmawiał z wieżą kontrolną w Tokio. Otrzymał pozwolenie na wyniesienie się o dwa tysiące stóp na wysokość trzydziestu siedmiu tysięcy stóp. Był to na tym etapie lotu rutynowy manewr pozwalający na zaoszczędzenie paliwa. Osipowicz zinterpretował zmianę wysokości jako próbę ucieczki.

Ale teraz obcy samolot zmierzał poza radziecką przestrzeń powietrzną. Generałowie na ziemi zaczęli wpadać w panikę. Jeśli ucieknie, zostaną oskarżeni o zaniedbanie obowiązków i może im grozić odwołanie. Nie było już czasu na pełną identyfikację obiektu. Osipowiczowi kończyło się paliwo. Pozostało mu go na nie więcej niż dziesięć-piętnaście minut lotu. Teoretycznie mógłby podjąć próbę nawiązania łączności z intruzem na międzynarodowej częstotliwości 121,5 megaherców. Ale to oznaczałoby konieczność nastawienia radia i utratę kontaktu z kontrolą naziemną. Na to także nie miał czasu[15].

O 6.21. kiedy nad Sachalinem zaczęło świtać i KAL 007 opuszczał radziecką przestrzeń powietrzną. Kornukow podjął ostateczną decyzję. W eterze trzeszczało od rozkazów.

„Wystrzelić rakiety, wystrzelić do celu sześć-zero-sześć- -pięć, zniszczyć cel sześć-zero-sześć-pięć".

„Niech Osipowicz strzela, i to szybko!”

„Dajcie jeden-sześć-zero za Osipowiczem, żeby na pewno zniszczyć cel!"

„Osiem-zero-pięć. zbliż się do celu i zniszcz go!”

Kiedy Osi powieź okrążył boeinga, myślał tylko o jednym: zestrzelić samolot wroga. Marzył wręcz o takiej okazji. Będzie to kulminacja jego kariery radzieckiego pilota myśliwskiego. Położył palec w-skazujący na spuście zwalniającym pocisk naprowadzający się na źródło podczerwieni. W dwie sekundy później wystrzelił pocisk naprowadzany radarem. „Rakiety odpalone" - powiedział przez radio.

Pociski potrzebowały dobrych trzydziestu sekund na pokonanie pięciomilowego dystansu oddzielającego oba samoloty. Osipowicz widział, jak z części ogonowej celu buchnęły żółte płomienie. Światła nawigacyjne natychmiast zgasły Na początku zdawało się, że samolot zaczął się wznosić. Ale kiedy Osipowicz odbił na prawo, dostrzegł, że obca maszyna pikuje już w kierunku morza.

„Cel zniszczony” - ogłosił z podnieceniem[14].

KREML
2 września 1983

Zniszczenie koreańskiego samolotu pasażerskiego było spektakularnym przykładem tego, co historyk Barbara Tochman nazwała „marszem szaleństwa” - działaniem szkodliwym dla interesu narodowego. Zabijając dwustu sześćdziesięciu dziewięciu niewinnych ludzi, Sowieci jakby potwierdzili, że rację miał Ronald Reagan, opatrując ich kraj etykietką „imperium zła”.

Radzieccy przywódcy na propagandową katastrofę spowodowaną zestrzeleniem samolotu pasażerskiego odpowiadali trwającym blisko tydzień milczeniem. Władze radzieckie nie chciały w ogóle przyznać, co się stało. W pierwszym oficjalnym oświadczeniu na temat incydentu agencja TASS pominęła strzały milczeniem. Twierdzono, że niezidentyfikowany samolot, „lecący z wygaszonymi światłami pozycyjnymi”, naruszył radziecką przestrzeń powietrzną. Radzieckie myśliwce przechwytujące podjęły próbę doprowadzenia samolotu do „najbliższego lotniska”, ale intruz zignorował wszystkie „sygnały i ostrzeżenia”, „kontynuując lot w kierunku Morza Japońskiego”. Te twierdzenia były podarunkiem dla konserwatystów w Stanach Zjednoczonych, pozbawionych złudzeń co do skłonności Moskwy do „kłamstw i oszustw”, jak ujmował to Reagan. Łatwo było wykazać radziecką odpowiedzialność za zestrzelenie samolotu. Amerykanie po prostu odtworzyli zatopionemu w milczeniu audytorium Rady Bezpieczeństwa ONZ taśmę z nagraniem rozmów między kontrolą naziemną Sachalina i pilotem myśliwca.

Winą za katastrofę nie obarczono żadnej konkretnej osoby Odzwierciedla to zbiorową głupotę systemu, który zepchnął Rosję w dziesięciolecia narzuconej sobie izolacji. System ten dusił w zarodku odmienne opinie, nie był zdolny do elastycznego traktowania nowych wyzwań. Przedkładał ideologię nad zdrowy rozsądek. To ta sama głupota kazała przywódcom Kremla wymordować miliony własnych obywateli w imię postępu i zniszczyć naturalne środowisko kraju dla doraźnych korzyści gospodarczych, prześladować najwybitniejszych pisarzy i naukowców i wdać się w niechcianą, niemożliwą do wygrania wojny w Afganistanie minio licznych ostrzeżeń, że takie przedsięwzięcie jest ryzykowne. System ów był jednak tak potężny i tak mocno zakorzeniony, że paraliżował wszystkich żyjących w jego cieniu.

Od śmieci Breżniewa nie minęło jeszcze dziesięć miesięcy, ale czas ten bardzo wiele kosztował Jurija Andropowa. Przygnieciony gwałtownie pogarszającym się stanem zdrowia i ogromną odpowiedzialnością, nowy przywódca przypominał szkielet. Nawet wieloletni współpracownicy z trudnością go rozpoznawali. Spędzał wiele czasu w szpitalu, podłączony do urządzeń medycznych i telefonów kremlowskich, siedząc w starym fotelu dentystycznym z wysokim zagłówkiem, który umożliwiał mu zmianę pozycji za naciśnięciem guzika. Latem 1983 roku przestały działać nerki, więc dwa razy w tygodniu trzeba było przeprowadzać dializę[15]. Dla obywateli ZSRR sekretarz generalny stał się czymś w rodzaju duchowej obecności, którą można czuć i rozumieć, ale nigdy nie można jej ujrzeć. Jeśli chciał się skontaktować ze społeczeństwem, czynił to w formie pisemnej, poprzez oświadczenie „kierownictwa radzieckiego" albo komunikat TASS czy wywiad w „Prawdzie".

Era Andropowa zaczęła się z nutką nadziei. Po Breżniewowskiej stagnacji większość obywateli radzieckich z radością witała każdą oznakę zmian, nawet umiarkowanych. Byli pod wrażeniem wysiłków nowego przywódcy, który chciał, aby biurokracja otrząsnęła się z odrętwienia. Działania antykorupcyjne wymierzone w dawnych popleczników Breżniewa pomogły w budowie wizerunku byłego szefa KGB jako surowego, ale sprawiedliwego władcy, któremu zależy na tym, by na powrót ożywić kraj. Rosja w końcu miała prawdziwego *choziaina*, gospodarza, który miał ukarać obiboków i odbudować poczucie porządku i dyscypliny. Rozpaczliwie pragnący energicznego kierownictwa Rosjanie pozytywnie reagowali na takie symboliczne gesty jak seria obław milicyjnych na moskiewskie łaźnie, dokonywanych w środku dnia, mających wyrugować absencję w zakładach pracy.

Elita partii komunistycznej uważała zasuszonego starca w fotelu dentystycznym za najlepszego przedstawiciela swej generacji. Piętnaście lat kierowania największą na świecie agencją wywiadowczą dało Andropowowi jedyny w swoim rodzaju wgląd w prawdziwy stan Związku Radzieckiego. Andropow wiedział, do jakiego stopnia ZSRR został w tyle za krajami kapitalistycznymi W porównaniu z Breżniewem był zdecydowany i energiczny. Rozumiał potrzebę zmian i wydawał się otwarty na nowo idee. Ale przywództwo konającego przywódcy radzieckiego miało także swoje ciemne strony, związane z czasami stalinowskimi, kiedy Andropow był obiecującym aparatczykiem. W przeciwieństwie do młodszych członków Politbiura, którzy nigdy nie doświadczyli wojny ani rewolucji, Andropow wiedział, że władza radziecka opiera się na tym, że bezwzględna mniejszość

potrafi narzucić swoją wolę większości. Reformy były konieczne, ale musiały być dokonywane pod ścisłą kontrolą.

Z jego punktu widzenia tajemnica rządzenia krajom tak wielkim jak Rosja polegała na tym, by nigdy nie okazywać słabości. Odnosiło się to zarówno do polityki wewnętrznej, jak i do «praw zagranicznych. Wrogowie socjalizmu tylko czekali na chwilę, w której dyktatura proletariatu zdradzi oznaki niezdecydowania albo braku jedności. Rozwój wypadków nie może osiągnąć punktu, w którym jedynym rozwiązaniem będzie wda militarna. Oznaczało to baczną obserwację dysydentów i dławienie buntów w zarodku, zanim rozwiną się na tyle, by stanowić poważne zagrożenie dla reżymu. W czasie dyskusji w Biurze Politycznym, nim został Sekretarzem Generalnym, Andropow zawsze opowiadał się za zdecydowanymi posunięciami wobec potencjalnych odszczepieńców i krnąbrnych intelektualistów. Lubił cytować powiedzonko Lenina: „Rewolucja jest coś warta tylko wtedy, gdy wie, jak się obronić”[16].

„Bardzo łatwo zniszczyć porządek społeczny, szczególnie tuki, w którym tkwi wiele ukrytych źródeł niezadowolenia, gdzie nacjonalizm znajduje się tuż pod powierzchnią” - mówił Andropow swoim współpracownikom. - „Dysydenci są wrogami naszego systemu społecznego, aczkolwiek skrywają swoje cele pod demagogicznymi hasłami”[17].

Mimo całego swego wyrafinowania i skłonności do eksperymentowania, Andropow pozostał więźniem systemu. Umysł rewolucjonisty nie pozwalał mu na podważanie podstawowych jego elementów przytłaczającego ciężaru kompleksu militarno-przemysłowego, centralnego planowania, dominacji polityki nad ekonomią .Jak wielu przywódców radzieckich, padł ofiarą swej władzy, władzy absolutnej.

Andropow żywił głęboki podziw dla filmu Eisensteina *Iwan Groźny,* słabo skrywanej apologii autokratycznych rządów. Film wykonano na zlecenie Stalina Andropow był szczególnie pod wrażeniem sceny, w początkowej części filmu, w której nowy car usiłuje narzucić swą wolę zbuntowanym bojarom. Bojarzy utyskują, że młodego władcy nie uzna ani Europa, ani Rzym, na co jezuita odpowiada: „Silny zyska uznania każdego". Andropow z aprobatą cytował te słowa, kiedy dyskusja dotyczyła twardej postawy wobec amerykańskich „imperialistów". „Zarówno my, jak i Amerykanie stosujemy się do tej zasady" - powiedział swoim współpracownikom, - „Nikt z nas nie chce okazać słabości"[18].

Podobnie jak Stalin, a przed nim Iwan Groźny, Andropow żył w świecie zdominowanym przez wiecznie coś knujących wrogów wewnętrznych i wrogie siły

zewnętrzne. Jedynym sposobem na przeżycie w takim święcie i zapewnienie dobrobytu swoim ludziom była bezwzględność, przebiegłość i duża doza paranoi.

Kamieniem węgielnym państwa rosyjskiego była siła militarna. Obsesja na punkcie bezpieczeństwa często stanowiła fundament innych celów polityki zagranicznej Kremla, które z kolei wymagały podtrzymywania wizerunku ZSRR jako państwa walczącego o pokój. Nawet jako sekretarz generalny Andropow niechętnie sprzeciwiał się życzeniom kompleksu wojskowo-przemysłowego. Kiedy wybuchł skandal związany z zestrzeleniem koreańskiego samolotu pasażerskiego, minister spraw zagranicznych nalegał, by wziąć na siebie odpowiedzialność za ten postępek, ale też oskarżać Stany Zjednoczone o zorganizowanie celowego naruszenia przestrzeni powietrznej Związku Radzieckiego. Minister obrony, Ustinow, kategorycznie się jednak sprzeciwił, by Związek Radziecki przyznał się do zestrzelenia samolotu cywilnego.

„Nie martw się" - powiedział leżącemu w szpitalu Andropowowi w czasie rozmowy telefonicznej. - „Wszystko będzie w porządku. Nikt nam niczego nie udowodni"[19].

Od czasów Stalina posiedzenia Biura Politycznego odbywały się według dawno ustalonego rytuału. Były one w mniejszym stopniu forum otwartej dyskusji, a w większym - cotygodniową ceremonią lojalności wobec wewnętrznej elity partyjnej. Program spotkań był zwykle ustalany z góry przez sekretarza generalnego i garstkę możnych wasali, z których każdy cieszył się szeroką autonomią w swej domenie. Siedzący przy stole zawsze zabierali głos wedle ściśle ustalonego porządku. Od młodszych członków Politbiura oczekiwano, że oddadzą pierwszeństwo starszym, a następnie z szacunkiem wyrażą poparcie dla ustalonej linii partii. Wygłaszając rytualne słowa poparcia dla poszczególnych decyzji, automatycznie brali za nie odpowiedzialność. Procedurę tę potem powtarzano wielokrotnie, na wszystkich szczeblach hierarchii partyjnej, aż decyzje Politbiura stawały się wiążące dla wszystkich osiemnastu milionów radzieckich komunistów. Zgodnie z zasadami „centralizmu demokratycznego”, gdy Biuro Polityczne podjęło decyzję, jakikolwiek sprzeciw był niedopuszczalny.

Za sprawą języka i swych rytuałów Politbiuro przypominało grupę bossów mafijnych, którzy wspięli się na szczyt gigantycznej machiny protekcji. Partia komunistyczna w swych początkach była organizacją konspiracyjną. Pierwotny cel konspiracji - budowa ziemskiej utopii - już dawno został zapomniany. Ideologia ustąpiła cynizmowi, ale pozostała mentalność kliki. Partyjni bonzowie rozumieli, że w celu zachowania władzy i przywilejów muszą się trzymać razem.

Wbrew poglądom hołubionym przez niektórych sowietologów, w Biurze Politycznym nie było podziału na wilki i owce. Zarówno pod Breżniewem, jak i pod Andropowem wszyscy członkowie Politbiura byli wilkami. (Jedyną szansą przeżycia dla owcy wśród wilków jest samej stać się wilkiem.) Częścią rytuału było uwiarygodnianie się poprzez wyrażanie przynajmniej równie wilczych poglądów jak przedmówca. Niezgodności opinii mogły się uwidaczniać jedynie w niuansach i subtelnych różnicach w rozkładzie akcentów, ale nie w otwartym sporze. Biologiczne prawo kremlowskiej polityki pozwalało przetrwać najbardziej ugodowym. Niezbędna więc była umiejętność intuicyjnego wyczucia rodzącego się konsensusu - ze słów genseka lub któregoś z jego najważniejszych wasali - i skorzystania z tej wiedzy. Od wszystkich polityków radzieckich z wyjątkiem genseka, a i to częściowo, wymagano noszenia maski.

Pod nieobecność Andropowa debatę Politbiura poświęconą sprawie koreańskiego samolotu otworzył Konstantin Czernienko, ciężko dyszący astmatyk, który przypalał Breżniewowi papierosy. Dzięki swemu nieżyjącemu już patronowi był dzisiaj głównym ideologiem partyjnym. Na zniszczenie cywilnego samolotu - i śmierć dwustu sześćdziesięciu dziewięciu osób - zareagował jak biurokrata, któremu jakiś intruz robi bałagan w papierach.

„Jedno jest pewne” - wymamrotał - „nie możemy pozwolić, by zagraniczne samoloty swobodnie przelatywały nad naszym terytorium. Żadne szanujące się państwo nie może na to pozwolić”[20].

Następnie głos przypadł ministrowi obrony. Ustinow za wszelką cenę chciał bronić honoru establishmentu wojskowego. Raport, który przygotował dla Biura Politycznego, zawierał kilka grubych kłamstw, obliczonych na uwolnienie jego podwładnych od jakiejkolwiek odpowiedzialności. Jego twierdzenie, że boeing 747 leciał „bez świateł nawigacyjnych”, było rażąco sprzeczne z zeznaniami pilota myśliwca. Ustionow utrzymywał, że intruzowi „wielokrotnie powtarzano polecenie”, aby wylądował na radzieckim lądowisku. Następnie oddano strzały ostrzegawcze „pociskami smugowymi, zgodnie z międzynarodowymi zasadami postępowania w takich wypadkach”.

„Moim zdaniem w tej sytuacji musimy okazać stanowczość i zachować spokój” - zaszczekał minister obrony. - „Nie powinniśmy ustępować. Jeśli zaczniemy ustępować, damy różnym ludziom możliwość latania nad naszym terytorium”.

Jedynym członkiem Biura Politycznego o wystarczającym autorytecie, aby się sprzeciwić Ustinowowi, był Andriej Gromyko. To na nim miały się skrupić mię-

dzynarodowe protesty. Ale siedemdziesięcioczteroletni minister spraw zagranicznych był wyjątkowo ostrożny. Uszedł z życiem z czystek Stalina; zdołał się wspiąć na szczyt, popierając zawsze zwycięzców. Każdy gen w jego ciele mówił mu, aby nie wdawać się w spór z kimś tak potężnym jak Ustinow. Gdy uznał, że pora jest odpowiednia, „Grim Grom" mógł być skutecznym zwolennikiem negocjacji rozbrojeniowych ze Stanami Zjednoczonymi - w wewnętrznych dyskusjach Politbiura. Zmuszony do wyboru między antagonizowaniem wojska i porzuceniem pozycji politycznych mile widzianych przez radziecki MSZ, Gromyko zawsze wybierał to drugie. Nie chciał, aby jego ministerstwo zyskało „owczą" reputację[21].

Gromyko stwierdził na forum Biura Politycznego, że radzieckie wojsko zachowało się „prawidłowo", zestrzeliwując koreański samolot. Jednocześnie uznał, że Związek Radziecki powinien się przygotować na prawdopodobny atak „imperialistycznej propagandy" i przyznać, że „padły strzały". „Powinniśmy to powiedzieć szczerze, aby nasi wrogowie nie mogli nas oskarżać o oszustwo. Naszym głównym argumentem będzie to, że samolot leciał nad terytorium radzieckim i przebył wyjątkowo długą drogę w głąb kraju".

Teraz przyszła pora na Michaiła Gorbaczowa. Sytuacja najmłodszego członka Politbiura była delikatna. Każdy wiedział, że Gorbaczow jest ulubieńcem Andropowa, który zachęcał go do rozszerzenia kręgu swoich zainteresowań poza rolnictwo. Starsi koledzy potrzebowali jego energii i kompetencji, ale czuli też, że Gorbaczow jest dla nich zagrożeniem. Był to człowiek, który mógł ich wszystkich usunąć na boczny tor. Aby nie utracić ich zaufania i wciąż mieć widoki na najwyższe stanowisko, Gorbaczow musiał stąpać bardzo wąską ścieżką. Musiał udowodnić, że potrafi z pełnym entuzjazmem pełnić twórczą funkcję rzecznika partii bez narażania na szwank interesów jakiejkolwiek części biurokracji.

Gorbaczow uciekł się do standardowego posunięcia kremlowskiej polityki: kiedy nie wiesz, co robić - atakuj „siły imperialistyczne". Powiedział swoim towarzyszom, że Amerykanie musieli wiedzieć o bezprawnym naruszeniu radzieckiego terytorium. Czas lotu koreańskiego samolotu w radzieckiej przestrzeni powietrznej, mniej więcej dwie godziny, wskazuje na to, że była to dobrze zaplanowana „prowokacja".

„Nie ma sensu siedzieć teraz cicho; musimy przejść do ofensywy" - zakończył, uderzając w wilczą nutę.

Tego wieczoru, w zgodzie z deklarowaną przez Andropowa chęcią wprowadze-

nia większej „otwartości” do życia politycznego, poinformowano obywateli radzieckich, że odbyło się spotkanie Politbiura. Z komunikatu odczytanego w głównym wydaniu wiadomości telewizyjnych wynikało,

że tematyka dyskusji obejmowała „zwiększenie produkcji telewizorów kolorowych” i „środki wzrostu wydajności pracy”[22]. Nawet nie wspomniano o tragedii samolotu pasażerskiego z Korei. Dopiero po pięciu dniach władze radzieckie przyznały, że został on zestrzelony. 10 września Kreml przeszedł do ofensywy, dokładnie tak, jak proponował Gorbaczow, nadając wywiad telewizyjny z człowiekiem, który zestrzelił koreański samolot.

Giennadij Osipowicz był zszokowany. Z całych sił próbował ukryć swoje uczucia, ale udrękę miał wypisaną w oczach. Jego zazwyczaj silny uścisk dłoni stał się zimny i bez życia. Na twarz wypełzł wyraz beznadziei i oszołomienia. Zachowywał się, jakby miał nudności albo jak ktoś, kto dostał ostrą reprymendę od przełożonego. Zamknięty we własnym święcie, nie potrafił podtrzymywać rozmowy i wpatrywał się w dal.

„Może na pokładzie nie było nikogo - mówił w przestrzeń, do nikogo konkretnego. Albo: - Kto mi potrafi powiedzieć, ile dokładnie miejsc jest w takim boeingu?”[23]

Świat pilota stawał na głowie kilkakrotnie w ciągu zaledwie kilku dni. Kiedy powrócił swoim Su-15 do bazy lotniczej Sokoł, witany był jak bohater. Cały pułk wyszedł powitać człowieka, który zestrzelił „intruza”. Były uściski, całusy i wódka. Młodsi piloci patrzyli na niego z zazdrością, choć Osipowicz odczuwał lekki niepokój. Zadzwonił do Kornukowa, generała, który wydał rozkaz zestrzelenia obcego samolotu. Chciał się dowiedzieć, co naprawdę się stało. Może to był „jeden z naszych”? - pytał.

„Nie” - odparł generał swoim grubym głosem. - „To był samolot zagraniczny. Możesz sobie zrobić dziurki w pagonach na kolejną gwiazdkę”[24].

I wtedy zaczęły się pogłoski. Zachodnie stacje radiowe informowały, że Związek Radziecki zestrzelił samolot pasażerski z dwustu sześćdziesięcioma dziewięcioma osobami na pokładzie. Z Moskwy przyjeżdżały komisje rządowe. Pytaniom i dochodzeniom nie było końca. Wyżsi stopniem, wyćwiczeni w zachowywaniu zimnej krwi, zaczęli podejrzliwie przyglądać się Osipowiczowi.

„Dlaczego traktują mnie jak wariata?” - żalił się pilot dziennikarzowi z wojskowej gazety „Krasnąja Zwiezda”, który przyleciał, żeby zrobić z nim wywiad. -

„Przez kilka dni nie mogłem sam pójść do łazienki. Trzymali mnie w zamknięciu”[25].

Dziennikarze przed odlotem z Moskwy zostali szczegółowo poinstruowani. Ich zadaniem było skłonić pilota do potwierdzenia oficjalnej tezy propagandowej o zestrzeleniu „samolotu szpiegowskiego”. Oznaczało to konieczność włożeniu mu w usta tych samych kłamstw, jakie Związek Radziecki mówił reszcie świata. Cały tekst został już napisany w Moskwie. Osipowicz miał tylko zapamiętać swoje kwestie i powtórzyć je do kamery. Zrobił, co mu kazano, ale rezultat wydawał się beznadziejnie sztuczny i drętwy. Prezenter telewizyjny był niezadowolony.

Pilot poprosił o przerwę. Ktoś wyciągnął butelkę wódki, którą Osipowicz osuszył szybkimi haustami. Teraz czuł się bardziej rozluźniony. Kiedy na nowo pojawił się przed kamerami, złość i oburzenie wydawały się spontaniczne. Mówił o zagrożeniu wojną nuklearną, opowiadając, jak to w dniu, kiedy Stany Zjednoczone przygotowały tę prowokację, wygłaszał pogadankę o pokoju w szkole na Sachalinie. Prezenter telewizyjny, Aleksandr Tichomirow, zapytał, czy Osipowicz jest pewien, że był to „samolot wroga”.

„Tak, tak właśnie myślałem” - odparł Osipowicz, rozsiadając się wygodnie w fotelu. - „Kiedy przekroczył naszą granicę, tylko mnie w tym upewnił. Ten wrogi samolot, który wdarł się na nasze terytorium, przelatywał nad moim domem. Niewiele brakowało i przeleciałby nad naszą bazą. Ludzie o tej porze spokojnie sobie śpią, a tam w górze ktoś wykonuje misję szpiegowską”[26].

Tragedia koreańskiego samolotu pasażerskiego była przełomowym doświadczeniem dla obu supermocarstw. Przybliżyła je do nuklearnego Armagedonu podobnie jak kryzys kubański w 1962 roku, położyła jednak też psychologiczne fundamenty pod nową erę w stosunkach Wschód-Zachód. Jak oszołomieni walką zapaśnicy, sczepieni w śmiertelnym uścisku, przywódcy Rosji i Ameryki zatoczyli się na krawędź urwiska, spojrzeli w dół i postawili krok wstecz.

Słysząc wybuchy retorycznych pocisków przelatujących między Moskwą a Waszyngtonem, można było uznać, że świat znalazł się nad przepaścią. Administracja Reagana oskarżała Kreml o „zbrodnie przeciwko ludzkości” i rozmyślne „zmasakrowanie” dwustu sześćdziesięciu dziewięciu niewinnych cywilów. Sowieci odpowiadali, przedstawiając Reagana jako „szaleńca” porównywalnego z

Adolfem Hitlerem, który chce panować nad światem. Jednocześnie jednak logika tych wzajemnych oskarżeń była uspokajająco przewidywalna. Obie strony wiedziały, że mają środki umożliwiające dokonanie ogromnych zniszczeń po stronie przeciwnika, były więc zmuszone poszukiwać innych dróg wyładowywania swej wrogości. Równowadze terroru odpowiadała równowaga retoryki.

Propagandowa konfrontacja między Moskwą i Waszyngtonem rozgrywała się na tle próby sił związanej z rozmieszczaniem amerykańskich rakiet w Europie Zachodniej. Jeśli Kreml potrafiłby przekonać zachodnią opinię publiczną, że Reagan spycha świat na krawędź konfrontacji nuklearnej - bitwa byłaby niemal wygrana. Administracja Reagana z kolei chciała uchodzić za twardą, ale rozsądną. Sprawa koreańskiego samolotu pasażerskiego była zatem poważną klęską propagandową Andropowa. Rozmieszczanie amerykańskich pershingów i cruise'ów - odpowiedź Zachodu na wcześniejsze rozmieszczenie radzieckich rakiet SS-20 wycelowanych w Europę Zachodnią - odbywało się zgodnie z harmonogramem.

Sowieci przegrali batalię o względy zachodniej opinii publicznej. Ale równocześnie toczyła się nie mniej ważna bitwa - w umyśle Reagana. Tutaj, jak na ironię, Andropow odnosił większe sukcesy. Psychoza wojenna w Moskwie pomogła przekonać prezydenta USA, że zbyt ostre naciski na Sowietów byłyby nierozważne. Wróg przyparty do muru może zareagować irracjonalnie. Pod koniec 1983 roku Reagan zaskoczony był tym, że „wiele osób na szczytach radzieckiej hierarchii naprawdę boi się Ameryki i Amerykanów (...) jako potencjalnych agresorów, którzy pierwsi mogą użyć przeciw nim broni nuklearnej”[27]. Czuł się w obowiązku rozwiać te obawy.

Przestrach Reagana spowodowany wizją wojny nuklearnej wzmocniła próbna projekcja filmu telewizji ABC pod tytułem *Nazajutrz*, który ukazywał zniszczenie Lawrence w stanie Kansas w wyniku starcia nuklearnego ze Związkiem Radzieckim. Niektórzy przedstawiciele administracji

obawiali się, że film może się stać narzędziem w rękach propagandystów radzieckich. Szef zareagował odmiennie. „Bardzo sugestywny film, wart tych 7 milionów dolarów. Wywiera wielkie wrażenie i bardzo mnie przygnębił” - zapisał w swoim dzienniku. - „Musimy zrobić wszystko, co możliwe, aby zdobyć środki zapobiegawcze i nigdy nie dopuścić do wojny nuklearnej”[28].

W stosunkach między mocarstwami tak długo nie mogło być radykalnych zmian, jak długo polityka Kremla toczyła się wokół szpitalnego łóżka. Umierający Andropow napisał w notatce do Politbiura, że chciałby, aby jego następcą

został młody i energiczny Gorbaczow. Ale jego życzenia udaremnił spisek starców, którzy nie znieśliby myśli o przejęciu kierownictwa przez młode pokolenie. Kiedy Andropow zmarł w lutym 1984 roku, koronę przejął, również śmiertelnie chory, siedemdziesięcioletni Czernienko. Nadzieje Gorbaczowa na objęcie stanowiska sekretarza generalnego rozwiał siedemdziesięcioośmioletni premier Nikołaj Tichonow. „Michaił jest jeszcze bardzo młody" - słyszano, jak mówił swoim współpracownikom. - „Nie wiadomo, jak by zachowywał się na takim stanowisku. Nam potrzebny jest Kostia"[29].

Nie można jednak wiecznie ignorować czynnika biologicznego. Era dinozaurów dobiegała końca.

KREML
10 marca 1985

Zapadła już noc, gdy czarne ziły przeniknęły między soborem Wasyla Błogosławionego i miejscem na południowym skraju placu Czerwonego, gdzie kiedyś zarabiał na życie kat. Kiedy limuzyny zbliżyły się do murów Kremla, światła na wysokiej, sześćdziesięciometrowej Bramie Spasskiej automatycznie zmieniły się z czerwonych na zielone. Wartownicy, w butach do kolan i długich zimowych szynelach, oddali honory swoim panom. Była niedziela, tuż przed dwudziestą drugą - nietypowa pora na obrady Politbiura. Ale wartowników pouczono, że nie mają się dziwić temu, co robią ich nieprzeniknieni przywódcy.

Wewnątrz Kremla ziły skręciły na prawo przed bramą- -dzwonnicą Iwan Wielikij, ukończoną za Borysa Godunowa w 1600 roku, minęły lśniące cerkwie, w których koronowano i grzebano carów od ponad trzystu lat. Potem jeszcze raz skręciły w prawo, mijając kolejne posterunki straży, parę kutych, żelaznych bram, i zatrzymały się przed pałacem w kolorze musztardowym, stojącym równolegle do muru kremlowskiego. Wzniesiony na planie trójkąta, ten trzykondygnacyjny budynek tworzył rodzaj wewnętrznej cytadeli - kreml wewnątrz Kremla. W czasach carów mieścił się tutaj Senat i Pałac Sprawiedliwości. Kiedy Lenin w marcu 1918 roku przeniósł z powrotem stolicę z Piotrogrodu do Moskwy, gmach Senatu stał się siedzibą nowego reżymu. Nad jego okrągłym, miedzianym dachem, rozwiewana mechaniczną dmuchawą, powiewała czerwona flaga. Widziana z placu Czerwonego, po drugiej stronie muru, stanowiła zwieńczenie symbolicznego obrazu władzy radzieckiej, której centralnym punktem było Mauzoleum Lenina, a pobocznymi - ozdobione czerwonymi, podświetlanymi gwiazdami - Brama Spasska i Nikołajewska.

Siedemdziesiąt lat radzieckiej historii koncentrowało się w tym gmachu. To tutaj Lenin wydał rozkaz zamordowania cara i jego rodziny, tutaj Stalin organizował czystki swoich politycznych przeciwników i prowadził wojnę przeciwko nazistowskiemu najeźdźcy, tutaj wreszcie przerażeni koledzy z Politbiura zaaresztowali Berię. Nawet granitowe stopnie, po których dziedzice Stalina wchodzili tego dnia do budynku, miały swoją legendę. Być „wezwanym na stopnie" w języku partyjnej nomenklatury oznaczało stawić się u samego Stalina[30]. Wspinając się po schodach, przestraszeni podwładni dyktatora nigdy nie wiedzieli, co ich spotka. Wściekłe spojrzenie mogło być zapowiedzią awansu. Uśmiech mógł oznaczać śmierć. Wszystko zależało od kaprysu tyrana.

Ale czasy się zmieniły i radzieccy liderzy nie obawiali się już „wezwania na stopnie”. Konstantin Czernienko, bezbarwny biurokrata, następca Andropowa na stanowisku sekretarza generalnego, od tygodni walczył z zapaleniem i tak schorowanych płuc. O dziewiętnastej dwadzieścia tego wieczoru w końcu umarł, w wieku siedemdziesięciu trzech lat. Po raz trzeci w ciągu zaledwie trzech lat trzeba było wybierać nowego cara.

Członkowie Politbiura wjechali windą na drugie piętro byłego budynku Senatu, gdzie mieścił się gabinet sekretarza. Wyszli z windy na długi korytarz o wysokim sklepieniu. Po obu jego stronach były drzwi, a przez środek biegł niepokalanie czerwony chodnik. Każdy wchodził przez odpowiadające starszeństwu drzwi. Członkowie Politbiura z prawem głosu zazwyczaj zbierali się w pokoju wykładanym drewnem orzechowym, tuż obok gabinetu genseka. Kandydaci oraz członkowie Biura bez prawa głosu spotykali się z sekretarzami Komitetu Centralnego w nieco skromniejszym pokoju, zwanym popularnie *priedbannikom,* co po rosyjsku oznacza szatnię w łaźni. Kiedy nadszedł czas wyznaczony na spotkanie, obie grupy zbierały się w Sali Biura Politycznego. Witali się, ściskając sobie dłonie, niczym dwie drużyny piłkarskie przed wielkim meczem. Celem tej niepisanej kremlowskiej tradycji było umożliwienie gensekowi skonsultowania się z najwyższymi rangą politykami przed rozpoczęciem posiedzenia. Najważniejsze decyzje często zapadały w Pokoju Orzechowym, pod nieobecność protokolanta. Następnie zatwierdzano je w Sali Biura Politycznego[31].

Michaiła Gorbaczowa, oczekującego tego niedzielnego wieczoru na spotkanie z towarzyszami z Politbiura, wciąż oddzielało od najwyższej władzy kilka stopni. Pod nieobecność Czernienki przewodniczył posiedzeniom, ale wiedział, że niektórzy członkowie starej gwardii liczą, że to jeden z nich, Wiktor Griszyn, zagrodzi mu drogę na szczyt. Jako szef moskiewskiego komitetu KPZR siedemdziesięciojednoletni Griszyn miał opinię niekompetentnego i skorumpowanego aparatczyka. Kilka tygodni temu, by ukazać się w roli oczywistego następcy Czernienki, pomógł umierającemu przywódcy wrzucić głos do urny wyborczej. Pokazała to telewizja centralna. Premier Tichonow także podejmował zakulisowe działania, by zablokować kandydaturę Gorbaczowa. Ale szeregowi członkowie Komitetu Centralnego stali murem za Gorbaczowem. Po trzynastu miesiącach Czernienki zarówno partia, jak i cały kraj pragnęli zmian.

Kolejną ważną figurą był Andriej Gromyko, zasłużony minister spraw zagranicznych pod rządami wszystkich przywódców radzieckich od czasów Stalina. Teraz, kiedy Ustinow już nie żył, nikt w Politbiurze nie cieszył się tak wielkim

autorytetem jak Gromyko. Był on w centrum wydarzeń, odkąd ktokolwiek sięgał pamięcią: członkiem partii został w 1931 - roku narodzin Gorbaczowa. W przeszłości zdarzało im się poróżnić, irytowała go też popularność Gorbaczowa w zachodnich mediach po triumfalnej podróży do Wielkiej Brytanii w 1984 roku. Jednakże Gromyko realistycznie oceniał układ sił. Jego własny syn, Anatolij, był zdeklarowanym zwolennikiem Gorbaczowa. Namaszczając go, wzmocniłby więc własną pozycję wysokiego rangą męża stanu ZSRR.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, Gorbaczow i Gromyko umówili się na spotkanie w Pokoju Orzechowym na kilka minut przed nadejściem pozostałych. Młodszy polityk wykorzystał tę okazję, by otwarcie poprosić Gromykę o poparcie.

„Musimy zjednoczyć nasze siły. To decydujący moment” - powiedział Gorbaczow.

„Wydaje mi się, że wszystko jest jasne”.

„Liczę na to, że będziemy współpracować”[32].

Przekonany o poparciu Gromyki, Gorbaczow zwrócił się potem do Griszyna, by zaoferować mu nagrodę pocieszenia: przewodnictwo Komitetu Organizacyjnego Ceremonii Pogrzebowych. Szef moskiewskiego komitetu partii był na tyle

bystrym politykiem, iż zdawał sobie sprawę, że najwidoczniej kurtuazyjna oferta kryje w sobie pułapkę. Jeśli przyjąłby prestiżowe, ale czysto honorowe stanowisko szefa Komitetu Organizacyjnego Ceremonii Pogrzebowych, ryzykowałby, że zostanie mu to poczytane jako chęć przejęcia władzy. Nie miał przy tym gwarancji, że zyska w zamian cos konkretnego. Przezornie odparł, że to stanowisko tradycyjnie przypada osobie, która ma być następcą sekretarza generalnego. Nalegał na Gorbaczowa, by to on przyjął ten honor, mając pewnie nadzieję, że spotka się ze sprzeciwem starszych członków Politbiura[33].

„Nie ma powodu do pośpiechu” - powiedział Gorbaczow, licząc na to, że poparcie dla niego wzrośnie, kiedy znane będą życzenia regionalnych sekretarzy partyjnych. - „Przemyślmy to sobie dokładnie przez noc”.

Wchodząc do Sali Biura Politycznego, Gorbaczow lekko tylko przysunął swoje krzesło do miejsca, które tradycyjnie zajmował sekretarz generalny. Należy przestrzegać zasad etykiety. Nastrój w sali wciąż odpowiadał raczej zawołaniu „Król nie żyje!” niż „Niech żyje król!” Politbiuro zajęło się kilkoma, z pozoru mniej ważnymi sprawami, jak na przykład wysłuchaniem raportu medycznego na temat przyczyn zgonu Czernienki, przygotowaniem nekrologu, wyborem daty pogrzebu i wezwaniem do Moskwy członków ustalającego kurs polityczny

Komitetu Centralnego. Potem głos zabrał Gromyko. Zdecydowanie wskazał na Gorbaczowa jako najodpowiedniejszego przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego Ceremonii Pogrzebowych. W ten sposób zasygnalizował swoje poparcie dla kandydatury młodego polityka na stanowisko genseka. Ozwały się stłumione narzekania o zbędnym pośpiechu, ale nikt nie sprzeciwił się tej propozycji[34].

Oprócz Gromyki, Gorbaczow miał jeszcze innego wpływowego zwolennika. Podczas pracy w aparacie Komitetu Centralnego w Moskwie zawiązał sojusz z Jegorem Ligaczowem, sekretarzem odpowiedzialnym za sprawy kadrowe. ów Sybirak, przyzwyczajony do silnej władzy i ciężkiej pracy, został wyznaczony przez And ropowa do przeprowadzenia czystek w celu wyrugowania niekompetentnych urzędników partyjnych. Podobnie jak Gorbaczow, Ligaczow był rozgoryczony do rządów Breżniewa. W ciągu minionych

trzech lat jeździł po Związku Radzieckim, zastępując długoletnich protegowanych Breżniewa młodszymi urzędnikami. Sprawował pieczę nad siecią oficjeli partyjnych, którzy dzień w dzień rutynowo kontrolowali cały kraj. Ci regionalni kacykowie, zajmujący około czterdziestu procent miejsc w Komitecie Centralnym, odegrali ważną rolę w wyrzuceniu Chruszczowa w 1964 roku. *Jeśli* doszłoby do impasu w Biurze Politycznym, a więc gdyby Griszyn forsował swoją kandydaturę, ich głos miałby decydujące znaczenie. Ligaczow, licząc głosy, stwierdził, że praktycznie wszyscy oni są zwolennikami Gorbaczowa.

Na najważniejszym posiedzeniu Biura Politycznego byli nieobecni dwaj członkowie starej gwardii, którzy mogliby poprzeć Griszyna. Szef partii Kazachstanu, relikt ery Breżniewa nazwiskiem Dinmukahamed Kunajew, przybył do Moskwy o dzień za późno. Szef partii na Ukrainie, Władimir Szczerbicki, ugrząsł w San Francisco, gdzie składał wizytę oficjalną. W jakiś czarodziejski sposób odlot jego samolotu przekładano tak długo, aż kwestia następstwa została przesądzona. Wielce prawdopodobne, że był to zbieg okoliczności, ale teoretycy konspiracji kremlowskiej automatycznie zaczęli wietrzyć spisek sił progorbaczowowskich[35].

Około trzeciej nad ranem, po ustaleniu spraw organizacyjnych z Ligaczowem, Gorbaczow udał się do swojej podmoskiewskiej daczy, stanowiącej jeden z jego przywilejów jako członka Politbiura. Czekała tam na niego żona, Raisa. Bez względu na to, jak późno wracał, wieczorem niezmiennie wybierali się na spacer. Gorbaczow mógł się odprężyć po długim dniu pracy, równie jednak ważna była możliwość omówienia spraw z osobą, której najbardziej ufał, i to w miejscu, gdzie na pewno nie było mikrofonów.

Kiedy przechadzali się po zasypanym śniegiem ogrodzie, Gorbaczow wyjawił

żonie, że ma spore szanse zostać nazajutrz sekretarzem generalnym. Mimo wątpliwości uważał, że powinien przyjąć to stanowisko. Pracował ciężko jako członek Politbiura odpowiedzialny za rolnictwo, ale nie był w stanie dokonać „niczego znaczącego". Wprowadzanie reform w obecnym klimacie politycznym przypominało walenie głową w mur. Ludzie radzieccy jednak „pełni byli nadziei", a on nie miał prawa ich zawieść. „Nie możemy tak dłużej żyć. Muszą nastąpić zmiany" - dodał pięćdziesięcioczteroletni już niegdysiejszy wiejski chłopak z równin południowej Rosji[36].

Kiedy Gorbaczow rozmawiał z Raisą, jego sojusznicy wzywali do Moskwy z wszystkich stron imperium radzieckiego trzystu członków Komitetu Centralnego. Następnego dnia po południu zebrali się w wykładanej marmurem sali konferencyjnej po przeciwległej do Kremla stronie placu Czerwonego. Po raz pierwszy od czasu obalenia Chruszczowa w 1964 roku w powietrzu wyczuwalne było prawdziwe polityczne napięcie. Politbiuro odbyło drugie posiedzenie i wciąż nie było wiadomo, co zdecydowano. Nikt nie miał wątpliwości, że Związek Radziecki stoi na rozdrożu. W czasie prywatnych rozmów w kuluarach młodsi urzędnicy partyjni dyskutowali o tym, co zrobią, jeśli Biuro Polityczne zablokuje powszechne pragnienie zmian. Niektórzy grozili zorganizowaniem zbiorowego protestu, jeśli to nie Gorbaczow będzie oficjalnym kandydatem na genseka.

Drzwi po lewej stronie podium otwarły się i do sali, w kolejności według starszeństwa, weszli członkowie Politbiura. Kiedy usiedli pod dziesięciometrową, czerwono-pomarańczową mozaiką przedstawiającą Lenina, ucichł gwar rozmów. Drugi sekretarz Gorbaczow zarządził chwilę ciszy ku czci zmarłego przywódcy. Potem do mównicy podszedł Gromyko. Napięcie rosło. Czyżby zasłużony minister spraw zagranicznych sam ubiegał się o przywództwo? Gromyko wygłosił zapierający dech w piersiach wstęp - rytualny hołd dla Czernienki. Potem padły słowa, na które wszyscy czekali:

„Biuro Polityczne jednogłośnie postanowiło rekomendować na stanowisko sekretarza generalnego..." - wychrypiał, patrząc kamiennym wzrokiem na audytorium, jakby mówił kolejne *niet* Radzie Bezpieczeństwa ONZ - „Michaiła Siergiejewicza Gorbaczowa"[37].

W sali zerwała się burza oklasków. Nagle wszyscy wstali, poklepywali się i śmiali. Wszyscy zgromadzeni, nawet zatwardziali starzy bonzowie partyjni, którym bardzo zależało na zablokowaniu tej nominacji, stali się teraz zwolennikami Gorbaczowa. Ustąpiło napięcie wzmagające się wciągu minionych dwudziestu czterech godzin. Nowy sekretarz generalny, najmłodszy przywódca radziecki od

czasów Lenina, usiadł samotnie, schylił głowę, wyglądał na zakłopotanego tymi pochlebstwami. Uczynił gest Jakby chciał powstrzymać aplauz, ale oklaski trwały i trwały.

Pierwsze socjalistyczne państwo świata miało nowego cara.

W ciągu następnych sześciu lat założenia określające kształt powojennego świata stawały kolejno na głowie. Zachodni analitycy zachwycali się, że z mroków rosyjskiej prowincji przybył taki człowiek jak Gorbaczow. Po kilku stetryczałych gensekach widok radzieckiego lidera, który potrafi przemawiać bez kartki i chodzić bez obstawy, sam w sobie był przyczyną zdziwienia. A już to, że nowy przywódca skłonny był weryfikować idee i zwyczaje uświęcone ponad sześćdziesięcioletnią tradycją komunistyczną, graniczyło z cudem. W jaki sposób system radziecki, najtrwalszy reżym totalitarny dwudziestego wieku, zrodził takiego człowieka?

W rzeczywistości jednak Gorbaczow nie był człowiekiem znikąd. Był przedstawicielem pokolenia działaczy politycznych, którzy wzrastali w cieniu wielkiego tyrana i całe życie spędzili w państwie socjalistycznym. Wiara tego pokolenia w komunizm wystawiana była wielokrotnie na próbę, ale nigdy nie została całkowicie podkopana. Przedstawiciele tej generacji przyzwyczajeni byli do nie kończących się kompromisów moralnych i cierpliwie oczekiwali na szansę poprawienia błędów poprzednika. Nowy sekretarz generalny KPZR żywił te same nadzieje co pokolenie *szestidiesiałnikow,* podzielał te same marzenia, ale i te same dusiły go zmory - znał wszystkie ich mocne i słabe strony, przekonania i złudzenia.

Michaił Siergiejewicz Gorbaczow urodził się 2 marca 1931 roku we wsi Priwolnoje na żyznych stepach rozciągających się na Przedkaukaziu. W języku rosyjskim słowo *priwolnoje* ma dwie konotacje: szerokie, otwarte przestrzenie oraz wolność. Na północ od Kaukazu silne było poczucie obu tych znaczeń. Obszar ów zaludniony został w siedemnastym i osiemnastym wieku przez chłopów uciekających od poddaństwa w Rosji i na Ukrainie. W zamian za swoją wolność owi zbiegowie, Kozacy, pomagali bronić południowych granic imperium rosyjskiego przed atakami muzułmańskich ludów Kaukazu. Dla każdego było dość ziemi. Przodkowie Miszy ze strony matki przybyli tutaj z Ukrainy; ze strony ojca - z Woroneża w Rosji środkowej.

Najprawdopodobniej to po rodzinie matki Gorbaczow odziedziczył charyzmę

i romantycznego ducha. Tak jak ciemne. piwne oczy swej ukraińskiej babki, Wasylisy, oraz gadatliwość i sporadyczny upór matki. To Wasylisa zdecydowała, żeby go ochrzcić, a był to czas. kiedy stalinowskie prześladowania Kościoła prawosławnego sięgnęły apogeum. Gorbaczow pamiętał ukraińskie pieśni ludowe, których nauczył się od matki i babki. Jako sekretarz generalny śpiewał je niekiedy gościom swoim miękkim barytonem[38]. Po rosyjskich przodkach otrzymał w spadku skromność i skłonność do kompromisu. Z rysów twarzy, szczególnie gdy się uśmiechał, przypominał ojca, Siergieja[39].

Rok urodzin Gorbaczowa zbiegł się z morderczą kampanią kolektywizacji prowadzoną przez Stalina. Zdecydowany podciągnąć zacofaną Rosję do poziomu krajów uprzemysłowionych, dyktator zadekretował, że chłopi mają wnieść swoją ziemię, budynki i narzędzia do wielkich gospodarstw spółdzielczych, kołchozów. Aby zniszczyć prywatne gospodarstwa rolne oraz zwiększyć napływ żywności i siły roboczej do miast, wyprowadził obowiązkowe dostawy. Każdego, kto okazywał nawet symboliczny opor wobec nowych porządków', uznawano za „wroga klasowego" i bezlitośnie prześladowano.

Konsekwencje wymuszonej kolektywizacji były szczególnie dramatyczne na Przedkaukaziu oraz na Ukrainie, spichlerzach Rosji. Robert Conquest, kronikarz owych „żniw' bólu", ocenia, że na samym tylko Przedkaukaziu w wyniku głodu na początku lat trzydziestych zmarło lub zginęło około miliona ludzi[40]. Setki tysięcy chłopów, zwanych kułakami, deportowano. Niekiedy zsyłano całe rodziny. Śmiertelność wśród dzieci w wieku do dwóch lat była szczególnie wysoka. Szanse przeżycia dla wiejskiego chłopca w tej sterowanej odgórnie katastrofie były niewiele wyższe niż pięćdziesiąt procent. W swoich pamiętnikach Gorbaczow' pisze

wielkiej liczbie pustych, na poły zniszczonych domostw w jego wsi, których mieszkańcy zmarli z głodu[41].

Terror Stalina dotknął niemal każdą wiejską rodzinę. Gorbaczowowie nie byli wyjątkiem. W 1934 roku, kiedy Misza miał trzy latka, jego dziad ze strony ojca, Andriej, został zadenuncjowany przez sąsiada za ukrywanie zboża, „sabotowanie" planu wiosennych zasiewów. Uparty indywidualista, Andriej Gorbaczow odmówił dołączenia do skolektywizowanych gospodarstw rolnych, które tworzono wówczas w Kraju Stawropolskim. W wyniku typowego groteskowego procesu sadowego został skazany na pracę przy wyrębie lasu na Syberii. Pozbawiona źródeł utrzymania, rodzina wnet znalazła się w nędzy. W ciągu kilku miesięcy troje spośród sześciorga dzieci Andrieja zmarło z głodu.

Gorbaczow zdołał przetrwać prawdopodobnie tylko dzięki swemu ukraińskiemu dziadkowi, Pantelejowi Jefimowiczowi Gopkoło, który odgrywał pewną rolę we wczesnym etapie kampanii kolektywizacyjnej. Jako pierwszy przewodniczący miejscowego kołchozu dziadek Gopkoło był jednym z najpotężniejszych ludzi we wsi. Do jego zadań należało odbieranie ziarna innym chłopom, prawdopodobnie zatem także Andriejowi Gorbaczowowi. Ale potem, w 1937 roku, u szczytu fali czystek. Pantelej Gopkoło sam został aresztowany w środku nocy i oskarżony o przynależność do „podziemnej. prawicowo-trockistowskiej organizacji kontrrewolucyjnej”. Zamiana roi prześladowców i prześladowanych była odbiciem ogólnej paranoi tych czasów. Gorbaczow wspomina, że jego dom traktowano jak „siedlisko zarazy" - nikt nie ośmielał się go odwiedzać w strachu, że może być skojarzony z „wrogami ludu”. „Nawet dzieci sąsiadów nie chciały mieć ze mną nic wspólnego” - wspomina w swoich pamiętnikach. - „Jest to coś, co pozostało we mnie przez całe życie”[42].

W zgodzie z typowo radziecką koleją losu. dziadek Gopkoło został zwolniony i zrehabilitowany na krótko przed wybuchem II wojny światowej. Przez następnych siedemnaście lat był przewodniczącym kołchozu „Czerwony Październik” i twierdził, że „Stalin nie ma pojęcia, co robi NKWD”.

Represje polityczne w latach trzydziestych były powszechne i w praktyce przestała obowiązywać zasada, że członkami partii mogą zostać tylko robotnicy i chłopi, których rodziny mają czystą kartę. W aktach osobowych wielu kolegów Gorbaczowa były podobne rysy. Samo w sobie nie zamykało to dostępu do wysokich urzędów, pod warunkiem że się o tym nie mówiło. Podniesienie takiego tematu publicznie zrodziłoby wątpliwości co do czyjejś „wiarygodności politycznej". Tak więc przez prawie sześćdziesiąt lat Gorbaczow w ogolę

nie mówił o cierpieniach swojej rodziny. Nie prosił KGB o akta swoich dziadków aż do zamachu dokonanego przez zwolenników ostrego kursu w sierpniu 1991 roku. Jak później tłumaczył, nie potrafił sobie poradzić z „duchową barierą” lojalności wobec partii[43].

Miarą psychologicznego piętna stalinizmu jest niemożność Gorbaczowa, i wielu innych, wyzbycia się złudzenia, że wszelkie te cierpienia służyły szlachetnym celom. Poświęcenia bliskich stały się powodem nie tyle odrzucenia systemu radzieckiego, ile podtrzymywania weń wiary. „Czy mam się odwrócić od mojego dziadka, który oddany był idei socjalizmu?” - pytał retorycznie Gorbaczow w listopadzie 1990 roku. - „Czy mogę zwrócić się przeciwko mojemu ojcu, który bronił Kurska, przeprawiał się przez Dniepr, brodząc po kolana we krwi, i był ranny

w Czechosłowacji? Czy pozbywając się brudów stalinizmu i innych nieczystości, powinienem wyrzec się dziadka i ojca oraz wszystkiego, co czynili?”[44]

Dla starszego pokolenia radzieckich aparatczyków uderzające w biografii Gorbaczowa było to, że z racji młodego wieku jako pierwszy z sekretarzy generalnych nie uczestniczył w - jak ją nazywają Rosjanie - Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Trudno przecenić rolę tej wojny w życiu Sowietów. Poległo wszak wówczas dwadzieścia milionów obywateli radzieckich. Miała ona też znaczny wpływ na sposób myślenia kolejnych przywódców. Dla ludzi pokroju Breżniewa i Andropowa pamięć o tym, jak to Niemcy podeszli pod Moskwę i Leningrad w trwającym cztery miesiące Blitzkriegu w 1941 roku, była wciąż aktualną lekcją. Tłumaczyła ona ich obsesję na punkcie bezpieczeństwa, ich paranoiczny strach przed okrążeniem przez obce państwa i głęboko zakorzeniony konserwatyzm. Doświadczenie nauczyło ich, że rozluźnienie czujności bywa śmiercionośne. Dla nich też zwycięstwo nad faszystowskim najeźdźcą było dowodem na wyższość systemu komunistycznego. Bez narzuconej przez Stalina industrializacji Związek Radziecki nigdy by nie zdołał wyprodukować tylu czołgów i dział, które w ostatecznym rozrachunku umożliwiły triumf Armii Czerwonej nad najstraszniejszą machiną militarną w dziejach świata. Bez czystek i pokazowych procesów kraj zamęczyłyby wewnętrzne podziały.

W czasie niemieckiej inwazji Gorbaczow miał zaledwie

dziesięć lat. Okupacja Kraju Stawropolskiego trwała zbyt krótko - tylko pięć miesięcy - aby wywrzeć na nim wrażenie. Marszałek Siergiej Achromiejew, który przetrwał dziewięćset dni oblężenia Leningradu, a później awansował na doradcę wojskowego genseka, reagował na brak doświadczenia wojennego Gorbaczowa w sposób typowy dla przedstawicieli starszego pokolenia. W swoich pamiętnikach napisał, że Gorbaczow był członkiem pokolenia, które nigdy nie musiało „walczyć przeciwko niemieckim faszystowskim czołgom, mając do dyspozycji jedynie karabiny i butelki z benzyną, bezsilnie patrzeć, jak niemieckie samoloty atakują najbliższych towarzyszy, wycofywać się po kilkaset kilometrów w miarę jak najeźdźca palił nasze miasta i wsie, zabijał bezbronnych cywilów i niszczył narodowe bogactwo”'[15]. Gorbaczow był za to świadkiem strasznych skutków wojny: głodu i zimna, niepewności losu krewnych, katorżniczej pracy przy odbudowie. Stary żołnierz zastanawiał się, czy to nie te doświadczenia złożyły się na „pacyfistyczne” skłonności jego szefa.

Lata, które kształtowały osobowość Gorbaczowa, zbiegły się nie z wojną, ale

ze śmiercią Stalina w marcu 1953 roku i Chruszczowowską odwilżą. W tym czasie był wybijającym się studentem prawa na Uniwersytecie Moskiewskim. Gdy w 1950 roku przybył do stolicy, miał niewiele więcej niż to, co na sobie. Wnuk przewodniczącego kołchozu, był dokładnie taką osobą, jaką partia chciała widzieć na najbardziej prestiżowej uczelni w kraju. Miał właściwe „pochodzenie klasowe”. W liceum, pod Priwolnoje, napisał pracę maturalną na temat „Stalin jest naszą chwałą bitewną, Stalin jest wzlotem naszej młodości”[46]. Był aktywnym członkiem Komsomołu, młodzieżowej organizacji komunistycznej. Otrzymał nawet odznaczenie państwowe - Order Czerwonego Sztandaru Pracy - jako wyróżniający się kombajnista. To właśnie na uniwersytecie poznał swą przyszłą żonę, Raisę Titorenko, szykowną studentkę filozofii z Syberii.

Mimo że poglądy polityczne Gorbaczowa były absolutnie ortodoksyjne, przejawiał pewną niezależność intelektualną. Przedwcześnie dojrzały i pewny siebie, spierał się z nauczycielami, zarówno w szkole średniej, jak i na uniwersytecie. Brał udział w spontanicznych dyskusjach w akademiku.

Z opinii, jakimi dzielił się ze swoim czeskim kolegą z pokoju, Zdenkiem Mlynarem, wynika, że zdawał sobie sprawy z rozziewu między ideologią komunistyczną, a radziecką rzeczywistością. Któregoś razu obaj studenci oglądali film propagandowy gloryfikujący gospodarstwa kolektywne na Przedkaukaziu. Kiedy na filmie pokazano stoły w chłopskich domach uginające się odjedzenia i picia, nie wytrzymał i powiedział Mlynarowi, ile w rzeczywistości jedzą kołchoźnicy. Innym razem, po lekturze „prawa kołchoźniczego”, Gorbaczow wprost powiedział swemu czeskiemu przyjacielowi, że najważniejszym prawem dla kołchoźników jest brutalna siła[47].

W kilka miesięcy po śmierci Stalina Gorbaczow powrócił do Kraju Stawropolskiego, aby pomagać przy żniwach oraz odbyć staż w miejscowej prokuraturze. Po światowej atmosferze Uniwersytetu Moskiewskiego uderzyła go »bierność i konserwatyzm" prowincji. „(...) przytłacza mnie tutejsza atmosfera" - pisał do przyszłej żony - „(...) nikczemność tego, co mnie otacza... Szczególnie zaś życia codziennego rejonowej «elity». Konwencjonalność. subordynacja. przesądzanie z góry każdego kroku, otwarta urzędnicza bezczelność, cwaniactwo... Patrzysz na któregokolwiek z tutejszych szefów i nic godnego uwagi, prócz brzucha, nie widać. A jaka buta, pewność siebie, lekceważąco-protekcjonalny ton!”[48]

Ujawnienie zbrodni Stalina przez Chruszczowa było wielkim wstrząsem dla Gorbaczowa, wychowanego w czci dla „Ojca Narodów”. Wstrząs ten jednak pozwolił mu pogodzić polityczne ideały z tym, co widział dookoła. Teraz więc znów

miał w co wierzyć. Jeśli partii uda się oczyścić z „brudów Stalina", poprowadzi kraj do obiecanej utopii.

Gorbaczow w 1961 roku został delegatem na XXII Zjazd KPZR, podczas którego przegłosowano usunięcie ciała Stalina z mauzoleum na placu Czerwonym, gdzie dotąd spoczywało obok zwłok Lenina. Zjazd odbywający się w nowym Pałacu Zjazdów na Kremlu przepełniony był optymizmem, odzwierciedlającym ducha czasów. Chruszczów właśnie pokonał klikę Stalina w Politbiurze, na czele której stał były minister spraw zagranicznych Mołotow. Rosjanie pobili Amerykanów w kosmosie - jednym z delegatów był Jurij Gagarin. Rosja wciąż była biednym i zacofanym krajem, ale dokonywała szybkich postępów we wszystkich dziedzinach. Wzrost gospodarczy był znaczny. Na arenie międzynarodowej rozpadały się dawno imperia kolonialne. Imperializm był w wyraźnej defensywie. Wierni zgromadzeni na Kremlu bez trudu dali się przekonać Chruszczowowi, kiedy zapewniał ich, że Związek Radziecki do 1970 roku pokona Stany Zjednoczono w produkcji *por capita*, a do 1980 roku osiągnie stadium pełnego komunizmu.

Nadzieje pokolenia *szestidiesiatnikow* zostały poważnie nadszarpnięte w sierpniu 1968 roku, kiedy radzieckie czołgi wjechały do Czechosłowacji i zgniotły eksperyment Dubčeka. usiłującego budować „socjalizm z ludzką twarzą". Inwazja cofnęła reformy o całe pokolenie nie tylko w Europie Wschodniej, ale także w Związku Radzieckim, gdzie nastąpił gwałtowny nawrót praktyk stalinowskich. Gorbaczow przyjechał do Czechosłowacji w rok po inwazji, jako członek delegacji KPZR. W delegacji tej był też Ligaczow. Dla Gorbaczowa było to nieprzyjemne, niepokojące doświadczenie. „Kiedy wchodziliśmy do fabryk, nikt nie chciał z nami rozmawiać" - wspominał później. - „Robotnicy nie odpowiadali na nasze powitania i demonstracyjnie odwracali się do nas plecami. Było to niemiłe uczucie"[49].

Gorbaczow umiał panować nad emocjami. Dopiero rozpoczynał karierę polityczną, w dużej mierze dzięki przyjaźni z Dmitrijem Kułakowem. byłymi szefem partii w Kraju Stawropolskim, odpowiedzialnym w Politbiurze za rolnictwa[50]. Innymi potężnymi patronami Gorbaczowa byli Jurij Andropow i Michaił Susłow.

Szestidiesiatniki odziedziczyli po Chruszczowie przekonanie, że Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego może się oczyścić z nieprawidłowości i poprowadzić masy do lepszego życia. To przekonanie nie odstępowało ich przez

długie lata stagnacji, kiedy największy kraj świata zdawał się dryfować w nieokreślonym kierunku. Kiedy Gorbaczow powiedział Raisie w przeddzień wyboru na stanowisko sekretarza generalnego, że „muszą nastąpić zmiany", ostatnim, co miał na myśli, były rewolucyjne zmiany, które rzeczywiście nastąpiły. Niespełna trzy miesiące wcześniej, w przemówieniu do działaczy partii komunistycznej, mówił o potrzebie rewolucji technologicznej, która pozwoli Związkowi Radzieckiemu „wkroczyć w nowe tysiąclecie jako wielkie i kwitnące państwo”[51]. Chciał wzmocnić system komunistyczny, a nie go pogrzebać. Potrzebował prawie ośmiu lat, by publicznie przyznać, że ta nadzieja opierała się na „złudzeniu”.

„Byliśmy podobni do Chruszczowa. Chcieliśmy ulepszać system, dać mu więcej tlenu, pozwolić na złapanie drugiego oddechu” - wspominał w 1993 roku, dwa lata po nieudanym przewrocie komunistycznym. - „Kiedy czułem, że zostanie mi zaproponowane stanowisko sekretarza generalnego, przeżywałem wewnętrzne rozdarcie - co robić? Wiedziałem, co złego dzieje się w kraju. Nic mogliśmy na to dłużej pozwalać. Już mieliśmy duży deficyt budżetowy, spadał dochód narodowy, park maszynowy był przestarzały, technologia archaiczna, w sklepach nie było towarów, wydobycie ropy naftowej spadało. A co mogliśmy eksportować? Tylko ropę i wódkę. Widziałem to wszystko bardzo wyraźnie. Rozumieliśmy, że trzeba przeprowadzić reformy i że musimy dać więcej wolności producentom i regionom. Wiedzieliśmy, że niezbędne jest uwolnienie społeczeństwa od wielu restrykcji. Uważaliśmy, że możemy tego wszystkiego dokonać w ramach istniejącego systemu”[52].

Cel, jaki postawił sobie Gorbaczow, nie miał precedensu w rosyjskiej historii. Inni rosyjscy władcy - Iwan Groźny, Piotr Wielki i Stalin, by wymienić jedynie kilku - usiłowali wyrwać Rosję z zacofania i dogonić Zachód. Ale wszyscy oni opierali się na środkach przymusu scentralizowanego państwa, pozwalających na mobilizację mas. Ulubionymi instrumentami rosyjskich reformatorów były bat i katowski pieniek. Gorbaczow i jego sojusznicy rozumieli, że tradycja represji była sporym problemem: rewolucji technologicznej nic mogą przeprowadzić wyobcowani i apatyczni pracownicy. Nowy przywódca Rosji chciał wykorzystać „nieprzebrany potencjał socjalizmu”, uwalniając energię jednostek.

Gorbaczow wiedział, że jego rewolucja będzie musiała się zacząć na górze. W przeciwieństwie do takiego kraju jak Polska, który miał długą historię walki z władzą totalitarną, społeczeństwu radzieckiemu brakowało niezależności głosu. Ale ostatni następca Lenina i Stalina bardzo szybko zdał sobie sprawę, że rewolucję będzie jednak musiał zacząć od dołu. W przeciwnym razie stłamsi ją armia

biurokratów - tak jak zdusiła Chruszczowowską odwilż.

KREML
14 marca 1985

Aby zagraniczni goście odczuli majestat i potęgę Świętej Rusi, carowie w samym sercu Kremla stworzyli przybytek chwały oręża rosyjskiego. Wyłożona najdoskonalszymi marmurami i parkietem sala, długości około siedemdziesięciu metrów, znana była jako Sala Świętego Jerzego. Nazwano ją tak samo jak najwyższe odznaczenie wojskowe imperialnej Rosji. Na biało-złotych ścianach widniała lista rosyjskich podbojów od Polski po Alaskę, herby ziem wchłoniętych przez cesarstwo i nazwiska dowódców, którzy pokonali Napoleona.

Komuniści kontynuowali carską tradycję czczenia wielkich wydarzeń bankietami urządzanymi w Sali Świętego Jerzego. To właśnie tutaj Stalin fetował w 1945 roku zwycięstwo nad III Rzeszą, a Chruszczów witał Gagarina po jego powrocie na Ziemię z pierwszego lotu w kosmos. Tutaj także odbywały się uroczystości żałobne po pogrzebach sekretarzy generalnych. Tutaj przywódcy innych państw świata mogli też wyrobić sobie pierwsze wrażenie o nowych panach kraju rozciągającego się przez jedenaście stref czasowych i posiadającego ponad trzydzieści pięć tysięcy pocisków nuklearnych.

Na pierwszy rzut oka większości zagranicznych gości wydawało się, że Gorbaczow będzie strasznym przeciwnikiem. Nowy gensek pojawił się w sali w towarzystwie swego siedemdziesięciodziewięcioletniego premiera i siedemdziesięciopięcioletniego ministra spraw zagranicznych. Oprócz tego, że był młodszy i energiczniejszy niż ci dwaj, miał także o wiele bardziej ujmujący styl bycia. Łatwo nawiązywał kontakt z gośćmi. Miał też, typowy dla zachodnich polityków, zwyczaj patrzenia szczerze i prosto w oczy. Ale pod względem ideologicznym wydawał się skrojony z tej samej materii co towarzyszący mu politycy. Większość zagranicznych przybyszy, którzy poznali go tego dnia, uznała, że pojawienie się Gorbaczowa w roli radzieckiego przywódcy to coś więcej niż tylko kosmetyczna poprawka totalitarnego państwa.

Mieszane uczucia Zachodu wyraził kanclerz Republiki Federalnej Niemiec, Helmut Kohl, którego kraj miał najbardziej skorzystać z polityki nowego radzieckiego przywódcy. Porównał później umiejętność Gorbaczowa kształtowania swego publicznego wizerunku do talentu szefa propagandy III Rzeszy, Josepha Goebbelsa. Politycy z Europy Wschodniej byli nastawieni do Gorbaczowa nie mniej sceptycznie. Nie zrobiły na nich wrażenia deklaracje nowego genseka,

że Kreml będzie respektował „suwerenność” i „niezależność” państw obozu socjalistycznego. „Breżniew używał bardzo podobnych słów. Nie miały one wówczas zbyt wielkiego znaczenia” - wspominał Wojciech Jaruzelski po upadku imperium[53]. Gorbaczow’ powiedział polskiemu przywódcy, że jakakolwiek „próba podważenia socjalistycznego ładu” w Europie Wschodniej nie będzie tolerowana. Nie będzie restytucji Solidarności.

Amerykańską delegację, na czele z George’em Bushem, wprowadzono do pobliskiej sali na trwającą osiemdziesiąt pięć minut audiencję prywatną z Gorbaczowem. Wiceprezydent był już zmęczony kremlowskimi pogrzebami. Powiedzenie „Ty umierasz - my przylatujemy ” *(„You die - we fly”)* stało się nieoficjalnym mottem jego świty. Po raz trzeci w ciągu czterdziestu miesięcy Bush był świadkiem bizantyjskich pożegnań na placu Czerwonym. Gdy wrócił do Waszyngtonu, opisał Gorbaczowa jako „imponującego sprzedawcę idei”, ale stwierdził jasno, że nie oczekuje wielkich zmian w polityce Kremla. Zmieniła się raczej forma niż treść, uznał. Pięć tygodni później amerykański ambasador w Moskwie, Arthur Hartman, udał się do Waszyngtonu, by zdać relację Ronaldowi Reaganowi z początkowego okresu sprawowania władzy przez Gorbaczowa. „Hartman potwierdził moje przypuszczenia” - zapisał prezydent w swoim dzienniku - „że Gorbaczow będzie równie twardy jak wszyscy jego poprzednicy. Jeśli nie byłby zdeklarowanym ideologicznie politykiem, Politbiuro nigdy by go nie wybrało”[54].

Być może najbardziej spostrzegawcze opinie o nowym przywódcy radzieckim zawdzięczamy Margaret Thatcher. Gorbaczow był w Londynie trzy miesiące wcześniej i wywarł wrażenie na brytyjskiej pani premier swoją otwartą głową i skłonnością do rozmowy na każdy temat. „Z panem Gorbaczowem możemy ubić interes” - stwierdziła. Oboje mieli sporo wspólnych cech, w szczególności wysokie mniemanie o sobie i niezaspokojone pragnienie zmian.

W przeciwieństwie do wielu zachodnich przywódców, Thatcher zdawała sobie sprawę, że Gorbaczow szczerze mówi o chęci zreformowania systemu komunistycznego, ale miała wątpliwości, czy mu się to uda. „Gorbaczow uważa, że problem polega na złym funkcjonowaniu systemu” - powiedziała George’owi Schultzowi, amerykańskiemu sekretarzowi stanu. - „Myśli, że może wprowadzić zmiany i wszystko będzie działało lepiej. Nie rozumie, że problemem jest sam system”[55].

NIŻNIEWARTOWSK
4 września 1985

Już wkrótce ujawniła się skala zadań stojących przed Gorbaczowem. Kilka miesięcy od objęcia stanowiska przez nowego genseka gospodarka Związku Radzieckiego przeżyła kolejny wstrząs: po raz pierwszy od wielu lat wydobycie ropy naftowej zaczęło spadać. Spadku tego na Zachodzie prawie nie zauważono. Tam bardziej interesowano się osobowością nowego przywódcy. Wydobycie ropy miało jednak decydujący wpływ na wysiłki reformatorskie Gorbaczowa. Jego ambitne plany modernizacji przemysłu zależały w dużym stopniu od wielkich inwestycji. Jeśli boom naftowy przemieni się w naftowy krach - nie będzie można zrealizować żadnej z planowanych reform. Ruch pierestrojki, przynajmniej w kształcie, jaki pierwotnie jej nadano, byłby skazany na klęskę.

Odkrycie pod koniec lat sześćdziesiątych olbrzymich pokładów ropy naftowej na zachodniej Syberii było dla radzieckiej gospodarki i reżymu życiową wygraną. Dla Breżniewa i jego ekipy ropa popłynęła w wyjątkowo szczęśliwym momencie. Stalinowski system nakazowo-rozdzielczy przestał efektywnie działać, ale nie można go było porzucić bez podważania podstaw komunistycznego państwa. Przestraszeni Praską Wiosną, radzieccy liderzy sprzeciwiali się wszystkiemu, co pachnie gospodarką rynkową. Dzięki nieoczekiwanej gratce, jaką były wpływy z eksportu ropy naftowej, reformy gospodarcze można było odkładać w nieskończoność. Nie mniej szczęśliwym trafem boom naftowy zbiegł się w czasie z kryzysem energetycznym na Zachodzie, spowodowanym gigantyczną zwyżką cen ropy, do której doszło w rezultacie wojny izraelsko-arabskiej w 1973 roku. Radziecka propaganda skupiała się na obrazach poirytowanych kierowców oblegających stacje benzynowe w Ameryce i Europie Zachodniej. Miał to być dowód na ostateczne bankructwo kapitalizmu. Widziany oczyma radzieckich dziennikarzy, kryzys energetyczny był zjawiskiem typowym dla kapitalizmu. Do takiej zapaści nie mogło dojść w gospodarce „planowej”.

Złoty interes, jaki ZSRR robił na ropie naftowej, umożliwił Kremlowi sfinansowanie importu zboża, obsługę rosnącego zadłużenia zagranicznego i opłacanie sojuszników z Trzeciego Świata. Radzieckie petrodolary pokryły koszty wojny w Afganistanie, stacjonowanie oddziałów kubańskich w Angoli i Etiopii oraz pensje ponad stu pięćdziesięciu tysięcy doradców technicznych w siedemdziesięciu sześciu krajach. W ciągu dekady, jaka upłynęła od pierwszego wstrząsu naftowego, Związek Radziecki zarobił na eksporcie ropy na Zachód

około trzystu miliardów dolarów[56]. Kwota może wydawać się olbrzymia, lecz ZSRR miał niewielki udział w rynku. Mniej więcej trzy czwarte produkcji radzieckiej ropy naftowej zarezerwowanych było na potrzeby wewnętrzne. Dziesięć do piętnastu procent wydzielano państwom satelickim. Od Warszawy po Hawanę i od Hanoi do Managui skorumpowane, nieudolne reżymy komunistyczne utrzymywały się na powierzchni dzięki obfitym dostawom taniej syberyjskiej energii. Na rynku wewnętrznym ropa kosztowała jeszcze mniej: jeden-dwa centy za litr. Dopóki płynęła, dyrektorzy fabryk nie mieli motywacji do zmiany swoich sposobów działania.

„Pieniądze z ropy były jak narkotyk" - stwierdził Stanisław Szatalin, radziecki ekonomista, który później stał się doradcą Gorbaczowa. - „I jak każdy narkotyk stwarzały złudzenie siły. Naprawdę zaś niszczyły ciało, nadając chorobie coraz bardziej śmiertelny charakter"[57].

Patrząc wstecz, należy przyznać, że dla Zachodu kryzys energetyczny był szczęściem w nieszczęściu. Zmuszając fabryki do redukcji kosztów i wprowadzenia nowych, energooszczędnych technologii, przyśpieszył rewolucję technologiczną już dokonującą się w wielu krajach. Związek Radziecki natomiast zmierzał coraz bardziej w stronę krainy ekonomicznego absurdu, gdzie prawo podaży i popytu zastąpione zostało biurokratycznym dekretem. Radziecka kadra kierownicza przyzwyczaiła się do - najwidoczniej - nieograniczonych dostaw tanich surowców. Do połowy lat osiemdziesiątych przeciętna fabryka zużywała dwu-, trzykrotnie więcej surowców niż typowa fabryka w USA, wytwarzając przy tym produkty zdecydowanie gorszej jakości. Kiedy kryzys energetyczny objął w końcu także świat komunistyczny, jego skutki były dlań katastrofalne.

Pierwsze oznaki zbliżającej się klęski zostały zauważone pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy to planiści ostrzegali Breżniewa, że Związek Radziecki żyje ponad stan. W październiku 1981 roku Kreml ostatecznie zdecydował się na ograniczenie dostaw ropy naftowej do Europy Wschodniej o dziesięć procent. Spowodowało to protesty państw satelickich. Szczególnie gwałtownie zareagował przywódca Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Erich Honecker, twierdząc, że nie będzie w stanie wyjaśnić „klasie pracującej" nagłej zwyżki kosztów energii™. Niezdecydowany Breżniew, któremu zależało na tym, żeby zadowolić wszystkich, zmniejszył zapowiadane rozmiary redukcji dostaw. W rezultacie oszczędności były symboliczne.

Kiedy do władzy doszedł Gorbaczow, symptomy kryzysu były tak ewidentne, że nie można ich już było ignorować. Przemawiając na posiedzeniu Politbiura w

miesiąc po objęciu stanowiska, nowy gensek wyliczał przykłady zacofania gospodarczego ZSRR. Skupił się na przygnębiającej kondycji rolnictwa - dziedziny, którą dobrze znał. Mówił, że w przemyśle spożywczym dwie trzecie produkcji to efekt pracy fizycznej. Wydajność była o sześćdziesiąt procent niższa niż na Zachodzie. Rokrocznie, w rezultacie marnotrawstwa i braku organizacji, straty pochłaniały jedną trzecią zbiorów. Ponad trzysta radzieckich miast nie miało wodociągów i kanalizacji. Połowa ulic na obszarach miejskich pozbawiona była nawierzchni[59].

„Jeśli nie przerwiemy tego trendu, przed końcem stulecia staniemy się krajem Trzeciego Świata" - mówił Gorbaczow. Jego szczere stwierdzenia zostały usunięte z oficjalnego zapisu obrad, który udostępniono radzieckiej prasie[60].

Skala ambicji nowego przywódcy sprawiała, że problem alokacji zasobów stawał się tym bardziej palący. W ciągu pierwszych kilku miesięcy sprawowania swej nowej funkcji Gorbaczow przemierzał kraj niczym tornado, zwracając uwagę na strukturalne wady społeczeństwa radzieckiego, wywodzące się sprzed wielu dziesiątek lat. Tak wiele wymagało naprawy! Cel był jasny: pobudzić ludzi do działania poprzez wymianę wyposażenia i sprzętu oraz podnoszenie poziomu wydajności robotników. Niejasne było tylko to, skąd wziąć pieniądze na pokrycie kosztów tak gigantycznej modernizacji.

Gorbaczow stanął wobec klasycznego dylematu: armaty czy masło? Jedną z możliwości była redukcja wydatków zbrojeniowych. Ale nie można się było na nią zdecydować, gdyż stosunki ze Stanami Zjednoczonymi wciąż były napięte. Wkrótce po wyborze Gorbaczowa na sekretarza generalnego kierownictwo obrony przekonało go do zwiększenia budżetu wojska. Tajna rezolucja Politbiura przewidywała wzrost wydatków zbrojeniowych o cztery i pół procent rocznie w latach 1986-1990. Miał być zatem szybszy niż wzrost dochodu narodowego[61]. Inną opcją było ograniczenie konsumpcji. Ale w obliczu powszechnych oczekiwań spowodowanych dojściem do władzy Gorbaczowa była to opcja nierealna. Jeśli każe się ludziom pracować ciężej, potrzebują więcej - nie mniej - zachęt.

W środku tej debaty wiadomości z zachodniej Syberii skłoniły Gorbaczowa do zrewidowania zarówno planu swoich podróży, jak i kalkulacji gospodarczych. Boom naftowy lat Breżniewa zaczął opadać. Jeśli pilnie nie podejmie się zdecydowanych działań, Kreml utraci najpewniejsze źródło twardej waluty.

Tu polew-134 Gorbaczowa przelatywał tysiąc metrów nad największym polem

naftowym świata. Przed oczami genseka roztaczał się widok z lotu ptaka na gospodarcze fundamenty potęgi radzieckiej. Dziewicza tajga ustępowała koszmarnemu krajobrazowi przemysłowemu. Wyglądało to tak, jakby ktoś nożem wściekle pociął w poprzek olbrzymie zielone płótno. Wielka gmatwanina dróg, rurociągów i szybów naftowych rozciągała się setki kilometrów po obu stronach rzeki Ob. Co jakiś czas nacięcia zlewały się w ohydne plamy nieutwardzonych ulic, bloków z wielkiej płyty i kominów buchających ogniem i dymem w posępne niebo.

Dla pokoleń Rosjan Syberia była nie tylko miejscem, ale i ideą. Tradycyjnie nazwa ta kojarzyła się Rosjanom z dwoma przeciwstawnymi wartościami: wolnością i tyranią. Wielkie, nie zagospodarowane przestrzenie były dla nich odpowiednikiem amerykańskiego Dzikiego Zachodu - ziemią nadziei i możliwości, która przyciągała pionierów, pragnących uciec od wszechobecnej biurokracji. Ale Syberia była także miejscem zsyłki politycznych przeciwników carów i sekretarzy generalnych. Wielu kojarzyła się z represjami, które dotknęły miliony ludzi, oraz z wyjątkowo ostrymi warunkami klimatycznymi.

W okresie komunistycznym z Syberią zaczęto też wiązać pogląd, że Związek Radziecki jest krajem „niewyczerpanych” bogactw naturalnych. Bolszewicy uważali, że eksploatacja tych bogactw jest sprawą politycznej woli. Cele zawsze uświęcały środki. Jeśli kierownictwo podjęło decyzję, że jakieś przedsięwzięcie ma strategiczne znaczenie dla kraju, koszty ludzkie i ekologiczne przestawały się liczyć. Każdą ofiarę usprawiedliwiał ostateczny cel: budowa społeczeństwa komunistycznego. W pogoni za utopią Stalin wszczął bezlitosną dewastację środowiska naturalnego, przekształcając przy okazji Syberię w jeden wielki niewolniczy obóz pracy. Zmobilizował miliony wyrobników do budowy kanałów i linii kolejowych na wiecznej zmarzlinie, do wydobywania uranu z syberyjskich gór i do budowy fabryk zbrojeniowych na jej obrzeżach.

Syberyjskie bogactwa podtrzymywały radziecki komunizm jeszcze długo po tym, jak dotarł on do kresu swych możliwości. To właśnie w stronę Syberii tęsknie spoglądali przywódcy pokolenia Breżniewa w poszukiwaniu wyjścia z kryzysów gospodarczych osłabiających całe imperium. Kiedy na początku lat siedemdziesiątych ujawniło się wiele wąskich gardeł scentralizowanej gospodarki, Politbiuro nakazało budowę linii kolejowej o długości blisko czterech tysięcy kilometrów. Tą drogą właśnie, znaną jako Magistrala Bajkalsko-Amurska (BAM), chciano transportować bajeczne bogactwa z północnej Syberii. Kiedy zasoby

wodne żyjących z uprawy bawełny republik środkowoazjatyckich zaczęły się wyczerpywać w wyniku nadmiernej eksploatacji, planiści zaproponowali proste rozwiązanie: trzeba zmienić bieg rzek syberyjskich z północy na południe. Kiedy pod koniec lat siedemdziesiątych problemy Kremla stały się nie do zniesienia, syberyjskim nafciarzom nakazano zdwojenie wydobycia. Syberia pełniła funkcję rezerwuaru surowców komunistycznego imperium, niczym bezlitośnie eksploatowana kolonia. Dla Breżniewa i jego towarzyszy każda próba kwestionowania mitu „niewyczerpanego" bogactwa Syberii była niedopuszczalna z ideologicznego punktu widzenia.

Od strony ekonomicznej to właśnie Syberia umożliwiała istnienie komunizmu w radzieckim wydaniu. Tutaj też najbardziej widoczne były jego przedśmiertne drgawki. W końcu nawet natura zbuntowała się przeciwko swym zachłannym panom.

Miasto, do którego udawał się Gorbaczow, Niżniewartowsk, było typowym przejawem stalinowskiego podejścia do rozwoju gospodarczego. Dwadzieścia pięć lat temu w tym odciętym od świata miejscu stało kilkaset drewnianych chat, zamieszkanych przez miejscową ludność - Chantów. Był to lud wędrowny, utrzymujący się z polowań, hodowli reniferów i korzystający z obfitości ryb w Obie. Geologowie wskazali pobliskie bagno - nazywane przez miejscowych Samotlor (Jezioro Martwe) - jako prawdopodobne miejsce pokładów ropy naftowej. Na początku 1965 roku pojawiło się tam kilka brygad wiertniczych. Pracowali w przerażających warunkach. Nie było tam dróg, a temperatura wynosiła czterdzieści-pięćdziesiąt stopni poniżej zera. Ekipy nafciarzy miesiąc przedzierały się przez moczary. Ale kiedy wbili wiertła w zamarzniętą ziemię, znaleźli więcej ropy, niż kiedykolwiek mogli marzyć. W znaczących ilościach ropa popłynęła na początku lat siedemdziesiątych.

W ciągu następnych dziesięciu lat pole Samotlor dało więcej ropy niż Kuwejt. Co czwarta baryłka radzieckiej ropy - odpowiednik nadwyżki eksportowej kraju - pochodziła z tego odległego zakątka zachodniej Syberii. Pionierzy, którzy dokonali odkrycia, zostali odznaczeni medalami. Dramatycznie poszukując wszystkiego, co można by wymienić na twardą walutę, przywódcy radzieccy wciąż podnosili normy produkcyjne. Aby nadążyć za rosnącymi żądaniami Moskwy, nafciarze zaczęli iść na skróty. Z pośpiechem wydobywając ropę spod ziemi, oszczędzali na infrastrukturze i nie zwracali uwagi na środowisko naturalne. Stosowali prymitywne techniki wydobywcze, powodując zalewanie wodą pól naftowych i utratę naturalnego ciśnienia złóż. Woleli pozostawiać w bagnach

wartościowe drewno, niż kłopotać się jego obróbką. Zamiast budować rurociągi, którymi można by przesyłać do odbiorców gaz ziemny - po prostu go spalali. Każdego dnia na polach wokół Niżniewartowska tracono w ten sposób tyle gazu, że wystarczyłoby go do ogrzania kilku europejskich miast[62].

Przy zastosowaniu odpowiednich technik, z pola Samotlor byłoby można czerpać wielkie ilości ropy przez dziesiątki lat. Ale wydobywano ją w sposób rabunkowy i żywotność pola została niepotrzebnie skrócona. Kiedy do władzy doszedł Gorbaczow, produkcja zaczęła ostro spadać.

Mieszkańcy Niżniewartowska nie mieli prawie żadnego udziału w naftowym bogactwie okolicy. Ponad trzystutysięczne miasto wyglądało na tymczasowe, prowizoryczne, jakby kruche bloki mieszkalne i pełne wybojów ulice miały zostać porzucone w tajdze, kiedy tylko wyczerpią się złoża ropy. Jedna z dzielnic w całości składała się z metalowych barakowozów, w których żyli robotnicy naftowi. Często po trzy, cztery rodziny zmuszone były korzystać ze wspólnej ubikacji na wolnym powietrzu, mimo że w tym klimacie przez ponad pół roku utrzymują się minusowe temperatury. Dla dokonania poważniejszych zakupów trzeba było się udać samolotem do oddalonej o trzy godziny lotu Moskwy. Praktycznie nie istniały tu jakiekolwiek obiekty rekreacyjne czy instytucje kulturalne.

Kiedy Gorbaczow wysiadł z kuloodpornego ziła, który przetransportowano dlań drogą powietrzną z Moskwy, tłum posunął się do przodu. Ochroniarze z trudnością powstrzymywali brudnych robotników naftowych, aby nie przewrócili sekretarza generalnego i jego eleganckiej małżonki, Raisy. Gdziekolwiek się pojawili Gorbaczowowie, witały ich szpalery serdecznych, ciekawskich ludzi. Miejscowi bonzowie partyjni dla uniknięcia kłopotliwych scen niemrawo kręcili się z tyłu. Ich twarze zdradzały obłudne pragnienie zabawienia nowego przywódcy połączone z obawą przed jego nieprzewidywalnym zachowaniem.

Było to spotkanie dwóch różnych światów: aparatczyków w swych homburgach i ciężkich płaszczach oraz nie ogolonych, niedomytych mas w wyświechtanych kurtkach i wełnianych czapkach narciarkach. Pośrodku tej scenerii raz po raz jaśniała potakująca, uśmiechnięta twarz nowego przywódcy Związku Radzieckiego, wyciągającego rękę do ludzi niczym współczesna wersja batiuszki cara.

Widok lidera partii komunistycznej ocierającego się tego wieczoru o zwykłych obywateli uchodził za cud nie tylko wśród mieszkańców Niżniewartowska, ale

także wszystkich telewidzów. Machina propagandowa z całych sił starała się

pozbawić jakichkolwiek indywidualnych rysów ludzi, którzy niemrawo machali z Mauzoleum Lenina w narodowe święta. Podobnie jak hierarchowie rosyjskiego Kościoła prawosławnego, liderzy komunistyczni czerpali swój autorytet z uczestnictwa w nie kończących się obrzędach, a nie z własnej błyskotliwości czy umiejętności podobania się masom. Otaczająca ich aura tajemniczości i anonimowości była jednym z najważniejszych źródeł trwałości reżymu.

Gorbaczow wiedział, że aby osiągnąć swój cel - wprowadzenie drugiego supermocarstwa świata w dwudziesty pierwszy wiek - musi się wyzwolić z objęć konserwatywnego aparatu partyjnego, w którego interesie nie leżało podważanie status quo. Jeśli dopuści do tego, że stanie się zakładnikiem aparatu, zmiany będą jedynie powierzchowne. Wyjściem z sytuacji było zbudowanie bezpośrednich więzi z wymęczonym ludem, ponad głowami aparatczyków. Tb zapewni mu podstawę niezależnej władzy, niezbędnej dla realizacji jego programu reform.

„Musimy ich [biurokratów 1 kontrolować. Wy z jednej, a ja z drugiej strony" - powiedział do zasłuchanych ze zrozumieniem ludzi na jednym z postojów. - „Bez poparcia robotników polityka nie jest nic warta. Jeśli nie ma poparcia ludzi pracujących, nie jest polityką, ale nakazem"[63].

Jeszcze zanim Gorbaczow dotarł do Niżniewartowska, zdążył odkryć magiczną receptę na rozbudzenie drzemiących mas. Był pierwszym sekretarzem generalnym, który docenił potęgę telewizji. Jako młody aparatczyk obserwował, jak telewizja przyczyniała się do zniszczenia zaufania społeczeństwa do takich przywódców jak Breżniew i Czernienko, ukazując ich ewidentne ułomności. Takimi widział ich cały, coraz głębiej rozczarowany naród. Gorbaczow chciał się posłużyć tym samym medium, aby ukazać siebie jako nowego, dynamicznego przywódcę rozwiązującego problemy zwyczajnych ludzi. Państwowa telewizja gwarantowała przymusową widownię. Każdego wieczoru, dokładnie o dziewiątej - we wszystkich jedenastu strefach czasowych ZSRR sto pięćdziesiąt milionów ludzi włączało telewizory, by obejrzeć program „Wriemia", nadawany na wszystkich głównych kanałach. Pierwszym tematem był w początkowym okresie, niemal zawsze, Michaił Gorbaczow, rugający lokalnych urzędników, wtapiający się w tłum, tłumaczący swą politykę słuchającym go uważnie robotnikom. Łączył rolę bohatera wiadomości i ich redaktora. Często on, lub jeden z jego zaufanych, dzwonił do redakcji „Wriemii" ze szczegółowymi instrukcjami, co powinno trafić do emisji, a co należy wyciąć[64].

Kamery telewizyjne towarzyszyły Gorbaczowowi na zachodniej Syberii praktycznie wszędzie, gdzie się pojawił. Uznał bowiem, że tutaj „czynnik ludzki" jest decydującym elementem rewolucji, jaką usiłował przeprowadzić. Najbardziej uderzył Gorbaczowa, jak zresztą wielu innych z nim przybyłych, kontrast między bogactwem tej ziemi i nędzą, w jakiej muszą żyć ludzie. Kiedy zwiedzał sklepy, szyby naftowe i stacje kompresji gazu, zarzucany był narzekaniami na tandetne mieszkania, fatalne zaopatrzenie w żywność, zanieczyszczenie powietrza, przestarzały sprzęt i brak towarów konsumpcyjnych. Najwyraźniej skutki n i e uświęciły środków. Stalinowski system zarządzania gospodarką zrodził potwora, który zaczął pożerać samego siebie, dając niewielkie korzyści krajowi i jego mieszkańcom.

Gensek był wstrząśnięty, kiedy się dowiedział, że mimo miliardów rubli, które skarb państwa zawdzięcza temu miastu, w Niżniewartowsku nie ma ani jednego kina. Filmy wyświetlano czasami w klubie Komsomołu, ale trudno było dostać bilety. Wszystkim tym Gorbaczow martwił się w czasie lotu do stolicy rejonu, Tiumenia, na spotkanie z miejscowym aparatem partyjnym. Następnego dnia wstał wcześnie, aby przejrzeć tekst wystąpienia, napisany dla niego przez asystentów[65]. Zgadzał się z planistami, którzy twierdzili, że trzeba się uciec do radykalnych środków dla odwrócenia spadkowej tendencji wydobycia ropy. Ale chciał też przesłać inny sygnał: cała gospodarka musi być przebudowana i nastawiona na człowieka.

„Żenujące dla nas wszystkich jest mówienie o milionach ton ropy naftowej i metrach sześciennych gazu, kiedy brygadzista przy odwiercie uważa, że największą zachętą w Niżniewartowsku jest bilet na film" - powiedział partyjnym urzędnikom, którzy słuchali go jak spragnieni wiedzy uczniowie. - „W końcu po co wydobywamy miliony ton ropy i gazu? Nie po to, żeby o tych ilościach mówić i się nimi chwalić, ale po to, aby ludzie mogli lepiej żyć, żeby wzmocnić gospodarkę, żeby obrona była potężniejsza, żeby poprawiały się warunki życia ludności. Dlatego to wszystko jest konieczne"[66].

W czasie tych pierwszych wojaży politycznych po kraju Gorbaczow często wygłaszał przemówienia, których nie przygotowywano z wyprzedzeniem. Wzorował się w nich na pierwszych bolszewikach, którzy oczarowywali słuchaczy czystą siłą swoich oracji. Spontaniczne przemowy silnie kontrastowały z przemówieniami jego poprzedników, którzy ledwie dawali radę odczytywać napisane dla nich teksty. Mówiąc bez przygotowania, apodyktyczny przywódca często

przeskakiwał z tematu na temat. Stało się to jego chorobą zawodową. To, co usiłował powiedzieć, łatwo gubiło się w powodzi słów. Czasami ponosiła go własna retoryka i zapominał, o czym chciał mówić.

O ile nowy car dobrze wiedział, co szwankuje w rosyjskiej gospodarce, o tyle jego wyobrażenie o sposobach wydobycia się z kłopotów było mgliste. Odarta z rewolucyjnej frazeologii i dobrych intencji polityka początkowego okresu rządów Gorbaczowa sprowadzała się mniej więcej do jednego. Wciąż niezłomnie wierzył w socjalistyczny system centralnego rozdzielnictwa. Nadal miał nabożny stosunek do Lenina. Zachodni goście przekonali się, że był praktycznie analfabetą w dziedzinie gospodarki rynkowej. Biorąc pod uwagę ograniczenia ideologiczne i zakorzenione nawyki radzieckiej biurokracji, nie należy się dziwić, że szefowie partii na zachodniej Syberii zareagowali na krytykę i łajania nowego przywódcy w tradycyjny sposób: dokonywali tysięcy nowych odwiertów i zwiększali naciski na pracowników. Bardzo niewiele uwagi poświęcano konserwacji i naprawom istniejących szybów albo racjonalnym, długofalowym planom eksploatacji pól naftowych. Podejmowano jedynie symboliczne wysiłki, mające polepszyć warunki życia obsługi szybów. *Uskorienije* (przyspieszenie) stało się hasłem dnia.

W ciągu dwóch następnych lat wydobycie ropy nieco wzrosło. Ale szaleńcze wiercenie nowych otworów pogłębiało jeszcze chaos, powiększając przy tym problem zalanych wodą pól. Do 1988 roku wydobycie ropy w ZSRR weszło na drogę ostrego, nieodwracalnego spadku. Jeszcze bardziej alarmująca, przynajmniej na jakiś czas, była podjęta latem 1985 roku decyzja Arabii Saudyjskiej o znacznym zwiększeniu wydobycia. Wkrótce po wizycie Gorbaczowa na Syberii załamały się ceny ropy naftowej na rynku światowym. Do pierwszego kwartału 1988 roku Związek Radziecki mógł sprzedawać ropę za nie więcej niż dziesięć do dwunastu dolarów za baryłkę, podczas gdy w najlepszym okresie 1980 roku za baryłkę płacono około czterdziestu dolarów. W czasie dwóch pierwszych lat rządów Gorbaczowa dewizowe przychody ze sprzedaży ropy spadły niemal o jedną trzecią.

Pierestrojka skazana była na klęskę, zanim się jeszcze rozpoczęła.

Podróż Gorbaczowa na zachodnią Syberię okazała się ważnym wydarzeniem z jeszcze jednego powodu: zaznaczyła punkt kulminacyjny kampanii antyalkoholowej. Akcja ta była źle zaplanowana i bardziej rozwścieczyła Rosjan niż co-

kolwiek innego. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że była prawdopodobnie najbardziej spektakularnym błędem popełnionym przez nowe kierownictwo na wczesnym etapie pierestrojki.

Picie jest plagą Rosji od wielu stuleci. „Wielką przyjemnością ludzi jest pijaństwo - innymi słowy zapomnienie" - zauważył markiz de Custine w czasie pobytu w Rosji w 1839 roku[67]. Reżym Breżniewa po cichu zwiększył podaż wódki, zapewniając sobie przy okazji wartościowe źródło dochodów i polityczną zgodę w społeczeństwie. Za Breżniewa spożycie wysokoprocentowych alkoholi wzrosło niemal czterokrotnie. Kiedy władzę przejął Gorbaczow, alkoholizm osiągnął rozmiary epidemii. Według oficjalnych dokumentów, siedemdziesiąt procent wszystkich przestępstw było związanych z alkoholem. Picie obarczano winą za powszechną absencję w pracy, gwałtowny wzrost liczby rozwodów i dramatyczny spadek długości życia mężczyzn.

Siłą napędową kampanii antyalkoholowej byli dwaj członkowie Politbiura, którzy w wielkiej mierze przyczynili się do zdobycia władzy przez Gorbaczowa - Jegor Ligaczow i Michaił Sołomiencew. Ligaczow był purytaninem, czującym obrzydzenie do otaczającego go rozkładu moralnego. Usiłował już raz wprowadzić zakaz sprzedaży alkoholu - w swoim rodzinnym mieście, Tomsku. Sołomiencew był nawróconym alkoholikiem, który z zapałem konwertyty prowadził wojnę z piciem. Wspólnie przekonali Politbiuro do drakońskiego ograniczenia produkcji i sprzedaży alkoholu. Zamknięto dziesiątki tysięcy sklepów monopolowych, zaorano kilkusetletnie winnice na Kaukazie, w czasie oficjalnych przyjęć przestano podawać alkohol. Sprzedaż alkoholu była zabroniona w ogóle do godziny czternastej. Pod nielicznymi sklepami monopolowymi, w których pozwolono prowadzić sprzedaż, nieustannie tkwiły długie kolejki sfrustrowanych klientów.

Efektem tej kampanii było zepchnięcie największego i najbardziej dochodowego sektora radzieckiej gospodarki do podziemia. Cukier z dnia na dzień stał się dobrem „deficytowym". Kwitła produkcja bimbru. Nie mogąc nabyć wódki w państwowych sklepach, ludzie zadowalali się jakimkolwiek dostępnym substytutem. Tysiące zdesperowanych alkoholików zmarło w wyniku spożywania szkodliwych substancji, takich jak woda kolońska, klej, płyn do mycia okien czy pasta do butów. Rząd oddał swój zazdrośnie strzeżony monopol na sprzedaż alkoholu... gangom przestępców. Spadek dochodów podatkowych ze sprzedaży alkoholu pozostawił w budżecie dziurę, której nigdy nie załatano. Od 1985 roku stale wzrastała nierównowaga między dochodami ludności a podażą towarów i

usług. Rezultatem ustalania cen przez rząd za pomocą nakazów administracyjnych były powszechne braki w zaopatrzeniu. Kiedy władze w 1988 roku po cichu wycofały się z kampanii antyalkoholowej, zdążyły już utracić kontrolę nad całym systemem pieniężnym.

Chociaż Gorbaczow nie był głównym inicjatorem kursu antyalkoholowego, popierał go z całego serca. W oczach społeczeństwa kampania była postrzegana jako jego przedsięwzięcie. Wkrótce zaczęły krążyć dowcipy o nowym przywódcy. Rosjanie zaczęli mówić o nim *minieralnyj siekrietar* (sekretarz wody mineralnej), zamiast *gienieralnyj siekrietar*. Gorbaczow jednak nie bał się krytyki. W czasie obrad Politbiura twierdził, że walka z alkoholizmem to część walki o komunizm. Stawką, jak mówił, jest tu „genetyczna przyszłość” narodu. Kiedy zastępca szefa państwowego urzędu planowania, zwanego w skrócie Gospłan, sprzeciwił się, twierdząc, że prohibicja pozbawi państwa nawet do dwunastu procent dochodów, Gorbaczow uciął krótko: „Wódka nie doprowadzi nas do komunizmu”[68].

Gdy determinacja Gorbaczowa w narzucaniu rodakom trzeźwości natrafiła na ich opór, ujawniła się jego skłonność do działań autorytarnych, sprzeczna z głoszonymi przezeń baniami demokracji i otwartości. „Wbijcie to sobie do głowy. Tak nie będzie tylko przez dzień czy dwa, ani nawet przez rok Tak już będzie zawsze!" powiedział robotnikom Niżniewartowska, mierząc w nich palcem wskazującym niczym rozeźlony patriarcha[69]. Robotnicy zgodzili się ponuro, bynajmniej nie zamierzając zmieniać swoich obyczajów

GENEWA
19 listopada 1985

W dzień po objęciu stanowiska Sekretarza Generalnego Gorbaczow na własny użytek sporządził listę swych priorytetów politycznych. Na jej początku znalazła się poprawa stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, czołowym państwem imperialistycznym[70]. Teraz nadszedł czas realizacji zadań. Zorganizowano spotkanie twarzą w twarz z Ronaldem Reaganem człowiekiem, któremu kremlowscy propagandyści przypisywali równą Hitlerowi żądzę władzy nad światem.

Blisko stu fotoreporterów z całego świata czekało na możliwość zarejestrowania pierwszego od ponad pięciu lat uścisku dłoni radzieckiego sekretarza generalnego z amerykańskim prezydentem. Praktykę regularnych szczytów zawieszono w rezultacie radzieckiej inwazji na Afganistan w 1979 roku i zamieszania politycznego w Moskwie. Reagan, już drugą kadencję prezydent USA, przygotowywał się do spotkania z Andropowem, a potem z Czernienką, Ale, jak później narzekał, radzieccy przywódcy „mu wymierali”[71]. W młodym i pełnym życia Gorbaczowie znalazł w końcu polityka, z którym mógł rozmawiać.

Reagan organicznie nie cierpiał komunistów od czasów swojej działalności związkowej w Hollywood po II wojnie światowej. Podejrzewał wówczas, ze czerwoni usiłują przejąć amerykański przemysł filmowy. W czasie swojej pierwszej konferencji prasowej, na której wystąpił jako prezydent, mówił o radzieckich przywódcach jak o bezdusznych automatach, zdolnych do „popełnienia każdej zbrodni, do kłamstw i oszustw” dla osiągnięcia celu, jakim jest ogólnoświatowa rewolucja[72]. Kiedy jednak potrząsał prawicą Gorbaczowa na dziedzińcu Villa Flour d'Eau nad .Jeziorem Genewskim, dostrzegł w nim „coś, co da się lubić" Wspominał później „Z jego twarzy i stylu bycia emanowało ciepło, a nie chłód graniczący z nienawiścią, które do tej pory widziałem u większości wysokich rangą urzędników redzieckich”.[73]

Zastęp wysłanników Białego Domu strawił tygodnie na dyskusjach, w jaki sposób Reagan może przełamać lody oddzielające go od Gorbaczowa. Czołgali się po podłodze dziewiętnastowiecznego *chateau* z taśmami mierniczymi i aparatami fotograficznymi, szukając możliwości zrobienia najlepszych ujęć. Bardzo ważne było stworzenie właściwej atmosfery - mieszaniny poufałości, równo-

rzędności, swobody i bezpieczeństwa- W końcu wybrali przytulną przystań wioślarską z malowniczym kominkiem, oddaloną o sto metrów od pałacyku. Było to wymarzone miejsce dla twórców image'u. Zszedłszy nad brzeg jeziora, dwóch najpotężniejszych ludzi na świecie siądzie naprzeciw siebie w miękkich fotelach, obok ognia buzującego w kominku i porozmawia o wielkich sprawach wojny i pokoju. Będzie to „Szczyt Kominkowy". Jeśli nasuną się skojarzenia z uspokajającymi pogawędkami Franklina Delano Roosevelta, jednego z ulubionych bohaterów Reagana - tym lepiej[74].

Szczyt rozpoczął się jednak złowróżbnie: sporem o ideologię i prawa człowieka. „Na początku przypomniało to bardziej dyskusję między komunistą numer jeden i kapitalistą numer jeden niż robocze spotkanie dwóch najpotężniejszych polityków świata" - wspominał później Gorbaczow[75]. Aby zmniejszyć napięcie, Reagan zaproponował spacer na świeżym powietrzu. Młodszy polityk skwapliwie przystał na tę propozycję. Gdy powrócili do przystani, ogień w kominku, doglądany przez funkcjonariusza służb bezpieczeństwa, wypalił się do cna.

Kiedy Gorbaczow zasiadł w fotelu, Reagan spojrzał na swoje notatki, spisane na niewielkich kartonikach, które raz po raz przekładał w czasie rozmowy. Sporo myślał o tym, jak zwracać się do radzieckiego gościa. W końcu za najbardziej odpowiednią uznał formę „panie sekretarzu generalny". Poinformowano go, że zwracanie się po imieniu przy pierwszym spotkaniu może być źle widziane. Mając już formalności za sobą, znalazł skrawek wspólnego gruntu. Oto jesteśmy tutaj - mówił - we dwóch, siedząc naprzeciw siebie w tym pokoju. Podobnie jak ja, urodził się pan w małej wiosce, w środku olbrzymiego kraju. Mimo tych biednych i skromnych początków, wyrośliśmy na przywódców Ameryki i Rosji. „Jesteśmy prawdopodobnie jedynymi ludźmi na świecie, którzy mogliby rozpocząć III wojnę światową. Ale jesteśmy też, być może, jedynymi ludźmi, którzy mogą jej zapobiec"[76].

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że trudno o dwóch ludzi, którzy różniliby się od siebie bardziej niż ten siedemdziesięcioczteroletni prezydent i ów pięćdziesięcioczteroletni gensek. Jeden zrobił karierę na antykomunizmie, drugi marzył o tchnięciu w komunizm nowego życia. Jednego nudziły szczegóły kierunków polityki i chętnie porzuciłby lekturę raportów dla jeszcze jednego seansu *Dźwięków muzyki*, drugi był pracoholikiem, który pochłaniał oficjalne opracowania i sprawozdania wywiadu, podkreślając interesujące fragmenty jaskrawym flamastrem. Jeden mocno trzymał się swych zasad, drugi był urodzony

i wychowany do kompromisu. Jeden miał miły charakter i uwielbiał opowiadać dowcipy, drugiego zaś dowcipy niezbyt obchodziły - był z lekka apodyktyczny.

Jednak mimo tych wszystkich różnic, trzeba przyznać Reaganowi rację, że mieli ze sobą coś wspólnego. Obaj byli świetnymi aktorami, zdolnymi przekazywać idee i uczucia wielkiej liczbie osób. Reagan zdobył swe umiejętności w wielkich studiach Hollywoodu. Był naturalną osobowością telewizyjną i wiedział, jak panować nad gestami i głosem, aby zdobyć publiczność. Czasami wydawało się, że wręcz naśladuje bohaterów swoich filmów. W przeciwieństwie do niego, Gorbaczow posmakował jedynie aktorstwa na deskach teatrzyku w Liceum numer 1 w Krasnogwardiejskoje. Był tak przekonywający, odgrywając główne role w dziewiętnastowiecznych rosyjskich komediach romantycznych, że przez jakiś czas myślał nawet o karierze aktorskiej[77]. Posiadł sztukę przyciągania uwagi słuchaczy przesadnymi gestami, dramatycznym wskazywaniem palcem i wyrazistą postawą.

Obaj, Reagan i Gorbaczow, mieli zdolności wizjonerskie, niemal prorocze. Byli optymistami, przekonanymi, że mogą uczynić świat lepszym. Inaczej niż wielu polityków, pozwalali sobie na marzenia; ich iluzje zatem stały się częścią geopolitycznych rachub wielkich mocarstw. Optymizm Reagana był nieskrywanym optymizmem człowieka, któremu spełniło się „amerykańskie marzenie". Chciał, aby innych także spotkał równie szczęśliwy los. Czasami marzenia Reagana graniczyły z nostalgią. Proponując stworzenie tarczy kosmicznej zapewniającej Ameryce obronę przed rakietami nuklearnymi, prezydent liczył, że uda mu się przywrócić bezpieczeństwo i dobrobyt czasów jego młodości.

Gorbaczow czerpał swój optymizm z doświadczeń młodości, która przypadła na lata odwilży po śmierci Stalina. Sekretarz generalny był przekonany, że jeśli tylko uda się uleczyć socjalizm ze stalinowskich patologii, wszystko stanie się możliwe.

Obaj przywódcy w równym stopniu bali się wojny nuklearnej. Era atomu powiązała losy Ameryki i Rosji, tworząc symbiotyczny związek oparty na poczuciu braku bezpieczeństwa. Olbrzymie otwarte przestrzenie, które pozwoliły Rosji odeprzeć Napoleona i Hitlera, nic dziś nie znaczyły, bo przecież Kreml można było zniszczyć niemal bez ostrzeżenia jedną głowicą jądrową wyniesioną przez rakietę z amerykańskiego okrętu podwodnego. Nad oceanem, od dwóch stuleci broniącym Ameryki przed obcą agresją, radzieckie rakiety mogły przelecieć w niespełna pół godziny. Po raz pierwszy od czasu wojny o niepodległość z Koroną Brytyjską ziemia amerykańska była zagrożona.

Przed szczytem w Genewie Reagan spotkał niewielu rosyjskich polityków. Krótko widział się z Breżniewem w Kalifornii w 1973 roku i - nieco dłużej - z Gromyką w Białym Domu we wrześniu 1984 roku. Łatwo mu było ich demonizować. Wydawało się, że odgrywanie roli bezosobowych przedstawicieli totalitarnej ideologii napawa ich dumą. Kiedyś Gromyko zresztą zauważył: „Moja osobowość mnie nie interesuje". Ich niewzruszona postawa i twarde techniki negocjacyjne potwierdzały tylko pogląd Reagana, że stosunki Wschód-Zachód to tytaniczna walka między dobrem i złem.

Chociaż walczył z hollywoodzkimi lewicowcami pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych, jego znajomość komunizmu i komunistów była w zasadzie teoretyczna. W dużej mierze pochodziła z *Dziesięciu przykazań Mikołaja Lenina,* książki zawierającej parodie cytatów wodza rewolucji, ofiarowanej mu przez przyjaciela w Kalifornii[78]. Trzymał ją w szufladzie biurka w Gabinecie Owalnym i często się do niej odwoływał, kiedy chciał zilustrować perfidię Sowietów. Bardzo lubił cytować wielu zagranicznym politykom lub członkom Kongresu ten oto fragment: „Nie będziemy musieli zdobywać ostatniego bastionu kapitalizmu, Stanów Zjednoczonych. Wpadnie nam w ręce jak przejrzały owoc"[79]. Sowietolodzy z jego administracji mieli niemały kłopot, usiłując go przekonać, że ten cytat - jak wiele innych - jest fałszywy.

Reagan nigdy nie przestał wierzyć, że komunizm jest z gruntu zły. Ale zmienił swoją taktykę w stosunkach z przywódcami ZSRR, sprawiając tym zawód niektórym swoim konserwatywnym zwolennikom. Przestał nazywać Związek Radziecki „imperium zła" kierującym się żądzą zapanowania nad światem. Już na początku 1984 roku, w okresie wyrachowanego otwarcia na Moskwę, zastanawiał się, co się stanie, jeśli „Iwan i Ania" będą się razem chronili przed deszczem z „Jimem i Sally". Doszedł do wniosku, że „wspólny interes" zwyczajnych ludzi, polegający na budowie „świata bez strachu", jest zjawiskiem przekraczającym „wszelkie granice"[80].

Wewnętrzne rozdarcie Reagana symbolizował rozłam w administracji. Z jednej strony byli pragmatycy, na czele z sekretarzem stanu George'em Shultzem, którzy byli pod wrażeniem Gorbaczowa i chcieli wykorzystać nowy klimat polityczny w Związku Radzieckim. Z drugiej strony byli ideologowie, których reprezentował sekretarz obrony Caspar Weinberger. Uważali oni, że większość zmian w Moskwie ma charakter kosmetyczny. Sceptycznie odnosili się do korzyści płynących z negocjacji na temat kontroli zbrojeń. Reagan w głębi serca sprzyjał ideologom, ale instynkt polityczny i wiara we własne umiejętności negocjacyjne,

rozwinięte w Hollywood, kazały mu myśleć, że nadszedł czas na poważny dialog.

Nancy Reagan bardzo się przyczyniła do przyjęcia przezeń łagodniejszego tonu względem Kremla w czasie przygotowań do wyborów prezydenckich w 1984 roku. Niepokoiły ją wyniki badań opinii publicznej, wskazujące na to, że za swe zimnowojenne, ostre stanowisko prezydent może zapłacić utratą głosów. „Ronnie, musisz się zaprezentować bardziej pokojowo" - mówiła mężowi w czasie lotu na pokładzie Air Force One, co posłyszał doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Robert McFarlane[81].

W przekonaniu, że Gorbaczow będzie wartościowym rozmówcą dla prezydenta, utwierdziła Pierwszą Damę jej parająca się astrologią przyjaciółka, Joan Quigley, na podstawie analizy horoskopów obu przywódców. Astrolożka wytłumaczyła Nancy Reagan, że „Merkury Ronniego", „planeta idei i umysłu" jest bardzo blisko „Wenus Gorbiego", „planety miłości". Miało z tego wynikać, że Gorbaczow „pokocha i uzna idee przedstawiane mu przez prezydenta USA". Niebieskie związki łączące obu polityków dawały „zapierające dech w piersiach możliwości", ale ważne było, aby Reagan przed podróżą do Genewy porzucił postawę walki z „imperium zła". Dokładna pora odlotu Air Force One do Genewy - 8.35 w dniu 16 listopada 1985 roku - została wybrana przez Quigley tak, aby planeta Gorbaczowa na jej wykresie znajdowała się „w ascendencie", i aby „Konnie przyciągał" genseka[82].

Reagan potrzebował jednak czegoś więcej niż astrologa, aby dojrzeć do prawdziwej rozmowy z Gorbaczowem. Musiał też znaleźć pokrewnego ducha w przywódcy ZSRR, aby przepędzić demony ideologii. Miał przecież widzieć w Rosjanach autentycznych ludzi, a nie papierowych łotrów. Tutaj wielkie znaczenie miała Suzanne Massie, autorka popularnych, barwnych książek o rosyjskiej historii, która miała dar nadawania na tych samych falach co Reagan. W ciągu osiemnastu nieoficjalnych spotkań z prezydentem podzieliła się z nim mieszaniną popularnych anegdot, pieprznych dowcipów i starych mądrości ludowych o Rosji. Dzięki temu rozbudziła jego zainteresowanie tym wielkim, pełnym sprzeczności krajem. Wielu swoich ulubionych aforyzmów - łącznic z nieustannie powtarzanym *dowieriaj, no prowieriaj* (ufaj, ale sprawdzaj) - nauczył się właśnie od Massie.

Trwająca dwadzieścia lat miłość Massie do Rosji wynikła z tragedii rodzinnej. Jej syn Bobby był hemofilikiem. W trakcie walki z chorobą ona i jej mąż, Robert Massie, zafascynowali się życiem najbardziej znanego z wszystkich hemofili-

ków, carewicza Aleksego, i uzdrowicielskimi mocami szalonego mnicha Rasputina. (Fascynacja ta w końcu zaowocowała książką Roberta Massie'ego, bestsellerem pod tytułem *Nicholas and Alexandra)*. Kiedy w 1967 roku Suzanne po raz pierwszy udała się do Leningradu, od razu zapałała sympatią do Rosjan. „Czułam się, jakbym odnalazła własną, wielką rodzinę, o której istnieniu nic nie wiedziałam" - napisała później[83]. Odkąd w czasie kontroli bagażu na lotnisku w Moskwie znaleziono w jej walizce notatnik wypełniony rosyjskimi nazwiskami i numerami telefonów, przez dziesięć lat odmawiano jej prawa wjazdu do ZSRR.

Powróciła tu dopiero we wrześniu 1983 roku, w czasie kryzysu związanego z samolotem Koreańskich Linii Lotniczych. Przeraziła się wówczas całkowitym zerwaniem kontaktów między oboma supermocarstwami. W przekonaniu, że ktoś musi skorygować demoniczne poglądy obu stron o sobie nawzajem, zaczęła zadręczać Biały Dom prośbami o spotkanie z prezydentem.

Pierwszym pytaniem, jakie zadał jej Reagan, kiedy w końcu się spotkali, było: „Czy radzieccy przywódcy rzeczywiście wierzą w swoją ideologię?"

„Nic potrafię na to odpowiedzieć" odparła - „Mogę jednak powtórzyć, co Rosjanie mówią o swoich przywódcach. Nazywają ich «wielkimi tyłkami» Ludzie są przekonani, że politycy myślą tylko o swoich urzędniczych foie» lach i stanowiskach. Ideologia się nie liczy".[84]

Massie przekonała się, że rozmowa z Reaganem bardzo, przypomina dyskusje, które toczyła ze swoim starym, zrzędliwym wujem. Reagan miał na temat Rosjan swoją idée fixe, podpartą opiniami zasłyszanymi od przyjaciół w Kalifornii, którzy bardzo niewiele wiedzieli o tym kraju. Ale miał też poczucie humoru. Potrafił się śmiać również z siebie i z chęcią zdobywał wiedzę o państwie, który nazywał „siedliskiem zła we współczesnym świecie".

Reagan nie miał problemów ze swym ego. Był jednak dość enigmatyczny, jak na człowieka uchodzącego za „wspaniałego rozmówcę". Trudno było odgadnąć, co myśli naprawdę. Wydawał się rozluźniony dopiero wówczas, gdy jego gabinet opuszczali biurokraci. W czasie tych spotkań w cztery oczy Massie usiłowała ukazać prezydentowi wielorakość cech i wewnętrzne zróżnicowanie Rosji. Opowiadała mu, jak się żyje w spółdzielczym mieszkaniu, o czym rozmawiają ludzie stojący w kolejkach, jacy są Rosjanie. Chciała też podbudować jego wiarę w rokowania z Gorbaczowem, który - w oczach amerykańskiej prasy - zdążył już wyrosnąć na supermana.

„Pod każdym względem jest pan od niego silniejszy" - powiedziała Reaganowi

przed jego wyjazdem do Genewy. - „Ma pan duże doświadczenie, jest pan starszy i mądrzejszy, cieszy się pan zaufaniem swoich rodaków”. Dodała, że Rosjanie w zasadzie „nie poddają się władzy”. „Jeśli byłby pan prezydentem tamtego kraju, dopiero znalazłby się pan w tarapatach”.

Ronald Reagan na serio brał biblijne proroctwo o Armagedonie. Zapowiedź upadku gwiazdy z nieba, zatruwającej wszystko na swej drodze, którą wyczytał w Apokalipsie świętego Jana, odnosiła się w jego mniemaniu do skutków wojny nuklearnej. Broń nuklearna na pewno nie dawała gwarancji pokoju, za to na pewno była z gruntu niemoralna, ponieważ w ostatecznym rozrachunku miała spowodować zagładę ludzkości. Po raz pierwszy w dziejach wszystko jest gotowe na Armagedon i powtórne przyjście Chrystusa”- stwierdził w 1971 roku[85]. Jeśli tak było rzeczywiście, odpowiedzialność za uratowanie swego ludu przed apokaliptyczną bitwą Dnia Sądu Ostatecznego ponosił jego przywódca.

W czasie kampanii prezydenckiej w 1980 roku Reagan przeżył coś, co wzmocniło jego przekonanie, że trzeba uchronić Amerykę przed groźbą zagłady nuklearnej. Zwiedzał siedzibę Dowództwa Obrony Powietrznej Ameryki Północnej (NORAD), którego zadaniem jest wykrywanie zbliżających się głowic nuklearnych. Ośrodek NORAD - podziemne miasto ukryte głęboko pod górą Cheyenne w stanie Kolorado - byłoby idealną scenografią do filmu z Jamesem Bondem. Sieć radarów i komputerów śledziła wszystko- od stad ptaków migrujących przed zimą na południe po międzykontynentalne radzieckie rakiety balistyczne w stepach Kazachstanu. Wymyślne urządzenia telekomunikacyjne umożliwiały natychmiastową łączność z prezydentem bez względu na to, w której części świata się znajdował. Patrząc na migoczące światła na pulpitach kontrolnych i gigantyczne ekrany wskazujące położenie setek radzieckich rakiet, Reagan zapytał dowódcę NORAD, co można zrobić, jeśli Sowieci wystrzelą rakietę na amerykańskie miasto.

„Nic” - padła odpowiedź generała w niesamowitej ciszy górskiej fortecy. - „Zauważymy ją natychmiast po odpaleniu, ale zanim zaalarmujemy władze miejskie, że uderzy w nich głowica jądrowa, zostanie im tylko dziesięć, piętnaście minut. Tylko tyle możemy zrobić. Nie możemy jej powstrzymać”.

Odpowiedź wprawiła Reagana w osłupienie. Nie mógł uwierzyć, a już na pewno nie mógł się pogodzić z tym, że Stany Zjednoczone są bezbronne wobec radzieckich rakiet.

Kiedy leciał z powrotem do Los Angeles, zwierzył się ze swojego zaskoczenia jednemu ze współpracowników: „Wydaliśmy tyle pieniędzy i mamy tyle sprzętu,

ale wciąż nic nie możemy zrobić, żeby rakieta w nas nie uderzyła”[86].

Szok, jaki przeżył Reagan, dowiadując się, że Ameryka jest całkowicie bezbronna wobec ataku nuklearnego, zaowocował, uznanym za priorytetowy, programem wykrywania i niszczenia nadlatujących rakiet radzieckich. 23 marca 1983 roku - dwa tygodnie po przemówieniu o „imperium zła” - w transmitowanym przez telewizję z Gabinetu Owalnego wystąpieniu nakreślił swoją wizję uniknięcia nuklearnego Armagedonu. Zaapelował do naukowców, którzy przez pół wieku pracowali nad ulepszeniem broni jądrowej, by „udostępnili nam wszelkie środki umożliwiające obezwładnienie i unieszkodliwienie broni nuklearnej”[87]. Doktrynę wzajemnie gwarantowanego zniszczenia (MAD) miała zastąpić nowa doktryna - Amerykańskiej Twierdzy (Fortress America). Zgodnie z nią Amerykę miał chronić nie ocean, ale niewidzialna, napowietrzna tarcza. Oficjalnie program nazwano Inicjatywą Obrony Strategicznej (SDI), przez co chciano podkreślić pokojowe zamiary Ameryki. Ale wchodzące tu w rachubę zaawansowane technologie wydawały się tak fantastyczne, że dziennikarze wkrótce zaczęli określać plan Reagana mianem „gwiezdnych wojen”, nawiązując do popularnego filmu science fiction.

Wystąpienie prezydenta powitano w Moskwie z konsternacją. Przywódcy na Kremlu widzieli w inicjatywie Reagana dalszą eskalację wyścigu zbrojeń, mającą pozbawić Związek Radziecki z takim mozołem osiągniętej przewagi militarnej. Nie mogli przyjąć zapewnień Amerykanów, że program SDI ma charakter czysto obronny. Ich rozumowanie było proste. Jeśli Stanom Zjednoczonym uda się zbudować system antyrakietowy, który mógłby skutecznie chronić amerykańskie miasta przed atakiem jądrowym, Amerykanie uzyskają wielką przewagę strategiczną. W rezultacie Waszyngton mógłby zaatakować Związek Radziecki bezkarnie albo przynajmniej zastosować wobec Rosji szantaż nuklearny. Druga możliwość - wciągnięcie Związku Radzieckiego w kolejny, wyczerpujący, wymagający zaawansowanej technologii wyścig zbrojeń - była dla radzieckich przywódców równie przerażająca.

Gorbaczow nie potrzebował wiele czasu by zdać sobie sprawę, że Związku Radzieckiego nie stać na inwestycje dorównujące amerykańskim nakładom na program „gwiezdnych wojen”. W czasie szczytu genewskiego zaproponował Reaganowi ubicie interesu. Zgodzi się na pięćdziesięcioprocentową redukcję arsenałów jądrowych obu supermocarstw, obejmującą także rakiety SS-18, w zamian za co Waszyngton zobowiąże się do przestrzegania układu z 1972 roku, wprowa-

dzającego zakaz budowy systemów obronnych przeciwko rakietom balistycznym. Jeśli Stany Zjednoczone nie zaakceptują kompromisu, Związek Radziecki będzie zmuszony przedsięwziąć „środki zaradcze”. Zamiast budować własną tarczę antyrakietową, przygniecie amerykański system obronny doskonalszymi i potężniejszymi pod względem siły rażenia rakietami.

„Wszystko się załamie, jeśli nie zdołamy znaleźć sposobu na powstrzymanie wyścigu zbrojeń w kosmosie” - ostrzegł radziecki polityk[88].

„Ale ja mówię o tarczy, a nie o włóczni” - odparł Reagan, odrywając oczy od przygotowanych notatek. - „Jeśli każdy dokona redukcji [liczby rakiet balistycznych] o pięćdziesiąt procent, wciąż będzie zbyt dużo broni. SDI nie ma z tym nic wspólnego”.

„To bardzo emocjonalne (...) marzenie” - odpalił Gorbaczow, zirytowany uporem Reagana. - „Ja chcę ograniczyć ilość broni, a SDI grozi nowym wyścigiem zbrojeń”.

Mimo wszystkich swoich braków - pozornie ekscentrycznych pomysłów i notorycznego lekceważenia szczegółów - Ronald Reagan miał niewiarygodne wyczucie polityczne. Jego przeciwnicy niejednokrotnie go nie doceniali. Współpracowników prezydenta zachwycało, jak pozornie bez wysiłku płynie przez życie. Reagan osiągał to, co nieosiągalne, a nawet niewyobrażalne dla innych polityków. Nawet ludziom z bezpośredniego otoczenia prezydenta trudno było to wyjaśnić. „Tak mało wie” - dziwił się drobiazgowy McFarlane wkrótce po złożeniu rezygnacji ze stanowiska doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego w 1984 roku - „a tak wiele osiąga”[89].

Częścią sukcesu Reagana w stosunkach z Sowietami była jego głęboka wiara w mocne strony amerykańskiego systemu rządów. Wkrótce po objęciu prezydentury przez Reagana francuski intelektualista Jean-François Revel napisał książkę *Jak upadają demokracje*, która stała się biblią wielu amerykańskich konserwatystów. Książkę otwierała dramatyczna przedmowa: „Być może w końcu demokracja okaże się historycznym incydentem, krótkim epizodem, który dobiega kresu na naszych oczach”. Zgodnie z główną tezą książki bezowocne jest oczekiwanie, że kryzys gospodarczy spowoduje liberalizację w krajach komunistycznych albo ich rozpad. Według Révéla znacznie bardziej prawdopodobny jest wręcz przeciwny obrót wydarzeń. Aby ukryć swe wewnętrzne niepowodzenia, przywódcy ZSRR staną się bardziej agresywni i nastawieni bardziej militarystycznie. Społeczeństwa totalitarne z natury są bardzo zwarte i

karne. Wzrasta groźba, że pokonają one kruche demokracje Zachodu.

Reagan jednak nie podzielał poglądu, że Rosjanie są wielkoludami. Jego polityczny szósty zmysł podpowiadał mu, że demokracja jest o wiele silniejszą formą rządów niż totalitaryzm, z tego mianowicie względu, że jest z natury pluralistyczna. Instynktownie wierzył, że wybiła już ostatnia godzina komunizmu. Przekonaniu temu dawał wyraz w swoich przemówieniach. „Ironicznie rzecz ujmując, Karol Marks miał rację" - stwierdził w brytyjskim parlamencie w czerwcu 1982 roku. - „Jesteśmy dziś świadkami wielkiego kryzysu rewolucji. Kryzysu, w którym żądania ładu ekonomicznego znalazły się w bezpośrednim konflikcie z żądaniami ładu politycznego. Ale kryzys dokonuje się nie na Zachodzie - wolnym i niemarksistowskim, ale w ojczyźnie marksizmu-leninizmu, w Związku Radzieckim"[90]. Przepowiednia Reagana, że wolność i demokracja sprawią, iż komunizm znajdzie się na śmietniku historii, wydawała się wówczas - na pewno myślicielom w rodzaju Révéla - złudną nadzieją, tymczasem okazała się zaskakująco trafna.

W swoich stosunkach z Gorbaczowem Reagan przejawiał elastyczność i sprawność taktyczną podważającą jego reputację bojownika zimnej wojny. Głęboko zakorzeniony optymizm i wiara w siebie pozwoliły mu się posunąć o wiele dalej w procesie rozbrojenia, niż wielu konserwatystów uznawało za rozsądne. „Założę się, że wielu twardogłowych w obu naszych krajach broczy krwią, patrząc, jak podajemy sobie ręce" - żartował z radzieckim przywódcą na koniec trzydniowych rokowań w Genewie[91]. Można było odnieść wrażenie, że jest dwóch, całkiem różnych Reaganów: ideolog zimnowojennej konfrontacji oraz pragmatyczny negocjator rodem z Hollywood.

Ze słów jednego z tych dwóch Reaganów można było wywnioskować, że traktaty zawarte z komunistami nie są warto papieru, im którym je spisano. Ale ten drugi zawarł jedno z najbardziej przełomowych w historii porozumień z ZSRR w dziedzinie kontroli zbrojeń. Pierwszy Reagan obwołał Związek Radziecki „imperium zła". Drugi pojechał w sam środek owego imperium i wspólnie z radzieckimi partnerami wyprawił zimnej wojnie pogrzeb. Pierwszy Reagan utrzymywał. ze jedynym zrozumiałym dla komunistów językiem jest siła. Ten drugi był marzycielem, ufającym, że zdoła przekonać przywódcy komunistycznego o wyższości systemu kapitalistycznego - po prostu zapraszając go do helikoptera, z którego rozciągał się widok na wille i baseny kąpielowe południowej Kalifornii.

Obu Reaganom zależało na jednym: na upadku komunizmu. Gdyby prezydent nie zareagował tak stanowczo na inwazję na Afganistan, Kreml miałby mniej

powodów do przeprowadzenia zmian. Z drugiej strony, gdyby przywiązywał więcej wagi do rad swoich prawicowych przyjaciół i odtrącił gałązkę oliwną, którą wyciągał doń Gorbaczow, zostałaby zaprzepaszczona historyczna szansa na pokojowe zakończenie zimnej wojny.

„Gdyby Reagan nie porzucił ostrego kursu w roku 1985 i 1986. Gorbaczow także byłby zmuszony do usztywnienia swego stanowiska” - powiedział Anatolij Dobrynin, długoletni ambasador ZSRR w Waszyngtonie. - „W przeciwnym razie pozostali członkowie Politbiura oskarżyliby go o to, że oddał wszystko facetowi, który nie chce negocjować. Bylibyśmy zmuszeni zacisnąć pasa i wydawać więcej na obronność. A trzeba pamiętać, że wówczas partia wciąż kontrolowała wszystko i ta opcja była całkiem realna”[92].

Marzenie Reagana o budowie antynuklearnej tarczy nad Stanami Zjednoczonymi skomplikowało stosunki z Gorbaczowem. Ale inicjatywa prezydenta wpłynęła na dynamikę stosunków Moskwa-Waszyngton, odsłaniając słabości radzieckiej gospodarki. W przewrotny sposób przyczyniła się do utorowania drogi radykalnemu przełomowi w stosunkach między mocarstwami.

„Gwiezdne wojny" wywołały przeciwną reakcję w Związku Radzieckim. Ustosunkowani specjaliści od spraw militarnych przy poparciu niektórych środowisk w wojsku wszczęli wysiłki na rzecz sfinansowania programu, który zrównoważyłby inicjatywy Reagana. Podjęto decyzję o znacznym zwiększeniu nakładów tui obronność w latach 1986-1990, Równocześnie perspektywa nowego, zaawansowanego technologicznie wyścigu zbrojeń otrzeźwiła kremlowskich polityków.

„Rosjanie naprawdę wierzyli, że Reagan zrealizuje swoje zapowiedzi. Obawy wzięli za rzeczywistość. Uwierzyli. Być może było to największe osiągnięcie Reagana. Powiedział, jaka jest jego wola polityczna” stwierdziła Suzanne Mannic, pomagająca Reaganowi w przygotowywaniach do spotkań z Gorbaczowem[93]. „Program SDI wywarł na nas długotrwały wpływ” - przyznał Aleksandr Biessmiertnych, czołowy ekspert do spraw USA w radzieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. - „Zdaliśmy sobie sprawę, że zbliżamy się do bardzo groźnej sytuacji w ramach strategicznej równowagi, w której żyliśmy"[94].

W Genewie Gorbaczow postawił decydujący krok w długiej drodze ze spółdzielczego gospodarstwa rolnego w odległym zakątku Związku Radzieckiego na sam środek politycznej areny świata. Podobnie jak Reagan, Michaił Gorbaczow

miał skomplikowaną, pełną sprzeczności osobowość. Ten wizjoner, jeśli chodzi o przyszłość jego ojczyzny, niekiedy okazywał się wręcz irytująco tępy. Na Zachodzie zdobył opinię człowieka czynu, ale przecież były w jego działalności długie okresy paraliżu decyzyjnego. Doprowadzał się do stanów emocjonalnego obłędu, a potem zachowywał się, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Potrafił być niewiarygodnie czarujący, ale też zimny jak lód.

Niektóre z tych sprzeczności zostały przedstawione w psychologicznym portrecie radzieckiego przywódcy przygotowanym dla Reagana przez CIA na krótko przed szczytem w Genewie. Pośród kilku fragmentów starannie podkreślonych przez prezydenta błękitnym długopisem znalazły się na przykład takie: „Gorbaczow ma więcej pewności siebie, a nawet arogancji, niż ostatni sekretarze generalni. Szczególnie odnosi się to do jego prób ożywienia systemu radzieckiego, skuteczności w stosunkach z politykami zagranicznymi i odbudowy wiarygodności dyplomacji radzieckiej. (...) Uśmiech i ujmujące maniery Gorbaczowa - a wcześniej Chruszczowa - kryją twardą, pełną buty stronę jego charakteru. (...) Chociaż pochodzenie Gorbaczowa i sposób bycia są niezwykłe, jest on jednak produktem systemu radzieckiego”[95].

Wkrótce po szczycie genewskim w karierze Gorbaczowa rozpoczęło się - jak to później określił jeden z jego najbliższych współpracowników - stadium leninowskie[96]. Zagłębiał się w pisma twórcy państwa radzieckiego w poszukiwaniu wskazówek co do kierunku na przyszłość dla swego kraju. Czasami brał z biurka tom dzieł zebranych Lenina i głośno odczytywał wybrany fragment, gdy zauważył, że można go odnieść do bieżących problemów. To zainteresowanie było niespotykane wśród przywódców radzieckich. Członkowie Politbiura ciągle cytowali Lenina, ale rzadko zadawali sobie trud studiowania jego dzieł. Gorbaczow zaś najwyraźniej uważał się za współczesny odpowiednik wielkiego wodza rewolucji.

Ten gensek podtrzymujący leninowski płomień był także klasycznym yuppie. Wszystkie jego cechy - od wyszukanego smaku w doborze ubrań po obsesyjną pracowitość - czyniły z niego symbol awansu w pozornie bezklasowym społeczeństwie. Na każdym szczeblu swego awansu - z kołchozu w Priwolnoje, poprzez moskiewski akademik, po niebotyczną karierę w partii komunistycznej - przejawiał naturalną łatwość znajdowania i porzucania sojuszników i współpracowników. Miał bardzo niewielu przyjaciół na całe życie. Jego żona Raisa - piękna i ambitna kobieta, która, jak się wydaje, w okresie narzeczeństwa górowała nad nim - była dlań idealnym partnerem w tej podróży. Był wierny swoim

poglądom i ideałom, ale otoczenie wywarło silny wpływ na jego widzenie świata.

Szczytem kariery tego wiejskiego chłopaka spod Stawropola było członkostwo w klubie przywódców światowych. Zaczął patrzeć na problemy swego kraju i jego stosunki z innymi państwami z innej perspektywy. Opinie Reagana, Kohla i Thatcher zaczęły znaczyć dla niego niemal równie wiele jak poglądy kolegów z Politbiura. Niektórzy z jego współpracowników narzekali później, że gensek nie mógł się oprzeć pochwałom zachodnich polityków, a „gorbiemania" tłumów uderzyła mu do głowy. Zawsze chętny do samodoskonalenia, kazał przetłumaczyć na rosyjski bestseller Dale'a Carnegie *Jak zdobyć przyjaciół i wywierać wpływ na ludzi*. Umiejętnie korzystał z zamieszczonych tam recept: zdecydowanego ściskania dłoni czy techniki zapamiętywania drobnych szczegółów dotyczących rozmówcy[97].

Jako człowiek o nienasyconej ciekawości, Gorbaczow chłonął jak gąbka fakty i wrażenia z Zachodu. Gdy przelatywał nad Paryżem czy Londynem, patrząc na czyste ulice i schludne małe domy, porównywał je z przygnębiającą nędzą ulic w Związku Radzieckim. Żaden szczegół nie uszedł jego uwagi.

Przybywając do Genewy, miał nadzieję stworzyć odpowiedni klimat międzynarodowy dla swojego programu reform wewnętrznych. Aby *dokonać pierestrojki* (czyli restrukturyzacji), potrzebował *pieredyszki* (oddechu) w rywalizacji z Zachodem. Kilka miesięcy po szczycie w Genewie przedstawił swą nową strategię w polityce zagranicznej w szczerym przemówieniu na specjalnie zorganizowanej konferencji radzieckich ambasadorów. Stwierdził, że Stany Zjednoczone próbują doprowadzić Związek Radziecki do „wyczerpania" gospodarczego, wciągając go w wyniszczający wyścig zbrojeń. Głównym zadaniem radzieckiej dyplomacji miało być zatem „stworzenie możliwie najlepszych warunków" dla społecznego i gospodarczego rozwoju kraju. Najważniejszy w tej sytuacji był pokój z Zachodem, „bez którego wszystko inne jest bezcelowe". Wymagało to także porzucenia anachronicznego sposobu myślenia. Hasłem polityki zagranicznej ZSRR miał się stać pragmatyzm, a nie ideologia. Zamiast okopywać się na swoich pozycjach, radzieccy dyplomaci mieli wykazywać polityczną wyobraźnię i taktyczną elastyczność. Gorbaczow nie chciał, aby zachodni koledzy określali jego przedstawicieli mianem Mister Niet[98].

Przydomek ów nosił Gromyko - dyplomata, który ucieleśniał radziecką politykę zagraniczną od blisko czterdziestu lat. Jednym z pierwszych posunięć Gorbaczowa jako przywódcy ZSRR było awansowanie siedemdziesięciopięcioletniego ministra na, w zasadzie, reprezentacyjne stanowisko przewodniczącego

Rady Najwyższej ZSRR, najwyższego organu władzy w państwie. Zadanie reprezentowania Związku Radzieckiego za granicą powierzył swemu staremu przyjacielowi, Eduardowi Szewardnadzemu - człowiekowi, który pierwszy stwierdził: „Nie możemy dłużej tak żyć”. Szewardnadze miał niewielkie pojęcie o sprawach międzynarodowych. Karierę polityczną robił głównie w swej ojczystej republice - Gruzji. Brak wiedzy o tym, jak polityka zagraniczna realizowana była w przeszłości, nie tylko nie dyskwalifikował go w roli ministra spraw zagranicznych, ale - w oczach Gorbaczowa - był wręcz zaletą. Potrzebna była nowa twarz, ucieleśniająca genseka nastawienie do reszty świata.

Mówienie przez Gorbaczowa o „nowym myśleniu” rozzłościło starą kremlowską gwardię. „Jakie nowe myślenie?” - prychał osiemdziesięcioletni Borys Ponomariow, od ćwierćwiecza odpowiedzialny w KC KPZR za politykę zagraniczną. - „Nasze myślenie już jest słuszne. Niech Amerykanie zmienią swoje myślenie!”[99]

Kiedy Gorbaczow w Genewie patrzył w oczy Reaganowi, wciąż widział twarz imperializmu. Czuł się dotknięty postawą prezydenta USA przemawiającego z pozycji moralnej wyższości i skłonnego do wygłaszania długich wykładów na temat praw człowieka. „Czułem, że mój rozmówca tak bardzo obciążony jest stereotypami, że naprawdę trudno mu trzeźwo myśleć” - narzekał[100]. Miał mało czasu na pogawędki i zaskoczyła go skłonność Reagana do opowiadania anegdot, dowcipów oraz brak znajomości szczegółów tematyki kontroli zbrojeń. Po pierwszym spotkaniu, w rozmowie ze swym głównym doradcą do spraw polityki zagranicznej, stwierdził, że nie wierzy, by Reagan nadawał się na prezydenta USA. „Byłby z niego miły sąsiad, ale prezydent?...”[101]

Gorbaczow jednakże rozumiał, że Reagan ma silną pozycję polityczną i cieszy się przytłaczającym poparciem własnego społeczeństwa. Doszedł do wniosku, że z Reaganem można „ubić interes” - dwa lata temu to samo, tyle że o Gorbaczowie, powiedziała Margaret Thatcher[102].

Radzieckie obawy, że Stany Zjednoczone mogą wszcząć konflikt nuklearny z ZSRR, osłabły po spotkaniu w Genewie. Gorbaczow przyjął zapewnienia Reagana, że nie jest podżegaczem dążącym do fizycznego unicestwienia Związku Radzieckiego. Osiągnął za to najważniejszy cel, jaki postawił sobie, wybierając się na szczyt genewski - wspólne oświadczenie, że „wojny nuklearnej nie można wygrać i nigdy nie może zostać stoczona”[103]. Radziecki przywódca poważnie

traktował takie frazesy. Kiedy w kilka tygodni później przyszli doń doradcy wojskowi z rutynowym planem postępowania w razie wybuchu wojny jądrowej, brutalnie ich przegonił. „Do tej pory zakładaliśmy, że wojna [ze Stanami Zjednoczonymi) jest możliwa. Ale teraz, dopóki jestem sekretarzem generalnym, nie próbujcie mi nawet kłaść takich planów i takich programów na biurko”[104].

Antynuklearne nastawienie obu przywódców wkrótce uległo wzmocnieniu za sprawą spowodowanej przez człowieka katastrofy nuklearnej, która zdawała się idealnie pasować do biblijnego proroctwa o Armagedonie, tak silnie oddziałującego na Reagana: „I spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia, a spadła na trzecią część rzek i na źródła wód. A imię gwiazdy zowie się Piołun. I trzecia część wód stała się piołunem, i wielu ludzi pomarło od wód, bo stały się gorzkie” [Objawienie św. Jana 8:10,11][3]. Po ukraińsku piołun to Czarnobyl.

[3] Za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.).

CZARNOBYL
26 kwietnia 1986

Do ślicznych jak z obrazka wsi wokół elektrowni jądrowej w Czarnobylu, w północnej części Ukrainy, lato nadeszło wyjątkowo wcześnie. Była to magiczna pora roku, kiedy niemal bez ostrzeżenia topnieje śnieg i lód na rzekach, a zewsząd wykwita intensywna zieleń. Wiosna ograniczyła się do kilku krótkich dni, ledwo dając ludziom dość czasu na zdjęcie uszczelek z okien, schowanie do szaf ciężkiej, zimowej odzieży i zasianie warzyw. Powietrze przepełniał zapach sosen i kwiatów jabłoni. Dniem i nocą rybacy wystawali nad brzegami zbiornika z wodą układu chłodzenia elektrowni, zarzucając sieci na młode ryby rojące się w ciepłych ściekach.

Czarnobyl, wydarty dziewiczemu lasowi, uchodził za idealne miejsce do życia rodzinnego. Warunki do wypoczynku były tu wręcz wspaniałe. Miasto Prypeć, pełniące funkcję sypialni większości pracowników elektrowni, było czystsze i lepiej rozplanowano niż większość radzieckich ośrodków przemysłowych. Błyszcząca bielą elektrownia przyjemnie kontrastowała z trującymi dinozaurami przemysłowymi spowijającymi kłębami czarnego dymu wiele rejonów miejskich. Elektrownia górująca nad okolicznymi lasami wydawała się co najmniej równie urokliwa jak wijąca się rzeka Prypeć. Cztery reaktory nie dymiły, pracowały niemal bezgłośnie, jeśli nie liczyć ledwo słyszalnego szumu. Nikt nie przejmował się zagrożeniem dla środowiska. Od lat rząd zapewniał wszystkich, że energetyka jądrowa jest całkowicie bezpieczna.

Zastępca głównego inżyniera czarnobylskiej elektrowni, przemierzający w tę i z powrotem salę nadzoru reaktora numer 4, był zmęczony i poirytowany. Anatolij Diatłow pracował od ponad dwunastu godzin. Jego podwładni popełnili błąd przy rutynowej próbie, mającej wykazać, czy reaktor może pracować, czerpiąc prąd generowany przez własne turbiny. Pozwolili, by moc reaktora spadła poniżej dopuszczalnego poziomu. Rozważano zakończenie próby przed czasem, ale Diatłow się nie zgodził. Za chwilę będzie po wszystkim, a on sam położy się wreszcie do łóżka.

Pierwszy wybuch nastąpił o godzinie 1.23. Rozległ się ciężki, głuchy łomot, a po nim nastąpiła seria wstrząsów, jak w czasie trzęsienia ziemi, i uwolnił się potężny strumień pary. Potem jeszcze jeden ogłuszający łomot dobiegł z głębi budynku. Z sufitu posypał się tynk. W pokoju zgasły światła. Diatłowowi wydawało

się, że eksplodował wielki zbiornik z gazem. Inni uznali, że budynek został zaatakowany przez terrorystów albo nawet że Stany Zjednoczone w końcu zaatakowały. Inżynierowie i technicy w sali nadzoru usiłowali odczytać wskazania przy świetle awaryjnym.

„Wszyscy do tablicy rezerwowej” - krzyknął Diatłow[105].

W kilka sekund później wydał odwrotne polecenie. Rzucając się od jednej tablicy rozdzielczej do drugiej, zdał sobie sprawę, że to, co się stało, nie jest małą awarią, ale czymś znacznie groźniejszym. Komputerowe odczyty wskazywały, że ciśnienie w turbinach jest zerowe. Innymi słowy, para z reaktora nie obracała już turbin generujących prąd elektryczny. Ciśnienie w kanałach wodnych także spadło do zera, co znaczyło, że zimna woda nie jest już przepompowywana przez reaktor. Najbardziej zatrważające było to, że - jak pokazywały instrumenty pomiarowe - moc reaktora wzrastała, podczas gdy powinna spadać.

„Myślałem, że oczy mi wyjdą z orbit. Nie potrafiłem tego wyjaśnić” - wspominał później Diatłow.

W reaktorach tego typu, jaki zamontowano w Czarnobylu, rozszczepianie paliwa jądrowego kontrolowane jest za pomocą kilkudziesięciu absorbujących neutrony grafitowych prętów sterujących, wpuszczanych do rdzenia reaktora. Normalnie opuszcza się je mechanicznie, ale w razie awarii opadają same, dzięki sile grawitacji. Ku przerażeniu Diatłowa żadna procedura nie zdawała egzaminu. Z jakiegoś powodu pręty sterujące zablokowały się w swoich oprawach, pokonawszy mniej więcej jedną trzecią drogi. Stracili kontrolę nad reaktorem.

Do sali wbiegł szef nadzoru reaktora. Blady i porażony paniką Walerij Pieriewożenko był prawdopodobnie pierwszą osobą, która zdała sobie sprawę ze skali katastrofy, ponieważ widział, jak się rozpoczęła. Stał na galerii nad pokrywą reaktora - wielkim, metalowym kręgiem, w którym tkwiło 1661 stalowych rur ciśnieniowych, zawierających po około trzystu kilogramów paliwa jądrowego. Obsługa reaktora potocznie mówiła na pokrywę *piałaczok* (pięciokopiejkówka). Pieriewożence wydawało się, że *piataczok* bez ostrzeżenia ożył. Z góry wyglądało to tak, jakby 1661 stalowych puszek jednocześnie zaczęło otwierać się z hukiem, wypychanych od spodu przez nieznaną siłę[106]. Szef nadzoru wybiegł z hali i w kilka sekund później przerażający podmuch zerwał *piataczok,* wywalając ziejącą dziurę w dachu hali reaktora.

Nikt mu nie uwierzył, kiedy ogłosił, że nastąpił wybuch reaktora. Wedle podręczników było to technicznie niemożliwe. Diatłow wciąż myślał o tym, jak od-

zyskać kontrolę nad reakcją jądrową. Dwóm stażystom, którzy obserwowali doświadczenie, nakazał opuścić grafitowe pręty sterujące ręcznie. Nigdzie nie można było odszukać odzieży ochronnej, więc stażyści popędzili bez aparatów tlenowych czy masek. Kiedy wybiegli z pokoju kontrolnego, Diatłow zdał sobie sprawę, że wysłał dwóch młodych ludzi na śmierć bez żadnej przyczyny. Jeśli pręty nie chciały się opuścić ani mechanicznie, ani pod siłą grawitacji - nie można tego było zrobić ręcznie. Pobiegł za stażystami, ale już było za późno[107]. Zniknęli w wypełnionym kłębami dymu piekle. Kiedy pół godziny później wrócili, okazało się, że obaj otrzymali śmiertelne dawki promieniowania.

Rybacy stojący nad brzegiem zbiornika układu chłodzenia także mieli wspaniały widok na eksplozję. Prosto w ciemne niebo wystrzelił słup ognia i gorących, czerwonych kawałów paliwa jądrowego. Równocześnie rozległ się huk, brzmiący jakby samolot przekroczył barierę dźwięku. Nieświadomi tego, co się dzieje, rybacy właśnie byli świadkami radioaktywnej emisji dziesięciokrotnie większej niż przy wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie. Zastygnąwszy w bezruchu, obserwowali walkę z ogniem zastępów strażaków, stojących na resztkach zniszczonego dachu hali turbin. Temperatura była tam tak wysoka, że wydawało się, jakby dach topił się strażakom pod stopami. Cała okolica przemieniła się w radioaktywne rumowisko, żarzące się złowieszczym blaskiem. Kiedy tylko udawało się ugasić jeden pożar, natychmiast wybuchał następny.

Im bliżej było świtu, tym wyraźniej widzieli rybacy, jak powoli poruszają się zdezorientowani mężczyźni na dachu. Strażacy wnet zaczęli odczuwać mdłości. Na skórze wystąpiła ogorzałość jądrowa, w piersiach czuli palący ból[108].

Nie mogąc nic zdziałać w sali nadzoru, Diatłow zdecydował się ocenić rozmiary szkód. W hali turbin ujrzał niewyobrażalne spustoszenie. Języki ognia przedostawały się przez olbrzymie dziury w suficie. Woda tryskała w różnych kierunkach, oblewając urządzenia. Z układów elektrycznych dobywały się ciągłe trzaski. Wielkie kawały stropu zwaliły się na podłogę, przerywając przewody smarownicze, z których natychmiast buchnął ogień. W powietrzu było gęsto od radioaktywnego pyłu, palącego płuca i ściągającego skórę.

Wychodząc za którymś razem z sali nadzoru, inżynier natknął się na robotnika z hali reaktora, Anatolija Kurguza, poparzonego radioaktywną parą. Całe ciało pokryte miał pęcherzami. Kurguza przeszywał potworny ból. Diatłow widział pęknięte pęcherze zwisające mu z twarzy niczym kawały martwego mięsa. Nakazał Kurguzowi zameldować się w gabinecie lekarskim, mieszczącym się w bu-

dynku administracyjnym. Okazało się, że punkt pierwszej pomocy jest zamknięty, co stanowiło jeszcze jeden dowód arogancji kadry kierowniczej czarnobylskiej elektrowni. Ani Diatłow, ani nikt inny nie miał pojęcia, jak wielkie promieniowanie wyzwolił wybuch reaktora. Liczniki Geigera dostosowane były jedynie do pomiaru względnie umiarkowanego promieniowania. Teraz brakło im skali. Aparatura mierząca promieniowanie w większym zakresie zamknięta była w sejfach, zgodnie z założeniem, że nigdy nie będzie potrzebna.

Kiedy Diatłow dokonywał oględzin zniszczonego reaktora, stwierdził, że brakuje całych dwóch ścian gmachu. Do tego czasu już opanowały go mdłości - ciało poddane było niszczącemu promieniowaniu beta i gamma. Wziął kilka wydruków komputerowych i skierował się do budynku administracyjnego, gdzie dyrektor elektrowni, Wiktor Briuchanow, rozmawiał już przez telefon z Moskwą. Dyrektor twierdził, że reaktor jest nienaruszony, a pożar został opanowany. Diatłow zbyt źle się czuł, żeby spierać się z dyrektorem. Wymamrotał coś o awarii mechanizmu opuszczania prętów sterowniczych i wyszedł z gabinetu. Pozostałą cześć nocy spędził, wymiotując, ze swymi towarzyszami w sali nadzoru.

Briuchonow znał Mię na turbinach, miał jednak nikła po- jęcia o energii jądrowej. Jego prawdziwe umiejętności polowały na tym, ze wiedział, jak sprawić przyjemność szefom i jak zapewnić podwładnym doroczne nagrody za „wykonanie planu". Od roku 1970, kiedy został dyrektorem elektrowni w Czarnobylu, w wyjątkowo młodym wieku trzydzietu pięciu lat, nieustannie naciskano nań, by osiągał normy wyznaczone w planie. Parł do przodu, budując nowe reaktory, ignorując ostrzeżenia o niechlujstwie wykonawców i lekceważeniu procedur bezpieczeństwa. Przed czterema laty doszło do niewielkiej eksplozji w reaktorze numer 1 i niewielkiego »każenia promieniotwórczego, głównym zmartwieniem Briuchanowa było zatuszowanie wypadku i tak szybkie usunięcie awarii, jak to tylko możliwe. Rok później udało mu się oddać do użytku czwarty zespół na trzy miesiące przed terminem, za co przyznano mu tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej.

Walcząc o uratowanie swojej reputacji sprawnego dyrektora, Briuchanow zameldował, że reaktor numer 4 wciąż działa, a poziom promieniowania w elektrowni utrzymuje się „w normie". Twierdził tak, gdyż używane w elektrowni liczniki Geigera nie mogły zarejestrować więcej niż tysiąc mikrorentgenów na sekundę, co stanowi stosunkowo umiarkowane natężenie promieniowania. Kiedy funkcjonariusz obrony cywilnej znalazł znacznie mocniejszy przyrząd i dokonał pomiarów wskazujących na katastrofalny poziom promieniowania, dyrektor nie

chciał mu uwierzyć.

„Masz niesprawny przyrząd. Takich pól nie może być. Rozumiesz, co by to oznaczało?” - orzekł. - „Napraw swój przyrząd albo wyrzuć go na śmietnik”[109].

Do wypadków związanych z energią jądrową może dojść wszędzie, ale Czarnobyl był typowo radziecką katastrofą. Był niemal nieuniknioną konsekwencją rabunkowej postawy wobec środowiska naturalnego, która stanowiła nieodłączną część radzieckiej wizji rozwoju gospodarczego. W rewolucyjnych umysłach natura miała być podporządkowana człowiekowi. „Nie możemy czekać na podarunki od natury” - zwykli twierdzić propagandyści radzieccy. - „Sami musimy je wziąć”. Ostatecznie natura musiała się zemścić - w taki czy inny sposób.

„Ziemia rosyjska wspierała komunistów przez pięćdziesiąt lat. Ale nie może już dłużej z nimi wytrzymać” powiedział Adam Michnik, nawiązując do Czarnobyla i wielu innych katastrof spowodowanych przez człowieka. - „W Polsce w sierpniu 1980 roku zastrajkowali ludzie. W Związku Radzieckim jesteśmy świadkami strajku materii nieożywionej”[110].

Bezpośrednio po katastrofie w Czarnobylu rząd obwinił za doprowadzenie do niej Briuchanowa, Diatłowa i ich podwładnych. To prawda, że zlekceważyli zasady bezpieczeństwa i popełnili poważne błędy w ocenie sytuacji. Śledztwo wykazało, że operatorzy wyłączyli awaryjny system chłodzenia reaktora numer 4, aby nie zakłócał przebiegu próby z turbiną. Nie zachowali też odpowiednich procedur. W tajnym procesie w czerwcu 1987 roku zarówno Diatłow, jak i Briuchanow zostali skazani na dziesięć lat więzienia za „pogwałcenie dyscypliny”. Czterech operatorów otrzymało wyroki od dwóch do dziesięciu lat. Prokuratura nazwała oskarżonych „nuklearnymi chuliganami”.

Wskazując kilka kozłów ofiarnych, sąd gładko rozgrzeszył wszystkich innych. Wyrok odciągnął uwagę od wielu poważnych błędów w projektowanych reaktorach typu czarnobylskiego, jak na przykład braku obudowy zabezpieczającej przed wyciekiem materiałów radioaktywnych. Okazało się, że takie reaktory są bardzo niestabilne na niskich poziomach mocy, ale nikt się nie pofatygował, żeby o tym poinformować obsługę. Operatorzy byli także nieświadomi, że w pewnych okolicznościach awaryjny system wyłączania reaktora może wyzwolić śmiertelną falę energii. Właśnie to wydarzyło się w Czarnobylu. Przyznanie się do tych wad postawiłoby pod znakiem zapytania całą przyszłość energetyki jądrowej w ZSRR. O wiele łatwiej było zrzucić winę na „błąd obsługi”.

Prawdziwym katem Czarnobyla nie byli operatorzy, ani nawet projektanci wadliwego reaktora, ale cały radziecki system. Był to system przedkładający konformizm nad odpowiedzialność indywidualną, skupiony bardziej na tym, co jest dzisiaj, niż na tym, co będzie jutro. Był to system traktujący zarówno człowieka, jak i naturę jako „czynniki produkcji", które można bezlitośnie wykorzystywać. W końcu coś musiało się zepsuć.

Łamanie zasad bezpieczeństwa było w radzieckich fabrykach raczej normą niż wyjątkiem. Regułą była też obsesja na punkcie tajemnicy, przez którą obsługa elektrowni w Czarnobylu pozbawiona była podstawowych informacji o konstrukcji reaktora i wcześniejszych awariach. Ale prawdopodobnie największym brakiem systemu było niszczenie poczucia odpowiedzialności indywidualnej. Niesamowita była odwaga wielu spośród sześciuset tysięcy „likwidatorów", którzy uczestniczyli w usuwaniu skutków katastrofy w Czarnobylu - począwszy od samej obsługi reaktora i strażaków walczących z ogniem na dachu hali turbiny. Równie niesamowite było moralne tchórzostwo, które spowodowało, że skądinąd przyzwoici ludzie wydawali bezsensowne i karygodne decyzje, na przykład fatalne opóźnienie ewakuacji setek tysięcy mieszkańców ciężko skażonych rejonów. Kiedy szef partii na Ukrainie upierał się, żeby w Kijowie zorganizować pochód pierwszomajowy, mimo że radioaktywne wiatry wiały w kierunku stolicy Ukrainy, niewielu oponowało.

Do klęski moralnej przyznał się jeden z liderów radzieckiego przemysłu jądrowego, Walerij Legasow, który w drugą rocznicę katastrofy popełnił samobójstwo. Na krótko przed śmiercią udzielił wywiadu, w którym skarżył się, że technologii pozwolono wyprzedzić moralność. Tłumaczył, że poprzednie pokolenie naukowców radzieckich - jak Sacharow, Kurczatow i Kapica - wychowało się na Tołstoju i Dostojewskim. Wykształceni byli w duchu pięknej literatury, wielkiej sztuki i „właściwego klimatu moralnego". Ale gdzieś po drodze zagubił się związek z przedrewolucyjnymi tradycjami rosyjskimi. „Człowiek radziecki" był wykształcony technicznie, ale zagubiony moralnie.

„Nie poradzimy sobie z niczym, jeśli nie odbudujemy naszego moralnego nastawienia do pracy" - podsumował Legasow[111].

System radziecki sprawiał, że takie katastrofy jak czarnobylska były nieuniknione. Tragedia w Czarnobylu wynikła z radzieckiej obsesji na punkcie tajemnicy - tak absurdalnej, że w ostatecznym rachunku przesądziła o samozagładzie systemu. Próba zatuszowania katastrofy była tym bardziej groteskowa, że podjęto ją w dobie rewolucji informacyjnej na świecie, dzięki której rozmiary klęski

były znane natychmiast.

Jedną z pierwszych decyzji, jakie podjął Briuchanow wczesnym sobotnim rankiem 26 kwietnia, był rozkaz odcięcia wszystkich linii telefonicznych oprócz najważniejszych[112]. Była to instynktowna reakcja aparatczyka na poważną katastrofę. Dla tego komunistycznego, biurokratycznego umysłu nie było nic bardziej przerażającego niż utrata kontroli nad sytuacją. Utrzymując ludzi w nieświadomości, można było uniknąć paniki.

W ciągu pierwszych godzin po eksplozji tysiące osób mieszkających w bezpośrednim sąsiedztwie elektrowni otrzymało potencjalnie śmiertelną dawkę promieniowania. Nieświadomi niebezpieczeństwa, korzystali z ciepłego, ładnego dnia, pracując w ogródkach, odwiedzając przyjaciół i bawiąc się na dworze z dziećmi. Miejscowi urzędnicy wskazywali później, że tego dnia w Prypeci zawarto szesnaście ślubów, co miało stanowić dowód, że w promieniu około czterech kilometrów od płonącego reaktora wszystko było „w normie”.

Przez lata mieszkańcom Prypeci przybywało powodów, by przeklinać brak informacji. Tysiące ludzi zmarło na tajemnicze choroby. Zdrowie dziesiątek tysięcy innych zostało trwale zrujnowane. Znacznie wzrosła liczba zachorowań na białaczkę. „Gdybyśmy wiedzieli, co się stało, na pewno zostalibyśmy w domu i przedsięwzięli środki ostrożności. Bóg wie, jak bardzo wtedy zostaliśmy napromieniowani” - powiedziała Nadieżda Spaczenko, czarnobylski inżynier, której dzieci zaczęły się wkrótce uskarżać na chroniczne bóle głowy, krwawienie z nosa, powiększenie tarczycy i ogólne niedomagania[113].

W zgodzie z najlepszymi tradycjami radzieckimi, śledztwo w sprawie tragedii w Czarnobylu powierzono tym samym ludziom, którzy w dużej mierze byli odpowiedzialni za katastrofę. Pierwsza komisja rządowa dotarła na miejsce wypadku osiemnaście godzin po eksplozji. Na jej czele stał wicepremier Borys Szczerbina; w skład komisji weszli projektanci wadliwego reaktora. Szczerbina był przywódcą w starym stylu - małym Napoleonem, który wzbudzał przestrach wśród swoich podwładnych za pomocą ostrego przytyku czy miażdżącego spojrzenia. Pełnił funkcję ministra do spraw ropy naftowej i gazu, wymagającą bezustannego poganiania - by mieć pewność, że zostaną osiągnięte cele nałożono w planie. Awansowany na stanowisko wicepremiera odpowiedzialnego za cały sektor energetyczny, usiłował stosować takie samo metody przy budowie elektrowni atomowych, w wyniku czego gwałtownie obniżyły się standardy bezpieczeństwa. Swój stosunek do tej wyjątkowej sytuacji zawarł w zdaniu, które czy-

sto wypowiadał po przybyciu do Pry poci: „Panika jest gorsza od promieniowania”[114].

Ewakuację Prypeci rozpoczęto dopiero 27 kwietnia o trzynastej trzydzieści, trzydzieści sześć godzin po wybuchu. Ludzie, w przekonaniu, że wrócą tu za pary dni po odwołaniu alarmu, pozostawili w domach niemal wszystkie swe rzeczy osobiste. W ciągu kilku godzin czterdziestoośmiotysięczna miejscowość zamieniła się w miasto widmo. Nie wolno było zabierać ze sobą zwierząt domowych, ponieważ ich sierść była bardzo radioaktywna. Przez kilka dni stada chorych i wygłodniałych psów wałęsały się po ulicach miasta; zwierzęta stawały się coraz bardziej agresywne, w miarę jak przekonywały się, że ich panowie nie powrócą tu już nigdy. W końcu zostały otoczone i wystrzelane. Po latach Pypeć stała się dziwaczną pamiątką wczesnej ery Gorbaczowa - w mieście wciąż powiewały na wietrze wyblakłe transparenty propagandowe, zwiastujące nadchodzące święto pracy - 1 Maja.

Świat dowiedział się o awarii dopiero 28 kwietnia, dwa i pół dnia po eksplozji, kiedy radioaktywna chmura dotarła nad Szwecję. W Moskwie odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Biura Politycznego, na którym miano przygotować odpowiedź na zapytania kierowane do Moskwy przez rządy innych państw i mass media. Po krótkiej dyskusji Politbiuro zdecydowało udostępniać tak mało informacji, jak to tylko możliwe. Tego wieczoru prezenter telewizyjny odczytał lakoniczny, czterozdaniowy komunikat rządu ZSRR: „W elektrowni w Czarnobylu doszło do wypadku, w wyniku którego uszkodzeniu uległ jeden z reaktorów. Podjęto działania zmierzające do wyeliminowania następstw awarii. Osobom poszkodowanym w jej wyniku udzielana jest niezbędna pomoc. Powołano specjalną komisję rządową”. Cenzorzy poinstruowali radzieckie redakcje, by powstrzymały się od publikowania czegokolwiek na temat awarii, poza oficjalnym komunikatem rządowym.

Pozbawieni informacji ludzie mieszkający w bezpośrednim sąsiedztwie Czarnobyla narażali się na dalsze niebezpieczeństwo, podczas gdy mieszkańcy Europy Zachodniej, oddaleni tysiące kilometrów od miejsca katastrofy - pili mleko w proszku i starannie myli warzywa. We wtorek, 29 kwietnia, analitycy amerykańskiego wywiadu z przerażeniem oglądali zdjęcia satelitarne z meczu piłki nożnej rozgrywanego półtora kilometra od tlącego się reaktora. Po Prypeci płynął spokojnie statek wycieczkowy, jakby nic się nie wydarzyło[115]. Drugi etap ewakuacji, obejmujący osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi mieszkających w pro-

mieniu trzydziestu kilometrów od elektrowni, rozpoczął się dopiero 5 maja, ponad tydzień po eksplozji. Poza uprzywilejowanymi oficjelami prawie nikt w strefie skażenia nie otrzymał jodku potasu, który dawał jaką taką ochronę przed radioizotopami o krótkim okresie rozpadu, jak na przykład jodem 131.

Upierając się przy zachowaniu tajemnicy, komisja rządowa naraziła na napromieniowanie znacznie więcej ludzi, niż było to konieczne. Setkom tysięcy „likwidatorów" - głównie młodych ludzi w wieku reprodukcyjnym - polecono wziąć udział w pracach porządkowych. Wiele osób ewakuowano na tereny, gdzie zagrożenie było minimalnie mniejsze niż tam, skąd przyjechali. Szczerbina ignorował rady ekspertów i polecił zbudować na skażonej ziemi nowe miasto, Sławutycz, gdzie schronienie mieli znaleźć pracownicy Czarnobyla z rodzinami. Aby ograniczyć liczbę osób wymagających pomocy medycznej, rząd dwa tygodnie po wypadku potajemnie zatwierdził dziesięciokrotne podwyższenie norm „bezpiecznych" dawek promieniowania. Przez trzy lata skażone mleko spod Czarnobyla mieszano z mlekiem z innych rejonów i sprzedawano w całym kraju[116].

Czarnobyl stał się symbolem klęski systemu nakazowo- -rozdzielczego. Ale, jak na ironię, stał się też narzędziem zemsty na systemie i jego do tej pory nietykalnych przedstawicielach. Większość wysokiej rangi urzędników nadzorujących usuwanie szkód miała bardzo słabe pojęcie o promieniowaniu i fizyce jądrowej. W wyniku niewiedzy i brawury niepotrzebnie narażali się na ryzyko. Jeden z wiceministrów został śmiertelnie napromieniowany w moskiewskiej klinice, gdzie położono go do łóżka, w którym przedtem leżał strażak z Czarnobyla[117]. Śledztwo wykazało, że służba salowa nie zmieniała posłań, więc pacjenci napromieniowywali się nawzajem.

Sam Szczerbina zmarł w tajemniczych okolicznościach w sierpniu 1990 roku, w wieku siedemdziesięciu lat, w wyniku „poważnej choroby", jak podała radziecka prasa. Sam wystawiał się na niebezpieczeństwo, jedząc skażoną żywność i bez odzieży ochronnej latając helikopterem nad reaktorem. Do końca nie wiadomo, czy śmierć nastąpiła w wyniku napromieniowania. W 1988 roku wydał tajne zarządzenie zabraniające lekarzom podawania napromieniowania jako przyczyny zgonu lub choroby[118].

KREML
3 lipca 1986

Przed Gorbaczowem, niczym nieposłuszne dzieci wezwane przed oblicze dyrektora szkoły, by wytłumaczyć swoje zachowanie, siedziały za małymi biurkami same grube ryby energetyki jądrowej. Z portretu zawieszonego na ścianie kremlowskiej sali konferencyjnej wpatrywał się w nich Lenin. Członkowie Politbiura i ministrowie wiercili się niecierpliwie na krzesłach, niepewni, kto będzie kolejną ofiarą gniewu sekretarza generalnego.

Posiedzenia Politbiura w czasach Breżniewa były spotkaniami pro forma, trwającymi często dwadzieścia-trzydzieści minut. Zgodnie z od dawna ustalonym rytuałem, rozpoczynały się w każdy czwartek, równo z wybiciem jedenastej, na drugim piętrze siedziby rządu. Wiele istotnych decyzji podejmowała jednak garstka zauszników Breżniewa i nawet nie omawiano ich w pełni na posiedzeniach. Kiedy do władzy doszedł Gorbaczow, zwyczaje uległy diametralnej zmianie. Posiedzenia Politbiura przekształciły się w dyskusyjne maratony, często trwające po osiem czy nawet dziesięć godzin. Nowy gensek lubił uwzględniać w procesie podejmowania decyzji tak wiele osób, jak to było możliwe. W momentach kryzysowych w ponurej sali konferencyjnej potężny, siedemdziesięcio-osiemdziesięcioosobowy tłum, chcąc nie chcąc, wysłuchiwał długich oracji Gorbaczowa[119].

„Od trzydziestu lat mówicie nam, że wszystko jest absolutnie bezpieczne!” - wybuchnął radziecki przywódca, zwracając się do szefów energetyki jądrowej. - „Zakładaliście, że będziemy się w was wpatrywać jak w bogów. To z tej przyczyny wydarzyło się to wszystko i zakończyło się tragedią. Nikt nie kontrolował ministerstw i ośrodków naukowych.

I na razie nie widzę żadnych oznak, że wyciągnęliście z tego konieczne wnioski. Co gorsza, wydaje się, że staracie się wszystko zatuszować”[120].

Wściekłość i frustracja narastały w Gorbaczowie od tygodni. Poza olbrzymimi zniszczeniami i cierpieniami, Czarnobyl doprowadził też do katastrofy propagandowej. Doszło do niej w najmniej odpowiednim momencie. Oczywiście Zachód wykazywał, że katastrofa i próby jej ukrycia świadczą o tym, że w Związku Radzieckim nic się nie zmieniło. W gruzach legła reputacja Gorbaczowa jako dynamicznego, nowego przywódcy. Zachodni komentatorzy wytykali mu, ze dopiero osiemnaście dni po katastrofie wystąpił w telewizji, by przedstawić swoje osobiste stanowisko w tej sprawie. Jego osiemnastominutowe przemówienie

określano jako „defensywne” i „dezinformujące”.

Gorbaczow był zły na zachodnie media i administrację Reagana, że krytykują jego postępowanie i powątpiewają w chęć przeprowadzenia reform. Był załamany lekturą artykułów, na które zwrócił uwagę, poświęconych biurokratycznej bezduszności i niekompetencji. Najbardziej jednak rozwścieczało go U), że nie może uzyskać szybkich i dokładnych informacji od swoich podwładnych. Uważał, że kierownictwo zostało wprowadzone w błąd co do niezawodności czarnobylskiego typu reaktora, poziomu promieniowania w strefie skażenia i wielu innych spraw. Oskarżał decydentów odpowiedzialnych za energetykę jądrową, ze zasłaniają się tajemnicą dla ukrycia własnych interesów i odmawiają udzielenia informacji nawet Komitetowi Centralnemu i rządowi. Nic poddani zewnętrznej kontroli, mówił, stworzyli mini imperium przepełnione „duchem służalczości, lizusostwa, prześladowania odszczepieńców, maskarady, osobistych koneksji i sitwy”.

„Zamierzamy tomu wszystkiemu położyć kres” - obiecał Gorbaczow. - „Ponieśliśmy olbrzymie straty, nie tylko gospodarcze. Były ofiary w ludziach, a będzie ich jeszcze więcej. Spotkała nas polityczna klęska. Skompromitowano wyniki całej naszej pracy. W wyniku tego, co się wydarzyło, zdyskredytowano naszą naukę i technologię. (...) Od tej chwili wszystko, co robimy, musi być jawne dla wszystkich obywateli i całego świata. Potrzebna jest nam pełna informacja”.

W trakcie posiedzenia Politbiura w poszerzonym składzie zebrani zapoznawali się z coraz to nowymi, przerażającymi faktami na temat radzieckiej energetyki jądrowej. W samym Czarnobylu dochodziło średnio do dwudziestu wypadków rocznie. Większość z nich można było przypisać wadom projektu elektrowni. „Zbliżaliśmy się do wielkiej katastrofy” - przyznał premier Nikołaj Ryżkow. - „Jeśli nie doszło do niej teraz, mogło dojść w każdej chwili”[121].

Gensek nie był w nastroju do wysłuchiwania usprawiedliwień. Kiedy wicepremier stwierdził, że konstrukcja reaktora była prawidłowa, poza jednym, małym szczegółem - brakowało szczelnej obudowy - Gorbaczow dał upust swej wściekłości: „Zadziwiasz mnie! Wszyscy mówią, że reaktor ma wady i jest niebezpieczny, a ty wciąż bronisz honoru munduru!” Dwa tygodnie później aparatczyk ów został zdymisjonowany, wraz z kilkoma innymi ministrami i swymi zastępcami.

Publicznie Gorbaczow wciąż bronił systemu, który umożliwiał takie katastrofy. Starą gwardię w Politbiurze udobruchał atakami na Zachód za „niepohamowaną kampanię antyradziecką” i utrzymywał, że Związek Radziecki będzie

kontynuował realizację swojego ambitnego programu jądrowego. Jednak wewnętrznie pod wpływem bolesnego doświadczenia Czarnobyla stał się bardziej radykalny. W rozmowach ze swoimi współpracownikami coraz częściej narzekał, że pierestrojka postępuje zbyt wolno i koniecznie trzeba ją przyspieszyć. Wciąż uważał, że mieczem jego rewolucji jest partia, ale też, najwyraźniej, niezbędne były poważne przetasowania w jej szeregach, zanim się stanie efektywnym narzędziem przemian. Partia, podobnie jak energetyka jądrowa, nie może być odpowiedzialna jedynie przed sobą. Musi poddać się jakiejś formie zewnętrznej kontroli.

Orężem Gorbaczowa w tej bitwie była *głasnost'*(jawność). Przede wszystkim chciał, by więcej informacji docierało do niego osobiście i do Politbiura. Ale dostrzegał też potrzebę szerszego informowania opinii publicznej, która stałaby się jego sojusznikiem w walce o reformę partii. W ciągu tygodni, które nastąpiły po awarii w Czarnobylu, bombardowany był skargami redaktorów gazeto braku głasnosti[12'1]. Blokada informacyjna, mająca na celu zapobieżenie panice, dała - w opinii dziennikarzy - wręcz przeciwny efekt. Plotki rozpowszechniane były z ust do ust. W Kijowie, dwuipół- milionowym mieście leżącym około dwustu kilometrów na południc od Czarnobyla, spanikowani mieszkańcy koczowali na stacjach kolejowych całe dnie i noce, usiłując się wedrzeć do odjeżdżających z miasta pociągów. Wszyscy wiedzieli, że wysocy funkcjonariusze partyjni odpowiedzialni za cenzurowanie mediów ewakuowali swoje rodziny ze stolicy republiki.

W odpowiedzi na te protesty i wrzawę podniesioną przez Zachód stopniowo poszerzono przepływ informacji na temat Czarnobyla. Gorbaczowowi kryzys posłużył jako pretekst do mianowania nowych redaktorów naczelnych w takich czasopismach i gazetach jak: „Ogoniok”, „Moskowskije Nowosti” i „Nowyj Mir”, które wkrótce stały się trybunami głasnosti.

Dla tych, którzy zetknęli się z Czarnobylem, katastrofa stała się punktem zwrotnym życia i kariery zawodowej. Dla marszałka Achromiejewa, który wysłał dziesiątki tysięcy rekrutów do oczyszczania terenu, wydarzenie to porównywalne było z inwazją Hitlera na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku. Legasow, fizyk jądrowy, który później popełnił samobójstwo, porównywał Czarnobyl z takimi epokowymi kataklizmami, jak zagłada Pompejów. Premier Ryżkow, walczący z załamującymi się cenami ropy naftowej i spadkiem dochodów ze

sprzedaży alkoholu, odebrał to jako kolejny cios w finanse państwa. Dla Grigorija Miedwiediewa, inżyniera jądrowego, autora pierwszej w języku rosyjskim szczegółowej relacji z katastrofy, Czarnobyl symbolizował „ostateczny, widowiskowy upadek schyłkowej ery”[124].

Wpływ tragedii na Gorbaczowa trafnie podsumował jego doradca do spraw polityki zagranicznej, Anatolij Czerniajew. W swoich pamiętnikach pisze, że Czarnobyl był „bombą zegarową”, która wybuchła, kiedy straż pełnił Gorbaczow. Tykała jednak przez dziesięciolecia pod fundamentami społeczeństwa radzieckiego[125]. Wiele jeszcze miało być takich eksplozji. Gorbaczowowi przyszło płacić rachunki swoich poprzedników.

DŻALALABAD
25 września 1986

To, co Rudyard Kipling nazywał Wielką Grą, toczyło się od przeszło dwóch stuleci w niegościnnych górach okalających przełęcz Khyber. Przedmiotem gry nie było nic innego jak - żeby odwołać się do dziewiętnastowiecznego określenia strategów brytyjskich, którzy ustalili zasady tejże gry - „panowanie nad światem”[126]. Kolejnych brytyjskich wicekrólów Indii męczyła zmora wlewających się przez przełęcz rosyjskich wojsk, spełniających odwieczne marzenia carów: ciepłowodny port na brzegu Oceanu Indyjskiego. Aby nie doszło do tego geopolitycznego koszmaru, trzeba było kontrolować północne podejścia do przełęczy.

W uaktualnionej, dwudziestowiecznej wersji Wielkiej Gry wszystko było na odwrót. Teraz to gerontokratów na Kremlu przerażała wizja „imperialistycznego” zagrożenia wymierzonego w radzieckie republiki środkowoazjatyckie - miękkie podbrzusze radzieckiego imperium. Aby uprzedzić niekorzystny rozwój wypadków, ZSRR dokonał inwazji na Afganistan. Sowieci zetknęli się jednak z nadspodziewanie silnym oporem potomków tych samych ludów, które lata całe opierały się Brytyjczykom. Do tego zdecydowani utrudnić życie Rosjanom „imperialiści” w tajemnicy zaopatrywali ludność w broń i organizowali ośrodki szkoleniowe po południowej stronie przełęczy Khyber. Związek Radziecki odpowiedział próbą blokady granicy z Pakistanem.

Sowieci, tak jak wcześniej Brytyjczycy, osadzili silny garnizon w Dżalalabadzie, w połowie drogi między afgańską stolicą, Kabulem, a pakistańskim miastem granicznym Peszawar. Licząca dwa tysiące ludzi brygada elitarnych oddziałów do zadań specjalnych, specnazu, rozbiła obóz wokół lotniska. Dzięki przenośnej aparaturze podsłuchowej, wychwytującej transmisje radiowe mudżahedinów, radzieccy komandosi byli w stanie zlokalizować ich karawany podążające z i do Pakistanu. Skoro tylko karawana została namierzona, wysyłano eskadrę helikopterów szturmowych

Mi-24, które przeorywały wybrany teren rakietami i ogniem działek. Oddziały spadochroniarzy docierały na miejsce na pokładzie helikopterów transportowych Mi-8, pod osłoni} Mi-24. Po kilku godzinach bombardowania robotę kończyły czołgi, bojowe wozy piechoty i moździerze.

Operacja „Kurtyna”, jak ją nazwali Sowieci, rozpoczęła się w kwietniu 1984 roku. Nieuchronnie sukcesom towarzyszyły porażki. Mudżahedini, cieszący się poparciem miejscowej ludności, mieli wyśmienitą sieć wywiadowczą i często

byli w stanie odwrócić sytuację na niekorzyść najeźdźców. A jednak rezultaty działań wojsk radzieckich były wystarczająco imponujące, by można było nakłonić Gorbaczowa do eskalacji wojny wiosną 1985 roku, wkrótce po dojściu przezeń do władzy[127]. Po raz pierwszy od sześciu lat wydawało się, że Sowieci mają szansę na zwycięstwo w Wielkiej Grze - przy założeniu, oczywiście, że „imperialistom" nie uda się wymienić jednego ze swoich pionów na królową.

We wrześniu 1986 roku mały oddział mudżahedinów pod dowództwem komendanta Ghaffara opuścił szkoleniowy obóz partyzancki w Pakistanie i przeszedł przełęcz Khyber. Mudżahedini niezauważenie przeczołgali się na odległość niespełna dwóch kilometrów od lotniska w Dżalalabadzie. Dobrze ukryci na niewielkim wzgórzu górującym nad pasem startowym, ludzie Ghaffara obserwowali radzieckich żołnierzy krzątających się wewnątrz ogrodzonego terenu. Radzieckie czołgi i bojowe wozy piechoty stały na obu krańcach pasa startowego. Partyzanci podzielili się na trzy grupy po trzy osoby, które zajęły pozycje w odległości pozwalającej na nawiązanie kontaktu głosowego. Czekali, przyczajeni za krzakami, już od ponad trzech godzin. Każda grupka uzbrojona była w jedne z najwymyślniejszych cudów elektroniki armii amerykańskiej - stingery, ręczne wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych. Jest to broń zdolna zestrzelić samolot z niemal sześciu kilometrów.

Późnym popołudniem, kiedy coraz dłuższy cień zaczął się kłaść na góry, cierpliwość Ghaffara została wreszcie nagrodzona. Do lądowania podchodziło osiem helikopterów szturmowych Mi-24, najbardziej przez mudżahedinów znienawidzona broń radzieckich arsenałów. Na spiczastych nosach śmigłowców połyskiwało pancerne szkło, a z wysięgników zwisały kokony rakiet. Komendant krzyknął. Trzej strzelcy wyborowi dźwignęli broń na ramiona i wycelowali w nadlatujące helikoptery. Lekkim ruchem lewego kciuka każdy z nich nacisnął guzik wydający elektronicznemu mózgowi pocisku polecenie zlokalizowania źródła ciepła emitowanego przez silniki helikopterów. Nastąpiła seria donośnych trzasków - był to sygnał, że rakiety odnalazły cel. Ghaffar krzyknął „Ognia!" i strzelcy pociągnęli za spusty. W powietrze wzniosły się pełne zachwytu okrzyki *Allah o akbar!,* kiedy rakiety poszybowały w niebo z szybkością ponad dwóch i pół tysiąca kilometrów na godzinę.

Kilka sekund później dwa spośród nadlatujących helikopterów buchnęły płomieniami i zaczęły opadać na ziemię. Strzelcy błyskawicznie znów załadowali

broń. Pomknęły dwie następne rakiety, które trafiły w kolejny helikopter. Pierwszych pięć rakiet wystrzelonych ze stingerów w akcji bojowej zaowocowało trzema trafieniami i dwoma niecelnymi strzałami. Osiągnięto sukces w sześćdziesięciu procentach. Mudżahedini triumfowali. Afgański operator usiłujący sfilmować atak na użytek agentów wywiadu siedzących w Peszawarze był tak podniecony, że później na filmie widać było głównie zamazane ujęcia nieba, kamienistego gruntu i czarnego dymu buchającego z wraków[128].

Kiedy wiadomość o powodzeniu ataku dotarła do Waszyngtonu, triumfowano także w Białym Domu i Pentagonie. Stingery stały się głośnym symbolem tajnej pomocy USA dla afgańskich powstańców w walce przeciwko radzieckim najeźdźcom. Ktoś kiedyś powiedział, że była to „najjawniejsza tajna operacja w historii". Wraz z przekazywanymi mudżahedinom danymi wywiadu satelitarnego i zaawansowaną technologicznie bronią amerykańską, stingery znacznie przyczyniły się do zmiany biegu wojny afgańskiej.

Odtąd znacznie trudniej było Sowietom bombardować afgańskie pozycje z niskiego pułapu, czego bez przeszkód dokonywali w roku 1985 i na początku 1986. Możliwości przeprowadzania helikopterowych rajdów przez specnaz również zostały poważnie ograniczone. Radzieccy piloci latali teraz na znacznych wysokościach, poza zasięgiem mudżahedinów. Przy podchodzeniu do lądowania natomiast stosowali technikę korkociągu: pikowali po ciasnej spirali, a ponadto wystrzeliwali co kilka sekund race, aby wprowadzić w błąd urządzenia celownicze stingerów. Radzieckie ministerstwo obrony było tak zaskoczone nową bronią, że obiecało tytuł Bohatera Związku Radzieckiego temu, kto pierwszy odbierze ją mudżahedinowi. Pierwszą partię nietkniętych stingerów dostarczono do Moskwy jesienią 1986 roku[129].

Dokonując w grudniu 1979 roku inwazji na Afganistanu, Breżniew i jego towarzysze sprezentowali Zachodowi zwycięstwo dyplomatyczne, które do tej pory wydawało się nieosiągalne, wręcz niewyobrażalne, nawet najzdolniejszym politykom w Waszyngtonie, Londynie czy Paryżu. Radziecka agresja na muzułmański kraj Trzeciego Świata - jeden z członków założycieli ruchu państw niezaangażowanych - zbliżyła do siebie najbardziej nieprzejednanych przeciwników. W ciągu kilku miesięcy sformowano szeroką, antyradziecką koalicję. Obejmowała rozległe ideologiczne spektrum - amerykańskich kapitalistów i chińskich komunistów, konserwatywną Arabię Saudyjską i irańskich fundamentali-

stów muzułmańskich, pakistańską generalicję i europejskich pacyfistów. W obozie moskiewskim pozostali jedynie satelici oddani Kremlowi na dobre i na złe.

Członkowie Politbiura świadomi byli, że potępi ich niemal cały świat. Kilka dni po inwazji prestiżowy moskiewski instytut rządowy ostrzegł radzieckie kierownictwo, że ZSRR będzie miało przeciwko sobie „zjednoczone siły USA, pozostałych państw członkowskich NATO, Chin, Australii, państw islamu i armii afgańskich powstańców”[130]. Ostrzeżenia te puszczano mimo uszu. Radzieccy przywódcy byli przekonani, że międzynarodowa nagonka wkrótce się skończy, podobnie jak po wtargnięciu do Czechosłowacji w 1968 roku.

Oprócz głosów oburzenia, inwazja na Afganistan sprowokowała natychmiastowe zaostrzenie polityki Zachodu względem Moskwy. Prezydent USA, Jimmy Carter, zareagował na decyzję Breżniewa z furią odrzuconego kochanka. Sądził, że robił wszystko, co w jego mocy, aby poprawić stosunki z konkurencyjnym mocarstwem, ale jego dobrą wolę potraktowano jak oznakę słabości. Został oszukany i zdradzony przez swoich niedoszłych radzieckich partnerów. Gorzko narzekał, że w ciągu kilku dni więcej dowiedział się o prawdziwej naturze Związku Radzieckiego niż w ciągu trzech poprzednich lat swojej prezydentury. Opisując inwazję jako „największe zagrożenie dla pokoju od II wojny światowej”, zatwierdził szereg posunięć mających ukarać Sowietów i wzmocnić system obronny USA[131]. Ogłoszone publicznie sankcje objęły zakaz eksportu rozwiniętej technologii do Związku Radzieckiego, embargo na sprzedaż zboża i opóźnienie w podpisaniu układu SALT 2, a także bojkot letnich igrzysk olimpijskich organizowanych w Moskwie. Nieoficjalnie Carter zatwierdził też tajne dostawy broni dla afgańskiego ruchu oporu i wojskowe konsultacje z Chinami[132].

Administracja Reagana rozszerzyła te działania, inicjując krucjatę antyradziecką pod wodzą byłego szpiega z okresu II wojny światowej, Williama Caseya. Casey, milioner z Wall Street, został nominowany na dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej w nagrodę za poprowadzenie kampanii prezydenckiej Reagana. Jezuickie wychowanie, które otrzymał w dzieciństwie, nauczyło go postrzegać politykę międzynarodową jako odwieczną walkę dobra ze złem. Siebie natomiast uważał za sumienie polityki zagranicznej administracji Reagana. Jego wojenne doświadczenia - zorganizował sieć wywiadu za linią frontu - sprawiały, że miał wielkie zaufanie do skuteczności tajnych operacji. Przekonany, że znacznie się przyczyniły do pokonania Trzeciej Rzeszy, chciał zastosować podobne metody przeciwko Związkowi Radzieckiemu. „Ważne jest (...) abyśmy zrozumieli, jak wiele krwi i majątku zaoszczędziliśmy dzięki wywiadowi, tajnym

operacjom i zorganizowanej konspiracji, walcząc z Hitlerem" - pisał w opublikowanych pośmiertnie pamiętnikach. - „Te środki mogą być istotniejsze od rakiet i satelitów w czasie przyszłych kryzysów. Wskazują one na możliwości zakulisowych działań przeciwko ośrodkom decyzyjnym i liniom komunikacyjnym władzy totalitarnej"[133].

Casey uważał, że wywiad nie może służyć li tylko zbieraniu informacji. Wywiad bez działania jest bezcelowy. Wojnę trzeba wprowadzić do obozu wroga. Mówił swoim współpracownikom, że musi znaleźć miejsce, „z którego można wyprzeć komunistyczne imperium"[134]. W marcu 1985 roku Casey otrzymał to, czego pragnął - dyrektywę prezydenta, by wyprzeć wojska radzieckie z Afganistanu. Nowym celem było udzielenie pomocy mudżahedinom. W połowie 1985 roku CIA zaczęła dostarczać broń do Afganistanu za pośrednictwem szkoleniowych obozów partyzanckich w Pakistanie[135].

Powłóczący nogami, niezgrabny, o spojrzeniu roztargnionego profesora, Casey wzbudzał skrajnie różne reakcje. W mniemaniu swoich przeciwników był nieodpowiedzialnym ideologiem, tak bardzo zaślepionym nienawiścią do Sowietów, że nie był w stanie obiektywnie patrzeć na świat. Sekretarz stanu George Shultz wielokroć narzekał, że CIA przekazuje mu fałszywe informacje o Związku Radzieckim, z reguły przeszacowując możliwości gospodarcze i wojskowe tego kraju. Obwiniał Caseya o serię niepowodzeń wywiadowczych, począwszy od sprawy Iran-Contras[136]. Jego zwolennicy uważali go za nieznanego bohatera końcowej fazy zimnej wojny - zakulisowy mozg, który opracował strategię powalenia komunistycznego mocarstwa na kolana. Być może jego metody odpychania komunizmu były brutalne, ale skuteczne. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że kiedy Casey w styczniu 1987 roku złożył dymisję, „imperium zła" było już w odwrocie.

Bez względu na to, co się myślało o Caseyu, nie można było nie być pod wrażeniem jego energii i prostolinijności. Chory na raka, już po siedemdziesiątce dyrektor CIA wciąż przemierzał glob swoim specjalnie wyposażonym czarnym starlifterem C-141, pracując na rzecz hołubionej koalicji antyradzieckiej. Aby nie tracić czasu, samolot często tankował w powietrzu, korzystając z latającej cysterny K-10. Casey podróżował nocą, by nie zwracać na siebie uwagi, i meldował się w hotelach pod przybranym nazwiskiem, typu Smith albo Black, zgodnie z tradycją płaszcza i szpady. W czasie typowej podróży odwiedzał Tokio, Pekin, Islamabad, Rijad, Jerozolimę, Ankarę i Rzym. Omawiał strategię z Chińczykami, finanse z Arabami i logistykę z Pakistańczykami. Politycy pakistańscy

wnet zaczęli mówić o nim jako o „wędrowcu” albo „cyklonie”[137].

W czasie jednej ze swych podróży, w październiku 1984 roku, Casey przyleciał helikopterem do tajnego obozu szkoleniowego mudżahedinów w Pakistanie przy granicy afgańskiej. Obejrzawszy szkolenie partyzantów, uczących się, jak konstruować bomby z materiałów dostarczanych przez CIA, zaskoczył swych gospodarzy, podsuwając im pomysły, w jaki sposób wojnę można by rozszerzyć na obszar Związku Radzieckiego. Pierwszy etap planu obejmował przemycanie przez granicę radziecko-afgańską literatury wywrotowej, a następnie broni, która przydałaby się w czasie lokalnych powstań. W kilka miesięcy później CIA wysłała do Pakistanu dziesięć tysięcy egzemplarzy Koranu w języku uzbeckim, z myślą o dystrybucji w radzieckiej Azji Środkowej[138].

Tymczasem w Waszyngtonie trwała wojna biurokratyczna o dostawy stingerów dla mudżahedinów. Szefowie sztabów nie chcieli oddawać swej cudownej zabawki bandzie analfabetów z Afganistanu. (TA zaniepokojona była, że stinger jednoznacznie wskazuje na USA jako źródło pomocy - co jest pogwałceniem najbardziej podstawowej zasady tajnych operacji, odbierającym możliwość obłudnego wypierania się wszystkiego. Głównymi zwolennikami stosowania stingerów w Afganistanie byli konserwatywni kongresmani oraz dobrze ulokowani w administracji biurokraci, jak na przykład Morton Abramowitz, szef wywiadu Departamentu Stanu, który obawiał się, że Sowieci mogą zgnieść afgański opór. W międzyresortowej dyskusji Abramowitz upierał się, że bardzo ważne jest, aby moralne i propagandowe koszty prowadzenia wojny w Afganistanie spadły na nowe kierownictwo radzieckie. Dopóki Gorbaczow obwinia za wojnę swoich poprzedników, dopóty będzie można go przekonać, by wycofał wojsko. Stany Zjednoczone nie mogą dopuścić, by „wojna Breżniewa” stała się „wojną Gorbaczowa”[139].

Prezydent zatwierdził dostawę czterystu stingerów dla mudżahedinów w lutym 1986 roku, ale do Afganistanu dotarły dopiero ponad sześć miesięcy później. Jak to często bywa w Waszyngtonie, decyzja prezydenta wywołała biurokratyczny spór na temat sposobu realizacji dyrektywy. Wojsku całymi tygodniami udawało się opóźniać transport broni: twierdzono, że cały zapas stingerów jest niezbędny oddziałom armii amerykańskiej w Niemczech. Następnie wskazano, że poziom zabezpieczeń w obozach mudżahedinów musi dorównać standardom amerykańskim[140]. Zanim uporano się z tymi trudnościami, Rosjanie już się dowiedzieli, że rakiety są w drodze do Afganistanu... dzięki serii przecieków prasowych.

Usiłując wczuć się w przebieg wewnętrznej debaty na Kremlu na temat Afganistanu, amerykańscy politycy przeprowadzali symulacje posiedzeń Politbiura. Sesjo te odbywały się w podziemiach Pentagonu[141]. Oficjele wygłaszali swe kwestio, odgrywając radzieckich przywódców; »pienili się, jak sobie poradzić z ostatnio zaistniałymi trudnościami. Wilki opowiadały się za eskalacją wojny i zbrojnymi wypadami do Pakistanu w celu zniszczenia obozów szkoleniowych partyzantki afgańskiej. Owce twierdziły, że jeden Afganistan wystarczy i że najwyższy czas wyprowadzić wojsko z tego kraju. Raporty nadsyłane przez doskonale ulokowanego w Moskwie agenta wskazywały na to, że radzieckie koła wojskowe są skrajnie zaniepokojone Gorbaczowem; dzięki tomu pozorowane debaty mogły mieć posmak autentyzmu[142].

Naprawdę jednak nikt w Waszyngtonie nie wiedział, co się dzieje za grubymi, ceglanymi murami Kremla.

KREML
13 listopada 1986

Sekretarz generalny był w bojowym nastroju. W czasie drugiego «potkania Gorbaczowa z Reaganem, w Reykjaviku, obaj politycy byli o włos od całkowitego rozwiązania problemu arsenałów broni jądrowej. Gdyby nie obsesja Reagana na punkcie „gwiezdnych wojen”, która w ostatniej chwili storpedowała porozumienie, wspólnie zmieniliby bieg historii świata. Gorbaczow powrócił do domu sfrustrowany i rozczarowany z powodu impasu, ale pełen gorzkiego szacunku wobec cech „Reagana jako człowieka”. Uważał, że Reaganowi naprawdę zależy na umocnieniu pokoju[143]. Hardziej niż kiedykolwiek zdecydowany był uporać się z licznymi zagadnieniami hamującymi postęp w stosunkach między mocarstwami.

Na pierwszym miejscu listy problemów do rozwiązania był Afganistan.

„Prowadzimy wojnę w Afganistanie już od sześciu lat. Jeśli nic zmienimy swojego nastawienia, pozostaniemy tam jeszcze przez dwadzieścia albo trzydzieści lat” - powiedział Gorbaczow towarzyszom z Politbiura w czasie rutynowego, czwartkowego posiedzenia. - „Musimy z tym skończyć w możliwie najbliższym czasie”[144].

Jak szachista ustawiający figury przed atakiem, Gorbaczow starannie przygotował się na tę chwilę. Kwestię Afganistanu podnosił na posiedzeniach Biura Politycznego w ciągu kilku miesięcy od objęcia stanowiska genseka, sugerując, że najwyższy czas „wyjść” stamtąd[145]. Przychodził na spotkania uzbrojony w listy od zwykłych obywateli radzieckich oraz weteranów wojennych i odczytywał je swoim kolegom. „Nie potrafimy wyjaśnić żołnierzom, co się dzieje” - pisał oficer polityczny. - „Dlaczego mamy zabijać cywilów, niszczyć wsie, palić zabudowania? O co walczymy?”[146]

„Wyedukowawszy” Politbiuro, Gorbaczow musiał popracować nad kierownictwem afgańskim. W maju 1986 roku wezwał Babraka Karmala do Moskwy i powiedział mu wprost, że przyszedł dlań czas na złożenie dymisji[147]. Następnie wysłał do Kabulu emisariuszy, z poleceniem przekonania nowego przywódcy afgańskiego, Mohammada Nadżibullaha, aby przyjął politykę „narodowego porozumienia”. Teraz nie chodziło już o to, czy oddziały radzieckie należy wycofać z Afganistanu, ale jak i kiedy oraz jak ma wyglądać kraj, który opuszczą.

Spośród sześciu ludzi, którzy podjęli decyzję o inwazji na Afganistan, przy ży-

ciu i przy władzy pozostał tylko Andriej Gromyko - obecnie przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Gorbaczow zachwycony był szybkością, z jaką były minister spraw zagranicznych „zrestrukturyzował” się wciągu dwóch pierwszych lat pierestrojki[148]. Być może to tłumaczy jego zaskakującą długowieczność. Jesienią 1986 roku, niegdyś największy orędownik inwazji, był już głównym rzecznikiem wycofania wojska z Afganistanu.

Pomijając kwestię własnej odpowiedzialności, Gromyko zdawał sobie sprawę, że Gra zakończyła się niepowodzeniem. Radzieckie kierownictwo „nie doceniło” trudności, na jakie miało natrafić. Afganistan - zacofane, niemal średniowieczne państwo - nie dojrzał do socjalizmu. Poparcie dla „rewolucji” było znikome. Armię afgańską osłabiła plaga dezercji. Stany Zjednoczone z kolei z całych sił starały się uwięzić ZSRR w pułapce długiej i wyniszczającej wojny.

„Musimy znaleźć rozwiązanie polityczne” - stwierdził Gromyko. - „Społeczeństwo odetchnie, kiedy poczynimy kroki w tym kierunku”.

Gorbaczow wiedział, że może liczyć na inne, ważne postaci wśród obecnych na posiedzeniu. Premier Nikołaj Ryżkow od miesięcy narzekał, że wojna staje się dla finansów państwa ciężarem nie do udźwignięcia. W ciągu minionych dwóch lat koszty wojny się podwoiły. Kreml wydawał na utrzymywanie stacjonujących tymczasowo w Afganistanie stu tysięcy żołnierzy tyle samo, ile na trzysta osiemdziesiąt tysięcy ludzi rozlokowanych w NRD, głównym „froncie” zachodnim. Roczne wydatki na Afganistan były porównywalne z kosztami likwidowania skutków skażeń w Czarnobylu[149].

Afganistan zresztą nie był jedyną studnią bez dna, w którą wpadały kremlowskie ruble. Kiedy w ZSRR rozpoczęła się epoka głasnosti, problem „bratniej pomocy” stawał się zagadnieniem coraz bardziej kontrowersyjnym. Rokrocznie Moskwa wysyłała statki pełne samochodów żiguli do Nikaragui, prefabrykowane baraki na Gwineę-Bissau, nadajniki radiowe do Angoli i całe fabryki - na Kubę. Nawet z natury rzeczy lukratywny handel bronią w wydaniu radzieckim był niedochodowy. Rewolucyjne rządy w Afryce, na Bliskim Wschodzie czy Ameryce Łacińskiej praktycznie nigdy nie płaciły gotówką za stosy broni otrzymywane z Moskwy. Radzieccy przywódcy, przyzwyczajeni do patrzenia na świat przez pryzmat ideologii, machali ręką na straty ze względu na „socjalistyczną solidarność”. Jednak w końcu nawet oni zrozumieli, że są nabijani w butelkę.

„Sporo zapłaciłem za lekcję, na czym polega handel bronią z «przyjaciółmi»” - mówił potem Ryżkow. - „Na wciąż rosnącym zadłużeniu. Na nie kończących się negocjacjach, w których prośby o rozłożenie spłat na raty przeplatane są

groźbami niepłacenia w ogóle. Na ciągłym odwoływaniu się do naszej «przyjaźni»”[150].

Gorbaczow dla wysiłków zmierzających do zakończenia wojny zapewnił sobie też poparcie kół wojskowych. Decydującą postacią był tu marszałek Achromiejew, współautor planu inwazji. Szef Sztabu Generalnego był skomplikowaną osobowością, oddanym patriotą i - niegdyś - zatwardziałym komunistą. Podobnie jak jego patron, Dmitrij Ustinow, marszałek żywił głęboki szacunek dla Stalina za jego przywództwo w czasie wojny. Kilka tygodni po objęciu władzy przez Gorbaczowa Achromiejew proponował przekształcenie Związku Radzieckiego w „obóz zbrojny”, zawsze gotowy do obrony przed imperialistami. W pewnych sprawach jednak był postępowy. Sprzeciwiał się trwonieniu zasobów Związku Radzieckiego na takie kraje Trzeciego Świata, jak na przykład Etiopia[151]. Przyczynił się do postępu w rokowaniach rozbrojeniowych ze Stanami Zjednoczonymi. Wywarł duże wrażenie na amerykańskich negocjatorach, którzy przypisywali mu zasługę dokonania wielu przełomów w rozmowach. Dla nich był „pierwszorzędnym wojskowym”: bezpośrednim, zdecydowanym i lojalnym[152].

Dowódcy liniowi powiedzieli mu, że aby wykonać polecenie Politbiura i uszczelnić granicę z Afganistanem, trzeba by podwoić liczebność 40. Armii. Oznaczałoby to konieczność przerzucenia oddziałów z frontu zachodnioeuropejskiego albo znad bardzo wrażliwej militarnie granicy z Chinami. Ale nawet wówczas nie było gwarancji sukcesu. Związek Radziecki nie mógł utrzymywać jednocześnie trzech frontów[153].

Jako żołnierz intelektualista, Achromiejew rozumiał, że warunki walki w Afganistanie są zgoła inne niż w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Kiedy żołnierz rosyjski walczył w obronie własnej ojczyzny, zdolny był do niewiarygodnych poświęceń. W Afganistanie czuł się jak intruz, któremu każe się prowadzić wojnę z miejscową ludnością w imieniu znienawidzonego rządu. Marszałek uważał, że armia dobrze sobie radzi w Afganistanie, zważywszy na skrajnie nie sprzyjające okoliczności. Mudżahedini nie mieli żadnych szans z oddziałami radzieckimi w regularnej bitwie. Ale zdolność opanowania terenu ma niewielkie znaczenie praktyczne w kraju, gdzie wróg może obwarować się w górach i czekać, aż przeciwnik się wycofa. Armia radziecka otrzymała niewykonalne zadanie.

„Wojsko wykonuje otrzymane rozkazy, ale wyniki są zerowe. Korzyści militarne nie idą w parze z korzyściami politycznymi” - twierdził marszałek, usiłując

przerzucić odpowiedzialność za niepowodzenia na cywilów. - „Panujemy w Kabulu i w ośrodkach regionalnych, ale nie możemy ustanowić władzy politycznej na zdobytych terenach. Przegraliśmy walkę o społeczeństwo afgańskie. Jedynie mniejszość popiera rząd”.

Posiedzenie Biura Politycznego skończyło się ogólną zgodą. Kreml miał przystąpić do budowy porozumienia między komunistycznym rządem w Kabulu i mudżahedinami. Wojska radzieckie będą wycofywane etapami w ciągu najbliższych dwóch lat. Oficjalnie porzucono marzenie zbudowania socjalizmu w zacofanym społeczeństwie feudalnym. Teraz celem było zapewnienie, że za południową granicą ZSRR znajdzie się „państwo neutralne”. Po raz pierwszy od blisko siedemdziesięciu lat Politbiuro przyznało, że możliwe jest opuszczenie bloku radzieckiego. Okazało się, że można odwrócić bieg rewolucji.

Imperium zaczęło pękać.

Zakończenie wojny w Afganistanie znalazło się bardzo wysoko na liście priorytetów, którą Gorbaczow sporządził pierwszego dnia pracy na stanowisku sekretarza generalnego KPZR. Osiągnięcie tego celu nie było jednak proste. Wprawdzie, w przeciwieństwie do wielu sporów o sprawy wewnętrzne, debata poświęcona Afganistanowi nie podzieliła Politbiura na konserwatystów i reformatorów, lecz w umyśle Gorbaczowa toczyła się prawdziwa bitwa.

„Afganistan zupełnie nie pasował do ideologicznych zmagań o pierestrojkę. W tym względzie panowała zgoda. Wszyscy członkowie Politbiura, łącznie z konserwatystą Ligaczowem, opowiadali się za wycofaniem" - powiedział Gorbaczow swemu doradcy do spraw polityki zagranicznej, Anatolijowi Czerniajewowi[154].

Gorbaczow mówił o wojnie jako o „grzechu przeszłości", skarżąc się towarzyszom, że „wkrótce to właśnie nam przyczepią tę etykietkę”[155]. Jednocześnie, jak twierdzi Czerniajew, wciąż patrzył na konflikt przez pryzmat konfrontacji z Zachodem. Podatny był na naciski radykalnych przywódców Trzeciego Świata, jak na przykład Mengistu Haile Maria- ma z Etiopii, który uważał, że Kreml straci wiarygodność, jeśli porzuci jednego ze swych sojuszników.

Poparcie udzielane mudżahedinom przez Amerykę stanowiło dla radzieckich przywódców jeden z argumentów, że toczą wojnę nie do wygrania. „Obecnie sytuacja jest gorsza niż sześć miesięcy temu” - powiedział Gromyko w listopadzie 1986 roku, w dwa miesiące po zestrzeleniu radzieckich helikopterów przez stingery. Achromiejew narzekał, że nawet gdyby obsadzić granicę z Pakistanem pięćdziesięcioma tysiącami żołnierzy, nie uda się zamknąć wszystkich szlaków

przerzutowych używanych przez afgański ruch oporu.

Od czasu podjęcia decyzji o wycofaniu się ZSRR z Afganistanu tajne operacje amerykańskie paradoksalnie przyczyniały się do opóźnienia radzieckiej rejterady. Takie jest, w każdym razie, zdanie byłych doradców Gorbaczowa, twierdzących, że wycofanie się z kraju przekształconego w poligon dwóch potęg militarnych było niezwykle trudne. „Dostawy broni amerykańskiej tylko przeciągały wojnę" - utrzymywał Aleksandr Jakowlew, ideolog pierestrojki. - „Gorbaczow, Szewardnadze i ja sam byliśmy głęboko przekonani, że Afganistan jest nam niepotrzebny i nie mamy powodu, aby przedłużać tam naszą obecność. I tak byśmy przegrali tę wojnę. Powinniśmy byli nauczyć się od Brytyjczyków, że Afganistanu nie można zdobyć. Ale walka pomiędzy dwoma systemami politycznymi czasami skłaniała nas i Amerykanów do niemądrych działań. Wszyscy straciliśmy kontakt z rzeczywistością"[156].

W następnych miesiącach wojna przybrała na sile. Na początku 1987 roku w Afganistanie stacjonowało sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy, podczas gdy na początku wojny było ich tu siedemdziesiąt pięć tysięcy[157]. Wciąż rosła liczba ofiar i koszty prowadzenia wojny. Sowieci potrzebowali jeszcze dwudziestu siedmiu miesięcy, aby wyrwać się z tego afgańskiego trzęsawiska.

Decyzja o wyjściu z Afganistanu przygotowała grunt pod uwolnienie z zesłania Andrieja Sacharowa, obrońcy praw człowieka. Ten ojciec radzieckiej bomby wodorowej od stycznia 1980 roku był uwięziony w granicach miasta Gorki za to, że publicznie odważył się skrytykować inwazję na Afganistan. Stało się teraz jasne, że miał absolutną rację, chociaż przyznanie mu słuszności było już ponad siły Politbiura. Kiedy Gorbaczow zadzwonił do Sacharowa i powiedział, że może bez przeszkód wracać do Moskwy, nie zdecydował się przeprosić fizyka lub choćby cokolwiek wyjaśnić.

„Wracajcie do pracy dla kraju!" - rozkazał gensek[158].

Ośmieleni zwolnieniem Sacharowa i odwrotem z Afganistanu, co bardziej radykalni doradcy Gorbaczowa nalegali, by zwrócił uwagę na reformę wojska. W radzieckiej prasie poczęły się ukazywać artykuły na tematy dotychczas będące tabu, jak na przykład nepotyzm czy korupcja w armii. Sekretarz generalny czekał na szansę przejęcia kontroli nad siłami zbrojnymi Związku Radzieckiego. Kilka miesięcy później trafiła mu się jakby zesłana przez Boga okazja.

MOSKWA
28 maja 1987

Był to Dzień Pogranicznika, jedno z tych typowo radzieckich świąt, kiedy reżym składał gratulacje „obrońcom socjalistycznej ojczyzny" i przypominał ludziom o nieprzemijającym „zagrożeniu imperialistycznym". Jak zwykle, nad przepływającą przez stolicę Moskwą urządzono pokaz ogni sztucznych, a „Prawda" wychwalała czujność nikomu nie znanego funkcjonariusza KGB stacjonującego na odległej placówce na granicy imperium. Nietypowe jak na Moskwę było to, że w parku Gorkiego dochodziło do burd, kiedy grupki podpitych żołnierzy wojsk ochrony pogranicza zaczepiały przechodniów i śpiewały sprośne piosenki. Był to wczesny sygnał załamywania się dyscypliny społecznej w warunkach głasnosti.

Podczas gdy pogranicznicy dokazywali w parku Gorkiego, dowództwo radzieckiej obrony przeciwlotniczej usiłowało poznać przyczynę pojawienia się na ekranach radarów tajemniczej plamki świetlnej. Ukazała się wczesnym popołudniem, gdy obiekt, który przedstawiała, znajdował się w okolicach Leningradu. Nadano mu numer 8255. Wyglądało na to, że przemieszcza się na południe, w stronę Moskwy, na wysokości około pięciuset pięćdziesięciu metrów. W wyniku nieuniknionego opóźnienia biurokratycznego - oficerowie dyżurni obawiali się, że zostaną ukarani za wszczęcie fałszywego alarmu - wysłano myśliwiec przechwytujący MiG-23, aby zbadał sprawę. Pilot zameldował, że widzi „lekki samolot sportowy lecący tuż poniżej chmur".

Wysokie dowództwo było sceptycznie nastawione do tych rewelacji. W Rosji nie ma przecież prywatnych awionetek. Czy po skandalu wokół zestrzelenia koreańskiego samolotu pasażerskiego jakikolwiek pilot przy zdrowych zmysłach ryzykowałby naruszanie radzieckiej przestrzeni powietrznej bez podania planu lotu? W powietrze wysłano więcej migów, ale z uwagi na niski pułap chmur zgubiły „cel". Zakłopotanie dowództwa wzrosło, kiedy inna niezidentyfikowana plamka - front atmosferyczny lub balon wypełniony gorącym powietrzem - połączyła się z obiektem numer 8255, po czym się odeń odłączyła. Radzieccy piloci znów w ciągu dwóch następnych godzin śledzili zjawę. Kiedy zaczęła się zbliżać do Moskwy, generałowie łamali sobie głowy, próbując w czasie telekonferencji dociec, cóż to za tajemniczy obiekt.

„Obawiam się, że to były ptaki, małe ptaki" - powiedział generał major Gwoździenko, jeden z dowódców radzieckiego systemu obrony powietrznej kraju.

„Nie” - sprzeciwił się generał Riożniczenko, odpowiedzialny tego dnia za obronę przeciwlotniczą Moskwy.

„Piloci widzieli”.

„Nic nie widzieli. Piloci zawsze widują jakieś różności”.

„Ale ten pilot jest pewien. Skądś pojawił się samolot”.

Zdenerwowany tym uporem Gwoździenko zmienił postawę. „Czy zdajecie sobie sprawę” - zapytał kolegę - „że jeśli uznamy, że to samolot, szefostwo nas zadręczy? Powiedzą: «Skoro widzieliście samolot, to szukajcie go»”.

Do rozmowy włączył się przełożony Riożniczenki, generał porucznik Briażnikow: „To front atmosferyczny albo ptaki. Najprawdopodobniej”.

„Byłoby dobrze, gdyby to był front atmosferyczny” - powiedział Riożniczenko, oddając się na moment marzeniom. - „Ale co będzie, jeśli się okaże, że to samolot? Spadnie, bo mu zabraknie paliwa. Szefowie zaczną krzyczeć: «Coście zrobili i dlaczego zrobiliście to tak, u nie inaczej?![159]»”

„No to spadnie!” - warknął Gwoździenko, wciąż myśląc o tym, jak ocalić swoją skórę. - „Stale go śledziliśmy. Wysłaliśmy w powietrze myśliwce”.

Jako wyższy rangą, Briażnikow uznał, że czas już podjąć decyzję. „No dobrze, złóżmy raport. Co to ma być: ptaki, front atmosferyczny czy cel?”

Generał odpowiedzialny za system radarowy, Aleksandr Giukow, zastanawiał się. „Nie potrafię tego ocenić” - powiedział w końcu Briażnikowowi. „Wątpię, żeby to było zjawisko meteorologiczne, zbyt szybko się przemieszcza”.

Kilka minut później Giukow przyjął jednak właściwą postawę - ton stary żołnierz wiedział, jak sprawić przyjemność przełożonym. „Doszliśmy do wniosku, że to zjawisko meteorologiczne” zameldował.

„Ależ Aleksandrze Iwanowiczu, sami sobie przeczycie” - odparł zirytowany Briażnikow. - „Przed dwoma minutami mówiliście, że to nie może być zjawisko atmosferyczne”.

„Wy, towarzyszu generale, podjęliście decyzję. Naszym zadaniem jest opracowanie potem tego wszystkiego”.

Briażnikow zdecydował, że bardziej odpowiada mu ptasie wyjaśnienie. „Spróbujcie sobie przypomnieć, jak o tej porze roku wygląda północ i Syberia” - powiedział Giukowowi. - „Czy gęsi latają tak daleko?”

„Tak, latają. Ci z Leningradu zdecydowali, że to ptaki”.

„No widzicie, a wy mówiliście, że front atmosferyczny. Dlaczego zjawiska pogodowe miałyby się odróżniać od tak zachmurzonego nieba? Wydaje mi się to bardzo wątpliwe”.

„Powinniśmy okazać solidarność i poprzeć Leningrad” - powiedział dowódca systemu radarowego przy akompaniamencie rechotu swoich kolegów generałów. - „Jedno mnie tylko zastanawia. Ptaki latają wiosną na północ. A to coś leci z północy”.

„Ja wciąż myślę, i chyba się zgodzicie, że to są gęsi” - rzekł zdecydowanym tonem Briażnikow, zamykając dyskusję. - „Więc, Aleksandrze Iwanowiczu, to będą ptaki”.

„Zrozumiałem, niech to będą ptaki”.

Siedemdziesiąt minut później nisko nad Kremlem przeleciała jednosilnikowa sportowa Cessna 172, niemal zahaczając o Mauzoleum Lenina. Po kilku okrążeniach nad placem Czerwonym pilot posadził samolot na bruku pomiędzy soborem Wasyla Błogosławionego a Bramą Spasską. Z kabiny wyszedł młody pilot w okularach, ubrany w czerwony skafander lotniczy. Mathias Kust, dziewiętnastoletni stażysta bankowy z Hamburga, powiedział tłumowi gapiów, że chciał porozmawiać z Gorbaczowem o „pokoju na świecie”.

Wiadomość o tym, że zachodnioniemiecki nastolatek zdołał się przedrzeć przez radziecki system obrony powietrznej i przelecieć bezkarnie dziewięćset kilometrów w głąb terytorium radzieckiego aż do najświętszego przybytku radzieckiej władzy, wywołała jeden z najbardziej teatralnych ataków gniewu Gorbaczowa. Nie było go wówczas w kraju - uczestniczył w obradach Układu Warszawskiego w Berlinie. „To wstyd dla kraju! Równie wielki jak Czarnobyl!"- wybuchł, kiedy marszałek Achromiejew, późno w nocy, zdołał połączyć się z nim telefonicznie'“[160].

W zgodzie z tradycją, całe Biuro Polityczne przybyło na lotnisko, by powitać powracającego do kraju sekretarza generalnego. Politycy jak zwykle się uśmiechali i obejmowali, ale oczy Gorbaczowa błyszczały gniewnie, kiedy witał się z towarzyszami. Zdaniem jego szefa doradców, podejrzewał, że generałowie z premedytacją pozwolili Rustowi przelecieć kawał drogi i wylądować na placu Czerwonym, aby sekretarz generalny znalazł się w kłopotliwej sytuacji politycznej. Od tej chwili wojsko już nigdy nie odzyskało jego zaufania[161].

„Poniżyli nasz kraj, upokorzyli społeczeństwo” - powiedział o dowództwie armii jednemu ze swych doradców. - „Skoro tak, wszyscy zobaczą, kto rządzi w tym kraju: kierownictwo polityczne, Politbiuro. Skończymy z tym histerycznym gadaniem o opozycji wojska wobec Gorbaczowa i chęci zastąpienia go innym przywódcą”[162].

Na nadzwyczajnym posiedzeniu Biura Politycznego, zwołanym następnego dnia, Gorbaczow zrugał za „całkowitą bezradność" Ministerstwo Obrony i oskarżył wyższych dowódców, że „boją się" pierestrojki. Zwracając się do ministra obrony, marszałka Siergieja Sokołowa, powiedział: „W obecnych okolicznościach, gdybym był na waszym miejscu, natychmiast bym złożył dymisję"[163]. Sokołow stanął na baczność i zrobił, co mu zasugerował gensek. Następnie zwolniono lub ukarano dyscyplinarnie stu pięćdziesięciu niższych rangą oficerów za „zaniedbanie obowiązków służbowych".

Oprócz pozbawienia armii dowódcy, Gorbaczow postanowił ją jeszcze upokorzyć, wyznaczając na nowego ministra obrony mało znanego Dmitrija Jazowa. Pominął przy tym kilkunastu innych, wyższych rangą generałów. Korpus oficerski poczuł się głęboko urażony tym poniżającym traktowaniem i towarzyszącą mu kanonadą krytycyzmu w radzieckich mediach, ale nic nie można było zrobić. Jak w swoich pamiętnikach przyznał Achromiejew, wina była „niezaprzeczalna".

Często interpretowano incydent wywołany przez Mathiasa Rusta jako symbol politycznej wszechwładzy Gorbaczowa. A jednak była to jedna z ostatnich okazji, kiedy sekretarz generalny mógł narzucić swą wolę zjednoczonemu Politbiuru. W łonie kierownictwa rosła opozycja wobec jego polityki - zarówno z lewa, jak i z prawa. Bitwa o pierestrojkę dopiero się zaczęła.

MOSKWA
21 października 1987

Jako rewolucyjna elita, siła budująca utopijne społeczeństwo, komuniści rozumieli, że zawsze będą stanowili mniejszość. Aby narzucić swe poglądy większości i utrzymać władzę, musieli się trzymać razem. Jeśli na komunistycznym monolicie powstałyby rysy, partia utraciłaby aurę historycznej nieomylności. Wnet rozpadłby się cały system. Dlatego w bolszewickim słowniku nie było gorszej zbrodni od „frakcyjności". Zdrajca był groźniejszy od wroga zewnętrznego.

„Niewzruszona jedność" ruchu komunistycznego była, rzecz jasna, mitem. Wschodnioeuropejskie partie komunistyczne, szczególnie polską, rozdzierały walki wewnętrzne. W radzieckiej partii byli twardogłowi staliniści, socjaldemokraci i karierowicze bez jakiejkolwiek ideologii. Doktryna centralizmu demokratycznego - przynajmniej w teorii - dopuszczała różnice opinii, nie można jednak było kwestionować decyzji „najwyższych władz". Zakazana była zorganizowana opozycja wobec ustalanej przez kierownictwo „linii partii". Zakaz obejmował tworzenie odłamów wewnątrz partii i - co stanowiło jeszcze większą herezję - próby wpływania na wewnętrzne debaty za pośrednictwem opinii publicznej. Ludzie, którzy machali do tłumów z Mauzoleum Lenina, mieli przemawiać jednym głosem i przestrzegać jednego kodeksu postępowania.

Żelazne zasady polityki partii komunistycznej legły w gruzach za sprawą Sybiraka nazwiskiem Borys Jelcyn. Zbudowany jak czołg, wyposażony przy tym w bardzo słabe hamulce, zwykł był usuwać wszelkie przeszkody, które stawały mu na drodze. Ten postawny, mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt mężczyzna o bojowym wyrazie twarzy i z *grzywką* siwych włosów miał niemal zwierzęcy instynkt władzy i obrony swego terytorium. Zapracowany, uparty, niezależny, pewny siebie, był - w rozumieniu Rosjan - *nastojaszczim naczolnikom* (prawdziwym szefem). Jego zdolności przywódcze wyniosły go ze stanowiska kierownika budowy na Uralu, poprzez regionalnego sekretarza partii, do Polit- biura w Moskwie.

„Od ponad trzydziestu lat jestem szefem" - pisze w swoich pamiętnikach. - „Tak właśnie nazywa się ludzi mojej klasy społecznej w Rosji. Nie biurokrata, nie urzędnik, nie dyrektor, ale szef. Nie cierpię tego słowa - jest w nim coś, co pachnie mafią. Ale czy można temu zaradzić? Może zajmowanie pierwszego miejsca leży w mojej naturze, choć kiedyś nie zdawałem sobie z tego sprawy" [164].

Jelcyn jest nie tylko naturalnym przywódcą, ale i urodzonym buntownikiem.

W dzieciństwie zawsze był posiniaczony. Nos boksera, złamany pośrodku, jest wynikiem bójki stoczonej ze starszymi chłopcami. Grzmotnęli go w twarz dyszlem. Kilka lat później, w czasie wojny, ukradł granat ręczny ze składu amunicji. Granat eksplodował, kiedy usiłował go rozbroić. Wybuch pozbawił go dwóch palców lewej dłoni.

Młodemu Borysowi zaszczepiono pogardę dla przedstawicieli władzy. W wieku dwunastu lat został wyrzucony ze szkoły za publiczne oskarżanie nauczycielki o dręczenie dzieci „umysłowo i psychicznie”[165]. Dramat ten powtarzał się jeszcze potem wielokrotnie na drodze Jelcyna z odległej syberyjskiej wsi do korytarzy władzy na Kremlu. Wdawał się w kłótnie z wykładowcami na uniwersytecie, brygadzistami na budowie, dyrektorami fabryk, sekretarzami partii. Zmieniała się fabuła i postaci drugoplanowe, ale kulminacyjna scena zawsze była taka sama: gwałtowna krytyka potężnego - i, w oczach Jelcyna, nic niewartego - przełożonego.

To właśnie ta kombinacja przywódcy i buntownika sprawiła, że Jelcyn jest tak trudnym przeciwnikiem. Gdyby nie pozwolono mu wspiąć się na wierzchołek komunistycznego Olimpu - zburzyłby partię od środka. Ze swą gruntowną znajomością polityki nomenklaturowej i zdolnością do ujawniania wewnętrznych podziałów w partii był bardziej niebezpieczny niż jakikolwiek dysydent.

Lew Suchanów, lojalny współpracownik Jelcyna, wspomina, iż „wydawało się, że w Jelcynie jest dwóch ludzi. Pierwszy Jelcyn był przywódcą partyjnym, przyzwyczajonym do władzy i przywilejów, zdruzgotanym, gdy mu je odbierano. Drugi Jelcyn był buntownikiem, który łamał zasady gry ustanowione przez system. Tych dwóch Jelcynów wciąż walczyło ze sobą”[166].

Człowiek, który miał się zostać pierwszym wybranym w wolnych wyborach przywódcą w tysiącletniej historii Rosji, urodził się 1 lutego 1931 roku w zapadłej wsi Butko, leżącej po wschodniej stronie Uralu, oddzielającego Europę od Azji. Rodzina Jelcyna miała wiatrak, młockarnię, pięć koni i cztery krowy. To wystarczyło, by uznać ich za kułaków, czyli bogatych - wedle standardów kampanii kolektywizacyjnej Stalina - chłopów. Matka Borysa, gorliwa chrześcijanka, jak większość rosyjskich chłopów, zadbała, by go ochrzczono tuż po przyjściu na świat. Pod tym i wieloma innymi względami dzieciństwo Jelcyna przypomina wczesny okres życia Michaiła Gorbaczowa. Tę plamę na honorze rodziny Jelcynowie, tak jak Gorbaczowowie, wymazali ze swych życiorysów. Chociaż Jelcyn doskonale pamiętał, jak jego ojca aresztowano w środku nocy, pierwszy raz wspomniał o tym publicznie dopiero wtedy, kiedy komunizm już dawno

upadł[167].

W 1955 roku, kiedy Gorbaczow skończył prawo na Uniwersytecie Moskiewskim, Jelcyn ukończył studia na wydziale budownictwa Politechniki Uralskiej w Swierdłowsku, dawniej Jekaterynburgu. Swierdłowsk, bastion kompleksu przemysłowo-wojskowego, był jeszcze bardziej odcięty od świata niż inne miasta w ZSRR. Aż do 1991 roku nie mieli tam wstępu obcokrajowcy. Dla takiego ambitnego młodego człowieka jak Jelcyn, nie było innej drogi niż „radziecka rzeczywistość". Całą swoją energię poświęcił ulepszaniu systemu.

Byli współpracownicy Jelcyna ze Swierdłowska opisują go jako twardego i nie pobłażającego nikomu nadzorcę. Powołany na miejscowego sekretarza partii w 1976 roku, były budowlaniec zarządzał miastem jak wielką budową, ustalając nieprzekraczalne terminy i osobiście kontrolując pracę swoich podwładnych. Jeśli zadanie nie było wykonane w terminie, Jelcyn dbał o to, by osoba odpowiedzialna za opóźnienie poniosła karę. Przy jednej z uroczystych okazji zapowiedział, że dokładnie za rok przejedzie projektowaną drogą długości około czterystu kilometrów ze Swierdłowska do Sierowa, miasta na północy regionu. Towarzyszyć mu mieli oficjele z każdej miejscowości po drodze. Tym» którzy by nie zdążyli z wyznaczonym odcinkiem na czas, zapowiedziano, że zostaną wyrzuceni z autobusu i resztę drogi odbędą pieszo.

W autobiografii *Wyznania* wspomina „odurzonych władzą" lokalnych szefów partii, zarządzających swymi domenami jak mali carowie. „Czy to prowadziłem jakieś narady, czy egzekutywę, czy wygłaszałem referaty na Plenum - wszystko przybierało formę twardego nacisku, naporu, presji. Tamtymi czasy metody te dawały rezultat, tym bardziej jeśli działacz miał określone cechy energicznego człowieka"[168].

Dzięki swej umiejętności osiągania celów Jelcyn zdobył w Swierdłowsku znaczną popularność. Sprawiała ona także korzystne wrażenie na przełożonych w Moskwie, szczególnie na sekretarzu KC partii odpowiedzialnym za sprawy kadrowe, Jegorze Ligaczowie. Z rekomendacji Ligaczowa Jelcyna przeniesiono do stolicy ZSRR w kwietniu 1985 roku, półtora miesiąca po wybraniu Gorbaczowa na sekretarza generalnego. Do końca roku Jelcyn awansował na stanowisko sekretarza moskiewskiego komitetu KPZR.

Jako szef partii w Moskwie, Jelcyn szybko wykazał talent do posunięć zjednujących mu sympatię mieszkańców. Zwolnił dziesiątki biurokratów, zachęcał ludzi, by mówili, co im leży na sercu. Zabrał się do reorganizacji skorumpowanego

handlu detalicznego. By zademonstrować zainteresowanie sprawami zwykłych moskwian, jeździł zatłoczonymi, rozklekotanymi autobusami, które z ponurych przedmieść dowoziły robotników do centrum. Często odwiedzał też ogołocone z towarów sklepy spożywcze, gdzie Rosjanki poszukiwały czegoś do zjedzenia. Nierzadko w tych wypadach towarzyszyła mu ekipa telewizyjna, czym ściągał na siebie zarzuty, że szuka „taniej popularności". Prawdziwą zbrodnią Jelcyna było jednak to, że łamał niepisany kodeks postępowania radzieckich przywódców. Ostentacyjne porzucając swą limuzynę marki Ził, nawet na parę godzin, podważał system przywilejów nomenklatury. Władza radzieckiego kierownictwa wspierała się na biurokracji, a nie na zwyczajnych ludziach. Jelcyn ośmielił się wyróżnić spośród innych aparatczyków, a zatem burzył monolit partyjnej fasady.

W poszukiwaniu własnych, bezpośrednich związków z „ludem", Jelcyn kierował się światłem zapalonym przez Gorbaczowa. Nie potrafił, albo nie chciał, zrozumieć, że odgrywają inne role. Jako najwyższy przywódca państwa, sekretarz generalny miał prawo do własnej, niepowtarzalnej osobowości. Od jego podwładnych oczekiwano jednak, by pozostali bezimiennymi członkami kolektywu. Poza tym wzajemny stosunek Gorbaczowa i mas napiętnowany był wahaniem i warunkowością. Dla Gorbaczowa głasnost' była tylko środkiem do celu, pozwalającym wywierać zewnętrzny nacisk na partię. Partia wciąż była podstawowym źródłem jego władzy. W przeciwieństwie do niego, Jelcyn zanadto zbliżał się do całkowitego odrzucenia dyscypliny partyjnej.

Na wczesnym etapie pierestrojki Jelcyn i Gorbaczow byli naturalnymi sojusznikami. Kiedy plany jego reform natrafiały na mur złej woli, Gorbaczow posługiwał się syberyjskim taranem, który usuwał wszelkie przeszkody z drogi. To, że w Politbiurze istnieje radykalne skrzydło, bardzo się liczyło, ponieważ umożliwiało zneutralizowanie konserwatywnej większości. Dzięki temu sekretarz generalny mógł uchodzić za człowieka kompromisu. Jak zauważył w swoich wspomnieniach Jelcyn: „Wydaje mi się, że jeśliby Gorbaczow nie miał Jelcyna, to musiałby go wymyślić. (...) W tym żywym spektaklu wszystkie role są rozdzielone, jak w dobrej sztuce. Ligaczow - konserwatysta, Jelcyn - awanturnik z lewicowymi wybrykami i mądry, rozumiejący wszystko, główny bohater, sam Gorbaczow. Widocznie tak on sobie to wszystko wyobrażał"[169].

Moskiewskie doświadczenia zradykalizowały postawę Jelcyna. Zrozumiał, że stare metody nakazowo-rozdzielcze dłużej nie będą zdawały egzaminu. Był też sfrustrowany, że nie jest już sam sobie panem, jak w Swierdłowsku. Zamiast mu

pomagać, koledzy z Politbiura zdawali się celowo podkopywać jego autorytet. Szczególny zawód sprawił mu jego dawny patron, Ligaczow, uosabiający teraz partyjną machinę. Jako drugi po Bogu w kierownictwie, Ligaczow przewodniczył obradom wszechwładnego Sekretariatu, nadzorującego pracę wszystkich agend partii. Jelcyn narzekał, że Sekretariat wciąż ingeruje w sprawy Moskwy. Z drugiej strony Ligaczow doszedł do wniosku, że Jelcyn jest demagogiem, który wiele mówi, a mało robi.

Scena była przygotowana do jednej z najdramatyczniejszych odsłon epoki Gorbaczowa.

Kiedy Gorbaczow wszedł na podium, wykładaną drewnem salę konferencyjną zalała fala podniecenia. Był 7 listopada, godzina dziesiąta. Program obrad Komitetu Centralnego przewidywał tylko jeden punkt: przemówienie sekretarza generalnego na temat radzieckiej historii, którym Gorbaczow chciał uczcić siedemdziesiątą rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. W państwie demokratycznym temat ten brzmiałby cokolwiek zagadkowo. W warunkach upadającej dyktatury przedmiot obrad elektryzował słuchaczy, ponieważ odnosił się do tego, co stanowiło istotę sprawowania władzy w kraju i istotę życia społecznego. W *Roku 1984* George Orwell napisał, że w państwie totalitarnym „ten, kto kontroluje teraźniejszość - kontroluje przeszłość. Kto kontroluje przeszłość - kontroluje przyszłość".

Sala konferencyjna - ta sama, w której dwa i pół roku temu wybrano Gorbaczowa na sekretarza generalnego - była wypełniona po brzegi. Naprzeciw genseka zasiadła śmietanka radzieckiej nomenklatury: sekretarze partyjni, generalicja, ministrowie, główne postacie świata kultury i przemysłu. Ponieważ lotnisko w Moskwie spowijała gęsta, jesienna mgła, dziesiątki członków Komitetu Centralnego z odległych części kraju nie mogły dotrzeć do Moskwy na czas. Ich miejsca zajęli dowódcy okręgów wojskowych i regionalni szefowie partii. Sekretarz generalny, niczym papież ogłaszający encyklikę, wytyczał nową linię partii. Kiedy skończy, kardynałowie komunistycznego kościoła zaniosą Słowo między wiernych.

Gorbaczow chciał ogłosić, że partia popełniła błędy i odstąpiła od jedynej prawdziwej wiary. Stalin był zły, ale Lenin był dobry. Zbawienie jest osiągalne, jeśli partia zdoła się oczyścić ze stalinowskich „brudów" i powróci do swych leninowskich korzeni. Komunizm nie tylko można, ale wręcz trzeba zreformować.

Po obowiązkowej przedmowie wychwalającej „kolosalne, wspaniałe zdobycze” rewolucji Gorbaczow wygłosił druzgocącą krytykę człowieka, który stał na czele radzieckiego państwa przez dwadzieścia siedem z siedemdziesięciu lat jego historii. Z pogardą odniósł się do twierdzeń, jakoby Stalin nic nie wiedział o masowych represjach, dokonywanych przez jego podwładnych. Osobista rola Stalina jest w pełni udokumentowana i „niewybaczalna”, stwierdził. Dla zilustrowania tej tezy Gorbaczow przytoczył kilka cyfr. Tylko jeden członek składu Politbiura z 1924 roku - sam Stalin - przeżył wielkie czystki. Ich ofiarami padło sześćdziesiąt procent delegatów na zjazd partii w 1934 roku, siedemdziesiąt procent członków Komitetu Centralnego, który został wówczas wybrany, i „w przededniu agresji Hitlera tysiące dowódców stanowiących kwiat armii radzieckiej”, a także „wiele tysięcy uczciwych członków partii i bezpartyjnych”[170]. (Szacunki te były groteskowo zaniżone. Liczba ofiar Stalina, łącznie z tymi, którzy zmarli w wyniku sztucznie wywołanego głodu i przymusowych przesiedleń całych narodów, o czym Gorbaczow nie wspomniał, powszechnie oceniana jest na trzydzieści do czterdziestu milionów.)

Wówczas jednak przemówienie uznano za bardzo ostre. Uzyskanie zgody Politbiura - po wielotygodniowych dyskusjach - na poruszenie tematu zbrodni Stalina było dużym przełomem. Jak zwykle jednak sekretarz generalny mówił zbyt długo - przez godzinę, dwie, w końcu cztery - i atak na wrogów pierestrojki zagubił się w ogólnej ideologicznej mgle. Być może taki był zamiar Gorbaczowa. Aby pokonać totalitarnego potwora, musiał go podchodzić ukradkiem. Gdyby jego wyznawcy w partii komunistycznej zrozumieli, dokąd ich prowadzi, na pewno zbuntowaliby się o wiele wcześniej, niż to w końcu nastąpiło. Gorbaczow, mistrz kremlowskich intryg, perfekcyjnie opanował sztukę skrywania zasadniczych zmian politycznych za retoryczną zasłoną dymną. Od niechcenia rzucał ziarno nowych idei, po czym siadał i patrzył, jak kiełkuje, cały czas dostosowując swój osąd moralny do politycznej potrzeby chwili.

W oczach Jelcyna skłonność Gorbaczowa do chwiejności i kompromisu była też jego największą wadą. Jelcyn miał dość bizantyjskich układów, nie kończących się dysput ideologicznych, ciągłego sabotażu aparatczyków. Jeszcze innym powodem do zdenerwowania była atmosfera lizusostwa wokół sekretarza generalnego. Jelcyn nie mógł zapomnieć, że Gorbaczow jeszcze przed kilku laty kierował stosunkowo mało ważnym regionem rolniczym, podczas gdy on był odpowiedzialny za jeden z najważniejszych ośrodków przemysłowych kraju[171]. Podziwiał Gorbaczowa za to, że odważył się narzucić ZSRR pierestrojkę, choć mógłby

siedzieć cicho i cieszyć się przywilejami władzy. Mimo to rozczarowany był brakiem namacalnych rezultatów jego działań.

Jelcyn przybył na plenum Komitetu Centralnego wyposażony w kartkę z listą swoich żalów. Zdawał sobie sprawę, że to, co chce zrobić, jest politycznym samobójstwem, przynajmniej w świetle tradycji partii komunistycznej. Częściowo uświadamiał sobie, że zmieniają się podstawowe reguły rządzące radziecką polityką. Być może byłby w stanie wykroić dla siebie nową rolę. Powszechne niezadowolenie z rosnących problemów gospodarczych - trudności te wielu ludzi przypisywało pierestrojce - stawało się czynnikiem, którego kierownictwo nie mogło dłużej lekceważyć. Ale główna jego motywacja miała na pewno charakter psychologiczny. Był to ten sam wewnętrzny głos, który nakazał mu powstać w czasie rozdania świadectw, kiedy miał jedenaście lat, i stwierdzić, że nauczycielka jest sadystą. Ten głos mówił mu, żeby zebrał się na odwagę i powiedział, co myśli. Pal licho konsekwencje![172] Kiedy Gorbaczow skończył, Jelcyn podniósł rękę.

Ligaczow, który przewodniczył obradom, zrazu nie dostrzegł gestu swego politycznego wroga, mimo że Jelcyn siedział w pierwszym rzędzie wraz z innymi kandydatami na członków Biura Politycznego. Drugi sekretarz już miał zarządzić głosowanie, w którym tradycyjnie jednogłośnie przyjęto by wszystko, co powiedział sekretarz generalny, kiedy Gorbaczow mu przerwał:

„Towarzysz Jelcyn chce złożyć jakieś oświadczenie".

Przemówienie Jelcyna było chaotyczne. Mniej impulsywny polityk skoncentrowałby się na jednym czy dwu łatwych celach. Ale Jelcyn rozproszył swe siły, atakując we wszystkich kierunkach, cały establishment polityczny. Zaczął od krytyki Ligaczowa i potężnego Sekretariatu Komitetu Centralnego za „styl pracy, którego nie można tolerować", opierający się na „brutalnym strofowaniu" i ciągłych „besztaniach". Następnie przeszedł do omawiania niepowodzeń pierestrojki. Ludzie są rozczarowani dwoma czy trzema latami czczych obietnic i ich wiara „zaczęła słabnąć". Podupada autorytet partii. Jelcyn stwierdził, że wykrył początki nowego „kultu jednostki" w przesadnych pochlebstwach niektórych członków Politbiura kierowanych do sekretarza generalnego i że jeśli ta tendencja nie zostanie powstrzymana, może przybrać bardzo niebezpieczne rozmiary. Jelcyn sugerował więc, że ojciec pierestrojki może się stać kolejnym Stalinem. Gorbaczow spąsowiał ze złości[173].

Nastąpiła długa pauza, zanim krzepki Sybirak zebrał myśli i odwagę, by na

koniec powiedzieć jeszcze jedno: „Nie wątpię, że nie ma dla mnie miejsca w Politbiurze. Z różnych powodów. W grę wchodzi kwestia mojego doświadczenia, ale i inne, włącznie z brakiem poparcia niektórych czynników, a w szczególności towarzysza Ligaczowa. To wszystko sprawia, że jestem zmuszony prosić was o zwolnienie mnie z obowiązków kandydata na członka Politbiura”[174].

„Powiedziawszy to wszystko, usiadłem” - wspominał później Jelcyn. - „Moje serce waliło, gotowe wyrwać się z piersi. Wiedziałem, co będzie dalej. Będzie bicie, metodyczne, planowe, z zadowoleniem i rozkoszą”[175].

Wypadki potoczyły się dokładnie tak, jak przewidywał. Gorbaczow był rozwścieczony, że rytualny pokaz jedności w tak uroczystym dniu został zrujnowany. W czasie wakacji otrzymał od Jelcyna list, w którym ten wymieniał wszystkie swoje pretensje i groził złożeniem rezygnacji. Ale sekretarz generalny uważał, że przekonał swego protegowanego, by odłożył tę demonstrację na później, po jubileuszowych uroczystościach[176]. Teraz drastycznie zmalały jego możliwości manewru. Mógł tylko siedzieć i patrzeć, jak najbardziej konserwatywni członkowie Politbiura rozszarpują Jelcyna na strzępy.

Najpierw głos zabrał Ligaczow, bóstwo aparatczyków. Oskarżył Jelcyna, że wygłosił „oszczerstwa w najczystszej postaci”. Ośmielając się twierdzić, że społeczeństwo traci zaufanie do pierestrojki, Jelcyn „zakwestionował całą politykę”. Inni mówcy oskarżali szefa moskiewskiego komitetu partii o „zaniechanie”, „niszczenie jedności partii”, „demagogię” i „tchórzostwo”. W dyskusji wzięło udział łącznie dwudziestu pięciu członków Politbiura. Tylko jeden potrafił się zdobyć na ciepłe słowo. Był to Gieorgij Arbatow, stały kremlowski amerykanolog, który chwalił Jelcyna za „odwagę”, ale i on przyłączył się do pozostałych, ubolewając nad rozbijaniem jedności partii.

Na uroczystości siedemdziesiątej rocznicy rewolucji zaproszono wielu zagranicznych dygnitarzy, więc przedstawienie musiało się toczyć dalej. Jelcyn pojawił się zatem 7 listopada na trybunie Mauzoleum Lenina wraz z innymi członkami kierownictwa w czasie wielkiej parady wojskowej. Ale czuł już wtedy brzemię ostracyzmu. Kiedy tylko zakończyły się uroczystości - został rzucony na pożarcie wilkom.

9 listopada Jelcyna odwieziono do szpitala. Jak sam twierdzi, cierpiał na rozstrój nerwowy, poważne bóle w klatce piersiowej i potworne bóle głowy. Gorbaczow oskarżał go potem o symulowanie samobójstwa. Twierdził, że Jelcyn pokaleczył sobie klatkę piersiową biurowymi nożyczkami. „Znałem już wówczas

skłonności Jelcyna do pomysłów tego rodzaju" - pisał radziecki przywódca[177].

Trzy dni później Gorbaczow wezwał Jelcyna na plenarne posiedzenie moskiewskiego komitetu partii. W swych pamiętnikach Jelcyn opisuje, jak naszpikowano go lekami i zaciągnięto przed oskarżycieli. „Taką bezwzględność trudno zrozumieć" - pisał. - „W głowie się kręciło, nogi się uginały, prawie że nie mogłem mówić, język nie chciał się podporządkować (...). Prawie jak robot, ledwie przebierając nogami, nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje dookoła, wsiadłem do samochodu"[178].

Moskiewskie plenum przypominało proces pokazowy z czasów Stalina. Triumfalnie uśmiechający się Ligaczow zasiadł na podium obok Gorbaczowa. Nie starano się zapewnić Jelcynowi prawa do godziwego przesłuchania. Zamiast tego byli koledzy i podwładni, jeden po drugim, gnębili go tak opryskliwie, jak tylko było można. Tylko nieliczni wiedzieli, co naprawdę powiedział Jelcyn na posiedzeniu Komitetu Centralnego - protokół opublikowano dopiero po dwóch latach - tak czy owak atakowali. Jeden z sekretarzy dzielnicowych stwierdził, że praca dla Borysa Nikołajewicza była „torturą". Inny oskarżał go, że jako jedyny człowiek w Rosji nie „kocha Moskwy i moskwian". Trzeci funkcjonariusz krytykował jego „okrucieństwo". Czwarty narzekał, że regularne zmiany kadrowe stały się już „dowcipem w złym guście". Kiedy dręczyciele wygłosili już swoje kwestie, Jelcyn zrobił to, co oskarżani niemal zawsze robili w takiej sytuacji. Potulnie wyznał swoją „winę" wobec partii i „Michaiła Siergiejewicza Gorbaczowa, którego prestiż w naszej organizacji, w naszym kraju i na całym świecie jest tak wysoki"[179].

Kiedy już było po wszystkim, zwalił się na stół. Wychodząc z sali, Gorbaczow spostrzegł to kątem oka i zawrócił.

Chwycił Jelcyna za ramię i poprowadził go do jego dawnego biura. Usiedli tam, porozmawiali przez chwilę, dopóki nie przyjechała karetka pogotowia i nie zabrała go z powrotem do szpitala. Po kilku dniach Gorbaczow zadzwonił do Jelcyna i zaproponował mu stanowisko zastępcy szefa państwowego konglomeratu budowlanego, Gosstroju. Była to posada rangi ministerialnej, ale poza zaczarowanym kręgiem członków Politbiura i sekretarzy partii. Jelcyn natychmiast przyjął ofertę.

„Ja już nigdy nie wpuszczę cię z powrotem do świata wielkiej polityki" - dodał sekretarz generalny[180].

Niezmiernie rzadko rosyjscy przywódcy wypowiadali równie prorocze słowa.

MOSKWA
14 marca 1988

Czarne rządowe limuzyny dostarczyły ludzi odpowiedzialnych za urabianie radzieckiej opinii publicznej pod imponujący portyk przy Starej Płoszczadi ozdobiony słowami „Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego". Umundurowani wartownicy z KGB stanęli na baczność, kiedy redaktorzy naczelni wchodzili do gmachu, machając czerwonymi książeczkami, świadczącymi, że należą do nomenklatury. Goście zostawili okrycia w szatni na parterze i udali się windą na czwarte piętro, gdzie mieścił się gabinet sekretarza ideologicznego partii.

Jeśli Kreml był sercem Związku Radzieckiego, to Staraja Płoszczad', przy której regularnie co czwartek odbywały się posiedzenia Politbiura i gdzie przyjmowano przywódców obcych państw, była politycznym centrum układu nerwowego kraju. Od dziesięcioleci zupełnie nie kontrolowana władza totalitarnego państwa koncentrowała się w labiryncie gmachów między więzieniem na Łubiance i Kremlem. Wszystko, co ważne w Związku Radzieckim - od przyjęcia pięcioletnich planów po mianowanie dyrektora fabryki na odległej Syberii - należało do kompetencji tej machiny biurokratycznej. Wydziały Komitetu Centralnego wydawały wiążące instrukcje ministrom i redaktorom gazet, oficerom i biskupom, dyrektorom fabryk i ambasadorom. Komitet Centralny mógł się skontaktować z każdym, kto podejmował ważne decyzje w kraju, za pomocą specjalnego systemu łączności zwanego wiertuszką.

Zajmujący cały kwartał miasta Komitet Centralny był luksusowo wyekwipowaną machiną biurokratyczną. Nie szczędzono wydatków, aby tylko mieć pewność, że wszystko działa perfekcyjnie - w przeciwieństwie reszty Moskwy, o sypiących się fasadach i ulicach pełnych dziur. W budynkach należących do KC każdy gabinet raz do roku był odmalowywany. Specjalne zakłady meblowe produkowały biurka, szafy, mównice, długie stoły konferencyjne zdobiące pokoje aparatczyków. Sfery fizycznej radzieckich przywódców doglądał specjalny wydział Ministerstwa Zdrowia. Własne gospodarstwo rolne Komitetu Centralnego dostarczało nie skażoną żywność do restauracji dla jego pracowników. Dzięki temu partia miała pewność, że urzędnicy „służący ludowi" nie będą jedli tej samej, skażonej żywności, co ludzie, którym służyli. Kiedy wyższej rangi aparatczyk potrzebował nowego garnituru czy pary butów, zaopatrywał go w nie ko-

mitetowy krawiec czy szewc. Pracownicy niższego szczebla mieli dostęp do wydzielonych sekcji domu towarowego GUM przy placu Czerwonym.

W komunistycznej utopii stworzonej przez nomenklaturę w imię osiągania osobistych korzyści każdy szczebel biurokratycznej drabiny miał własne przywileje i nagrody. Dacze, medale, przydziały odzieży, a nawet miejsca na cmentarzu - rozdawane były zgodnie z bizantyjską hierarchią. Instruktorzy mieli prawo do nowej czapki futrzanej raz na dwa lata, podczas gdy sekretarki i szoferzy - raz na trzy lata. Bez trudu można było odgadnąć, gdzie w dowolnym gmachu znajduje się ośrodek władzy: wystarczyło śledzić bieg dywanu na korytarzu. Mijał pokoje szarych urzędników, przed gabinetami decydentów zaś skręcał pod kątem prostym. Innym znakiem rozpoznawczym były portrety komunistycznych bożków. Kiedy biurokrata wspiął się na szczebel zastępcy kierownika wydziału, zamiast portretu Lenina przysługiwał mu portret Marksa. Z kolei szefowie wydziałów mieli w swoich gabinetach zarówno portret Lenina, jak i Marksa. Była też sprawa podawania herbaty. Urzędnik niższego szczebla otrzymywał herbatę na zwyczajnej tacy. Skoro tylko objął stanowisko szefa komórki, na tacy nagle pojawiała się serwetka. W urzędniczym żargonie KC mówiono zatem o kimś, kogo awansowano, że „dostał serwetkę”.

Czwarte piętro starego budynku Komitetu Centralnego, gdzie udali się redaktorzy naczelni, było wewnętrznym sanktuarium tej katedry komunizmu. Chodniki były tu grubsze niż na innych piętrach, metalowe lampy na korytarzach błyszczały od codziennego pucowania, a gabinety o ścianach wykładanych orzechowym drewnem były wystarczająco duże, by pomieścić całe komitety. Rozlegały się stłumione, pełne szacunku szepty. Było to jedyne miejsce w całym gmachu, udzie urzędnik mógł siedzieć wprost pod portretem Lenina. (W innych miejscach portrety umieszczane były lekko z boku.) Tak jakby twórca radzieckiego państwa przemawiał do przyszłych pokoleń za pośrednictwem gospodarzy tych gabinetów. Wszystko to miało wzmocnić wrażenie, że ma się do czynienia z jego duchowymi dziedzicami.

Oprócz głównego ideologa na czwartym piętrze gabinety miały tylko dwie osoby: sekretarz odpowiedzialny za gospodarkę radziecką oraz sam gensek. Sekretarz ideologiczny urzędował od frontu, w narożniku gmachu, w gabinecie z doskonałym widokiem na siedzibę RGB i pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela tajnej policji radzieckiej Przez ponad ćwierć wieku sądy w tym gabinecie sprawował obrońca dogmatów marksizmu-leninizmu, Michaił Susłow - szara

eminencja kremlowskiej polityki. Był to człowiek surowy, zasadniczy, o powierzchowności zasuszonego profesora, siejący postrach wśród radzieckich i zagranicznych komunistów druzgocącymi wyrokami nakładanymi na każdego, kto ośmielał się mieć własne zdanie. Susłow był w dziedzinie ideologii tym, czym Gromyko w polityce zagranicznej: Towarzyszem Niet. Z jego punktu widzenia każda zmiana była niepożądana, niemal z definicji. Kiedy w 1982 roku Susłow w końcu zmarł, jego gabinet przypadł kolejno Jurijowi Andropowowi, Konstantinowi Czernience i Michaiłowi Gorbaczowowi. Ostatnim lokatorem był w nim Jegor Ligaczow.

Wraz z innymi wyższej rangi aparatczykami Ligaczow miał nieprzyjemne wspomnienia kojarzące się z pokojem numer 2. Sam bywał celem tyrad Susłowa[181]. Pod wieloma względami jednak były sekretarz partii z Tomska okazał się godnym następcą tej szarej eminencji. Energiczny, nieprzekupny i zaślepiony ideologią, całe swe dorosłe życie spędził w służbie partii. Podobnie jak Gorbaczow i Jelcyn, Ligaczow osobiście doświadczył Stalinowskiego terroru. Jego teść, generał Armii Czerwonej, został aresztowany w 1936 roku pod absurdalnym zarzutem „szpiegostwa na rzecz Anglii, Japonii i Niemiec”. Stracono go po dziesięciominutowym procesie. W 1949 roku Ligaczow, lider młodzieżowej organizacji komunistycznej, padł ofiarą podejrzeń o „trockizm”, lecz szczęśliwie udało mu się uniknąć aresztowania[182]. Nigdy jednak nie utracił wiary w socjalizm. Jego podwładni nie mogli już słuchać o siedemnastu latach spędzonych na Syberii - w tej „surowej, ale cudownej krainie" - jako najszczęśliwszym i najbardziej satysfakcjonującym okresie jego życia. Ligaczow był niskim, grubym mężczyzną o twarzy boksera. Zachowywał się władczo i przemawiał tonem moralnej pewności. Kiedy otwierał usta, było to tak, jakby mówił w imieniu całego Komitetu Centralnego.

We wczesnym okresie pierestrojki zgadzał się z Gorbaczowem. Rozczarowani stagnacją ery Breżniewa, chcieli tchnąć w socjalizm nowe życie. Ligaczow z radością służył jako miecz Gorbaczowa, oczyszczając partię z niekompetentnych i skorumpowanych funkcjonariuszy i przywracając porządek w terenowych organizacjach partyjnych. Dopóki głasnost’ oznaczała dociekanie przyczyn wad gospodarki planowej i ich usuwanie, popierał ją ze wszystkich sił. Ale z czasem nabrał dystansu wobec kierunku, który przyjmowała Z przestrachem śledził też, jak partia traci kontrolę nad rozwojem wypadków. Wyznał później, że poważnych wątpliwości względem posunięć Gorbaczowa nabrał pod koniec 1987 roku. „W którymś momencie ten człowiek stał się kimś innym. Dokonała się w nim

gruntowna przemiana polityczna Kiedy trudności gospodarcze przybrały na sile, zaczął szukać rozwiązań prowadzących do zniszczenia wszystkiego, w co wierzyliśmy”[183].

Ligaczow odczuwał purytańską niechęć do tak niepożądanych zjawisk społecznych jak pornografia i muzyka rockowa. Ale ostatecznie rozwścieczyły go coraz bardziej rewizjonistyczne i negatywne oceny radzieckiej historii. Jego zdaniem zielone światło dla redaktorów, by potępiali zbrodnie Stalina, było też sygnałem do generalnego „oczerniania” wszystkich dokonań partii od 1917 roku.

Jako sekretarz do spraw ideologii, Ligaczow bardzo się starał, aby głasnost’ nie wymknęła się spod kontroli. Jego cierpliwość została mocno nadwerężona we wrześniu 1987 roku, kiedy tygodnik „Moskowskije Nowosti” ośmielił się opublikować nekrolog emigracyjnego pisarza rosyjskiego Wiktora Niekrasowa. Ligaczowowi coraz trudniej przychodziło wypełnianie swego zadania. Powstrzymywanie wznoszącej się fali antysowietyzmu przypominało próbę uszczelnienia przeciekającej tamy. Biegał w szaleńczym pędzie od jednej dziury do drugiej, wrzeszcząc na redaktorów i wygłaszając przemówienia, w których ubolewał nad utratą tradycyjnych wartości komunistycznych. A poziom wody wciąż się podnosił. W ideologicznej zaporze komunizmu powstały dziesiątki wyłomów. Stało się jasne, że jeśli nie podejmie się zdecydowanych działań, spiętrzona woda zmiecie całą zaporę.

Na nieszczęście dla Ligaczowa tradycyjne metody - dyskretny telefon tutaj, partyjna nagana tam - nie działały tak skutecznie jak dawniej. Niegdyś służalcze organy prasowe, jak choćby „Moskowskije Nowosti” czy „Ogoniok”, zdołały wymknąć mu się z rąk. Nowe programy telewizyjne, jak na przykład „Wzgliad” („Spojrzenie”), adresowane do młodszej widowni, bezustannie sprawdzały wytrzymałość ideologicznych granic, emitując materiały o weteranach wojny afganskiej, rozprzestrzenianiu się AIDS czy dewizowych prostytutkach. Złagodniały obostrzenia cenzorskie szczególnie w republikach nadbałtyckich. Na początku marca rosyjskojęzyczna gazeta na Łotwie zaczęła drukować *Folwark zwierzęcy* Orwella, klasyczny pamflet na totalitaryzm.

Monopol partii na rozpowszechnianie informacji poważnie nadszarpnęła rewolucja technologiczna. Do niedawna każda kserokopiarka w kraju była pod kluczem. Utrzymanie tak ścisłej kontroli było jednak niemożliwe, jeśli Związek Radziecki chciał konkurować z krajami rozwiniętymi. Równie niewdzięcznym zadaniem było odcinanie elementów niepewnych politycznie od sprzętu wideo, komputerów, drukarek laserowych, anten satelitarnych czy faksów.

Nadszedł czas na generalny kontratak. Jak głównodowodzący instruujący swych generałów, sekretarz ideologiczny zamierzał nakreślić plan ataku w czasie spotkania z redaktorami naczelnymi.

Do wielu problemów Ligaczowa doszedł jeszcze jeden. Urzędujący dwa piętra niżej inny członek Politbiura zamierzał mianowicie poprowadzić społeczeństwo radzieckie w dokładnie przeciwnym kierunku. Był to Aleksandr Jakowlew, postać o posturze sowy, z krzaczastymi brwiami. Ten elegancki, noszący pod garniturem kamizelkę mężczyzna był też najlepiej wykształconym członkiem Politbiura, a zarazem - najbardziej radykalnie nastawionym. Pod względem temperamentu oraz przekonań politycznych Jakowlew i Ligaczow znajdowali się na przeciwległych biegunach. Ligaczow był przytłaczający i niewrażliwy na uczucia innych, Jakowlew refleksyjny i przewrażliwiony na swoim punkcie. Ligaczow chciał utrzymać ścisłą kontrolę nad tym, co obywatelom ZSRR wolno czytać i mówić. Jakowlew wznosił pochodnię głasnosti, rzucając światło na dotychczasowe tematy tabu, włącznie ze świętością świętości, samym Leninem. Jeśli Ligaczowa uznać za bohatera aparatczyków, to Jakowlew był ulubieńcem intelektualistów.

Sześćdziesięcioczteroletni Jakowlew zbliżał się do końca epickiej podróży intelektualnej. Rozpoczął ją w małej wiosce nad Wołgą, w historycznym sercu Rosji, sercu władzy radzieckiej. Od żarliwej wiary w „świetlaną przyszłość” socjalizmu dotarł do punktu, w którym czarno widział dalsze losy komunizmu w radzieckim wydaniu. W 1985 roku, wraz z Gorbaczowem, wierzył, że system można zreformować. Desperacka wojna podjazdowa, którą wszczęli jego partyjni koledzy, pozbawiła go jednak złudzeń. Według jego relacji, przełomowym momentem był styczeń 1987 roku, kiedy Gorbaczow zaproponował, aby niektóre stanowiska partyjne obsadzać w wyniku wyborów. Celem tego posunięcia miało być wprowadzenie elementów demokracji do procedur partyjnych, co pozwoliłoby wyzwolić uśpioną energię radzieckiej elity. Jedynym rezultatem okazała się jednak burza protestów nomenklatury.

„Wówczas stało się dla mnie jasne, że systemu nie można zreformować. Należało go zniszczyć” - wspominał Jakowlew w 1993 roku. - „Na początku myślałem, że możemy osiągnąć, co chcemy, eliminując idiotyzmy Breżniewowskiej wersji socjalizmu i pozwalając ludziom, by przejawiali inicjatywę. Ale okazało się, że system na to nie pozwala. Zbudowany był na strachu i braku odpowiedzialności indywidualnej. Każda próba indywidualnej inicjatywy wstrząsała

jego fundamentami”[184].

Ideologiczne nawrócenie Jakowlewa przebiegało długo i mozolnie. Musiał zweryfikować wiele swych zakorzenionych przekonań. Potomkowi chłopów pańszczyźnianych spod Jarosławia imponowała przemiana zacofanego, wiejskiego kraju w nowoczesne państwo przemysłowe czy likwidacja analfabetyzmu. Jego ojciec, Nikołaj, w czasie wojny domowej walczył w szeregach Czerwonych i podobnie jak dziad Gorbaczowa, został pierwszym przewodniczącym kołchozu. W przeciwieństwie jednak do genseka, Jakowlew nie doświadczył osobiście terroru. Nikołaj Jakowlew zdołał uniknąć aresztowania dzięki prostemu wybiegowi: w czasie obławy tajnej policji na „wrogów ludu” opuścił wieś na kilka dni. Jak wszyscy w Związku Radzieckim, NKWD musiała wykonać plan. Pochwyciwszy wymaganą liczbę „wrogów”, prześladowcy poszli dalej. Kiedy ojciec Jakowlewa dowiedział się, że już po wszystkim, wrócił do domu[185].

W wieku siedemnastu lat idealistycznie nastawiony Jakowlew poszedł na wojnę. Idąc do ataku, wraz z przyjaciółmi krzyczał: „Za Stalina! Za Ojczyznę!” Jako porucznik piechoty widział wiele strasznych scen. Obie strony rzadko brały jeńców. Zginęło wielu jego przyjaciół. Sam oddałby życie, gdyby nie tradycja radzieckiej piechoty, nie pozwalająca pozostawiać rannego towarzysza broni na polu walki. Kiedy na bagnach pod Leningradem został trafiony serią z niemieckiego karabinu maszynowego, przyjaciele wywlekli go na bezpieczny teren. Czterech z nich zginęło, ratując mu życie, ale Jakowlew przeżył. Wrócił do domu trwale okaleczony. Z każdej setki jego rówieśników ze szkoły, do której uczęszczał, jedynie trzech uszło z wojny z życiem.

Pierwsze nieśmiałe wątpliwości na temat Stalina ogarnęły Jakowlewa po wojnie, kiedy zobaczył, jak reżym traktuje żołnierzy wracających z niewoli. Nie witano ich jak bohaterów, nie pomagano powrócić do normalnego życia, ale znów zamknięto w obozach - tym razem radzieckich - z obawy, że mogą być ideologicznie skażeni. „W żadnym razie nie mogłem się z tym pogodzić. To straszny wstyd” - mówił potem Jakowlew. Jego wątpliwości wzrosły w 1956 roku, kiedy siedział na balkonie sali konferencyjnej na Kremlu, a Chruszczów ujawniał zbrodnie Stalina w swoim słynnym „tajnym referacie”. Wyliczenie czystek, zsyłek i masowych mordów „przenicowało mnie” - wspominał Jakowlew. - „Nikt nie patrzył na nikogo. Kiedy Chruszczów ujawniał kolejno coraz to straszniejsze fakty, słychać było tylko ciszę”[186].

Los zrządził, że Jakowlew był świadkiem jeszcze innego przełomowego wyda-

rzenia - radzieckiej inwazji na Czechosłowację w 1968 roku. Do tego czasu awansował na pełniącego obowiązki kierownika wydziału propagandy w Komitecie Centralnym. Przybył do Pragi jako ideologiczny strażnik grupy dziennikarzy radzieckich dzień po przerwaniu eksperymentu Dubćeka z socjalizmem o ludzkiej twarzy. Wnet stało się jasne, że oficjalne wytłumaczenie przyczyn inwazji -jako „spisku żydowsko-amerykańskiego” mającego na celu obalenie socjalizmu w Czechosłowacji - było kłamstwem. W czasie swego pięciodniowego pobytu w tym kraju widział, jak Czesi palą radzieckie flagi i rzucają na radzieckie czołgi koktajle Mołotowa. Słyszał, jak krzyczą: „Faszyści, faszyści!” na żołnierzy, którzy mieli wszak udzielać im „bratniej pomocy”. Widział, jak powracającego z niewoli w Moskwie Dubćeka - przedstawianego przez kolegów Jakowlewa jako zdrajcę komunizmu - witano niczym bohatera. „Pobyt w Czechosłowacji wycisnął na mnie trwałe piętno”- powiedział mi Jakowlew. - „Był to znak, że system skazany jest na zagładę”[187].

Podobnie jak wielu jego kolegów, Jakowlew starannie ukrywał swe poglądy. Bez umiejętności prowadzenia podwójnego życia nie przetrwałby w biurokracji i powodziłoby mu się znacznie gorzej. Twierdzi, że zdał Breżniewowi sprawę z „prawdziwego stanu rzeczy” w Czechosłowacji. Ale jego sprawozdanie musiało być sformułowane w niezwykle dyplomatyczny sposób, skoro za wykonanie zadania w Pradze został odznaczony i zachował pozycję w propagandzie jeszcze przez wiele lat. Dopiero po upadku komunizmu i przejściu na emeryturę często publicznie opowiadał o swoich doświadczeniach w Czechosłowacji.

Wielki wpływ intelektualny na Jakowlewa wywarły także podróże zagraniczne. Był jedynym członkiem Politbiura, który dobrze znał życie na Zachodzie. W 1958 roku jako robiący karierę aparatczyk spędził rok na Columbia University. Był pierwszym studentem w ramach wymiany amerykańsko-radzieckiej. Chociaż spodobała mu się amerykańska gościnność i zaimponowały osiągnięcia technologiczne, złościły go moralizujące wykłady gospodarzy o wyższości kapitalizmu. Kilkadziesiąt lat później irytował się, wspominając sprzedawcę w sklepie na Manhattanie, który poprosił go o zdjęcie czapki, ponieważ chciał się przekonać, czy komuniści rzeczywiście mają rogi. Dał upust swojej niechęci w kilku ostrych, antyamerykańskich rozprawach, jak na przykład *Ideologia imperium amerykańskiego, USA - od wielkości do choroby* czy *Na krawędzi chaosu*.

Kiedy w 1972 roku Jakowlew wdał się w polemikę z rosyjskimi nacjonalistami, musiał się udać na luksusowe zesłanie - na posadę ambasadora ZSRR w Kana-

dzie. Pozostał tam przez dziesięć lat, obserwując z bliska pracę zachodniej dyplomacji i - z oddali - tragikomiczne wypadki schyłku ery Breżniewa. Dzięki kanadyjskim doświadczeniom nauczył się podchodzić do problemów swego kraju z intelektualnym dystansem. W maju 1983 roku miał też możność odbycia kilku ważnych, nieformalnych rozmów z Gorbaczowem. Obaj politycy omówili wtedy wiele pomysłów, które w końcu doprowadziły do pierestrojki. Gorbaczow, najmłodszy wówczas członek Politbiura, odpowiedzialny za sprawy rolnictwa, składając dziesięciodniową wizytę w Kanadzie, zadebiutował na arenie międzynarodowej. Jakowlew był jego przewodnikiem.

Z Gorbaczowem spotkał się już kilkakrotnie przy różnych okazjach na początku lat siedemdziesiątych, ale nie znał go bliżej. Mieli natomiast wspólnego przyjaciela, Marka Michajłowa, który pochodził ze Stawropola, skąd przyjechał do Moskwy Gorbaczow, a pracował w Komitecie Centralnym razem z Jakowlewem. Dzięki niemu wiedzieli, że mogą być ze sobą szczerzy. Pomógł w tym bardzo nieoficjalny charakter wizyty Gorbaczowa. Latając po Kanadzie starym śmigłowym convairem, odkryli, że mają zadziwiająco zbliżone poglądy. W czasie jednego z postojów na lądowisku nie pojawił się ich kanadyjski gospodarz. Rosjanie udali się zatem na dwugodzinny spacer przez pola kukurydzy, aż złapał ich deszcz. „Skorzystałem ze sposobności i powiedziałem mu, co myślę naprawdę. On także” - wspominał Jakowlew[188]. Z dala od podsłuchów KGB i stetryczałych aparatczyków z Kremla rozmawiali o „idiotyzmach” radzieckiej polityki zagranicznej i o potrzebie radykalnej zmiany polityki wewnętrznej.

Gorbaczow ściągnął Jakowlewa z zesłania w Kanadzie i załatwił mu posadę dyrektora prestiżowej instytucji - moskiewskiego Instytutu Gospodarki Światowej i Stosunków Międzynarodowych. Kiedy został sekretarzem generalnym, wprowadził go do Politbiura i uczynił swym najbliższym zaufanym. Jakowlew był źródłem koncepcji Gorbaczowa, intelektualnym rezerwuarem pierestrojki.

Chociaż Jakowlew i Ligaczow byli politycznymi przeciwnikami, pod jednym względem bardzo siebie przypominali.

Obaj byli wytrawnymi aparatczykami, przyzwyczajonymi do zakulisowego sprawowania władzy. Dzięki wieloletniemu doświadczeniu posiedli intuicyjne wyczucie intryg biurokracji Komitetu Centralnego. Jakowlewowi jednak, choć miał posłuch wśród moskiewskich intelektualistów, brakowało populistycznego instynktu, jaki miał na przykład Jelcyn. Uważał, że prawdziwa walka toczy się nie na ulicach, ale w Politbiurze, a Jelcyn swoim emocjonalnym, popędliwym zachowaniem tylko szkodzi sprawie.

Podstawą działania w kremlowskim świecie wielkiej polityki była zasada zatajania odpowiedzialności. Polecenia wydawano ustnie, często przez telefon - aby nie można było dojść ich źródła. Czasami wystarczyło skinienie głowy lub mrugnięcie. Jakowlew, wzorem Ligaczowa, rozszerzał swe wpływy dzięki sieci dobrze ulokowanych sojuszników. Odgrywał rolę politycznego patrona samozwańczych „kamikadze głasnosti" - radykalnych redaktorów gazet, którzy bezustannie sprawdzali granice wolności ideologicznej. Brali na siebie odpowiedzialność za to, co ukazywało się w gazecie, ale wiedzieli też, że w razie kryzysu Jakowlew zapewni im ochronę.

Typowym przykładem metod Jakowlewa jest sprawa rozpowszechniania antystalinowskiego filmu *Pokuta*, którą zajął się w październiku 1986 roku, w jednym z głównych momentów przełomowych głasnosti. Akcja *Pokuty,* filmowej alegorii utrzymanej w stylu Felliniego, toczy się w Gruzji, ojczystej republice Stalina. Film dotyka najbardziej drażliwych tematów radzieckiej historii, a także bieżącej polityki. Jakowlew wiedział, że trudno będzie uzyskać dlań aprobaty konserwatystów w Politbiurze. Aby pokonać tę trudność, uzgodnił nieoficjalnie z reżyserem filmu, Tengizem Abuładze, że *Pokuta* nie będzie wyświetlana oficjalnie, ale na seansach zamkniętych, za okazaniem imiennego zaproszenia. Tyle że liczba projekcji wciąż rosła, dopóki filmu nie obejrzał dosłownie cały kraj. *Pokuta* stała się ogólnonarodową sensacją.

Wobec osłabienia cenzury radzieckim dziennikarzom i filmowcom potrzeba było tylko nieco zachęty z góry, by ukazywali tajemnice przeszłości. Niemniej konserwatyści w rodzaju Ligaczowa zaczęli postrzegać Jakowlewa jako diabelskiego lalkarza pociągającego za sznurki marionetek głasnosti. Oskarżali go o wszystkie swe niepowodzenia. W swoich pamiętnikach Ligaczow nazywa Jakowlewa szarą eminencją, która manipulując mediami, zakłóciła naturalny bieg pierestrojki. Bitwa z takim człowiekiem przypominała walkę z wiatrakami. „Nie mieliśmy pojęcia, jak potężnym i niebezpiecznym orężem mogą być media w warunkach głasnosti i pierestrojki. Aleksandr Jakowlew, który spędził wiele lat na Zachodzie, oczywiście rozumiał to o wiele lepiej niż inni członkowie Politbiura. Od samego początku ustanowił osobistą kontrolę na radykalną prasą"[189].

Ligaczow wiedział, że jeśli socjalizm ma być uratowany, trzeba odeprzeć atak.

Ligaczow, tak jak i Jakowlew, również dysponował siecią podobnie jak on myślących redaktorów, uznających w nim swego politycznego patrona. W marcu 1987 roku jeden z nich, Walentin Czikin, wszczął ofensywę prasową przeciwko

głasnosti na łamach swej gazety, „Sowietskoj Rossiji”. Atak rozpoczął się od całostronicowego artykułu pod tytułem *Nie mogę zdradzić moich zasad*, podpisanego nazwiskiem nikomu nie znanej nauczycielki chemii z Leningradu, Niny Andriejewej. Tytuł zapożyczono z jednego z ostatnich przemówień Gorbaczowa, choć sam artykuł był zaprzeczeniem praktycznie wszystkiego, za czym opowiadał się sekretarz generalny. Andriejewa broniła Stalina, wzywała do „walki klasowej w kraju i za granicą” i potępiała powstające w całym kraju nieformalne grupy polityczne. Był to, jak później stwierdził Gorbaczow, bezpośredni atak na pierestrojkę[190].

Zaczęły się mnożyć przypuszczenia, kto się kryje za artykułem Andriejewej. Radykałowie natychmiast uznali, że Czikin działa pod ochroną i z poduszczenia Ligaczowa. Faktem jest, że obaj utrzymywali w tym czasie bliskie kontakty. Ligaczow wielokrotnie się wypierał, że miał cokolwiek wspólnego z tym artykułem p r z e d publikacją, i nigdy niczego mu nie udowodniono. Biorąc pod uwagę technikę załatwiania spraw tego rodzaju, nie ma raczej szans na odnalezienie inspiratora ataku. W pewnym sensie nie ma to znaczenia, ponieważ naprawdę sprawa artykułu Niny Andriejewej rozegrała się dopiero p o jego opublikowaniu.

Gdyby były to tylko wynurzenia nie związanej z żadną frakcją nauczycielki chemii, nikt by nawet nie kiwnął palcem. W 1988 roku głasnost’ była już w pełnym rozkwicie i w prasie codziennie pojawiały się publikacje podobne do artykułu Andriejewej. Uwagę jednak zwróciło niebywałe wyeksponowanie materiału w czołowym organie partyjnym. Zajmująca trzy szpalty fotografia autorki, ubranej w skórzaną kurtkę w bolszewickim stylu, w otoczeniu pełnych podziwu uczniów, sygnalizowała czytelnikom, że jej poglądy cieszą się aprobatą czynników oficjalnych. Dla konserwatystów było to wezwanie do broni.

Następnego dnia po publikacji na czwartym piętrze siedziby KC doszło do próby uznania artykułu za podstawę nowego kursu partii. Ligaczow nie zaprosił na spotkanie redaktorów naczelnych dwóch najbardziej radykalnych tytułów - „Ogonioka” i „Moskowskich Nowosti”. Zebranie odbyło się w sali konferencyjnej Politbiura, tuż obok jego gabinetu. Po kilku wstępnych uwagach o poparciu mediów dla kampanii wiosennych zasiewów i rozwoju hodowli trzody sekretarz ideologiczny przeszedł do tematu, który był dlań najważniejszy.

„Czytaliście artykuł Niny Andriejewej?” - zapytał redaktorów.

„Tak, czytaliśmy” - odpowiedział Iwan Łaptiew, naczelny „Izwiestii”. Jako oficjalny organ radzieckiego parlamentu, „Izwiestia” stały się zdeklarowanym zwo-

lennikiem głasnosti. Łaptiew obawiał się, że jego pismo może się znaleźć w niebezpieczeństwie, jeśli narazi się Ligaczowowi.

„To wspaniały artykuł, świetny przykład politycznego pisarstwa partyjnego. Chciałbym was prosić, towarzysze redaktorzy, abyście w swojej pracy postępowali wedle zasad nakreślonych w tym artykule” - rzekł Ligaczow swoim stentorowym głosem, po czym zwrócił się do szefa agencji TASS, która dla tysięcy gazet regionalnych była oficjalnym głosem Kremla. - „TASS powinna natychmiast rozpowszechnić ten artykuł”[191].

Polecenia Ligaczowa zostały natychmiast wykonane. Gazety regionalne przedrukowały artykuł. Organizacje partyjne w całym kraju odbyły specjalne zebrania poświęcone jego lekturze. Komitet Centralny zalała powódź telegramów od „uczciwych robotników” wyrażających poparcie dla poglądów Andriejewej. Któregoś dnia „Prawda”, organ KPZR, wydrukowała nazwisko Ligaczowa przed innymi nazwiskami członków Politbiura, wywyższając go niemal do poziomu Gorbaczowa[192]. Liberalna inteligencja wpadła w rozpacz. Bez sygnału z góry nikt nie ośmieliłby się odpowiedzieć Andriejewej i „Sowietskoj Rossiji”. Ludzie pamiętali okres stagnacji za Breżniewa, kiedy to Chruszczowowska odwilż musiała ustąpić przed mrozem. Był to rodzaj ostrzeżenia. Los pierestrojki wydawał się niepewny.

Ligaczow dobrze wybrał porę na kontrofensywę. Kiedy spotkał się z redaktorami, Gorbaczow właśnie wyjechał z Moskwy z oficjalną wizytą do Jugosławii. Jakowlew poleciał do Mongolii, oddalonej o osiem stref czasowych. Odpowiedź sformułowali dopiero po trzech tygodniach.

KREML
23 marca 1988

Debata Politbiura w sprawie artykułu Niny Andriejewej zaczęła się niespodziewanie. 19 marca, w sobotę, po powrocie z Jugosławii Gorbaczow w końcu go przeczytał. Przez weekend bił się z myślami. Nie był pewien, jak postąpić. Z jednej strony nie miał ochoty na starcie z Ligaczowem, zastępcą szefa partii. Z drugiej, jeśli było to celowe uderzenie w pierestrojkę, jak twierdzili jego radykalni doradcy, na sprawę należało jakoś zareagować.

Kolejne rutynowe posiedzenie Politbiura wypadało w najbliższy czwartek. Los zadziałał jednak już w środę. Na Kreml z okazji pierwszego kongresu od ponad dwudziestu lat zjechało kilka tysięcy kołchoźników. Jak to było w zwyczaju, obrady zjazdu Gorbaczow otwarł dwugodzinną przemową. Za nim, na scenie Pałacu Zjazdów - wielkiego, bogato zdobionego obiektu wzniesionego z mysią o wydarzeniach propagandowych w ciągu dnia i przedstawieniach *Jeziora łabędziego* wieczorem, siedziała większość kolegów z Politbiura. Kiedy gensek uporał się z nawoływaniem kołchoźników do zwiększenia wydajności i wykazywania się większą inicjatywą, członkowie Politbiura udali się za kulisy, do Sali Prezydialnej, na herbatę i kanapki. Bez ostrzeżenia pogawędka zeszła na Ninę Andriejewą.

„Tak” - powiedział stanowczo Witalij Worotmkow, premier Federacyjnej Republiki Rosyjskiej - „ukazał się artykuł w «Sowietskoj Rossiji». Prawdziwy politycznie słuszny artykuł. Wzór dla naszej pracy ideologicznej""[13].

Ligaczow przyłączył się do rozmowy, jeszcze skwapliwiej chwaląc Andriejewą: „To dobrze, że prasa w końcu opisze te..." - Zawiesił głos w połowie zdania, zdając sobie sprawę, że jest w kulturalnym towarzystwie. - „W przeciwnym razie wszystko by się rozpadło”.

Patriarcha Politbiura, Andriej Gromy ko, poparł Ligaczowa. „Myślę, że to dobry artykuł. Dzięki niemu wszystko znów jest na swoim miejscu”. Inny siedemdziesięciolatek, Michaił Sołomiencew, który pomagał Ligaczowowi zorganizować nieudaną kampanię antyalkoholową, także pochwalił Andriejewą.

Gorbaczow nagle zdał sobie sprawę, że nie może dopuścić do tego, by rozmowa dalej szła w tym kierunku. Czterech spośród trzynastu pełnoprawnych członków Politbiura właśnie złożyło deklaracje polityczne, które były całkowicie sprzeczne z jego poglądami. Jeśli nie zajmie zdecydowanego stanowiska,

wkrótce znajdzie się w mniejszości, ciesząc się poparciem jedynie dwóch nieugiętych liberałów - Jakowlewa i Szewardnadzego. Wówczas będzie zmuszony przy- klasnąć poglądom wyrażonym w artykule *Nie mogę zdradzić swoich zasad* albo złożyć rezygnację.

„Jeśli uważacie ten artykuł za wzór, to musimy wyjaśnić kilka spraw. Ja mam inny pogląd".

„Dobrze, dobrze" - odparł Worotnikow, protegowany Andropowa i dawny zwolennik Gorbaczowa, coraz bardziej rozczarowany radykalnym kierunkiem, jaki przyjęła pierestrojka.

„Co macie na myśli, mówiąc «dobrze, dobrze»?"

Zapadła dziwna cisza, kiedy Gorbaczow i Worotnikow patrzyli na siebie, a pozostali członkowie Politbiura rozglądali się niespokojnie po sali.

„To pachnie rozłamem" - powiedział ostro Gorbaczow, używając rosyjskiego słowa *raskol,* który bolszewicy uważali za obelżywy. - „Artykuł był skierowany przeciwko pierestrojce. Nigdy się nie sprzeciwiałem, kiedy ktoś wyrażał swoje osobiste poglądy. W jakiejkolwiek by one były formie - w prasie, w listach. Ale powiedziano mi, że usiłowano uczynić z tego artykułu partyjną dyrektywę. W niektórych organizacjach partyjnych już przyjmuje się go jako uchwałę, zupełnie jak w dawnych czasach. Prasie zabroniono szepnąć choć słówko przeciwko temu artykułowi".

W tym momencie Gorbaczow zdecydował się postawić na szalę cały swój prestiż polityczny, zarówno w kraju, jak i za granicą. Jego krytycy w Politbiurze mogli nadawać na fali niezadowolenia partii z rozwoju pierestrojki, ale byli niezorganizowani i pozbawieni przywództwa. Ligaczow był postacią pełną sprzeczności i kontrowersyjną. Zasady dyscypliny partyjnej wraz z zakorzenionym nawykiem posłuszeństwa znacznie utrudniały konserwatystom otwarte przeciwstawienie się sekretarzowi generalnemu. Na tym etapie ich celem nie była zmiana przywódcy, ale uczynienie go swym rzecznikiem. Gorbaczow zrozumiał targające nimi sprzeczności i wykorzystał je z właściwą sobie perfekcją.

„Nie zamierzam walczyć o moje stanowisko. Ale dopóki jestem tutaj i dopóki piastuję godność sekretarza generalnego, będę wspierał ideę pierestrojki" - zadeklarował, sugerując, że gotów jest złożyć rezygnację. - „Nie. To się nie uda. Omówimy tę sprawę w Politbiurze".

Posiedzenie Politbiura ciągnęło się dwa dni, co nie miało precedensu, nawet

wedle norm głasnosti. Zaczęło się na Kremlu w czwartek i trwało przez cały piątek. Odbyło się na czwartym piętrze gmachu przy Starej Płoszczadi, w tej samej sali konferencyjnej, w której Ligaczow niespełna dwa tygodnie temu wygłaszał mowę pochwalną na cześć artykułu Andriejewej. Większość debaty zajęły długie monologi sekretarza generalnego. Gorbaczow - mieszanka gadatliwego wizjonera i zdecydowanego polityka - posiadł niepowtarzalną zdolność owijania słuchaczy gęstymi chmurami retoryki, wyczerpującymi i dezorientującymi każdego swą pokrętną logiką. Wir dyskusji zdawał się oczyszczać jego umysł i służył jako podstawa działania. Gensek ów lubił powtarzać za Leninem: „Najważniejsze w każdym przedsięwzięciu jest to, by wdać się walkę i w ten sposób dowiedzieć się, co robić potem”[194]. Mógł się „wygadać” z niemal każdego kryzysu.

Tym razem rolę ostrego psa odgrywał Jakowlew. Rozbierał artykuł Andriejewej wiersz po wierszu. „To manifest wrogów pierestrojki” - stwierdził ostro. Poparł go premier Nikołaj Ryżkow, który wygłosił płomienną mowę w obronie pierestrojki i zasugerował, że Ligaczow powinien zostać uwolniony od obowiązków sekretarza do spraw ideologii. Nawet obłudny Gruzin, minister spraw zagranicznych Szewardnadze, określił to, co się dzieje w Związku Radzieckim, jako „ważne wydarzenie dwudziestego wieku”. „Stawką jest tutaj uratowanie socjalizmu” - stwierdził z uniesieniem. - „Prymitywne podejście może skompromitować nasze wspaniałe przedsięwzięcie”[195].

Teraz, gdy debata wtoczyła się na tory wyznaczane przez stosunek do pierestrojki, jej wynik był jasny. Nikt nie chciał, żeby po określono jako „rozłamowca" ani obarczano odpowiedzialnością za „rozbijanie jedności partii". Pozostali członkowie Politbiura pospiesznie zaakceptowali linię partii w wydaniu Gorbaczowa i Jakowlewa. Konserwatyści uspokoili swe sumienia, narzekając na „nieodpowiedzialne” media. „Wszyscy, oczywiście, jesteśmy za głasnostią” - stwierdził Gromyko, skwapliwie naprawiając swój błąd sprzed tygodnia. - „Ale nie można pozwalać, żeby naród radziecki był przedstawiany w prasie jako naród niewolników, naród lokajów. Tezy opublikowane na łamach «Sowietskoj Rossiji» były reakcją na takie oszczerstwa”.

Kiedy dyskusja zaczęła krążyć wokół pytania, kto wydał polecenie omawiania artykułu Andriejewej na zebraniach partyjnych, Ligaczow zachowywał ponure milczenie. Potem powiedział, że atmosfera posiedzenia Politbiura była bardzo „duszna”. Przypominała polowanie na czarownice. Jakowlew z kolei nie krył się z zamiarem obarczeniem Ligaczowa odpowiedzialnością polityczną za tę sytua-

cję i wykluczenia go z kierownictwa. Był gotów się bronić, gdyby zaszła taka konieczność[196].

Gorbaczow zdecydował, że na razie nie będzie zanadto naciskał. Odniósł ważne zwycięstwo. Skłonił Politbiuro do udzielenia Andriejewej na łamach „Prawdy" zdecydowanej odpowiedzi, której tekst przygotował Jakowlew. Teraz było już jasne, że Gorbaczow ma za sobą większość zastraszonego Politbiura, skłonną poprzeć praktycznie wszystko, cokolwiek powie przywódca. Ponieważ Gorbaczow nie chciał doprowadzić do otwartego rozłamu z konserwatystami, pomógł Ligaczowowi zatrzeć ślady. Podobnie jak jego przeciwnicy, miał głęboko zakorzeniony strach przed „raskołem". Uważał, że niewiele zyska, jeśli Biuro Polityczne będzie składało się z ludzi myślących podobnie, jeśli nie będzie w stanie przeforsować decyzji wśród reakcyjnego aparatu - olbrzymiej machiny biurokratycznej władającej Rosją[197].

„Prawda" opublikowała swoją polemikę z autorką *Nie mogę zdradzić moich zasad* 5 kwietnia, zamykając trzy tygodnie narodowej niepewności co do przyszłości pierestrojki. Tezą nie podpisanego komentarza było twierdzenie, że nie ma żadnych „tematów tabu" ani „powrotu" do polityki przeszłości. Kilka tygodni później Ligaczowa uwolniono od obowiązków ideologicznych i powierzono niewdzięczną pracę ratowania radzieckiego rolnictwa, znajdującego się w stanie chronicznego kryzysu.

Sprawa Niny Andriejewej była punktem zwrotnym zarówno dla Związku Radzieckiego, jak i dla samego Gorbaczowa. Raz na zawsze otwarto śluzę przed głasnostią. Strumyk ujawnianych faktów o stalinowskiej przeszłości kraju teraz zamienił się w prawdziwą powódź. Codziennie działo się coś nowego: telewizyjna premiera „antyradzieckiego" arcydzieła Michaiła Bułhakowa *Psie serce*, opublikowanie przez jedną z gazet estońskich tajnego protokołu paktu Ribbentrop-Mołotow wskazującego na zmowę Związku Radzieckiego i III Rzeszy, wystawienie w teatrze *Nadziei w beznadziejności*, epickiego opisu gułagu Nadieżdy Mandelsztam, orzeczenie moskiewskiego sądu zezwalające na publikację *Lolity* Nabokowa. Pisanie na nowo radzieckiej historii przybrało takie rozmiary, że szkoły ponadpodstawowe zostały zobowiązane do unieważnienia wszystkich egzaminów z historii do czasu wydania nowych podręczników.

Odrodzenie historii wyzwoliło polityczną euforię, przekraczającą klasowe bariery. Ojczyzna światowego socjalizmu stała się gigantycznym „społeczeństwem

dyskutującym", jak to ujął Gorbaczow[198]. Nawet intelektualiści, w obawie, że mogą pominąć jakąś ważną wiadomość, spędzali całe godziny przed telewizorami. Krzepcy robotnicy wertowali czasopisma literackie w poszukiwaniu od dawna zakazanych dzieł Achmatowej czy Sołżenicyna. Byli zesłańcy zapominali o dziesiątkach lat ostrożności i po raz pierwszy opowiadali o swych przejściach publicznie. Archiwiści agend rządowych poświęcali czas wolny od pracy na sporządzanie list represjonowanych. Grupa „Memoriał" w ciągu kilku tygodni zdołała zebrać dziesiątki tysięcy podpisów pod żądaniem stworzenia ośrodka upamiętniającego ofiary Stalina. Nagle każdy miał swoje zdanie i nie bał się go wygłaszać.

Gorbaczow wyczuł ten ogólnonarodowy nastrój i żywo nań reagował. Teraz był już przekonany, że jest mężem opatrznościowym, wybranym przez historię, by dokonać wielkich rzeczy. Na szalę sukcesu pierestrojki rzucił całą swoją reputację. Był carem oswobodzicielem, dalekowzrocznym władcą zwracającym wolność chłopom pańszczyźnianym. W czasie posiedzeń Politbiura zdarzało mu się porównywać siebie do „wielkiego Lenina", który rozpoczął rewolucję czystą siłą swej woli politycznej. Teraz nie było już odwrotu.

„Gdy ma się cele, w które się wierzy, i pewność słuszności" - powiedział jednemu z członków Politbiura - „trzeba je realizować, do końca. Kim byłbym w przeciwnym razie i dlaczego bym zajmował moje stanowisko? Jeśli się wpada w panikę przy najmniejszych trudnościach, jak człowiek słaby, woła: «Pomocy!» i zachowuje jak oportunista, którego interesuje tylko ratowanie własnej skóry - wtedy wszystko jest stracone"[199].

Sprawa Andriejewej uświadomiła Gorbaczowowi, że nie może przeprowadzić swojej rewolucji tylko i wyłącznie za pomocą partii. Był pod wrażeniem siły biurokratycznego oporu wobec swych zamierzeń. „Teraz zdaję sobie sprawę, z jakiego rodzaju ludźmi pracuję" - powiedział szefowi swojej kancelarii[200]. - „Można zapomnieć o pierestrojce, jeśli ma się takich ludzi". Narzekał, że wielu jego kolegom w Polit- biurze brakuje politycznej wyobraźni, by potrafili pojąć, co się dzieje w Związku Radzieckim. „Tak jakby sufit był już tu, o tu..." - powiedział, machając dłonią nad głową[201]. Trzeba otworzyć system polityczny na siły spoza niego.

Na zakończenie dwudniowych obrad Politbiura poświęconych sprawie Andriejewej, gdy wszyscy byli zbyt zmęczeni, aby się skoncentrować, Gorbaczow zdetonował jedną ze swoich retorycznych bomb. Ludzie domagają się zmian or-

dynacji wyborczej. Trzeba poważnie przemyśleć to, jak urzeczywistnić Leninowskie hasło „Cała władza w ręce rad” - czyli organów przedstawicielskich, które, do tej pory, stanowiły konstytucyjny listek figowy dyktatury komunistycznej. Trzeba przemyśleć całokształt stosunków między partią i radami.

Jeśli pominąć otoczkę ideologiczną, propozycje sekretarza generalnego oznaczały kres siedemdziesięcioletnich monopartyjnych rządów w Rosji.

OBÓZ PRACY PERM-35
8 lipca 1988

Mart Niklus czuł się jak człowiek w maszynie czasu. Tego niepoprawnego nacjonalistę estońskiego zesłano do obozu pracy o „zaostrzonym reżymie” na Uralu w 1980 roku, kiedy ekipa Breżniewa zajęta była kryzysami w Polsce i w Afganistanie. W czasie pobytu w obozie Niklus miał bardzo nieliczne kontakty ze światem zewnętrznym. Całymi dniami mocował przewody elektryczne do żelazek. Kiedy wykonał dzienną normę, czyli podłączył 522 przewody, wolno mu było odbyć czterdziestopięciominutowy spacer w klatce o długości dziesięciu metrów. Jeśli protestował, wtrącano go do nie ogrzewanego karceru szerokiego na metr, długiego na trzy i o wysokości, mniej więcej, metr osiemdziesiąt. Estończyk od siedzenia przez wiele dni z rzędu w tej samej pozycji nabawił się chronicznego zapalenia korzonków. Teraz miał jechać do domu.

Podobnie jak wielu jego rodaków, Niklus miał dobrą pamięć. Pamiętał, jak w czerwcu 1940 roku Armia Czerwona wmaszerowała do jego rodzinnego miasta Tartu. Mart miał wtedy dziewięć lat. Pamiętał, jak inkorporowano jego kraj do Związku Radzieckiego wbrew woli jego mieszkańców i jak zesłano najlepszych synów narodu estońskiego na Syberię. Pamiętał powojenne czystki i kampanię terroru skierowanego przeciwko rolnikom indywidualnym. W przeciwieństwie jednak do większości swych rodaków, Niklus nie milczał o tym, co widział. Na uniwersytecie w Tartu organizował grupy studentów, które słuchały zachodnich stacji radiowych. Sporządzał kopie tajnego protokołu paktu Ribbentrop-Mołotow, odnalezionego przez zachodnich historyków w dawnych archiwach nazistowskich, i rozpowszechniał je tak szeroko, jak tylko mógł. Usiłował też organizować demonstracje uliczne w dniu przedwojennego święta niepodległości Estonii. Władze uznały go za „niebezpiecznego recydywistę”. Otrzymywał długie wyroki więzienia za „agitację antyradziecką”, lecz podejmował wywrotowe działania natychmiast po zwolnieniu z więzienia. Do 1988 roku były zoolog spędził blisko dwadzieścia lat swego pięćdziesięciosiedmioletniego życia w radzieckich zakładach karnych.

Od momentu ostatniego uwięzienia zmarło trzech sekretarzy generalnych, ale w obozie Perm-35 nic się nie zmieniło. Nowy gensek objął urząd, z oburzeniem zaprzeczając, jakoby w Związku Radzieckim gwałcone były prawa człowieka[202]. Do obozu, należącego do niebywale niegdyś rozrośniętego „Archipelagu GU-Łag", dotarły jednak niewyraźne pogłoski o nowych hasłach politycznych, takich

jak piere strojka i głasnost'. Ale zdaje się, że nikt nie wiedział, co one oznaczają. Początkowo Niklus był do nich nastawiony sceptycznie i uważał, że w ogóle nic nie znaczą. Jeszcze w 1986 roku więzień polityczny Anatolij Marczenko zmarł w Per- mie-35 w wyniku złego traktowania. Gdy Niklus zapytał strażnika, kiedy mogą się spodziewać jakiejś „przebudowy" w gułagu, usłyszał: „Nie wiemy. My tylko wykonujemy rozkazy; nie otrzymaliśmy żadnych instrukcji"[203].

Niklus zaczął podejrzewać, że być może coś się zmienia, kiedy zamknięto kilka pobliskich obozów, a w Permie-35 zaczęło ubywać więźniów. Do połowy 1988 roku zostało tylko kilkudziesięciu politycznych. Kiedyś w obozie tym przebywali tak dostojni „antyradzieccy chuligani", jak Natan Szczarański, Władimir Bukowski czy Jurij Orłów. 15 czerwca Ni kłusa odwiedziło dwóch funkcjonariuszy KGB z Estonii. Przywieźli mu paczkę żywnościową z domu, dali trochę czekolady - niewyobrażalnego luksusu w Permie-35 - i zapytali, bardzo uprzejmie, czy nie zechciałby napisać listu do matki. Wyrazili zgodę, by otrzymywał gazety estońskie. Wkrótce wyczytał w nich o demonstracjach organizowanych w Tartu z żądaniem zwolnienia go z obozu. 30 czerwca, wciąż siedząc w łagrze, przeczytał wywiad z wysokim rangą urzędnikiem, który stwierdził, że Niklus został zwolniony i jest w drodze do domu. Niklus natychmiast podjął strajk głodowy.

Polecenie uwolnienia przebijało się przez gąszcz więziennej biurokracji przez kolejny tydzień. 8 lipca Niklusa pod eskortą wywieziono poza zasieki z drutu kolczastego i wysadzono na stacji kolejowej. Wysłał do matki telegram, licząc, że ktoś wyjdzie po niego na dworzec w Tartu, żeby pomóc mu nieść bagaże.

„Niebezpieczny recydywista" nie był przygotowany na powitanie, jakie mu zgotowano w Tartu. Na dworzec kolejowy przybyły tysiące życzliwych rodaków. Niklusowi wręczono kwiaty. Nad głowami tłumu powiewała przedwojenna estońska flaga. Pojawiły się też transparenty głoszące: „Pierestrojka - tak, KGB - nie" i „Chcemy opuścić Związek Radziecki*. „Był to najbardziej fantastyczny dzień w moim życiu" - wspominał później Ni kłus. - „Ludzie nie tylko wzięli moje bagaże, ale także ponieśli mnie na ramionach. Każdy chciał mnie dotknąć". Tłum wraz z Niklusem, jak z mistrzem olimpijskim, przemaszerował przez miasto. Bohater wygłosił krótkie przemówienie o niepodległości Estonii. Po dwóch godzinach usłyszał swój głos w tym samym radiu, które niegdyś nazywało go „wrogiem ludu radzieckiego". Tego wieczoru na średniowiecznym starym rynku w Tartu odbył się masowy wiec z okazji jego powrotu.

W czasie tych pierwszych tygodni wolności wielokrotnie zdarzało się, że były więzień polityczny nie wierzył własnym oczom. Zwykli ludzie wygłaszali opinie,

za które on trafił do gułagu. Kilka tygodni po zwolnieniu Niklusa z obozu komunistyczna telewizja estońska nadała program z okazji czterdziestej dziewiątej rocznicy podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow. Na ekranie ukazały się czarne, złowrogie strzałki oznaczone swastykami, obejmujące większość terytorium Polski. Potem, od strony Związki Radzieckiego, nadciągnęły wielkie strzałki koloru czerwonego, które połknęły pozostałą część Polski oraz państwa bałtyckie. Były też zdjęcia z Berlina: ministrowie spraw zagranicznych ZSRR i III Rzeszy, Wiaczesław Mołotow oraz Joachim Ribbentrop, składają sobie gratulacje. Następnie kamera ukazała zebranie. Do uczestników przemawiał Jurij Afanasjew, znakomity historyk rosyjski. Afanasjew nie tylko przyznał, że tajny protokół istnieje - czemu w tym okresie wciąż zaprzeczały oficjalne czynniki radzieckie - ale opisał go jako „historyczną niesprawiedliwość, o której nie wolno nam milczeć”[204].

Wypadki w Estonii i innych republikach nadbałtyckich toczyły się teraz w szalonym tempie. Tego lata setki tysięcy Estończyków - narodu liczącego półtora miliona ludzi - uczestniczyło w festiwalach pieśni patriotycznych. Masowy wybuch uczuć narodowych nazwano „Śpiewającą Rewolucją”. Do października estońscy nacjonaliści i proreformatorscy komuniści stworzyli masowy ruch polityczny, Front Narodowy Estonii, z pozoru - dla „wspierania pierestrojki”. Niklus znalazł się wśród jego założycieli, obok lekarzy i dyrektorów fabryk. W ciągu kilku tygodni podobne, masowe ruchy objęły także Łotwę i Litwę. Wnet stało się jasne, że prawdziwym celem ruchów „progorbaczowowskich” jest odzyskanie niepodległości przez republiki nadbałtyckie. Reakcyjni niegdyś funkcjonariusze partyjni starali się stanąć na czele rewolucji lub przyglądali się jej z boku. W listopadzie uległy dotychczas estoński parlament zaprowadził niezależne rządy i zalegalizował własność prywatną.

Twardogłowi w Moskwie z trudnością powstrzymywali gniew. Szef KGB donosił Biuru Politycznemu, że „siły nacjonalistyczne” umacniają swe pozycje w państwach nadbałtyckich, a sytuacja wymyka się spod kontroli. Zgodnie z sugestią Gorbaczowa, Politbiuro przyjęło uchwałę, by wysłać na Litwę Jakowlewa z zdaniem zbadania sytuacji i sprawdzenia, co można zrobić, by powstrzymać działalność grup niepodległościowych. Ku rozczarowaniu konserwatystów Jakowlew przedstawił optymistyczne sprawozdanie, przedstawiające wydarzenia w republikach nadbałtyckich jako całkowicie zgodne z pierestrojką. Uznał, że

ludzie zwracają uwagę na narastające od dziesiątków lat bolączki społeczne i gospodarcze i biorą władzę we własne ręce. Twierdził, że nie ma powodów do alarmu[205].

Zakulisowy kryzys polityczny wybuchł pod koniec listopada w Pokoju Orzechowym na Kremlu, w którym przed posiedzeniami Politbiura zbierało się ścisłe kierownictwo. Ligaczow i jego sojusznicy narzekali, że kraj jest w rozsypce. Estonia postawiła pierwszy krok w stronę niepodległości. Na Kaukazie doszło do konfliktu między Ormianami i Azerami. Tłum w Baku, stolicy Azerbejdżanu, podpalił kilka radzieckich czołgów. Zginęło dwóch żołnierzy. Demonstranci nieśli ulicami miasta portrety ajatollaha Chomeiniego.

„Dokąd zmierzamy?” - pytał Worotnikow, członek Politbiura, który wychwalał artykuł Niny Andriejewej.

„W marcu mówiłem, że nadszedł czas na demonstrację siły, by odbudować ład i pokazać tym łobuzom, kto tu rządzi. Jak wiele możemy tolerować?” - powiedział Ligaczow. - „Wszystko się rozpada. Dyscyplina się załamała. Państwo zaczyna upadać” [206].

Gorbaczow zrazu słuchał tyrady Ligaczowa z lekko ironicznym wyrazem twarzy. Jego doradca do spraw polityki zagranicznej, Anatolij Czemiajew, twierdził, że polityczna intuicja podpowiada mu, iż republiki nadbałtyckie prawdopodobnie odłączą się od ZSRR. Gorbaczow nie chciał, aby tak się stało, ale czuł się bezsilny. W przeciwieństwie do konserwatystów, nie mógł sobie pozwolić na porzucenie pie- restrojki, którą uważał ze dzieło swego życia. Stwierdził, że najlepszą formą obrony jest atak.

„Dlaczego usiłujesz mnie przez cały czas straszyć, Jegorze? Pytasz, co nam daje nasza pierestrojka? Dokąd zmierzamy? Co się z nami dzieje? Nie przeraża mnie to”.

Gorbaczow czuł się politycznie silniejszy niż w marcu, kiedy rozgrywała się sprawa Niny Andriejewny. Dwóch sojuszników Ligaczowa, Gromyko i Sołomiencew, przeszło na emeryturę, opuszczając Politbiuro. Sam Ligaczow został odsunięty na boczny tor. Po raz pierwszy od czasu objęcia urzędu sekretarza generalnego w marcu 1985 roku Gorbaczow otwarcie zagroził, że złoży rezygnację.

„Jeśli uważacie, że obraliśmy błędną drogę, że robię coś źle, chodźmy tu obok”. - Skinął głową w stronę sali obrad Politbiura, po drugiej stronie orzechowych drzwi. - „Podam się do dymisji. Natychmiast! I nie powiem ani jednego złego słowa. Wybierzecie, kogo będziecie chcieli, i niech załatwia to wszystko, jak potrafi najlepiej”.

Gorbaczowowi raz jeszcze się udało. Ale musiał ponieść koszty swego uporu. Jednomyślność Politbiura - metoda, którą partia komunistyczna posługiwała się, narzucając swoją wolę opornemu narodowi od ponad siedemdziesięciu lat - była wspomnieniem. Teraz nie można już było ukryć rozłamu w kierownictwie.

NOWY JORK
7 grudnia 1988

Chłopski syn spod Stawropola zaszedł daleko. W trzydziestotrzyletniej historii Organizacji Narodów Zjednoczonych rzadko którego polityka goszczonego przez Zgromadzenie Ogólne witano równie gorąco. Na zakończenie przemówienia Gorbaczowa prezydenci, ministrowie spraw zagranicznych i ambasadorowie stu pięćdziesięciu ośmiu państw zgotowali mu owację na stojąco. Gensek siedział na białym, podobnym do tronu krześle, kiedy w uszach wybrzmiewały mu brawa światowej społeczności. Po raz pierwszy radziecki gwiazdor wydawał się zdenerwowany, jakby przytłoczony tym, że znalazł się w centrum uwagi. Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł usta. Potem z lekka sztywno wstał, aby w ten sposób przyjąć aplauz.

W czasie godzinnego przemówienia Gorbaczow praktycznie przekreślił siedem dekad ideologii bolszewickiej. Odrzucił marksistowsko-leninowską ideę nie kończącej się „walki klasowej", wskazując raczej na „wyższość wartości ogólnoludzkich", łącznie z prawami człowieka, których Moskwa nie uznawała od dawna. Ogłosił koniec zimnej wojny, która pożerała energię dwóch supermocarstw, odkąd pamięcią sięgała większość Amerykanów i Rosjan. Stwierdził, że Związek Radziecki nie może pozostać „społeczeństwem zamkniętym", odizolowanym od gospodarki światowej. Utorował też drogę do swobód politycznych krajom Europy Wschodniej, przyrzekając respektowanie „wolnego wyboru" innych narodów. Gorbaczow potępił stosowanie siły w stosunkach międzynarodowych. Jako symbol nowych zamiarów Kremla ogłosił jednostronną redukcję sił zbrojnych o pół miliona ludzi[207].

Nowojorczycy, zazwyczaj zabiegani, pozdrawiali sekretarza generalnego niczym współczesnego mesjasza. Temperatura powitania przeszła najśmielsze oczekiwania. Doradcy Gorbaczowa ostrzegali go, że Nowy Jork jest miastem cynicznym, nieczułym na przyjazdy i wyjazdy nawet najznakomitszych dygnitarzy zagranicznych; chyba że utkną w korku ulicznym[208]. Radziecką kolumnę, składającą się z czterdziestu pięciu samochodów, witały okrzyki i roześmiane twarze wszędzie, gdzie się pojawiła.

Słychać było skandowanie „Gorbie, Gorbie!"; tu i ówdzie pojawiały się ręcznie wykonane plakaty na cześć „tego, który przynosi pokój". Jego nazwisko jaśniało wśród świateł Broadwayu. WITAMY TOWARZYSZA SEKRETARZA GENERALNEGO GORBACZOWA - głosił napis na elektronicznej tablicy świetlnej

przy Times Square, migając sierpem i młotem niczym reklama napoju chłodzącego. Maklerzy z Wall Street oderwali się od ekranów komputerowych, by oklaskami powitać przywódcę światowego komunizmu. W szaleństwie, jakie towarzyszyło wizycie Gorbaczowa, każdy, kogo dotknął gość, albo z kim rozmawiał, także wygrzewał się w świetle jego chwały. „Stał dokładnie tutaj” - zachwycał się, wciąż potrząsając głową, windziarz Gary Benaccio. Z entuzjazmem opowiadał dziennikarzom CBS, jak towarzyszył radzieckiemu przywódcy w drodze na najwyższe, sto siódme piętro World Trade Center. - „Wyglądał jak zwyczajny turysta”.

Powszechny podziw dał dwojakie rezultaty. Wiwatujące tłumy wywarły niezapomniane wrażenie na wszystkich członkach radzieckiej delegacji, a szczególnie na samym sekretarzu generalnym. Gorbaczow oczarował Zachód, ale też Zachód oczarował Gorbaczowa. Triumfalne przyjęcie wzmocniło w nim przekonanie, że pierestrojka jest słuszna i konieczna, nie tylko dla Związku Radzieckiego, ale dla całej ludzkości. Nie był jedynie kolejnym przywódcą ZSRR o twardym karku, ale człowiekiem, który może zmienić świat.

Zagraniczne podróże pozwalały Gorbaczowowi odpocząć od przybierających na sile problemów wewnętrznych. Tym razem jednak wytchnienie było bardzo krótkie. Kiedy limuzyna radzieckiego przywódcy mknęła ulicami Nowego Jorku, opuściwszy teren siedziby ONZ, do genseka dodzwoniła się Moskwa, pokonując gąszcz sieci telekomunikacyjnej Kremla. W słuchawce odezwał się bardzo podniecony premier Ryżkow. W Armenii właśnie nastąpiło straszliwe trzęsienie ziemi. W gruzach legły całe miasta. Były tysiące ofiar.

Gorbaczow słuchał premiera pogrążony w grobowym milczeniu. Na ulicach tłumy skandowały jego nazwisko. Tego wieczoru ponury i przygnębiony sekretarz generalny zapowiedział swoim doradcom, że przerywa zagraniczną podróż i wraca do kraju[209].

EREWAŃ
11 grudnia 1988

Trudno było o większy kontrast niż blask świateł Manhattanu i bolesna nędza Armenii. „W ciągu całego mojego życia nie widziałem jednej tysiącznej takiego cierpienia jak tutaj” - powiedział Gorbaczow, przedzierając się przez ruiny Leninakanu i Spitaku[210]. Ci, którzy przeżyli, pogrążeni w żalu, witali go obojętnie, niemal wrogo. Chcieli wiedzieć, dlaczego bloki mieszkalne zawaliły się tak łatwo, dlaczego naukowcy nie przewidzieli niszczących wstrząsów, dlaczego kraj ociągał się z udzieleniem pomocy.

Gdyby takie trzęsienie ziemi jak w Armenii nastąpiło w jednym z krajów zachodnich, spowodowałoby olbrzymie zniszczenia i ogromne straty w ludziach. Ale to, co na Zachodzie byłoby mimo wszystko dającą się opanować klęską żywiołową - w ZSRR stało się przytłaczającą katastrofą spowodowaną przez człowieka. Niechlujstwo budowniczych i przekupstwo lokalnych aparatczyków zwiększyło liczbę ofiar do dziesiątek tysięcy. Niemal pół miliona ludzi zostało bez dachu nad głową. Tylko nieliczne budynki w obszarze objętym klęską zbudowano w taki sposób, by wytrzymały wstrząsy, a przecież trzęsienia ziemi są w rejonie Kaukazu na porządku dziennym. Śledztwo wszczęte po katastrofie wykazało, że stalowe pręty zbrojeniowe, które miały zostać użyte do wzmocnienia budynków, zostały rozkradzione i sprzedane na czarnym rynku. Wielopiętrowe bloki mieszkalne były w rezultacie kruche jak pudełka zapałek.

W wyniku trzęsienia ziemi radzieckie organizacje obrony cywilnej okazały się beznadziejnie przeciążone i źle wyposażone. Chociaż przywódcy ZSRR posiadali środki do wysadzenia w powietrze całego świata i zastraszania najbliższych sąsiadów w Europie i Azji, we własnym kraju nie potrafili zorganizować skutecznej akcji ratunkowej. W rejony dotknięte kataklizmem wysłano oddziały wojska, ale żołnierze nie byli w stanie udzielić ludności należytej pomocy, ponieważ brakowało im odpowiedniego sprzętu do usuwania zwałów gruzu. W warunkach głasnosti niemożliwe było ukrycie niewydolności systemu transportowego, braku przyzwoitej pomocy medycznej, odrażających warunków mieszkalnych. Podobnie jak Czarnobyl, armeńskie trzęsienie ziemi stało się metaforą systemu społeczno-politycznego, potężnego pod względem militarnym, ale ułomnego gospodarczo, zaawansowanego technicznie, ale zacofanego społecznie.

Nagły przeskok od międzynarodowego triumfu do tragedii w kraju tym bar-

dziej uzmysłowił Gorbaczowowi, przed jak wielkim stanął wyzwaniem. Przekonywanie Reagana i Amerykanów, by przychylniejszym okiem spoglądali na „imperium zła” było drobnostką w porównaniu z przerażającym zadaniem uzdrawiania Związku Radzieckiego. Człowiek, którego uznawano za cudotwórcę na arenie międzynarodowej, własnemu społeczeństwu miał do zaoferowania niewiele poza wykładami i przemowami. Na Zachodzie Gorbaczowa fetowano jako przywódcę, który zakończył zimną wojnę i dokonał redukcji radzieckich sił zbrojnych. W kraju rodacy zaczęli określać go mianem *bołtuna* (gaduły), człowieka, którego piękne słowa nie mają praktycznie żadnego znaczenia.

Jeszcze nigdy poparcie polityczne dla Gorbaczowa nie stopniało tak znacznie i tak szybko, jak w Armenii - małym, chrześcijańskim kraju, który tradycyjnie spoglądał w stronę Rosji, licząc na obronę przed zagrożeniem tureckim. Przed rokiem Ormianie uważali Gorbaczowa za bohatera. Dzięki głasnosti mogli dać upust swej dawnej narodowej urazie: decyzji Stalina o włączeniu Górskiego Karabachu do tureckiego Azerbejdżanu, wbrew życzeniom głównie ormiańskiej ludności. Na ulicach Erewania odbyło się kilka wielkich demonstracji pod hasłem samostanowienia dla Karabachu. Początkowo Gorbaczow zdawał się sympatyzować z Ormianami. Obejrzawszy taśmy wideo nagrane przez KGB w czasie manifestacji w lutym 1988 roku, powiedział swoim kolegom z Politbiura, że w tych protestach nie ma „niczego antyradzieckiego”[211]. Zrobiło na nim wrażenie, że wielu demonstrantów niosło w czasie pochodu jego portrety.

Jednak w grudniu poglądy Gorbaczowa uległy radykalnej zmianie. Ożywienie uczuć narodowych w Armenii sprowokowało reakcję w Azerbejdżanie. W Sumgaicie, azerskim mieście z dużą mniejszością ormiańską, doszło do antyormiańskich zamieszek. Setki tysięcy Ormian i Azerów zmuszonych było opuścić swoje domy. Był to pierwszy sygnał nowego i złowieszczego trendu politycznego, który miał towarzyszyć upadkowi komunizmu: czystek etnicznych.

Pod koniec wizyty w Armenii sekretarz generalny zdradzał rosnącą frustrację polityczną. Wykorzystał wywiad wyemitowany w radzieckiej telewizji do zaatakowania ormiańskich nacjonalistów jako „awanturników” i „politycznych hochsztaplerów”, którzy żerują na nędzy własnego narodu. Wkrótce potem wydał rozkaz aresztowania kierownictwa komitetu w Karabachu, który organizował demonstracje w Erewaniu.

W Związku Radzieckim w ciągu dwóch i pół roku po Czarnobylu wydarzyło się coś ważnego. Teraz przeciwko władzy komunistycznej buntowała się nie tylko

„materia nieożywiona”, jak wyraził się Adam Michnik. Na Kaukazie i w republikach nadbałtyckich dołączyła do niej także „materia ożywiona”. Wkrótce fala powszechnego niezadowolenia zalała również politycznie uśpiony, słowiański matecznik Związku Radzieckiego. „Rewolucja odgórna” stała się „rewolucją oddolną”.

Gorbaczow stracił kontrolę nad własnym dziełem.

CZĘŚĆ TRZECIA
BUNT NARODÓW

Tam, gdzie raz zaczęła powiewać flaga Rosji, nie wolno jej opuszczać.

Mikołaj I, 1850

Towarzysze, mamy wszelkie prawo twierdzić, że rozwiązaliśmy kwestię narodowościową w tym kraju.

Michaił Gorbaczow, listopad 1987

TERMEZ
15 lutego 1989

Michaił Gorbaczow miał w pamięci obraz amerykańskich śmigłowców startujących z dachu ambasady USA w Sajgonie. Pamiętał, jak ich załogi, marines, spychały rozpaczliwie wdrapujących się na pokład Wietnamczyków. Powiedział swoim doradcom, że byłoby mu wstyd, gdyby radzieckie wojska uciekały z Afganistanu podobnie jak Amerykanie z Wietnamu[1]. Chciał, aby wycofywanie oddziałów Armii Czerwonej odbywało się w ładzie, jak przystało na supermocarstwo.

Zgodnie z życzeniem Gorbaczowa, dołożono wszelkich starań, aby stworzyć wrażenie, że Armia Czerwona „spełniła swoją internacjonalistyczną powinność". Kiedy kolumny czołgów i pojazdów opancerzonych kolejno przeprawiały się przez „Most Przyjaźni" łączący brzegi błotnistej rzeki Amu-daria, starożytnego Oksusa, orkiestra wojskowa zaczęła grać patriotycznego marsza. Wiatr niósł dumne dźwięki melodii wojskowych. Zahartowanych w walce weteranów, o twarzach ogorzałych w afgańskim słońcu, powitało mnóstwo pocałunków i bukiety goździków wręczane im przez uszczęśliwione rodziny. Prawie każdy wracał z jakimś medalem na piersi. „Spełniliśmy obowiązek wobec Ojczyzny" - głosił napis na czerwonym transparencie wiszącym nad zaimprowizowanym placem defilad.

Patriotyczne hasła i okrzyki triumfu wznoszone na tym placu nie zdołały jednak przesłonić goryczy, którą odczuwało wielu żołnierzy powracających do ZSRR po bezowocnej, dziewięcioletniej wojnie. Wkraczając na terytorium radzieckie, dowódcy z pogardą wypowiadali się o politykach, którzy wysłali ich do Afganistanu, oraz o tamtejszym reżymie komunistycznym, którego usiłowali bronić.

„Tam panuje średniowiecze" - obwieścił pułkownik specnazu, wskazując ręką na kraj, który właśnie opuścił. - „Naród afgański nie jest jeszcze gotowy do rewolucji socjalistycznej".

„To była tragedia" - stwierdził inny weteran. - „Wspieraliśmy rząd, który nie miał poparcia samych Afgańczyków"[2].

Mimo że porozumienia genewskie przewidywały całkowite wycofanie oddziałów radzieckich do 15 lutego 1989 roku, w zachodnich stolicach panował spory sceptycyzm co do tego, czy Gorbaczow dotrzyma obietnicy. Od czasów Piotra

Wielkiego historia Rosji była historią ciągłej ekspansji, przerywanej sporadycznie przez zagraniczne inwazje czy kataklizmy wewnętrzne. W ciągu kilku stuleci władcy Rosji ustanowili swoje panowanie na olbrzymich połaciach Eurazji - obszarze zamieszkanym przez ponad sto różnych grup etnicznych. Aby utrzymać w ryzach te terytoria, Rosja musiała przekonać wielu swoich wrogów, że wycofanie się w ogóle nie wchodzi w rachubę. Gdyby Rosja zaczęła porzucać swe kolonialne zdobycze, nawet te całkiem nieznane i kosztowne w obronie, jej pozycja wielkiego mocarstwa mogłaby zostać zakwestionowana.

Doktrynę terytorialną Rosji zwięźle wyraził car Mikołaj I w 1850 roku po opanowaniu przez pewnego oficera marynarki wojennej należących do Chin terenów nad Amurem. Oficer ów działał z własnej inicjatywy, bez rozkazów z Petersburga. Niektórzy z doradców cara skłonni byli oddać zdobyte terytorium, nie miało ono bowiem większego znaczenia strategicznego. Ale Mikołaj inaczej zapatrywał się na tę sprawę. „Tam, gdzie raz zaczęła powiewać flaga Rosji, nie wolno jej opuszczać' - stwierdził. Upór cara i brak elastyczności wywierały pożądane wrażenie na innych władcach. „Rosyjska polityka agresji jest powolna i spokojna, ale zdecydowana i niezmienna" - zauważył emir Afganistanu około trzydziestu lat później. - „Skoro Rosjanie raz się na coś zdecydują, nie zatrzymują się ani nie zmieniają swej polityki"[3].

Bolszewicy wyznawali podobną do carskiej doktrynę terytorialną, choć przyoblekli ją w szaty marksizmu-leninizmu. Dwa lata po inwazji, w 1982 roku, „Prawda" opisywała rewolucję afgańską jako „nieodwracalną", ponieważ była to „rewolucja całego ludu, cieszącą się solidarnym poparciem Związku Radzieckiego"[4]. Radzieccy przywódcy z jeszcze jednego powodu pragnęli zachować tę część ostatniego wielkiego imperium kolonialnego na świecie. Największym osiągnięciem reżymu radzieckiego, obok pokonania III Rzeszy w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, było stworzenie i ciągłe poszerzanie sieci państw satelickich. Stanowiła ona dowód żywotności komunizmu, służąc zarazem jako ideologiczne usprawiedliwienie dziesięcioleci trudności gospodarczych i represji politycznych. Obywatele radzieccy mogli żyć w brudzie, smrodzie i ubóstwie, ale historia - jak kazano im wierzyć - była po ich stronie: prędzej czy później komunizm zatriumfuje na całym świecie.

To właśnie tę doktrynę - nieodwracalności procesów historycznych - podważyło wycofanie się z Afganistanu. Skoro siły socjalizmu zostały pokonane w Afganistanie, Kreml mógł się spodziewać trudności z utrzymaniem takich krajów, jak Nikaragua, Etiopia czy Polska.

Generał porucznik Borys Gromow, ostatni dowódca wojsk radzieckich w Afganistanie, potrzebował aż tygodnia na pokonanie pięćsetkilometrowego odcinka drogi wiodącej przez przełęcz Salang, ciągnącej się w górzystym terenie od Kabulu do Termezu. Termez, założony przez Aleksandra Wielkiego, splądrowany przez Dżyngis-chana, został wcielony do imperium carskiego pod koniec XIX wieku, w czasie wielkiego parcia na południe. Tędy przed dziewięciu laty oddziały radzieckie wkraczały do Afganistanu, tędy też wiódł główny szlak ich odwrotu.

Długie kolumny radzieckich pojazdów wojskowych ostrożnie posuwały się naprzód: Sowieci wiedzieli, że mogą zostać zaskoczeni przez partyzantów, którzy kontrolowali już ponad cztery piąte terytorium Afganistanu. Aby udaremnić niespodziewane ataki, radzieckie oddziały specjalne systematycznie niszczyły setki afgańskich wiosek usadowionych na wyniosłych wzgórzach po obu stronach autostrady. Gdziekolwiek spojrzeli wycofujący się żołnierze, widzieli skutki wojny, która kosztowała życie piętnastu tysięcy ich towarzyszy i ponad miliona Afgańczyków. W drodze do Termezu mijali pozbawione dachów lepianki, podziurawione kulami ściany i połacie straszliwie zgruchotanych pniaków - pozostałości wspaniałych niegdyś sadów. Po obu stronach szosy tkwiły pordzewiałe skorupy wypalonych czołgów i poskręcane wraki wojskowych ciężarówek.

Na miesiąc przed wyjazdem z Kabulu Gromow otrzymał wiadomość od dowódcy partyzantki afgańskiej, który kontrolował wzniesienia wokół drogi Salang, Ahmada Szaha Masuda: „Dajemy sobie radę z wojną i waszą obecnością w naszym kraju już od blisko dziesięciu lat. Z Bożą pomocą damy sobie radę jeszcze przez kilka dni. Ale jeśli podejmie pan przeciwko nam działania zbrojne, spotka się pan z odpowiednią reakcją”. Mimo propozycji Masuda, by ogłosić zawieszenie broni, między mudżahedinami i wycofującymi się oddziałami radzieckimi wybuchały sporadycznie potyczki. Gromow wszczął w odwecie Operację „Tajfun”. W czasie swojej ostatniej operacji zaczepnej w Afganistanie Armia Czerwona przeprowadziła ponad tysiąc ataków śmigłowcowych na podejrzane pozycje mudżahedinów wokół drogi Salang. Rakiety dalekiego zasięgu niszczyły afgańskie bazy zaopatrzeniowe[5].

Poza tym wycofywanie się przebiegało dość spokojnie. Pogoda bardziej dawała się we znaki Sowietom niż mudżahedinom. Ci ostatni powstrzymywali się od nękania wrogów opuszczających kraj. W schodzących co parę dni lawinach zginęło na przełęczy Salang (3658 m n.p.m.) kilku żołnierzy. 40. Armia dotarła do granicy bez dalszych strat.

Gromow spędził ostatnią noc w Afganistanie w mieście Chairaton, po południowej stronie „Mostu Przyjaźni”. On i jego ludzie odczuwali niewyobrażalną ulgę na myśl o powrocie do domu. Gromow spędził w Afganistanie blisko sześć lat. Nie miał zbyt wielu złudzeń co do możliwości przetrwania Nadżibullaha bez wsparcia radzieckich czołgów. Od niemal dziesięciu lat afgańscy komuniści skutecznie manipulowali Sowietami, wciągając ich w swoją wojnę. Teoretycznie rzecz biorąc, radzieccy żołnierze, którzy przybyli tu z „internacjonalistyczną” pomocą, bronili „sprawy socjalizmu”. Gromow zdał sobie jednak sprawę, że w praktyce bronili niechcianego rządu przed wewnętrznymi przeciwnikami. Komuniści w Afganistanie nie zdołali zdobyć serc i umysłów własnego narodu. Przywódcy, wyniesieni do władzy przy udziale Sowietów, byli głupi, skorumpowani i całkowicie uzależnieni od obcej pomocy[6].

Sporo trudności sprawiało Gromowowi tłumaczenie swoim podwładnym, co właściwie robią w Afganistanie. Standardowa formuła - „spełnianie internacjonalistycznej powinności” - nie zdawała już egzaminu. Dopóki do władzy nie doszedł Gorbaczow, Związek Radziecki uparcie twierdził, że nie prowadzi wojny w Afganistanie. Weterani tej wojny nie byli witani w kraju jak bohaterowie, ale jak pariasi. Ojczyzna jakby się ich wstydziła i z niechęcią przyjmowała do wiadomości ich poświęcenia. Wkrótce Gromow doszedł do wniosku, że wraz ze swoimi ludźmi bierze udział w wojnie, której nie można wygrać. W tej sytuacji jego obowiązkiem było ograniczyć radzieckie straty w walce do minimum. Taki cel postawił sobie, gdy w 1987 roku został wyznaczony na dowódcę „ograniczonego kontyngentu” radzieckiego w Afganistanie[7].

Kiedy dokonywał końcowej inspekcji radzieckich koszar w Chairatonie, z niesmakiem patrzył na magazyny wypełnione setkami ton żywności i materiałów budowlanych. W Afganistanie marnotrawiono nie tylko życie ludzkie. Wojna nadwerężyła radziecką gospodarkę, przyczyniając się do powszechnych braków zwykłych artykułów codziennego użytku w ZSRR. Za kilka godzin te olbrzymie stosy cukru, mąki, cementu czy dachówek zostaną przekazane armii afgańskiej. Gromow wiedział ze swego gorzkiego doświadczenia, co się stanie z nimi zaraz potem. Kilka tygodni wcześniej żołnierze afgańscy splądrowali radzieckie koszary w Dżalalabadzie, na południu kraju, wynosząc wszystko: od telewizorów i wentylatorów po łóżka i futryny wraz z drzwiami. Wiele ze skradzionych przedmiotów wkrótce trafiło na czarny rynek[8].

Gromow obiecał sobie, że będzie ostatnim żołnierzem, który opuści Afganistan. Powiedział dziennikarzom, że samotnie przejdzie przez „Most Przyjaźni”,

kiedy będzie wiedział, że wszyscy jego ludzie bezpiecznie dotarli na terytorium ZSRR. Przekraczając granicę, odwróci się w stronę Afganistanu i „powie to, co trzeba". Kiedy wiadomość o jego zamierzeniach dotarła do Moskwy, wywołała zaniepokojenie w Ministerstwie Obrony, które nie przepadało za teatralnymi gestami niezależnie myślących generałów polowych.

„Dlaczego chcesz wyjść ostatni, a nie pierwszy, jak przystało na dowódcę?" - warknął minister obrony, Dmitrij Jazów, kiedy w końcu udało mu się dodzwonić do Gromowa, dzięki specjalnej linii telefonicznej z Chairatonem.

„To moja własna decyzja, jako dowódcy armii" - odparł czterdziestosześcioletni generał. - „Uważam, że pięć i pół roku służby w Afganistanie daje mi prawo do lekkiego naruszenia wojskowej tradycji"[9].

Jazów chrząknął, ale nic nie powiedział.

Dla Gromowa wojna kończyła się tak samo, jak się zaczęła - we wstydliwym milczeniu. Czuł się dotknięty, że ani Gorbaczow, ani żaden inny przywódca radziecki nie pofatygował się do Termezu, by powitać wracające do ojczyzny wojsko. Nawet minister obrony czy choćby któryś z jego zastępców nie uznali za stosowne wziąć udział w uroczystościach powitalnych. Wobec tego ceremoniom przewodzili niskiego szczebla urzędnicy republiki Uzbekistanu. W rezultacie wojsko samo musiało sobie zorganizować powitanie. Moskwa odrzucała wielokrotnie ponawiane prośby o odznaczenie 40. Armii zbiorowym medalem za służbę w Afganistanie, jak nakazywała tradycja. Wyglądało na to, że Politbiuro chciało umyć ręce od afgańskiej awantury. Gromów uznał, że politycy chcą przerzucić winę na żołnierzy, którzy wykonywali tylko rozkazy swoich politycznych zwierzchników.

Przez większość nocy nie mógł zasnąć. Myślał o tym, co widział i co robił w Afganistanie od stycznia 1980 roku, dokąd dotarł w miesiąc po inwazji. Czuł się wewnętrznie pusty i zdradzony. Mimo że jego oddziały zwyciężały we wszystkich pojedynczych starciach z mudżahedinami, przegrały wojnę, ponieważ brakowało im niezbędnego poparcia Afgańczyków. Zdaniem Gromowa, Związek Radziecki poniósł raczej klęskę polityczną niż militarną. Tak czy inaczej poniósł klęskę. Trudno było przewidzieć konsekwencje tak druzgocącej przegranej. Przyszłość zarówno kraju, jak i armii spowijała mgła niepewności.

Gromow myślał także o tym, co spotkało jego rodzinę w czasie, gdy on walczył. Gdy drugi raz został odkomenderowany do Afganistanu, jego żona zginęła w katastrofie lotniczej. Dwaj synowie Gromowa, Maksym i Andriej, dorastali bez

matki i ojca. Wystarczająco długo był poza domem.

W końcu, około czwartej nad ranem, udało mu się zasnąć. Po godzinie wybił go ze snu hałas silników i głośne dowcipy o wojnie opowiadane przez żołnierzy. Ubrał się starannie, prosząc adiutanta, by dokładnie zlustrował jego mundur, i upewnił się, że będzie wyglądał nienagannie podczas przekraczania „Mostu Przyjaźni". Wydał rozkaz oddziałom ubezpieczającym odwrót, by wycofały się z ostatnich pozycji wokół Chairatonu. Na zewnątrz, na placu defilad, w szeregu ustawili się żołnierze 201. Dywizji Zwiadu. Tuż obok stały transportery opancerzone. Wszyscy czekali na rozkaz wymarszu. Gromow wygłosił podnoszące na duchu przemówienie, mówiąc żołnierzom, że przejdą do historii jako ostatni oddział armii radzieckiej, który opuścił Afganistan. Kiedy żołnierze maszerowali obok niego, zauważył, że wielu z nich ma w oczach łzy.

Kilka minut później Gromow wspiął się na własny transporter, na którym pokonać miał ostatnie metry dzielące go od terytorium ZSRR. „Most Przyjaźni" był opustoszały. W oddali, po radzieckiej stronie żelaznego mostu, widział tłum dziennikarzy i witających. Stał tam też jego czternastoletni syn Maksym. Zeskoczył z pojazdu i dalej poszedł pieszo. Na środku mostu, dokładnie na granicy państwowej, odwrócił się w stronę kraju, który opuścił, i powiedział „to, co trzeba".

Mówiąc cicho, tak aby nikt go nie słyszał, ostatni dowódca 40. Armii ZSRR bez ogródek przeklął przywódców, którzy wysłali milion radzieckich chłopców, by bronili „sprawy socjalizmu" w zacofanym, górzystym kraju o długiej tradycji walki z najeźdźcami. I poprosił o przebaczenie matki piętnastu tysięcy żołnierzy, którym nie dane było wrócić z Afganistanu[10].

MOSKWA
26 marca 1989

Zgodnie z klasyczną teorią marksistowsko-leninowską, przywilejem imperialnej metropolii jest wykorzystywanie kolonii dla własnych korzyści i używanie jej jako źródła tanich surowców oraz rynku zbytu dla tandetnych towarów przemysłowych. W wypadku ZSRR działo się coś zupełnie przeciwnego. Rosja eksportowała ropę naftową po znacznie zaniżonych cenach do takich krajów, jak Estonia, Polska czy Kuba. Czasami otrzymywała w zamian horrendalnie drogie towary konsumpcyjne; często nie otrzymywała nic. Pogrążone w kryzysie kraje Trzeciego Świata, jak Afganistan, Etiopia czy Nikaragua, nieprzerwanie wysysały zasoby ZSRR. W komunizmie nie można dokładnie rozgraniczyć narodów eksploatowanych od eksploatujących. Rabunkowy system planowania centralnego eksploatował wszystkich, a w największym stopniu - samych Rosjan.

Niepowodzenia geopolityczne i gospodarcza ruina kraju skłoniły Rosjan do porzucenia spraw zagranicznych i zajęcia się własnymi problemami. Dzięki głasnosti mogli teraz porównać własne warunki życia z warunkami panującymi w innych państwach. Z rozczarowaniem odkryli, że znajdują się na samym dnie. Wielkie terytoria i olbrzymia potęga militarna przyniosły przeciętnym obywatelom ZSRR jedynie ból i biedę. W posadach chwiało się społeczne przyzwolenie z czasów Breżniewa - na złe, choć stopniowo polepszające się warunki życia w zamian za dumę ze statusu supermocarstwa.

Bunt szarych obywateli był warunkiem wstępnym udanych rewolucji w Europie Wschodniej. Narody podporządkowane władzy radzieckiej domagały się wolności, Rosjanie - zerwania z nędzą własnej gospodarki. W końcu te dwa elementy zlały się w jeden wielki targ policzny, który odmienił oblicze komunistycznego świata.

Michaił Gorbaczow był pierwszym radzieckim przywódcą, który okazał prawdziwe zainteresowanie poglądami swych rodaków. Wiosną 1988 roku, już po zakończeniu sprawy Niny Andriejewej, podjął przełomową decyzję. Chciał mianowicie posłużyć się opinią publiczną w walce z nomenklaturą. Sfrustrowany opozycją biurokratów partii komunistycznej wobec reform, znalazł narzędzie, które - jak sądził - pozwoli mu okpić ich wszystkich. Powołując się na bolszewickie hasło „Cała władza w ręce rad”, zaproponował stworzenie ciała legislacyjnego wyposażonego w spory zakres władzy. Prawdziwy parlament miał zastąpić starą

Radę Najwyższą - fasadowe ciało składające się z partyjnych najemników i ledwie kilku ideowców.

Ogłoszenie terminu pierwszych wyborów w historii Związku Radzieckiego (26 marca 1989 roku) wywołało falę emocji politycznych. Wkrótce cały kraj toczył gigantyczną debatę, rozgrywającą się w studiach telewizyjnych, na placach miejskich, w salach konferencyjnych, klasach szkolnych, koszarach i na łamach prasy. Zgiełk rozdyskutowanych głosów oszałamiał i uwznioślał. Strach stopniał niczym kry na rosyjskich rzekach po długiej zimie, z potężnym trzaskiem. Nagle się okazało, że każdy ma swoje zdanie. Mury zostały pokryte hasłami politycznymi, kobiety stojące w kolejkach po artykuły spożywcze dawały upust swej niechęci wobec rządu, na rogach ulic rozdawano antykomunistyczne odezwy.

Kiedy zaczął się zbliżać termin wyborów, komunistyczni aparatczycy wpadli w panikę. Kontraktowa ordynacja wyborcza przewidywała z góry określoną większość kandydatów reżymowych, ale w wielu wypadkach mechanizm ten nie gwarantował im wyboru. Zapowiadał się ekscytujący spektakl, w którym komunistycznych Goliatów mieli uśmiercić Dawidowie pochodzący z ludu. Była to walka o przetrwanie zarówno polityczne, jak i osobiste. W Związku Radzieckim koneksje polityczne były kluczem do uprzywilejowanego stylu życia: większego mieszkania, lepszych racji żywnościowych, możliwości podróży zagranicznych, dostępu do rządowej daczy, lepszej opieki lekarskiej, a niekiedy nawet samochodu. Utrata miejsca w nomenklaturze była druzgocąca - psychologicznie, zawodowo, a także finansowo.

W oczach wielu symbolem walki o demokrację w Związku Radzieckim byli czołowi kandydaci opozycji, jak na przykład Borys Jelcyn czy Andriej Sacharow. Obaj, aby dostać się na listy wyborcze, musieli pokonać niezwykłe przeszkody biurokratyczne. Jelcyn, jako renegat wywodzący się z Polit- biura, zdecydował się ubiegać się o miejsce z okręgu obejmującego całą Moskwę, co umożliwiłoby mu reprezentowanie sześciu milionów wyborców. Energiczne wysiłki próbujących go zdyskredytować władz komunistycznych tylko zwiększyły jego popularność wśród przeciętnych moskwian. Sacharow otrzymał nominację do miejsca w parlamencie zarezerwowanego dla prestiżowej Akademii Nauk ZSRR - instytucji, która przyłączyła się niegdyś do kremlowskiej kampanii poniżania go za obronę praw człowieka i kontestowanie wojny w Afganistanie. Biurokraci stojący na czele Akademii usiłowali zrazu zablokować jego kandydaturę, ale zmuszeni byli ustąpić wobec ostrych protestów wyrażanych podczas serii wieców, które zorganizowali szeregowi członkowie tej instytucji.

Na Zachodzie uznano by to za niezwykle siermiężną kampanię wyborczą. Nie było tu zmyślnych reklam telewizyjnych, fachowców od kreowania image'u, akcji zbierania funduszy ani sztabów wyborczych. Rzadko widywało się nawet plakaty wyborcze - przeważały wyświechtane maszynopisy, które przyszpilano do ściany, aby wyborcy mogli poznać zamiary tego czy innego kandydata. Najważniejszą formą propagowania programu wyborczego był jednak wiec polityczny.

KPZR pełną garścią czerpała ze swego skarbca brudnych sztuczek, aby tylko wyprowadzić w pole wyborców. Oficjele partyjni przysyłali na wiece własnych ludzi, którzy nie dopuszczali, aby nazwiska opozycjonistów znalazły się na listach wyborczych. Na terenach wiejskich wielu aparatczyków kandydowało samotnie, ponieważ ludzie wciąż bali się ujawniać swoje poglądy.

A jednak! Kiedy ogłoszono wyniki wyborów, aparatczycy przeżyli potężny wstrząs. W większości okręgów, gdzie wyborcy mieli jasny wybór, kandydaci nominowani przez partię ponieśli klęskę. Lista pokonanych przypominała *Who's who* radzieckiego życia publicznego: byli tam członkowie Biura Politycznego, generałowie, kosmonauci, ministrowie i przewodniczący rad miejskich oraz szefowie partii w Moskwie, Leningradzie, Kijowie, Mińsku i wielu innych wielkich miastach. W Moskwie Jelcyn zmiażdżył swego komunistycznego rywala zaskakującą większością głosów - ich stosunek wynosił trzynaście do jednego. W republikach nadbałtyckich masowe ruchy społeczne, które zaczęły z wolna przebąkiwać o „suwerenności narodowej" i „niepodległości", także pokonały kandydatów KPZR. Na Ukrainie, która uważana była wcześniej za bastion komunistycznej konserwy, partyjni bossowie również ulegli kandydatom narodowym.

Wyniki wyborów zaskoczyły moskiewskich intelektualistów, sprawiając im prawdziwą przyjemność. Pierwotnie uważali oni bowiem lud radziecki za ciemną masę, nieczułą na idee demokratyczne. „Odtąd mój kraj już nigdy nie będzie taki sam" - podniecał się poeta Andriej Wozniesienski, rzecznik pokolenia *szestidiestianikow*. - „My, intelektualiści, zawsze się uważaliśmy za symbol demokracji. Myśleliśmy jednak, że ludzie nie są na nią gotowi. To radosna nowina, że wszyscy tak bardzo się myliliśmy"[11].

Mimo potężnego sukcesu reformatorów, konserwatyści wciąż mieli automatycznie zapewnioną większość w nowej legislaturze. Jedna trzecia spośród 2250 miejsc na Zjeździe Deputowanych Ludowych zarezerwowana była dla komunistycznych „organizacji społecznych", łącznie z partią. Kandydaci KPZR dobrze wypadli w okręgach wiejskich i na tradycyjnie konserwatywnych obszarach Azji Środkowej czy Białorusi.

Aparatczycy doznali poważnego uszczerbku, ale wcale nie wypadli z gry. Kilka dni po klęsce przy urnach wyborczych zostali wciągnięci do działania przez niepokoje narodowe w niespokojnej zakaukaskiej Gruzji, gdzie urodził się Józef Stalin. Wkrótce już mieli przeprowadzić kontratak.

TBILISI
9 kwietnia 1989

Lewą rękę wsparłszy na srebrnym pastorale, patriarcha prawosławnego Kościoła gruzińskiego cierpliwie czekał, aż zapadnie cisza. Rozpościerająca się przed nim szeroka, wysadzana drzewami aleja wypełniona była ludźmi. Oświetlone setkami migających płomieni świec, młode przeważnie twarze wyrażały oczekiwanie i determinację. Gruzini, jeden z najstarszych ludów Kaukazu, zamieszkujący mityczną krainę Złotego Runa, przepojeni byli poczuciem swej odrębności narodowej. Katolikos Ilia II wiedział, że nie przyjdzie mu łatwo przekonać swych rodaków, by się teraz wycofali. Ale poczuwał się do obowiązku, by podjąć próbę.

„W imię Boga Ojca, Boga Syna i Boga Ducha Świętego. Bóg z nami”[12].

Kiedy osiemdziesięciodwuletni patriarcha Gruzji wypowiadał swe błogosławieństwo, w tłumie zaległa cisza. Była 3.15 nad ranem. Przed gmachem gruzińskiego parlamentu, na alei Rustawelego - głównej arterii Tbilisi - tłoczyło się około dziesięciu tysięcy ludzi. Niektórzy z demonstrantów trzymali plansze z wypisanymi ręcznie hasłami po gruzińsku i angielsku, jak na przykład „Żądamy niepodległej Gruzji”, „Precz z władzą radziecką”, „Rosyjscy okupanci - wracajcie do domu”. Inni powiewali zakazanymi czarno-czerwono-białymi flagami przedkomunistycznej Republiki Gruzji. Kraj ten w latach 1918-1921 cieszył się krótkim okresem niepodległości, po czym został zdobyty przez Armię Czerwoną. Czerń symbolizowała pełną cierpień przeszłość narodu gruzińskiego, czerwień - jej broczącą krwią teraźniejszość, biel zaś - wspaniałą przyszłość.

W drodze do parlamentu ze swej rezydencji na starym mieście patriarcha widział radzieckich żołnierzy i pojazdy opancerzone gromadzące się na placu Lenina, kilkaset metrów od budynku parlamentu. Oficjele gruzińscy powiedzieli mu, że armia zamierza użyć siły, by rozproszyć demonstrację. Mówił powoli, z długimi przerwami, licząc na to, że rozsądek zwycięży emocje. „Cała Gruzja was docenia. Naród rozumie, co robicie. Wszyscy wiedzą, jak to dla nas ważne. Ale nie możemy ignorować prawdziwego niebezpieczeństwa, które nam zagraża. Właśnie teraz! Dlatego przybyłem, aby wam pobłogosławić i prosić, byście odeszli”.

Był to piąty dzień protestu przed siedzibą parlamentu, który rozpoczął się od strajku głodowego kilkuset studentów potępiających separatystyczne wysiłki

mniejszości abchaskiej. Do protestujących przemawiali opozycjoniści gruzińscy. Strajkujący wnet przyjęli bardziej radykalną, narodową postawę. Pojawił się postulat powołania rządu tymczasowego, obalenia komunistów i przywrócenia niepodległości Gruzji. Władze, przerażone możliwością utraty panowania nad protestującymi, wezwały na pomoc wojsko. Poprzedniego dnia ulicami stolicy przejechała kolumna czołgów i pojazdów opancerzonych. Nad nimi krążyły śmigłowce. Demonstracja siły nie tylko nie poskromiła mieszkańców Tbilisi, ale wręcz napełniła ich większym zapałem. Kiedy rozniosły się pogłoski o zbliżającej się rozprawie siłowej, tłumy zaczęły stale rosnąć. Nie uzbrojeni demonstranci zabarykadowali wszelkie dojścia do budynku parlamentu porzuconymi betoniarkami oraz, przede wszystkim, miejskimi autobusami, którym spuszczono powietrze z kół. Patriarchę, stojącego na kamiennych stopniach oświetlonego rzęsiście gmachu parlamentu, otaczali czołowi przywódcy opozycji. Obok, w zaimprowizowanych namiotach z plastykowej folii, na niewielkim trawniku wzdłuż schodów przycupnęli uczestnicy strajku głodowego, zwróceni twarzami do tłumów. Przed kilkoma minutami demonstranci tańczyli i śpiewali ludowe piosenki gruzińskie. Kiedy słuchali słów patriarchy, apelującego o rozejście się, stawali się coraz bardziej ponurzy i nieprzejednani.

Ilia II spróbował raz jeszcze: „Możliwe, że zostało nam tylko kilka minut. Wciąż mamy szansę pójść do katedry, żeby się tam modlić".

„Nie idziemy!" - krzyknął jeden z demonstrantów.

„Nie cofniemy się ani o krok!" - krzyknęli inni. - „Złożyliśmy przysięgę, że nie opuścimy placu!"

Nagle tłum zaczął skandować: „Niech żyje Gruzja!", „Niech żyje niepodległość Gruzji!"

Patriarcha wiedział, co się zaraz stanie, ale czuł się bezsilny. „Czy chcecie zginąć?" - wyszeptał do jednego z demonstrantów, który stał tuż obok. Kiedy opuszczał plac, z głośników brzmiał podniecony głos jednego z przywódców. Dwudziestoośmioletni Irakli Cereteli mówił:

„Dziś w nocy narodzimy się na nowo. Nie zejdziemy z drogi demokracji, drogi niepodległości, drogi Boga. Bóg z nami".

„Amen!" - ryknął tłum.

„Bóg z nami."

„Amen!"

„Przysięgliśmy, że nigdy się nie wycofamy. Najlepsi synowie Gruzji dotrzymają przysięgi, nie ugną się przed wrogiem".

„Daliśmy słowo!"

Kiedy patriarcha przemawiał do demonstrantów przed gruzińskim parlamentem, człowiek, który miał zdecydować o ich losie, wielkimi krokami przemierzał wzdłuż i wszerz plac Lenina. Pięćdziesięciotrzyletni generał pułkownik Igor Rodionow należał do najbardziej doświadczonych dowódców w armii radzieckiej. Służył w Afganistanie, gdzie wprawił we wściekłość swoich przełożonych, kiedy odmówił otwarcia ognia do bezbronnych cywilów. Jako zwierzchnik sił zbrojnych zakaukaskiego okręgu wojskowego w ciągu minionego roku spędził sporo czasu na nie kończących się negocjacjach z wojowniczymi frakcjami w Armenii i Azerbejdżanie. Brał także udział w akcji ratunkowej w Armenii po trzęsieniu ziemi w grudniu 1988 roku. Fanatycznie wierzył w ład i dyscyplinę. Całe jego życie obracało się wokół spraw armii. Szczerze gardził skłóconymi politykami tego regionu ZSRR.

Ludzie, którzy po raz pierwszy stykali się z Rodionowem, byli pod wrażeniem jego inteligencji i zdradzających wykształcenie manier. Ale wkrótce zaskakiwała ich inna strona jego charakteru: całkowita, niemal ślepa lojalność względem partii. Był to człowiek, który wzrastał całkowicie w ramach systemu. Podobnie jak wielu jego kolegów z wojska, rozczarowany był masowymi niepokojami politycznymi w ZSRR. Czuł się głęboko urażony antyradzieckimi i antyrosyjskimi hasłami, jak na przykład „Precz z rosyjskim imperializmem", krzyczącymi z murów Tbilisi. Demonstrantów, którzy opanowali plac przed parlamentem, uważał za kontrrewolucjonistów usiłujących obalić ład konstytucyjny. Z jego punktu widzenia nie była to bynajmniej demonstracja pokojowa. Była to „antyradziecka orgia"[13].

Na początku Rodionow niechętnie odnosił się do udziału armii w kryzysie gruzińskim. Zapewnianie porządku publicznego było zadaniem milicji, a nie wojska. Ale zmienił zdanie, kiedy żądania demonstrantów stały się bardziej wygórowane. Siły miejscowej bezpieki były już nadmiernie obciążone w związku z zaburzeniami w Abchazji. Rodionow uznał, że tylko armia dysponuje środkami i wolą polityczną, by przywrócić porządek. Minister obrony przysłał do Tbilisi dwa tysiące wojska do pomocy.

Kwestia, kto wydał rozkaz użycia siły przeciwko demonstrantom przed gmachem parlamentu, stała się później przedmiotem ostrych kontrowersji politycznych. Radzieccy liderzy, od Gorbaczowa w dół, zaprzeczali, jakoby cokolwiek

wiedzieli o tej sprawie. Ale wówczas, tuż przed świtem, łańcuch podległości służbowej był na placu Lenina całkowicie jasny. Mimo swych zdecydowanych poglądów politycznych, Rodionow nie był typem oficera, który rozpocząłby operację wojskową samodzielnie, bez zgody przełożonych.

Późniejsze śledztwo wykazało, że generał otrzymał pisemne instrukcje z radzieckiego ministerstwa obrony, aby przejąć „kontrolę” nad budynkiem parlamentu. Niejasne było to, w jaki sposób miał wykonać polecenie, ale jest pewne, że „centrala” była w pełni poinformowana o przygotowaniach. Wiceminister obrony i kilku członków Komitetu Centralnego przybyło na miejsce, by śledzić rozwój wypadków. Decyzja o użyciu siły została zresztą zaaprobowana przez lokalne władze partyjne, których członkowie twierdzili później, że kanałami KGB utrzymywali wówczas ciągłą łączność z centralą. Kilka pomniejszych szczegółów operacyjnych, łącznie z decyzją podjętą w ostatniej chwili, aby użyć przeciwko demonstrantom armatkę wodną, także „uzgodniono” z Moskwą[14].

O pół do czwartej nad ranem do Rodionowa, czekającego na placu Lenina, zadzwonił Dzumber Patiaszwili, pierwszy sekretarz Gruzińskiej Partii Komunistycznej, przebywający wówczas w domu. Mężczyźni rozmawiali przez radiotelefon. Pod wpływem swego rosyjskiego zastępcy Patiaszwili wcześniej zdecydowanie poparł użycie siły. Był przekonany, że w inny sposób partii komunistycznej w Gruzji nie uda się zachować władzy. Teraz jednak wpadł w panikę. Podwładni powiedzieli mu, że demonstranci nie posłuchali patriarchy. Na placu przed parlamentem było zbyt wielu ludzi.

Zasugerował Rodionowowi, że może operację trzeba nieco opóźnić.

Generał odparł, że jest już za późno. Emocje sięgnęły zenitu. Jeśli wojsko wycofa się teraz, rezygnując z przywrócenia porządku, może się zdarzyć wszystko. Obiecał Patiaszwilemu, że nie będzie żadnych komplikacji'[5].

Rodionow powrócił do swych podwładnych pełen determinacji. Ten niski, skory do bójki człowiek przekonany był

słuszności swej sprawy. Podległe mu oddziały rozstawione były pod rozpostartymi ramionami stojącego pośrodku placu gigantycznego pomnika Lenina, jakby otrzymywały błogosławieństwo od ojca radzieckiego komunizmu. Transportery opancerzone grzały silniki.

„Zaczynamy”, wydał rozkaz generał. Była dokładnie czwarta rano[16].

„Wszyscy na kolana!” - krzyknął Cereteli, kiedy milicja i wojsko rozpoczęły powolny marsz aleją Rustawelego, zmierzając w stronę parlamentu. - „Nie będą

bić, kiedy pozostaniemy na kolanach!”[17]

Z głośników na całym placu popłynęły słowa modlitwy: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi”.

„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj!” - wołali uczestnicy strajku głodowego, siedzący na trawniczku wzdłuż stopni parlamentu, oddalonego o mniej więcej pięćdziesiąt metrów od alei.

Dziesięć tysięcy głosów młodych, zbuntowanych ludzi, gotowych - jak się wydawało - na każdą ofiarę, włączyło się do modlitwy: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Demonstranci widzieli już światła czterech transporterów opancerzonych zmierzających w ciemności w ich stronę całą szerokością alei. Za nimi dostrzegli nadchodzących w szyku żołnierzy MSW, grzmocących rytmicznie w swe plastykowe tarcze ciężkimi gumowymi pałkami. Za oddziałami MSW maszerowało kilka kompanii spadochroniarzy, które otrzymały rozkaz zabezpieczenia budynku parlamentu po oczyszczeniu placu przed gmachem z tłumów. Żołnierze byli bez broni, jeśli nie liczyć zaostrzonych saperek, które należały do ich standardowego wyposażenia.

Powietrze wypełniły krzyki „Gruzja, Gruzja!” Oddziały MSW wysunęły się przed pojazdy opancerzone i zaczęły naganiać ludzi w stronę gmachu. O 4.10 utworzyły wzmocnioną tarczami ludzką barykadę. Stali w poprzek alei Rustawelego, dzieląc tłum na dwie części. Oddziały milicji wyszkolone do tłumienia zamieszek zajęły boczne uliczki przy budynku parlamentu, zamykając w potrzasku wszystkich siedzących tuż przy czternastu kamiennych stopniach i na sąsiadującym z nimi trawniku. Barykadując wcześniej boczne ulice ciężarówkami i autobusami, demonstranci zamknęli sobie teraz drogę ucieczki.

Trawniczek obok gmachu parlamentu był przepełniony rozentuzjazmowanymi ludźmi, tłoczącymi się na coraz mniejszej przestrzeni. Napierano na nich równocześnie z dwóch stron i uczestnicy głodówki, wierzgając nogami i krzycząc, usiłowali wstać. Kilkudziesięciu milicjantów wyposażonych było w puszki toksycznego gazu paraliżującego w aerozolu, popularnie zwanego gazem czereśniowym (*czeriomucha*), którym pryskali demonstrantów. Inni bili ich gumowymi pałkami. W którymś momencie wydawało się, że szyk milicyjny się załamuje. Rodionow skierował do wyłomu spadochroniarzy. Spadochroniarze torowali sobie drogę w tłumie, uderzając demonstrantów jedynymi narzędziami, jakie mieli do dyspozycji - saperkami. W tej kotłowaninie ludzkich ciał najsłabsi

byli deptani i wnet zaczęło im brakować powietrza.

„Tam zabijają ludzi! Trzeba im pomóc!” - wołali demonstranci zza milicyjnego szyku. - „Rozwalić drani!”

Zdecydowani przyjść z pomocą głodującym, demonstranci znaleźli wielki, drewniany słup, którym usiłowali wybić wyrwę w szpalerze tarcz i gumowych pałek. Raz po raz przez szczelinę w zwartym szyku przebiegała zakrwawiona postać, wspomagana przez gruzińskich milicjantów, z których wielu także zostało pobitych przez żołnierzy z oddziałów MSW za udzielanie pomocy demonstrantom szukającym drogi odwrotu. Wkrótce aleja przekształciła się w pole bitwy. Granaty z gazem łzawiącym eksplodowały ponad głowami młodych ludzi, którzy w chustkach na twarzy atakowali pojazdy opancerzone kijami i kamieniami. Wyły syreny karetek pogotowia. W powietrzu grzmiały przekleństwa.

„To za Stalina!” - zawył rosyjski żołnierz z oddziałów MSW, tłukąc demonstranta pałką.

„Cholerne dranie! Wszyscy są pijani!” - zawołał Gruzin, który poczuł woniejący alkoholem oddech jednego z milicjantów.

Kiedy już było po wszystkim, z trawnika i schodów parlamentu zebrano szesnaście ciał. Twarze ofiar były nabrzmiałe i spuchnięte - typowy objaw uduszenia[18]. Sanitariusze z karetek pogotowia wyczuli w oddechu niektórych poszkodowanych zapach zgniłych owoców, co świadczyło, że zostali zaatakowani gazem paraliżującym z bardzo małej odległości. Większość ofiar stanowiły kobiety, w wieku od szesnastu do siedemdziesięciu lat - najmniej zdolne do obrony w ciżbie.

Dokonawszy swego krwawego dzieła wokół parlamentu, oddziały MSW i spadochroniarzy zaczęły ścigać tłumy wzdłuż całej alei Rustawelego. Demonstranci uciekali w kierunku placu Republiki. Nad ich głowami wybuchały granaty z gazem łzawiącym. Do świtu śmiertelnie poraniono trzech kolejnych demonstrantów w innych częściach miasta. Do szpitala trafiło około dwustu pięćdziesięciu osób. Wielu z nich ucierpiało wskutek tłoku oraz zatrucia toksycznym gazem. Inni mieli na ciele głębokie pręgi od uderzeń długimi, gumowymi pałkami żołnierzy MSW. Kilkadziesiąt osób poranionych było bardzo głęboko - najwidoczniej saperkami spadochroniarzy.

Ludzie, którzy wydali rozkaz rozproszenia siłą wiecu w Tbilisi, pragnęli zapobiec rozpadowi imperium radzieckiego. Ale, jak to się często zdarzało w ostatnich latach komunizmu, wynik ich działania był przeciwieństwem zamiarów.

Zamiast stłamsić ducha patriotycznego w Gruzinach, dodali im tylko animuszu. Zamiast ustanowić precedens umożliwiający użycie siły do rozpraszania nielegalnych zgromadzeń, sprowokowali dramatyczną dyskusję na temat roli wojska w wewnętrznych konfliktach politycznych. Zamiast uratować komunizm w Gruzji, tylko przyśpieszyli jego koniec.

Kilka lat wcześniej łatwo można było zatuszować takie wydarzenia. W warunkach głasnosti było to niemożliwe. Widok żołnierzy bijących i mordujących bezbronnych cywili, akurat w chwili, gdy kraj zaczął zmierzać ku demokracji, zaszokował ludzi w całym Związku Radzieckim. W samej Gruzji wydarzenia 9 kwietnia obrosły ludową legendą, w większej części niezbyt bliską prawdy.

Nikt nie wykorzystał „Krwawej Niedzieli" bardziej umiejętnie niż Zwiad Gamsachurdia. Pięćdziesięcioletni syn ubóstwianego w Gruzji pisarza podzielał aspiracje niepodległościowe rodaków. Jego ojciec, Konstantine, specjalizował się w powieściopisarstwie historycznym, przedstawiającym długą walkę narodu gruzińskiego z innymi ludami Kaukazu. Akcja jego powieści rozgrywała się pośród ośnieżonych szczytów górskich i urwisk. Ich bohaterami były piękne dziewice gruzińskie, szlachetni książęta i bohaterscy wodzowie. Swemu synowi nadał zresztą imię jednego z nich. Słuchając tych barwnych opowieści, Zwiad bez trudu uwierzył, że otrzymał misję zjednoczenia Gruzji do walki przeciwko jej wrogom.

Wczesne dzieła Gamsachurdii znajdowały uznanie najdostojniejszego Gruzina wszech czasów. Stalin, urodzony jako Josif Dżugaszwili, słuchał podobnych baśni o gruzińskiej odwadze i walkach, które opowiadała mu matka. I chociaż sam zadał klęskę gruzińskiemu nacjonalizmowi, czuł pełne sentymentu przywiązanie do gruzińskiego folkloru. Puszczał płazem Konstantine'owi Gamsachurdii wiele ekscentrycznych zachowań, które każdemu innemu pisarzowi przysporzyłyby poważnych kłopotów. Starsi mieszkańcy Tbilisi wciąż pamiętają, jak to pisarz paradował po mieście w starych szatach gruzińskich książąt. Dopóki trzymał się tematyki historycznej i unikał tematów politycznie drażliwych, nikt mu nie przeszkadzał. Utrzymywał dobre stosunki z miejscowymi władzami komunistycznymi, nie wyłączając Eduarda Szewardnadze. W zamian za służbę gruzińskiej literaturze Konstantine Gamsachurdia otrzymał wspaniałą willę z widokiem na stolicę. Dostępu do budynku broniła wysoka, żelazna brama.

Kiedy po śmierci Stalina gruziński nacjonalizm zaczął ożywać na nowo, Zwiad Gamsachurdia znalazł się w samym środku wiru wydarzeń. W 1957 roku, w wieku osiemnastu lat, trafił po raz pierwszy do aresztu; skazano go za „agitację

antyradziecką", polegającą na rozpowszechnianiu wywrotowych pamfletów. Dwa lata później znów popadł w tarapaty, wdawszy się w bójkę z milicjantem. W obu wypadkach otrzymał stosunkowo niewysokie wyroki w zawieszeniu. Ojciec pomógł mu uniknąć więzienia. Podobnie jak ojca, Zwiada Gamsachurdię łączyły z reżymem komunistycznym stosunki pełne wewnętrznych sprzeczności - była to mieszanina nieposłuszeństwa i współpracy. W 1978 roku trafił do więzienia za założenie gruzińskiej grupy działającej na rzecz praw człowieka i za udzielanie wywiadów zagranicznym korespondentom. Po roku zwolniono go jednak, wystąpił bowiem w telewizji i publicznie wyrzekł się swoich „błędów". Inni dysydenci oskarżali go o współpracę z KGB.

Do 1989 roku gruziński ruch opozycyjny, w wyniku walki liderów o wpływy, podzielił się na dziesiątki frakcji i subfrakcji. W walce o opinię publiczną Gamsachurdia junior ukuł slogan „Gruzja dla Gruzinów". Chociaż Gruzini stanowili zaledwie dwie trzecie pięcioipółmilionowej ludności republiki, uważał, że zasługują na wyłączność w reprezentowaniu całego społeczeństwa w sprawach politycznych. Jego zdaniem mniejszości narodowe, takie jak Abchazowie, Osetyjczycy i Ormianie, stanowiły obywateli drugiej kategorii.

„Gruzja jest jednolitym, niepodległym państwem i w związku z tym nie może być mowy o koncesjach na rzecz separatystów w Abchazji i południowej Osetii" - mówił w czasie wiecu przed parlamentem. - „Przedstawiciele wszystkich innych narodów są zaledwie gośćmi na gruzińskiej ziemi, którym gospodarze w każdej chwili mogą wskazać drzwi"[19].

Ksenofobiczny nacjonalizm Gamsachurdii był pod wieloma względami równie autorytarny i krótkowzroczny jak komunizm, którego miejsce miał zająć. Syn pisarza przekonywał swoich zwolenników, że niepodległość automatycznie doprowadzi do dobrobytu, ponieważ Kreml nie będzie już mógł ekonomicznie „eksploatować" Gruzji. W swoim patriotycznym zapale ignorował to, że Gruzja uzależniona jest od innych republik radzieckich. Praktycznie zaspokajały one całe jej zapotrzebowanie na ropę naftową i gaz, w 94 procentach na zboża, w 93 procentach na stal i w 82 procentach na drewno. Sądząc, że mniejszości narodowe potulnie zaakceptują wolę gruzińskiej większości, Gamsachurdia fatalnie się przeliczył. Jego błąd stał się przyczyną późniejszej wojny domowej.

Po masakrze w Tbilisi emocje nie zostawiały wiele miejsca na argumenty i zdrowy rozsądek. Gruzini, wzburzeni przelewem krwi niewinnych ludzi, skupiali się wokół przywódców najgłośniej potępiających radzieckich „imperiali-

stów". Ponadto w tym momencie komunistyczne władze popełniły szereg błędów, które znacznie ułatwiły robotę nacjonalistom. Aresztowano Gamsachurdię i innych przywódców opozycji, obdarzając ich tym samym aureolą męczenników. Potem, przez prawie dwa tygodnie, władze zaprzeczały, że w walce z demonstrantami zostały użyte toksyczne gazy. A przecież miasto opanowała panika, kiedy do szpitali przyjmowano setki ludzi z objawami zatrucia. Antyradzieckie nastroje sięgnęły zenitu. Kiedy po kilku tygodniach Gamsachurdia został zwolniony z aresztu, rola jednego z bohaterów powieści jego ojca wydawała się skrojona w sam raz na niego. Półtora roku po „Krwawej Niedzieli" wygrał pierwsze wolne wybory w dziejach Gruzji, zwyciężając stosunkiem głosów dwa do jednego.

Dla zwykłych obywateli ZSRR tragedia, która rozegrała się w Tbilisi, stała się strasznym dowodem na to, jak łatwo można odwrócić bieg reform demokratycznych. Podobną lekcję, za sprawą jeszcze większej tragedii, odebrał kilka tygodni później inny naród, w innym zakątku komunistycznego świata.

PEKIN
17 marca 1989

„Pozdrawiamy ambasadora demokracji" - głosiły plakaty na placu Tiananmen, w symbolicznym sercu najludniejszego kraju świata. - „W Związku Radzieckim mają Gorbaczowa. A my co mamy?"

Kiedy Michaił Gorbaczow postanowił położyć kres trwającej trzy dekady wrogości między ZSRR i Chinami, przez myśl mu nie przeszło, jak wielkie wywoła tym zamieszanie. W ciągu trzydniowej wizyty w Pekinie władza na ulicach chińskiej stolicy przeszła z rąk „władzy ludowej" w ręce samego ludu. Oficjalny cel wizyty przyćmiła największa demonstracja nieposłuszeństwa w historii komunistycznych Chin. W przededniu przyjazdu Gorbaczowa kilka tysięcy studentów rozpoczęło na placu Tiananmen strajk głodowy, mający nagłośnić ich postulaty reform demokratycznych. Kiedy Gorbaczow opuścił Chiny, protest objął dziesiątki kolejnych miast. W samym Pekinie na ulice wyszło ponad milion ludzi wyrażających poparcie dla studentów i domagających się ustąpienia niepopularnych przywódców chińskich z Deng Xiaopingiem na czele.

Wśród demonstrantów znaleźli się przedstawiciele wszystkich możliwych grup społecznych. Byli tam uczniowie i hutnicy, bankowcy i gońcy, dyplomaci i lekarze, artyści i rzemieślnicy. Na ulice wyszli też słuchacze szkoły Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, chińskiej tajnej policji, i żołnierze Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. W tym swoistym święcie wolności wzięły udział nawet gangi notorycznych pekińskich kryminalistów, *liumang,* ogłaszając zawieszenie drobnych kradzieży na czas protestu i pełniąc funkcję samozwańczych stróżów porządku publicznego.

Protestujący przybywali do centrum miasta na rowerach i samochodach dostawczych, ciężarówkach i w autobusach, taksówkami i pieszo. Maszerowali szeroką aleją w stronę placu Tiananmen, mijając symbole gwałtownego wzrostu gospodarczego Chin - luksusowe hotele. Przechodzili też obok wjazdu do cesarskiego Zakazanego Miasta, gdzie mieściły się rezydencje Denga i innych przywódców chińskich. Brudne i zaniedbane zazwyczaj miasto stało się scenerią zaskakującego karnawału politycznego. Powietrze wypełniała mieszanina dźwięków: syreny karetek pogotowia odwożących wyczerpanych uczestników głodówki z placu, oklaski gapiów, odgłosy bębnów maszerujących orkiestr, fajerwerków, dzwonków rowerowych i okrzyków: „Precz z korupcją!" i „My chcemy

demokracji!” Krzyczano też: „Deng Xiaoping, idź pograć sobie w brydża!” - nawiązując do ulubionej rozrywki schorowanego, osiemdziesięciooczteroletniego przywódcy. Jedna z grup demonstrantów wdrapała się na górujący nad pięćdziesięciohektarowym placem dach Muzeum Historycznego, i umieściła tam wielkie transparenty z napisami „Jesteśmy duszą Chin” i „Wytrwałość jest zwycięstwem”.

W ten sposób spełniała się najstraszniejsza zmora reżymu komunistycznego: powszechne powstanie obejmujące wszystkie grupy społeczne. Masy ludzi symbolicznie zdobyły plac, na którym Mao Tse-tung, stojąc na Bramie Niebiańskiego Spokoju, ogłosił 1 października 1949 roku powstanie Chińskiej Republiki Ludowej. To świeckie sanktuarium, plac Tiananmen, graniczy z Zakazanym Miastem i Wielką Halą Ludową, siedzibą Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych. Plac ów odegrał znaczącą rolę w historii Chin. To właśnie tutaj dochodziło do nacjonalistycznych zamieszek i wieców fanatycznych członków Czerwonej Gwardii, odbywały się defilady wojskowe i protesty studenckie, poważne uroczystości pogrzebowe oficjeli i demonstracje dysydentów. Ale nigdy jeszcze nie działo się tu coś takiego jak teraz.

Patrząc na morze ludzkie zalewające plac, przypomniałem sobie początki ruchu Solidarności. Oczywiście rozmiary demonstracji były tu kilkakrotnie większe niż te, które widziałem w Polsce, nawet w czasie wizyty papieża, ale wzniosłość i zaraźliwa wesołość tłumów była bardzo podobna. Po dziesięcioleciach biernego podporządkowywania się totalitarnej władzy ludzie buntowali się przeciwko swoim panom. Nagle znikły sztucznie stworzone bariery między poszczególnymi warstwami społecznymi i grupami wiekowymi. Wymęczone i zatomizowane społeczeństwo odkryło swoją siłę. To, co od dawna było zakazane - raptem stało się dozwolone. Podobnie jak w Polsce w sierpniu 1980 roku, wszyscy mieli wrażenie nieprawdopodobieństwa tego, co się właśnie dzieje. Ludzie przecierali oczy, nie dowierzając swoim zmysłom.

Protesty wymusiły daleko idące zmiany w programie wizyty Gorbaczowa, począwszy od samej ceremonii powitalnej, którą przesunięto z placu Tiananmen na lotnisko. Zmianę wprowadzono tak nagle, że pracownicy protokołu dyplomatycznego nie zdążyli rozwinąć zwyczajowego czerwonego dywanu. W czasie drugiego dnia pobytu Gorbaczowa w Pekinie trzeba go było przemycić do Wielkiej Hali Ludowej przez - bynajmniej nie reprezentacyjne - tylne wejście dla obsługi, ponieważ pozostałą część budynku oblegali studenci. Unieważniono planowane wycieczki do Zakazanego Miasta i pałacu cesarskiego. W ostatnim dniu

wizyty setki dziennikarzy przedarły się do Wielkiej Hali Ludowej na obiecaną konferencję prasową wieńczącą szczyt radziecko- chiński, lecz dowiedzieli się, że Gorbaczow utknął w swej oficjalnej rezydencji, oddalonej o dziesięć kilometrów. Było tylko jedno rozwiązanie. Ponieważ radziecki przywódca nie był w stanie dotrzeć na swoją własną konferencję prasową, konferencja musiała dotrzeć do niego. Wynikły z tego bieg z przeszkodami - przez ulice pełne demonstrantów wznoszących transparenty - był jedną z bardziej ucieszniych atrakcji w całej mojej dziennikarskiej karierze.

Wszystkie pozory organizacji i protokołu znikły bezpowrotnie. Wybiegliśmy z Wielkiej Hali Ludowej. Tuż za nami podążała niewielka armia radzieckich i chińskich oficjeli, tłumaczy, pracowników obsługi technicznej. Wynająwszy pstrą flotę rowerów, riksz i furgonetek, rzuciliśmy się na oślep przez miasto. Zachęceni przez ochroniarzy Gorbaczowa, którzy wsiedli już do swej łady, kilkunastu z nas wspięło się na przejeżdżający obok samochód dostawczy. „Jedźcie za nami!" - krzyknęli do nas ludzie z KGB i popędzili aleją między krzyczącymi demonstrantami. Poddając się nastrojowi tłumów, jeden z nich wyciągnął w górę fotografię Gorbaczowa i rozstawiwszy palce w kształt litery V, zaczął machać do zachwyconych Chińczyków. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki otwarła się przed nami droga - do tej pory zamknięta przez milionowy tłum. Trzymając się kurczowo, triumfalnie wjechaliśmy na teren rządowy, gdzie mieściła się rezydencja Gorbaczowa. Żołnierze salutowali nam dłońmi przyobleczonymi w białe rękawiczki, jakbyśmy przyjechali limuzyną z szoferem. Wskazali nam drogę wśród sztucznych jezior i ogrodowych pawilonów. Tymczasem nasi mili ochroniarze z KGB nigdy nie dotarli na konferencję. Stara łada przegrzała się, stojąc w olbrzymim korku. Ostatnio widziano tajniaków, jak strapieni wpatrywali się w silnik, a spod podniesionej maski samochodu buchały kłęby pary z chłodnicy.

Podczas gdy wielu chińskich studentów uważało Gorbaczowa za symbol demokracji, on sam dokładał starań, by nie powiedzieć nic, co wprawiłoby w zakłopotanie jego oficjalnych gospodarzy. W czasie konferencji prasowej wyraził jedynie nadzieję, że kryzys zostanie rozwiązany dzięki „dialogowi" i „negocjacjom". Ale można też było odnieść wrażenie, że łaja demonstrantów za to, że chcą posunąć się za daleko i za szybko. „U nas także są gorące głowy, które chciałyby odnowić socjalizm z dnia na dzień" - powiedział w którymś momencie chińskim oficjelom. - „Ale w prawdziwym życiu takie rzeczy się nie zdarzają. Tylko w bajkach!"[20]

Gorbaczow miał wszelkie powody po temu, by współczuć chińskim komunistom, ponieważ i jego trapiły liczne problemy. Po czterech latach sprawowania władzy, a więc po czasie odpowiadającym kadencji amerykańskiego prezydenta, gwałtownie tracił autorytet. Nie mógł już przerzucać winy za kłopoty gospodarcze dręczące Związek Radziecki na błędną politykę swoich poprzedników. Sam także ponosił winę.

Jego pozycja polityczna wydawała się dość stabilna. Na krótko przed podróżą do Pekinu udało mu się oczyścić Komitet Centralny z jednej czwartej członków i zastąpić starą gwardię swoimi zwolennikami. W innych dziedzinach jednakże możliwości jego polityki zaczynały się wyczerpywać. Pierestrojka zawierała w sobie ziarno autodestrukcji.

Wprowadzając elementy demokracji do państwa totalitarnego, Gorbaczow wyzwolił niszczące siły odśrodkowe grożące rozdarciem Związku Radzieckiego. Niepokoje w Gruzji były symptomem długo tłumionych, urażonych ambicji nacjonalistycznych. Teraz ferment obejmował pozostałe rubieże starego imperium rosyjskiego i groził rozlaniem się na słowiańskie serce państwa. Rozluźnienie kontroli centralnej wywarło też zgubny wpływ na gospodarkę. Stare zasady przestały obowiązywać, ale nowych jeszcze w ich miejsce nie wprowadzono. Związek Radziecki wkroczył w strefę gospodarczego półcienia, w której nikt nie był niczego pewien. Sztywne niegdyś plany pięcioletnie zostały sprowadzone do roli katalogów czczych obietnic. Ruble traciły na wartości w rezultacie narastającego z roku na rok deficytu budżetowego. Ponieważ ceny wciąż znajdowały się pod kontrolą państwa, wynikiem były długie kolejki i racjonowanie dóbr deficytowych. Zarówno konsumenci, jak i producenci, nie ufając ani obietnicom planistów, ani swej walucie, powrócili do prymitywnego systemu wymiany barterowej.

Gorbaczow spłacał rachunek za to, że reformom politycznym pozwolił wyprzedzić reformy gospodarcze. W przeciwieństwie do niego, przywódcy chińscy dokonali znacznych postępów na drodze ku gospodarce rynkowej, choć swoim obywatelom wciąż nie chcieli dać wolności. Oba warianty reform były jednak niestabilne. Studenci, którzy wyszli na ulice Pekinu w czasie wizyty Gorbaczowa, byli doskonałą ilustracją nierównowagi między postępem gospodarczym i stagnacją polityczną. Niemożliwe już było zamknięcie Państwa Środka i odcięcie go od reszty świata. Dzięki kampanii modernizacyjnej Denga i „polityce otwartych drzwi” dziesiątki tysięcy chińskich studentów podjęło naukę na uczelniach

w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Na miliony kolejnych zaczęła oddziaływać rewolucja informacyjna ogarniająca miasteczka uniwersyteckie w Chinach. Im lepiej chińscy studenci poznawali świat, tym bardziej stawali się krytyczni względem ułomności własnego społeczeństwa i nadużyć, jakich dopuszczała się komunistyczna elita. Li Chaoije, student filozofii z Uniwersytetu Pekińskiego, wyrażał opinie także innych protestujących, kiedy powiedział mi: „W Chinach władza to pieniądze i możliwość robienia tego, na co się ma ochotę. Korupcja jest wszędzie. Dlatego potrzebujemy demokracji: aby ci, którzy są u władzy, ponosili odpowiedzialność za swe czyny”[21].

Kiedy Gorbaczow przybył do Pekinu, było już jasne, że nie tylko komunizm poniósł klęskę. Klęskę poniosła też reforma komunizmu. Chiny i Związek Radziecki podążyły przeciwstawnymi drogami reform, ale oba kraje pogrążone były w głębokim kryzysie. Chińscy reformatorzy ignorowali pragnienie wolności, radzieccy - pragnienie lepszego życia.

W niektórych dziedzinach los reform był przesądzony. Gorbaczowa dręczyła zmora kremlowskiego zamachu z 1964 roku przeciwko Nikicie Chruszczowowi, ostatniemu reformatorowi na stanowisku sekretarza generalnego. Kiedy nomenklatura uznała, że Chruszczów posunął się za daleko, po prostu się go pozbyła i nikt nie zaprotestował. Nie chcąc dopuścić, aby taki sam los spotkał też jego, Gorbaczow podjął próbę stworzenia nowych instytucji politycznych, mających stanowić przeciwwagę dla władzy partii. Wyzwalając siły głasnosti, zapewnił opinii publicznej dostęp do wiedzy na temat tego, co się dzieje, i możliwość reakcji. „Kiedy rozpoczęliśmy pierestrojkę, często mówiłem swoim kolegom: «Jeśli nie wymyślimy czegoś nowego, spotka nas los Chruszczowa»” - wyznał później. - „Wtedy zaczęliśmy myśleć o wolnych wyborach”[22].

W oczach chińskich komunistów Gorbaczowowska taktyka podburzania opinii publicznej przeciwko nomenklaturze była przerażająco bliska ich własnej „rewolucji kulturalnej”. Przewodniczący Mao uciekł się do podobnych działań w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy zorientował się, że blednie jego marzenie o socjalistycznej utopii. Wyczyny Czerwonej Gwardii zaszczepiły w tysiącach wysokich rangą komunistów chińskich, włącznie z Dengiem, ciągły strach przed spontanicznymi, masowymi ruchami, które nie byłyby ściśle kontrolowane przez partię. To, że Gorbaczow chciał, aby pierestrojka była rewolucją pokojową, nie miało wielkiego znaczenia dla Denga, który obawiał się powszechnego chaosu i anarchii. Wspomnienie tego, jak został zmuszony do upokarzającej samokrytyki, pozbawiony wszystkich stanowisk, rozdzielony z rodziną i zesłany na

wieś, uczyniło zeń twardego człowieka. Było to dla niego większe przeżycie niż „długi marsz”. Jego najstarszy syn, student Uniwersytetu Pekińskiego, sparaliżowany był od pasa w dół w wyniku napaści bojówki Czerwonej Gwardii, kiedy to wyskoczył z okna na czwartym piętrze[23].

Teraz Deng znów był u władzy i ponad wszystko cenił sobie stabilizację.

Studentom nie groziło nic dopóty, dopóki w Pekinie przebywał Gorbaczow. Wiedząc, że rząd zawaha się przed użyciem siły na oczach całego świata, porę protestu wybrali tak, aby zbiegł się w czasie z wizytą Gorbaczowa. Ale poczucie bezpieczeństwa zapewnione przez obecność tysięcy zagranicznych dziennikarzy i telewizyjne transmisje na żywo z placu Tiananmen było iluzoryczne. Nie minęło nawet trzydzieści sześć godzin od odlotu Gorbaczowa, a władze chińskie przystąpiły do przejmowania kontroli nad sytuacją.

20 maja, w sobotę, za pięć pierwsza w nocy, głośniki na placu nagle ożyły. Li Peng, twardogłowy premier ChRL, wygłosił histeryczną tyradę. Zaspani studenci wychodzili z namiotów i autobusów, by posłuchać człowieka, którego uważali za swego arcywroga. Li Peng ogłosił wprowadzenie stanu wojennego w Pekinie. Podnosząc głos do krzyku, zapowiedział podjęcie „stanowczych i zdecydowanych działań dla położenia kresu niepokojom” i obrony socjalizmu w Chinach. Wojsko otrzymało rozkaz, by użyć siły przy oczyszczeniu placu z uczestników strajku głodowego i ich zwolenników.

Reakcją na przemówienie był ogłuszający chór wycia i okrzyków: „Precz z Li Pengiem!”, „Niech żyje demokracja!” i „Zwycięstwo należy do nas!” Kiedy premier kończył wystąpienie, dziesiątki tysięcy demonstrantów prowokacyjnie zaczęło śpiewać *Międzynarodówkę* i wznosić dłonie w geście zwycięstwa. Odpowiedź na wprowadzenie stanu wojennego napisali na transparencie, którym obwiązali pomnik Bohaterów Ludu, naprzeciwko mauzoleum zawierającego zabalsamowane szczątki Mao. Napis głosił: „Przyszliśmy tu na nogach. Wyjdziemy tylko na plecach”.

Rząd w ślad za wprowadzeniem stanu wojennego przerwał telewizyjne transmisje na żywo ukazujące dramat rozgrywający się na placu Tiananmen. „Wasze zadanie dobiegło końca” - zakomunikował urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych dziennikarzom CNN. - „Przyjechaliście tutaj, żeby relacjonować wizytę Gorbaczowa. Gorbaczow wyjechał”. Ale wojsko wysłane na plac natknęło się na zaimprowizowane barykady i ludzkie zapory - dziesiątki tysięcy zwyczajnych mieszkańców Pekinu.

Przez kilka następnych dni nastroje wśród studentów falowały, kilkakrotnie

napawając ich już to strachem, uwzniośleniem, już to paranoją i wyczerpaniem, potem podniosłością i znów strachem. Grupy motocyklistów przemierzały miasto z jednego krańca na drugi, zbierając informacje w imieniu prowadzących głodówkę studentów. Napływało wiele sprzecznych doniesień. Wojsko nadciąga. Nie, wycofuje się. Reformatorzy zwyciężają, Li Peng ma złożyć dymisję. Nie, to twardogłowi zwyciężają, a na Zhao Ziyanga, sprzyjającego studentom liberalnego przywódcę partyjnego, nałożono areszt domowy.

Nie wiadomo, jaka w tym wszystkim była rola drobnego, liczącego osiemdziesiąt cztery lata komunisty, który wydobywał się już wielokrotnie z potężnych tarapatów, aż w końcu został de facto cesarzem Chin. A ostatnie słowo należeć miało właśnie do niego, Deng Xiaopinga, który przetrwał niejedno trzęsienie ziemi w chińskiej polityce.

PEKIN
3-4 czerwca 1989

Kiedy po mieście rozeszły się pogłoski, że Armia Ludowo- -Wyzwoleńcza posuwa się w stronę placu Tiananmen, tysiące chińskich studentów zgromadziło się wokół pomnika Bohaterów Ludu. Ponad głowami wznieśli białą postać z pianki i gipsu - „Boginię Demokracji". Bogini spoglądała na olbrzymi portret przewodniczącego Mao umieszczony nad wejściem do Zakazanego Miasta. Wznosząc prawice, studenci złożyli przysięgę: „W imię demokratyzacji naszego kraju, w imię prawdziwego dobrobytu naszej ojczyzny, w imię niedopuszczenia do opanowania naszego kraju przez nieliczną grupę spiskowców (...) poświęcam swoje młode życie w obronie Tiananmen i Republiki. Może zetną mi głowę, może popłynie moja krew, ale plac ludu nie będzie stracony. Jesteśmy gotowi oddać nasze młode życie w walce do ostatniego"[24].

O kilka kilometrów od placu, w Pachnących Górach, w schronie atomowym mieszczącym centrum dowodzenia, osiemdziesięcioletni przywódcy Chin oczekiwali na wynik akcji wojskowej przeciwko własnemu ludowi[25]. Deng Xiaoping utrzymywał potem, że gdyby nie podjął „zdecydowanych działań", przyszłość Chin byłaby „zbyt straszna, aby można ją sobie wyobrazić"[26]. Jak dwudziestoletni studenci mogli sądzić, że są mądrzejsi od weterana rewolucji, człowieka, który towarzyszył Mao w „długim marszu" i przeżył niespokojne czasy „rewolucji kulturalnej"?

W ciągu minionych trzech tygodni Deng został upokorzony na oczach Gorbaczowa i całego świata. Studenci nie tylko nie pozwolili mu nacieszyć się jego największym triumfem dyplomatycznym - pierwszym szczytem radziecko-chińskim od ponad trzydziestu lat, ale publicznie domagali się wręcz, by ustąpił. Niezbyt subtelnie zabawiając się kalamburem z wykorzystaniem jego nazwiska, Xiaoping, przypominającego słowo „buteleczka" w dialekcie mandaryńskim, rozbijali butelki na chodniku przed Wielką Halą Ludową. Dziesięć lat wcześniej studenci także szli ulicami Pekinu,

niosąc butelki, by wyrazić swe poparcie dla Denga w jego walce z ultraradykalną „bandą czworga".

Teraz sprawa była bardzo prosta. Kto dysponuje legitymacją polityczną: studenci czy kierownictwo partii komunistycznej? Odpowiedź na to pytanie była równie prosta. Zgodnie z tradycją, prawo do reprezentowania „ludu" ma ten, kto panuje na placu Tiananmen - symbolicznym sercu Chin. Cała sprawa sprowadza

się zatem do kwestii siły.

Wkrótce po złożeniu przysięgi przez studentów od zachodniej strony zaczęła wjeżdżać na plac długa kolumna czołgów i pojazdów opancerzonych. Żołnierze ustawili się w szeregu i przed swoimi dowódcami złożyli własną przysięgę - że będą bronić prawa i porządku oraz zapobiegać pojawieniu się politycznych „niepokojów” w Chinach. Wydano im rozkaz „odbicia placu” za wszelką cenę. Tym razem nie mogą sobie pozwolić na to, by nie uzbrojeni demonstranci blokujący drogę zmusili ich do wycofania się, jak zaledwie dwa tygodnie temu. Kiedy pancerna kolumna przedarła się przez barykadę wzniesioną z autobusów i przewróconych taksówek, demonstranci zaczęli obrzucać żołnierzy cegłami i kamieniami. Żołnierze otworzyli ogień; najpierw ponad głowami tłumów, następnie - bezpośrednio do ludzi. Rozwścieczeni cywile pochwycili paru żołnierzy i rozszarpali ich na kawałki. Kilka przecznic dalej powtórzył się ten sam cykl gwałtu, tym razem z większą furią. Aleja Niebiańskiego Spokoju przemieniła się w piekielne pole bitwy: barykady stanęły w ogniu, a żołnierze strzelali na oślep z karabinków AK-47. Przerażeni cywile zaczęli krzyczeć i obrzucać pojazdy wojskowe koktajlami Mołotowa. Wszędzie leżały ciała. Słychać było nieprzerwane wycie syren karetek pogotowia. Naoczni świadkowie opowiadali, że żołnierze stracili poczucie rzeczywistości - zaczęli ostrzeliwać pobliskie budynki mieszkalne i przeszywać trupy bagnetami.

O godzinie 2.30 wojsko odcięło plac z trzech stron, pozostawiając wąską szczelinę w południowo-wschodnim rogu, jako drogę odwrotu dla studentów. Słynna gwiazda rocka z Tajwanu, Hou Dejian, negocjował z wojskiem, aby demonstranci mogli się bez przeszkód wycofać. „Studenci śpiewali *Międzynarodówkę,* trzymając się mocno za ręce” - wspominał Chai Linh, którego studenci wybrali na swego dowódcę. - „Płakaliśmy”[27]. Kiedy demonstranci zaczęli odwrót, skandując: „Armia ludowa nie powinna strzelać do ludu!”, zostali bestialsko pobici długimi pałkami przez specjalne oddziały policji. Żołnierze posuwali się za wycofującymi się, zmiatając miasteczko namiotowe, które w ciągu minionego miesiąca było domem głodujących studentów. Powalili też „Boginię Demokracji”. Później wojsko twierdziło, że w wąskich zaułkach wokół placu nikt nie zginął. Niemniej dla wszystkich było jasne, że w bezpośrednim sąsiedztwie placu śmierć poniosło kilka tysięcy ludzi. Obserwując rzeź z szóstego piętra hotelu Pekin, stojącego w północno- -wschodnim rogu placu, amerykański dziennikarz starszego pokolenia Harrison Salisbury przypomniał sobie powiedzenie Mao: „Władza wyrasta z luf karabinów”[28].

Zdecydowana nie wypuścić z rąk swej zdobyczy, Armia Ludowo-Wyzwoleńcza rozstawiła wokół placu karabiny maszynowe i kosiła każdego, kto zanadto się zbliżał. Tego rana Radio Pekin chwaliło się, że Tiananmen uprzątnięto ze „śmieci” i „zwrócono ludowi”. Z punktu widzenia komunistycznych władców Chin, oni i „lud” stanowili jedno.

MOSKWA
25 maja-9 czerwca 1989

Markiz de Custine przybył do Rosji w roku 1839. Chociaż spędził w Petersburgu i Moskwie niespełna trzy miesiące, napisał dziennik podróży, uznawany przez niektórych za najlepszą książkę o Rosji autorstwa obcokrajowca. Markiz, bywalec literackich salonów Paryża, któremu bardzo zależało na zdobyciu reputacji wybitnego pisarza, był snobem, człowiekiem stronniczym i - często - protekcjonalnym. W przeciwieństwie do swego bardziej uznanego współczesnego, Alexisa de Tocqueville, który kilka lat wcześniej udał się w podróż do Ameryki, Custine miał bardzo mało sympatii dla kraju, który zapewnił mu pisarski materiał. Ale jego poglądy dotyczące rosyjskiego despotyzmu - politycznego systemu brutalnych represji, który ukształtował „niemy naród", wedle określenia de Custine'a - przetrwały próbę czasu.

> Narody są nieme tylko przez jakiś czas - prędzej czy później nastaje dzień dyskusji: religia, polityka, wszystko mówi i wszystko się w końcu tłumaczy. Tak więc kiedy tylko milczącym ludziom wraca mowa, usłyszeć można tak wiele dyskusji, że zaskoczony świat myśli, iż powrócił do bałaganu wieży Babel (...). W kraju rządzonym jak ten namiętności długo wrą, zanim wykipią; podczas gdy z godziny na godzinę nadchodzi niebezpieczeństwo, zło trwa zbyt długo, a kryzys się opóźnia. Nawet nasze prawnuki mogą nie doczekać wybuchu; ale dziś możemy powiedzieć, że wybuch jest nieunikniony, choć nie sposób przewidzieć, kiedy nastąpi[29].

Półtora wieku później, kiedy Michaił Gorbaczow podarował Związkowi Radzieckiemu pierwszy parlament z prawdziwego zdarzenia - Zjazd Deputowanych Ludowych - sprawdziła się spora część tych proroctw. Jak to ujął de Custine, nastał „dzień dyskusji".

Pojawił się w formie potoku słów, który wprawił dwieście osiemdziesiąt milionów ludzi w zupełne osłupienie. Przez trzynaście dni Rosjanie i Ukraińcy, Litwini i Łotysze, Estończycy i Uzbecy, Ormianie i Azerowie uczestniczyli w festiwalu wolnego słowa, jakiego dotąd nie widzieli. Produkcja przemysłowa zamarła od Kaliningradu po Kamczatkę, kiedy górnicy, kierownicy i urzędnicy państwowi przypatrywali się kremlowskiemu serialowi. Debaty były transmitowane na żywo w telewizji - cenzura nie miała zatem możliwości ingerowania w ich przebieg. Nikt nie był w stanie przewidzieć, co wydarzy się za chwilę. Na samym początku sesji inauguracyjnej został zakłócony porządek obrad - brodaty

aktor z Litwy wszedł na trybunę i ogłosił „minutę ciszy ku czci tych, którzy zginęli w Tbilisi”. Gorbaczow i inni członkowie Politbiura wydawali się zaskoczeni tą nie przewidzianą w scenariuszu interwencją, ale chcąc nie chcąc, musieli powstać z miejsc.

W ciągu następnych dwóch tygodni deputowani prześcigali się nawzajem w obalaniu starych tabu. Przedmiotem publicznej dyskusji mogło się stać wszystko: wojna w Afganistanie, rozprzestrzenianie się AIDS, przywileje komunistycznych elit albo sama natura monopartyjnego systemu władzy.

Każdy dzień rodził nową sensację - bezczeszczenie dotychczasowych świętości komunistycznych albo dramatyczne starcia reformatorów z konserwatystami. Kierowca ciężarówki z Charkowa oskarżył Gorbaczowa, że pada ofiarą pochlebstw i że pozwolił żonie, Raisie, by uzyskała zbyt wielki wpływ na sprawy państwa. Sarkastycznie porównał radzieckiego przywódcę do „wielkiego Napoleona”, który pod wpływem garstki pochlebców, ze swoją małżonką Józefiną włącznie, przekształcił Francję z republiki w cesarstwo[30]. Mistrz olimpijski w podnoszeniu ciężarów przypuścił frontalny atak na KGB, który - jego zdaniem - ponosił odpowiedzialność za „śmierć i prześladowania milionów ludzi”. Wezwał organa bezpieczeństwa do opróżnienia więzienia na Łubiance, gdzie torturuje się ludzi, którzy są „dumą i kwiatem naszych narodów”[31].

Ich wszystkich przebił jednak historyk Jurij Kariakin, który domagał się usunięcia ciała Lenina z mauzoleum przy murze Kremla, panteonie bohaterów komunistycznych. „Czołgi przejeżdżają przez plac Czerwony i ciało wpada w wibracje. Naukowcy i artyści dotykają jego twarzy. To koszmar! Wszystko to robi się dla pozorów. A tam nie ma nic!”[32]

Po tych słowach w hałaśliwej zazwyczaj sali zapadła grobowa cisza.

Do jednego z bardziej ostrych spięć doszło, kiedy generał Rodionow został wezwany do wyjaśnienia swoich działań w Tbilisi z nocy 9 kwietnia. Wyszydzany przez radykałów i oklaskiwany przez konserwatystów generał przedstawił siebie jako ofiarę stalinowskiego polowania na czarownice urządzonego przez media. Demonstrację przed gmachem parlamentu nazwał „prowokacją”. Z pogardą wyrażał się o przywódcach gruzińskich, usiłujących obciążyć wojsko winą za to, co się stało. Kilka minut później deputowani wysłuchali przemówienia Patiaszwilego, który złożył rezygnację ze stanowiska pierwszego sekretarza partii w Gruzji natychmiast po tragedii. Przełykając łzy, Patiaszwili oskarżył Rodionowa, że okłamał go co do „stopnia okrucieństwa”, który uznał za dopuszczalny podczas pacyfikowania demonstracji. Jego zdaniem Rodionow nie przyznał się, że mają

być użyte ostre saperki i toksyczne gazy[33].

Z retorycznymi fajerwerkami i sporadycznymi bluźnierstwami zmieszane były ponure fakty z życia w Związku Radzieckim, o których przeciętni ludzie nie mieli pojęcia. W czasie obrad zjazdu społeczeństwo otrzymało sporą dawkę informacji o katastrofach ekologicznych, przerażającym stanie zdrowia obywateli czy gospodarczych mirażach. Znany biolog poinformował, że dwadzieścia procent ludności ZSRR żyje na obszarach dotkniętych katastrofą ekologiczną i że co trzeci zamieszkały na tych terenach może zachorować na raka. W niektórych częściach kraju, mówił, śmiertelność noworodków przekracza wskaźniki afrykańskie. Jedna piąta produkowanej w ZSRR kiełbasy i czterdzieści dwa procent produktów mleczarskich przeznaczonych dla dzieci zawiera trujące składniki chemiczne[34]. Specjalista do spraw rolnictwa narzekał, że Związek Radziecki produkuje dziesięciokrotnie więcej kombajnów i pięciokrotnie więcej traktorów niż Stany Zjednoczone, ale równocześnie o połowę mniej zboża. Znakomici naukowcy muszą dokonywać obliczeń na liczydłach z powodu braku komputerów czy nawet zwykłych kalkulatorów elektronicznych[35].

Jak na teatr polityczny, pierwsza sesja Zjazdu Deputowanych Ludowych stanowiła zapierający dech w piersiach spektakl. Po pierwsze, liczyła się sama scenografia: modernistyczna, przeszklona sala w sercu Kremla z widokiem na złote, cebulaste kopuły szesnastowiecznego soboru katedralnego Wniebowzięcia Marii. Potem - intryga: do państwa monopartyjnego przybywa Demokracja. Wreszcie uwagę zwracała niezwykła obsada głównych ról: przywódcy partii komunistycznej i byli więźniowie polityczni, generałowie Armii Czerwonej i odziani w czarne sutanny duchowni prawosławni, poeci i fizycy jądrowi. W pracach zjazdu uczestniczyła większość radzieckiej elity.

Akcja rozgrywająca się w kuluarach była równie interesująca co przemówienia wygłaszane zza mównicy. Deputowani najpierw wrzeszczeli na siebie z operowej, pod względem wielkości, sceny przytłoczonej statuą Lenina, a następnie wylewali się strumieniem do marmurowych korytarzy, gdzie stawali oko w oko z kamerami telewizyjnymi i mikrofonami. Dla dziennikarzy, którzy wiedzieli o radzieckich przywódcach jedynie tyle, ile oni sami zdecydowali się ujawnić na łamach „Prawdy” - czyli niewiele - był to sen na jawie. W ciągu kilku godzin średnio energiczny reporter był w stanie uzyskać wypowiedzi szefa KGB, Andrieja Sacharowa, Borysa Jelcyna, kilku kosmonautów, paru członków Biura Politycznego i reprezentatywnej próby radzieckich intelektualistów. Raz po raz

w kuluarach pojawiał się sam Gorbaczow, ściągając ku sobie masy rozgorączkowanych dziennikarzy. Operatorzy telewizyjni bezceremonialnie rozpychali deputowanych, starając się dostać do genseka. Niejednego posła szturchnięto przy okazji składaną metalową drabiną czy wysięgnikiem mikrofonu.

Takie to były bóle porodowe radzieckiej demokracji. Reporterzy nie tylko byli świadkami, ale - przez swoje niestosowne zachowanie - aktywnymi uczestnikami odbrązawiania potęgi Kremla. Komunistycznych bożków na naszych oczach przekształcono w zwyczajnych śmiertelników. Radzieckie życie polityczne, dotąd zamknięte w wąskim kręgu elity, teraz zostało ukazane całemu światu. Nie było tu już żadnych tajemnic.

Był to przełomowy moment procesu upadku komunizmu i ostatecznego rozpadu Związku Radzieckiego. Monolityczna fasada Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego była podstawą jej politycznej siły. Kiedy jednak radzieccy politycy zaczęli przemawiać wieloma głosami, przedkładając zakres własnej władzy ponad dyscyplinę partyjną, spoiwo, które mocno wiązało ogromny, wielonarodowy kraj - nagle puściło.

Spośród wybitnych osobowości, które zdominowały Pierwszy Zjazd Deputowanych Ludowych, szczególnie wyróżniali się Michaił Gorbaczow i Andriej Sacharow - przeciwstawne bieguny, wokół których toczyła się dyskusja. Było to bardziej zderzenie charakterów niż poglądów politycznych. Obaj chcieli, aby Rosja uwolniła się od swego kilkusetletniego kompleksu mesjanistycznego (carowie określali Moskwę mianem Trzeciego Rzymu) i stała się częścią głównego nurtu cywilizacji światowej. Odpowiedzi na pytanie, jak osiągnąć ten wspaniały cel, szukali rosyjscy reformatorzy od czasów Piotra Wielkiego.

Gorbaczow był doskonałym taktykiem. Działał ukradkiem, stawiając krok wstecz i dwa kroki w bok, a dopiero potem pół kroku do przodu. Był gotów związać się z każdym, by tylko uzyskać chwilową przewagę polityczną. Biegły w sztuce ukrywania swych zamiarów w mgle komunistycznej frazeologii, redefiniował słowo „socjalizm” tak długo, aż straciło jakiekolwiek znaczenie. Ów mistrzowski kuglarz i iluzjonista czasami był taki sprytny, że zdarzało mu się wyprowadzić w pole nawet siebie. Po wykonaniu popisowej, skomplikowanej żonglerki czuł się oszołomiony i zdezorientowany, nie mając pewności, dokąd zmierza albo czy ma poprzeć, czy też potępić rewolucję, do której wybuchu sam doprowadził. Fizyczny wysiłek wiążący się z nieprzerwanym odgrywaniem głównej

roli i reżyserowaniem owego spektaklu był tak przytłaczający, że Gorbaczow łatwo tracił z oczu szersze cele polityczne. Po kilku godzinach przyprawiającej go o chrypę przewodniczenia debacie udawał się do Pokoju Prezydialnego skrajnie wyczerpany[36].

W przeciwieństwie do niego, Sacharow był bardzo zasadniczym człowiekiem. Ten antypolityk, który odrzucał „sztukę osiągania tego, co możliwe” na rzecz zasady mówienia prawdy w każdych okolicznościach, był nieczuły na to, co przemawia do wielu polityków: władzę, popularność i widoki na wysokie stanowisko. Nie robiły na nim najmniejszego wrażenia opinie innych parlamentarzystów ani nawet własnych wyborców. Zahartowany po dziesiątkach lat prześladowania przez władze i ostracyzmu świata nauki, żył w zgodzie z zespołem wartości ogólnoludzkich, który stworzył sam dla siebie. Nie interesował go kompromis, budowanie koalicji albo poszukiwanie wspólnego języka z przeciwnikami politycznymi. Robił i mówił to, co wydawało mu się słuszne. W rezultacie braku odpowiedniej opieki medycznej w czasie sześcioletniego zesłania do Gorkiego i kilku długich strajków głodowych podupadł na zdrowiu. Był słabym mówcą: często się zacinał i nadmiernie się podniecał. Brakowało mu zdolności dyskusyjnych Gorbaczowa czy talentu Jelcyna do porywania tłumów. Ale w myśleniu Sacharowa była niezwykła jasność, zdolność trafnego ujmowania istoty problemu, nie dziwna u wielkiego naukowca. Kiedy wokół niego szalała zacięta dyskusja, zdawał się odpływać do swego własnego świata. Tymczasem umysł Sacharowa wciąż pracował. Znienacka wydobywał się z zadumy, podchodził do mównicy i oznajmiał coś ważnego, co jednak uszło uwagi wszystkich.

Od czasu, gdy w grudniu 1986 roku Gorbaczow zatelefonował do przebywającego w Gorkim Sacharowa, by powiadomić go, że zostanie zwolniony z wewnętrznego zesłania, obaj mieli niewiele okazji do spotkania. Ich stosunki w czasie zjazdu odzwierciedlały burzliwy związek łączący ojca pierestrojki i prodemokratyczne siły, które wyzwolił. Na początku Gorbaczow traktował Sacharowa z szacunkiem, starając się go chronić przed - jak określił to jeden z deputowanych - „agresywnie posłuszną większością” i zapewniając mu sporo czasu za mównicą. Sekretarz generalny uznał, że ma do czynienia z moralnym autorytetem laureata Pokojowej Nagrody Nobla, i chciał z niego korzystać. Uważał, że Sacharow jest jednoosobową „lojalną opozycją”, która będzie stanowiła przeciwwagę dla reakcjonistów i osłabi wpływy radykałów. Z biegiem czasu jednak bezustanne moralizowanie Sacharowa coraz bardziej go irytowało.

Między oboma politykami doszło do utarczki w kuluarach, mniej więcej w połowie zjazdu, 1 czerwca. Sacharow był zatroskany poszerzającą się przepaścią między słowami i uczynkami, co podważało poparcie społeczne dla pierestrojki. Uznawszy, że nadszedł czas na „szczerą rozmowę”, poprosił sekretarza generalnego o spotkanie po sesji wieczornej. Usiedli razem na krawędzi wielkiej sceny, tuż pod wielką statuą Lenina. Sacharow, zgodnie ze swoim zwyczajem, od razu przystąpił do rzeczy. Powiedział Gorbaczowowi, że zaufanie społeczne do niego, jako przywódcy kraju, spadło „prawie do zera”. Ludzie są zmęczeni słuchaniem pustych obietnic. Nadszedł czas, by Gorbaczow przestał się bawić w politykę i zdecydował, po czyjej jest stronie.

„Zarówno kraj, jak i pan stoicie na rozdrożu, przed wyborem - albo maksymalnie przyspieszyć proces zmian, albo próbować utrzymać system nakazowo-rozdzielczy ze wszystkimi jego cechami. W pierwszym przypadku powinien się pan oprzeć na siłach lewicy, może pan być pewny, że w kraju znajdzie się wielu śmiałych i energicznych ludzi, którzy pana poprą. W drugim przypadku sam pan wie, jakie to są siły, ale oni nigdy panu nie wybaczą próby przeprowadzenia pierestrojki”[37].

Trwająca od tygodnia burzliwa debata wyczerpała Gorbaczowa. „Na jego twarzy nie pojawił się tym razem zwyczajowy, zarezerwowany dla mnie, uśmiech - ni to uprzejmy, ni to protekcjonalny” - wspominał później Sacharow. Gorbaczow rozumiał, że Związek Radziecki trapi pogłębiający się kryzys, ale zdecydowane działanie, jakiego domagał się Sacharow, byłoby sprzeczne z jego politycznym instynktem. Dla Gorbaczowa polityka była ciągłym kompromisem, nie kończącym się lawirowaniem.

„Stoję twardo na gruncie pierestrojki” - odparł. - „Ale jestem przeciwnikiem przeskakiwania, paniki, pośpiechu. Dość już się napatrzyliśmy na «wielkie skoki», rezultaty są zawsze takie same: tragedia, cofanie się do tyłu. Wiem, co o mnie mówią. Ale jestem pewny, że społeczeństwo zrozumie moją linię”.

Dla Sacharowa jedynym wyjściem z kryzysu było popchnięcie rewolucji rozpoczętej przez Gorbaczowa zgodnie z jej logicznym następstwem. Oznaczało to odebranie władzy aparatczykom i przekazanie jej demokratycznie wybranemu parlamentowi. Chciał, aby zjazd przyjął Dekret o władzy, obalający państwo monopartyjne, znacznie ograniczający uprawnienia KGB i torujący drogę do bezpośrednich wyborów prezydenckich. Zwrócił uwagę na to, że Gorbaczow nigdy nie otrzymał mandatu społeczeństwa, ponieważ nigdy nie kandydował w wybo-

rach (zjazd liczył 2250 uczestników, tymczasem dla delegatów partii komunistycznej, na czele z sekretarzem generalnym, zarezerwowano tysiąc miejsc).

„Bardzo się obawiam, że jedynym politycznym rezultatem zjazdu będzie zyskanie przez pana nieograniczonej władzy” - powiedział Sacharow Gorbaczowowi. - „Poza tym jest pan podatny na naciski i szantaż tych, którzy kontrolują kanały informacyjne. Nawet teraz mówią, że w Stawropolu wziął pan łapówkę. Mówią o stu sześćdziesięciu tysiącach rubli. Prowokacja? Potem wynajdą coś innego. Tylko wybór przez społeczeństwo może pana uchronić przed atakami”.

„Jestem absolutnie czysty. I nigdy nie ulegnę szantażowi. Ani z prawa, ani z lewa!” - odparł gensek.

Wtedy Gorbaczow niemal na pewno wygrałby powszechne wybory. W praktyce wszyscy, łącznie z jego przeciwnikami, uznawali, że jest nieusuwalny. Ale nie mógł naruszać pozycji swych kolegów z Politbiura, z których większość przerażona była perspektywą ubiegania się o urząd, nie przyjął więc sugestii Sacharowa. Kiedy jego najbliższy sojusznik polityczny, Aleksandr Jakowlew, doradził mu, by zrezygnował ze stanowiska sekretarza generalnego na rzecz godności prezydenckiej, odparł, że partia jest „potworem”, którego nie wolno wypuścić z garści[38].

Gorbaczow nie mógł się zdecydować, czy jest przywódcą partii, czy przywódcą kraju, lub też - jak to ujął Sacharow - „przywódcą nomenklatury czy przywódcą pierestrojki”. Sprzeczność ta nie została rozwiązana aż do końca, śmiertelnie podważając jego autorytet. W oczach aparatu był burzycielem. W oczach społeczeństwa - przede wszystkim komunistą.

Następnego dnia „agresywnie posłuszna większość” przeszła do ofensywy. Podobnie jak Sacharow, aparatczycy chcieli wiedzieć, po czyjej stronie jest Gorbaczow. Za instrument, który miał skłonić Gorbaczowa, by odsłonił karty, posłużyło płomienne przemówienie beznogiego uczestnika wojny w Afganistanie. Weteran zaatakował Gorbaczowa za brak patriotyzmu.

Siergiej Czerwonopiski natychmiast zdobył sympatię, kiedy o kulach pokuśtykał do mównicy. Zaczął od potępienia fatalnego traktowania byłych „internacjonalistycznych bojowników” i poziomu radzieckiego przemysłu protetycznego, pozostającego na „etapie epoki kamienia łupanego”. Przedstawił tragedię w Tbilisi jako „prowokację” skierowaną przeciw armii i oskarżył liberalne media o prowadzenie „bezprecedensowych prześladowań” Armii Czerwonej. Odczytał

list otwarty grupy spadochroniarzy, w którym potępiali oni Sacharowa za „nieodpowiedzialne i prowokacyjne" oświadczenia dotyczące wojny w Afganistanie[39]. Laureat Nagrody Nobla w wywiadzie prasowym stwierdził, że radzieckie śmigłowce otworzyły ogień do radzieckich żołnierzy, aby nie dopuścić do ich ucieczki przed wrogiem.

Rozochocony gromkimi brawami konserwatystów, Czerwonopiski zwrócił teraz westchnienia ku Gorbaczowowi. Zauważył, że ponad osiemdziesiąt procent deputowanych to komuniści. Powiedział, że naszedł czas, by wciągnąć flagę na maszt. Oskarżył sekretarza generalnego, że w jego sprawozdaniu na forum zjazdu ani razu nie padło słowo „komunizm".

„Jestem zdeklarowanym przeciwnikiem pustych haseł i robienia czegokolwiek na pokaz, ale dzisiaj chciałbym wymienić *trzy* wartości, o które, jak sądzę, wszyscy musimy walczyć".

Mówca zrobił dramatyczną pauzę. Wyrażanie ideologii w formie świętej trójcy miało niemal mistyczny urok dla rosyjskich konserwatystów. Wszyscy uczestnicy obrad znali doskonale carskie hasło: „Prawosławie, Samowładztwo, Nacjonalizm". Zastanawiali się, jaki slogan może zaproponować inwalida wojenny. Czerwonopiski wypowiedział formułę starannie i powoli: „Państwo, Ojczyzna, Komunizm".

Te trzy słowa poderwały większość audytorium na nogi. Weteranowi zgotowano najgorętszą owację w czasie zjazdu. Członkowie Politbiura, usadowieni dyskretnie z boku sali, przyłączyli się do aplauzu. Gorbaczow zrazu nie wstawał, ograniczając się do uprzejmego oklaskiwania. Ale kiedy brawa przekształciły się w rytmiczne klaskanie, także powstał. Siedzenie w tej chwali wymagało niemal fizycznego wysiłku woli. „Czułem, jak jakaś potężna siła unosi mnie z miejsca i zmusza do udziału w owacji na stojąco" - wspominał później radykalny deputowany Anatolij Sobczak. Absolutnie nie chcąc się poddać „masowej histerii", wpił się w poręcze swego fotela. - „Pamiętałem to uczucie z czasów służby wojskowej, kiedy maszerowałem w takt muzyki orkiestry wojskowej. Ale to była tylko defilada, a tutaj - coś na kształt prawdziwej bitwy "[40].

Usiłując się bronić, Sacharow wszedł na podium, by powiedzieć, że ma olbrzymi szacunek dla zwyczajnego radzieckiego żołnierza. Przechylił swą kościstą czaszkę na bok i mówił, niemal świszcząc przez zaciśnięte zęby, nic zważając na rosnącą wrzawę: „Ale wojna w Afganistanie była kryminalna, była czynem kryminalnym..." - tu podniósł głos, aby przebić się ponad drwiące krzyki, którymi obrzucili go deputowani ze wszystkich stron sali - ...czynem kryminalnym

przedsięwziętym przez nieznanych ludzi. Nie wiemy, kto ponosi odpowiedzialność za tę ogromną zbrodnię przeciwko ojczyźnie. Ta zbrodnia pochłonęła życie prawie miliona Afgańczyków. Niszcząca wojna skierowana była przeciwko całemu narodowi".

Konserwatyści krzyczeli tak głośno, że Sacharowa ledwie było słychać. Jednakże kilku deputowanych i tak go słuchało. Wydawało się, że jest pokonany, pognębiony i osamotniony, jak zawsze. Mimo to nie dawał za wygraną: „Występowałem przeciwko wysłaniu armii radzieckiej do Afganistanu i za to zostałem zesłany do Gorkiego". - Hałas w sali, krzyki: „Przeproś!", „Hańba!" - „Taki właśnie był powód i jestem z tego dumny..." - Słowa niemal utonęły w szyderstwach i gwizdach. - „Jestem dumny z tego zesłania do Gorkiego - jak z odznaczenia (...). Nie przeproszę całej radzieckiej armii, ponieważ jej nie obraziłem. Nie obraziłem ani armii radzieckiej, ani żadnego żołnierza". - Wrzawa na sali. - „Oskarżałem tych, którzy wydali zbrodnicze rozkazy. by wysłać nasze wojsko do Afganistanu". Nastąpiło ogólne pandemonium, wrzaski, krzyki: „Precz z Sacharowem!", ledwo słyszalne oklaski.

Kiedy Sacharow skończył, „agresywnie posłuszna większość" przystąpiła do odwetu. Jeden po drugim posłowie, którzy milczeli w czasie inwazji na Afganistan, wchodzili na podium i oskarżali Sacharowa o wypowiadanie oszczerstw i hańbienie radzieckiego żołnierza. Zajadle atakując jedynego człowieka w Związku Radzieckim, który miał odwagę mówić, chcieli zapewne usprawiedliwić własną służalczość. Słowny lincz przypominał to, co spotkało Jelcyna, kiedy ośmielił się przed paroma miesiącami skrytykować Gorbaczowa i Ligaczowa w czasie posiedzenia Biura Politycznego. Nikt nie przyszedł w sukurs Sacharowowi: radykałów zamurowało. Chociaż Gorbaczow wydawał się zakłopotany tym, co się dzieje, i skrywał twarz w dłoniach, nie zrobił nic, by powstrzymać nawałnicę.

Gwałtowny atak osiągnął apogeum, kiedy swe pełne obelg przemówienie wygłosiła nauczycielka z Uzbekistanu. Przełykając łzy, Tursun Kazakowa powiedziała, że Sacharow przekreślił wszystkie swoje zasługi dla społeczeństwa „tym jednym posunięciem". „Obraziliście całe wojsko, całe społeczeństwo, wszystkich poległych, którzy oddali swe życie!" - krzyczała. - „Nie mam dla was nic prócz pogardy! Powinno być wam wstyd!"

To histeryczne wystąpienie sprawiło, że zebrani znów powstali i urządzili jeszcze jedną owację na stojąco. Tym razem jednak Gorbaczow nie powstał z miejsca.

Związek Radziecki wciąż był niby-wolnym krajem, z niby- -demokratycznym parlamentem, Sacharow więc nie dał się złamać. Wierzył w przyzwoitość milionów szarych obywateli ZSRR, którzy śledzili obrady w telewizji. Przeczucie go nie zawiodło. Listy i telegramy z wyrazami poparcia napłynęły do jego mieszkania przy moskiewskiej obwodnicy i do Akademii Nauk ZSRR - tej samej, która usiłowała zablokować jego nominację. Kilka tygodni po zjeździe najpopularniejsza gazeta kraju, „ Argumienty i Fakty”, przeprowadziła sondaż wśród dwudziestu milionów swych czytelników, prosząc o wskazanie „najlepszego posła”. Sacharow znalazł się na pierwszym miejscu, wyprzedzając Jelcyna. Gorbaczowowi przyznano miejsce siedemnaste. Sekretarz generalny był tak wzburzony tym wynikiem, że usiłował zwolnić z pracy redaktora naczelnego; ten jednak odmówił złożenia rezygnacji. Czy się to Gorbaczowowi podobało, czy nie - głasnost’ weszła w wiek dojrzały.

Dwa dni po wstrząsie, którego komunistyczny świat doznał w wyniku wydarzeń w Chinach i w Polsce, Michaił Gorbaczow udał się w poszukiwaniu inspiracji do mauzoleum Władimira Iljicza Lenina. Kiedy zarządzono przerwę obiadową w obradach zjazdu, deputowani przyłączyli się do kierownictwa radzieckiego, które odbyło rytualną pielgrzymkę do sanktuarium na placu Czerwonym, gdzie od sześćdziesięciu lat wystawione było na widok publiczny ciało Lenina. W asyście dziennikarzy z całego świata Gorbaczow poprowadził Polit- biuro na niemal kilometrowy spacer przez teren Kremla.

Zmierzającego z żoną u boku do Bramy Spasskiej Gorbaczowa otaczał ruchomy mur ochroniarzy i kamer telewizyjnych. Był pełen werwy, jak zwykle. Wydawało się, że wprost rozkoszuje się uwagą, jaką na sobie skupia. Mimo wszystkich awantur i nieprzewidywalności, pierwszy Zjazd Deputowanych Ludowych przyniósł ojcu głasnosti niekwestionowany triumf polityczny. Gorbaczow od samego początku zdominował przebieg obrad - schlebiając i oczarowując delegatów, ustalając zasady w trakcie obrad, zdołał skierować niezborny zjazd w pożądanym kierunku. Dla kogoś, kto wyrósł w totalitarnym państwie i nie miał doświadczenia w prowadzeniu demokratycznych debat, było to niezwykłe osiągnięcie. Sekretarz generalny instynktownie polubił demokrację parlamentarną. Wiedział, jak wykorzystywać czyjeś słabe punkty, ubijać interes, naginać zasady, zwyciężać w głosowaniach, posługiwać się mediami. Potrafił kogoś przegadać, wymanewrować i przekonać. Szybko i trzeźwo myślący, zawsze był o dwa, trzy kroki przed swymi politycznymi oponentami. Był też niewiarygodnie

uporczywy. Rozumiał, że w polityce nigdy nic nie jest ostateczne i że walka polityczna trwa nawet wówczas, gdy się wydaje, że już się zakończyła. Był wielkim improwizatorem, Houdinim radzieckiej polityki, mężem stanu o dziewięciu wcieleniach.

Członkowie Politbiura podążali gęsiego za Gorbaczowem, który mijając świątynie i pałace Kremla, machał uprzejmie do zaskoczonych turystów. Uderzający był kontrast między charyzmatycznym przywódcą i tymi biurokratycznymi trutniami. Szli zbici w gromadę, pogrążeni w ponurym milczeniu, opędzając się od reporterów usiłujących zagadnąć ich na temat wydarzeń w Chinach i w Polsce. Wystarczyło spojrzeć na ich smutne, melancholijne twarze, by się domyślić, co im zaprząta głowy. Gorbaczowowi się udawało, ale ich świat rozpadał się na kawałki. Władzę i przywileje, na które pracowali przez całe życie, właśnie im odbierano, w miarę jak w państwie pojawiały się nowe ośrodki władzy. W ciągu ostatnich kilku dni zmuszeni byli śledzić zjazdowe debaty usadzeni w kącie wielkiej sali obrad, a nie na tradycyjnym, zaszczytnym miejscu - w prezydium. Było to oszałamiające, druzgocące przeżycie.

Już od kilku miesięcy, kiedy Gorbaczowa uznano za międzynarodową supergwiazdę, czuli się pozostawieni na lodzie.

„Wyczuwaliśmy swego rodzaju strefę, czy kurtynę, oddzielającą go od pozostałych członków Politbiura” - napisał w swych dziennikach Witalij Worotnikow. - „Wierzyliśmy w Gorbaczowa bardzo długo. Wiązaliśmy z nim swe nadzieje, choć nie mieliśmy pojęcia, dokąd nas poprowadzi. Niestety, stanowczo zbyt późno zdaliśmy sobie sprawę, co się naprawdę dzieje. [Do tego czasu] pociąg pseudodemokracji rozpędził się tak bardzo, że nie można go już było zatrzymać”. Na poły z podziwem, na poły ze wstrętem Worotnikow przywoływał wyjątkową zdolność Gorbaczowa do tworzenia retorycznej mgiełki, w której „każda strona konfliktu zaczynała myśleć, że to właśnie ona cieszy się poparciem genseka”[41].

Zjazd mógł być nie dość demokratyczny dla Sacharowa i jego zwolenników, ale dla oligarchów w rodzaju Worotnikowa był demokratyczny aż zanadto. Bali się, czy zdołają zapanować nad rozwojem wydarzeń. Podczas przerw w obradach zbierali się w kuluarach, w starym Pokoju Prezydialnym, by utyskiwać na posunięcia radykałów i wyrażać zaniepokojenie tym, w jakim kierunku zmierza kraj. Szef gabinetu Gorbaczowa odnotował później, że nigdy wcześniej nie widział członków Politbiura tak bardzo zafrasowanych. „Większość z nich zdawała sobie

sprawę, że właśnie otwarto drzwi i wlał się przez nie tłum najróżniejszego autoramentu. Obawiali się poglądów, które tenże tłum wyrażał na oczach całego społeczeństwa”[42].

Była to decydująca chwila. Wszyscy rozumieli, że duch wolności czmychnął z butelki i że jedynie masowe represje mogłyby wepchnąć go do niej z powrotem. Rozwiązania, które miał do wyboru Gorbaczow, skrystalizowały się za sprawą przelewu krwi na placu Tiananmen i rewolucji, która dokonała się przy urnach wyborczych w Polsce. Jeden z jego współpracowników z partii stwierdził, że Gorbaczow stoi na „politycznych i moralnych rozstajach”[43]. Jego odgórna rewolucja przeistoczyła się w oddolny bunt. Mógł dać nań przyzwolenie, musiał się jednak liczyć z tym, że w ostatecznym rachunku zmiecie on z powierzchni ziemi takich reformatorów jak on - albo mógł go powstrzymać, co z kolei wymagało użycia siły. To zaś oznaczałoby porzucenie nadziei na radykalne reformy gospodarcze, które musiałyby zostać opóźnione co najmniej o pokolenie. Jednocześnie ZSRR naraziłby się na frontalną konfrontację z Zachodem.

Krocząc za Gorbaczowem, członkowie Politbiura minęli obronną Bramę Spasską, z czterech stron ozdobioną tarczami zegarowymi i blankowaniem. Na szczycie strzelistego hełmu wieży tkwiła czerwona gwiazda. Przechodząc pod nią, gromadka polityków weszła na brukowany bezmiar placu Czerwonego. Wciąż nie dając do siebie dostępu dziennikarzom, aparatczycy weszli do stojącego w środkowej części placu pudełkowatego mauzoleum z czerwonego marmuru. Pełniący wartę honorową żołnierze KGB stanęli na baczność, kiedy współcześni dziedzice Lenina zniknęli za czarnymi marmurowymi drzwiami i zeszli do pogrążonej w półcieniu piwnicy. Utrzymywano tam stałą temperaturę piętnastu stopni Celsjusza.

Ciało martwego bolszewika osłaniała kuloodporna szyba, która wytrzymała kilka zamachów, między innymi atak zwiedzającego mauzoleum człowieka, który zginął w 1973 roku, detonując chałupniczo skonstruowaną bombę. Spod koca wystawały tylko ręce i jakby woskowa czaszka - niegdyś rzekomo zawierająca mózg o dwadzieścia pięć procent większy od przeciętnego. Ukryte kabelki łączyły ciało z podziemnym pokojem kontrolnym, w którym zespół naukowców monitorował jego stan przez dwadzieścia cztery godziny na dobę (rosyjska prasa twierdziła później, że ciało porosło pleśnią w wyniku niesolidnej konserwacji podczas II wojny światowej, kiedy trzeba je było ewakuować na Syberię, by nie wpadło w ręce podchodzących pod Moskwę hitlerowców). Częścią podziemnego

kompleksu była też zamaskowana siłownia dla oficerów KGB, których zachęcano do ćwiczeń fizycznych po ciężkim dniu pełnienia warty przy doczesnych szczątkach Władimira Iljicza.

Radzieccy przywódcy przesuwali się wzdłuż mar pełni czci i nabożeństwa. Kiedy wyszli z mauzoleum na zalany słońcem plac, natknęli się na tłum dziennikarzy i ekip telewizyjnych, wykrzykujących pytania na temat wydarzeń w Pekinie. Gorbaczow chrząkał i mruczał, mówiąc, że obserwuje wydarzenia w Chinach z „troską", ale każdy rząd odpowiedzialny jest za własne działania.

„W czasie konferencji prasowej w Chinach powiedziałem, że opowiadam się za dialogiem między organami państwowymi i partyjnymi, ludźmi pracy i studentami. Odpowiedź na wszelkie pytania leży wyłącznie w dialogu. Takie jest moje zdanie również obecnie"[44].

Dwuznaczne stanowisko Gorbaczowa wywołało sporo narzekań wśród radykałów. Aby nie dopuścić do podobnych wydarzeń u siebie w kraju, domagali się jednoznacznego potępienia Pekinu i jasnego określenia okoliczności, w których dopuszczalne jest użycie siły do tłumienia demonstracji. Jelcyn nazwał działania chińskiej armii „zbrodnią przeciwko ludzkości". Sacharow domagał się odwołania radzieckiego ambasadora z Pekinu. Gensek tymczasem nie zamierzał sprecyzować swej opinii. Za wszelką cenę chciał zachować pole manewru.

Losem Gorbaczowa było działanie w strefie cienia między polityką a moralnością, w której to, co słuszne, i to, co błędne, jest zawsze względne, a wszystko i tak podporządkowane wyznaczonym celom. W okrutnym świecie krem- lowskiej polityki moralność była luksusem, na który ten mąż stanu nie mógł sobie pozwolić. Najważniejszym celem było polityczne przetrwanie. Gdyby Gorbaczow przyjął pryncypialne moralnie stanowisko, jak chciał Sacharow, jego towarzysze niemal na pewno pchnęliby go sztyletem w plecy.

Równocześnie nadal był wiemy niektórym podstawowym zasadom. Chociaż sam miał na sumieniu przemoc i przymykał oczy na stosowanie siły przez innych przedstawicieli władzy radzieckiej, nigdy nie dopuścił do siłowego odwrócenia procesów, które uruchomił. W 1989 roku wciąż był władny zatrzymać „drugą rewolucję rosyjską", zanim przyśpieszyła tak bardzo, że stracił nad nią kontrolę, i doprowadziła do zniszczenia imperium radzieckiego. Ale umyślnie nie korzystał z tej władzy, ponieważ obawiał się, że może to doprowadzić do masowego przelewu krwi i odebrania ludziom wszelkiej nadziei na jeszcze jedno pokolenie. Odrzucił opcję placu Tiananmen. Pozwolił rewolucji się toczyć, skrywając ją w mgle frazeologii, w której gubili się zarówno jej zwolennicy, jak i przeciwnicy.

Kto wie, czy największą jego zasługą nie było właśnie stworzenie tej zasłony dymnej.

Stanowczość Gorbaczowa i jego umiejętności polityczne wkrótce miały zostać wystawione na próbę, kiedy doszło do serii dramatycznych wydarzeń w Europie Wschodniej.

WARSZAWA
4 czerwca 1989

Podczas gdy Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza pacyfikowała wokół placu Tiananmen ostatnie grupki demonstrantów, inny reżym komunistyczny, na drugim końcu świata, poddawał swe osiągnięcia pod osąd wyborców. Po raz pierwszy od ponad czterdziestu lat obywatelom Polski przyznano prawo do wyrażania swych opinii za pośrednictwem urn wyborczych. Polacy wykorzystali tę nowo nabytą wolność, dając samozwańczym władcom solidną odprawę.

Nagi wybór, jaki pozostał komunistycznym przywódcom w obliczu rosnącego, powszechnego niezadowolenia, wyrażał się w dwóch, jakże wymownych odgłosach. W Chinach rozległo się mianowicie ra-ta-ta-ta-ta broni maszynowej, kiedy kule rozszarpywały bezbronnych demonstrantów. W Polsce słychać natomiast było sz-sz-sz-sz: to długopisy wyborców wykreślały nazwiska komunistycznych kandydatów na posłów. Był to wybór między stłamszeniem ludzi i podporządkowaniem się ich woli, między dyktaturą i demokracją, gwałtem i pokojem. Najpełniej wybór ten wyraził się właśnie 4 czerwca 1989 roku.

Polscy komuniści próbowali już poddać ludzi masowym represjom - w imię rozwiązania głównych problemów Polski. Ale od grudnia 1981 roku, kiedy Jaruzelski wprowadził stan wojenny, półki sklepowe się nie zapełniły. Robotnicy nie stali się bardziej wydajni. Zakłady przemysłowe wciąż wytwarzały tandetę, której w żaden sposób nie można było sprzedać na światowych rynkach; nawet Sowieci narzekali na jakość towarów importowanych z PRL. Ogromny dług państwa był większy niż kiedykolwiek przedtem. Środowisko naturalne wciąż było dewastowane, a stan zdrowia społeczeństwa w dalszym ciągu się pogarszał. Szybko mijał jednak psychologiczny szok spowodowany stanem wojennym. Po okresie biernej rezygnacji znów zwyczajnym zjawiskiem stały się strajki i inne formy protestu. Rząd przygotowywał pakiet oszczędnościowych posunięć gospodarczych, włącznie z redukcjami zatrudnienia na wielką skalę i znacznymi podwyżkami cen. Kolejny wybuch społecznego niezadowolenia wydawał się nieunikniony.

Teoretycznie rzecz biorąc, Jaruzelski mógł wprowadzić stan wojenny raz jeszcze, czego oczekiwali partyjni twardogłowi. Tym razem jednak oznaczałoby to masowy rozlew krwi. Represje na taką skalę kłóciły się też z jego charakterem i nie były na czasie wobec przemian w ZSRR za czasów Gorbaczowa. Użycie siły

przeciwko ludności zniweczyłoby także perspektywy radykalnych reform gospodarczych.

W tym miejscu swe słabości zdradza porównanie z Chinami. W Chinach transformacja ku wolnemu rynkowi była już mocno zaawansowana, a mimo to Deng Xiaoping wysłał czołgi dla zgniecenia protestu studentów. Chaos i zamieszanie „rewolucji kulturalnej”, dokładające się do kataklizmów „wielkiego skoku”, skłoniły komunistyczną wierchuszkę do pragmatyzmu gospodarczego. W przeciwieństwie do chińskich aparatczyków, polskim reformatorom zabrakło solidnej bazy politycznej, wewnątrz partii lub poza nią. Jeśliby Jaruzelski zdecydował się wkroczyć na drogę gwałtu i przemocy, musiałby polegać na najbardziej reakcyjnym skrzydle partii komunistycznej, uważającym inicjatywę prywatną za swe śmiertelne zagrożenie. Bez społecznego poparcia nie mogło być mowy o reformach i nadziejach na ucieczkę od nie kończącego się - najwidoczniej - cyklu represji i buntu.

Alternatywnym rozwiązaniem był dialog z opozycją. Jaruzelski postanowił dać Solidarności szansę uczestniczenia w dyskusjach o przyszłości Polski w zamian za pomoc w utrzymaniu spokoju. Aby przeprowadzić ten zwrot, musiał zdławić bunt we własnych szeregach. W czasie posiedzenia ustalającego kierunki polityki Komitetu Centralnego PZPR generał wraz ze swymi stronnikami uciszył krytyków groźbą masowego podania się do dymisji.

Kształt proponowanego Okrągłego Stołu i rozmieszczenie osób, które miały za nim zasiąść, stały się przedmiotem przewlekłych negocjacji. U najprzedniejszych stolarzy kraju zamówiono wielki owalny mebel, przy którym zasiąść by mogło do sześćdziesięciu ludzi. Miał on średnicę blisko dziesięciu metrów, która zapewniała niezbędny margines bezpieczeństwa: ponad metr powyżej i dalej, niż wynosił rekord świata w pluciu na odległość[45]. Stół co jakiś czas montowano, rozkładano, odkrywano i zakrywano, dowożono do Warszawy i do producenta - w zależności od manewrów negocjacyjnych obu stron. Dodawano podstoliki i podpodstoliki. W końcu, 6 lutego 1989 roku, więźniowie i ich nadzorcy usiedli wokół legendarnego mebla. Aby nie musieli jednak na siebie patrzeć, widok przesłaniały im kompozycje kwiatowe. Dwa miesiące później ogłoszono, że zostało osiągnięte porozumienie co do ponownej legalizacji Solidarności i przeprowadzenia pierwszych demokratycznych - choć tylko w połowie - wyborów w historii Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Zgodnie z życzeniem Jaruzelskiego, który chciał wprowadzać demokrację w ostrożnie odmierzanych dawkach, wszystko urządzono tak, aby zwycięstwo w

tych próbnych wyborach zapewnić komunistom. Wyżsi dostojnicy państwowi mieli kandydować bez kontrkandydatów, z „listy krajowej”. Oficjalny kandydat miał być „wybrany”, jeśli większość głosujących nie wykreśli jego nazwiska. Dla komunistów i ich sojuszników zarezerwowano sześćdziesiąt pięć procent miejsc w Sejmie. Solidarność natomiast mogła się ubiegać jedynie trzydzieści pięć procent „otwartych” miejsc w Sejmie wszystkie (czyli sto) miejsca w izbie wyższej - Senacie.

W dniu głosowania lokale wyborcze przyozdobiono biało- -czerwonymi flagami - polskimi barwami narodowymi. Kandydaci komunistyczni skrywali swe sympatie polityczne najlepiej, jak potrafili, chowając się za anonimowością listy krajowej. Nie było natomiast wątpliwości co do tożsamości kandydatów Solidarności. Każdemu z nich zrobiono osobne zdjęcie z Lechem Wałęsą w Stoczni im. Lenina w Gdańsku i następnie zamieszczono na plakatach wyborczych, którymi została oblepiona cała Polska. Na krótko przed wyborami Solidarność przygotowała plakat, który dosadnie wskazywał, o jaką stawkę toczy się gra po nieprzerwanej czterdziestoczteroletniej władzy komunistów. Znalazło się na nim zdjęcie aktora Gary’ego Coopera w pełnym rynsztunku kowbojskim. Napis na plakacie głosił: „W samo południe, 4 czerwca”.

Wszyscy spodziewali się, że kandydaci Solidarności wypadną dobrze, ale rezultaty przeszły najśmielsze oczekiwania. W pierwszej turze Solidarność zdobyła sto sześćdziesiąt spośród stu sześćdziesięciu jeden miejsc dostępnych

w Sejmie i dziewięćdziesiąt dwa miejsca w Senacie. Tylko dwóm kandydatom z listy krajowej udało się zdobyć pięćdziesiąt procent głosów wymaganych do wyboru. Po czterech dekadach narzuconej jednomyślności i pozorowanych wyborów pokusa „wyrzucenia łobuzów” była zbyt silna, aby głosujący mogli się jej oprzeć. Prawdę mówiąc, znajdowali oni w wykreślaniu nazwisk znanych komunistów, od premiera w dół, „niemal zmysłową przyjemność”, jak powiedział pewien wyborca. „Wykreśliłem ich wszystkich” - obwieścił jeden z głosujących w Warszawie - „ponieważ wszyscy się skompromitowali. **Tyle** razy obiecywali nam złote góry i za każdym razem nic z tego nie wychodziło”[46].

Nie był to rezultat, jakiego życzyła sobie Solidarność. Wałęsa, głosujący w Gdańsku, powiedział dziennikarzom, że aż tylu posłów solidarnościowych w Sejmie może przysporzyć kłopotów i sprowokować drugą stronę do rozwiązań siłowych. Sam głosował na wszystkich kandydatów z listy krajowej, poza generałem Czesławem Kiszczakiem, który niegdyś wtrącił go do więzienia. Przywódcy Solidarności wiedzieli, że za Jaruzelskim wciąż stoi wojsko i milicja. Osiągnąwszy

swe kadłubowe zwycięstwo, Solidarność musiała bronić się teraz przed triumfalizmem. „Wiedzieliśmy, że wygraliśmy, ale zbyt otwarcie nie mogliśmy zdradzać się ze swym szczęściem, ponieważ to oni mieli broń” - wspominał Bronisław Geremek, przywódca parlamentarnej grupy Solidarności[47].

Władze partii zebrały się dla omówienia wyników wyborów w nastrojach ponurych i defetystycznych. „Wyniki wyborów są straszne” - stwierdził Jaruzelski. Niczym dowódca próbujący trzymać w ryzach swe wycofujące się oddziały, generał wydawał polecenia i przydzielał zadania. Zarządził kolejną rundę rozmów - z wszystkimi, od Kościoła katolickiego po „sojuszników”, czyli - w języku aparatczyków - Kreml. Na zewnątrz wydawał się spokojny i opanowany, ale jego współpracownicy, którzy dobrze go znali, wiedzieli, że przechodzi nawrót psychicznej udręki[48]. Bardzo chciał się zapisać na kartach historii Polski jako ojciec demokracji, ale nie potrafił się pozbyć swego wizerunku generała w ciemnych okularach, który wprowadził stan wojenny. Nagrodą za wybranie drogi dialogu i zgody zamiast gwałtu i prześladowań było masowe odrzucenie przez wyborców.

Jaruzelski popełnił ten sam błąd co wcześniej Gorbaczow. Uznał mianowicie, że zdoła zapanować nad kierunkiem i tempem zmian. Uważał, że uda mu się nakłonić Solidarność, by wzięła na swoje barki współodpowiedzialność za bolesne reformy gospodarcze, nie dając jej jednocześnie realnego dostępu do władzy. Sądził, że demokratyzacja będzie się odbywała stopniowo. Ale wydarzenia zaczęły żyć własnym życiem. Godząc się na rozmowy z Wałęsą, wyzwolił proces polityczny, który nieubłaganie prowadził do jego upadku.

5 czerwca, w czasie oficjalnego roztrząsania porażki wyborczej PZPR, różnie tłumaczono jej przyczyny. Niektórzy oskarżali Solidarność o zbytnią agresywność, inni upatrywali źródła niepowodzenia w oddziaływaniu Kościoła katolickiego, jeszcze inni krytykowali partię za popełnienie elementarnych błędów politycznych. Ale najdosadniej ujął rzecz minister odpowiedzialny za reformę gospodarczą, Władysław Baka - jeden z pokonanych kandydatów z listy krajowej. „Ludzie już nas po prostu nie chcą” - powiedział swoim towarzyszom[49].

Tego wieczoru rzecznik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, występując w telewizji, uznał to, co dla wszystkich było oczywiste: „Wybory miały charakter referendum, w którym Solidarność zdobyła zdecydowaną przewagę”. Następnego dnia, 6 czerwca, energiczny premier komunistyczny, Mieczysław Rakowski, zaprosił najbliższych współpracowników na śniadanie. Wszyscy byli zmęczeni, a w czasie spotkania panowała atmosfera *fin de régime*. Skalę katastrofy

podsumował zgryźliwy rzecznik rządu, Jerzy Urban, jeszcze przed paroma miesiącami określający Wałęsę mianem „osoby prywatnej”, a o Solidarności wypowiadający się jako o nie istniejącej, „byłej” organizacji.

„Panowie, to nie są tylko przegrane wybory. To koniec epoki”[50].

FOROS
22 sierpnia 1989

Krym był ulubionym celem wakacyjnych podróży rosyjskich władców od czasu, gdy Katarzyna Wielka zdobyła go na Turkach pod koniec XVTII wieku. Subtropikalny raj palm i winnic, ów górzysty półwysep wcinający się w Morze Czarne uważany był za perłę w cesarskiej koronie. Carowie i sekretarze generalni przyjeżdżali tu rokrocznie, by poddać się kuracjom odmładzającym, wdychać balsamiczne morskie powietrze i uciec od trosk państwowych. Kiedy władza przechodziła z rąk do rąk, przy nadbrzeżnej, krętej drodze wyrastał nowy pałac - za każdym razem wspanialszy od poprzedniego.

Wkrótce po objęciu władzy Gorbaczow także doszedł do wniosku, że zasługuje na wielką rezydencję letnią. Wybrał na nią miejsce na południu Krymu, w połowie drogi między historycznymi miastami Sewastopolem i Jałtą, w szczególnie malowniczej, odosobnionej okolicy. Sześćsetmetrowy grzbiet górski osłaniał skalistą plażę, tworząc słoneczną półokrągłą nieckę wciśniętą między góry i morze.

Budowa rezydencji rozpoczęła się w 1987 roku i od razu nadano jej priorytetowe znaczenie. Tysiące żołnierzy pracowało dniem i nocą, wznosząc prywatny ośrodek obejmujący korty tenisowe, lądowisko dla śmigłowców, odkryty i kryty basen, kino i tajne centrum telekomunikacyjne. Na teren posesji dowieziono ciężarówkami setki ton pierwszorzędnej gleby, z której uformowano sztuczny krajobraz. Urządzono tam między innymi sad brzoskwiniowy. Dla członków ochrony i obsługi technicznej posiadłości wybudowano osobny hotel. Rezydencja Gorbaczowów była architektonicznym miszmaszem bez smaku. Budowla składała się z dwóch betonowych pudeł ze spadzistymi dachami pokrytymi czerwoną dachówką i połączonych krytym mostkiem. Dwudziestometrowe przeszklone ruchome schody zapewniały dostęp do plaży. Z zewnątrz obiekt wyglądał jak krzyżówka luksusowego hotelu z niegościnnym obozem pracy, otoczonym wieżyczkami wartowniczymi i kilkoma szeregami wysokich płotów z żelaza.

Od początku nad Foros unosiło się coś złowróżbnego. Obstawa genseka zniechęciła się do tego miejsca z uwagi na nieznośny upał, przezwała je „patelnią”. Jesienią z otaczających posiadłość gór spadały odłamki skalne, odcinając drogi dojazdowe. Roboty budowlane wykonywano równie szybko co niechlujnie. Wkrótce po wprowadzeniu się rodziny, latem 1988 roku, dębowa belka zwaliła

się na głowę dorosłej córki Gorbaczowa, Iriny. Musiała spędzić tydzień na oddziale chirurgicznym miejscowego szpitala; istniały też obawy, czy mózg nie został trwale uszkodzony. Po tym wypadku oficerowie ochrony zaczęli skakać po łóżkach i krzesłach, żeby sprawdzić wytrzymałość mebli[51].

Podczas drugich wakacji Gorbaczowa w Foros, w sierpniu 1989 roku, rozpadała się nie tylko willa. Rozsypywało się całe imperium radzieckie, tak żmudnie tworzone przez jego poprzedników. Odwrót z Afganistanu zapowiadał już, co się ma wydarzyć.

Największe straty odnotowano w Polsce, państwie, które tradycyjnie przysparzało najwięcej kłopotów Moskwie. Partia komunistyczna przegrała wybory parlamentarne. Co gorsza, komunistów zdradziły partie satelickie i PZPR nie mogła sformować większości parlamentarnej pod swymi skrzydłami. Główny komunistyczny reformator, Czesław Kiszczak, bezskutecznie usiłował sformować rząd. Dla przełamania impasu Solidarność zaproponowała kompromis: „Wasz prezydent, nasz premier”[52]. Jaruzelski miałby pełnić funkcję reprezentacyjnej głowy państwa i zaakceptować rząd pod kierownictwem Solidarności.

Władza komunistyczna upadała także w innych państwach Europy Wschodniej. Na Węgrzech liberalny reżym fizycznie demontował żelazną kurtynę wzniesioną przez Stalina po II wojnie światowej, odcinającą do tej pory imperium od Zachodu. 2 maja żołnierze węgierscy przystąpili do obalania zasieków z drutu kolczastego i wieżyczek obserwacyjnych na granicy z Austrią. Kiedy w czerwcu przyjechał do Budapesztu prezydent Bush, węgierscy gospodarze sprezentowali mu oprawiony w szkło symboliczny kawałek Żelaznej kurtyny. Szybko zaczęła się szerzyć wieść, że w niegdyś pilnie strzeżonej granicy pojawiły się szczeliny. W ciągu kilku tygodni tysiące mieszkańców Niemieckiej Republiki Demokratycznej, pokonując drakońskie ograniczenia w podróżowaniu we własnym kraju, usiłowały przedostać się przez Węgry na Zachód.

Gorbaczow był, do pewnego stopnia, przygotowany na taki obrót wydarzeń. W czasie spotkań z przywódcami państw wschodnioeuropejskich wielokrotnie przed tym ostrzegał. On i jego doradcy rozumieli, że era radzieckiej dominacji w Europie Wschodniej dobiega końca, mimo że nikt się nie spodziewał, że nastąpi to tak szybko. W przemówieniu wygłoszonym w lipcu na forum Parlamentu Europejskiego w Strasburgu apelował o „puszczenie w niepamięć” zimnej wojny i po raz pierwszy jednoznacznie przyznał, że rewolucje socjalistyczne są odwra-

calne: „Ład społeczno-polityczny w niektórych krajach zmienił się w ciągu ostatnich lat i w przyszłości znów może się zmienić. Jednakże mogą o tym decydować wyłącznie społeczeństwa tych krajów, do nich należy wybór. Każda ingerencja w sprawy wewnętrzne albo jakakolwiek próba ograniczania suwerenności państw, podejmowana nawet przez przyjaciół lub sojuszników czy jakikolwiek inny kraj, jest niedopuszczalna”[53]. Oznaczało to wycofanie się Gorbaczowa z tak zwanej Breżniewowskiej doktryny ograniczonej suwerenności. Zgodnie z nią bezpieczeństwo i dobrobyt wspólnoty komunistycznej były niepodzielne. W razie zagrożenia socjalizmu w którymkolwiek kraju bloku radzieckiego obowiązkiem innych państw socjalistycznych było udzielenie mu „bratniej pomocy”. Ucieczki z obozu socjalistycznego nie były tolerowane.

Pogrzeb doktryny Breżniewa ułatwiło to, że radzieccy ideolodzy zawsze zaprzeczali jej istnieniu. Termin ów pochodził zresztą z języka zachodnich sowietologów, podsumowujących argumenty, jakimi posługiwała się Moskwa dla usprawiedliwienia inwazji na Czechosłowację. Teoretycznie Związek Radziecki w stosunkach międzynarodowych uznawał zasadę poszanowania równości, suwerenności i nieingerencji w sprawy innych państw. Gorbaczow nadał realne znaczenie owym pustym do tej pory w wypadku ZSRR słowom. Kiedy czechosłowacki przywódca Gustav Husák prosił go o radę dotyczącą zmian personalnych w partii komunistycznej (sprawy personalne były przedmiotem żywego zainteresowania Breżniewa), Gorbaczow nie chciał się tym zajmować. „Z bliska widzisz lepiej, co robić, niż my z Moskwy” - odparł beztrosko[54]. Jego rzecznik prasowy zaczął mówić o „doktrynie Sinatry” - Niech każdemu będzie wolno powiedzieć: „Ja to zrobię po swojemu”[55].

„Nigdy nie było formalnej decyzji o powstrzymaniu się od użycia siły w Europie Wschodniej” - powiedział Aleksandr Jakowlew, współautor Gorbaczowowskiej strategii polityki zagranicznej. - „Po prostu skończyliśmy z obłudą. Przez lata mówiliśmy całemu światu, że kraje bloku są wolne i niepodległe, mimo że gołym okiem było widać, iż to nieprawda. Nie było jednak potrzeby podejmowania formalnej decyzji. Po prostu zastosowaliśmy się do tego, co było głoszoną przez nas polityką”[56].

Z tradycyjnego punktu widzenia radziecka polityka zagraniczna należała do prerogatyw sekretarza generalnego. Chociaż na posiedzeniach Politbiura Ligaczow i inni konserwatyści wciąż wylewali łzy nad utratą radzieckich wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej, nie czuli się jednak upoważnieni do ingerowania w sprawy bez wątpienia pozostające domeną genseka. Ligaczow twierdzi

zresztą, że sam był raczej zainteresowany wspieraniem socjalizmu w NRD niż w Polsce. Powstanie solidarnościowego rządu uznał za „wewnętrzną sprawę” Polski[57].

Kiedy konserwatyści zorientowali się, co się dzieje, było już za późno. Kostki domina zaczęły się przewracać.

Gorbaczow polubił Foros, ponieważ dawało mu możliwość ucieczki od cieplarnianego świata kremlowskiej polityki. Ubrany w krótkie spodenki, sportową czapeczkę i wygodne obuwie, codziennie przez dwie godziny spacerował z Raisą po górach powyżej swojej daczy. Za nimi podążali ochroniarze, dźwigając plecaki z wodą mineralną, radiotelefony i kałasznikowy. Czasami Gorbaczowowie wybierali się w rejs żaglówką wzdłuż postrzępionego wybrzeża Krymu, aż do białego carskiego pałacu w Liwadii, gdzie w ostatnich dniach II wojny światowej Stalin, Roosevelt i Churchill zdecydowali o losie Europy.

Goście z rzadka zaglądali do Foros. Sekretarz generalny nie chciał się kolegować z członkami Politbiura; zawsze zresztą na szczytach władzy na Kremlu wyczuwalna była straszna izolacja i samotność. Gorbaczowa otaczali pochlebcy i dworacy, ale miał bardzo niewielu przyjaciół. Do rodzinnego kręgu przeniknął jedynie Anatolij Czerniajew, doradca Gorbaczowa do spraw polityki zagranicznej. Były dyplomata uważał się za przedstawiciela liberalnej inteligencji rosyjskiej na dworze Gorbaczowa. Służył gensekowi jako inteligentny sparingpartner oraz pomagał mu w pisaniu przemówień i teoretycznych opracowań poświęconych pierestrojce. Jego skrupulatny, kreślony odręcznie pamiętnik dobrze odzwierciedla troski, które zaprzątały tamtego lata Gorbaczowa, a także poczucie rozpadu porządku ekonomicznego i politycznego:

Socjalizm znika z Europy Wschodniej. Zachodnie partie komunistyczne upadają wszędzie tam, gdzie nie zdołały utożsamić się z ideą narodową (...). Ale najważniejsza jest dezintegracja mitów i nienaturalnych form życia w naszym społeczeństwie. Planowa gospodarka rozpada się, upada „image" socjalizmu. Ideologia, jako taka, nie istnieje. Imperium upada. Partia utraciła swą przewodnią, dominującą rolę i siłę nacisku. Partia także zatem upada. Władza scentralizowanego państwa została zniszczona i nic nie wypełniło tej próżni. Coraz więcej jest oznak chaosu...**

Dla Gorbaczowa niepokoje w Europie Wschodniej były skutkiem ubocznym głównego wydarzenia, a więc rewolucji w samym Związku Radzieckim. Wszędzie widział zagrożenia i wyzwania. Niemal codziennie pojawiał się nowy kryzys:

fala niepokojów etnicznych w Uzbekistanie, protesty narodowe w republikach nadbałtyckich, strajki setek tysięcy górników na Ukrainie i Syberii. Gwałtownie malały jego możliwości wywierania wpływu na bieg wydarzeń i manipulowania publiczną debatą, co było dlań dodatkową przyczyną frustracji. W prywatnych rozmowach z Czerniajewem narzekał, że prasa „jątrzy", a Bałtowie są egoistycznie zapatrzeni jedynie we własną niepodległość, która może storpedować cały eksperyment kontrolowanych reform. Martwił się też wzrastającą czujnością narodową etnicznych Rosjan, którzy do tej pory stanowili trzon państwa radzieckiego.

„Jeśli Rosja powstanie, to się dopiero zacznie!" - komentował z goryczą. - „Będzie to koniec imperium".

Upadek osobistego autorytetu ojca pierestrojki był częścią znacznie szerszego kryzysu władzy w całym bloku radzieckim. Moskwa nie mogła już wydawać rozkazów i spodziewać się, że będą wykonywane w Wilnie czy Władywostoku, a tym bardziej w Berlinie czy Budapeszcie. Lokalne władze, a nawet poszczególni obywatele sami decydowali, które instrukcje mają wykonywać. Studenci unikali poboru do wojska, dyrektorzy zakładów przemysłowych ignorowali plany, redakcje gazet wyrzucały instrukcje Komitetu Centralnego do kosza.

Kryzys władzy był szczególnie widoczny w gospodarce. System scentralizowanego rozdzielnictwa załamał się pod naciskiem pogłębiającego się kryzysu gospodarczego. Brakowało niemal wszystkiego - od telewizorów po papier toaletowy. W rezultacie władze lokalne starały się chronić własnych konsumentów. Na początku 1989 roku, kiedy Czechosłowacja i Niemiecka Republika Demokratyczna zakazały wywozu odzieży dziecięcej i niektórych artykułów żywnościowych do sąsiednich krajów socjalistycznych, wybuchła „wojna toreb na zakupy". Związek Radziecki objął podobnym zakazem lodówki, pralki i kawior. Regiony, miasta, a nawet wsie rzuciły się w objęcia protekcjonizmu. W połowie sierpnia władze Moskwy ogłosiły, że przy zakupie wielu dóbr „deficytowych" należy okazać zaświadczenie o zameldowaniu. Gospodarka planowa, wraz ze sztywno ustalanymi normami i limitami, ustąpiła miejsca prymitywnemu barterowi. Z braku wolnego rynku każdy martwił się o siebie.

Kiedy w maju przybył do Moskwy amerykański sekretarz stanu James A. Baker III, namawiał Gorbaczowa, by zaczął wprowadzać mechanizmy wolnorynkowe, na początek uwalniając ceny. Radziecki przywódca nie słuchał podobnych rad własnych ekonomistów, ponieważ obawiał się niepokojów społecznych spowodowanych znacznymi podwyżkami cen. Baker, jako były sekretarz skarbu,

nalegał na Gorbaczowa, aby działał szybko, póki jeszcze cieszy się „kredytem zaufania". „Jeśli uwolnimy ceny, to dopiero ludzie stracą do nas zaufanie" - odparł Gorbaczow. - „Z reformą cen jesteśmy już spóźnieni o dwa dziesięciolecia. Nie można odwrócić wszystkiego w ciągu dwóch, trzech lat"[59].

Baker nie rozumiał, a Gorbaczow nie chciał się przyznać, że „kredyt zaufania" pierestrojki został już w całości wykorzystany.

Choć Gorbaczowa w czasie wakacji w Foros zajmowały problemy wewnętrzne, mimo woli zwracał uwagę na wydarzenia w Polsce. Trwały negocjacje w sprawie powołania rządu solidarnościowego na czele z premierem Tadeuszem Mazowieckim, długoletnim publicystą katolickim i byłym więźniem politycznym. Komunistom przyznano dwie teki: ministra spraw wewnętrznych i obrony narodowej, ale nie satysfakcjonowało ich to. Wszyscy rozumieli, że osiągnięto punkt zwrotny w historii Europy Wschodniej. Po raz pierwszy rządzącą partię komunistyczną dzielił tylko o krok od oddania władzy politycznej.

Przywódcy komunistyczni w innych krajach bloku radzieckiego byli zaniepokojeni perspektywą powstania rządu solidarnościowego w Polsce, ale większość z nich zdawała sobie sprawę, że nic na to nie poradzą. Wyjątkiem był rumuński dyktator, Nicolae Ceausescu. Zatwardziały stalinista, stojący na czele najbardziej represyjnego reżymu w Europie Wschodniej, zdołał zdobyć uznanie zachodnich polityków dzięki sporadycznemu dystansowaniu się do Moskwy. W sierpniu 1968 roku jako jedyny przywódca w bloku radzieckim potępił inwazję na Czechosłowację, twierdząc, że pogwałcono jej suwerenność państwową. Zagrożenie władzy komunistycznej w Polsce spowodowało zwrot w polityce zagranicznej Ceausescu o sto osiemdziesiąt stopni. Porzuciwszy rolę orędownika niepodległości narodowej, stał się teraz najzagorzalszym zwolennikiem obumarłej doktryny Breżniewa.

19 sierpnia o północy polski ambasador w Bukareszcie został wyciągnięty z łóżka. Wręczono mu pilną notę dyplomatyczną, zawierającą opinię Ceausescu na temat kryzysu. Potępiając Solidarność jako siłę na usługach „międzynarodowego imperializmu", *conducator* wzywał wojsko polskie do utworzenia „rządu ocalenia narodowego", na czele z komunistami. W dokumencie stwierdzono, że pozostałe państwa członkowskie Układu Warszawskiego mają zarówno prawo, jak i obowiązek podjąć wspólne działania w celu obrony „sprawy socjalizmu" w Polsce[60]. W piśmie nie sprecyzowano, jakiego rodzaju działania ma na myśli Ceausescu, ale sugerowano, że jest zwolennikiem zdecydowanej interwencji wojskowej.

Polska odrzuciła żądanie Rumunii, podobnie jak inni członkowie Układu Warszawskiego. W trzy dni później, 22 sierpnia, Gorbaczow podczas czterdziestominutowej rozmowy telefonicznej z Mieczysławem Rakowskim, nowym przywódcą partii komunistycznej, przyjął do wiadomości utworzenie w Polsce solidarnościowego rządu. Radziecki przywódca nie cierpiał rumuńskiego dyktatora o megalomańskich pretensjach i jego despotycznej żony Eleny. Groteskowy kult osobisty otaczający to małżeństwo przypominał mu najgorsze czasy stalinowskie. W czasie obrad Układu Warszawskiego Ceausescu bez powodu zachowywał się obraźliwie, z pogardą wyrażając się o pierestrojce i wskazując na Rumunię jako wzór dla innych państw komunistycznych. W czasie jednego z posiedzeń doszło do tak gorącej dyskusji, że trzeba było odesłać do innego pomieszczenia oficerów ochrony czekających w sąsiedniej sali, aby nie słyszeli, jak wrzeszczą na siebie sekretarze generalni. Stosunki między żonami obu polityków były równie złe[61].

„Ceausescu boi się o własną skórę" - powiedział Gorbaczow Rakowskiemu, komentując rumuński apel o interwencję wojsk Układu Warszawskiego w Polsce[62].

Choć Gorbaczow nie zamierzał blokować tworzenia rządu Solidarności, martwił się zaskakującą porażką wyborczą komunistycznych reformatorów. Czuł pokrewieństwo polityczne z Jaruzelskim, który pierwszy spośród przywódców Europy Wschodniej podchwycił idee pierestrojki i wdrożył je u siebie w kraju. Nagrodą dla polskich reformatorów za przewodzenie całemu blokowi radzieckiemu w przemianach demokratycznych było bezceremonialne wylanie z posad. Czyż nie taki sam zatem los czeka samego Gorbaczowa i Związek Radziecki? Gorbaczow poradził Rakowskiemu, że jedynym rozwiązaniem jest utworzenie nowej partii - oczyszczonej z konserwatystów.

„Musicie zbudować nową partię. Ze starej paczki nic nie wyciśniesz. Nawet gówna" - powiedział Rakowskiemu, przepraszając za użycie rosyjskiego żargonu.

Radziecki przywódca podkreślił, że Moskwa nie opuści polskich reformatorów i wciąż będzie popierała „linię porozumienia" wytyczoną przez Jaruzelskiego. Radzieckie „poparcie" dla Polski pozostanie niezmienione, oczywiście pod warunkiem, że polska „opozycja" zachowywać się będzie przyzwoicie i odpowiedzialnie. Jeśli Solidarność podejmie próbę obalenia istniejącego „ładu konstytucyjnego", Kreml będzie musiał zrewidować swój stosunek wobec Polski. „Możesz to im powiedzieć" - Gorbaczow nie sprecyzował, co ma na myśli, ale jasne

było, że Związek Radziecki odetnie dostawy subsydiowanej ropy naftowej i surowców.

Wobec tego, że ZSRR nie był skłonny straszyć użyciem siły wojskowej, wiadomo było, że i ta ostatnia, palcem po wodzie pisana groźba wkrótce straci jakiekolwiek znaczenie. Wypadki toczyły się teraz szybciej, niż ktokolwiek - łącznie z Gorbaczowem - był w stanie przewidzieć. W ciągu następnych miesięcy w gruzach legło wschodnioeuropejskie imperium Moskwy i układ geopolityczny istniejący od ponad czterdziestu lat.

Tempo przemian zaczęło się zwiększać kilka godzin po rozmowie Gorbaczowa z Rakowskim. Nie znany ani jednemu, ani drugiemu człowiek, minister spraw zagranicznych Węgier, podjął w zaciszu własnego domu w Budapeszcie decyzję, która niespełna trzy miesiące później doprowadziła do upadku Muru Berlińskiego.

Gyula Horn borykał się z potwornym dylematem moralnym i politycznym, który tego lata był też udziałem wielu innych przywódców komunistycznych. W ciągu kilku ostatnich miesięcy Węgry przekształciły się w obozowisko dziesiątek tysięcy uchodźców z NRD. Jedynie nieliczni wśród nich byli dysydentami politycznymi. Większość stanowili młodzi ludzie, którzy dość już mieli komunistycznej mizerii i węszących wszędzie tajniaków. Stracili resztki zaufania do przywódców komunistycznych, alergicznie reagujących nawet na samą myśl o reformie. Młodzi Niemcy głosowali nogami. Od Węgrów oczekiwali tylko swobodnego tranzytu do jaskrawych świateł zachodnioniemieckiego kapitalizmu. Popularności nabrało hasło „Na Wschodzie nie ma dla nas przyszłości". Minister spraw zagranicznych musiał podjąć decyzję, czy ich przepuścić, czy też trzymać w zamknięciu na komunistycznym Wschodzie.

Z jednej strony Węgrom wiązały ręce traktaty z NRD. Zgodnie z porozumieniem dwustronnym, podpisanym w 1968 roku, Węgry zobowiązały się nie zezwalać obywatelom Niemieckiej Republiki Demokratycznej na podróżowanie tranzytem na Zachód. Horn obawiał się, że jeśliby Węgry pogwałciły to porozumienie, zwolennicy ostrego kursu w Berlinie, Pradze i Bukareszcie w jakiś sposób będą chcieli wyrównać rachunki. Z drugiej strony wiedział, że jego rząd będzie tkwił w hipokryzji, wbrew duchowa czasów, jeśli nie dochowa wierności swym nowym, humanitarnym zasadom. Przed kilkoma miesiącami Węgry podpisały wszak międzynarodowe porozumienia uznające wolność podróżowania

między krajami i prawa uchodźców. To, jak rząd węgierski podejdzie do problemu młodych Niemców ze Wschodu, może się stać sprawdzianem szczerości jego deklaracji uznających prawa człowieka.

Po bezsennej nocy, którą spędził, chodząc po salonie, pięćdziesięciosiedmioletni minister spraw zagranicznych powziął decyzję. Postanowił zawiesić układ z NRD i zezwolić uchodźcom na opuszczenie terytorium Węgier. Przywódcy węgierscy przedsięwzięli środki ostrożności, informując z wyprzedzeniem Moskwę. Sowieci nie zgłosili sprzeciwu.

„Nie było innego wyjścia” - wspominał później Horn. - „Musieliśmy znaleźć humanitarne rozwiązanie, bez względu na konflikt, jaki mógł wybuchnąć. Nie miałem wątpliwości, że ta decyzja zapoczątkuje lawinę wydarzeń”[63].

BERLIN
9 listopada 1989

Najbardziej namacalnym symbolem zimnej wojny był Mur Berliński. Przez ponad jedno pokolenie wyrażał konfrontację komunizmu z kapitalizmem, Wschodu z Zachodem, dyktatury z demokracją. Mur przemawiał do wyobraźni: wszyscy pamiętamy, jak radzieckie czołgi stały tuż obok amerykańskich na Checkpoint Charlie, pamiętamy, jak John Kennedy pod Bramą Brandenburską deklarował*: Ich bin ein Berliner*. Pamiętamy wymiany szpiegów na moście Glienicke, serię dramatycznych ucieczek i wreszcie okrzyk Reagana: „Panie Gorbaczow, niech pan zburzy ten mur!"

Mur był linią podziału w dosłownym sensie - nie tylko między dwoma częściami miasta, ale też między przeciwstawnymi ideologiami i dwoma kontrastowo odmiennymi stylami życia. Nie był to zwykły mur. To był Mur. Z jednej jego strony były jaskrawe światła Ku'dammu, luksusowe domy towarowe i pstrokate sex shopy. Drugą stronę opanowały wszechobecne znamiona socjalizmu: przyćmione światła uliczne, tandetne bloki mieszkalne, ohydne pomniki zasłużonych proletariuszy. Jedna strona Muru była jednostajnie biała, z drugiej buchała feeria wesołego, wielokolorowego graffiti. Po jednej stronie ludzie jeździli mercedesami i bmw. Po przeciwnej - trabantami, czyli „mydelniczkami" albo „plastykowymi czołgami". Na „zachód" od Muru żyli ludzie, którzy mogli swobodnie podróżować, na „wschód" - społeczeństwo, które trzeba było otoczyć zasiekami, aby nie uciekło od swoich władców.

Władze wschodnioniemieckie wzniosły Mur w ciągu jednego dnia - 13 sierpnia 1961 roku - w celu powstrzymania powodzi uchodźców ciągnących na Zachód. Zanim go zbudowano, codziennie przemierzało miasto pół miliona ludzi, z których setki już nie wracały. Od końca II wojny światowej opuściło swe strony około trzech milionów wschodnich Niemców. Była to jedna z większych migracji w historii Europy. Większość uchodźców stanowiły osoby wykształcone, jak lekarze i inżynierowie, którzy uznali, że w komunizmie nie ma dla nich przyszłości. Pięćdziesiąt procent nie przekroczyło jeszcze dwudziestu pięciu lat. Niemieckiej Republice Demokratycznej groziła demograficzna zagłada.

Na początku Mur tworzyły zwoje drutu kolczastego, wyznaczające linię demarkacyjną między radzieckim i zachodnimi sektorami Berlina. Niektóre ulice arbitralnie podzielono na pół. Niekiedy linia podziału przechodziła wprost przez dom. Przyjaciele, sąsiedzi, nawet członkowie tej samej rodziny, nagle trafili do

dwóch, całkiem różnych światów. Tysiące wschodnioniemieckich żołnierzy w rekordowo krótkim czasie szczelnie zamknęło zachodnie sektory miasta. W pobliżu Bramy Brandenburskiej zebrały się czołgi i pojazdy opancerzone. Zabarykadowano stacje metra, zabito deskami okna i drzwi wielu domów, zniszczono mosty. W obawie przed sprowokowaniem konfrontacji jądrowej ze Związkiem Radzieckim, zachodni przywódcy musieli patrzeć w milczeniu na posunięcia władz NRD.

„Zamierzamy zaniknąć Berlin" - chwalił się Nikita Chruszczów swoim generałom. - „Założymy zwyczajne zasieki i Zachód będzie na nie patrzył jak cielę w malowane wrota. I kiedy będą tak stali i patrzyli, my postawimy mur"[64].

Wypadki potoczyły się dokładnie tak, jak przewidywał Chruszczów. Przed końcem roku miejsce drutu kolczastego zajął wysoki na cztery metry betonowy mur, otaczający zachodnią enklawę Berlina. Przez następne ćwierćwiecze władze Niemiec Wschodnich udoskonalały tę konstrukcję, dopóki każda dziura nie została załatana. W ostatecznej formie Mur miał sto siedemdziesiąt dwa kilometry długości, z czego sto pięć ze zbrojonych płyt betonowych. Zbudowano go z najtwardszego betonu, aby wytrzymał taranowanie. Płyty miały piętnaście centymetrów grubości i każda z nich ważyła dwie i pół tony. Połączono je zaprawą. Na szczycie umieszczono azbestowe rury. Dodatkową ochronę zapewniały trzysta dwie wieże obserwacyjne, ponad sto kilometrów rowów, dwieście pięćdziesiąt dziewięć wybiegów dla psów i dwadzieścia potężnych bunkrów[65]. Wzdłuż Muru rozciągał się martwy pas wciąż grabionego piachu o szerokości stu metrów. Umieszczono w nim tysiące min, strzegły go zautomatyzowane samostrzały.

Mimo tych środków ostrożności tysiącom obywateli NRD wciąż udawało się zbiec z „socjalistycznego raju" na różne śmiałe i pomysłowe sposoby. Przelatywali nad Murem balonami na rozgrzane powietrze i chałupniczo budowanymi machinami latającymi. Niektórzy przedostawali się na drugą stronę przez wydrążone w ziemi tunele albo taranując mur ciężarówkami, które zawczasu obito stalowymi płytami. W pogoni za wolnością grupa uciekinierów przebrała się za radzieckich oficerów i bez przeszkód przekroczyła granicę. Inni czołgali się cuchnącymi kanałami albo opuszczali się na drugą stronę za pomocą dźwigów własnej roboty. Pewna rodzina przepłynęła przez Bałtyk samodzielnie skonstruowaną łodzią podwodną. Wśród uciekinierów znalazło się też kilkuset żołnierzy. Organizacje walczące o prawa człowieka szacują, że przy próbach ucieczki życie straciło osiemset dwadzieścia pięć osób[66].

Wielu ludziom, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, Mur wydawał się trwałym elementem życia. Został tak solidnie zbudowany, że trudno było sobie wyobrazić, aby można go było zburzyć. Erich Honecker, człowiek, który nadzorował budowę, przechwalał się w 1989 roku, że Mur wciąż będzie tam stał za „pięćdziesiąt czy nawet sto lat”[67]. Kanclerz RFN, Helmut Kohl, też nie wierzył w jego upadek. 8 listopada 1989 roku, w czasie wizyty w Polsce, zareagował niedowierzaniem, kiedy Lech Wałęsa przewidział, że Mur upadnie w ciągu „tygodni”.

„Jest pan młodym człowiekiem” - zadrwił Kohl. - „Obalanie Muru będzie trwało wiele lat”[66].

Dwadzieścia cztery godziny później kanclerz zmuszony był przerwać swoją wizytę w Warszawie i powrócić do ojczyzny z powodu nadzwyczajnych wydarzeń w Berlinie.

Była to, w zasadzie, senna konferencja prasowa, poświęcona politycznym i gospodarczym reformom dokonującym się w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Szef propagandy wschodnioniemieckiego reżymu, Gunter Schabowski, był bardzo zmęczony. W ostatnich tygodniach nad sceną polityczną NRD przemknął huragan zmian, obalając Honeckera i zmuszając do zbiorowej dymisji członków Biura Politycznego. Kryzys związany z uchodźcami osiągnął punkt kulminacyjny. Około miliona obywateli NRD złożyło wniosek o zezwolenie na emigrację. Codziennie dziesiątki tysięcy ludzi opuszczały kraj, nie pytając o zgodę, okrężną drogą, która otwarła się na Węgrzech i w Czechosłowacji. Pokojowe demonstracje z dnia na dzień przybierały na sile. W czasie poprzedniego weekendu, 4 listopada, około pół miliona ludzi przemaszerowało w pochodzie ulicami Berlina, domagając się wolnych wyborów i swobody podróżowania. Sam Schabowski usiłował wygłosić przemówienie w czasie tej manifestacji, ale go wyśmiano.

Wir sind das Volk! - skandowali demonstranci. - „To my jesteśmy ludem!”

Mieszkańcy Niemiec Wschodnich żądali suwerenności, podobnie jak uczynili to Polacy w sierpniu 1980 roku i czerwcu 1989 roku. Zdecydowali, że nie chcą już, by w ich imieniu występowali samozwańczy przedstawiciele; nie chcą brać udziału w fikcji, zgodnie z którą dobrowolnie poddali niemiecką ziemię „demokracji ludowej” pod radzieckim patronatem. Schabowski, podobnie jak inni niemieccy reformatorzy, wyczuwał, że dni „dyktatury proletariatu” są policzone. Ale nie miał pojęcia, że to on rozpęta wielkie, historyczne zamieszanie.

Główny propagandzista bacznie przyglądał się tłumowi dziennikarzy znad swych półokrągłych okularów i ogłosił, że odpowie na jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Ktoś z tyłu sali chciał uzyskać bliższe informacje o nowych przepisach regulujących podróżowanie, które miały wprowadzić władze NRD. Schabowski zaczął wertować notatki i znalazł kartkę z oświadczeniem rządu, którą nowy sekretarz partii, Egon Krenz, wsunął mu w dłoń na chwilę przed konferencją, mówiąc: „To przysporzy nam wiele dobrego”[69]. Oświadczenie zredagowano w zwyczajowo biurokratycznym stylu, było tam sporo ogólnych sformułowań stwarzających wrażenie, że rząd decyduje się na wielkie ustępstwa. Uważna lektura zdradzała jednak, że o żadnych ustępstwach nie ma mowy.

Schabowski ogłosił, że od tej chwili obywatele Niemieckiej Republiki Demokratycznej będą mogli „złożyć podanie” o zgodę na prywatne podróże zagraniczne „bez żadnych warunków wstępnych”. Co więcej, władze bez opóźnienia zaczną wydawać pozwolenia na „wyjazd stały”, to znaczy na emigrację. Obowiązywać one będą na wszystkich przejściach granicznych, włącznie z prowadzącymi do Berlina Zachodniego.

Rzecznik nie zauważył zdania na drugiej stronie kartki, informującego o tym, że wiadomość ta jest zastrzeżona do ósmej rano następnego dnia.

Na temat Muru Berlińskiego w komunikacie nie powiedziano nic szczególnego, a tryb podróżowania na Zachód wciąż był niejasny. Aparatczykom chodziło raczej o stworzenie procedury, która wciąż gwarantowałaby im zachowanie kontroli nad sytuacją. Widok dziesiątek tysięcy obywateli NRD koczujących w ambasadach RFN w Czechosłowacji i na Węgrzech był dla władzy bardzo kłopotliwy. Kierownictwo Politbiura uznało, że jeśli można złagodzić to zjawisko, to uda się uratować Niemiecką Republikę Demokratyczną.

Schabowski poczuł jakby ukłucie strachu, kiedy odczytał fragment nawiązujący do Berlina Zachodniego. Jako członek Politbiura odpowiedzialny za Berlin wiedział, że każda decyzja dotycząca statusu miasta musi być uzgodniona z czterema „mocarstwami okupacyjnymi” - Związkiem Radzieckim, Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią i Francją. Pomyślał tylko: „Mam nadzieję, że Sowieci o tym wiedzą. Przecież to ma wpływ na status czterech mocarstw”[70].

Zarówno zagraniczni, jak i niemieccy dziennikarze uczestniczący w konferencji prasowej mieli sporo wątpliwości, o co naprawdę chodzi w tym oświadczeniu[71]. Wydawało się, że w dosłownym sensie szef propagandy powiedział, że obywatelom NRD wolno przekraczać Mur. Z drugiej strony doświadczenie mó-

wiło im, że słowa komunistycznych biurokratów nie zawsze znaczą to, co się wydaje, że znaczą. Wszystko zależało od tego, w jaki sposób zostaną wprowadzone w życie.

Kiedy Schabowski skończył, była już dziewiętnasta. Telewizja wschodnioniemiecka emitowała program informacyjny „Aktuelle Kamera” o dziewiętnastej trzydzieści. Dziennikarze nie mieli czasu na wyjaśnienie szczegółów, zdecydowali się więc nadać całe oświadczenie bez komentarza.

To, co się potem wydarzyło, było niewyobrażalne. Nawyki posłuszeństwa pieczołowicie ugruntowywane przez komunistyczne władze prysnęły jak bańka mydlana. Zamiast czekać na oficjalne wyjaśnienia, tysiące mieszkańców Berlina Wschodniego po prostu wzięło sprawy we własne ręce i ruszyło do zachodnich sektorów miasta. Tak jakby naprawdę uwierzyli, że to oni, a nie komunistyczny rząd, są prawdziwym „ludem”. Kiedy dotarli do sześciu przejść granicznych prowadzących do Berlina Zachodniego, spotkali się z tradycyjną odprawą. Funkcjonariusze straży granicznej stwierdzili, że nic nie wiedzą o nowych przepisach. „To nonsens, idźcie do domu” - mówili niektórzy. „Nie mamy żadnych instrukcji” - mówili inni.

Tłumy powiększały się jednak z minuty na minutę. Na przejściach pojawiły się ekipy zachodnich telewizji i filmowały zajścia. Ludzie zaczęli wykłócać się ze strażnikami, jak należy rozumieć słowa Schabowskiego. „Otwórzcie bramę! Otwórzcie bramę!” - skandowali. - „Mur musi runąć!” Olbrzymia większość krzyczących nie miała zamiaru opuszczać Niemiec Wschodnich na zawsze. „Pozwólcie nam przejść! Chcemy tylko zobaczyć Ku’damm i zaraz wrócimy!” - wołali. - „Wrócimy!”

W tym momencie strażnicy zaczęli już jednak wpadać w panikę. Byli elitą mającą bronić rubieży socjalistycznego państwa do ostatniej kropli krwi. Jeszcze przed paroma dniami obowiązywał rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do każdego, kto podejmie próbę ucieczki. W przeszłości ich słowo było prawem. Mieli olbrzymią władzę i wolę jej egzekwowania. Zwykły obywatel bez dyskusji musiał stosować się do ich rozkazów. Ale teraz, mimo że zachowali broń, czuli się osaczeni przez o wiele liczniejsze od nich tłumy rozwścieczonych obywateli, dla których słowo „nie” nie było żadną odpowiedzią. Około dwudziestej trzeciej dowódcy straży zaczęli nerwowo wydzwaniać do swoich przełożonych w Sta- si, służbie bezpieczeństwa NRD. Powiedziano im, żeby czekali na wyjaśnienia.

Na przejściu granicznym przy Bomholmer Strasse, na północnych przedmieściach Berlina, napierający tłum wymknął się spod kontroli. Skandowano:

„Otwórzcie, otwórzcie!” Na krótko przed dwudziestą trzecią tama w końcu pękła: berlińczycy naparli na biało-czerwony szlaban. Wkrótce strażnicy znaleźli się w samym środku ludzkiej powodzi. „Zacząłem się zastanawiać, dlaczego staliśmy tutaj przez dwadzieścia lat” - zwierzył się później reporterom kapitan Helmut Stoss[72]. Kiedy urzędnicy ministerstwa bezpieczeństwa w końcu się dowiedzieli, co się dzieje, niechętnie zezwolili na przepuszczanie ludzi na drugą stronę granicy.

Przy Checkpoint Charlie, przejściu do sektora amerykańskiego, tłumy musiały czekać na podniesienie szlabanu do północy. Kiedy pierwsi berlińczycy ze Wschodu wydostali się z niesamowitej, choć autentycznej scenerii niezliczonych filmów szpiegowskich, po zachodniej stronie Muru rozległa się wielka wrzawa. Wznosząc ręce, przybysze pokazywali znak zwycięstwa i machali niebieskimi dowodami osobistymi. Z pobliskiego baru wyszli ludzie, by powitać rodaków butelkami szampana i drobnymi sumami.

„Po prostu nie mogę w to uwierzyć!” - wykrzyknęła trzydziestoczteroletnia Angelika Wache, mrugając, oślepiona światłem setek lamp błyskowych.

„Nie czuję się już jak więzień!” - zawołał młody człowiek. Dwudziestoczteroletni Torsten Ryl wyznał dziennikarzom, że przyszedł, żeby zobaczyć, jak jest na Zachodzie, i zamierza wrócić do domu. - „W końcu naprawdę możemy jeździć do innych krajów, a nie tylko oglądać je w telewizji czy o nich słuchać”. Zyskując aplauz tłumów, mieszkaniec Berlina Zachodniego wręczył mu dwudziestomarkowy banknot i poradził, żeby poszedł się napić piwa[73].

Tymczasem młodzi ludzie z Berlina Zachodniego wspięli się na Mur w pobliżu Bramy Brandenburskiej i zaczęli urągać policjantom po drugiej stronie. Stary pruski pomnik wystawiony na chwałę dawnych zwycięstw - sześć kolumn zwieńczonych attyką, na której Bogini Zwycięstwa powozi kwadrygą - uważany był przez wielu Niemców za symbol niemieckiej jedności. Brama Brandenburska przypominała im, co utracili w wyniku klęski w II wojnie światowej. *i* Jeszcze przed kilkoma godzinami nikomu nie przeszłoby przez myśl, by zbliżyć się do Muru w tej okolicy, tak silnie był tu strzeżony. Ale teraz ludzie zaczęli tańczyć na jego szczycie, na oczach zaskoczonych telewidzów z całego świata. Około pierwszej w nocy do tańczących wessich dołączyli ossi. W tym momencie wschodnioniemiecka policja nakierowała na bawiących się działko wodne. Tłum odpowiedział na ten ruch szyderczym wyciem i gwizdami. Jeden z młodzieńców nonszalancko rozpostarł parasol, by osłonić się przed strumieniem wody.

So ein Tag, so wunderschön! - śpiewały tłumy po obu stronach Muru. - „Co

za dzień, jaki cudowny dzień!”

Przez następne dni trwała żywiołowa zabawa uliczna.

Berlińczycy ze Wschodu wkraczali do zakazanego miasta. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin od otwarcia Muru na zachodnią stronę przeszło blisko dwa miliony obywateli NRD. Na Zachodzie witano ich naręczami kwiatów i czekoladkami. Przechodnie na powitanie klepali dachy rozklekotanych trabantów. Widok tych dwusuwów tłoczących się na ulicach Berlina Zachodniego stał się symbolem nowej ery, tak samo zresztą jak widok Mścisława Rostropowicza grającego na wiolonczeli tuż przy Checkpoint Charlie. W powodzi serdeczności wobec swych wschodnich sąsiadów niektórzy Niemcy z RFN zaczęli określać trujące wyziewy trabantów „perfumami wolności”. Wkrótce ludzie w Berlinie i Lipsku nie skandowali już: „To my jesteśmy ludem!” *(Wir sind das Volk!),* lecz: „Jesteśmy j e d n y m ludem [narodem]!” *(Wir sind ein Volk!).*

Z czasem hojność i gościnność wessich zelżała - goszczenie ubogich krewnych straciło urok nowości. Bliższa znajomość zrodziła podejrzenia, a nawet pogardę. Euforia ossich spowodowana nagłym oswobodzeniem ustąpiła miejsca goryczy i złości na komunistycznych władców, że oszukiwali ich przez tak długi czas. Ale tych kilka dni chwały dla miasta, które przeszło przez tyle bólu i przeżyło tyle tragedii, było czasem niczym nie zmąconej radości.

„Przez dwadzieścia osiem lat od wybudowania Muru, od 13 sierpnia 1961 roku, tęsknie czekaliśmy na ten dzień” - stwierdził burmistrz Berlina Zachodniego, Walter Momper, przemawiając do uczestników wiecu przed ratuszem. - „My, Niemcy, jesteśmy teraz najszczęśliwszym narodem świata”[74].

W radzieckiej ambasadzie przy Unter den Linden, eleganckiej trzypasmowej alei przechodzącej pod Bramą Brandenburską, nic nie rozumiejący dyplomaci jak zaczarowani wpatrywali się w tłumy mieszkańców Berlina Wschodniego szturmujące Mur. Przez prawie cztery dekady ambasada pełniła funkcję pałacu wicekrólewskiego, za którego pośrednictwem Kreml kontrolował swe cenne niemieckie włości. W NRD jedynie nieliczne decyzje podejmowano bez konsultacji albo przynajmniej bez poinformowania radzieckiego ambasadora. Ale teraz wydarzenia rozgrywały się błyskawicznie, nawet na progu samej ambasady ZSRR, a namiestnik Moskwy o tym, co się dzieje, wiedział mniej niż zachodnioniemiecka telewizja.

Mniej więcej osiem godzin po uczynieniu pierwszego wyłomu w Murze z am-

basadą połączyła się spanikowana Moskwa. Dzwonił oficer dyżurny odpowiedzialny w radzieckim MSZ za kraje socjalistyczne. „Co się dzieje z Murem?” - pytał. - „Agencje prasowe na całym świecie zwariowały!”[75]

Oficer polityczny w ambasadzie pokrótce zreferował rozwój wydarzeń w ciągu ostatnich godzin, zaczynając od przedziwnej konferencji prasowej Schabowskiego.

„Czy to wszystko było z nami uzgodnione?” - zapytał z niedowierzaniem w głosie dyżurny z Moskwy.

Rząd wschodnioniemiecki poinformował ambasadę swych planach otwarcia granicy z RFN dla potencjalnych emigrantów bez konieczności podróżowania przez Czechosłowację czy Węgry. Ambasador, Wiaczesław Koczemasow, poinformował z kolei radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które nie miało zastrzeżeń wobec tych planów. Ale ambasadzie nie było nic wiadomo o decyzji, w wyniku której zwykły obywatel NRD mógłby przechodzić sobie w tę z powrotem przez Mur wedle własnego widzimisię. Było nie do pomyślenia, żeby władze NRD nie skonsultowały się z Moskwą w tak delikatnej materii, która przecież dotyczyła statusu czterech mocarstw. Dyplomata zasugerował delikatnie, że być może informację tę przekazano tajnymi kanałami, z pominięciem ambasady. Możliwe, że Krenz skontaktował się bezpośrednio z Gorbaczowem za pomocą *wiertuszki*.

Zaczęto zadawać pytania i wkrótce się okazało, że stało się to, co niewyobrażalne. W Moskwie nikt nie miał najmniejszego pojęcia o tej decyzji. Pół godziny później do ambasadora Koczemasowa zatelefonował wysoki rangą urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych NRD.

„Decyzję podjęto dziś w nocy, została na nas wymuszona” - tłumaczył przepraszająco. - „Każda zwłoka mogła nieść bardzo groźne konsekwencje. Nie było czasu na konsultacje”.

Jeszcze przez wiele miesięcy radzieccy i enerdowscy urzędnicy szczegółowo analizowali wydarzenia tej nocy, usiłując wytłumaczyć ów brak łączności. Pierwotny projekt nowych przepisów, który pokazano radzieckim dyplomatom, wcale nie odnosił się do problemu wiz turystycznych. Dotyczył wyłącznie „wyjazdów stałych”. Czterech urzędników resortu spraw wewnętrznych NRD średniego szczebla i prawników Stasi, którzy byli odpowiedzialni za przygotowanie ostatecznego projektu, uznało to za nieprawidłowość. „Mieliśmy przedłożyć projekt przepisów dla obywateli, którzy chcą wyjechać z kraju na zawsze. Ale czy należało zabronić wyjazdu obywatelowi, który chciał odwiedzić swoją ciotkę?” -

wspominał później jeden z urzędników MSW. - „To byłoby schizofreniczne”[76]. Aby uniknąć nonsensu, urzędnicy dołączyli ogólnikowo sformułowany paragraf zezwalający na „podróże prywatne”, nie wdawali się jednak w szczegóły co do niezbędnych formalności.

Nowy projekt został przedstawiony członkom Politbiura w czasie przerwy obiadowej. Mieli oni głowy zaprzątnięte bardziej palącymi problemami, mianowicie własnym przetrwaniem politycznym, i nie przywiązywali wagi do sformułowań. Popijając kawę, zaaprobowali projekt. Około siedemnastej przedłożono go Komitetowi Centralnemu. Prawie nikt spośród dwustu trzynastu członków KC nie zrozumiał tekstu. Było tylko jedno pytanie. „Czy to zostało uzgodnione z towarzyszami radzieckimi?” - zapytał ktoś. „Tak” - odparł Krenz, zaabsorbowany gorącymi wydarzeniami ostatnich dni[77].

Wiadomość o upadku Muru zaszokowała Gorbaczowa, ale szybko pogodził się z nieuniknionym. Od miesięcy robił ultrakonserwatywnemu kierownictwu NRD wykłady o potrzebie elastyczności. „W polityce życie ciężko karze tych, którzy zostają z tyłu” - powiedział Honeckerowi w październiku 1989 roku, w czasie uroczystości z okazji czterdziestej rocznicy powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej[78]. Wizyta w Berlinie dała Gorbaczowowi możliwość poznania z pierwszej ręki głębi izolacji politycznej Honeckera. Stojąc na podium w czasie uroczystego pochodu, słyszał, jak młodzi berlińczycy wołają: „Gorbi, pomóż nam!” Wielu z demonstrantów było członkami komunistycznej organizacji młodzieżowej.

Tuż za Gorbaczowem stał pierwszy sekretarz KC PZPR, Mieczysław Rakowski. Ponieważ dobrze znał niemiecki i rosyjski, mógł służyć pomocą jako tłumacz radzieckiego przywódcy. „Rozumiesz, co oni krzyczą?” - zaszeptał Gorbaczowowi do ucha.

„Tak, rozumiem”.

„To już koniec”[79].

Po powrocie do Moskwy Gorbaczow powiedział innym członkom radzieckiego Politbiura, że dni Honeckera są policzone[80]. I rzeczywiście, stary stalinowiec musiał ustąpić niespełna dwa tygodnie później, jako ofiara własnego uporu, nie pozwalającego mu zaakceptować jakichkolwiek poważnych zmian.

Radzieccy dyplomaci w Berlinie Wschodnim często narzekali, że trudno skłonić Kreml, by skupił się na narastającym kryzysie w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Pod koniec 1989 roku Gorbaczow był niemal całkowicie zajęty

pogarszającą się sytuacją wewnętrzną. Na początku nawet nie chciał brać udziału w uroczystościach jubileuszowych, ponieważ nie wierzył, że może w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg wydarzeń. Zgodził się przyjechać do Berlina tylko dzięki energicznym namowom Koczemasowa[81].

Stosunek Gorbaczowa do Niemiec był naznaczony tym, że sekretarz generalny należał do powojennej generacji kremlowskich polityków. Był pierwszym radzieckim przywódcą od czasów Stalina, którego nie przepełniał atawistyczny strach na myśl o zjednoczonych Niemczech pozostających poza radziecką strefą wpływów. Co więcej, podzielone Niemcy wydawały się Gorbaczowowi czymś nienaturalnym i nie do utrzymania przez dłuższy czas. W głębi duszy uważał ich zjednoczenie za „nieuniknione", chociaż nie spodziewał się tego w dającej się przewidzieć przyszłości[82]. Lubił mówić, że historia sama zdecyduje, kiedy Niemcy mają się połączyć. Na tydzień przed upadkiem Muru powiedział przywódcom NRD, że „nie jest to zagadnienie polityki bieżącej"[83].

Wobec wydarzeń w Niemczech Wschodnich Gorbaczow pozostał wiemy swemu przekonaniu, że każda partia komunistyczna odpowiedzialna jest za wydarzenia w swoim kraju. Tę zasadę przedstawił po raz pierwszy w czasie spotkania przywódców państw Europy Wschodniej w 1986 roku. W czasie czerwcowej wizyty w Moskwie Erich Honecker narzekał, że jest pod coraz większym naciskom „kół rządowych" Niemiec Zachodnich, domagających się ustępstw politycznych. „Tym naciskom trzeba się odpowiednio przeciwstawić" - stwierdził, sugerując potrzebę radzieckiego wsparcia. Radziecki przywódca wyraził troskę i powiedział, że ostrzegał Kohla przed wykorzystywaniem powszechnego niezadowolenia w Niemczech Wschodnich. Ale jasno powiedział, że Związek Radziecki nie zamierza bezpośrednio angażować się w te sprawy*4.

Kiedy pozycja polityczna Honeckera zaczęła się chwiać, Gorbaczow przyjął rolę obserwatora. Głównym jego zmartwieniem było niedopuszczenie do wplątania w kryzys pięciuset tysięcy żołnierzy radzieckich stacjonujących w NRD. W rozmowach z kolegami i współpracownikami sekretarz generalny utrzymywał, że trzeba pozwolić, aby rewolucja przebiegała swym naturalnym torem, bez ingerencji z zewnątrz[85]. Dla pewności, że jego instrukcje zostaną wykonane, wysłał do Berlina i innych wschodnioeuropejskich stolic Jakowlewa, z bardzo prostym, jak wynika z jego wspomnień, przesłaniem. „Wciąż musiałem to powtarzać. Nie zamierzamy interweniować. Proszę, liczcie na własne siły, mówiłem, nie bierzcie pod uwagę naszego wojska, mimo że tu stacjonuje. Radzieccy żołnierze pozostaną w swoich koszarach i nie wyjdą z nich pod żadnym pozorem"[86].

W czasie wypadków, które potem nazwano Rewolucją Październikową w Lipsku, radzieccy politycy nalegali na Honeckera i Krenza, aby nie używali siły przeciwko setkom tysięcy młodych ludzi, którzy łamali zakaz demonstracji. W Moskwie obawiano się antyradzieckiej prowokacji. Aby do niej nie doszło, radzieckie oddziały były zamknięte w koszarach. Na czas demonstracji odwołano wszystkie manewry wojskowe[87]. Podobne instrukcje wydano w ciągu pierwszych godzin po upadku Muru Berlińskiego[88].

Dwadzieścia cztery godziny po obaleniu Muru ambasador Koczemasow otrzymał oficjalne instrukcje z Moskwy, post factum zezwalające na to, co się już dokonało. Wiadomość od Gorbaczowa przekazał Krenzowi ustnie, przyjmując tłumaczenie tego ostatniego, że zawiodła łączność. Dodał nawet: „Wszystko przebiegło prawidłowo. W taki sam sposób musicie działać w przyszłości - energicznie i z pewnością siebie”[89].

Nie było już Muru. Niemal czterdzieści pięć lat radzieckiego panowania w Europie Wschodniej dobiegło końca.

PRAGA
24 listopada 1989

Kiedy bohater Praskiej Wiosny wszedł na balkon nad placem Wacława, z piersi trzystu tysięcy ludzi ozwało się ogłuszające wołanie: „Dubćek, Dubćek!” Starszy, z lekka przygarbiony pan o włosach okrytych siwizną i delikatnym uśmiechu - Alexander Dubćek - czekał, aż tłum ucichnie. Wypowiedział następnie hasło, które w 1968 roku stało się inspiracją dla milionów jego rodaków i skłoniło spanikowane radzieckie Politbiuro do wysłania czołgów do Czechosłowacji.

„Niech żyje socjalizm z ludzką twarzą!”[90]

Tłum znów zaczął skandować: „Wolność, wolność!” oraz „Niech żyje Dubćek!” Po długim, wąskim placu echo niosło odgłos dzwonienia pękami kluczy: był to znak dla stalinowskich następców Dubćeka, że przyszedł czas na ich dymisję.

Przez ponad dwadzieścia lat reżym zdominowany przez stalinowców i zwolenników ostrego kursu starał się, jak mógł, unicestwić wszelką pamięć o Dubćeku. Kiedy państwowe media w ogóle raczyły o nim wzmiankować, czyniły tak tylko po to, by go wyszydzić. Gdy w kwietniu 1969 roku wymuszono na nim rezygnację ze stanowiska pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Czechosłowacji, zatrudniany był na różnych podrzędnych posadach, wykonywał coraz gorsze prace. Dla większości rodaków jednak znużona twarz Dubćeka przywoływała minioną epokę. Kiedy zmierzał na plac Wacława, ludzie zatrzymywali się i patrzyli na niego, jakby ujrzeli ducha.

Ale oto był tutaj, wygrzewając się w cieple serdecznej owacji zgotowanej mu przez setki tysięcy ludzi. Sceny te oglądała w telewizji praktycznie cała ludność Czechosłowacji. Powrót Dubćeka na plac Wacława i fakt, że wydarzenie to oglądało tak wielu ludzi, oznaczał „triumf pamięci nad zapomnieniem”, jak ujął to emigracyjny czeski pisarz Milan Kundera.

Plac Wacława, położony w samym sercu Pragi, był punktem zapalnym społecznego oporu w czasie radzieckiej inwazji na Czechosłowację w sierpniu 1968 roku. Fasada stojącego przy nim Muzeum Narodowego wciąż poorana była bliznami po kulach broni maszynowej, powstałymi w rezultacie strzelaniny, jaka wywiązała się między czeskim snajperem i radzieckimi żołnierzami. To tutaj sowiecki sołdat zastrzelił jedenastoletniego chłopca, który usiłował zatknąć czechosłowacką flagę na czołgu Armii Czerwonej. Tutaj też 16 stycznia 1969 roku

czeski student Jan Palach dokonał samospalenia w proteście przeciwko zdławieniu idei Praskiej Wiosny. Po latach można uznać, że jego śmierć była ostatnim spazmem ruchu demokratycznego. Palach, jak wielu innych, został przekształcony w Orwellowską „nieosobę".

Po wyrzuceniu Dubćeka z posady władza przeszła w ręce neostalinowców na czele ze Słowakiem Gustavem Husakiem. „Normalizacja" stała się hasłem dnia. W ciągu kilku lat partię musiało opuścić około miliona zwolenników Dubćeka. Ci, którzy odmówili jego potępienia, zmuszani byli do zamiatania ulic, palenia w kotłowni i nocnego stróżowania. Wprowadzono ścisłą cenzurę środków masowego przekazu. Niezależne grupy polityczne i związki zawodowe zostały rozwiązane. Czechosłowacja raz jeszcze zamknęła granice przed światem zewnętrznym.

Kraj ów płynął w tym reakcyjnym i anachronicznym bocznym nurtem jeszcze długo po tym, jak Gorbaczow rozpoczął w Związku Radzieckim kampanię głasnosti. Husak i jego towarzysze uważali ją za moralne i polityczne zagrożenie. Doszli przecież do władzy dzięki radzieckiej interwencji zbrojnej. Wiedzieli, że publiczna debata poświęcona inwazji zakwestionuje ich legitymację do sprawowania władzy. W czasie spotkań z radzieckimi przywódcami w 1989 roku wielokrotnie odrzucali ich próby podjęcia rozmowy o reformach. Wszystko, co miało związek z Praską Wiosną, łącznie z samym słowem „reforma", było politycznym tabu. Czescy przywódcy, tak samo jak Honecker w NRD, opierali się naciskom Moskwy, by przyjęli nieco bardziej liberalny kurs. Byli przekonani, że „poluzowanie śruby" będzie początkiem politycznej lawiny, która pozbawi ich władzy.

„Żyli w cieniu syndromu roku 1968" - pisał potem Gorbaczow. - „Wpadali w histerię przy najdrobniejszych wzmiankach w prasie radzieckiej o możliwości oficjalnej rewizji opinii o roku 1968"[91].

Wprowadzanie w życie „normalizacji" było tak gruntowne i szeroko zakrojone, że skutecznie zamknęło usta wszystkim w Czechosłowacji, którzy mieliby ochotę na debaty polityczne. Przez całe lata zorganizowany opór reżymowi stawiała ledwie garstka niepokornych intelektualistów, z których najbardziej znany był Vaclav Havel, czołowy dramaturg kraju. Większość ludzi zbyt była zastraszona, by jawnie stanąć po stronie dysydentów. Pamiętano o inwazji i masowych represjach politycznych, które po niej nastąpiły. To zniechęcało społeczeństwo do szczerego wyrażania swych poglądów. Havel w 1988 roku stwierdził, że „nasi rodacy sympatyzują z nami, ale nas nie popierają"[92].

Kiedy jednak bunt przeciwko komunizmowi objął pozostałe państwa Europy

Wschodniej, konserwatywne kierownictwo czechosłowackie znalazło się w politycznym i ideologicznym osamotnieniu. Po upadku Muru Berlińskiego dla wszystkich stało się jasne, że przyszła kolej na Czechosłowację. Potrzebna była tylko iskra, która pobudziłaby uśpione, apatyczne masy do działania i pomogła przezwyciężyć strach przed reżymem. Taka iskra została skrzesana 17 listopada, kiedy rząd użył siły dla rozbicia pokojowej demonstracji studenckiej zorganizowanej pod hasłami wolności politycznych. Setki demonstrantów trafiły do szpitala. Rozeszły się pogłoski (później okazało się, że fałszywe), iż jednego ze studentów zakatowano na śmierć.

W ciągu następnego tygodnia protesty nasiliły się i w końcu ogarnęły cały kraj. Havel i jego przyjaciele dysydenci zorganizowali szeroki ruch, znany jako Forum Obywatelskie, który postawił sobie zadanie zbadania brutalnych działań policji. Forum żądało ustąpienia osób odpowiedzialnych za represje, a więc między innymi Husaka, którego wywindowano do rangi prezydenta. Domagano się też dymisji jego następcy na stanowisku szefa partii komunistycznej, Milo- śa Jakeśa. Z dnia na dzień coraz więcej ludzi przychodziło na plac Wacława, by poprzeć postulaty Forum Obywatelskiego.

W miarę jak topniał strach, prażanie znajdowali coraz większą przyjemność w hołubieniu zakazanych symboli, jakby chcieli zamanifestować, że wysiłki reżymu zmierzające do wymazania zbiorowej pamięci historycznej spaliły na panewce. Do 24 listopada ulice oblepione były portretami Palacha i Dubćeka. Rozlepiono też sporo plakatów przedstawiających lewicowego liberała Tomasa Masaryka, ojca niepodległości Czechosłowacji w 1918 roku, i jego syna Jana, który pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych po II wojnie światowej i został zaszczuty na śmierć przez komunistów. Jako symbol liberalnych, przedkomunistycznych tradycji kraju Masarykowie zostali zepchnięci w polityczny niebyt wraz z Palachem, Dubćekiem i Havlem. 24 listopada do czynnego życia publicznego powróciła też inna „nie- osoba", Marta Kubisova, aktorka, której przez dwadzieścia jeden lat zabraniano występować za śpiewanie antykomunistycznych pieśni. Tłum wiwatował na jej cześć, kiedy wyszła na balkon redakcji „Wolnego Słowa" i zaśpiewała znaną pieśń o siedemnastowiecznym bohaterze Czech, który walczył o wyzwolenie swego ludu.

Potem przyszła kolej na Dubćeka. Kiedy zażądał ustąpienia wszystkich liderów komunistycznych, którzy mieli związek z inwazją radziecką, nieprzytomny z radości tłum zgotował mu gorący aplauz. „Dwadzieścia lat temu próbowaliśmy

zreformować socjalizm, ulepszyć go" - przemówił do tłumów Dubćek. - „W tamtych dniach wojsko i policja stały ramię w ramię z ludźmi. Jestem pewien, że dzisiaj będzie tak samo".

Dubćek na hrad, Dubćek na hrad! - zaczął skandować tłum. - „Dubćek na zamek!" Innymi słowy: Dubćek na prezydenta. (Zamek Hradćany był oficjalną rezydencją głowy państwa, Gustava Husaka.)

Po Dubćeku na balkon wyszedł Vaclav Havel. Przez chwilę stali razem w świetle telewizyjnych jupiterów, trzymając się za ręce i przyjmując owacje rodaków. Była to dziwna para: były przywódca partii komunistycznej w szarym garniturze stał tuż obok dysydenta w wygniecionych dżinsach i rozpiętej pod szyją koszuli. Tłumowi zgromadzonemu pod balkonem wydawało się jednak, że jest to jak najbardziej naturalne. Skandowali: „Dubćek - Havel!" Rewolucje 1968 i 1989 roku w końcu zlały się w jedną.

Całkiem różne były drogi, które doprowadziły Dubćeka i Havla na plac Wacława. Pod względem osobowości i pochodzenia byli niemal całkowitymi przeciwieństwami. Reprezentowali dwie odrębne tradycje polityczne, choć spotkali się u celu drogi.

Dubćek, syn słowackiego cieśli, na krótko wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i powrócił do domu rozczarowany kapitalizmem. Był jednym z założycieli Komunistycznej Partii Czechosłowacji. W 1925 roku wraz z rodziną udał się na trzynaście lat do Związku Radzieckiego; pobyt Dubćeków w ZSRR przypadł na okres największego nasilenia Stalinowskiego terroru. W czasie II wojny światowej zarówno Alexander Dubćek, jak i jego brat Julius, walczyli w słowackiej partyzantce przeciwko Niemcom. Julius zginął w czasie jednej z potyczek. Tak nieskazitelne, komunistyczne referencje zapewniły Dubćekowi doskonały start, kiedy - pod koniec wojny - zaczął się wspinać po szczeblach biurokratycznej drabiny partyjnej[93].

W przeciwieństwie do niego Havel był synem zamożnego czeskiego przedsiębiorcy. Do jego wuja należała największa wytwórnia filmowa w Czechosłowacji. Po zamachu stanu dokonanym przez komunistów w 1948 roku majątek rodziny został skonfiskowany na rzecz państwa. Vaclavowi Havlowi trudno było się dostać na uniwersytet z powodu nieodpowiedniego pochodzenia społecznego. Musiał się zadowolić posadą pracownika technicznego w teatrze i w końcu został dramatopisarzem. W swych sztukach chętnie wyśmiewał absurdy komunizmu.

Obie tradycje polityczne spotkały się przelotnie w 1968 roku, kiedy Dubćek

usiłował udowodnić, że komunizm nie musi być jednoznaczny z dyktaturą. Program działania przygotowany przez reformatorów w czeskim kierownictwie po wielu latach znalazł naśladownictwo w pierestrojce. Obiecywał powrót do rządów prawa, poszanowania wolności zgromadzeń i wolności prasy. Upadł groteskowy kult jednostki, otaczający zazwyczaj pierwszego sekretarza. Wiele lat później jeden z czeskich opozycjonistów opowiadał, jakie wrażenie wywarła na nim fotografia Dubćeka nurkującego w basenie, którą opublikowała jedna z gazet. „Nigdy przedtem nie widzieliśmy zdjęcia sekretarza partii komunistycznej w kąpielówkach" - zauważył Peter Uhl, redaktor podziemnej gazetki poświęconej prawom człowieka[94]. Havel nazwał Praską Wiosnę „niewiarygodnym snem". Wówczas po raz pierwszy w życiu czuł się naprawdę wolny.

Chociaż Dubćek zbuntował się przeciwko stalinowskiemu wariantowi komunizmu, pozostał wiemy zarówno socjalizmowi, jak i Związkowi Radzieckiemu. Kulminacyjny moment jego kariery politycznej nastąpił we wczesnych godzinach rannych 21 sierpnia 1968 roku, kiedy dowiedział się, że wojska radzieckie wkroczyły do Pragi. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć, że to prawda: „Więc jednak to zrobili - i zrobili to mnie!"[95] Po latach przyznał w swej autobiografii, że całkowicie błędnie ocenił ludzi, z którymi współdziałał. „Naprawdę nie wyobrażałem sobie możliwości dokonania inwazji na nasz kraj", pisał, wkrótce jednak musiał stwierdzić, że: „mieliśmy do czynienia ze zgrają cynicznych i aroganckich biurokratów o feudalnych zapatrywaniach"[96].

Wkrótce potem radzieccy spadochroniarze wdarli się do gabinetu Dubćeka i oświadczyli, że nakładają na czechosłowackiego przywódcę „areszt". Dubcek i pozostali członkowie Politbiura zostali odesłani samolotem do Moskwy, pod eskortą uzbrojonych strażników. W czasie „negocjacji" z Breżniewem, do których tam doszło, Dubcek zachowywał wyniosłe milczenie, nie chcąc się wyrzec humanistycznych idei Praskiej Wiosny. Chciał też uniknąć publicznej konfrontacji z Breżniewem i twardogłowymi członkami kierownictwa czeskiego, na przykład z Husakiem. Jego sytuacja przypominała położenie jednego z bohaterów sztuki Havla pod tytułem *Memorandum*, który ma nadzieję, że może „uratować to i tamto", jeśli tylko nie dopuści do „otwartego konfliktu" ze swym bezwzględnym zastępcą. Próba zachowania tego, co się tylko da, zakończyła się kompletną porażką Dubćeka i wydaleniem go z partii komunistycznej.

W ciągu ponurych lat tak zwanej normalizacji Dubćek przebywał de facto w areszcie domowym. „Opieka" służby bezpieczeństwa zelżała po wizycie w Pradze

w kwietniu 1987 roku Gorbaczowa, który zasygnalizował swe poparcie dla niektórych idei Praskiej Wiosny. Nawet wówczas jednak Dubćek wolał się nie wychylać. Kiedy w sierpniu

roku, w dwudziestą rocznicę inwazji, zatelefonowałem do niego do domu w Bratysławie, pogodnie opowiadał o trojgu swoich wnucząt i snuł wizje podróży do Włoch. Ale nie chciał odpowiadać na ostre ataki, które właśnie ukazały się w głównym organie partii komunistycznej, pod tytułem „Rudé Pravo”. W partyjnej gazecie napisano, że Dubćek ponosi „osobistą odpowiedzialność” za inwazję, gdyż nie potrafił powściągnąć „ekstremistów”. „Nie chodzi o to, że się boję. Po prostu nie czas teraz na takie rozmowy” - wyjaśnił[97].

Trudno sobie wyobrazić bardziej odmienną postawę niż ta, którą przyjął Havel. Był on mianowicie przekonany, że jedynym sposobem na stawienie czoła nielegalnej władzy jest otwarta konfrontacja. Podobnie jak założyciele Solidarności w Polsce, Havel pozostawał wiemy swym ideałom bez względu na konsekwencje. Mówił o „życiu w prawdzie”. Zachowując się jak wolny obywatel zniewolonego narodu, pokazywał swym rodakom, że można rzucić wyzwanie pozornie wszechmocnemu reżymowi. Uważał, że z czasem, kiedy ujawnią się absurdy systemu komunistycznego, coraz więcej ludzi dołączy do opozycji.

Pierwsze rysy na komunistycznym monolicie dały się zauważyć w 1977 roku, kiedy Havel i garstka innych dysydentów ogłosili dokument zwracający uwagę na prawa człowieka w Czechosłowacji. Według Havla zamysłem twórców Karty 77 było danie społeczeństwu głosu, „by ludzie, poniżeni, zakneblowani, okłamywani i manipulowani mogli podnieść głowy”. To, że Kartę początkowo podpisało zaledwie kilkaset osób, było nieważne. Liczyło się tylko to, że społeczeństwo obywatelskie, które wydawało się umarłe, raz jeszcze dało oznaki życia. Karta stała się teraz inspiracją dla Forum Obywatelskiego.

Te działania ściągnęły na Havla nienawiść reżymu, który uznał go za wroga publicznego numer jeden. Jego sztuki wystawiano w Nowym Jorku, Londynie, a w końcu nawet w Warszawie i w Moskwie - ale nie w Pradze. Ponad pięć lat spędził w więzieniu. Aresztowano go niezliczone razy, ostatnio w styczniu 1989 roku, za upamiętnienie dwudziestej rocznicy samospalenia Palacha. Kiedy nie siedział w więzieniu, niemal bez przerwy był nękany i inwigilowany.

Niepokorna postawa Havla miała swe korzenie w intelektualnej tradycji wywodzącej się sprzed stuleci. W 1620 roku wojska Habsburgów rozbiły siły czeskiej szlachty w bitwie pod Białą Górą. Dwudziestu siedmiu przywódców buntu

stracono na praskim Starym Rynku. Przez następnych trzysta lat, dopóki Czechosłowacja po I wojnie światowej nie została uznana za niepodległe państwo, Praga była miastem prowincjonalnym. Czechów nie dopuszczano do funkcji publicznych w cesarstwie, a urzędowym językiem, tak w Pradze, jak i w Wiedniu, był niemiecki. Zachowanie i obrona języka czeskiego oraz świadomości narodowej przypadło pisarzom.

W sierpniu 1988 roku odwiedziłem Havla w jego wiejskim domku na pofałdowanych wzgórzach północnych Czech. Represyjny reżym Husaka miał się wówczas dobrze, choć można się było domyślać jego przerażenia rozwojem wypadków w Związku Radzieckim. Perspektywa ogólnonarodowego powstania nie wydawała się realna, ale Havel był szczególnie pogodny i optymistyczny. „Ta sytuacja nie może trwać wiecznie" - stwierdził. - „Coś musi się tu zmienić. Nikt nie wie, kiedy i jak nadejdą zmiany, ale nadejdą! Zbyt wielki jest rozziew między oficjalną ideologią a świadomością społeczeństwa"[98].

Kiedy Havel i Dubćek przemawiali do urzeczonego tłumu zgromadzonego na placu Wacława, spanikowani członkowie KC KPCz odbywali posiedzenie kryzysowe. Od dawna zaogniające się podziały wewnątrz kierownictwa teraz przekształciły się w otwarty konflikt. Następca Husaka w roli pierwszego sekretarza, Milos Jakeś, był zwolennikiem rozbicia demonstracji. Ale inni członkowie Biura Politycznego nie mieli dość odwagi, by podjąć zdecydowane działania.

Demonstracje tymczasem przybierały na sile, a praska milicja ulegała coraz większej demoralizacji. Jakeś przygotował plan ostatniej szansy mający wesprzeć jego mocno podkopany autorytet. Chciał wysłać oddziały Milicji Ludowej - dwudziestopięciotysięcznej formacji podporządkowanej jedynie partii - do praskich zakładów pracy, aby nie dopuścić do strajku generalnego proponowanego przez studentów. Myślał też o użyciu milicji do odzyskania kontroli nad telewizją państwową, która ostatnio zaczęła transmitować przebieg demonstracji. Politbiuro zaakceptowało plan we wtorek wieczorem, 21 listopada.

Działania te przyniosły jednak mizerne rezultaty. Nie była to potężna demonstracja siły, która mogłaby doprowadzić do przywrócenia status quo. Było już za późno. Kiedy oddziały Milicji Ludowej pojawiły się w fabrykach, powitało je wycie i nieprzyjazne okrzyki, a w niektórych miejscach nawet zaczepki. Minister spraw wewnętrznych odmówił realizacji planu. Inni członkowie Politbiura, z szefem komitetu praskiego włącznie, myśleli teraz tylko o tym, jak zdystansować

się od skompromitowanego Jakeśa. Zdemoralizowani i pozbawieni przywództwa członkowie Milicji Ludowej wrócili do domu.

24 listopada, w czasie obrad Komitetu Centralnego, jego członkowie kolejno wstawali i potępiali kierownictwo za użycie siły przeciwko demonstrantom. Premier Ladislav Adamec, czołowy reformator w Politbiurze, potępił te „środki nadzwyczajne", mówiąc, że „jedynie pogorszą" sytuację". W końcu nawet Jakeś dołączył do rytualnego bicia się w piersi i samokrytyki. „Absolutnie nie doceniliśmy procesu dokonującego się w Polsce, na Węgrzech, a całkiem niedawno - w Niemieckiej Republice Demokratycznej" - powiedział towarzyszom. - „Naszej przebudowie towarzyszyło wiele wspaniałych słów, ale zabrakło niezbędnych posunięć"[100].

Jak inni przegrani przywódcy komunistyczni, Jakeś był załamany - jego zaufani podwładni odwrócili się od niego, kiedy tylko wypadki zaczęły przybierać niekorzystny obrót. „Przedtem wznosili ręce, by głosować na tak" - zwierzał się później w wywiadzie prasowym. - „Nagle okazało się, że wszystko było źle. Niczego nie potrafiłem zrobić dobrze"[101].

Końcowy akt dramatu dnia rozegrał się w teatrze Laterna Magika, o sto metrów od placu Wacława. Laterna Magika służyła za siedzibę ruchowi demokratycznemu, spełniając podobną funkcję co Stocznia im. Lenina w Gdańsku, kiedy rodziła się Solidarność. To tutaj Forum Obywatelskie układało swą strategię, działacze studenccy pisali odezwy, a Havel organizował swe codzienne konferencje prasowe.

Wieczorem 24 listopada na scenie teatru obok Havla pojawił się Dubćek. Dziennikarze pytali, czy poglądy Dubćeka zmieniły się przez te dwadzieścia lat, odkąd został usunięty z życia publicznego. „Wcale nie" - padła odpowiedź. - „Wierzę w reformowalność socjalizmu. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy i porzucić to wszystko, co jest złe". Kiedy Dubćek mówił, na twarzy Havla zaczął malować się ból. „«Socjalizm» to słowo, które straciło w naszym kraju znaczenie" - powiedział dziennikarzom. - „Socjalizm utożsamiam z ludźmi pokroju pana Jakeśa"[102].

Kiedy dwaj mężczyźni dyskutowali o różnicach poglądów na temat socjalizmu, ktoś pośpiesznie wszedł na scenę i szeptem podał wiadomość. Telewizja ogłosiła, że Jakeś i całe Biuro Polityczne złożyli rezygnację. Teatr wybuchnął brawami. Havel i Dubćek skoczyli na równe nogi, chwycili się w objęcia, wznosząc w górę dłonie ułożone w znak zwycięstwa. Zza kulis teatru wyszedł zwolennik

Havla, niosący butelkę szampana i kieliszki. Havel wzniósł toast: „Niech żyje wolna Czechosłowacja”. Dubćek spełnił toast jednym haustem.

Na zewnątrz, na placu Wacława, ludzie, zachwyceni rozwojem wydarzeń wpatrywali się w ekran telewizyjny. Zaczęli zapalać petardy i sztuczne ognie. Taksówkarze cisnęli na klaksony. Czterech roześmianych żołnierzy w mundurach biegało po placu, machając biało-czerwono-niebieską flagą czechosłowacką. Samotny trębacz prowadził tłum do pomnika Świętego Wacława, otoczonego setkami migoczących świeczek. Na ziemię zaczęły opadać pierwsze, zimowe płatki śniegu.

W Pradze raz jeszcze nastała wiosna.

BUKARESZT
21 grudnia 1989

Dyktator stał na balkonie swej rezydencji, wpatrując się w morze demonstrantów niosących jego portrety i czerwone transparenty wychwalające jego mądre i błyskotliwe przywództwo. Wysoki głos dyktatora przeszedł w pisk, gdy zaczął potępiać „zagranicznych imperialistów" i „faszystowskich chuliganów" za zakłócanie życia w robotniczym raju. Kiedy przerwał dla zaczerpnięcia oddechu, tłum zaczął skandować: „Ceausescu - Rumunia!" oraz „Hura, hura!" Dyktator skromnie podniósł dłoń, by uciszyć ogłuszające okrzyki uznania. Znów począł ciąć powietrze rękami i krzyczeć do mikrofonu.

Demonstracje społecznego poparcia dla conducatora, najwyższego wodza ludu rumuńskiego, zawsze przebiegały wedle tego samego rytuału. Partyjni organizatorzy otrzymali instrukcje, by zgromadzić w miejscu wiecu „zwyczajnych Rumunów". Demonstrantom rozdawano transparenty i podsuwano teksty haseł, które mieli skandować. Pierwsze rzędy zawsze zajmowali funkcjonariusze tajnej policji, zwanej w Rumunii Securitate, którzy przewodzili skandowaniom, stanowiąc zarazem fizyczną barierę między conducatorem i jego ludem. Natężenie aplauzu regulowano, odtwarzając nagrane uprzednio oklaski z rozmieszczonych w strategicznych miejscach głośników.

W ciągu dwudziestu czterech lat sprawowania władzy Nicolae Ceausescu uzależnił się od podziwu najbliższego otoczenia. Na jego cześć wzniesiono dziesiątki muzeów, mających zaspokajać jego nienasycony głód *omagiu* (hołdów). Gazety rumuńskie porównywały go do Napoleona i Aleksandra Wielkiego. Nadworny malarz przedstawiał go z berłem i jabłkiem w dłoniach, jak wraz z żoną Eleną, w otoczeniu anielskich pionierów komunistycznych i białych gołąbków symbolizujących walkę o pokój wznosi się przez chmury ku niebu. Ulubiony poeta wodza określał go jako „świeckiego boga", przemawiającego głosem o „planetarnym rezonansie", który słychać we wszystkich zakątkach świata[103]. Zachodni politycy, na których wywierały wrażenie pojawiające się raz po raz konflikty Ceausescu z Moskwą, także przyłączali się do chóru pochlebców. Richard Nixon sławił jego „głębokie rozumienie problemów świata". Elżbieta II zaprosiła go do pałacu Buckingham i uczyniła go kawalerem Wielkiego Krzyża Orderu Łaźni, najwyższego odznaczenia, jakim mogła obdarzyć zagranicznego męża stanu.

Przez dwadzieścia cztery lata nie słabły brawa. Ale tego dnia stało się coś strasznego.

Zaczęło się od cichego pomruku na tyłach tłumów, gdzie stali zwyczajni ludzie. Conducàtor deklamował swe patetyczne przemówienie. Pomruki przekształciły się w wycie i gwizdy. Po chwili słychać już było okrzyki: „Wolność!”, „Demokracja!” i, co gorsza, te same wołania, które przesądziły o losie komunistycznych przywódców NRD: „To my jesteśmy ludem!”. Okrzyki się nasilały. Nie można już ich było zagłuszać klaką tajniaków ani nagranymi oklaskami emitowanymi z głośników.

Coraz potężniejszy pomruk niezadowolenia słyszały też miliony Rumunów oglądających w telewizji transmisję z uroczystości na placu Pałacowym w Bukareszcie. Widzieli zaskoczenie na pooranej zmarszczkami twarzy Ceausescu. Zaskoczenie wnet ustąpiło miejsca zdenerwowaniu, a potem - przestrachowi. Widzieli, jak wzniósł prawą dłoń, by uciszyć niepożądane okrzyki. Tłum nie zareagował. Wszyscy widzieli, jak otwarł usta, a w chwilę później zamknął je. Nie wypowiedział żadnego słowa. Po raz pierwszy w historii reżymu dyktatorowi zabrakło słów. Nerwowo rzucał oczami we wszystkie strony, nadaremnie szukając w tłumie przyjaznych twarzy. Jeden z ochroniarzy wystąpił do przodu, by odciągnąć prezydenta z balkonu. Widzowie usłyszeli nawet energiczne dyspozycje Eleny kierowane do męża: „Obiecaj im coś, porozmawiaj z nimi”. W tle ozwały się dźwięki muzyki wojskowej. Ekrany telewizyjne zaszły mgłą.

Usiłując przezwyciężyć opór tłumu, Ceausescu obiecał powszechne podwyżki płac i emerytur. Odpowiedziano mu wyciem i gwizdami. Raz na zawsze upadł mit jego wszechwładzy. Nie tylko tłumy na placu, ale i miliony telewidzów na własne oczy przekonały się o słabości tyrana.

Zanim jeszcze Europę Wschodnią ogarnęła fala rewolucji antykomunistycznych, Ceausescu opętany był myślą o konieczności zapewnienia sobie doskonałej ochrony osobistej. W obawie przed spiskami nie jadł niczego, co nie zostało wpierw profesjonalnie zbadane. W czasie wystąpień publicznych zawsze otaczali go funkcjonariusze Securitate. Był wręcz zdziwaczały, jeśli chodzi o higienę osobistą: przed i po spotkaniach z zagranicznymi dygnitarzami zawsze obmywał sobie dłonie alkoholem. Nie ufając obcym, najważniejsze stanowiska rządowe obsadzał swoimi krewnymi. W Rumunii zaczął krążyć dowcip: „Socjalizm jest jedną rodziną”. Elenę uważano za osobistość numer dwa reżymu, najpewniejszym następcą conducatora miał być ich syn Nicu; szwagier, Ilie Werdet, wyrósł do rangi premiera; inny szwagier, Manea Manescu, był wicepremierem. Inni krewni dzierżyli kluczowe stanowiska w siłach zbrojnych, ministerstwie handlu,

resorcie spraw wewnętrznych. Tylko nieliczni spoza zaklętego kręgu byli dopuszczani do strategicznych stanowisk na dłużej niż kilka lat.

Przekonany o swej nieomylności i nieusuwalności, Ceausescu był gotowy niemal na wszystko, aby tylko zachować władzę. Kiedy jednak jego pozycja polityczna została mocno nadwątlona, zaczął namawiać przywódców innych państw komunistycznych do zdecydowanego działania w obronie sprawy socjalizmu w Europie Wschodniej. Gorbaczow w prywatnych rozmowach ze swymi współpracownikami mówił o Ceausescu jako o „rumuńskim führerze" i nie ukrywał, że z radością powitałby jego ustąpienie. W czasie jednej z wizyt w Bukareszcie radziecki przywódca oskarżył conducatora o terroryzowanie obywateli Rumunii i izolowanie ich od reszty Europy[104].

Na początku grudnia wiadomo już było, że dyktator znalazł się w poważnych tarapatach. Wrzenie sięgnęło apogeum w Timisoarze - mieście położonym na zachodzie kraju. Tysiące demonstrantów wyszły tam na ulice, by stanąć w obronie luterańskiego pastora, któremu groziła deportacja za działalność na rzecz praw człowieka. Na rozkaz Ceausescu żołnierze otworzyli ogień do tłumów, zabijając dziesiątki ludzi. „Będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi" - powiedział parę godzin wcześniej szefom swojej ochrony. - „Fidel Castro ma rację. Nie można uciszyć wrogów, przemawiając do nich jak kaznodzieja. Trzeba ich spalić!"[105]

Wypadki w Timisoarze wywołały falę ogólnokrajowych protestów. Wobec tego, że państwowym środkom przekazu nie wolno było relacjonować antyrządowych demonstracji, informacje o kolejnych ofiarach śmiertelnych rozpowszechniane były z ust do ust. Nic dziwnego, że ich liczba została znacznie przesadzona. Plotki o tysiącach zabitych sprawiły, że Rumuni otrząsnęli się z długiego letargu. Wiec na placu Pałacowym był ostatnim, desperackim wysiłkiem Ceausescu, mającym wykazać, że opinia publiczna jest po jego stronie. Bezpośrednia transmisja telewizyjna, ukazująca wyjące i złorzeczące tyranowi tłumy, dała Rumunom sygnał, że czas wyjść na ulice.

Tego popołudnia i wieczoru na ulicach Bukaresztu doszło do zamieszek. Tłumy zgromadzone w centrum miasta przed siedzibą partii komunistycznej zaczęły skandować: „Timisoara, Timisoara!" Protestujących rozproszono za pomocą działek wodnych i serii z broni maszynowej agentów Securitate. Następnego ranka tłumy powróciły w to samo miejsce, by podrzeć portrety Nicolae i Eleny. Rozpoczęło się oblężenie gmachu Komitetu Centralnego na placu Pała-

cowym, gdzie ukrywała się para Ceausescu. Na ulicach pełno było czołgów i pojazdów opancerzonych, ich załogi jednak nie pałały chęcią użycia siły wobec demonstrantów. Na placu Uniwersyteckim, około jedenastej, żołnierze pozwolili demonstrantom wejść na transportery opancerzone. Wkrótce wzniesiono nowy okrzyk: „Wojsko z nami! Wojsko z nami!”[106]

Kiedy demonstranci włamali się do gmachu KC, z dachu budynku wystartował biały helikopter, unosząc małżeństwo tyranów. Śmigłowiec skierował się w stronę Snagova, oddalonego o sześćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Bukaresztu miasteczka uzdrowiskowego. Mieściła się tam jedna z wielu rozrzuconych po całej Rumunii rezydencji prezydenta. Ceausescu usiłował stąd nawiązać łączność z sekretarzami partii komunistycznej w różnych częściach kraju i uzyskać ich poparcie. Kilka minut później śmigłowiec znów wzniósł się w powietrze. Dyktator chciał się udać do Piteşti, ośrodka wydobycia ropy naftowej, gdzie, jak słyszał, panował spokój. Pilot miał jednak inny pomysł. Twierdząc, że ich francuski śmigłowiec został namierzony przez radar i że lada chwila może zostać zestrzelony, wylądował i pozostawił dyktatora i jego żonę na poboczu polnej drogi.

Przez kilka następnych godzin pierwsza para Rumunii krążyła po kraju, posługując się uprowadzonymi samochodami. Porzuceni przez ochronę osobistą, zostali wreszcie aresztowani w mieście Tirgovişte, leżącym u podnóża Karpat Południowych. Ceausescu nie potrafił się pogodzić z tym, że jest więźniem własnego wojska. Popadał w okresowe ataki załamania, przerywane złorzeczeniem „zdrajcom”. „Jak mogliście mnie aresztować? - strofował swoich strażników. - „Jestem waszym wodzem naczelnym”[107]. Narzekał, że jego los został przesądzony „na Malcie” (przed trzema tygodniami odbył się tam szczyt Gorbaczow-Bush). Kiedy strażnicy podali mu zwykły żołnierski posiłek, odepchnął go, twierdząc, że jest to „niejadalne gówno”. W nocy musiał pomieścić się z żoną na jednym łóżku, kłócąc się z nią i obejmując na przemian.

Przez następne trzy dni dwoje więźniów słyszało strzały karabinowe w pobliżu koszar, gdzie byli przetrzymywani. Funkcjonariusze Securitate w Tirgovişte, podobnie jak w innych miastach rumuńskich, z furią bronili się do końca. Przyjąwszy taktykę tworzenia atmosfery całkowitego zamieszania i paniki, strzelali na oślep do ludności cywilnej i próbowali odbić główne budynki rządowe. Odgłosy strzałów dodały więźniom otuchy. Nicolae i Elena sądzili, że w Rumunii toczy się wojna i ich ocalenie jest tylko kwestią czasu.

Naprawdę jednak zwolennicy Ceausescu przegrywali. Nowy najwyższy organ

władzy państwowej, określający się mianem Frontu Ocalenia Narodowego, stopniowo zaprowadzał swoją władzę. Do świąt Bożego Narodzenia nowi władcy mieli już dość. Aby pozbawić Securitate celu, postanowili pozbyć się małżeństwa Ceausescu raz na zawsze.

„Rozprawa” odbyła się po południu pierwszego dnia świąt w małej klasie szkolnej, którą przekształcono w zaimprowizowaną salę sądową. Postępowanie trwało pięćdziesiąt pięć minut i było bardziej groteskową parodią „rządów prawa” niż jakiekolwiek posunięcie samego Ceausescu. Nie uczyniono najmniejszego wysiłku, by udowodnić zarzuty, obejmujące „zamordowanie ponad sześćdziesięciu tysięcy ludzi”, „zniszczenie gospodarki narodowej” i „zdeponowanie ponad miliarda dolarów w zagranicznych bankach”. Sędzia wojskowy pełnił też funkcję jednego z oskarżycieli. Nie potrafiąc nakłonić małżonków Ceausescu, by oświadczyli, że ponoszą ograniczoną odpowiedzialność za swe czyny w związku z niepoczytalnością, obrońca z urzędu pod koniec rozprawy przyznał, że oskarżeni są winni stawianym zarzutom.

Upadły conducator, wciąż w tym samym ciemnym płaszczu, w którym uciekł z Bukaresztu, uparcie odmawiał uznania, że wojskowy trybunał władny jest go sądzić. Nie chciał też odpowiadać na żadne pytania. Przez cały czas powtarzał, że prawo do postawienia go przed sądem ma jedynie marionetkowy parlament, Wielkie Zgromadzenie Narodowe. Kiedy Elena zaczęła krzyczeć na sędziów, poklepywał ją po dłoni, jakby chciał powiedzieć, że nie warto sprzeczać się z tak mało ważnymi ludźmi. Raz po raz niecierpliwie zerkał na zegarek, spoglądając w sufit, oburzony zuchwalstwem tych, którzy ośmielają się go sądzić.

„Jestem prezydentem tego państwa i najwyższym zwierzchnikiem sił zbrojnych. Nie uznaję was” - warknął. - „Nie będę odpowiadał na pytania bandy, która przeprowadziła zamach stanu”[108].

Ogłoszenie z góry ustalonego wyroku - kary śmierci - Ceausescu przyjął z posępną godnością. Zgodnie z oficjalną relacją, kiedy prowadzono go na miejsce stracenia, dyktator mruczał pierwsze takty *Międzynarodówki*. Elena była bardziej zdenerwowana, krzyczała na eskortujących ją żołnierzy, że była dla nich „jak matka”. „Chcemy umrzeć razem” - nalegała. Kiedy jeden z żołnierzy wpadł na nią przypadkowo, wrzasnęła: „Pieprz swoją matkę!”

Żołnierze wyprowadzili skazanych na podwórze i ustawili pod bieloną ścianą. Pluton egzekucyjny już czekał. Czterech żołnierzy otworzyło ogień z broni maszynowej. Każdy z nich wystrzelił ponad trzydzieści nabojów. Ciała „ukochanych rodziców” rumuńskiego ludu zwaliły się na ziemię.

Okazało się, że wiele z oficjalnych zarzutów stawianych małżonkom znacznie wyolbrzymiono. Działacze Frontu Ocalenia Narodowego przyznali później, że liczba zabitych w czasie „rewolucji” była bliższa tysiącowi niż czterdziestu tysiącom[109]. Nigdy nie natrafiono na niezbite dowody, że dyktator trzymał na tajnych kontach w szwajcarskich bankach miliony dolarów. Z drugiej strony trudno oszacować ekonomiczną, społeczną i psychologiczną dewastację kraju poczynioną przez Ceausescu w czasie dwudziestu czterech lat sprawowania władzy. Jeszcze prawdopodobnie przez wiele pokoleń Rumunia usuwać będzie skutki jego megalomanii. Polityka Ceausescu, sławiona przez jego propagandę jako droga do potęgi narodowej, obróciła Rumunię w najbiedniejszy i najbardziej zacofany kraj w Europie Wschodniej, być może z wyjątkiem Albanii. Tak zwana Złota Era była okresem nieubłaganych trudności gospodarczych i brutalnych represji policyjnych.

Rzadko który z wielkich projektów Ceausescu przyniósł efekty, choć ich koszt był olbrzymi. Dążąc do zwiększenia liczby ludności Rumunii z dwudziestu dwóch do trzydziestu milionów do roku 2000, tyran praktycznie zabronił dokonywania aborcji i stosowania antykoncepcji. W efekcie pojawiła się olbrzymia liczba niechcianych dzieci; wzrosła też śmiertelność noworodków. Rocznie umierały tysiące kobiet usiłujących dokonać nielegalnej aborcji. W celu stworzenia nowoczesnego, uprzemysłowionego państwa Ceausescu topił pieniądze w prestiżowych przedsięwzięciach, jak choćby w nadmiernie rozbudowanym przemyśle rafineryjnym, wykorzystującym zaledwie jedną dziesiątą swojej mocy. Niegdyś nieźle prosperujące rumuńskie rolnictwo popadło w ruinę. Aby wznieść godną siebie stolicę, dyktator wyburzył najstarsze dzielnice Bukaresztu i na ich miejscu wzniósł olbrzymi „Pałac Ludowy”. W tej ohydnej budowli mieściło się ponad tysiąc pokoi ozdobionych pięciotonowy- mi żyrandolami i hektarami białego marmuru. Polecił też, w imię „systematyzacji” i „cywilizacji”, zrównać z ziemią tysiące wsi. Za jego pomysły płacili przeciętni Rumuni, pozbawieni ogrzewania, jedzenia i elektryczności.

Praca reportera w Rumunii po obaleniu Ceausescu przypominała pracę korespondenta w kraju spustoszonym przez wojnę. Różnica polegała jedynie na tym, że Rumuni nie zostali oswobodzeni z okowów obcego okupanta, lecz - własnego tyrana. Ludzie czuli się, jakby ktoś zdjął im z serca olbrzymi ciężar. Powszechne było oszołomienie dotychczasowymi doświadczeniami. Rumuni, którzy przeżyli eksperyment z „socjalizmem naukowym”, odczuwali niesamowitą, niespodziewaną ulgę. Dokądkolwiek by się poszło - do fabryk, szkół, szpitali, sierocińców -

wykrzykiwali z siebie opowieści, o których jeszcze przed kilkoma dniami nie ośmieliliby się szeptać swoim najbliższym. Uwagę świata zwróciło tragiczne położenie rumuńskich sierot i porzuconych dzieci. Ich sytuacja była najbardziej dosadnym streszczeniem biologicznej i psychologicznej kondycji tego narodu[110].

Szkolny sierociniec numer 6 na przedmieściach Bukaresztu, w którym mieszkało dwieście dwadzieścia sześć drżących, niedożywionych dzieci, był typową z setek innych iście Dickensowskich placówek rozsianych po Rumunii. Mimo że dzieci cierpiały na najróżniejsze choroby, na przykład AIDS, krzywicę i gruźlicę, najpowszechniejszą dolegliwością było odmrożenie. Zimą temperatura w sierocińcu - trzykondygnacyjnym baraku z betonu - często opadała poniżej zera z powodu wyłączeń prądu dokonywanych na polecenie Ceausescu. Dzieci nosiły dziergane na drutach czapki i rękawiczki, nawet kiedy były pod dachem. W środy i soboty miały ledwie letnią kąpiel. Mieszkały w salach mieszczących po dziesięć łóżek. Z uwagi na ciągły brak żarówek, na długich, ponurych korytarzach zawsze panował półmrok. Zajęcia szkolne zdominowane były przez naukę ślepego podziwu dla dyktatora - bądź co bądź oprawcy dzieci. „Lud, Ceausescu, Rumunia, Partia" - recytowały, kiedy tylko gość z zewnątrz wszedł do klasy, oświetlonej jedną, czterdziestowatową żarówką, najsilniejszą, na jaką pozwalały władze. Dzieci uczono politycznie podniosłych piosenek, tragicznie brzmiących w tym chłodnym i mrocznym sierocińcu.

Jakże piękne, jakże piękne jest moje życie,
Mogę zostać, kim zechcę.
Jestem patriotycznym sokołem ojczyzny.
Dzisiaj kraj dba o moje dzieciństwo.
Jakże piękne, jakże piękne jest moje życie.
Ja zaś dla mego kraju, któregoś dnia,
Poświęcę wszystko.

Kiedy rozeszła się wiadomość o upadku Ceausescu, opiekunowie i dzieci chodzili kolejno po wszystkich salach, drąc jego portrety na strzępy. Kilka dziewczynek wydarło mu nawet oczy. Po tygodniu dyrektorka sierocińca opowiedziała dzieciom przerażające historie o tym, jak dyktator wychowywał byłe sieroty na oprawców Securitate. Wszyscy pamiętali, jak dobrze niegdyś powodziło się sierocińcowi, że działał w o wiele lepszych warunkach, w centrum Bukaresztu. Jednak zburzono go, by zyskać miejsce dla hołubionych przez tyrana przedsięwzięć. „Widzieliście, co robił Ceausescu" - mówiła Titza Batezatu. - „Zabijał dzieci,

strzelał do dzieci. Tylko udawał, że was kocha, ale naprawdę - strzelał do was".

„Ceausescu był zbrodniarzem" - stwierdziła Rodica Bruiso z wyrazem nienawiści na swej dwunastoletniej twarzy.

„To prawda" - włączyła się osiemnastoletnia Michaiła Baiban. - „Sam miał dziesiątki pałaców, a ludzie głodowali".

Scena w sierocińcu była bezpośrednim rezultatem dziwacznych pomysłów politycznych realizowanych przez „Geniusza Karpat". W roku 1966, a więc rok po objęciu władzy przez Ceausescu, w Rumunii wprowadzono karę więzienia do pięciu lat za przeprowadzanie nielegalnej aborcji. Aborcja dozwolona była jedynie wówczas, gdy kobieta miała już pięcioro dzieci. W 1986 roku prawo zaostrzono jeszcze bardziej: teraz przerwać ciążę mogły - w innym wypadku niż zagrożenie życia matki - jedynie kobiety powyżej czterdziestego piątego roku życia. Lekarzom dokonującym nielegalnych aborcji groziły surowe kary. Te drakońskie restrykcje szły w parze z brakiem godziwych warunków życia dla rodzin wielodzietnych. Wiele kobiet nie było w stanie stawić czoła perspektywie wychowywania jeszcze jednego dziecka i nie miało pieniędzy na łapówki dla lekarzy, którzy dokonywali aborcji. Wybierały inne rozwiązanie: samodzielnie przeprowadzaną aborcję. Inne rodziły dzieci i porzucały je zaraz po porodzie.

Za czasów Ceausescu szpital miejski w Bukareszcie notował trzy tysiące nieudanych aborcji rocznie, co w dwustu przypadkach wiązało się z koniecznością dokonywania poważnych zabiegów chirurgicznych. Wiele innych kobiet obawiało się zgłosić po pomoc lekarską. Według szacunków ordynatora oddziału ginekologicznego tego szpitala, w wyniku nieprofesjonalnych aborcji co roku umierało w Bukareszcie ponad tysiąc kobiet. Często dochodziło do gangreny macicy i trwałej niepłodności.

W przeciwieństwie do wielu zachodnich przywódców państw, przeciętni Rumuni nie byli zauroczeni Ceausescu. Niedaleko od sierocińca numer 6 mieścił się dawny plac zabaw dla dzieci, który przekształcono w „cmentarz bohaterów". Płonęły tam setki świec ku czci demonstrantów zastrzelonych przez funkcjonariuszy Securitate albo zmiażdżonych przez czołgi w czasie przedśmiertnych konwulsji reżymu Ceausescu. Na grobie czternastoletniego Mariana Mulescu, zabitego przez bezpiekę pod balkonem na placu Pałacowym, zapisano jego ostatnią rozmowę z matką, kiedy umierał w szpitalu.

„Synku, po co poszedłeś na plac?"

„Po wolność".

KATYŃ
14 kwietnia 1990

Po dziesięcioleciach kłamstw nadszedł czas, by wyjawić prawdę o tysiącach polskich oficerów rozstrzelanych w lesie katyńskim przez radziecką tajną policję. Kaprys historii sprawił, że zadanie to przypadło Wojciechowi Jaruzelskiemu, ostatniemu władcy komunistycznej Polski i pierwszemu prezydentowi postkomunistycznej Rzeczypospolitej. Człowiek, który poświęcił lepszą część życia staraniom, by Polska była częścią bloku radzieckiego, chciał teraz wykazać, że potrafi być równie oddanym sługą nowego ładu.

Ubrany w mundur czterogwiazdkowego generała, Jaruzelski wystąpił do przodu, by złożyć wieniec na grobie zamordowanych oficerów. Kiedy się wyprostował, spokój brzozowego lasku zakłóciła karabinowa salwa. Kapelan wojskowy zaczął odmawiać modlitwę i natychmiast podjął ją tłum. Na wietrze powiewały setki żałobnych wstęg, noszących takie napisy, jak „Mojemu ukochanemu Mężowi, zamordowanemu w Katyniu" czy „Naszemu Ojcu, zamordowanemu na rozkaz Stalina i Berii".

„Walczyli o wolną Polskę i choć niewinni, zostali zamordowani" - wpisał Jaruzelski do księgi pamiątkowej. - JZ dala od swych domów i ojczystej ziemi pozostali wierni Polsce i honorowi żołnierza do ostatnich chwil życia. Polskim oficerom, ofiarom zbrodni stalinowskich, wieczna chwała".

Taka uroczystość nie byłaby możliwa jeszcze kilka miesięcy temu. Mimo że zgromadzono przytłaczające dowody wskazujące na funkcjonariuszy radzieckiej tajnej policji jako oprawców polskich oficerów, kremlowska propaganda wciąż obstawała przy tezie o odpowiedzialności hitlerowców. Wzorem swych komunistycznych poprzedników Jaruzelski podtrzymywał rosyjską wersję wydarzeń, zakazując polskiej prasie drukowania jakichkolwiek wzmianek na temat Katynia. Zmienił swoje stanowisko dopiero wówczas, gdy rozpoczął się rozkład komunistycznej władzy w Polsce. Po zwycięstwie wyborczym Solidarności w 1989 roku poprosił Gorbaczowa o potwierdzenie odpowiedzialności ZSRR za tragedię, uzasadniając swą prośbę tym, że niejasności spowalniają rozwój normalnych stosunków między Polską i Związkiem Radzieckim.

Polska obsesja na punkcie Katynia była częścią szaleńczego rewidowania historii w całym byłym imperium radzieckim. Bałtowie chcieli poznać prawdę o pakcie Ribbentrop-Mołotow, który umożliwił Stalinowi odebranie im niepodległości w przededniu II wojny światowej. Czesi i Słowacy domagali się ujawnienia

nazwisk zdrajców w Politbiurze, którzy zwrócili się z prośbą o „bratnią pomoc” Związku Radzieckiego w 1968 roku, w wyniku której zgnieciono Praską Wiosnę. Węgrzy domagali się politycznej rehabilitacji przywódców budapeszteńskiego powstania przeciwko komunistycznej dyktaturze w 1956 roku. Niemcy w NRD przeczesywali archiwa Stasi, chcąc się dowiedzieć, którzy sąsiedzi czy przyjaciele ich szpiegowali.

Tu, gdzie stał teraz Jaruzelski, dokładnie pół wieku temu, w kwietniu 1940 roku, było miejsce kaźni polskich oficerów. Tajna policja Stalina, NKWD, przywoziła tu swe ofiary w więziennych karetkach zwanych „czarnymi krukami”. Oficerów rewidowano w poszukiwaniu kosztowności i zmuszano, by uklęknęli wzdłuż szeregu głębokich rowów. Łatwo zrozumieć, dlaczego NKWD wybrał tę leśną polanę na miejsce egzekucji. Było to spokojne i odosobnione miejsce, gdzie nic nie mogło zakłócić działań oprawców. Było też o tyle dogodne, że w pobliżu znajdował się letni ośrodek wypoczynkowy NKWD, oddalony o trzydzieści minut od głównego szlaku kolejowego Mińsk-Moskwa.

Funkcjonariuszy NKWD dokonujących egzekucji wyszkolono w zabijaniu z brutalną wydajnością. Radzieckie pistolety przegrzewały się od nie kończących się strzałów, posługiwali się więc niemieckimi waltherami 7,65 mm, uważanymi za solidniejsze. Celowali w podstawę czaszki ofiary, tak że kula przechodziła dokładnie przez mózg i wychodziła po drugiej stronie między nosem i linią włosów. Metoda udoskonalana w początkowym okresie rewolucji powodowała natychmiastową śmierć przy minimalnym zużyciu amunicji. Obok ofiary stał asystent kata, którego zadaniem było ładowanie magazynków pistoletów mieszczących po osiem nabojów. Ciała układano równo w warstwach. W pojedynczym dole umieszczano od dwustu do trzystu ciał. Kiedy dół się zapełniał, zasypywano go ciężkim piaskiem, w którym sadzono brzozy[111].

Niemcy dowiedzieli się, co się stało w Katyniu, po inwazji na Związek Radziecki. Na przełomie zimy i wiosny 1943 roku, poinformowani przez miejscowego chłopa, odkopali ciała czterech tysięcy stu czterdziestu trzech polskich oficerów. Zbiorowe groby zawierały też rzeczy osobiste, takie jak listy, fotografie, bransolety i oficerki. Odkrycie stało się gratką dla nazistowskiej propagandy, która usiłowała wbić klin między Polaków i Sowietów. Sprawa była jednak kłopotliwa dla aliantów, którzy ze względów militarnych chcieli podtrzymywać dobre stosunki ze Stalinem.

Z punktu widzenia historyków najważniejszym znaleziskiem były dwadzieścia dwa pamiętniki, które umożliwiły rekonstrukcję kolei losu oficerów w ciągu

siedmiu miesięcy pomiędzy ich aresztowaniem i brutalnym straceniem. Pochwyceni przez Armię Czerwoną, zostali internowani w prawosławnym klasztorze w Kozielsku, dwieście czterdzieści kilometrów na południe od Moskwy. Wszelkie wysiłki zmierzające do ich „reedukacji" albo nakłonienia do pozostania w Związku Radzieckim nie przyniosły skutku. Dumni ze swych narodowych tradycji, przeciwstawiali się wojskowym władzom radzieckim, organizując w koszarach zbiorowe modlitwy i śpiewając polski hymn narodowy. Ich dumna postawa, niezachwiany optymizm i pięknie skrojone oficerki zaskakiwały radzieckich strażników. Mimo wszelkich oznak zwiastujących wręcz przeciwny rozwój wydarzeń, jeńcy wciąż wierzyli w rychłe wyzwolenie ojczyzny.

Na krótko przed marcem 1940 roku do więźniów dotarły pogłoski, że zamknięto sąsiedni obóz. Związek Radziecki nigdy nie wypowiedział wojny Polsce. Oficerowie liczyli na to, że zostaną odstawieni do kraju neutralnego i w końcu dotrą do polskiego wojska na uchodźstwie. NKWD również starał się rozpowszechniać takie pogłoski, sugerując, że jeńcy udają się „na Zachód" albo „do domu". Pierwsza grupa, licząca około trzystu więźniów, opuściła Kozielsk 3 kwietnia, przy akompaniamencie wesołych okrzyków rodaków. Przed opuszczeniem obozu otrzymali solidny posiłek, skłaniający do przypuszczeń, że Sowieci chcą ich przed uwolnieniem podkarmić. Po dwudziestoczterogodzinnej podróży w wagonach bez okien zostali wypchnięci z pociągu w miejscu zwanym Gniezdowo.

„Na stacji [Gniezdowo], załadowano nas do więziennych karetek pod ścisłą strażą" - zanotował w dzienniku porucznik Wacław Kruk z datą 8 kwietnia. - „Tak jak do tej pory byłem optymistą, tak teraz dochodzę do wniosku, że dalsza podróż nie wróży nam nic dobrego"[112].

Jeden z polskich oficerów, major Adam Skolski, zdołał pisać w pamiętniku do ostatnich chwil przed śmiercią. „Odjechaliśmy na ciężarówkach zabudowanych jak więzienne cele; coś strasznego. Zaprowadzili nas gdzieś do lasu, jakby do wiejskiego domku. Bardzo drobiazgowa rewizja. Zabrali mi zegarek, który pokazywał godzinę 6.30 polskiego czasu, czyli 8.30 radzieckiego. Zapytali o obrączkę ślubną. Zabrali ruble, pas i scyzoryk"[113].

Gorbaczow nigdy nie uważał głasnosti za cel sam w sobie. Była dlań środkiem do celu, sposobem wywierania presji na podejmujących decyzje aparatczyków. Raz po raz można się było posłużyć potężnym orężem politycznym, jakim była

historyczna prawda - w zależności od zmieniających się okoliczności i w najbardziej sprzyjającej chwili. Na tym polu miał olbrzymią przewagę nad swoimi rywalami. Jako sekretarz generalny był wszak strażnikiem najpotworniejszych tajemnic reżymu.

Tajemnice ukryte były w wielkich kopertach, obwiązanych sznurkiem i zalakowanych. Kopert tych było około dwóch tysięcy; wszystkie przechowywano w mieszkaniu na Kremlu, które niegdyś należało do Stalina. Prowadził do niego ten sam korytarz, z którego, tuż obok, wchodziło się do gabinetu sekretarza generalnego. Była to słynna *osobaja papka* (akta specjalne), zawierająca dokumenty tak tajne, że krążyły i były przechowywane tylko w jednym egzemplarzu. Każdy, kto je przeglądał, musiał potwierdzić wydanie akt swoim podpisem. Wiele tych kopert mógł otwierać wyłącznie sekretarz generalny lub upoważniona przez niego osoba[114].

Zawartość akt specjalnych była druzgocąca politycznie i ideologicznie. Czarno na białym wykazywały cynizm i oportunizm przywódców ZSRR, począwszy od samego Lenina. Były tam podpisane przez Lenina rozkazy wymordowania księży i „wrogów klasowych" oraz wprowadzenia „czerwonego terroru" skierowanego przeciwko wrogom rewolucji. Były dokumenty jednoznacznie świadczące o odpowiedzialności Stalina za śmierć milionów obywateli ZSRR, a nie tylko „tysięcy", jak utrzymywał sam Gorbaczow jeszcze w listopadzie 1987 roku. Znaleźć można też było oficjalny rosyjskojęzyczny tekst tajnego załącznika do paktu Ribbentrop-Mołotow. Dokument ten, o którym Moskwa od dziesiątek lat mówiła jako o fałszerstwie, sankcjonował rozbiór Polski i państw nadbałtyckich pomiędzy jego sygnatariuszy, III Rzeszę i ZSRR. W aktach znajdowały się też informacje

plugawych szczegółach kremlowskich walk o władzę, włącznie z zamordowaniem szefa tajnej policji, Ławrientija Berii, i spiskiem przeciwko Chruszczowowi. Były tam dokumenty opisujące przygotowania do inwazji na Węgry i Czechosłowację. A także dwie wielkie koperty dotyczące Katynia.

Zawartość koperty opatrzonej numerem 1 odsłaniała wstydliwą prawdę: polscy oficerowie zostali zamordowani na bezpośredni rozkaz Stalina. Była to maszynopisowa notatka Berii do dyktatora, sugerująca „karę najwyższą - rozstrzelanie" dla polskich oficerów i Polaków podejrzanych o przynależność do „różnych grup kontrrewolucyjnych". Stalin naskrobał swoją parafę w nagłówku dokumentu. Podpisali go też inni członkowie Politbiura. Jeden z raportów, pisany

odręcznie, przedłożony przez szefa NKWD Nikicie Chruszczowowi, podawał dokładną liczbę Polaków straconych w Katyniu i innych miejscach: 21 857. W dokumencie wskazywano na potrzebę zniszczenia akt osobowych zamordowanych Polaków, gdyż nie przedstawiały żadnej „operacyjnej” czy „historycznej” wartości, mogły zaś być kłopotliwe politycznie[115].

Gorbaczow mógł poznać prawdę o Katyniu, odkąd został sekretarzem generalnym. Nie wykazywał jednak zainteresowania sprawą, dopóki nie stała się przedmiotem kontrowersji politycznych. Wiosną 1987 roku została powołana wspólna polsko-radziecka komisja, której zadaniem było wyjaśnienie tak zwanych białych plam w stosunkach między oboma krajami. Historykom pełniącym funkcję oficjalnych przedstawicieli obu stron polecono, by dokładnie zbadali zawartość archiwów i na tej podstawie wspólnie ustalili przebieg wypadków. Mimo licznych spotkań, komisja nie osiągnęła wielkiego postępu, głównie dlatego, że jej radzieckich członków nie upoważniono do podważania oficjalnej wersji wydarzeń. Polscy historycy doszli do wniosku, że celem kampanii usuwania białych plam było raczej zaciemnienie niż wyjaśnienie czegokolwiek. Moskwa chciała odsunąć w czasie chwilę, kiedy będzie musiała wziąć na siebie odpowiedzialność za Katyń.

Dwa lata później, wiosną 1989 roku, polska strona zaczęła naciskać na rozwiązanie kwestii katyńskiej. Zbliżały się wybory parlamentarne, a w związku z porozumieniami Okrągłego Stołu Jaruzelski chciał zademonstrować swoją patriotyczną wiarygodność. Zaprzeczanie radzieckiej winie - wobec przytłaczających dowodów - byłoby dla polskiej partii komunistycznej samobójstwem. W marcu 1989 roku rzecznik prasowy rządu oświadczył, iż wszystko prowadzi do wniosku, że „zbrodni dokonało stalinowskie NKWD”[116].

Zwrot w polskim stanowisku postawił Gorbaczowa w trudnej sytuacji, ponieważ wcześniej utrzymywał, że nie istnieją przekonywające dowody radzieckiej winy. Tajemnica Katynia wcale nie została zapomniana: stała się wręcz żywym zagadnieniem politycznym. W notatce z 22 marca 1989 roku wysocy urzędnicy radzieccy zajmujący się stosunkami z Polską ostrzegli Gorbaczowa, że sprawa Katynia lada chwila może eksplodować. Nalegali, żeby już dłużej nie zwlekał. „W tej sprawie czas nie jest naszym sprzymierzeńcem” - stwierdzili w notatce. - „Najbardziej wskazane jest wyjaśnienie, co naprawdę wydarzyło się w Katyniu i kto konkretnie jest za to odpowiedzialny. I na tym całą sprawę trzeba zamknąć. Koszty tego działania będą w ostatecznym rachunku niższe niż straty powodowane brakiem działania z naszej strony”[117].

Zajęty problemami wewnętrznymi ZSRR, Gorbaczow schował notatkę do szuflady. Ale wedle relacji byłego szefa gabinetu Gorbaczowa, Walerego Bołdina, gensek kazał przeszukać akta specjalne. Bołdin wspomina:

Wezwał mnie i poprosił, żeby mu pokazać wszystko, co mamy w sprawie Katynia. Znaleziono dwie koperty. Zamówiłem je z archiwum i przyniosłem mu zalakowane - dokładnie w takim stanie, w jakim je otrzymałem. Sam otworzył obie koperty, czytał to, co znalazł wewnątrz, i zakleił je taśmą klejącą. Nie dał mi tego do przeczytania. Powiedział tylko: „Rzeczywiście są to materiały dotyczące Katynia. Trzeba je trzymać w bezpiecznym miejscu". Włożyłem te materiały do nowej koperty i należycie zakleiłem. (...) Wszystkie dokumenty, które były przechowywane w archiwum, zostały mu przekazane[119].

W zgodzie z obowiązującymi ich zasadami, archiwiści skrupulatnie odnotowali, że dokumenty pobrane zostały przez Bołdina 18 kwietnia 1989 roku i zwrócone w nowej kopercie. Tego dnia były przeglądane po raz pierwszy od ponad ośmiu lat.

Gorbaczow utrzymuje, że nigdy nie pokazano mu dokumentów odnoszących się do Katynia czy do nie mniej obciążających tajnych załączników do paktu Ribbentrop- -Mołotow[119]. Podważył prawdomówność swego byłego podwładnego, co przyszło mu o tyle łatwo, że Bołdin odgrywał jedną z głównych ról w puczu z sierpnia 1991 roku. Postawił też retoryczne pytanie: Dlaczego ojciec głasnosti, człowiek, który uczynił więcej, niż którykolwiek z radzieckich przywódców dla ujawnienia ohydnych zbrodni epoki Stalina, miałby kłamać w sprawie Katynia?[120]

Wiarygodność Bołdina jako świadka jest z pewnością sprawą otwartą. W tym wypadku jednak wydaje się bardziej godny zaufania od Gorbaczowa. W kwietniu 1989 roku wciąż był wzorowym aparatczykiem, wiernie spełniającym życzenia swego pana. Nie miał powodu ukrywać dokumentów przed własnym szefem. Wręcz przeciwnie: chciał raczej wywrzeć na sekretarzu generalnym wrażenie swoją lojalnością i gorliwością. Pomysł, że mógłby zatrzymać dla siebie tak wybuchowy materiał, był tak nieprawdopodobny, że dali mu wiarę tylko nieliczni radzieccy oficjele, i to spoza bezpośredniego otoczenia Gorbaczowa. Nawet Jakowlew, członek Politbiura odpowiedzialny za sprawy historyczne, zarzucił byłemu sekretarzowi generalnemu kłamstwo: „Wokół tej sprawy było sporo zamieszania. Gorbaczow wciąż mi powtarzał: «Znajdź dokumenty, szukaj». A Jaruzelskiemu kazał: «Naciskaj na Jakowlewa, niech znajdzie te dokumenty». Postawił mnie w bardzo trudnej sytuacji! W czasie rozmów z Jaruzelskim czułem

się jak ryba na patelni (...). Później odkryłem, że [Gorbaczow] przez cały czas ukrywał informacje na temat Katynia”[121].

Istnieje jednak zadowalające wytłumaczenie retorycznego zapytania Gorbaczowa, dlaczego miałby ukrywać najbardziej kompromitujące dokumenty o Katyniu, podczas gdy ujawniał tak wiele innych spraw. Odpowiedź tkwi głęboko w jego osobowości. Ojciec głasnosti był mistrzem zaciemniania i manipulacji. Opowiadał się za otwartością, ale na swoich warunkach. Wolał dozować prawdę małymi, skalkulowanymi politycznie dawkami. Mógłby całkowicie zniszczyć wiarygodność systemu komunistycznego, dokonując kilku spektakularnych odkryć, ale nie widział w tym własnego interesu. Był reformatorem, a nie rewolucjonistą. W wypadku archiwaliów dotyczących sprawy katyńskiej chciał zapobiec fali antysowietyzmu w Polsce. Nie chciał zadzierać z konserwatywnym skrzydłem we własnym Polit- biurze w czasie, gdy potrzebne mu było jego poparcie dla silnej prezydentury. Takim mniej więcej torem mogły iść jego myśli, kiedy wpychał obciążające ZSRR dokumenty z powrotem do koperty.

Krótko mówiąc, nie nadeszła jeszcze pora na wyjawienie prawdy.

Później, kiedy pora nadeszła, musiał dbać o swój wizerunek w podręcznikach historii. Zdaniem Bołdina, Gorbaczow dał się złapać w pułapkę własnych bizantyjskich manipulacji politycznych. Próba kontrolowania powodzi odkryć wypływającej z archiwum doprowadziła go do tego, że ukrywał cenne papiery zarówno przed własnymi towarzyszami, jak i przed społecznością międzynarodową. Skoro skłamał raz, musiał konsekwentnie kłamać dalej.

Kiedy w kwietniu 1990 roku Gorbaczow zrewidował swoje stanowisko wobec radzieckiej odpowiedzialności za Katyń, uczynił tak z powodów pragmatycznych. Niezależne badania prowadzone w Polsce i w Związku Radzieckim zburzyły długo podtrzymywaną wersję o niemieckiej winie i radzieckiej niewinności. Jaruzelski przyjeżdżał do Moskwy i chciał przejść do historii jako człowiek, który nakłonił Sowietów do „wyznania prawdy” o Katyniu. Z punktu widzenia Moskwy wygodniej było przyznać się do winy Jaruzelskiemu niż jego antykomunistycznym rywalom. W myśl poufnej dyrektywy Kremla, koniecznie należało znaleźć sposób na „zamknięcie problemu politycznego i równoczesne uniknięcie wybuchu emocji”. Zadaniem radzieckiego kierownictwa było przedstawienie takiej wersji historii, która byłaby w miarę rzetelna i „najmniej kosztowna [politycznie]”[122].

Kiedy Gorbaczow przyjął Jaruzelskiego na Kremlu, poinformował go, że dostępne dowody wskazują na to, że masakra w Katyniu była przeprowadzona na

rozkaz „Berii i jego popleczników”[123]. Taka formuła pozwalała zdjąć brzemię winy z państwa radzieckiego i przerzucić odpowiedzialność za kaźń na konkretną osobę, która później została zresztą stracona za swe zbrodnie. Zawartość akt specjalnych uznano za wciąż zbyt szokującą, aby ją ujawnić.

Interpretując sprawę Katynia w taki właśnie sposób, Gorbaczow okrutnie się przeliczył. Zakładał, że tajemnice, które kryła *osobaja papka,* na zawsze pozostaną pod kluczem. Nie docenił politycznego wyzwania, jakiemu musiał stawić czoło za sprawą Borysa Jelcyna. Tymczasem ten ostatni rozdmuchiwał wciąż tlące się w nim poczucie krzywdy spowodowane wyrzuceniem go z kierownictwa dwa i pół roku temu.

W ciągu następnych osiemnastu miesięcy rywalizacja między Gorbaczowem i Jelcynem stopniowo zdominowała radziecką scenę polityczną. Zanosiło się na walkę na śmierć i życie, w której dozwolone było użycie każdej dostępnej na Kremlu broni, z aktami specjalnymi włącznie.

MOSKWA
29 maja 1990

Borys Jelcyn powiedział brutalną prawdę o polityce kremlowskiej, kiedy zauważył, że przywódcy Rosji „nigdy dobrowolnie nie dzielą się władzą”. W drugim tomie swych wspomnień, *The Struggle for Russia (Walka o Rosję),* usiłował wyjaśnić tę „średniowieczną zasadę” zachodnim, w większości, czytelnikom: „Wygląda to tak, jakby powiedziano przywódcom: otrzymaliście władzę, więc ją trzymajcie. Za nic nie wypuszczajcie jej z rąk. Ten, kto jest na szczycie, musi deptać tych, którzy są niżej (...). Taka jest pionowa struktura społeczna. Każdy prze w górę, na sam szczyt. Wyżej, wciąż wyżej. Kiedy jednak się wdrapie na wierzchołek, wysokość przyprawia go o zawroty głowy i nie może się wycofać”[124].

Rosyjscy przywódcy mieli bardzo silną motywację, by utrzymać władzę. Na Zachodzie szok wywołany utratą wysokiego stanowiska łagodzą nowe możliwości; życie prywatne i publiczne oddzielone są drzwiami obrotowymi. W Związku Radzieckim utrata władzy była równoznaczna z utratą wszystkiego. Za czasów Stalina wyrzuceni z Politbiura mogli uważać się za szczęśliwych, jeśli zachowali życie. Następcy Stalina byli bardziej ludzcy. Zamiast strzelać do pokonanych konkurentów, poniżali ich, wysyłali na Syberię, gdzie tamci mogli kierować na przykład elektrownią, albo do Ameryki Południowej w roli ambasadorów. Nie była to destrukcja fizyczna, ale polityczna, której towarzyszyła utrata wielu przywilejów, którymi cieszyli się członkowie kremlowskiej elity.

Kiedy w lutym 1988 roku wydalono Jelcyna z Politbiura, pozbawiono go wielu przywilejów - musiał oddać służbową limuzynę i daczę. Wstrząs psychiczny spowodowany utratą władzy był jeszcze potężniejszy. Telefon milczał jak zaklęty, a ludzie, których uważał za przyjaciół i kolegów, zniknęli z jego życia. Z dnia na dzień przestała funkcjonować jego sieć informacyjna. Byli towarzysze z kremlowskiej nomenklatury zaczęli traktować go jak politycznego wyrzutka. Zaczął cierpieć na bezsenność, potworne bóle głowy, obsesyjnie analizował każdy swój krok i każde wypowiedziane słowo. Czasami czuł się tak, jakby się „wgryzał w ścianę”, z trudnością powstrzymując się przed „krzykiem na całe gardło”.

„Byłem politycznym trupem” - napisał po latach. - „W miejscu, gdzie kiedyś miałem serce, pozostała tylko kupka wypalonego żużla. Wszystko wokół mnie było wypalone, wszystko we mnie było wypalone”[125].

Zgodnie z tradycją, dla osoby raz wyrzuconej poza zaczarowany krąg władzy radzieckiej nie było do niego powrotu. Dbali o to zwycięzcy. Jelcyn jednak miał dość oleju w głowie, żeby się zorientować, że reguły polityki na Kremlu za sprawą Gorbaczowowskiej głasnosti gwałtownie się zmieniają. Po raz pierwszy od siedemdziesięciu lat opinia publiczna była realnym czynnikiem wpływającym na decyzje polityczne. Gorbaczow posługiwał się nią w swoich walkach z biurokracją. Jednakowoż Jelcyn był pierwszym radzieckim politykiem, który zrozumiał, że władza może pochodzić od ludu, a nie od partii.

Rola trybuna ludowego bardzo odpowiadała temu Sybirakowi. Chociaż przez większość życia był *naczolnikom,* przekonał się, jak jest pod wozem. Urodził się w nędzy i brudzie, nie miał szczęśliwego dzieciństwa. Ostatnio został upokorzony przez Gorbaczowa i kierownictwo partii. Miał do wyrównania wiele rachunków. Jego niezwykła siła fizyczna i ćwiczenia sportowe czyniły z niego naturalnego zapaśnika. Miał niespożyte siły witalne. Niemal instynktownie wiedział, jak zdobyć posłuch tłumów. Podobnie jak Lech Wałęsa, potrafił wyczuć, co myślą słuchacze, i tak sformułować swoje myśli, by mówić im to, co chcą usłyszeć. Dzięki umiejętnemu połączeniu poczucia humoru, zdrowego rozsądku i zwyczajnej demagogii wykorzystywał niezadowolenie mas i posługiwał się nim jako orężem przeciwko swym przeciwnikom politycznym.

Możliwość zmartwychwstania politycznego nieświadomie stworzył Jelcynowi Gorbaczow, podejmując decyzję o stworzeniu częściowo wolnego parlamentu - Zjazdu Deputowanych Ludowych. Jelcyn po śmierci Sacharowa w grudniu 1989 roku stał się liderem „demokratycznej opozycji".

Pogłębiający się kryzys Związku Radzieckiego był wodą na młyn Jelcyna. Latem 1990 roku większość Rosjan straciła zainteresowanie dla triumfów polityki zagranicznej Gorbaczowa i radykalnej poprawy stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Oglądając w telewizji Niemców i Amerykanów skandujących jego nazwisko, parskali z pogardą. Redukcja arsenałów jądrowych była oczywiście uważana za sukces, ale przeciętnego Rosjanina najbardziej zajmowały problemy codziennego życia, jak na przykład kupno pary solidnych butów czy długość kolejki po chleb w pobliskim sklepie.

Rozwijając własny styl i budując swój wizerunek polityczny, Jelcyn ze wszystkich sił starał się odróżnić od swego niegdysiejszego patrona. Gorbaczow jeździł w długiej kolumnie ziłów - Jelcyn pysznił się swoim rozklekotanym moskwiczem, radzieckim odpowiednikiem pogardzanego enerdowskiego trabanta. Gorbaczow wyznał kiedyś, że dzieli się swymi troskami z żoną Raisą - Jelcyn

oświadczył, że żony nie powinny wściubiać nosa do polityki[126]. Gorbaczow przejawiał skłonność do długich, skomplikowanych przemówień trwających niekiedy po dwie, trzy godziny - kiedy przemawiał Jelcyn, zawsze był zwięzły i konkretny. W miarę utraty popularności Gorbaczow zdawał się szukać schronienia w swej fortecy na Kremlu, unikając bezpośrednich kontaktów z przeciętnymi Rosjanami - Jelcyn za to trafiał wprost do rosyjskich serc i słuchał tego, co mówią zwykli ludzie.

Ale różnice sięgały głębiej, nie kończyły się na stylu i osobowości - obejmowały też poglądy na najistotniejszą kwestię: czy komunizm się skończył? Mimo skłonności do takiego żonglowania słowem „socjalizm", że w końcu straciło ono wszelkie znaczenie, Gorbaczow nie chciał porzucić ideologii komunistycznej. Wciąż szczebiotał o nieodwracalności „socjalistycznego wyboru", którego Rosja miała rzekomo dokonać w listopadzie 1917 roku. Lenin pozostał dlań bezspornym autorytetem. Jelcyn z kolei przeżywał nawrócenie ideologiczne, które było nie tylko bolesne, ale i publiczne. Konflikt z establishmentem partii komunistycznej motywował go do weryfikacji najbardziej zakorzenionych przekonań politycznych. Jelcyn doszedł do wniosku, że nie jest już komunisty.

Punktem zwrotnym w tej przemianie Jelcyna była jego pierwsza wizyta w Stanach Zjednoczonych, we wrześniu 1989 roku, a konkretnie - jego pierwsza wizyta w amerykańskim supermarkecie, w Houston w Teksasie. Widok mnóstwa półek załadowanych wszelkimi możliwymi rodzajami artykułów spożywczych i sprzętu gospodarstwa domowego, z których każdy występował w dziesięciu odmianach, zachwycił go i równocześnie załamał. Dla Jelcyna, tak jak dla wielu innych Rosjan po raz pierwszy przebywających w Stanach, supermarket był bez wątpienia o wiele większą atrakcją niż Statua Wolności. Pełne półki sklepowe robiły wrażenie dlatego, że był tu czymś najnormalniejszym w świecie. Róg obfitości towarów konsumpcyjnych, przekraczający wyobraźnię większości mieszkańców ZSRR, znajdował się w zasięgu ręki każdego Amerykanina, który w dodatku nie musiał stać godzinami w żadnej kolejce. I towary były tak atrakcyjnie wyeksponowane! Dla kogoś, kto wychowywał się w siermiężnych warunkach komunizmu, nawet dla członka relatywnie uprzywilejowanej elity, wizyta w zachodnim supermarkecie oznaczała brutalny gwałt na zmysłach.

„To, co zobaczyliśmy w tym supermarkecie, było nie mniej zachwycające niż sama Ameryka" - wspominał Lew Suchanów, który towarzyszył Jelcynowi w podróży do USA i również przeżył szok, przekonując się naocznie o rozmiarach

przepaści dzielącej standardy życia w obu supermocarstwach. - „Myślę, że właśnie po pobycie w Houston zawaliła się ostatnia podpora bolszewickiej świadomości Jelcyna. Decyzja o porzuceniu partii i podjęciu walki o najwyższą władzę w Rosji dojrzała nieodwracalnie w chwili tego zagubienia intelektualnego”[127].

Suchanów poświęcił cudom supermarketu w Houston cały rozdział swej książki *Tri goda z Jelcynym (Trzy lata z Jelcynem).* Opisał zachwyt Jelcyna, kiedy mu powiedziano, że sklep prowadzi sprzedaż trzydziestu tysięcy artykułów. (Przeciętny sklep w ZSRR miał w sprzedaży niespełna sto artykułów, z których wiele było „nieosiągalnych”.) Na widok kolejnych działów marketu gościom z Moskwy oczy otwierały się coraz szerzej ze zdziwienia. Ledwo doszli do siebie po szoku wywołanym widokiem serów, gdzie widzieli „czerwony ser, brązowy ser i ser cytrynowo-pomarańczowy”,

a już przeżyli „prawdziwy wstrząs” w dziale warzywnym. Szczególnie uderzył ich widok rzodkiewek, wielkości wyrośniętych - wedle standardów radzieckich - ziemniaków. Wydawało się, że rzodkiewki aż błyszczą w rzęsistym świetle sklepu. Z ociąganiem się z działu warzywnego przeszli do półek z pieczywem.

„W dziale z pieczywem można by spędzić całe godziny” - zachwycał się Suchanów. - „Dla nas było to widowisko przewyższające filmy Hollywoodu. Pewien klient przy ladzie czekał na wielki tort w kształcie lodowiska hokejowego. Zawodników zrobiono z czekolady. Było to prawdziwe dzieło sztuki, ale co najdziwniejsze - można je było kupić. Po prostu kupić”[128].

W czasie lotu z Houston do Miami Jelcyn długo nic nie mówił. Ściskał głowę dłońmi. W końcu przerwał milczenie. „Musieli oszukiwać ludzi” - powiedział Suchanowowi. - „Teraz jest dla mnie jasne, dlaczego tak bardzo utrudniali zwykłym obywatelom podróżowanie za granicę. Bali się, że ludziom otworzą się oczy”[129].

Były aparatczyk zrozumiał tęsknotę udręczonego społeczeństwa radzieckiego do normalnego życia i jego gniew spowodowany oszustwami i poniżeniami. Pomoże ludziom wywrzeć zemstę na partii. Ich zemsta będzie też jego zemstą.

Najmocniejszym wizualnie elementem długiej sali konferencyjnej Wielkiego Pałacu Kremlowskiego był stojący między korynckimi kolumnami marmurowy posąg Lenina. W sali tej rozgrywały się najdramatyczniejsze wydarzenia ery radzieckiej. To tutaj Stalin zdobył najwyższą władzę polityczną i apoteozę, kiedy w czasie XVII Zjazdu KPZR w 1934 roku oficjalnie ogłoszono, że jest „największym

człowiekiem wszech czasów i narodów świata”[130]. Także tutaj komuniści pokolenia Gorbaczowa słuchali, pochyliwszy głowy, rewelacji Chruszczowa na temat zbrodni Stalina, kiedy wygłaszał swój „tajny referat” w czasie XX Zjazdu w 1956 roku. Za czasów Breżniewa w sali tej odbywały się posiedzenia Rady Najwyższej ZSRR. Co roku gazety całego świata zamieszczały zrobione w niej rytualne zdjęcie trzęsących się ze starości członków Biura Politycznego, wznoszących prawe ręce, by jednogłośnie poprzeć politykę partii.

Przez ponad pięćdziesiąt lat słychać tu było jedynie odbijające się echem totalitarne hasła. Teraz - rozbrzmiewała autentyczna debata. Wielka elektroniczna tablica świetlna, umieszczona obok posągu Lenina, uwidaczniała wyniki niezliczonych głosowań. Przy rozstawionych wszędzie mikrofonach zbierały się kolejki chętnych do zabrania głosu. Na zewnątrz, w przyległych do sali korytarzach, energicznie krzątali się dziennikarze, dybiący na wychodzących z sali deputowanych. Stoły zarzucone były projektami rezolucji, oświadczeniami politycznymi, oficjalnymi stenogramami. Po jednej stronie korytarza ustawiono szereg tablic ogłoszeniowych, wypełnionych depeszami od wyborców. Teksty były różne, ale sens miały mniej więcej jednakowy: kandydatem zwykłych ludzi na przewodniczącego Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej jest Borys Nikołajewicz Jelcyn.

Zachęceni przez Gorbaczowa, który zarzucał Jelcynowi, że odwrócił się od „socjalizmu”, komuniści robili wszystko, co w ich mocy, aby nie dopuścić renegata do objęcia najwyższej funkcji politycznej w Rosji. Ale ich wysiłki zdały się na nic. Kandydat komunistyczny był tak odpychający - zarówno politycznie, jak i osobiście - że miał sporo trudności z zebraniem głosów samych komunistów. Niezależnych deputowanych oburzała otwarta ingerencja prezydenta ZSRR w procedury wyborcze. Im dłużej się zastanawiali, tym więcej napływało na Kreml telegramów z wyrazami poparcia dla Jelcyna. W końcu, po dwóch nie rozstrzygniętych głosowaniach, wybrano Jelcyna na przewodniczącego zgromadzenia większością zaledwie czterech głosów.

Kilka minut po swym triumfie nowy przywódca Rosji opuścił Kreml, by podziękować ludziom, którzy czekali cierpliwie całymi godzinami poniżej soboru Wasyla Błogosławionego, przysłuchując się radiowej transmisji debaty. Kiedy ujrzeli siwą grzywkę swego bohatera, pośpieszyli w jego stronę z okrzykiem: „Zwycięstwo, zwycięstwo!”

„Moja walka jest walką zwykłych ludzi!” - zawołał Jelcyn do swych zwolenników z trawiastego kopczyka pod czerwonym kremlowskim murem. - „To ważny

krok na drodze do zwycięstwa demokracji. Teraz musimy kontynuować walkę o niepodległość i suwerenność Rosji, ojej odrodzenie narodowe, gospodarcze i duchowe, aby Rosja żyła jak niegdyś”[131]. Odpowiadając na wiwaty tłumu wzniesioną pięścią, usiadł na przednim siedzeniu swego moskwicza i odjechał.

Oprócz wielkiego okręgu wyborczego Jelcyn miał teraz do dyspozycji scenę polityczną wystarczająco dużą, by współzawodniczyć z Michaiłem Gorbaczowem. Rosja była największą i najważniejszą republiką spośród piętnastu republik ZSRR. Rozciągający się od Bałtyku po Pacyfik kraj zajmował siedemdziesiąt sześć procent powierzchni ZSRR, obszar niemal dwukrotnie większy od Stanów Zjednoczonych. Ludność Rosji, sto czterdzieści dwa miliony osób, była równie liczna jak populacja wszystkich innych republik razem wziętych. Federacja Rosyjska zapewniała dziewięćdziesiąt procent radzieckiej produkcji ropy naftowej, siedemdziesiąt sześć procent gazu ziemnego i osiemdziesiąt dziewięć procent przychodów z handlu zagranicznego. Nie było przesady w twierdzeniu, że rosyjski kolos to klucz do sukcesu lub klęski Gorbaczowa.

Rosja była nie tylko wielka, ale i świetnie pasowała do tematu, który zawłaszczył Jelcyn: tęsknoty ludzi do życia w przyzwoitych warunkach. Inne republiki chciały się wyrwać z nędzy ekonomicznej, odłączając się od ZSRR, Rosja nie mogła pójść w ich ślady - była wszak sercem imperium. Imperium jednak nie przynosiło jej nic poza problemami. Ruina gospodarcza kraju skłaniała wielu Rosjan do refleksji nad narodową tradycją ciągłej ekspansji terytorialnej, której hołdowali w równym stopniu carowie, co sekretarze generalni. Po raz pierwszy od wielu stuleci Rosjanie byli gotowi pozbyć się wielkomocarstwowych aspiracji, jeśli mieli dzięki temu poprawić swe warunki życia. Zwrócili się do wewnątrz, tyłem do imperium.

Słowem wytrychem w tej debacie była „suwerenność”. Jednym z pierwszych posunięć rosyjskiego parlamentu pracującego pod kierunkiem Jelcyna było uchwalenie „deklaracji suwerenności”, ustanawiającej wyższość praw rosyjskich nad radzieckimi. Parlament przejął także prawo własności i kontroli nad wszystkimi bogactwami naturalnymi znajdującymi się na terytorium Rosji, zapowiadając, że po rocznym okresie przejściowym zażąda od innych republik radzieckich, aby uiszczały należność za ropę, gaz i inne surowce według cen światowych[132]. Gorbaczow szybko się zorientował, że takie posunięcie grozi zniszczeniem jednego z ostatnich więzów spajających imperium. Jeśli Rosja przejmie kontrolę nad swymi olbrzymimi bogactwami naturalnymi, jego siła przetargowa zostanie znacznie nadwątlona nie tylko wobec republik nadbałtyckich, ale także

słowiańskich, jak na przykład Ukrainy. Cała podstawa władzy radzieckiej i jego osobisty autorytet jako prezydenta Związku Radzieckiego zostaną podważone. Stopniowo sprawdzała się przepowiednia, którą wypowiedział zeszłego lata w Foros: „Jeśli Rosja powstanie (...), będzie to koniec imperium”.

W przeciwieństwie do niego, Jelcyn zyskał doskonały oręż polityczny, przydatny w walce z byłymi towarzyszami komunistycznymi. Prowadząc walkę o „suwerenność”, wywalczy dla siebie władzę Gorbaczowa i znienawidzonego „centrum”. Ale walka na pewno będzie zacięta, będą mu więc potrzebni sojusznicy. Dla zawiązania niezbędnych sojuszy skłonny był udostępnić swój oręż innym. Zapewniał swoich zwolenników, że prawo do suwerenności mają nie tylko republiki, ale i regiony, miasta, a nawet wsie. „Bierzcie tyle suwerenności, ile zdołacie przełknąć” - poradził jednemu z lokalnych przywódców na krótko przed wyborem na przewodniczącego parlamentu. Wedle koncepcji Jelcyna, przebudowie miała ulec cała struktura władzy politycznej w Rosji - oddolnie, na zasadzie kontraktowej. Zdaje się jednak, że nigdy nie przyszło mu do głowy, że narzędzie suwerenności pewnego dnia może zostać użyte przeciwko niemu. A jeśli nawet przyszło - nie chciał o tym myśleć. To mogło stać się jutro, a teraz było dzisiaj.

Po niemal trzech latach spędzonych w politycznym niebycie znów był w centrum władzy i czuł się wspaniale. Nowy przewodniczący objął w posiadanie ogromny gabinet w Białym Domu, masywnym gmachu nad brzegiem rzeki Moskwy, gdzie mieściła się siedziba rządu rosyjskiego. Zjawił się tam w towarzystwie Suchanowa, który pomógł mu się otrząsnąć z rozpaczy w radzieckim ministerstwie budownictwa, Gos-stroju. Widok luksusowego gabinetu, lśniącego nowoczesnością, „mile połechtał” Suchanowa - do czego przyznał się w swych pamiętnikach.

„Patrz, Borysie Nikołajewiczu, jaki zdobyliśmy gabinet!” - wpadł w zachwyt.

„Zdobyliśmy nie tylko gabinet” - odparł Jelcyn. - „Zdobyliśmy całą Rosję”[133].

MOSKWA
20 grudnia 1990

Jak się okazało, Jelcyn był w błędzie. On i demokraci nie „zdobyli” całej Rosji. A przynajmniej jeszcze nie wtedy. „Zdobyli” luksusowe biuro w centrum Moskwy, co przebiegły Suchanów od razu zauważył. Na razie jednak ich władza nie sięgała, w zasadzie, poza moskiewską obwodnicę. Matka Rosja - wielka, pogrążoną w letargu, zbankrutowana, rozczarowana - wciąż ich zwodziła.

Wyłoniony w wyborach powszechnych rosyjski Zjazd Deputowanych Ludowych ogłosił, że przejmuje władzę nad całą federacją. Wydawał rezolucje, rozporządzenia i ustanawiał prawa. Ale papierowa zamieć miała niewielki wpływ na rzeczywistość. Strategiczne resorty - wojsko, KGB, policja - wciąż były pod ścisłą kontrolą partii komunistycznej. Jeszcze wiele miesięcy po porzuceniu zagwarantowanego w konstytucji monopolu władzy partia wciąż wywierała wpływ na życie kraju za pośrednictwem wszechogarniającej sieci starych towarzyszy. Na drzwiach gabinetów zmieniono tabliczki, aby zaakcentować, że władzę od partii przejęły ciała obieralne, ale w środku z reguły urzędowali ci sami ludzie.

Biurokraci wciąż przypominali Jelcynowi, kto tu naprawdę rządzi. Posługiwali się w tym celu scentralizowanym systemem dystrybucji. Kiedy przewodniczący zażądał oficjalnej rezydencji pod Moskwą, przyznano mu pokój w podupadłym ośrodku wczasowym dla urzędników średniego szczebla. Po wielu narzekaniach pozwolono mu ostatecznie wprowadzić się do wiceministra rolnictwa. Dziewiąty Zarząd Główny KGB, odpowiedzialny za bezpieczeństwo przywódców radzieckich, starał się jak mógł, nie dopuścić nowych rządzących w Rosji do służbowych samochodów i rządowego systemu telekomunikacyjnego. Szczególnie drażliwa była kwestia broni. Obawiając się puczu partyjnego betonu, Jelcyn podjął próbę zbudowania rosyjskich służb bezpieczeństwa, niezależnych od KGB. Ponieważ rząd rosyjski nie sprawował kontroli nad żadną z fabryk zbrojeniowych, musiał się zadowolić tym, co wpadało mu w ręce. Zanim rzeczywiście doszło do zamachu, w sierpniu 1991 roku, arsenał Białego Domu składał się z sześćdziesięciu karabinków, stu pistoletów, dwóch kamizelek kuloodpornych i pięciu radiotelefonów[134].

To, że aparat partii komunistycznej z powodzeniem odmawiał oddania realnej władzy Jelcynowi, nie oznaczało, że nic się nie zmienia. Niemoc i niekompetencja nomenklatury były coraz bardziej widoczne - Rosja tymczasem wciąż osuwała się w gospodarcze bagno. Biurokraci kontrolowali wszystko, choć ze swą

władzą mogli uczynić niewiele więcej, jak tylko uczepić się jej rękami i nogami. System centralnego rozdzielnictwa przestał skutecznie działać, mimo to aparatczykom nieśpieszno było się z nim rozstawać - ze strachu przed osłabieniem swojej pozycji. Rezultatem był paraliż polityczny. Rywalizujące ze sobą legislatury prześcigały się w wydawaniu przepisów, których nikt nie respektował. Nie potrafiąc powstrzymać upadku gospodarki, rządy regionalne próbowały chronić swych obywateli poprzez powrót do totalnego racjonowania i ustalania barier celnych. Ogólny nastrój skłaniał do tego, by każdy martwił się o siebie.

Krótka fala optymizmu pojawiła się na początku września, kiedy Jelcyn i Gorbaczow przyjęli wspólny plan wprowadzenia w ciągu pięciuset dni modelu gospodarki mieszanej na zachodnią modłę. Plan Pięćsetdniowy, jak go nazwano, przewidywał denacjonalizację osiemdziesięciu procent radzieckiej gospodarki, porzucenie centralnego planowania i liberalizację handlu zagranicznego. Zakładano uwolnienie cen, wymienialność rubla, rozwiązanie kolektywnych gospodarstw rolnych, uznanie własności prywatnej. Co więcej, chciano tego dokonać stosunkowo bezboleśnie. Zjawisko nazywane przez radzieckich ekonomistów nawisem pieniężnym, polegające na tym, że na rynku jest zbyt wiele pieniędzy w stosunku do ilości towarów - miało zostać wyeliminowane w procesie wyprzedaży likwidacyjnej aktywów państwowych.

Plan Pięćsetdniowy okazał się kolejnym utopijnym marzeniem. Niemożliwa jest bezbolesna transformacja od centralnego planowania do wolnego rynku. Ekonomiści przygotowujący plan nie doszacowali wielkości oporu ludzi faktycznie kierujących gospodarką: dyrektorów fabryk, przewodniczących kołchozów, przedstawicieli kompleksu wojskowo-przemysłowego. Wszyscy ci ludzie zjednoczyli się w potężną grupę nacisku. Niemal każdego tygodnia dochodziło do zebrań czy konferencji, podczas których sypały się gromy na „katastrofalne” plany radykałów. Żądano powrotu do wypróbowanych „metod administracyjnych”. Pod szczególnie dużą presją polityczną był Gorbaczow. Premier Nikołaj Ryżkow ostrzegał przed dezintegracją polityczną i gospodarczą. Przewodniczący kołchozów grozili wstrzymywaniem dostaw żywności do miast, jeśli plan zostanie wprowadzony w życie. Wojskowi deputowani w radzieckim parlamencie posunęli się do apelu o ustąpienie prezydenta, jeśli nie podejmie zdecydowanych działań zapobiegających „upadkowi kraju”[135].

W końcu Gorbaczow - jak to określił jego główny doradca do spraw ekonomicznych - po prostu się przestraszył[136]. Jego popularność spadła do dwudziestu jeden procent- najniższego poziomu w jego karierze. „Demokraci” w radzieckim

parlamencie byli niewiele znaczącą siłą. Plan Pięćset- dniowy zawierał wiele interesujących pomysłów, ale istniały one tylko na papierze. Zbliżała się ostra, rosyjska zima. Gorbaczow nie mógł sobie pozwolić na zantagonizowanie dyrektorów fabryk i biurokratów, którzy de facto kierowali krajem, ani też generałów i szefów służb bezpieczeństwa, którzy stanowili jego ostatnią linię obrony przed Jelcynem. To oni dzierżyli prawdziwą władzę. Zdecydował się ugiąć i dokonać taktycznego odwrotu.

Jesienią 1990 roku rozczarowani radykałowie patrzyli, jak Gorbaczow dryfuje w stronę partyjnego betonu. Na początku grudnia zdymisjonował swego postępowego ministra spraw wewnętrznych, Wadima Bakatina, który naraził się konserwatystom, rezygnując z siłowego zdławienia niepodległościowych dążeń republik bałtyckich. Kilka dni potem prezydent ZSRR wydał dekret zobowiązujący wszystkie państwowe przedsiębiorstwa, by stosowały się do instrukcji urzędów centralnych. W przemówieniu wygłoszonym na forum radzieckiego parlamentu apelował o „rozsądek" w imię utrzymania kraju w całości. Ale pora na największy wstrząs jeszcze nie nadeszła.

Eduard Szewardnadze był szczególnie zaniepokojony wzrastającymi wpływami konserwatystów. Minister spraw zagranicznych uważał się za polityczną bratnią duszę Gorbaczowa i jednego z intelektualnych ojców pierestrojki oraz „nowego myślenia". Wspominał swą rozmowę z Gorbaczowem na plaży w Picundzie na początku lat osiemdziesiątych. We właściwy Gruzinom, emocjonalny sposób Szewardnadze potępiał wszystko, co było „przegniłe" w Związku Radzieckim, bo „nie można dłużej tak żyć". W pewnym sensie wszystko zaczęło się od tej rozmowy.

Szewardnadze nie nadążał za swym ostro manewrującym dawnym przyjacielem. Jedno tylko było dlań całkiem jasne: Gorbaczow się od niego oddalał. Prezydent zdecydował się otoczyć tradycyjnymi strukturami władzy - partią komunistyczną, wojskiem, KGB. Kiedy nasiliły się ataki konserwatystów, szef radzieckiej dyplomacji uznał, że na jego barki kładzie się międzynarodowe niepowodzenia Kremla, podczas gdy wszelkie sukcesy idą na konto Gorbaczowa. Szczególnie dręczył go jeden incydent. 15 października, w dniu, kiedy Gorbaczowowi przyznano pokojową Nagrodę Nobla, w radzieckim parlamencie wybuchła drażliwa debata na temat „Kto przegrał Niemcy?" Szewardnadze narzekał potem, że pozostawiono go samemu sobie, kiedy musiał odpierać napaści reakcjonistów za to, że dopuścił do członkostwa w NATO zjednoczone Niemcy. „Od prezydenta

potrzebowałem, chciałem i oczekiwałem tylko jednego: że zajmie jasne stanowisko - że odeprze ataki i otwarcie stanie w obronie naszej wspólnej polityki. Czekałem na próżno"[137].

Spędziwszy bezsenną noc, Szewardnadze podjął decyzję. We wczesnych godzinach rannych 20 grudnia 1990 roku odręcznie napisał oświadczenie na temat powodów swojej dymisji. O tym, co zamierza zrobić, powiadomił córkę w Tbilisi i dwóch najbliższych współpracowników. Potem pojechał na Kreml[138].

Na Zjeździe Deputowanych Ludowych zapadła grobowa cisza, kiedy Szewardnadze wygłosił-jak sam ją nazwał - „najkrótszą i najtrudniejszą mowę w życiu". Uderzając powietrze zaciśniętą pięścią, bardziej niż kiedykolwiek zdradzając swój gruziński akcent, zganił „towarzyszy demokratów" za chowanie się „po krzakach", kiedy przesądza się los pierestrojki. Potem dobitnie wypowiedział słowa, które trafiły na nagłówki gazet całego świata: „Nadchodzi dyktatura, oświadczam to z całkowitą odpowiedzialnością. Nikt nie wie, jakiego będzie ona rodzaju i kto sięgnie po władzę - jakiego typu dyktator - oraz jaki będzie nasz nowy reżym. Chcę jednak złożyć następujące oświadczenie: Składam dymisję (...). Nie mogę się pogodzić z wydarzeniami, które zachodzą w naszym kraju, i z przejściami, które czekają nasze społeczeństwo. Niemniej jestem przekonany, że dyktatura nigdy nie zwycięży, ponieważ przyszłość należy do demokracji i wolności"[139].

Kiedy Szewardnadze detonował swoją bombę, Gorbaczow słuchał z niepokojem, siedząc na swoim miejscu w prezydium, o kilka metrów od mówcy. Wyznał po czasie, że czuł się „zraniony" przez przyjaciela, który nie uprzedził go o swej decyzji. Jednak w czasie składania oświadczenia przez Szewardnadzego na jego twarzy nie malowały się żadne emocje[140]. Kiedy przemówienie się skończyło, ujął głowę w dłonie i spojrzał na swe notatki.

Drużyna, która w 1985 roku wyprawiła Związek Radziecki w długą, eksperymentalną podróż, rozpadła się. Jegor Ligaczow przyłączył się do twardogłowej opozycji, oskarżywszy najpierw Gorbaczowa, że kieruje demontażem socjalizmu. Aleksandr Jakowlew, ideologiczny mózg głasnosti, całkiem wycofał się z czynnej polityki. Premier Nikołaj Ryżkow padł ofiarą katastrofalnego spadku popularności rządu. Teraz przyszła kolej na Szewardnadzego. Gorbaczow jeszcze nigdy nie był tak osamotniony.

Filmowiec Aleś Adamowicz określił kłopotliwe położenie radzieckiego przy-

wódcy w przemówieniu na zjeździe. „Tracąc takich sojuszników jak Szewardnadze, tracicie swą siłę i swój prestiż” - zarzucił Gorbaczowowi. - „Jeśli ten proces będzie trwał, prezydent wkrótce otoczy się generałami i pułkownikami, którzy uczynią zeń swego zakładnika. Gorbaczow jest jedynym przywódcą w radzieckiej historii, który nie splamił sobie rąk krwią, i takim będziemy go pamiętać. Ale przyjdzie chwila, kiedy wymuszą na was rozlew krwi i wytrą swe splamione ręce o wasz garnitur i was obwinią o wszystko”[141].

Przepowiednia Adamowicza spełnić się miała już wkrótce.

CZĘŚĆ CZWARTA
BUNT PARTII

Najniebezpieczniejszą chwilą dla skorumpowanego reżymu jest próba zreformowania samego siebie.

Alexis de Tocqueville

Rewolucja tylko wtedy jest cokolwiek warta,
jeśli wie, jak się obronić.

Władimir Lenin

MOSKWA
22 grudnia 1990

Eduard Szewardnadze oparł ostrzeżenie przed „zbliżającą się dyktaturą” na swej wyostrzonej intuicji politycznej. Patrzył, jak konserwatyści mobilizują siły przeciwko Planowi Pięćsetdniowemu i obawiał się, że Gorbaczow ugnie się pod ich naciskiem. Uważał masakrę w Tbilisi w kwietniu 1989 roku za próbę generalną znacznie większych działań wojskowych. Parlament przeprowadził intensywne śledztwo w sprawie wydarzeń w Tbilisi, ale nikt nigdy nie został ukarany. Minister spraw zagranicznych zaczął żywić podejrzenia, że istnieją „ukryte siły (...) czające się za plecami prezydenta”, gotowe uciec się do „działań zbrodniczych”. Nie dawało mu spokoju, że Gorbaczow skłonny jest osłaniać tych ludzi. Któregoś dnia nie mógł tego dłużej znieść i postanowił rozwiać lub potwierdzić swe podejrzenia w rozmowie z prezydentem.

Połączył się z nim przez wiertuszkę, kiedy Gorbaczow jechał na Kreml ze swej wiejskiej daczy. Dwudziestopięcio- minutowa jazda stwarzała możliwość skontaktowania się z nim, kiedy był sam i jeszcze nie zajął się codziennymi sprawami w biurze.

„Akty przemocy są końcem pierestrojki, a twoja reputacja...” - mówił Szewardnadze

„Co ty sobie myślisz?!” - wybuchnął Gorbaczow. - „Jak w ogóle mogłeś pomyśleć, że pozwoliłbym na coś takiego?”[1]

Podejrzenia Szewardnadzego miały solidne podstawy, choć Gruzin nie dysponował konkretnymi dowodami na ich poparcie. Zanim jednak wygłosił swe sensacyjne oświadczenie na zjeździe, machina represji już została uruchomiona. Na Łubiance, w siedzibie Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, już rodziły się plany ogólnokrajowych represji. Wzmożono obserwację działaczy opozycji. Agenci KGB śledzili Jelcyna przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a w jego ulubionej saunie zainstalowali nawet bezprzewodowy podsłuch. W nadziei na zdobycie kompromitujących informacji podsłuchiwano setki ludzi, od premiera Rosji, poprzez mera Moskwy, po trenera gry w tenisa Jelcyna i fryzjerkę Raisy Gorbaczow. W końcu sieć została zarzucona tak szeroko, że objęła także wielu doradców Gorbaczowa, takich jak Szewardnadze, Jakowlew i autor Planu Pięćset- dniowego, ekonomista Stanisław Szatalin[2]. Stenogramy podsłuchanych rozmów odkryto potem w sejfie Walerego Bołdina, szefa gabinetu Gorbaczowa.

Jesienią 1990 roku przewodniczący KGB, Władimir Kriuczkow, zaczął zasypywać Gorbaczowa listami wskazującymi na rzekomy spisek „demokratów", zawiązany w celu przejęcia władzy[3]. Nalegał, by prezydent zgodził się na wprowadzenie stanu wyjątkowego w całym kraju. Na posiedzeniu Politbiura, które odbyło się pod koniec listopada, zaapelował o wprowadzenie bezpośredniej władzy prezydenckiej w całym Związku Radzieckim i zawieszenie instytucji parlamentarnych[4]. Gorbaczow sprzeciwił się temu, ale wyraził zgodę na przygotowanie planów prawodawstwa stanu wyjątkowego i przygotowanie KGB do rozprawy z opozycją.

8 grudnia Kriuczkow wezwał swych dwóch głównych współpracowników do swego biura na trzecim piętrze - piętro wyżej od biura poprzednio zajmowanego przez Andropowa. Powołując się na prośbę Gorbaczowa, polecił im przygotować zestawienie środków niezbędnych do „stabilizacji" sytuacji w kraju, wraz z projektem deklaracji o wprowadzeniu stanu wyjątkowego, który można by przedstawić Radzie Najwyższej ZSRR[5]. Trzy dni później przewodniczący KGB wystąpił w telewizji, twierdząc, że „szkodliwe elementy", finansowane i wspierane przez zagranicę, usiłują „zniszczyć nasze społeczeństwo i rząd oraz obalić władzę radziecką". Tak paranoicznej wizji prezentowanej przez wysokiego rangą przedstawiciela Kremla nie słyszano już publicznie od początku pierestrojki.

Jeśli ktoś mógł mieć wątpliwości, czy Kriuczkow naprawdę wierzy w potrzebę rozwiązania siłowego, stracił je w czasie zimowej sesji Zjazdu Deputowanych Ludowych ZSRR. 22 grudnia, dwa dni po przemówieniu Szewardnadzego, w którym ostrzegał przed dyktaturą, przewodniczący KGB wystąpił na zjeździe, żądając „zdecydowanych posunięć" dla zakończenia rozruchów na tle etnicznym. Istotą tego przemówienia był pogląd, że radzieccy przywódcy powinni się przygotować na przelanie niewielkiej ilości krwi, by ocalić kraj od jeszcze gorszego losu. „Szanowni towarzysze deputowani! Czy krew już teraz nie jest przelewana? Czy nie jest tak, że codziennie, kiedy tylko włączymy telewizor albo weźmiemy do ręki gazetę, dowiadujemy się o nowych ofiarach w ludziach, o śmierci niewinnych osób, nie wyłączając kobiet i dzieci? Nie chcę nikogo przestraszyć, ale Komitet Bezpieczeństwa Państwowego jest przekonany, że jeśli sytuacja w naszym kraju będzie rozwijać się w dotychczasowym kierunku, nie zdołamy uniknąć jeszcze poważniejszych i dotkliwszych wstrząsów społeczno-politycznych".

Kriuczkow, świadom, że nie można przywrócić władzy partii komunistycznej legalnymi, demokratycznymi metodami, przygotowywał argumenty na rzecz

użycia siły. Jego przemówienie było przeciwieństwem wciąż powtarzanego twierdzenia Gorbaczowa, że problemy należy rozwiązywać „wyłącznie za pomocą środków politycznych”, za to w pełni zgadzało się z tradycyjnymi dogmatami komunizmu. Przed 1985 rokiem radzieccy przywódcy bez skrupułów uciekali się do przemocy dla obrony „rewolucji”. „Rozlew krwi jest nieunikniony” - utrzymywał w kwietniu 1981 roku minister obrony Dmitrij Ustinow w czasie debaty w Biurze Politycznym na temat kryzysu w Polsce. - „Jeśli się tego zlękniemy, będziemy tracić jedną pozycję po drugiej. Wystawimy na ryzyko wszystkie zdobycze socjalizmu”[6].

Jak lubił mawiać Lenin: „Rewolucja tylko wtedy jest cokolwiek warta, jeśli wie, jak się obronić”.

Od pierwszych dni rewolucji radziecka władza zasadzała się na partii komunistycznej, Armii Czerwonej i „organach bezpieczeństwa”. Z tych trzech filarów tylko „organa” przetrwały w stosunkowo nienaruszonym stanie pięć burzliwych lat pierestrojki.

Partia została zmuszona do oddania monopolu na władzę polityczną, gwarantowanego do tej pory w artykule szóstym konstytucji ZSRR. Sfrustrowani ujawnieniem zbrodni stalinowskich, szeregowi komuniści opuszczali partię. Monolityczna niegdyś elita rządząca straciła spójność, gdy zaczęli odchodzić reformatorzy w rodzaju Jelcyna. Wojsko także było cieniem dawnej armii. Jego morale poważnie naruszyła katastrofa, jaką zakończyły się działania w Afganistanie, masowe unikanie poboru i seria wojen etnicznych na obrzeżach Związku Radzieckiego. Zdziesiątkowana cięciami budżetowymi armia znalazła się w defensywie. Generalicja bardziej interesowała się mieszkaniami dla oficerów wyrzuconych z Polski i NRD niż zagrożeniem militarnym.

Tymczasem KGB, „miecz i tarcza” państwa radzieckiego, zdołał przetrwać bez większego uszczerbku. „Organa” czyniły symboliczne gesty poparcia dla głasnosti, jak na przykład powołanie rzecznika prasowego i udostępnianie informacji o losie ofiar terroru Stalina. Niesławny Piąty Zarząd Główny, któremu Andropow powierzył rozbicie ruchu dysydenckiego, nazwano Zarządem Ochrony Konstytucji. Kampania public relations mająca ukazać bardziej ludzkie, przyjazne oblicze tajnej policji, osiągnęła punkt kulminacyjny na początku 1990 roku, kiedy wybrano „Miss KGB”. A jednak w sposobach działania Komitetu niewiele się zmieniło. Kompetencje KGB obejmowały pilnowanie granicy ZSRR,

ochronę członków Politbiura, polowanie na „sabotażystów" w gospodarce narodowej, wywiad, kontrwywiad i akcje dezinformacyjne. Tajniacy KGB wciąż śledzili głównych dysydentów, często nie wahając się zakładać podsłuchu. W jakiś czas potem okazało się, że olbrzymia sieć informatorów obejmowała premiera Litwy i patriarchę rosyjskiego Kościoła prawosławnego.

Budżet i liczebność KGB pozostały na poziomie sprzed pierestrojki. Do dziś nikt nie wie, ile dokładnie osób pracowało w „organach". Wedle następcy Kriuczkowa, Wadima Bakatina, we wrześniu 1991 roku w KGB zatrudnionych było czterysta osiemdziesiąt tysięcy osób na pełnych etatach; niektórzy niezależni eksperci uważają jednak, że liczba ta jest zaniżona[7]. Na listach płac KGB figurowało także około dwunastu tysięcy pracowników wywiadu zagranicznego, dziewięćdziesiąt tysięcy agentów w miastach prowincjonalnych, dwieście dwadzieścia tysięcy żołnierzy wojsk pogranicznych i kilka dywizji wojsk wewnętrznych. W skład oddziałów KGB do zadań specjalnych wchodziła też grupa „Alfa", która zdobyła pałac prezydencki w Kabulu w grudniu 1979 roku. Jesienią 1990 roku Kriuczkow przekonał Gorbaczowa, by przekazał kilka jednostek regularnej armii do dyspozycji KGB. Tak się stało w odniesieniu do, między innymi, Witebskiej Dywizji Spadochronowej oraz dwóch dywizji zmotoryzowanych[8].

Wzorem swoich poprzedników, Kriuczkow przywiązywał sporą wagę do rewolucyjnych tradycji KGB, odziedziczonych po Leninowskiej służbie zwanej Czeką i Stalinowskiej NKWD. Olbrzymi, sięgający trzeciego piętra pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela Czeki, stał tuż przed siedzibą KGB na Łubiance. Duch „żelaznego Feliksa" zdawał się przenikać całą tę organizację. Oficerowie KGB chętnie określali się dumnie czekistami; nic dziwnego, skoro w większości byli absolwentami Akademii Dzierżyńskiego, czczącej pamięć ojca „czerwonego terroru". Mimo że niektórzy młodsi oficerowie zarażeni byli demokratycznym duchem pierestrojki, na wyższych szczeblach KGB czujność ideologiczna była na porządku dziennym. Kiedy Bakatin otrzymał polecenie rozwiązania KGB w wyniku niepowodzenia puczu w sierpniu 1991 roku, zaskoczony był niskim poziomem prac analitycznych i ogólnym brakiem profesjonalizmu. Namacalne dowody obsesji na punkcie ideologii znaleziono nawet w specjalnym schronie atomowym zbudowanym dla przywódcy ZSRR, gdzie jedynymi książkami na półce były dzieła zebrane Lenina.

Bakatin skomentował swe odkrycie, mówiąc, że „byłoby to nawet śmieszne, gdyby nie było tak patetyczne. Komunistyczny mózg KGB zdecydował, że tego właśnie potrzebuje głowa państwa w tak krytycznym momencie"[9].

Wielu liberalnych doradców Gorbaczowa dostrzegało zagrożenia wynikające z tego, że jego władza zależy od potężnej organizacji o tak bardzo zwichrowanej wizji świata. Ale Gorbaczow lekceważył ich obawy. Całkowicie wierzył w lojalność KGB[10]. Szczycił się wręcz, że KGB jest doskonale poinformowany o wszystkim, co się dzieje w Związku Radzieckim. Daleki był od uznania KGB za zagrożenie dla pierestrojki; chciał w tajnej policji raczej widzieć swego głównego sojusznika. W czasie ogólnego zamieszania politycznego „organa" były filarem stabilności politycznej, stanowiąc przeciwwagę dla sił szykujących się do boju pod kierunkiem Jelcyna. Podobnie jak inni przywódcy na Kremlu, szczególnie ci, którzy większą część swej zawodowej kariery spędzili na prowincji, Gorbaczow żywił szacunek dla rzekomej wszechwiedzy KGB. Grube, czerwone teczki zawierające raporty przeznaczone wyłącznie dla sekretarza generalnego były częścią mistycznej potęgi Kremla.

Gorbaczow wiedział, że Kriuczkow i przedstawiciele „struktur władzy" chcą wymóc na nim ogłoszenie stanu wyjątkowego. Dobił jednak z „organami" iście faustowskiego targu. Postanowił posłużyć się nimi dla pokonania Jelcyna, a następnie chciał sam uwolnić się od ich wpływów. Tłumaczył się później, że chciał „wymanewrować" zarówno konserwatystów, jak i demokratów.

„Polityk musi się znać na taktyce. Byłem krytykowany z dwóch stron. Musiałem lawirować między dwoma ekstremami. Chciałem zyskać na czasie"[11].

Gorbaczow powinien wiedzieć, że targując się z KGB, targuje się z diabłem.

Twarz Władimira Aleksandrowicza Kriuczkowa była jedną z tych dobrotliwych fizjonomii bez wyrazu, które łatwo wtapiają się w tłum. Zachodni korespondenci nie mogli go rozpoznać wśród uczestników Zjazdu Deputowanych Ludowych w maju 1989 roku, siedem miesięcy po objęciu przez niego funkcji szefa KGB. Także nieliczni deputowani wiedzieli, kim jest. Niezbyt pomocny był oficjalny portret Kriuczkowa, ponieważ i tak nie można go było na nim odróżnić od innych aparatczyków bez twarzy. Wydawał się doskonałym podwładnym: miał miły głos, był zdyscyplinowany, skłonny do wyświadczania uprzejmości.

Zrobił karierę w cieniu Jurija Andropowa. Poznali się w czasie kryzysu węgierskiego z 1956 roku, kiedy Kriuczkow pracował w ambasadzie ZSRR w Budapeszcie jako jego podwładny. Powstanie i wkroczenie Armii Czerwonej były dla ambasadora oraz trzydziestodwuletniego attache prasowego próbą ognia. Ich zadanie polegało na przekonaniu powstańców, że wojsko radzieckie wycofuje się

z Węgier na dobre, podczas gdy Chruszczów planował powtórne wysłanie oddziałów Armii Czerwonej - tym razem w o wiele większej sile. Doświadczenie to było dla Kriuczkowa doskonałą lekcją posługiwania się dezinformacją i siłą zbrojną w powstrzymywaniu kontrrewolucji. Kiedy Andropowa przeniesiono z powrotem do Moskwy, gdzie objął kierownictwo wydziału KC odpowiedzialnego za kraje socjalistyczne, zabrał z sobą Kriuczkowa jako swego asystenta.

Andropow został szefem KGB w 1967 roku. Wówczas również poprosił Kriuczkowa, by mu towarzyszył. Jako aparatczyk bez doświadczenia w pracy wywiadowczej, Kriuczkow wzbudził niechęć fachowców w KGB. Wielu z nich otwarcie nim pogardzało, uważając go za służalczego biurokratę, który zawdzięcza swe stanowisko wyłącznie protekcji Andropowa. „Był to pedant zajmujący się głównie przekładaniem papierów z jednej kupki na drugą, przzodownik pracy w radzieckiej biurokracji" - wspomina generał KGB Oleg Kaługin, często popadający w konflikty z Kriuczkowem. - „Kriuczkow spełniał bez dyskusji wszelkie życzenia Andropowa, a na nieszczęście przewodniczący KGB współpracował z nim od tak dawna, że nie dostrzegał jego rozlicznych braków. Tak naprawdę Kriuczkow niewiele wiedział o święcie, a jeszcze mniej o wywiadzie. Miał poważny kompleks niższości intelektualnej i był wyjątkowo zazdrosny o sukcesy kolegów. Należał do ludzi, którzy napawają się potknięciem bliźniego, a jeśli mają taką możliwość, jeszcze go popychają. Krótko mówiąc, był to wyjątkowy szubrawiec"[12].

Aby nie stracić zaufania swoich panów, Kriuczkow obnosił się ze swą absolutną lojalnością i oddaniem dla sprawy. Tak jak inni oficerowie KGB, musiał przedstawić szczegółową osobistą biografię, zwracając uwagę na ewentualne wady charakteru lub kompromitujące powiązania rodzinne. Przyznał się, że jego siostra była alkoholiczką, skazaną za kradzież. Nie omieszkał poinformować swoich przełożonych, że zerwał wszelkie kontakty zarówno z nią, jak i z niepewnym politycznie starszym bratem, który - szczęśliwym trafem - zniknął z jego życia pod koniec wojny, wyprowadzając się na radziecki Daleki Wschód[13].

Andropow w 1974 roku mianował Kriuczkowa szefem wywiadu KGB, Pierwszego Zarządu Głównego. Pełnił tę funkcję przez następnych czternaście lat, wywierając na swych podwładnych wrażenie pozornie nieograniczoną zdolnością do nieprzerwanej pracy i absolutnym brakiem poczucia humoru. Jako fanatyk sprawności fizycznej, miał zwyczaj dla wzmocnienia dłoni ściskać - w czasie narad - piłki do tenisa. Wstawał codziennie o 5.45, aby mieć dość czasu na pełen zestaw ćwiczeń na dworze, bez względu na pogodę i na to, kiedy poszedł spać. Zwyczaju tego nie zarzucił także wtedy, gdy w październiku 1988 roku został

przewodniczącym KGB. Wzywał urzędników do podmoskiewskiej daczy i kazał im czekać, aż skończy swą poranną rundę dookoła posiadłości. Potem razem jechali ziłem na Łubiankę[14].

To, że Kriuczkow służył Andropowowi przez wiele lat, zagwarantowało mu dobre stosunki z Gorbaczowem. Sekretarz generalny uznał, że nowy szef KGB będzie kontynuatorem krucjaty Andropowa przeciwko korupcji i Breżniewowskiej stagnacji[15]. Był bezgranicznie przekonany o lojalności Kriuczkowa, uważał go za wzorowego akolitę, którego jedynym celem życia jest spełnianie życzeń przełożonych. Trudno było sobie wyobrazić, żeby taka persona potrafiła stanąć na czele spisku wymierzonego w zwierzchnika sił zbrojnych. Kiedy Gorbaczowowi przedstawiono w końcu dowody zdrady Kriuczkowa, w pierwszym odruchu nie dał im wiary[16].

Zdrada była prawdopodobnie ostatnią rzeczą, o jakiej mógłby pomyśleć Kriuczkow w grudniu 1990 roku. Jego celem nie był zamach, ale stopniowe wmanewrowanie Gorbaczowa w rozprawę z „antysocjalistyczną" opozycją. Kraj był na krawędzi rozpadu, ale działając w zdecydowany sposób, wciąż można było odwrócić bieg wydarzeń. Radziecka historia pełna jest przykładów, w których szefowie partii komunistycznej odzyskiwali władzę w chwili, gdy wszystko wydawało się już stracone. W archiwach KGB wiele było podręcznikowych scenariuszy tego, co miał na myśli Kriuczkow. Były to akta oznaczone: „Kronsztad 1921", „Berlin Wschodni 1953", „Budapeszt 1956", „Praga 1968", „Kabul 1979" i „Warszawa 1981". Partia i KGB w ciągu dziesiątków lat posiedli sztukę zdobywania i utrzymywania władzy. To im wychodziło najlepiej.

Szef KGB nie miał wątpliwości, że chaos polityczny i załamanie gospodarcze wzbudzały w wielu obywatelach ZSRR tęsknotę za rządami silnej ręki. Odrobina determinacji i umiejętności taktyczne władzy mogły zapewnić przywrócenie porządku bez nadmiernej przemocy i rozlewu krwi. Ale najpierw trzeba było przeprowadzić próbę.

WILNO
13 stycznia 1991

Kolumna czterech czołgów T-72 i szesnastu transporterów opancerzonych podążała krętą drogą prowadzącą do wieży telewizyjnej na szczycie wzgórza, z którego rozciągał się widok na stolicę Litwy. Kiedy czołgi zbliżyły się do wieży, kręcąc groźnie wieżyczkami i strzelając ogłuszająco ślepymi nabojami, kilka tysięcy demonstrantów popędziło w stronę trzystumetrowej wieży. Radzieccy żołnierze oświetlali tłum reflektorami zamontowanymi na pojazdach opancerzonych. Z głośników w ciemności popłynął donośny głos: „Bracia Litwini! W imieniu Komitetu Ocalenia Narodowego ogłaszam, że władza w republice przeszła w nasze ręce. Jest to władza prostych ludzi pracy: robotników, chłopów i żołnierzy! Władza takich ludzi jak wy!”[17]

Demonstranci odpowiedzieli okrzykami i gwizdami. Chwycili się za ręce, formując wokół wieży ludzki mur, gruby na dziesięć-dwanaście szeregów. Chłodne, nocne powietrze wypełniło skandowanie: *Lietuva, Lietuva!* (Litwa, Litwa!) oraz *Laisve, laisve!* (Wolność, wolność!).

„W rzeczywistości niektórzy z was działają pod wpływem oszustw, kłamstw, demagogii i zastraszenia” - kontynuował męski głos. - „Taką bronią do tej pory posługiwały się władze, prowadząc rozgrywki w litewskim parlamencie i rządzie. Reprezentowali interesy bogaczy, złodziei i elementów skorumpowanych. Nam z nimi nie po drodze”.

Teraz już było wiadomo, skąd dochodzi głos: z głośnika umieszczonego na jednym z pojazdów opancerzonych. Mówca nie przedstawił się, ale litewscy śledczy stwierdzili potem, że był nim Juozas Jermalavicius, główny ideolog pro- moskiewskiego skrzydła miejscowej partii komunistycznej[18]. Objąwszy władzę dzięki radzieckim czołgom, Jermalavicius i jego towarzysze ponieśli poniżającą klęskę w wolnych wyborach, zorganizowanych na Litwie po raz pierwszy od półwiecza. 11 marca 1990 roku litewski parlament ogłosił niepodległość. Uchwałę poparło stu dwudziestu czterech posłów i nikt nie głosował przeciw, gdyż promoskiewscy deputowani wyszli z sali. Dziesięć miesięcy później ogłosili powstanie „Komitetu Ocalenia Narodowego”, którego zadaniem było przywrócenie „władzy radzieckiej” na terytorium Litwy. Członkowie komitetu nie chcieli zdradzić swej tożsamości, twierdząc, że obawiają się o życie.

„Proszę was o zaprzestanie oporu” - ciągnął tajemniczy głos, najpierw po li-

tewsku, potem po rosyjsku. Czołgi zepchnęły na bok kilka furgonetek i samochodów osobowych blokujących drogę do wieży telewizyjnej. - „Proszę, byście udali się do domów. Czekają na was wasi rodzice, wasze matki i ojcowie, bracia i siostry, dziadkowie i babcie. Idźcie do domu. Konfrontacja jest bezcelowa”.

Obrońcy wieży utrzymali swe pozycje, krzycząc z oburzeniem w stronę zbliżających się czołgów. Już od kilku dni spodziewali się takiej konfrontacji. W ciągu minionego tygodnia Kreml nasilił kampanię zastraszania, wysyłając tysiące spadochroniarzy do państw nadbałtyckich z rozkazem wyłapania rekrutów unikających poboru. Wyglądało na to, że wypadki rozwijają się zgodnie z przyjętym scenariuszem. Najpierw Gorbaczow wysłał utrzymany w agresywnym tonie list do przywódców litewskich, domagając się wierności konstytucji Związku Radzieckiego. Potem wojsko zaczęło zajmować gmachy publiczne, stopniowo ograniczając władzę demokratycznie wybranego litewskiego rządu. Na wszelki wypadek rozbrojono też elitarny oddział milicji litewskiej wyspecjalizowany w tłumieniu zamieszek - jedyną siłę zdolną stawić opór wojsku. Wstrzymano wszelki ruch lotniczy i kolejowy. W końcu, o północy 12 stycznia, delegacja „robotników” próbowała wręczyć petycję rządowi litewskiemu, domagając się oddania władzy Komitetowi Ocalenia Narodowego. „Robotnicy”, z których niektórzy wonieli alkoholem, zostali przegnani przez zdenerwowanych działaczy niepodległościowych.

Wówczas wydawało się, że incydent nie będzie miał dalszego ciągu. Ale przywódcom podejrzanego Komitetu Ocalenia Narodowego potrzebny był pretekst, choćby tak słaby jak ten, by zwrócić się do komendanta radzieckiego garnizonu w Wilnie z prośbą o „wsparcie”. Tak też się stało. Krótko po pierwszej w nocy na ulicach Wilna pojawiły się kolumny pancerne. Litewscy przywódcy nadali dramatyczny apel do ludności, wzywając do obrony strategicznych budynków, między innymi wieży telewizyjnej.

Rolandas Jankauskas usłyszał apel w wileńskiej dyskotece. Właśnie skończył dwadzieścia dwa lata. Przed dwoma miesiącami powrócił z obowiązkowej służby wojskowej w radzieckiej marynarce wojennej. Śpiewając i śmiejąc się, Jankauskas wraz z przyjaciółmi opuścił dyskotekę, by zobaczyć, dokąd kierują się czołgi. Mniej więcej w tym samym czasie dwudziestotrzyletnia szwaczka Loreta Asanaviciute, wracając do domu z przyjęcia, natknęła się na starego przyjaciela. Poprosił ją, by poszła z nim pod wieżę telewizyjną, przy alei Kosmonautów, gdzie zaczął się gromadzić spory tłum. Impulsywna, pełna życia Asanaviciute zgodziła się bez wahania[19].

Jankauskas i Asanaviciute byli jednymi z pierwszych litewskich ofiar szturmu na wieżę telewizyjną. Rolandas padł na ziemię, kiedy atakujący zaczęli się zbliżać do wieży, rzucając granaty ogłuszające i strzelając w powietrze. Kilka sekund później zmiażdżyły go koła transportera opancerzonego. Asanaviciute była jedną z pierwszych ofiar rozjechanych przez czołg torujący drogę żołnierzom. Prawa strona jej ciała nosiła ślady gąsienic.

Kiedy mimo strzałów oddawanych ponad głowami demonstrantów, nie udało się ich rozproszyć, atakujący skierowali swe karabinki AK-47 bezpośrednio w tłum. Spośród jedenastu cywilnych obywateli Litwy zabitych w czasie szturmu na wieżę siedmioro zginęło od kul. W bezpośredniej bliskości wieży sporadyczne strzały słychać było jeszcze przez dziewięćdziesiąt minut. Tej nocy raniono ponad czterystu ludzi, z których pięćdziesięciu trzech trafiło do wileńskich szpitali z ranami postrzałowymi. W Szpitalu numer 1, w centrum miasta, leżeli ludzie ze spalonymi twarzami, zgruchotanymi nogami, wnętrznościami na wierzchu. „Włosy stawały mi na głowie na widok tego, co oglądałam tamtej nocy" - wspominała Dalia Steibilene, lekarka pełniąca dyżur w czasie, gdy rozpoczęły się walki. - „Wiedzieliśmy, że do takich rzezi dochodzi na Kaukazie, ale nikt nie sądził, że może się to wydarzyć na naszej spokojnej Litwie"[20].

Radzieccy politycy utrzymywali potem, że to demonstranci otwarli ogień do żołnierzy armii radzieckiej. Nie przedstawili jednak żadnych dowodów, natomiast dziennikarze zachodni będący świadkami zamieszek nie dostrzegli w rękach demonstrantów broni palnej.

Na czele atakujących podążało około trzydziestu mężczyzn w czarnych hełmach. Oczy mieli skryte za kuloodpornymi osłonami. Wybili okna w pomieszczeniach u podstawy wieży. Wydawali się lepiej zorganizowani i bardziej zdyscyplinowani niż reszta oddziału szturmowego. Wciąż rozmawiali ze sobą za pośrednictwem nadajników radiowych zamocowanych z tyłu hełmów. Wdarłszy się do wieży, metodycznie przemieszczali się z piętra na piętro, rozwalając barykady wzniesione przez litewskich obrońców i usuwając pułapki. Ich obecność w Wilnie miała być ściśle strzeżoną tajemnicą, jednak już po kilku dniach mówił o nich cały kraj, a ich moskiewscy panowie mieli poważny powód do zakłopotania.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd Jewgienij Czudiesnow brał udział w operacji obalenia Amina. Wciąż pamiętał silny zapach szaszłyków unoszący się nad setkami ognisk. Była chłodna, zimowa noc. Jechał opuszczonymi ulicami Kabulu. Jako weteran oddziału „Alfa" stał się nieczuły na strzały i huk eksplozji.

Jeśli KGB była mieczem i tarczą państwa radzieckiego, to oddział „Alfa" był mieczem i tarczą KGB. Wzorowana na brytyjskiej formacji SAS czy amerykańskiej „Delcie", około dwustuosobowa „Alfa" była doskonale wyszkolona i wyposażona. Ci radzieccy Rambo mieli duże doświadczenie w uwalnianiu zakładników, rozbrajaniu terrorystów i szturmowaniu budynków. Od czasu zdobycia pałacu Amina w grudniu 1979 roku odbyli setki dyskretnych misji w różnych częściach Związku Radzieckiego, osiągając niemal mityczny status w oczach przywódców na Kremlu. Dowódca „Alfy" podlegał bezpośrednio szefowi KGB. Oddział był ostatnią deską ratunku dla zagrożonego rozpadem Związku Radzieckiego.

Czudiesnow i jego sześćdziesięciu czterech kolegów przylecieli do Wilna 11 stycznia po zapadnięciu zmroku, na pokładzie samolotu specjalnego z Moskwy[21]. Następnego dnia otrzymali rozkazy. Polecono im odbić trzy obiekty: wieżę telewizyjną, radiowy ośrodek nadawczy oraz siedzibę wileńskiej telewizji. Odpowiednie wsparcie miał im zapewnić pułk spadochroniarzy. Czudiesnow otrzymał dowództwo oddziału, którego zadaniem było zdobycie stacji telewizyjnej.

Wokół stacji zgromadził się liczny tłum, podobnie jak przy wieży. Objąwszy tłum spojrzeniem, Czudiesnow miał przelotną nadzieję, że operacja zostanie w ostatniej chwili odwołana[22]. Kolumna pancerna przejechała obok siedziby telewizji, po czym zawróciła. „Alfa" otrzymała rozkaz ataku. Komandosi wyskoczyli ze swych opancerzonych pojazdów i ruszyli w stronę ludzkiej zapory, rzucając granaty ogłuszające. Jeden z granatów uderzył dwudziestoośmioletnie- go obrońcę w klatkę piersiową, zabijając go na miejscu[23]. Kiedy oddział „Alfa" wdarł się do gmachu, prezenterka wygłaszała płomienną mowę do milionów Litwinów.

„Zwracamy się do wszystkich, którzy nas słyszą" - zaczęła, patrząc prosto w obiektyw kamery. - „Być może wojsko pokona nas siłą i zamknie nam usta, ale nikt nie zmusi nas do wyrzeczenia się naszej wolności i niepodległości".

W kilka sekund później litewska telewizja przestała nadawać.

Czudiesnow biegł korytarzem ośrodka telewizyjnego, kiedy posłyszał głos z tyłu. Był to młody porucznik, Wiktor Szackich, dopiero od niedawna służący w „Alfie". „Jewgieniju Nikołajewiczu, czuję ból w plecach" - wymamrotał. Kiedy Czudiesnow obejrzał ranę, stwierdził, że kula przeszła między pancernymi płytami kamizelki kuloodpornej i rozerwała mu prawe płuco. Wkrótce potem Szackich zmarł. Nigdy nie ustalono, czy kulę wystrzelił litewski snajper, jak twierdzili

potem radzieccy wojskowi, czy ktoś z oddziału „Alfa”.

Była to katastrofa. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że „Alfa” brała udział w szturmie na ośrodek telewizyjny, rozpadłaby się wersja oficjalna. Kreml nie byłby w stanie zaprzeczać, że przywódcy radzieccy wiedzieli cokolwiek o wydarzeniach na Litwie. Powstałby łańcuch dowodów pozwalających powiązać Komitet Ocalenia Narodowego z Kriuczkowem i - być może - z Gorbaczowem.

Generałowie odpowiedzialni za operację przez całą noc wysyłali do siebie nawzajem wiadomości na temat jakichś dziwnych „wielkich skrzynek”, „ogórków” i „pomidorów”. Terminy te, po rozszyfrowaniu, oznaczały czołgi, kule i materiały wybuchowe. Po śmierci Szackicha w eter wdarła się nutka paniki:

„Pojawił się ładunek dwustukilogramowy. Odbiór”.

„O co chodzi? Jakie dwieście kilo? Odbiór”.

„Ludzie, którzy przyszli z tobą w hełmach, mówią, że mają dwieście. Rozumiesz? Odbiór”.

Rozmowa trwała jeszcze przez kilka minut. Termin Judzie w hełmach” oznaczał oddział Alfa. „Ładunek dwustukilogramowy” w’ slangu weteranów wojny w Afganistanie oznaczał trumnę ze zwłokami.

„Tu Granit Osiemdziesiąt Dwa. Posłuchaj i powiedz pozostałym. Chodzi o tych w hełmach, którzy działali z przodu. Ich tam nie było. W porządku? Nic o nich nie wiesz. Odbiór”. „Zrozumiałem. Odbiór”[24].

Funkcjonariusze KGB starali się jak mogli, by wyprzeć się Szackicha i ukryć jego udział w zamachu na Litwie. Artykuły w radzieckiej prasie przedstawiały zabitego oficera jako «spadochroniarza”. Kiedy „ładunek dwustukilogramowy dostarczono do Moskwy, na lotnisku czekał przedstawiciel KGB, by odebrać dostawę. Na pogrzebie nie było ani Kriuczkowa, ani innych szefów KGB. Takie umywanie rąk wstrząsnęło innymi członkami oddziału „Alfa”[25]. Ryzykowali życie dla przywódców,', którzy nie chcieli teraz wziąć odpowiedzialności za akcję, a darni ukrywali się za anonimowym Komitetem Ocalenia Narodowego. Zanim „organa” w końcu przyznały, że w Wilnie zginął oficer KGB, zdążyło się już wydarzyć wiele złego. Na „mieczu” KGB pojawiły się rysy różnic zdań.

Vytautas Landsbergis, pedantyczny profesor muzyki noszący małą kozią bródkę, nie wydawał się najlepszym kandydatem na rzecznika narodu, który chce się wyzwolić spod panowania radzieckiego. Jego przemówienia były suche, a nawet nudne. Nie był znanym dysydentem. Zanim stanął na czele litewskiego ruchu niepodległościowego Sajudis, był czołowym autorytetem na świecie w

sprawach dotyczących życia i twórczości Mykolasa Ćiurlonisa, litewskiego kompozytora i malarza z przełomu wieków. Jednym z pierwszych jego posunięć po wyborze na przewodniczącego litewskiego parlamentu było wstawienie do nowego gabinetu pianina. W długiej dyskusji parlamentarnej na temat niepodległości rozwodził się nad tym, czy Litwini powinni śpiewać hymn państwowy w Fis, jak nakazywałaby przedradziecka tradycja. Landsbergis przekonywał posłów, że nie można śpiewać tak wysoko[26].

Po ataku na stację i wieżę telewizyjną Landsbergis zaapelował do ludności o obronę parlamentu. Do świtu wokół żółtego kamiennego gmachu w centrum Wilna zebrał się tłum liczący siedem-osiem tysięcy nie uzbrojonych cywili. W środku kilkuset ochotników z zapałem przekształcało symbol niepodległości kraju w bunkier obłożony workami z piaskiem. Całe ich uzbrojenie ograniczało się do kilkudziesięciu strzelb myśliwskich, koktajli Mołotowa i węży strażackich.

Deputowanym w trakcie debaty rozdano maski gazowe. Wszystkich obecnych pobłogosławił katolicki ksiądz. Landsbergis pod marynarką miał kamizelkę kuloodporną, przez co zrobił się jeszcze bardziej okrągły i profesorski niż zwykle. Ostatnich kilka godzin spędził na bezskutecznych próbach nawiązania łączności telefonicznej z Gorbaczowem. Niezmiennie dowiadywał się, że radziecki przywódca jest „nieosiągalny". Był niemal równie wściekły na Gorbaczowa jak na prezydenta George'a Busha za jego bierność w obliczu radzieckiej agresji. Skarżył się, że Bush jest całkowicie zajęty kryzysem w Kuwejcie i przygotowaniami do Operacji „Pustynna Burza".

„Amerykanie nas sprzedali!" - wybuchnął, załamując ręce. - „Bush powinien zadzwonić do Gorbaczow a przez gorącą linię i powiedzieć mu, że bez względu na sytuację w Zatoce Perskiej morderstwo na Litwie jest morderstwem. Jeśli Gorbaczow tego nie powstrzyma, to nikt go nie obroni przed jego własnymi mordercami. Będzie zerem dla Zachodu i zerem dla swoich pułkowników*[27].

Braki w charyzmie Landsbergis nadrabiał niezwykłym uporem. W ciągu dziesięciu miesięcy od ogłoszenia niepodległości Litwy radzieccy przywódcy starali się ze wszystkich sił przekonać mały, niespełna czteromilionowy naród do zaprzestania oporu. Wysyłali pod gmach parlamentu kolumny czołgów i pojazdów opancerzonych. Odcięli dostawy gazu. Zamknęli granice Litwy dla obcokrajowców', otaczając ją czymś w rodzaju kordonu sanitarnego. Presja polityczna i gospodarcza nie zrobiła jednak żadnego wrażenia na niewysokim profesorze muzyki. Zamknął się w swoim przestronnym gabinecie prezydenckim i grał na pianinie utwory swego ukochanego Ćiurlonisa, nawet nie myśląc o ustępstwach.

Gorbaczowa, który niemal wyssał kompromis z mlekiem matki, jego bezkompromisowość doprowadzała do furii. Radziecki przywódca nie był w stanie zrozumieć, dlaczego jego przeciwnik nie chce się stosować do reguł gry politycznej i tak się upiera przy zewnętrznych symbolach niepodległości Litwy. Landsbergisowi zaś własna postawa wydawała się całkiem logiczna. Profesor poświęcił całe życie badaniom mistyczno-symbolicznej twórczości Ćiurlonisa. „Dla niego nie istnieją trudności dnia powszedniego” - tłumaczy jego żona, Grażyna. - „Interesuje go tylko jedno - wolność Litwy”[28].

Litewski przywódca był wytworem katolickich kręgów intelektualnych, które zdołały ocalić tożsamość narodową Litwy mimo strasznych przeciwieństw losu. Jego dziad od strony matki, Juonas Jablonskis, był gorącym obrońcą języka litewskiego. Dziad od strony ojca, Gabrielus Landsbergis, należał do przywódców walki z carskim terrorem i został zesłany na Syberię. Idee przyświecające tym ludziom zostały przekazane kolejnym pokoleniom, mimo że niepodległość państw bałtyckich zdruzgotały machiny militarne Stalina i Hitlera. Radziecka okupacja Litwy w czerwcu 1940 roku wywarła na ośmioletnim Vytautasie silne wrażenie. „Patrz, przyszli Mongołowie” - wyszeptał do starszego brata, kiedy kraj zajmowały radzieckie oddziały; wielu żołnierzy pochodziło z Azji Środkowej[29].

W strasznych latach okupacji radzieckiej Landsbergis poświęcał swą energię obronie litewskiej kultury przed „sowietyzacją”. Zainteresowanie Ćiurlonisem, który odegrał bardzo ważną rolę kulturotwórczą na Litwie, także było przejawem intelektualnego buntu. Tłumaczył później, że „przez wiele lat działalność kulturalna była działalnością polityczną. Chroniąc kulturę, chroniliśmy naszą narodową tożsamość. W przeciwnym razie zostalibyśmy zrusyfikowani - najpierw w sferze języka, a potem - myśli”[30].

Tej ponurej zimy Litwinom pozostały tylko symbole: armia radziecka wzmocniła żelazny uścisk, w jakim trzymała kraj. W wyniku przelewu krwi przy wieży telewizyjnej Litwini zjednoczyli się jak nigdy przedtem. Im bardziej kremlowska propaganda starała się usprawiedliwić atak, tym wyżej Litwini wznosili swe narodowe symbole - żółto-zielono-czerwoną flagę, Pogoń, czyli godło państwowe wyobrażające białego rycerza na koniu, i schematyczny zarys średniowiecznego zamku.

Ostatecznym symbolem nieposłuszeństwa Litwy wobec Moskwy i jej gorącego pragnienia niepodległości był teraz sam budynek parlamentu. Zwyczajni ludzie,

nigdy dotąd nie przejawiający zbytniego zainteresowania polityką, pełnili całodobową straż przed przypominającym teraz bunkier gmachem. W obawie przed atakiem czołgów robotnicy wznieśli czterometrowy mur z betonu z trzech stron praktycznie bezbronnego budynku i wykopali pięciometrowy rów. Mur stał się wkrótce wystawą antyradzieckiego graffiti. „Gorbie, piekło czeka na ciebie" - napisano po angielsku obok podobizny Gorbaczowa z rogami wyrastającymi z głowy. W innym miejscu można było przeczytać: „Armia Czerwona to Czerwony Faszyzm".

Rozciągnięte w pobliżu zwoje drutu kolczastego posłużyły jako punkt zbiórki symboli radzieckiej okupacji: paszportów, wezwań do wojska i legitymacji partyjnych. Dniem i nocą Litwini ciskali sterty radzieckich broszur propagandowych do ognisk przed siedzibą parlamentu. Nawet jeśli ich sprawa była przegrana, obrońcy niepodległości mieli satysfakcję z ciepła, które dawały im żarzące się dzieła zebrane Lenina i wydania wielotomowej historii Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Wielu ludzi przyprowadziło z sobą dzieci, żeby kiedyś mogli opowiedzieć o radzieckiej tyranii swoim dzieciom i wnukom.

Okutana dla ochrony przed zimnem trzyletnia Źiwele Kasluskas słuchała rozmowy rodziców na temat szans uzyskania przez Litwę pełnej niepodległości. Potem poszła do domu spać. „Może to potrwać wiele lat, ale jestem pewien, że zwyciężymy" - zawyrokował jej ojciec, Alvidas. - „To imperium nie może trwać. Któregoś dnia Rosjanie sami powstaną przeciw niemu"[31].

W budynku parlamentu atmosfera była napięta i klaustrofobiczna. Litewska demokracja nie miała jeszcze roku, a już musiała się bronić przed zbrojnym atakiem. Posłowie byli przerażeni. „Jeśli zaatakuje nas wojsko, staniemy się ludzkimi pochodniami. Patrzcie tylko na to drewno i tkaniny" - wyszeptał przestraszony parlamentarzysta, kiedy rozeszła się plotka, że atak nastąpi już wkrótce[32]. Widok demokratycznie wybranych posłów otrzymujących maski gazowe i kryjących się za betonowymi zaporami był zarówno szokujący, jak i złowróżbny.

Wkrótce takie obrazy stały się czymś całkiem naturalnym od Tallina po Tbilisi i od Moskwy po Sarajewo. Wielki Brat nie chciał odejść spokojnie, bez walki.

MOSKWA
14 stycznia 1991

Masakra w Wilnie wywołała falę negatywnych emocji i lęku w całym Związku Radzieckim. Spekulowano o „konserwatywnym zwrocie” Gorbaczowa, chociaż trudno było powiedzieć, co dokładnie dzieje się za murami Kremla. Wszystko jednak wydawało się jasne: reformator odwracał się od własnych reform. Niesmaczny żart o pierestrojce (przebudowie) ustępującej miejsca pieriestriełce (strzelaninie) dobrze oddawał istotę zachodzących właśnie zmian.

Nadszedł czas na rozwód Gorbaczowa z radykalnymi intelektualistami, którzy byli jego najzagorzalszymi zwolennikami na wczesnych etapach pierestrojki. Kiedy rozeszła się wieść o jatce przed wieżą telewizyjną, ludzie wyszli na ulice Moskwy i innych miast, niosąc transparenty z napisami: „Gorbaczow to Saddam Husajn znad Bałtyku!” oraz „Zwróć Pokojową Nagrodę Nobla”. Jurij Afanasjew wyrażał opinię wielu moskiewskich intelektualistów, kiedy przypisał winę za zabójstwa „kołom dyktatorskim i reakcyjnym”, czyli wojsku, KGB i partii komunistycznej. „A na czele tej partyjnej dyktatury stoi inicjator pierestrojki, Michaił Siergiejewicz Gorbaczow” - dodał z goryczą[33]. Coraz więcej osób oddawało legitymacje partyjne, począwszy od całego zespołu redakcyjnego „Moskowskich Nowosti”, flagowego okrętu głasnosti.

Kiedy następnego dnia radziecki parlament debatował na temat wydarzeń na Litwie, Gorbaczow bynajmniej nie okazywał skruchy. Twierdził uparcie, że dowiedział się o tym dopiero po wszystkim, „kiedy mnie obudzili”. Ale nie chciał skrytykować decyzji wojska o udzieleniu wsparcia samozwańczemu Komitetowi Ocalenia Narodowego, którego członkowie nie mieli nawet odwagi się ujawnić. Właściwie winą za to, co się stało, obarczył Landsbergisa i innych przywódców litewskich, oskarżając ich o „pogwałcenie” radzieckiej konstytucji.

„Nie widzę możliwości postępu, jeśli tacy ludzie mają pozostać przy władzy” - powiedział deputowanym. - „Litwa potraktowała nas jak obce państwo”[34].

Były tylko dwa możliwe wyjaśnienia, dlaczego Gorbaczow obrał taki kurs. Oba równie niepokojące. Albo zwierzchnik sił zbrojnych panował nad własną armią i służbą bezpieczeństwa, albo nie. W pierwszym wypadku znaczyło to, że współdziałał z betonem partyjnym, usiłującym dokonać zamachu na demokratycznie wybrany parlament. W drugim - że stał się jego marionetką. Odmawiając pociągnięcia do odpowiedzialności swoich podwładnych, puścił płazem całkowicie

nielegalne działania. To, że Gorbaczow nie chciał potępić gwałtu, było dla niedoszłych puczystów bezpośrednią zachętą do podjęcia kolejnej próby.

Dokumenty ujawnione po nieudanym puczu z sierpnia 1991 roku obracają wniwecz historyjkę o tym, jak to komendant garnizonu wileńskiego odpowiedział na „apel" Komitetu Ocalenia Narodowego. Decyzja o użyciu siły nie zapadła w Wilnie, lecz w Moskwie, gdzie radzieccy dowódcy wojskowi przez wiele miesięcy przygotowywali taką konfrontację. Kilka na poły nieczytelnych, odręcznych zapisków znalezionych w dzienniku ministra obrony Dmitrija Jazowa z datą 22 marca 1990 roku - niespełna dwa tygodnie po ogłoszeniu przez Litwę deklaracji niepodległości - umożliwiło wgląd w poczynione wówczas plany:

- Wydać ostrzeżenie. Nie uznawać ich praw! Zwiększyć presję.
- Jeśli to konieczne, działać stanowczo!
- Dokąd powinniśmy zmierzać? Starego rządu nie da się przywrócić do życia.
- Utworzyć komitet i powołać komitety wszędzie!
- Być w gotowości do zdobycia ośrodka Ty?!35

Kolejny zapis w dzienniku, z datą 9 kwietnia 1990 roku, ukazuje, że radzieccy przywódcy rozważali wówczas wprowadzenie bezpośredniej władzy prezydenckiej na Litwie. Ale Gorbaczow sprzeciwił się użyciu siły, częściowo dlatego, że obawiał się reakcji międzynarodowej opinii publicznej. Jazów przytoczył następującą jego wypowiedź: „Nie możemy złoić pasem litewskiego «siedzenia». Sprawa Litwy wykracza poza ramy Związku! Czy sprawa Litwy staje się sprawą międzynarodową?"

Okazało się, że operatorzy marionetek w Moskwie zaplanowali wszystko, włącznie ze „strajkiem generalnym" etnicznych Rosjan i szturmem na siedzibę parlamentu:

- Strajk generalny! Zostanie wysłany telegram do nich, by unieważnili swe uchwały i przywrócili konstytucję.
- Około 200 uzbrojonych ludzi w Sali i Radzie Najwyższej.
- Zostanie ogłoszona odezwa.
- Wydawnictwo należy do KPZR - zdobyć je!

W sobotę, kiedy dowództwo KGB wysłało oddział „Alfa" z rozkazem zdobycia ośrodka telewizyjnego, Kriuczkow jechał na Kreml na potajemne spotkanie ze współspiskowcami. Posiedzenie rozpoczęło się o 19.15 i skończyło o godzinie 2.10 w nocy, zaraz po tym, jak w Wilnie rozpoczęła się strzelanina[36].

Najbardziej intrygująca w tym spotkaniu, które odbyło się w gabinecie szefa gabinetu Gorbaczowa, Walerego Bołdina, jest lista jego uczestników. Obok Kriuczkowa i Bołdina wziął w nim udział Walentin Pawłów, który miał zostać radzieckim premierem, Oleg Bakłanow, szef kompleksu woj- skowo-przemysłowego, i Oleg Szenin, sekretarz KPZR odpowiedzialny za sprawy organizacyjne. Ludzie ci stali się głównymi postaciami w Państwowym Komitecie Stanu Wyjątkowego, który osiem miesięcy później przejął władzę z rąk Gorbaczowa.

Niedobitki liberałów w otoczeniu Gorbaczowa oburzyło użycie sił zbrojnych na Litwie i rozczarowało to, że prezydent nie chciał potępić wojska. Pamiętali ostrzeżenia Szewardnadzego o „zbliżającej się dyktaturze". Teraz przeżywali kryzys świadomości. Mogli zachować się honorowo i podać się do dymisji, pozostawiając Gorbaczowa w uścisku twardogłowych. Mogli też pozostać przy nim, licząc na zmianę jego postawy.

Ekonomiczny doradca prezydenta, Nikołaj Pietrakow, zdecydował się ustąpić po podpisaniu opublikowanego w „Moskowskich Nowostiach" zbiorowego listu protestacyjnego, w którym oskarżono „dogorywający reżym" o wszczynanie „otwartej wojny" z republikami[37]. Doradca do spraw polityki zagranicznej, Anatolij Czerniajew, napisał w długim liście do Gorbaczowa o swej „udręce" i „wstydzie" - ale nigdy go nie wysłał[38]. Kilku innych współpracowników, włącznie z rzecznikiem prasowym prezydenta, Witalijem Ignatienką, Jakowlew zdołał przekonać do pozostania. Twierdził, że nie jest to odpowiedni czas na porzucenie prezydenta. W poniedziałek po południu niezadowoleni spotkali się z Jakowlewem w jego gabinecie i ustalili, że zmienią kierunek działania: przekonają Gorbaczowa, by poleciał do Wilna i „pokłonił się poległym".

Jakowlew poszedł na spotkanie z Gorbaczowem, który zaakceptował plan. Polecił swoim pracownikom przygotować przemówienie, które by mógł wygłosić w litewskim parlamencie. Jednak we wtorek prezydent raz jeszcze zmienił zdanie. „Niektórzy towarzysze są przeciwni temu pomysłowi" - powiadomił swoich doradców, najwyraźniej mając na myśli Kriuczkowa. - „Mówią, że zagwarantowanie prezydentowi bezpieczeństwa jest niemożliwe"[39].

Chociaż Gorbaczow nie chciał przeprosić za użycie siły na Litwie, wyhamował machinę represji. Jeśli wszystko poszłoby tak, jak zaplanowali to twardogłowi, we wszystkich trzech republikach nadbałtyckich wprowadzono by bezpośrednią władzę prezydenta, a działalność parlamentów zostałaby zawieszona. Rozlew krwi w Wilnie, dziesiątki tysięcy nie uzbrojonych cywilów na ulicach, stających

w obronie swych parlamentów, i gniew rosyjskiej inteligencji skłoniły Gorbaczowa do rozważenia swego stanowiska. Postanowił, że nie pozwoli, by wypadki potoczyły się po myśli jego konserwatywnych partnerów.

Mężczyźni zebrani w gabinecie Bołdina na Kremlu wyciągnęli własne wnioski z tego, że Gorbaczow się waha i zwodzi wszystkich naokoło. Jaki jest sens odbudowy „socjalistycznego ładu” na peryferiach imperium, jeśli nie można polegać na samym centrum?! Scenariusz był poprawny, choć trzeba było w nim dokonać kilku poprawek. Następnym razem zaczną od centrum i dopiero potem zajmą się republikami.

MOSKWA
5 kwietnia 1991 roku

Kiedy zima ustąpiła przed wiosną, szok wywołany próbą zamachu na Litwie zaczął słabnąć. Zwykli obywatele radzieccy mieli głowy zaprzątnięte innymi, pilniejszymi sprawami: między innymi zapewnieniem sobie wystarczającej ilości pożywienia. Kryzys gospodarczy pogłębiał się w niewiarygodnym tempie. Braki dotykały jeden sektor gospodarki po drugim, wywołując katastrofalny efekt domina. W przeszłości przywódcy państwowi mogli skompensować spadek produkcji zwiększeniem importu zboża i dóbr przemysłowych. Teraz jednak rezerwy walutowe kraju były praktycznie wyczerpane. Żeby posłużyć się sformułowaniem zaczerpniętym z jednego z radzieckich opracowań rządowych, pierwsze państwo socjalistyczne świata znalazło się „na krawędzi bankructwa”[40].

Prawdziwą zagadką gospodarki nakazowej Związku Radzieckiego nie jest to, że się zawaliła, ale że tak długo przetrwała. Władza nad nią skoncentrowana była w rękach małej grupki biurokratów znajdujących się na szczycie piramidy. Nawet gdyby ci aparatczycy byli wszechwiedzący i wyjątkowo inteligentni, nie dorównaliby zbiorowej mądrości milionów jednostek, które tworzą to, co w zachodniej gospodarce nazywane jest rynkiem. Stalinowski system centralnego planowania mógł sobie radzić z wielkimi zadaniami, jak budowa bomb jądrowych i produkcja tysięcy czołgów, ponieważ sprawdzał się w mobilizowaniu środków i osiąganiu konkretnych celów. Ale im bardziej gospodarka stawała się złożona, tym bardziej system był niewydolny. Gospodarce nakazowej brakowało licznych mechanizmów autokorekty, typowych dla gospodarki rynkowej. Kiedy kapitalistyczny przedsiębiorca podejmuje błędną decyzję, miliony konsumentów wnet korygują jego błąd; podobny błąd popełniony przez radzieckiego biurokratę mógł pozostać nie wykryty przez całe lata, rodząc potworne konsekwencje.

Bądź co bądź tylko jeden mechanizm autokorekty liczył się w totalitarnym państwie tak potężnym i samowystarczalnym jak Związek Radziecki: zdolność kraju do wspierania rozrzutnego i beznadziejnie niewydajnego systemu. Ponieważ Rosja jest krajem bajecznych bogactw naturalnych, mechanizm ów zawiódł po bardzo długim czasie. Dopóki Kreml mógł eksportować dość ropy naftowej i gazu ziemnego, by zapewnić obywatelom ZSRR podstawowe warunki życia i finansować awantury wojskowe w krajach Trzeciego Świata, komuniści nie mieli

specjalnych powodów, by choćby myśleć o reformie. Nie było zbiegiem okoliczności, że Michaił Gorbaczow objął władzę właśnie wówczas, kiedy zapasy petrodolarów zaczęły się wyczerpywać.

System okazał się bardzo odporny na zmiany, mimo że stanowisko sekretarza generalnego zajmował zdeklarowany reformator. Do 1991 roku ukryte rezerwy pozwoliły przedłużyć życie gospodarki nakazowej o kilka miesięcy. Kiedy eksport ropy zaczął spadać, wciąż do dyspozycji były obfite złoża gazu ziemnego. Gdy zaczął przeżywać trudności przemysł wydobywczy gazu ziemnego, planiści zwrócili uwagę na drewno i metale szlachetne. Kiedy zawiodło wszystko inne, Kreml zawsze mógł pożyczać pieniądze na międzynarodowych rynkach finansowych. Wiarygodność kredytowa ZSRR utrzymywała się na relatywnie wysokim poziomie aż do roku 1990.

W 1991 roku nie można już było lekceważyć wagi kryzysu gospodarczego. Od 1989 roku eksport ropy zmalał o pięćdziesiąt procent w wyniku spadku produkcji wewnętrznej. Zadłużenie zagraniczne ZSRR wzrastało powoli w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Za czasów Gorbaczowa zwiększyło się dwukrotnie, sięgając sześćdziesięciu ośmiu miliardów dolarów[41]. Zachodni bankierzy niechętnie udzielali Moskwie kredytów bez konkretnych gwarancji spłaty. Dla zrównoważenia załamującego się bilansu płatniczego zdesperowani przywódcy kremlowscy zaczęli się zgadzać na masową wyprzedaż sztab złota. Kiedy po kilku latach opublikowano stosowne dane, zachodni bankierzy byli wstrząśnięci odkryciem, że rezerwy złota Związku Radzieckiego skurczyły się do dwustu czterdziestu milionów ton, czyli miały wartość około trzech miliardów dolarów, co było drobnym ułamkiem wcześniejszych szacunków[42].

Mit o wiarygodności finansowej ZSRR upadł nieodwracalnie.

Tb, że gospodarka była zrujnowana i przeciętni obywatele ZSRR ledwo wiązali koniec z końcem, nie oznacza wcale, że ustosunkowani, przedsiębiorczy ludzie nie mogli zarobić kroci. W zasadzie im większy był gospodarczy chaos i zamieszanie, tym większe stawały się możliwości zdobycia osobistej fortuny. W kraju, w którym nieobecne było poczucie rzeczywistości gospodarczej, ktoś, kto dobrze rozumiał prawo podaży i popytu, z dnia na dzień mógł się stać milionerem.

Najprostszym sposobem na zdobycie majątku było znalezienie możliwości zakupienia towarów i surowców po sztucznie zaniżonych, radzieckich cenach i sprzedanie ich po znacznie wyższych cenach wolnorynkowych. Stopy zysku bywały oszałamiające. Tak właśnie dorobił się dużych pieniędzy pierwszy milioner w ZSRR, Artiom Tarasów, w którego ślady poszła następnie większość zdolnych

radzieckich biznesmenów. Inżynier Tarasów, zatrudniony w moskiewskiej Radzie Miejskiej, znalazł sposób na wymianę radzieckich surowców wtórnych na amerykańskie dolary. Objeżdżał całą Rosję, skupując złom po śmiesznie niskich, urzędowych cenach. Następnie eksportował metal do krajów zachodnich i za uzyskane dewizy kupował komputery osobiste, które z wielkim zyskiem sprzedawał w Rosji. Biznes kwitł.

Do końca 1990 roku Tarasów zajął się jeszcze bardziej lukratywnym handlem ropą naftową. Zdołał przekonać dopiero co sformowany rząd rosyjski, by wydał jego firmie, Istokowi, zezwolenie na eksport kilku milionów baryłek rosyjskiej ropy. Ropę zakupywał za równowartość osiemdziesięciu pięciu centów za baryłkę i sprzedawał za granicą po dwadzieścia dolarów w twardej walucie. Z tych transakcji czerpał zyski rzędu milionów dolarów. Zgodnie z porozumieniem Tarasowa z rządem Rosji, Istok miał prawo przechowywać zgromadzone środki na rachunku bankowym we Francji. W umowie tkwił jeden, bardzo ważny, haczyk. Całe walutowe przychody pochodzące ze sprzedaży miały zostać przeznaczone na zakup towarów konsumpcyjnych, które z góry zostały przyobiecane rosyjskich rolnikom w ramach systemu zachęt określanych mianem „Żniwa ’90”[43].

W początkach kwietnia 1991 roku rozeszła się wieść, że

Tarasów i jego główny wspólnik uciekli z kraju. Pieniądze zarezerwowane na „Żniwa ’90” zniknęły z francuskiego konta. Rosyjscy chłopi raz jeszcze zostali poszkodowani. Według prowadzących śledztwo, jedynym zyskiem, jaki osiągnęli, było kilka tysięcy par wadliwie wykonanych kaloszy. Prokuratura oskarżyła Tarasowa o „sprzeniewierzenie” i „naruszenie zaufania”, ale nie postawiła formalnych zarzutów z powodu ustawowych ograniczeń[44]. Tarasów utrzymywał, że jest niewinny - twierdził, że całą sprawę zmontowali przeciwko niemu jego wrogowie polityczni.

W pierwszych miesiącach roku 1991 realizowano setki podobnych scenariuszy gwałtownego bogacenia się. Parlamentarne postępowanie wyjaśniające wykazało, że do Rosji powróciła jedynie niewielka część kilku miliardów dolarów zarobionych w latach 1990-1991 przez półprywatne firmy w rodzaju Istoka[45]. Takie były początki kształtującej się klasy nomenklaturowych kapitalistów.

Za każdym przedsiębiorcą, któremu się powiodło, stał urzędnik dysponujący władzą wydania lub wstrzymania jakiegoś zezwolenia oraz zagraniczny partner skłonny przymknąć oko na sposób jego uzyskania. Kluczem do zrozumienia, jak w nowej Rosji prowadzi się *biznies,* często była wiedza na temat tego, kto z kim

koleguje się w partii komunistycznej albo w KGB. „W Rosji nie mamy prawdziwego rynku, ale pseudorynek” - wyjaśniał Aleksandr Rudenko, znacznego kalibru biznesmen z Petersburga, który swą fortunę zdobył także w tym okresie. - „Państwo ma monopol na eksport podstawowych towarów. Stworzono takie warunki ekonomiczne, że ludzie z odpowiednimi znajomościami mogą kraść jak zwariowani. Wystarczy uzyskać podpisy trzech czy czterech urzędników i po wszystkim!”[46]

Gorbaczow nie chciał posłuchać rad Zachodu i uwolnić cen, przyśpieszył więc rozwój nowej, uprzywilejowanej klasy. W gospodarce rynkowej przedsiębiorcy czerpią zyski z niewielkich procentowo narzutów. Im mniej doskonały jest rynek, tym większe są szanse na zyski z działalności handlowej. W ostatnich dniach istnienia Związku Radzieckiego marże były tak olbrzymie, że niewielu ludzi zajmujących stanowiska pozwalające na manipulowanie rynkiem na swoją korzyść potrafiło się oprzeć okazji. Absurdy „gospodarki planowej” aż się prosiły, żeby je wykorzystać.

Niektóre interesy były całkowicie legalne, choć dwuznaczne pod względem moralnym. W listopadzie 1989 roku rząd obniżył tak zwany turystyczny kurs rubla o dziewięćdziesiąt procent, a oficjalny kurs pozostawił na dotychczasowym poziomie. Obcokrajowcom mieszkającym w Związku Radzieckim wolno było nabywać bilety lotnicze za zdewaluowane ruble turystyczne, mimo że ceny wciąż były ustalane na podstawie kursu oficjalnego. W rezultacie bilet w dwie strony w klasie biznesowej do Paryża czy Londynu kosztował poniżej stu dolarów - jedną dziesiątą dotychczasowej ceny. Przez kilka cudownych miesięcy obcokrajowcy ci latali do Sztokholmu, żeby obejrzeć w kinie najnowszą produkcję hollywoodzką, albo wpadali na weekend do Rzymu, by zajść do nowo otwartej trattorii. Nagle wszyscy mogli sobie pozwolić na bajeczne wakacje w Afryce, Australii czy Ameryce Łacińskiej. Ponieważ prawie nikt nie chciał już latać klasą ekonomiczną, zachodnie linie lotnicze obsługujące trasy do i z Moskwy podniosły standard większości miejsc do pierwszej klasy i klasy biznesowej. Wszyscy byli zadowoleni. Jedynym ewidentnym przegranym był Radziecki Bank Handlu Zagranicznego, który w zamian za zdewaluowane ruble od obcokrajowców wpłacał prawdziwe dolary do kasy linii lotniczych. Nie było zresztą niespodzianką, że po zlikwidowaniu tego nonsensu, w niemal rok po jego wprowadzeniu, bank ogłosił niewypłacalność.

Przez całe lata jedną z nielicznych przeszkód na drodze do indywidualnego

bogacenia się był strach, że można zostać złapanym. Jednakże dzięki Gorbaczowowi usunięto nawet i to ograniczenie. Urzędnicy kontrolujący radziecką gospodarkę także chcieli czerpać zyski z racji zajmowanych stanowisk. Zdeklarowani niegdyś marksiści potrzebowali zadziwiająco niewiele czasu, by przedzierzgnąć się w kapitalistów. Generałowie Armii Czerwonej w Niemczech Wschodnich przestali się martwić zagrożeniem ze strony NATO i zaczęli sprzedawać paliwo oraz sprzęt wojskowy na czarnym rynku. Funkcjonariusze KGB, szkoleni do walki z każdym przejawem przedsiębiorczości, zakładali giełdy towarowe. Urzędnicy Gospłanu, państwowego urzędu planowania, wykorzystywali poufne informacje o mechanizmach funkcjonowania radzieckiej gospodarki do zakładania własnych spółek handlowych.

Entuzjazm dla „kapitalizmu nomenklaturowego" najbardziej widoczny był w Komitecie Centralnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Wiosną 1991 roku wewnętrzne sanktuarium marksizmu-leninizmu stało się meliną cinkciarzy.

Przez większą część swego istnienia radziecka partia komunistyczna nie musiała się martwić brakiem funduszy. Kiedy partii potrzebne były pieniądze - na budowę daczy dla zasłużonych aparatczyków, zakup limuzyn dla członków Politbiura albo na dotacje dla zachodnich partii komunistycznych - po prostu wydawała polecenie państwowemu bankowi. W państwie monopartyjnym nie obowiązywał rozdział między partią i państwem. Rozkazy Politbiura były prawem tej ziemi.

Symbiotyczny związek partii i państwa został nadszarpnięty w lutym 1990 roku, kiedy Zjazd Deputowanych Ludowych przegłosował uchylenie szóstego artykułu radzieckiej konstytucji. Partia komunistyczna, straciwszy gwarantowany konstytucją monopol na władzę polityczną, straciła zarazem prawo do rabowania skarbu państwa wedle własnego uznania. Mimo że wciąż była niezwykle zamożną organizacją - same tylko nieruchomości szacowano na miliardy - funkcjonariuszy odpowiedzialnych za jej finanse bardzo to zaniepokoiło. Nowy parlament rosyjski, na czele z Jelcynem, groził opodatkowaniem ogromnych aktywów partii, łącznie z olbrzymim imperium mass mediów, setkami domów wypoczynkowych i ośrodków wczasowych.

Partia, chroniąc swe bogactwa, zaczęła poszukiwać sposobów na ukrycie ich przed ciekawskimi oczami. W tajnej notatce z 23 sierpnia 1990 roku zastępca sekretarza generalnego, Władimir Iwaszko, zaproponował przekazywanie części

majątku firmom komercyjnym kontrolowanym przez zaufanych członków partii[47]. Pieniądze miałyby trafić do organizacji stanowiących przykrywkę dla gospodarczej działalności komunistów. Instytucje te, które zajmowałyby się handlem zagranicznym, miały być „niezależnym źródłem" twardej waluty na międzynarodową działalność KPZR. Komunistyczni członkowie parlamentów radzieckiego i rosyjskiego mieli przeforsować przepisy prawne chroniące komercyjne interesy partii. Oczywiście bardzo ważna była dyskrecja. Jedynie nieliczna grupka liderów miała wiedzieć, które firmy są „firmami zaprzyjaźnionymi" i jakie są ich związki z partią.

Plan Iwaszki nie należał do najoryginalniejszych. Podobnym schematem posługiwano się od kilkudziesięciu lat, co umożliwiało zasilanie funduszami promoskiewskich organizacji na całym świecie. „Zaprzyjaźnione firmy", kontrolowane przez zachodnie organizacje komunistyczne, cieszyły się w Związku Radzieckim szczególnymi przywilejami - miały na przykład możliwość nabywania surowców naturalnych po znacznie zaniżonych cenach. Typowym przykładem takich operacji były dostawy papieru gazetowego do lewicowych wydawnictw we Włoszech i w Grecji. Część papieru wydawnictwa te odsprzedawały po cenach rynkowych, zdobywając w ten sposób środki na działalność polityczną. Innym sposobem subsydiowania „zaprzyjaźnionych" firm było kupowanie od nich towarów po zawyżonych cenach. Po nieudanym puczu w sierpniu 1991 roku rosyjska prokuratura odtworzyła listę około stu firm na całym świecie, które otrzymywały radzieckie subsydia w takiej czy innej formie[48].

Do realizacji planu Iwaszki Komitet Centralny pozyskał pułkownika KGB, wprawnego w sztuce skrytego przemycania funduszy do „zaprzyjaźnionych firm". Leonid Wesołowski służył poprzednio jako oficer operacyjny w Portugalii, gdzie był odpowiedzialny za kontakty z miejscową partią komunistyczną. Wkrótce po objęciu stanowiska napisał adresowaną do swoich nowych szefów notatkę opisującą mechanizmy przemieszczania partyjnych funduszy na Zachód poprzez otwieranie spółek akcyjnych w krajach o „łagodnym systemie podatkowym", jak na przykład Szwajcaria. Zgodnie z planem, którego szczegóły przeciekły potem do prasy rosyjskiej, na czele firm stanąć mieli zaufani ludzie partii[49].

Przedmiotem wielkich kontrowersji politycznych stały się rozmiary akcji prania komunistycznych pieniędzy i jej sukcesu. Po klęsce puczystów prokuratura twierdziła, że jest na tropie miliardów rubli z funduszy partyjnych, które „pożyczono" rosyjskim firmom i joint ventures. Lista rzekomych powierników komunistycznego pieniądza obejmowała między innymi niektóre najbardziej znane

rosyjskie banki i holdingi. Tych pieniędzy nigdy właściwie nie odzyskano, a prokuratorzy prowadzący śledztwo twierdzili, że postępowanie jest blokowane z powodów politycznych. Sam Wesołowski utrzymywał, że większość z jego pomysłów na temat ukrywania partyjnych pieniędzy na Zachodzie nigdy nie wyszła poza etap planowania[50].

Jasne jest jednak, że wielu aparatczyków wybrało właśnie ten moment na rozpoczęcie kariery prywatnych przedsiębiorców. Doskonałym przykładem tego zjawiska jest sam Wesołowski. Na początku 1991 roku, wciąż zatrudniony w Komitecie Centralnym, związał się z barwną postacią - kanadyjskim milionerem nazwiskiem Boris Birshtein. Jako radziecki emigrant, który niegdyś kierował fabryką tekstylną na Litwie, Birshtein rozumiał, jak ważne są korzystne dla obu stron kontakty z dobrze ulokowanymi biurokratami. Właśnie tak, bądź co bądź, od zawsze prowadziło się *biznies* w Rosji. Kluczem do sukcesu w działalności gospodarczej były układy towarzyskie. „Trzeba tylko dostać się do ich saun, bo to tam robi się prawdziwe interesy" - chełpił się przed zachodnim reporterem[51].

W przeciwieństwie do większości zachodnich biznesmenów, Birshtein rozmyślnie obnosił się ze swoim bogactwem. Ze swoją flotą prywatnych samolotów, futrem z soboli i nabijaną diamentami broszą był niemal karykaturą rosyjskich wyobrażeń o kapitaliście, który odniósł sukces. Kiedy pojawił się w Moskwie, wynajął największą limuzynę, jaką można było znaleźć, i jeździł od urzędu do urzędu w kolumnie godnej głowy państwa. Moskiewska milicja, która sama korzystała z hojności Birshteina, chętnie zapewniała mu tak imponującą eskortę.

Wedle relacji Wesołowskiego, pomógł on Birshteinowi wynająć na Wzgórzach Lenina luksusową posiadłość, stanowiącą własność partii, dawniej zarezerwowaną dla co znamienitszych zagranicznych gości - Fidela Castro czy Henry'ego Kissingera. Wesołowski i Birshtein od razu odkryli w sobie bratnie dusze. Pułkownik KGB przedstawiał milionera partyjnym biurokratom, których poparcie decydowało o finalizowaniu lukratywnych transakcji w handlu zagranicznym. Birshtein zaofiarował natomiast Wesołowskiemu możliwość ucieczki z dusznego kręgu partyjnego aparatu w świat prywatnych samolotów i diamentowych brosz. Kiedy negocjacje w sprawie podmoskiewskiej posiadłości dobiegły końca, Birshtein zaproponował swemu przyjacielowi roczny kontrakt w charakterze „konsultanta".

„Był wpływowy i inteligentny. Miał doktorat z ekonomii" - wspominał później Birshtein. - „Zaczęliśmy myśleć o różnych przedsięwzięciach. Powiedział mi: «Mam dość partii. To bzdury. Chcę rzucić partię». Wtedy zaproponowałem mu

pracę”[52].

Stosunki między Birshteinem i Wesołowskim okazały się korzystne dla obu mężczyzn. Kanadyjski milioner pomógł byłemu pułkownikowi KGB przenieść się do Szwajcarii, oddał mu do użytku willę nad jeziorem w Zurychu i srebrzystego mercedesa. Tymczasem sprawy Birshteina także zaczęły wyglądać znacznie lepiej. Przed 1991 rokiem jego firma z siedzibą w Toronto, Seabeco, walczyła z wierzycielami i byłymi niezadowolonymi pracownikami. W 1991 roku nagle wszystko zaczęło się układać. Z grupy Seabeco wypączkowało kilkadziesiąt odgałęzień - między innymi wysoce dochodowe joint ventures z rosyjskimi firmami handlowymi. Firma rozrastała się szybko aż do dnia, kiedy Birshtein sięgnął za wysoko. Na szczycie fali sukcesu, we wrześniu 1993 roku, wplątał się w sensacyjny skandal łapowniczy z udziałem rosyjskiego ministra spraw wewnętrznych. Uznano go za persona non grata[53].

W metamorfozie Wesołowskiego z aparatczyka w biznesmena nie było nic dziwnego, poza rozgłosem, który przypisać należy raczej atmosferze tajemniczości towarzyszącej partyjnym pieniądzom. Wiosną 1991 roku w Moskwie bardzo silnie odczuwalny był nastrój *fin de régime*. Biurokraci ustawiali się w kolejce, by wyskoczyć z tonącego okrętu, zanim będzie za późno. Wielu kolegów Wesołowskiego w aparacie Komitetu Centralnego zatrudniało się wówczas w sektorze prywatnym, jako „eksperci” czy „konsultanci”. Sam Wesołowski wyznał potem, że od kwietnia 1991 roku praktycznie wszyscy wyżsi rangą urzędnicy wydziału administracyjnego Komitetu Centralnego brali udział w takiej czy innej działalności komercyjnej[54].

Był to moment zwrotny. W przeszłości ideologia komunistyczna stanowiła uprawomocnienie władzy i przywilejów radzieckiej elity. Wiele osób z tejże elity zaczęło jednak teraz odkrywać, że można utrzymać swą uprzywilejowaną pozycję w społeczeństwie nawet bez pomocy ideologii. Jeśli ktoś był dość sprytny i obrotny, mógł przehandlować swe stanowisko w starym reżymie komunistycznym na ciepłą posadkę w rodzącym się ładzie kapitalistycznym. W wielu wypadkach aparatczycy robili na tym doskonały interes, znacznie poprawiając swoją sytuację. Dlaczego mieli jeździć wołgami, skoro mogli się przesiąść na mercedesy? Nie trzeba już było udawać, że należy się do awangardy proletariatu, wybranej przez historię do dzieła budowy socjalistycznej utopii.

Oczywiście nie wszyscy członkowie aparatu doszli do takiego wniosku w tym samym czasie. Niektórym nie dostawało sprytu, by osiągnąć sukces w działalności gospodarczej; niektórzy bali się zmieniać tor kariery zawodowej w biegu;

jeszcze inni wierzyli, że partia jest jedyną organizacją zdolną uratować Związek Radziecki. Z tysiącami cyników i karierowiczów, z ludźmi, którym zależało tylko na swoim własnym „tyłku”, żeby użyć popularnego określenia, zmieszani byli prawdziwi wyznawcy komunizmu. Liczyło się jednak to, że partia przestała być monolitem. A skoro tak - przestała też być niezwyciężona.

Upadek komunizmu dał początek bezwzględnej walce o wielkie bogactwa naturalne, które do tej pory były domeną państwa. Kapitaliści nomenklaturowi brali, co tylko wpadało im w ręce. Kuli żelazo póki gorące. W wielu wypadkach pozyskany majątek sprzedawano praktycznie za bezcen; była to raczej grabież niż prywatyzacja. Dzika pogoń za majątkiem, która zaczęła się w Związku Radzieckim na początku 1991 roku, była jednak względnie łagodną formą walki o władzę i bogactwo. Wydarzenia w Jugosławii wykazały natomiast, że tuż pod powierzchnią zawsze tkwiła możliwość gwałtu.

BOROVO SELO
2 maja 1991

Upadek Muru Berlińskiego wprawił zachodnie stolice w samozadowolenie. Wiele osób zakładało, że skoro komunizm w Europie Wschodniej się zawalił, nowy ład będą reprezentować tacy ludzie jak Vaclav Havel czy Lech Wałęsa, którzy przez większość życia walczyli z totalitarną dyktaturą. Uśmiercenie komunistycznego smoka wydawało się ostatecznym zwycięstwem liberalnych wartości wolnorynkowych, bliskich zachodnim demokracjom. Adam Smith i Thomas Jefferson zatriumfowali nad Karolem Marksem i Władimirem Leninem.

Poczucie zwycięstwa było jednak krótkotrwałe. To, że komunizm skręcał się w śmiertelnych konwulsjach, nie oznaczało jeszcze, że zwyciężyła już demokracja. Komunizm był czymś więcej niż ideologią: był przewodnikiem działań politycznych, sprawdzoną metodą zdobywania i utrzymywania najwyższej władzy. Jak złośliwy wirus, posiadł rzadką zdolność dostosowywania się do zmieniających się okoliczności. Zręczny przywódca komunistyczny wiedział, w jaki sposób wykorzystywać podziały w społeczeństwie, jak przedkładać braki nad zalety i jak za pomocą populistycznej demagogii pokonywać przeciwników politycznych. Jeśli wymagały tego okoliczności, przywódca taki potrafił „przełączyć się” na inną ideologię, aby utrzymać władzę. Była to walka, w której cel zawsze uświęca środki.

Najskuteczniej udało się komunistycznym przywódcom zmienić skórę w Jugosławii. Rola politycznego przewodnika narodu przypadła naturalnie im. Oprócz Rosji, Jugosławia była jednym krajem w Europie Wschodniej, gdzie doszli oni do władzy dzięki własnemu wysiłkowi, a nie zagranicznemu wsparciu. Jugosłowiańscy komuniści pod wodzą Josipa Broz Tito toczyli zwycięską wojnę partyzancką przeciwko niemieckiemu okupantowi. Po 1948 roku wzmocnili swą pozycję, odmawiając podporządkowania się Stalinowi. Ten akt nieposłuszeństwa zaskarbił Jugosławii sympatię Zachodu i dał jej możliwość skorzystania z miliardów dolarów pomocy gospodarczej. Ale liberalna, miła fasada wzniesiona przez jugosłowiańskich komunistów była złudna. Kiedy zagrożona została ich władza i przywileje, przystąpili do bezwzględnej walki, na co nie mogli się zdobyć bardziej ortodoksyjni, wspierani przez ZSRR towarzysze. Rezultaty tej walki okazały się niezwykle tragiczne.

Najważniejszą postacią w Związku Komunistów Jugosławii był Slobodan Mi-

loszević z Serbii. Ów mistrz intrygi biurokratycznej starał się wypełnić polityczną próżnię po śmierci Tity w 1980 roku. Był pierwszym przywódcą komunistycznym w całej Europie Wschodniej, który docenił siłę nacjonalizmu. Wyciągając na światło dzienne tłumione od dawna żale, stał się niekwestionowanym przywódcą Serbii, największej i najpotężniejszej spośród sześciu republik ówczesnej Jugosławii. Zdobył tę pozycję z prawdziwą wirtuozerią. W ciągu kilku miesięcy flegmatyczny, raczej bezbarwny funkcjonariusz partii komunistycznej wyrósł na ojca narodu serbskiego. Jeszcze do końca nie upadł komunizm, a wstrzymane przezeń procesy ruszyły z kopyta, jakby historia chciała nadrobić półwiecze zastoju. Miloszević miał dość rozumu, by zdać sobie z tego sprawę i wykorzystać to do własnych celów.

Był on człowiekiem nieśmiałym, niemal samotnikiem. Zupełnie nie wyglądał na kogoś, kto mógłby zostać hersztem nacjonalistów. Tak silnie trzymał na wodzy swe emocje, że trudno było odgadnąć, co czuje lub myśli. Z rzadka się uśmiechał. Kiedy był zdenerwowany, czasami wysuwał szczękę nieco do przodu, ale sugerująca uprzejmość zmysłowa twarz wciąż pozostawała bez wyrazu. Jego życie osobiste było napiętnowane ciężką pracą, tragedią rodzinną i uderzającym brakiem bliskich przyjaciół. Kiedy był jeszcze młody, jego rodzice popełnili samobójstwo. W szkole nie podzielał pasji swoich kolegów z klasy, jak uganianie się za dziewczętami czy gra w piłkę nożną. Ufał niewielu osobom poza swoją żoną Mirjaną Markovic, marksistką do szpiku kości, z którą ożenił się tuż po ukończeniu szkoły średniej.

Miloszević rozpoczął karierę w labiryncie komunistycznej biurokracji gospodarczej od kierowania zakładem energetycznym. Później zajmował stanowisko prezesa czołowego banku w Serbii. Aż do połowy lat osiemdziesiątych jego wystąpienia pełne były typowej krytyki nacjonalizmu. Kiedy przemawiał, posługiwał się ulubionym przez komunistycznych biurokratów drewnianym językiem nowomowy, trudnym do rozszyfrowania przez zwyczajnych ludzi. Wydawał się niemal modelowym aparatczykiem: prawie nie ma fotografii, na których nie nosiłby munduru aparatczyka - ciemnego garnituru i białej koszuli. Pokonywał szczeble hierarchii partyjnej dzięki całkowitej lojalności wobec przełożonych i absolutnej nienaganności.

Jedną z cech charakterystycznych międzynarodowego ruchu komunistycznego była zakorzeniona głęboko podejrzliwość wobec przywódcy, który szuka społecznego poparcia poza partią. Partia była silna swą jednością. Jedynie nieliczni, darzeni zaufaniem przywódcy komunistyczni ośmielili się naruszyć tabu

zabraniające wciągania mas w wewnętrzne dyskusje w partii. W Chinach Mao Tse-tung zainicjował „rewolucję kulturalną”, chcąc przypuścić atak oskrzydlający na opozycję w aparacie. W Związku Radzieckim Gorbaczow posłużył się głasnostią dla pozyskania powszechnego poparcia, które pomogłoby mu zepchnąć do defensywy swych konserwatywnych konkurentów w Biurze Politycznym. Miloszević przyjął tę samą taktykę. Tito przed śmiercią zdecydował, że władzę po nim obejmie kierownictwo kolegialne, składające się z przedstawicieli wielu różnych grup etnicznych Jugosławii. Miloszević uznał, że taki układ jest receptą na paraliż polityczny. Podgrzewając nastroje serbskich mas, stanie się najpotężniejszym politykiem w kraju i przejmie schedę po Josipie Broz Tito.

Przełomowym momentem w metamorfozie Miloszevicia z komunisty w nacjonalistę była wizyta w leżącym w południowo-zachodniej Serbii okręgu Kosowo, którą odbył w kwietniu 1987 roku. Już to, że zdecydował się na tę podróż, było znakiem, że szuka sposobów na wyróżnienie się spośród swych kolegów biurokratów. Dzisiaj Kosowo jest brudne i biedne, przypomina Trzeci Świat. Dziewięćdziesiąt procent jego mieszkańców to Albańczycy. Jednakże w XIII i XIV wieku Kosowo było głównym ośrodkiem potężnego państwa serbskiego. Dla Serbów jest symbolem najbardziej znaczącego wydarzenia w narodowej historii. W 1389 roku na Kosowym Polu stoczono bitwę, w wyniku której państwo serbskie straciło niepodległość na blisko pięćset lat. Ciężkozbrojni serbscy rycerze zostali zdziesiątkowani przez lżejszą, bardziej ruchliwą jazdę turecką. I chociaż serbski książę Lazar zginął na polu bitwy, pozostała po nim legenda bohaterstwa i rycerstwa, która przez wiele pokoleń podtrzymywała jego rodaków na duchu. W serbskiej mitologii narodowej klęska militarna została przekształcona w triumf moralny, uwieczniony w poemacie epickim zapowiadającym zemstę Serbów na Turkach:

> Ktokolwiek Serbem jest i jako Serb się narodził,
> A kto nie przybył na Kosowe Pole,
> By walczyć przeciw Turkom,
> Niech nie ma ani męskiego,
> Ani żeńskiego potomstwa,
> Niechaj nie zbiera żniw[55].

Miloszević udał się do Kosowa na konferencję partii komunistycznej poświęconą badaniu skarg miejscowych Serbów na prześladowania i szykany ze strony albańskiej większości. Spotkanie odbyło się dokładnie w miejscu klęski Lazara,

we wsi Kosovo Polje, czyli Pole Kosów, na przedmieściach stolicy Kosowa, Prisztiny. W czasie spotkania tysiące Serbów i Czarnogórców usiłowało wedrzeć się do sali obrad, by dać upust swoim żalom. Serbowie zaczęli rzucać kamieniami w milicjantów[56]. Milicja zagrodziła im drogę i pobiła pałkami. W tym momencie Miloszević opuścił salę, by przemówić do rozgniewanego tłumu. Wyszedł mu naprzeciw stary, nawiedzony Serb z siwymi wąsami i wspaniałą grzywą siwych włosów. Poskarżył się, że został pobity przez milicję. Wysłuchawszy starego, Miloszević wypowiedział słowa, które dały początek nowej legendzie i zmieniły bieg jugosłowiańskiej historii: „Nikt nie ma prawa was bić”[57].

To jedno zdanie natychmiast zapewniło Miloszeviciowi miejsce w serbskiej mitologii, tuż obok księcia Lazara. Pozostał w budynku do świtu, wysłuchując skarg Serbów na zdominowane przez albańską większość władze Kosowa. W ciągu jednej nocy z anonimowego biurokraty komunistycznego przeistoczył się w trybuna ludowego. Kiedy pojawił się przed tłumem, powitały go okrzyki: „Slobo, Slobo!” W ten sposób wynalazł magiczną receptę, która wyniosła go do najwyższej władzy w Serbii. Posiadł zdolność nie tylko identyfikowania się z tłumem i wyrażania jego licznych uraz, ale także manipulowania jego emocjami - dla własnych celów. Konkurent na serbskiej scenie politycznej porównał przemianę Milosevicia do metamorfozy bohatera filmu Charliego Chaplina *Dyktator*, „kiedy powiewają flagi, a on zdaje sobie sprawę ze swej potęgi”[58].

W rękach takiego wirtuoza politycznego jak Miloszević nacjonalizm okazał się potężnym orężem. Gdyby oskarżył swych przeciwników politycznych o zdradę socjalizmu, cały kraj wybuchnąłby śmiechem. Ale przypinając im łatkę zdrajców narodu - związał ze sobą całą Serbię. Przyjął nacjonalistyczne zawołanie bojowe „Samo Sloga Srbina Spaśava” (Tylko jedność ocali Serbów). W cyrylicy „S” pisze się jak „C”. Cztery „C” w układzie lustrzanym stały się symbolem serbskiego ruchu nacjonalistycznego. Nowa ideologia pozwoliła Miloszeviciowi uratować monopartyjne państwo, przepadła jedynie jego dotychczasowa nazwa. Reformy gospodarcze były śladowe, a demokratyzacja - symboliczna. Strategiczne instytucje komunistycznej władzy - aparat propagandy, wielkie przedsiębiorstwa i banki - pozostały pod ścisłą kontrolą Miloszevicia i jego sojuszników.

We wrześniu 1987 roku bohater spod Kosowego Pola wysadził z siodła swego wieloletniego protektora i przewodnika, Ivana Stambolicia, dotychczasowego szefa Związku Komunistów Serbii. Był to jawny akt niewdzięczności politycznej, stanowiący sygnał ostrzegawczy dla polityków w całej Jugosławii. Teraz Miloszević przystąpił do popularyzowania „rewolucji antybiurokratycznej”. Dzięki

temu, że kontrolował media - głównie telewizję - był w stanie zmobilizować potężne rzesze przeciwko swym politycznym oponentom, zmuszając ich do ustąpienia z zajmowanych stanowisk. W krótkim czasie zwolennicy Miloszevicia doszli do władzy w Kosowie i Wojwodinie, a także w zamieszkanej przez Serbów republice Czarnogóry. Seria masowych demonstracji osiągnęła emocjonalne apogeum 28 czerwca 1989 roku, w sześćsetną rocznicę bitwy na Kosowym Polu. Trumna zawierająca rzekomo zmumifikowane szczątki księcia Lazara przez dwanaście miesięcy odbywała triumfalną pielgrzymkę po serbskich wsiach, witana na każdym kroku przez lamentujących żałobników. W tym wielkim dniu na polu bitwy zgromadziło się ponad milion Serbów pragnących oddać cześć Miloszeviciowi, w ich oczach wcieleniu poległego księcia.

W czasie, kiedy komuniści w całej Europie Wschodniej masowo tracili swe posady, Miloszević, grając na nacjonalistycznych urazach, wspinał się na wyżyny władzy. Nacjonalizm bardzo mu się przydał w marcu 1991 roku, w czasie najpoważniejszego kryzysu jego rządu. Na ulice Belgradu wyszły dziesiątki tysięcy demonstrantów, protestując przeciwko manipulacji mediami, jakich dopuszczała się władza. Kiedy próbowali zająć stację telewizyjną, nazywaną przez opozycję Bastylią, jednego z protestujących dosięgła kula. Rząd wprowadził stan wyjątkowy i usiłował rozbijać demonstracje za pomocą czołgów. Wielki pokaz siły tylko rozochocił protestujących: powołali zaimprowizowany „parlament” uliczny w centrum Belgradu, zdobywając uznanie tysięcy ludzi.

Brutalność milicji poważnie uszkodziła aureolę Miloszevicia. Przywódca, który doszedł do władzy dzięki populistycznemu hasłu „Nikt nie ma prawa was bić”, sam teraz „bił” własny naród. By zamknąć usta protestującym, zdecydował się na taktyczny odwrót, dymisjonując najbardziej znienawidzonych członków swego otoczenia, z szefem telewizji włącznie. Następnie zapowiedział przygotowania Serbii do wojny. Nacjonalizm stał się sposobem na odwrócenie uwagi od grożącego krajowi kryzysu politycznego i gospodarczego.

16 marca na tajnym posiedzeniu regionalnych szefów partii Miloszević przedstawił swoją strategię wykrojenia Wielkiej Serbii z rozpadającej się federacji jugosłowiańskiej. Ogłosił, że ich świętym obowiązkiem jest obrona trzech milionów Serbów mieszkających poza Serbią właściwą, głównie w Chorwacji oraz Bośni i Hercegowinie. Skoro prawa i wolności Serbów w innych republikach jugosłowiańskich są zagrożone, trzeba odbudować wewnętrzne granice kraju, jeśli to konieczne - siłą. Nie ma czasu na prodemokratyczne demonstracje ani na narzekania na niespotykany dotąd spadek warunków życia. Serbia jest otoczona

wrogami i najważniejsza jest jedność narodowa. O przyszłości zdecydują silni, nie słabi.

„Uważamy, że uzasadnionym prawem i interesem narodu serbskiego jest życie w jednym państwie. To jest początek i koniec naszej polityki" - zapowiedział, wzbudzając gromkie brawa. - „Jeśli będziemy musieli walczyć, to - z bożą pomocą - będziemy walczyć. Mam tylko nadzieję, że nikt nie będzie na tyle szalony, by walczyć przeciwko nam. Może nie bardzo wiemy, jak dobrze pracować czy prowadzić przedsiębiorstwa, ale wiemy przynajmniej, jak się dobrze bić"[59].

Miloszević miał rację, krytykując polityczny paraliż, który spętał Jugosławię po śmierci Tity. Kraj popadał z jednego kryzysu w drugi. By zlikwidować chaos gospodarczy pozostawiony przez dziesięciolecia komunizmu, potrzebne było zdecydowane działanie, ale w warunkach konsensusu zaprojektowanego przez Titę okazało się to niemożliwe. Do połowy lat osiemdziesiątych Jugosławia stała się krajem wymykającym się wszelkiej władzy. Rząd federalny był wyjątkowo słaby, niezdolny do zaprowadzenia swych rządów w kraju. Osiągnięcie porozumienia między republikami w sprawie zmniejszenia deficytu budżetowego i likwidacji nierentownych fabryk wydawało się niemożliwe.

Zrazu wielu amerykańskich dyplomatów w Belgradzie zachwycało się Miloszeviciem. Mieli nadzieję, że serbski przywódca wykorzysta swój świeży autorytet dla przełamania zastoju i wdrożenia niezbędnych reform demokratycznych. Stopniowo stawało się jasne, że Miloszević nie ma zamiaru niszczyć systemowego monopolu stanowiącego podstawę jego władzy. Zamiast wspierać nieśmiałe próby rządu federalnego wprowadzania reform rynkowych, działał na tyłach reformy, sabotując ją, jak tylko mógł. Zamiast potępić nacjonalizm, posługiwał się mediami, by go podsycać.

Wybuch nacjonalizmu w Serbii wkrótce doprowadził do kontrnacjonalizmu w Chorwacji, drugiej co do wielkości republice Jugosławii. W kwietniu 1990 roku Chorwaci wybrali przywódcę, który okazał się lustrzanym niemal odbiciem Miloszevicia. Franjo Tudjman, podobnie jak jego serbski odpowiednik, także - do niedawna - był komunistą. W czasie II wojny światowej walczył w partyzantce Tity i zasłużył się na tyle, by zostać najmłodszym generałem w Jugosłowiańskiej Armii Ludowej. Na nacjonalizm nawrócił się wcześniej niż Miloszević: już w latach siedemdziesiątych był jedną z głównych postaci tak zwanej Euforii - przypływu nacjonalistycznych nastrojów w Chorwacji. Jego polityczne poglądy były

jednak bardzo zbliżone do ideologii Miloszevicia. Uważał się za symbol odwiecznego dążenia Chorwatów do niepodległej państwowości i oczekiwał, że cały naród skupi się wokół niego.

Obaj przywódcy byli podobni nawet w tym, jak potępiali się nawzajem. Telewizja w Zagrzebiu stała się osobliwą parodią telewizji belgradzkiej. Relacje z działań Tudjmana zawsze były pierwszą wiadomością w tamtejszym dzienniku telewizyjnym, tak jak słowa i czyny Miloszevicia dominowały w wiadomościach serbskich. Przepełniony nienawiścią język, którym posługiwano się w tych dwóch stacjach, był praktycznie wspólny: jedynie cele wrogości były inne. Zagrzeb atakował politykę „terroru i hegemonii" Serbii, podczas gdy Belgrad atakował politykę „terroru i hegemonii" Chorwacji. Obie strony używały pod swoim adresem epitetów rodem jeszcze z II wojny światowej. Chorwaccy komentatorzy określali serbskich przywódców mianem czetników - tak samo, jak partyzanci Tity nazywali serbskich rojalistów, przeciwko którym walczyli. Prezenterzy telewizji serbskiej na Chorwatów mówili ustasze, jak zwano brutalnych faszystów chorwackich, którzy w czasie wojny utworzyli prohitlerowski marionetkowy rząd w Zagrzebiu.

Między przywódcami Serbii i Chorwacji była jednak jedna istotna różnica. Miloszević traktował nacjonalizm jak środek do celu, czyli do zachowania władzy. Dla Tudjmana zaś najwyższym celem była odbudowa chorwackiej niepodległości. Podczas gdy Miloszević kalkulował na zimno, Tudjman, spętany swymi ograniczeniami, kierował się emocjami. Miał znacznie mniejsze doświadczenie polityczne niż jego serbski rywal i popełniał liczne błędy w ocenie sytuacji. Jednym z najpoważniejszych była jego absolutna nieczułość na urazy liczącej sześćset tysięcy osób mniejszości serbskiej w Chorwacji.

W czasie wojny ustasze wymordowali setki tysięcy Serbów. Tudjman lekceważył obawy Serbów co do miejsca, jakie im przypadnie w niepodległym państwie chorwackim. Chorwacki parlament przyjął symbole narodowe uznawane za obraźliwe przez wielu Serbów, między innymi biało- -czerwoną szachownicę używaną przez ustaszy. (Tudjman twierdził, że to uświęcony tradycją chorwacki symbol, o wiele starszy niż organizacja ustaszy.) Zwyciężywszy w wyborach w 1990 roku, jego Chorwacka Wspólnota Demokratyczna (HDZ) przystąpiła do systematycznych czystek antyserbskich w milicji, szkolnictwie, a nawet w przemyśle. Chorwaci utrzymywali, że taki krok był tylko wprowadzeniem zdrowych stosunków, ponieważ Serbowie byli zbyt licznie reprezentowani w Chorwacji w czasach komunistycznych. Oczywiście było prawdą, że serbska mniejszość w

Chorwacji cieszyła się w przeszłości specjalnymi przywilejami - był to przejaw subtelnych działań Tity dla zachowania równowagi etnicznej - w obecnych okolicznościach masowe zwolnienia miały charakter prowokacji. Tudjman dał serbskiej propagandzie doskonały argument przeciwko sobie.

Biorąc pod uwagę nieustępliwość obu stron i bolesne wspomnienia starszego pokolenia Serbów, konflikt był niemal nieunikniony. Dwa nacjonalizmy stanowiły dla siebie nawzajem pożywkę. Przestrzeń ewentualnego kompromisu została znacznie zawężona, szczególnie w przygranicznych regionach Chorwacji, gdzie mieszkało wielu Serbów. Pierwsze oznaki kłopotów pojawiły się w sierpniu 1990 roku w Krajinie, kamienistym płaskowyżu na wybrzeżu dalmatyńskim, gdzie Serbowie mieszkali od XVI wieku. Ogłosili oni autonomię w ramach Chorwacji i zwrócili się do zdominowanego przez Serbów wojska jugosłowiańskiego z prośbą o pomoc. Armia wyposażyła ludność w broń i zapewniła jej poparcie polityczne, nie dopuszczając do ustanowienia władzy Tudjmana w tym regionie.

W ciągu kolejnych dziewięciu miesięcy cały kraj czekał na iskrę, która doprowadzi do wybuchu regularnej wojny. Iskra taka pojawiła się na drugim końcu Chorwacji, na granicy z Serbią właściwą, w nieznanej wiosce pod nazwą Borovo Selo.

Fabryka obuwia i opon w Borovie leży w zakolu Dunaju, na żyznej równinie slawońskiej, oddzielonej kilkukilometrowej szerokości polami zbożowymi od miasta Vukovar. Założona w 1931 roku przez czeskiego przedsiębiorcę nazwiskiem Bata, fabryka wnet zyskała uznanie z racji wysokiej jakości swoich produktów. W latach poprzedzających II wojnę światową była wzorem nowoczesnych technik produkcyjnych, postępowego zarządzania i harmonii etnicznej. Siła robocza była w większości chorwacka i niemiecka, choć pracowali tam też Serbowie, których przodkowie zostali sprowadzeni do Sławonii przez armię austro-węgierską na służbę w jednostkach obrony pogranicza.

Zwycięstwo komunistów doprowadziło do niepokojów

społecznych i politycznych w fabryce. Byli właściciele zostali wywłaszczeni, a fabrykę przejęło państwo. Wyrzucono wszystkich Niemców. Aresztowano chorwacką kadrę kierowniczą, podejrzaną o kolaborację z reżymem ustaszów. By zapewnić zakładowi siłę roboczą i nagrodzić swych zwolenników, zwycięscy komuniści uruchomili zakrojony na szeroką skalę program przesiedleńczy. Miejsce Niemców zajęli Serbowie i Chorwaci ze zubożałych górskich okolic nadad-

riatyckich. Natychmiast doszło do starcia między przybyszami - twardymi góralami, zahartowanymi w walce w czasie wojny - a rodzimą ludnością. Serbowie z gór nazywali slawońskich Serbów Szwabami, czyli Niemcami. Miejscowi Serbowie, z których wielu było zamożnymi posiadaczami ziemskimi, uważali Serbów z Krajiny za nieokrzesanych próżniaków. Podobne różnice rysowały się między slawońskimi Chorwatami i Chorwatami z Hercegowiny. Podziały te z czasem przybrały na znaczeniu.

Uprzedzenia etniczne zblakły w czasie lat powojennych. Hasło Tity „Braterstwo w jedności” przyniosło pożądany efekt - tym bardziej że poparto je groźbą surowych wyroków więzienia dla każdego podejrzanego o sianie nienawiści na tle etnicznym. Ludzie przestali myśleć o sobie jako o Chorwatach czy Serbach. Na porządku dziennym były małżeństwa mieszane. W 1981 roku, w rok po śmierci Tity, dwadzieścia dwa procent mieszkańców podczas spisu ludności określało swą narodowość jako jugosłowiańską.

„Bardzo mało było różnic między Serbami i Chorwatami” - wspominał Nikola Radaković, serbski dyrektor fabryki. - „Wszyscy urodziliśmy się w tym samym szpitalu, chodziliśmy do tych samych szkół, uganialiśmy się za tymi samymi dziewczętami i śpiewaliśmy te same piosenki. Mówiliśmy wspólnym językiem i podobnie się ubieraliśmy. Byliśmy po prostu tacy sami”[60].

Fabryka Borovo stała się pokazowym przykładem jugosłowiańskiego systemu „samorządu robotniczego”, który opracował Tito dla odróżnienia „swojego” socjalizmu od jego radzieckiej odmiany. Delegacje zachwyconych gości zagranicznych zwiedzały fabrykę, spotykając się z „wybranymi” przez załogę „robotnikami-dyrektorami”. Teoretycznie Jugosławia wydawała się najlepszym ze światów. Fabryki należały do robotników, a między różnymi przedsiębiorstwami (o kolektywnej formie własności) panowała konkurencja. W praktyce jednak samorząd był jedynie listkiem figowym władzy partii komunistycznej. Obsada wyższych stanowisk musiała być uzgadniana z partią. Większość kadry kierowniczej stanowili Serbowie, powszechnie uważani za „pewniejszych politycznie” niż Chorwaci.

Na początku system działał w miarę dobrze. W zamian za swą bierność polityczną „robotnicy-właściciele” nigdy nie tracili pracy. Nie zamykano też nierentownych wydziałów zakładów. Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte były okresem rozkwitu Jugosławii - zachodnie rządy nagradzały nieposłuszeństwo Tity

wobec Moskwy hojnymi kredytami - ale był to dobrobyt podszyty fałszem. Wedle normalnych standardów księgowych borovska fabryka ponosiła straty. Kierownictwo fabryki przyznało później, że poświęcano sporo czasu na żonglowanie liczbami w księgach, bezowocnie usiłując ukryć straty. Aby wystarczyło pieniędzy na wypłaty, zaciągano wielkie pożyczki bankowe, których nigdy nie spłacano. Fabryka przestała też inwestować w urządzenia i maszyny. W rezultacie pominięto dwa kolejne cykle inwestycyjne i spora część maszyn do produkcji butów była już przestarzała.

Logiczną reakcją na problemy fabryki byłoby zwolnienie połowy zatrudnionych robotników i zwiększenie wydajności pozostałej połowy poprzez zakup nowych maszyn. Kiedy w końcu w 1988 roku spróbowano wprowadzić taką strategię w życie, robotnicy wnet zastrajkowali. Całymi tygodniami koczowali przed gmachem parlamentu federalnego, dopóki rząd nie ugiął się pod ich żądaniami i nie udzielił fabryce doraźnej pomocy finansowej. Rząd finansował takie pożyczki, po prostu dodrukowując miliardy nowych dinarów, co prowadziło w prostej linii do hiperinflacji. Pod koniec lat osiemdziesiątych fabryka stała się gigantycznym dinozaurem przemysłowym, zatrudniającym ponad dwadzieścia tysięcy pracowników. W przedsiębiorstwie tym występowały wszystkie bolączki gospodarki socjalistycznej: przerost zatrudnienia, zapóźnienie technologiczne, niska wydajność. Zakłady były też etniczną bombą z opóźnionym zapłonem.

„Kryzys polityczny w Jugosławii był bezpośrednim wynikiem katastrofy gospodarczej” - uważa Josip Kovać, Chorwat zatrudniony w dziale finansowym fabryki. - „Kiedy dwóch ludzi walczy o posadę, ujawnia się wszystko, co ich dzieli - narodowość, wyznanie, poglądy polityczne. Gdyby każdy miał pracę, nigdy by nie doszło do takich zaburzeń politycznych”[61].

W regionie Vukovaru partie nacjonalistyczne zrazu nie cieszyły się wielką popularnością. W czasie wyborów komunalnych w 1990 roku większość Chorwatów i Serbów głosowała na niesekciarską Partię Socjaldemokratyczną. Ale tradycja harmonii etnicznej załamała się w obliczu wzrastającego kryzysu gospodarczego i wojny propagandowej między Belgradem i Zagrzebiem. Na początku 1991 roku rząd Tudjmana obrał zdecydowany kurs na wymianę „nielojalnych” Serbów na „lojalnych” Chorwatów - na wszystkich szczeblach. W Vukovarze Serbów wydalono z milicji, kiedy odmówili noszenia szachownicy stanowiącej symbol nowego państwa chorwackiego. Kiedy tylko do powszechnej świadomości dotarł fakt, że fabryka w Borovie jest bankrutem, udało się zamknąć kilka wydziałów. Ciężar masowych zwolnień najbardziej dotknął Serbów. Bezrobotni

Chorwaci zawsze mogli znaleźć pracę choćby w milicji, która potrzebowała nowych funkcjonariuszy w miejsce zwolnionych Serbów.

Równie ważne jak podziały etniczne były różnice między mieszkańcami równin i góralami. Żniwa w tej części świata były zawsze tak obfite, że każdy, kto posiadał ziemię, miał zagwarantowane godziwe dochody. Wielu slawońskich rolników miało mercedesy i baseny kąpielowe. Tacy ludzie nie mieli powodu walczyć o jeszcze lepsze warunki życia. Dobrze żyli zarówno ze swymi serbskimi, jak i chorwackimi sąsiadami. W przeciwieństwie do nich, bezrolni imigranci bardzo dotkliwie odczuli uderzenie recesji. Zbankrutowana fabryka butów stała się naturalnym źródłem rekrutów dla konkurencyjnych oddziałów paramilitarnych, które zaczęły powstawać wokół Vukovaru. Bezrobotni z obu stron mieli się stać oficerami w zbliżającej się wojnie.

Podjudzanie biednych przeciwko bogatym było standardową techniką komunistyczną, a przemalowani na nacjonalistyczne barwy komuniści posługiwali się nią perfekcyjnie. Politycy w rodzaju Miloszevicia zawiązali faktyczny sojusz ze zrozpaczonymi i niezadowolonymi. Istnieją dowody na to, że serbska służba bezpieczeństwa współuczestniczyła w organizowaniu siejących spustoszenie i terror oddziałów paramilitarnych - najpierw w Chorwacji, a potem w Bośni[62]. W zamian za udział w walkach członkom tych oddziałów obiecano łupy wojenne.

Pierwsze barykady wzniesiono wokół zamieszkanego przez Serbów Borovego Sela na początku kwietnia. W tym ponurym przemysłowym przedmieściu, położonym o kilka kilometrów dalej przy tej samej drodze, przy której mieściła się fabryka, mieszkało wielu bezrobotnych robotników serbskich. Ich sytuacją zainteresowali się serbscy nacjonaliści w Belgradzie, w tym osobiście Wojislav Śeśelj, przywódca skrajnie prawicowej partii czetnickiej. Czetnicy starali się wśród byłych robotników w Borovie rozbudzić antychorwackie nastroje i zaopatrywali ich obficie w broń, by mogli odeprzeć ewentualne ataki Chorwatów.

Po stronie chorwackiej także nie brakowało szaleńców. W połowie kwietnia grupa członków HDZ pod wodzą Gojko Śuśaka, założyciela kanadyjskiej firmy sprzedającej pizzę i doradcy Tudjmana, postanowiła dać Serbom nauczkę. Zmuszono dowódcę miejscowej komendy milicji, Josipa Reihla-Kira, poświęcającego całą swoją energię na łagodzenie napięć etnicznych, by zabrał ich do Borovego Sela. Zbliżając się do wsi przez pola, wystrzelili w stronę serbskich pozycji trzy pociski z ręcznego granatnika przeciwpancernego. Granaty nie wyrządziły poważniejszych szkód, ale zostały wykorzystane przez propagandę belgradzką jako dowód na to, że Chorwaci szykują się do wojny. Śuśak awansował

z czasem na ministra obrony w chorwackim rządzie. Szczycił się tym, że wystrzelił pierwszy pocisk przeciwko serbskim „agresorom” we wschodniej Sławonii[63].

Etniczna beczka prochu wybuchła w Borovym Sele 2 maja, w czwartek. Tamtejsi Serbowie obchodzili Święto Pracy, tradycyjne święto jugosłowiańskie. Wieś udekorowano zatem barwami jugosłowiańskimi, niebieskimi, białymi i czerwonymi, oraz czerwonymi gwiazdami. Po przeciwległej stronie pól, w zamieszkanym głównie przez Chorwatów osiedlu Borovo Naselje, wywieszono chorwackie szachownice.

Tuż po północy do miasteczka zajechały od strony Borovego Naselja dwa samochody chorwackiej milicji. Funkcjonariusze zaczęli zdzierać flagi jugosłowiańskie. Natychmiast zostali otoczeni przez rozwścieczonych Serbów. Padły strzały; potem obie strony oskarżały się o wystrzelenie pierwszych kul. Serbowie zatrzymali dwóch milicjantów chorwackich, inni zbiegli. W odpowiedzi władze chorwackie wysłały do miasteczka dwudziestu uzbrojonych funkcjonariuszy dla zbadania losu członków patrolu.

Kiedy chorwackie pojazdy wjechały do miasteczka, wpadły w zasadzkę przygotowaną przez serbskich bojowców. Wywiązała się walka, w czasie której zginęło dwunastu chorwackich milicjantów i trzech ochotników serbskich. Po południu do Borovego Sela wkroczyły jednostki Jugosłowiańskiej Armii Ludowej, ogłaszając, że rozdzielą zwaśnione strony. W kilka dni później władze chorwackie opublikowały fotografie ukazujące okaleczone ciała trzech milicjantów. Jeden z nich miał odrąbane ramię, inny zmasakrowaną twarz, a trzeciemu zdarto skórę z pleców. Takie okrucieństwa były na porządku dziennym w czasie II wojny światowej i stanowiły makabryczną przestrogę, do czego może dojść w razie masowego starcia dwóch wrogich grup etnicznych.

Komendant chorwackiej milicji, Josip Kir, opowiadał się za rokowaniami ze zbuntowanymi Serbami. Ale nie był już w stanie zapanować nad swymi ludźmi. Górę wziął Šusak i inni zwolennicy ostrego kursu. W przekonaniu, że grozi mu śmierć, Kir błagał przełożonych, by przenieśli go z powrotem do Zagrzebia. Na dzień przed planowanym wyjazdem został zamordowany przez jednego ze swych podkomendnych. Żona Kira twierdziła, że było to morderstwo na tle politycznym[64].

Od tej chwili nie można już było zatrzymać wprawionej w ruch spirali nie kontrolowanej przemocy. Chorwaci wznieśli barykady na skraju Borovego Naselja, tuż obok fabryki obuwia. Wkrótce byli koledzy z pracy, jeszcze niedawno razem

jedzący śniadanie na przerwach w pracy, strzelali do siebie z dwóch stron pola. Po kilku tygodniach snajperów zastąpiła artyleria i czołgi. Do Borovego Naselja wkroczyła chorwacka Gwardia Narodowa, podczas gdy Jugosłowiańska Armia Ludowa przeszła do obrony okrężnej wokół Borovego Sela, oddalonego od pozycji chorwackich o niespełna kilometr. Serbów zamieszkałych na terenach chorwackich pod lufami karabinów zmuszono do opuszczenia swoich domów. Następnie domy te wysadzono w powietrze. Ten sam

los spotkał rodziny Chorwatów, które znalazły się po niewłaściwej stronie etnicznej linii podziału. Przeciwnicy oskarżali się nawzajem o planowanie masakry.

Najbardziej zaciętymi uczestnikami walk po obu stronach byli, niemal z reguły, biedni imigranci, których rodziny przybyły z gór „pociągami poza rozkładem jazdy" w ramach społecznej rewolucji Tity po II wojnie światowej. Aż do niedawna wielu z tych ludzi zmuszonych było wykonywać uwłaczające ich godności prace w zakładach obuwniczych w Borovie. Typowym przykładem był chorwacki komendant Borovego Naselja, Blago Zadro. Pochodził z Hercegowiny, z rejonu sąsiadującego z Dalmacją. Przed wojną wykonywał szczególnie niewdzięczną pracę, polegającą na mieszaniu chemikaliów i gumy. Kiedy zamknięto jego wydział, służył trzy miesiące w zreorganizowanych siłach milicji chorwackiej. Piastował też wysokie stanowisko w miejscowym oddziale HDZ[65].

Serbski komendant Borovego Sela, Vitomir Devetek, miał podobną przeszłość. Także przybył z rejonów górskich i także pracował w najgorszym wydziale fabryki, produkującym kamizelki kuloodporne. Wraz z kilkunastoma innymi Serbami został zwolniony w marcu, za odmowę podpisania deklaracji lojalności wobec Republiki Chorwacji. W jego oddziale było trzydziestu pięciu Serbów wyrzuconych z milicji w Vukovarze.

„Lud chorwacki musi zrozumieć, że nigdy nie będzie miał niepodległego państwa, o którym Chorwaci roją sobie w swych chorych umysłach" - wyznał Devetek amerykańskiemu dziennikarzowi na początku czerwca, patrolując linię frontu. - „Prędzej czy później zaatakujemy Borovo Naselje i wyzwolimy je. A potem wyzwolimy Vukovar"[66].

MOSKWA
17 sierpnia 1991

Władimir Kriuczkow był pewien, że największe komunistyczne państwo świata zmierza ku politycznej dezintegracji i katastrofie gospodarczej. Uciekał się do wszystkich sztuczek z podręcznika dezinformacji KGB, aby przekonać Gorbaczowa do wprowadzenia stanu wyjątkowego na terenie całego kraju. Oskarżał litewskich działaczy niepodległościowych o wszczynanie buntu i strzelanie do żołnierzy radzieckich. Rozpowszechniał opowieści o konspiracji zachodnich bankierów, którzy chcą wywołać „wojnę finansową" przeciwko Związkowi Radzieckiemu, zalewając kraj tanimi rublami. Opowiadał o spisku agentów CIA mającym na celu pozyskanie przywódców radzieckich jako „agentów wpływu" i zniszczenie ZSRR. Poinformował nawet Gorbaczowa o przedziwnym planie działaczy opozycji, szykujących szturm na Kreml z wykorzystaniem „sierpów" i „drabin"[67].

Początkowo wydawało się, że akcja dezinformacyjna przynosi pożądane efekty. Prezydent ulegał niektórym sugestiom szefa KGB i ograniczał działania opozycji demokratycznej. Jednak w decydującym momencie Gorbaczow zatrzymał machinę represji. W ciągu kilku ostatnich miesięcy odsunął się od twardogłowych i zawarł sojusz z przywódcami republik, którym zależało na wydarciu z centrum jak najszerszego zakresu władzy.

Kriuczkowowi zostało niewiele czasu. 20 sierpnia mieli przybyć do Moskwy przywódcy z całego kraju, by podpisać nowy układ związkowy, kończący siedemdziesiąt lat scentralizowanej władzy. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich przestawał istnieć. Jego miejsce miała zająć luźna konfederacja, znana później jako Wspólnota Niepodległych Państw.

Wystarczająco alarmujące było pominięcie słowa „socjalizm" w konstytucji nowego państwa. Jeszcze bardziej niepokojące były przesłanki świadczące o tym, że w nowym ładzie nie będzie miejsca dla „przewodniej roli partii". Agenci KGB nagrali rozmowę Gorbaczowa z dwoma najbardziej wpływowymi przywódcami republik - Borysem Jelcynem i Nursułtanem Nazarbajewem z Kazachstanu, która odbyła się pod koniec lipca. Po wyczerpującej rundzie rokowań na temat nowego układu związkowego w prezydenckiej daczy w Nowoogariewie trójka polityków przystąpiła do projektowania możliwości zmian personalnych. Jelcyn nalegał, by część rozmowy odbyła się na balkonie, dla uniknięcia podsłuchu. Ale mikrofony pochwyciły niektóre ich wypowiedzi. Zapis rozmowy był

przerażającą lekturą.

Jelcyn upierał się, że nikt nie uwierzy w nowy układ wiązkowy, jeśli Gorbaczow nie pozbędzie się najbardziej znienawidzonych członków swej ekipy. Listę oficjeli przewidzianych do zwolnienia otwierał Kriuczkow, który świadomie usiłował dokonać zamachu na Litwie. Nazarbajew poparł żądanie Jelcyna i dołączył do listy Borysa Pugo, twardogłowego ministra spraw wewnętrznych. Jelcyn przyznał po jakimś czasie, że Gorbaczow był rozdrażniony, ale zgodził się na usunięcie obu szefów bezpieki. Trzej politycy uzgodnili także, że zwolniony zostanie również powiązany z konserwatystami premier, Walentin Pawłów[68].

Kriuczkow wiedział teraz, że prawdopodobnie niedługo już pozostanie na swym stanowisku. Jeśli miał więc działać, musiał to zrobić teraz. 6 sierpnia, a więc w dniu wyjazdu Gorbaczowa na doroczny urlop na Krym, Kriuczkow polecił swoim współpracownikom, by przygotowali dokumenty niezbędne do wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Podstawowe przygotowania do zamachu zostały już poczynione. Przez wiele tygodni Kriuczkow wypuszczał swe macki w stronę innych członków kierownictwa. Wiedział, że wielu z nich myśli tak jak on. Pawłów bezskutecznie próbował przekonać Radę Najwyższą do przyznania mu nadzwyczajnych kompetencji gospodarczych. Minister obrony, Dmitrij Jazów, bezustannie skarżył się na poniżanie wojska i zmniejszanie gotowości bojowej Związku Radzieckiego. Sekretarz partii odpowiedzialny za kompleks militarno-przemysłowy, Oleg Bakłanow, był przekonany, że Gorbaczow prowadzi radziecki przemysł obronny na manowce. Sekretarzowi do spraw kadrowych, Olegowi Szeninowi, spędzała sen z powiek utrata wpływów przez partię. Szef gabinetu prezydenta,

Walerij Bołdin, także był malkontentem, mimo że swą pogardę dla Gorbaczowa skrywał starannie za parawanem lizusostwa. Ludzie ci spotykali się regularnie, by wspólnie opłakiwać los wielkiego niegdyś mocarstwa.

17 sierpnia, w sobotę, Kriuczkow zaprosił współkonspiratorów do ośrodka KGB w pobliżu moskiewskiej obwodnicy. Znajdowała się tam sauna, basen pływacki, sala audiowizualna. Było to bezpieczne i przyjemne miejsce na spotkanie; szef KGB często przyjmował tu swoich gości. Tym razem jednak poprowadził ich na werandę. Nawet on musiał uważać na podsłuch. Jazowa, Szenina i Pawłowa poczęstował wódką. Inni woleli whisky. Podano słoninę, tradycyjną zakąskę rosyjską.

„Jestem gotów w tej chwili złożyć rezygnację” - zdeklarował się Pawłów, mając

świadomość, że jego dni jako premiera są policzone. - „Sytuacja jest katastrofalna. Kraj znalazł się na krawędzi głodu. Nikomu nie chce się już wykonywać poleceń. Jedyną nadzieją jest stan wyjątkowy”[69].

„Regularnie przedstawiam Gorbaczowowi raporty o wyjątkowo trudnej sytuacji, ale on prawie na nie nie reaguje” - poskarżył się szef KGB. - „Przerywa rozmowę, zmienia temat. Nie wierzy w moje informacje”.

Zgodnie z sugestią Kriuczkowa, uczestnicy spotkania postanowili powołać Komitet Stanu Wyjątkowego, znany później pod rosyjskim skrótem GKChP. Uradzono wysłać na Krym delegację, by po raz ostatni podjąć próbę przekonania Gorbaczowa, żeby sam wprowadził stan wyjątkowy. Jeśli odmówi, zostanie internowany w swojej daczy. Wiceprezydent Giennadij Janajew ogłosi, że prezydent jest chory i przejmie władzę. Janajew na tym etapie nie był jeszcze uczestnikiem spisku, ale konspiratorzy uznali, że namówią go, by się do nich przyłączył. Był słaby i uległy.

Przedyskutowano jeszcze kwestię, kto uda się do Foros z wiadomością dla prezydenta. Ustalono, że podejmie się tego Kriuczkow, ponieważ Jazów powinien pozostać w Moskwie, by doprowadzić przygotowania do końca. Dla podkreślenia wagi buntu Kriuczkowowi miał towarzyszyć Bołdin, który pracował dla Gorbaczowa od piętnastu lat.

Et tu, Brute? - żartował Jazów, którego do rangi ministra obrony także wyniósł, w 1987 roku, Gorbaczow. Wszyscy się zaśmiali.

FOROS
18 sierpnia 1991

Było leniwe, niedzielne popołudnie. Pułkownik Władimir Kiryłłow od ośmiu godzin siedział zamknięty w pokoju. Większą część nocy spędził przed telewizorem. Morze za oknem błyszczało zapraszająco w gorącym krymskim słońcu.

Nagle ekran telewizora zamigotał i ściemniał. Zaczęła mrugać lampka kontrolna na elektronicznej konsoli przed Kiryłłowem. Niemal instynktownie pułkownik zaczął sprawdzać telefony na biurku. Interkom łączący go ze zwierzchnikiem sił zbrojnych nie działał. Tak samo bezpośrednia linia do Ministerstwa Obrony, a nawet wewnętrzny system łączności posiadłości prezydenta w Foros. Spełnił się najgorszy koszmar Kiryłłowa - jeśli nie liczyć amerykańskiego ataku nuklearnego. Człowiek odpowiedzialny za urządzenie umożliwiające wystrzelenie radzieckich rakiet przenoszących głowice jądrowe nie miał łączności ze swymi przełożonymi. Zegar ścienny wskazywał godzinę 16.32.

Tuż obok leżała czarna teczka. Były to dwudziestowieczne regalia odróżniające przywódcę mocarstwa nuklearnego od zwykłych śmiertelników. Z zewnątrz niczym się nie różniła od tysięcy innych. Bo była to rzeczywiście zwyczajna teczka. Projektanci systemu dowodzenia i kontroli wybrali pokrytą skórą lekką aluminiową teczkę marki Samsonite i dostosowali ją do swych potrzeb. W razie nagłego ataku na Związek Radziecki jej elektroniczne wyposażenie pozwalało Gorbaczowowi odpalić tysiące rakiet z głowicami jądrowymi za jednym naciśnięciem guzika[70].

Kiryłłow i jego koledzy mieli obowiązek nosić ów *czemodanczik* wszędzie, dokąd się udawał zwierzchnik sił zbrojnych. Rano jeździli za nim na Kreml, a wieczorem udawali się z powrotem do jego daczy. Towarzyszyli mu w trakcie podróży zagranicznych, czekając cierpliwie w przedpokojach, kiedy konferował z przywódcami innych państw. Kiedy udawał się na urlop, jak cień postępowali tuż za nim.

Ośrodek dowodzenia siłami jądrowymi w Foros umieszczony był w piętrowym domku gościnnym, oddalonym o pięćdziesiąt metrów od rezydencji Gorbaczowa. Teczkę obsługiwało trzech oficerów: dwóch operatorów i specjalista do spraw telekomunikacji. Pracowali w systemie trzyzmianowym, przy czym jedna zmiana trwała całą dobę. Kiedy nie byli na służbie, mieszkali w wojskowym ośrodku wypoczynkowym, oddalonym o kilka kilometrów od posesji prezydenta.

Działał tylko jeden telefon z całego, bogatego zestawu telekomunikacyjnego. Był to radiotelefon połączony z rządowym centrum telekomunikacyjnym w Muchałatce, położonym w odległości kilku kilometrów od letniej rezydencji Gorbaczowa. Kiedy w słuchawce odezwał się głos oficera dyżurnego, Kiryłłow poprosił o natychmiastowe połączenie z Moskwą.

„Nie mamy łączności z nikim" - odparł głos w słuchawce. - „Mamy awarię"[71].

Członkowie ekipy obsługi kodów jądrowych wpadli w panikę, kiedy usłyszeli głośne pukanie do drzwi. Dowódca radzieckich sił lądowych, generał Walentin Warennikow, stał na korytarzu wraz z sześcioma innymi oficerami, których w większości Kiryłłow nigdy dotąd nie widział.

„Jak łączność?" - warknął generał.

„Nie ma żadnej łączności" - stwierdził pułkownik.

„I dobrze. Tak powinno być" - odparł Warennikow, najwyraźniej zadowolony. Wytłumaczył Kiryłłowowi, że przerwa w łączności będzie trwała około dwudziestu czterech godzin, i dodał: - „Prezydent wie o wszystkim". - To powiedziawszy, generał wraz z towarzyszącymi mu oficerami udał się w stronę rezydencji Gorbaczowa. Kiedy pułkownik chciał się dowiedzieć czegoś więcej, jeden z członków świty Warennikowa poradził mu, by „zajął się własnymi sprawami".

„Grupa towarzyszy chce się z wami zobaczyć, Michaile Siergiejewiczu".

Gorbaczow oderwał wzrok od lektury, by spojrzeć na przymilną twarz szefa swej osobistej ochrony, Władimira Miedwiediewa. Siedział za biurkiem w gabinecie swojej krymskiej rezydencji. Za oknem rozpościerał się wspaniały widok na Morze Czarne. Jego doroczne wakacje praktycznie dobiegały końca. Czuł się wypoczęty i generalnie w dobrej formie, chociaż odczuwał ból w lędźwiach. Poprzedniego dnia, w czasie spaceru po wzgórzach wokół Foros, miał atak lumbago. Rano lekarz osobisty zaaplikował mu kilka zastrzyków przeciwbólowych. „Rób, co chcesz" - zażartował prezydent. - „Usuń nerw, parę kręgów z kręgosłupa, a może nogę, bylebym tylko mógł być w Moskwie 19 sierpnia"[72].

Kiedy do pokoju wszedł Miedwiediew, Gorbaczow pracował nad przemówieniem, które zamierzał wygłosić w czasie uroczystości podpisania układu związkowego. Układ był, jego zdaniem, ostatnią szansą na ocalenie Związku Radzieckiego.

„Jacy towarzysze?" - rzucił ostro. - „Nikogo się nie spodziewam"[73].

Prezydent był zirytowany. W czasie wakacji rzadko zapraszał oficjeli z Kremla. Kiedy przebywał w Foros, wolał być sam z najbliższą rodziną: Raisą, córką Iriną,

zięciem Anatolijem i dwojgiem wnucząt. Pojawienie się w prywatnej samotni bez zaproszenia było poważnym naruszeniem protokołu, a także dezorganizowało skomplikowany system zasad bezpieczeństwa obowiązujących w miejscu pobytu prezydenta. Gorbaczow chciał wiedzieć, dlaczego ochrona wpuściła przybyłych na teren posiadłości.

„Przyszli z Plechanowem” - odparł nerwowo Miedwiediew.

To przynajmniej tłumaczyło, dlaczego „towarzysze” nie zostali zatrzymani przez straże. Generał porucznik Jurij Plechanow był szefem Dziewiątego Zarządu Głównego KGB - odpowiedzialnego za ochronę przywódców radzieckich. Członkowie obstawy prezydenta podlegali pośrednio właśnie jemu. To Plechanow opracował pozornie nieprzenikliwy system bezpieczeństwa wokół rezydencji, składający się z trzech okręgów straży, liczących łącznie pięćset doskonale uzbrojonych ludzi. Byli tam osobiści ochroniarze prezydenta, na czele z Miedwiediewem. Następnie - żołnierze KGB odpowiedzialni za ochronę wewnętrznego terenu posiadłości i obsadzający pięć wieżyczek obserwacyjnych. Wreszcie tereny okalające parcelę patrolowane były przez oddziały wojsk obrony pogranicza. Co roku Plechanow spędzał kilka dni w Foros, by się upewnić, że system działa właściwie.

„W porządku, niech poczekają chwilkę” - powiedział Gorbaczow do Miedwiediewa. Chciał zapytać Kriuczkowa, co się dzieje. Przybycie grupy dostojników państwowych z wizytą do Foros na dzień przed jego powrotem do Moskwy wydało mu się dziwne. Ale ufał szefowi KGB, który był wszak wzorem lojalności. W czasie pobytu w Foros rozmawiał z nim przez telefon niemal codziennie.

Prezydent podniósł słuchawkę wiertuszki, ale telefon był głuchy. Wziął do ręki słuchawkę drugiego telefonu, potem trzeciego i czwartego - z tym samym, niepokojącym, rezultatem. W końcu zdjął pokrowiec ze specjalnego, czerwonego telefonu zarezerwowanego wyłącznie dla zwierzchnika sił zbrojnych. Była to gorąca linia łącząca ministra obrony i szefa sztabu generalnego, z której można korzystać wyłącznie w wypadku ataku nuklearnego na Związek Radziecki. Nikomu nie wolno było dotykać tego telefonu, nawet żeby go odkurzyć. Czerwony telefon także milczał jak zaklęty. Gorbaczow nie miał wątpliwości, że podjęto próbę obalenia go. Spojrzał na zegarek. Była 16.50.

Wybiegł na werandę, gdzie żona wypoczywała po całym dniu spędzonym na plaży. W ciągu minionych sześciu lat dzielił się z nią swoimi nadziejami i troskami. Teraz wyznał jej, że wykrył spisek. Było to jedyne możliwe wytłumaczenie

niespotykanej ciszy telekomunikacyjnej oraz nagłego przybycia nie zaproszonych gości. Odłączono nawet odbiornik telewizyjny. Małżonkowie musieli się przygotować na okres przymusowej rozłąki, a może nawet aresztowania.

„Jeśli uważają, że w ten sposób zmuszą mnie do zmiany mojej polityki, są w błędzie. Nie poddam się szantażowi i groźbom" - odezwał się Gorbaczow po chwili milczenia. - „Będzie to bardzo trudne dla nas wszystkich, dla całej rodziny. Musimy być gotowi na wszystko"[74].

„Sam zdecyduj, ale będę przy tobie, bez względu na to, co się wydarzy".

Raisa przyprowadziła Irinę i Anatolija. Zrozumieli, że może się zdarzyć wszystko. Raisa stwierdziła potem: „Znaliśmy naszą historię, jej najczarniejsze karty". Pamiętali, jak ostatni reformator na Kremlu, Nikita Chruszczów, z dnia na dzień został pozbawiony wszystkich godności i zesłany do moskiewskiej daczy. W historii Rosji wielu przywódców mordowano, torturowano lub wtrącano do więzienia. Członkowie rodziny kolejno zapewniali Gorbaczowa, że popierają jego postanowienie nieulegania szantażowi.

Gorbaczow, powziąwszy decyzję, powrócił do gabinetu, gdzie czekali już na niego „towarzysze". Minęło półtorej godziny, zaczęli się już więc denerwować. Było tam pięć osób: Bakłanow, Szenin, Bołdin, Warennikow i Plechanow. Wszyscy w garniturach. Gorbaczow, który miał na sobie szorty i bluzę, natychmiast zaczął ich zasypywać pytaniami:

„Kto was tu przysłał"?

„Komitet".

„Jaki komitet?"

„Komitet powołany do opanowania niebezpiecznej sytuacji w kraju".

„Przez kogo powołany? Nie powołałem go ani ja, ani Rada Najwyższa. Kto go powołał?"[75]

Gabinet Gorbaczowa był niewielki; nie dla wszystkich starczyło krzeseł. Goście byli podenerwowani, niepewni siebie. Nie oczekiwali tak nieprzychylnego przyjęcia przez prezydenta, konformisty do szpiku kości. Spodziewali się, że uda im się wytargować „wspólnie uzgodnione rozwiązanie"[76]. Ale tym razem Gorbaczow nie był w nastroju do kompromisu. Patrzył na Plechanowa i arogancko kazał mu opuścić pokój. Jeśli o niego chodziło, Plechanow był lokajem, a lokaje nie powinni się wtrącać do polityki.

Goście podali Gorbaczowowi nazwiska niektórych członków Komitetu Stanu Wyjątkowego. Lista obejmowała wiceprezydenta, premiera, ministra obrony,

ministra spraw wewnętrznych, szefa KGB. Prezydent niebieskim piórem zapisywał nazwiska w notesie. Byli to ludzie, których znał, którym ufał i których awansował do najwyższych stanowisk w państwie i rządzie.

Jedynym członkiem komitetu, który przybył do Foros, był Bakłanow. To on głównie zabierał głos. Poinformował Gorbaczowa, że ma dwie możliwości. Albo podpisze dekret wprowadzający stan wyjątkowy albo czasowo przeniesie swe uprawnienia na wiceprezydenta Janajewa. Kiedy Gorbaczow odparł, że przywódcy republik 20 sierpnia mają podpisać nowy układ związkowy, Bakłanow przerwał mu: „Nie będzie żadnej uroczystości podpisania".

„Jelcyn już został aresztowany" - dodał Bakłanow. Kilka sekund później poprawił się: - „Będzie aresztowany"[77].

„Wy i ci, którzy was przysłali, jesteście nieodpowiedzialni. Zgubicie siebie, ale to wasza sprawa. Do diabła z wami.

Ale zgubicie także kraj i wszystko, co do tej pory zostało zrobione. Przekażcie to komitetowi, który was przysłał".

Gorbaczow rozpoczął teraz jeden ze swych długich monologów w ulubionym stylu dyskusji politycznej. Obsztorcował konspiratorów, tak jak wymyślał parlamentowi i Komitetowi Centralnemu, powtarzając raz po raz: „Idźcie do diabła". Powiedział im, że Związek Radziecki stoi w obliczu wielu kryzysowych chwil, ale stan wyjątkowy nie pomoże się z nimi uporać. Problemy kraju można rozwiązać tylko metodami demokratycznymi. Jeśli ktoś myśli inaczej, jest „awanturnikiem" i „zbrodniarzem". Nic nie wyjdzie z ich planów.

„Tylko ludzie myślący o samobójstwie mogą dziś proponować wprowadzenie stanu wyjątkowego w kraju. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego".

„Michaile Siergiejewiczu" - błagał stojący przy oknie Bołdin, dotychczas najbardziej uniżony współpracownik prezydenta - „nie rozumiecie, w jakiej sytuacji znalazł się kraj".

„Zamknij się, kanalio!" - warknął Gorbaczow. - „Jak śmiesz mnie pouczać, w jakiej sytuacji jest kraj!"[78]

Warennikow, ledwie się hamując, siedział naprzeciwko Gorbaczowa, po drugiej stronie stołu. Były dowódca z Afganistanu mówił donośnym głosem, słyszalnym nawet w najodleglejszych krańcach placu defilad. Przyzwyczajony był do wydawania, a nie otrzymywania rozkazów. Wrzasnął na swego przełożonego, jakby Gorbaczow był młodym oficerem, który splamił honor pułku.

„Zrezygnuj!"[79]

Warennikow sam wygłosił tyradę, narzekając na „poniżenie", jakie muszą

znosić radzieckie siły zbrojne, szczególnie oddziały wycofujące się z Niemiec Wschodnich. Chciał wiedzieć, dlaczego pozwala się na szaleństwa separatystycznych sił nacjonalistycznych? Dlaczego prezydent ignoruje konstytucję, której przysiągł przestrzegać?

Gorbaczow zbył milczeniem żądanie dymisji i aby pokazać Warennikowowi, gdzie jego miejsce, udał, że z trudem przypomina sobie imię i otczestwo generała.

„Walentin Iwanowicz, czy tak? Więc posłuchaj, Walentinie Iwanowiczu. Społeczeństwo to nie batalion żołnierzy, którym można rozkazać: «W prawo zwrot, w lewo zwrot, marsz!» i spodziewać się, że potulnie będą tego słuchać. Wcale tak nie jest”[80].

Rzuciwszy jeszcze kilka rosyjskich przekleństw na swoich byłych podwładnych, Gorbaczow oświadczył, że są „przestępcami” i poniosą odpowiedzialność za swoje czyny. Kiedy konspiratorzy wyszli z gabinetu, pogroził im pięścią.

Raisa siedziała w hallu z córką i zięciem. Bała się, że spiskowcy od razu zaaresztują jej męża. Szczególnie wstrząśnięta była widokiem Bołdina w tej grupie: do tej pory uważała go za przyjaciela domu. Zatrzymał się w bliskiej odległości od niej, ale nic nie powiedział. Szenin i Bakłanow powiedzieli: „Cześć”.

„Dlaczego tu przyjechaliście?” - zapytała Bakłanowa.

„Siła wyższa” - odparł i dodał: - „Jesteśmy waszymi przyjaciółmi”.

Wyciągnął rękę w geście pożegnania, ale Raisa nie chciała mu podać swojej[81].

MOSKWA

388 sierpnia 1991

Koledzy Gorbaczowa zebrali się w gabinecie premiera, na pierwszym piętrze siedziby rządu na Kremlu. Usiedli wokół długiego stołu konferencyjnego, okrytego zielonym rypsem. Stół zastawiony był butelkami z wodą mineralną, nie dopitymi filiżankami herbaty i kawy, talerzami pełnymi ciastek i kanapek oraz tajnymi dokumentami. W powietrzu wisiał dym papierosowy.

Uczestnicy spotkania zajęli miejsca po obu stronach stołu, wedle starszeństwa. Najwyżsi rangą oficjele siedzieli najdalej od drzwi. Kiedy tylko ktoś wchodził do sali, zamieniali się miejscami, aby zachować kremlowską kolejność dziobania. Ale miejsce u szczytu stołu, zarezerwowane dla przewodniczącego zebrania, zawsze pozostawało puste. Tak jakby nikt z jego uczestników nie chciał wziąć indywidualnej odpowiedzialności za wydarzenia, do których doszło. Wszyscy szukali schronienia za anonimowością kolektywu. Pod nieobecność Gorbaczowa byli pozbawieni przywództwa.

Wiceprezydent Janajew spóźnił się. Czuć było od niego alkoholem. Konspiratorzy mieli nadzieję, że zgodzi się sam wystąpić przeciwko urzędującemu prezydentowi, ale musiał jeszcze wyrazić na to zgodę. Całe popołudnie spędził w towarzystwie kompana od kieliszka w rządowym ośrodku wypoczynkowym pod Moskwą. Jego cokolwiek niechlujny wygląd wywołał sarkastyczne komentarze premiera Pawłowa, który także sporo pił tego popołudnia z okazji powrotu do domu syna.

„Oto jesteśmy tutaj, omawiając ważne sprawy, a wiceprezydent gdzieś się wałęsa” - zauważył Pawłów żartobliwie, kiedy Janajew wszedł do pokoju[82].

Wiceprezydent usiadł na swym dotychczasowym miejscu, z lewej strony pustego fotela. Miejsce naprzeciwko niego zarezerwowane było dla przewodniczącego parlamentu radzieckiego, Anatolija Łukjanowa, którego w ostatniej chwili także wezwano na naradę. Chytry Łukjanow nalegał, by usunąć jego nazwisko z listy członków GKChP. Jako przedstawiciel władzy ustawodawczej nie mógł brać udziału w pracach organu władzy wykonawczej.

Naradę zwołał Kriuczkow, pod pretekstem „choroby” prezydenta i konieczności pilnego podjęcia działań niezbędnych do ustabilizowania sytuacji w kraju. Teraz, kiedy prezydent znalazł się w odosobnieniu, Kriuczkowowi przypadło delikatne zadanie poszerzenia kręgu spiskowców i wciągnięcia doń innych człon-

ków kierownictwa. „Choroba” Gorbaczowa była wygodną fikcją, która wszystkim zebranym umożliwiła ukrycie się pod płaszczykiem legalności.

Janajew nie zabierał głosu, pozwalając, by debata toczyła się bez jego udziału. Nie był pewien, jakie powinien zająć stanowisko. Pijackie otępienie tym bardziej utrudniało mu zebranie myśli. Przed kilkoma godzinami rozmawiał z Gorbaczowem przez telefon. Dowiedział się, że 19 sierpnia prezydent zamierza przylecieć z powrotem do Moskwy, więc doskonale wiedział, że nie jest obłożnie chory. Podzielał rozczarowanie kolegów co do sytuacji w kraju i uważał, że jedynym rozwiązaniem są rządy „silnej ręki”. Z drugiej strony nigdy nie miał ambicji objęcia stanowiska przywódcy, a już na pewno nie dyktatora.

Podobnie jak większość Rosjan, Janajew był zaskoczony, że został wybrany na wiceprezydenta. Prasa traktowała go jak bezbarwnego biurokratę, który doszedł na szczyty, po prostu nie wychylając się zanadto. Napisawszy doktorat na temat trockizmu i anarchizmu, robił karierę głównie w Komsomole - komunistycznej organizacji młodzieżowej. Pracował też w rządowych związkach zawodowych, traktowanych jako boczny tor dla miernot. Nudna biografia Janajewa i nijaka osobowość sprawiły, że osiem miesięcy temu na Zjeździe Deputowanych Ludowych, kiedy Gorbaczow zaproponował mu objęcie posady wiceprezydenta, delegaci byli bliscy buntu. Nawet jego dowcipy wypadały smutno. Wypytywany przez deputowanych o stan zdrowia, odparł: „Spełniam swe małżeńskie powinności w sposób satysfakcjonujący”. (Według prokuratury rosyjskiej, Janajew był niepoprawnym kobieciarzem.) Wybrano go w drugiej turze, ale Gorbaczow zdawał się zadowolony ze swego wyboru. Prezydent nie chciał mieć pod bokiem nikogo o silnej osobowości, kto mógłby któregoś dnia mu zagrozić.

Wkrótce po dziesiątej wieczorem do pokoju wpadła delegacja, która odwiedziła Gorbaczowa w Foros. Oni także pili alkohol w samolocie. Szenin i Bakłanow zdali relację ze spotkania z prezydentem, skarżąc się, że nie zgodził się na ich ze wszech miar rozsądne sugestie dotyczące wprowadzenia stanu wyjątkowego. Janajew bezskutecznie usiłował dowiedzieć się dokładnie, co dolega Gorbaczowowi.

„O co ci chodzi? Nie jesteśmy lekarzami” - stwierdził jeden z członków delegacji. - „Powiedzieli nam tylko: «Jest chory»*”[83].

Kiedy Janajew zdał sobie sprawę, że pozostali chcą go skłonić, by przejął prezydenturę, zaczął się wykręcać. Protestował, twierdząc, że Łukjanow, który znał Gorbaczowa z czasów studenckich, byłby w tej roli o wiele lepszy. Przewodniczący Rady Najwyższej nieubłaganie opierał się jednak tej propozycji. Przybył

na zebranie uzbrojony w egzemplarz konstytucji, której zresztą był współautorem. Przekonywał Janajewa, że konstytucja wyraźnie mówi, że jeśli prezydent z jakichkolwiek powodów jest niezdolny do sprawowania władzy, jego obowiązki przejmuje wiceprezydent.

„Zgodnie z konstytucją to ty zostajesz urzędującym prezydentem, a nie ja. Moim zadaniem jest zwoływanie Rady Najwyższej”[84].

W tym momencie Kriuczkow podał mu kartkę papieru. Zawierała jedno zdanie wystukane na maszynie:

> W związku z niezdolnością Gorbaczowa, Michaiła Siergiejewicza, do wypełniania obowiązków Prezydenta ZSRR ze względu na stan zdrowia, przejmuję kompetencje Prezydenta ZSRR z dniem 19 sierpnia 1991 roku, na podstawie artykułu 127 Konstytucji ZSRR.
>
> Wiceprezydent ZSRR G. I. Janajew

„Nie rozumiesz?” - zagadnął Kriuczkow, jeden z nielicznych trzeźwych jeszcze uczestników narady. - „Jeśli nie zajmiemy się zbiorami, będzie głód. Za kilka miesięcy ludzie wyjdą na ulice i przyjdą po nas. Dojdzie do wojny domowej”[85].

„Może nie powinniśmy mówić, że on jest chory” - zadumał się Janajew, odpalając jednego papierosa od drugiego. - „Może nie zrozumieją nas właściwie. Zaczną spekulować, będą gadać... Ludzie będą natychmiast chcieli wiedzieć, kiedy się poczuje lepiej”.

„Jeśli nie powiążemy tego z chorobą Gorbaczowa, jaką możemy mieć inną podstawę przejęcia jego obowiązków? Nie czas teraz na badanie, czy jest chory, czy zdrowy. Musimy ocalić kraj!”[86]

Dokoła stołu zapadła cisza. Wszyscy czekali, aż wiceprezydent się namyśli.

„Nie podpiszę tego dokumentu” - orzekł w końcu. - „Nie uważam się za moralnie i zawodowo przygotowanego do przejęcia takiej odpowiedzialności”[87].

Wszyscy siedzący przy stole zaczęli uspokajać Janajewa. Obiecali, że GKChP zajmie się wszystkim za niego. Jego obowiązki będą się ograniczały do podpisywania kilku dekretów. A kiedy Gorbaczow wróci do zdrowia, automatycznie przejmie swe stare obowiązki.

„Podpisz, Giennadiju Iwanowiczu” - miękko poprosił Kriuczkow.

Janajew wziął pióro i trzęsącą się ręką złożył swój podpis na dokumencie.

MOSKWA

391 sierpnia 1991

Krótko po szóstej rano najstarsza córka Jelcyna, Tania, wpadła do jego sypialni, krzycząc: „Papo, wstawaj! Zamach stanu!”

„To nielegalne” - odparł Jelcyn, na wpół śpiąc. Niespełna sześć tygodni temu został zaprzysiężony jako pierwszy wybrany w powszechnym głosowaniu prezydent w tysiącletniej historii Rosji, a teraz jego dzieci żartują o zamachu.

Tania opowiedziała ojcu, co słyszała w telewizji. Gorbaczowa usunięto z powodu złego stanu zdrowia. Powołano komitet, o dziwnie brzmiącym skrócie, do kierowania krajem w warunkach stanu wyjątkowego. W skład komitetu wchodzi Kriuczkow, Jazów, Janajew. Teraz Jelcyn był już całkiem rozbudzony. Jego pierwsza reakcja na zamach była taka, jak milionów obywateli radzieckich, kiedy usłyszeli wiadomość w telewizji bądź od znajomych, przez telefon:

„Chyba żartujesz?!”[88]

Wciąż w piżamie, Jelcyn podszedł do telewizora. Sroga matrona w średnim wieku odczytywała coś ze sterty leżących przed nią dekretów.

„Organizowanie zebrań, pochodów ulicznych, demonstracji i strajków jest zabronione. W razie konieczności zostanie wprowadzona godzina milicyjna i patrole wojskowe. Ważne obiekty rządowe i gospodarcze zostaną objęte strażą. Poczynione zostaną zdecydowane kroki w celu powstrzymania rozpowszechniających się wywrotowych plotek, działań grożących łamaniem prawa i zakłóceniem porządku oraz wywoływaniem waśni na tle etnicznym, a także w celu uniemożliwienia aktów nieposłuszeństwa wobec władz odpowiedzialnych za wprowadzenie stanu wyjątkowego. Środki masowego przekazu zostaną poddane kontroli...”

Jelcyn, jak inni wyżsi rangą politycy, spędził weekend w bukolicznym otoczeniu, w daczy pod Moskwą. Po długich negocjacjach z władzami centralnymi rządowi rosyjskiemu przyznano w końcu zespół kilkunastu daczy we wsi Archangielskoje nad rzeką Moskwą, oddalony od centrum stolicy o dwadzieścia minut jazdy samochodem. Wszyscy główni współpracownicy Jelcyna, łącznie z przewodniczącym parlamentu rosyjskiego Rusłanem Chasbułatowem i rosyjskim premierem Iwanem Siłajewem, mieli swe dacze w obrębie tego samego kompleksu. Skoro tylko dotarły do nich informacje, zaczęli się gromadzić w daczy Jelcyna.

W pierwszej kolejności należało ustalić, jakim poparciem cieszą się w kraju

organizatorzy puczu. Jednak żaden z dziewięciu przywódców republik nie był skłonny rozmawiać z Jelcynem przez telefon. Jelcyn dopiero co powrócił z Kazachstanu, gdzie nawiązał dobre stosunki z przywódcą kazachskim, Nazarbajewem. Poprzedniego dnia wznosił z nimi toasty dla uczczenia sukcesu, którym było przekonanie Gorbaczowa, by zaakceptował nowy układ związkowy. Jednakże tego ranka Nazarbajew był wyjątkowo ostrożny - nie chciał się opowiedzieć za jedną lub drugą stroną.

„Jasne, że to zamach stanu. Gorbaczowa siłą pozbawiono władzy. Jak zamierzasz zareagować?" - zadał pytanie Jelcyn, dodzwoniwszy się do Ałma Aty[89].

Nazarbajew odparł, że nie ma wystarczającej ilości informacji, by cokolwiek publicznie oświadczać. Postawę „poczekamy-zobaczymy" przyjęli także przywódcy Ukrainy i Białorusi, kiedy w końcu udało mu się z nimi połączyć.

Przynajmniej *wiertuszka* wciąż działała. Jelcyn użył jej, by dodzwonić się do Janajewa, ale powiedziano mu, że „p.o. prezydent" właśnie „wypoczywa" po całonocnej pracy. Potem zamówił połączenie z Foros, by porozmawiać z Gorbaczowem. Kilka minut później oddzwonił mu oficer dyżurny i powiedział, że nie może się połączyć.

Najważniejszą rozmowę, jaką odbył z Archangielskoje, była wymiana zdań z generałem Pawłem Graczowem, dowódcą wojsk powietrznodesantowych. Dwaj mężczyźni poznali się zaledwie przed kilkoma tygodniami, w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej w Rosji. Jelcyn, dzięki swemu szóstemu zmysłowi, który stał się jego politycznym znakiem firmowym, rozumiał, że któregoś dnia może potrzebować poparcia wojska. Odwiedzając na trasie kampanii Tułę, postanowił złożyć wizytę odbywającym w pobliżu ćwiczenia spadochroniarzom. Jego gospodarzem był właśnie Graczow. Obejrzawszy skoki ze spadochronem, dwaj mężczyźni udali się do chaty nad jeziorem, gdzie osuszyli wiele butelek wódki. Jelcyn pływał nago w jeziorze. Po bankiecie oficerowie i politycy kilkakrotnie zapewniali się nawzajem o „wiecznej miłości i przyjaźni"[90].

W pijanym widzie przyszły prezydent Rosji zadał bohaterowi wojny afgańskiej ważkie pytanie: „Jeśli legalnie wybrany rząd w Rosji będzie zagrożony - przez akty terroryzmu, zamach albo próbę aresztowania przywódców - czy będzie można liczyć na wojsko? Czy można liczyć na ciebie?"

„Tak, można" - odpowiedział Graczow[91].

Jelcyn nie wiedział jednak, że Graczow odegrał ważną rolę w przygotowywaniu planów wprowadzenia stanu wyjątkowego. Na zaproszenie Kriuczkowa wszedł w skład roboczej grupy wyższych funkcjonariuszy KGB i resortu obrony,

która zaczęła się przygotowywać do rozprawy, kiedy tylko Gorbaczow wyjechał do Foros. Dokumenty przygotowywane między innymi przez Graczowa stanowiły podstawę dekretów wydawanych przez GKChP, które rano odczytywano w telewizji. Kiedy dodzwonił się do niego Jelcyn, generał nadzorował przemieszczanie się dziesiątek tysięcy żołnierzy w stronę stolicy. Wśród tych oddziałów była też dywizja z Tuły. Minister obrony Dmitrij Jazów powierzył Graczowowi odpowiedzialność za militarną stronę zamachu.

Rosyjski prezydent zapytał generała, czy pamięta ich rozmowę sprzed kilku tygodni. Po długim milczeniu Graczow odrzekł, że przysięga wojskowa nakazuje mu wypełniać rozkazy swoich przełożonych. A potem dodał: „Chwileczkę, Borysie Nikołajewiczu, wyślę ci oddział dla ochrony”[92].

Jelcyn podziękował Graczowowi i pożegnali się. W głosie generała było coś, co brzmiało zachęcająco. Jak na oficera, który wie, że ktoś może podsłuchiwać rozmowę, brzmiał niezwykle współczująco.

„Graczow jest po naszej stronie” - ogłosił Jelcyn swojej żonie, Nainie, kiedy odłożył słuchawkę.

Gdy Jelcyn rozmawiał przez telefon, inni przywódcy rosyjscy przygotowywali odezwę do obywateli Rosji. Zdawali sobie sprawę, że nie ma sensu podejmować rokowań z członkami GKChP. Nadzieją było dla nich zajęcie jednoznacznego stanowiska w ramach konstytucyjnej legalności. Nie może być kompromisu z ludźmi, którzy obalili demokratycznie wybranego prezydenta Związku Radzieckiego.

Ponieważ nie było pod ręką maszyny do pisania, Chasbułatow zaczął pisać odezwę odręcznie. „Stajemy wobec prawicowego, reakcyjnego, antykonstytucyjnego zamachu” - kaligrafował. Pozostali pochylali się nad nim, pomagając mu właściwie dobrać słowa. - „Apelujemy do obywateli Rosji, by udzielili godnej odpowiedzi puczystom, i żądamy przywrócenia normalnego, konstytucyjnego ładu w kraju”. Kiedy podpisali odezwę, Jelcyn, Siłajew i Chasbułatow nie mieli pojęcia, w jaki sposób mogłaby kiedykolwiek dotrzeć do opinii publicznej.

W praktyce rozpowszechnienie odezwy okazało się zadziwiająco prostą operacją. W przeciwieństwie do Jaruzelskiego w grudniu 1981 roku, Kriuczkow i jego kompani zaniedbali niektórych istotnych przygotowań do zamachu. Nie zorganizowano masowej łapanki na opozycję polityczną. Granice ZSRR pozostały otwarte. Niezależne rozgłośnie radiowe przez cały czas nadawały. Działały telefony. Aparatczycy, którzy powołali GKChP, najwyraźniej zakładali, że skoro

raz pozbędą się Gorbaczowa, reszta społeczeństwa potulnie im się podporządkuje. Działali zgodnie z regułami ostatniego przewrotu na Kremlu, przeciwko Nikicie Chruszczowowi. Wówczas, w październiku 1964 roku, kontrola Moskwy nad informacją była całkowita.

Rewolucja informacyjna dotarła jednak do Rosji przed 1991 rokiem. Istniały dziesiątki sposobów przesłania wiadomości na zewnątrz. Córki prezydenta zaczęły faksować tekst do grupy zwolenników Jelcyna w pobliskim Zielenogradzie. Zięć Liosza wysłał apel do ośrodka kosmicznego, w którym pracował. Ktoś jeszcze zadzwonił do Białego Domu, siedziby rządu rosyjskiego. W ciągu godziny wezwanie do stawienia oporu zamachowcom zostało skserowane, przefaksowane, ogłoszone w radiu i wysłane pocztą elektroniczną na cały świat. Było to imponujące osiągnięcie jak na kraj, w którym do 1989 roku wszystkie kserokopiarki trzymano pod kluczem.

Jelcyn tak bardzo był zajęty organizowaniem oporu, że nie miał czasu zmienić slipów i krótkich spodenek na bardziej odpowiedni strój. Kiedy postanowił udać się do Białego Domu, rodzina pomagała mu się ubrać w garnitur. Przywódca Rosji wypowiedział wówczas zdanie, które stało się jednym z popularnych powiedzonek: „Czy któraś z was, kobiety, może znaleźć jakieś skarpetki dla prezydenta Rosji?”[93]

Zanim Jelcyn opuścił Archangielskoje, włożył kamizelkę kuloodporną, którą dostał od jednego z członków obstawy. Widok wystającej spod eleganckiego, brązowego garnituru kamizelki sprawił, że rodzina zrozumiała, na jakie ryzyko Jelcyn się decyduje. Nagle żonę i córkę opanował strach. Wcześniej kilkudziesięciu ochroniarzy, uzbrojonych w karabinki, zajęło pozycje wokół daczy.

„Co chcesz osłonić tą kamizelką?” - zagadnęła Naina. - „Głowę masz wciąż nieosłoniętą. A głowa jest tu najważniejsza!”

Kiedy prezydent wsiadał do swej limuzyny, żona zaczęła się martwić, że w stronę Moskwy jadą już czołgi. Jelcyn starał się, by w jego głosie brzmiała pewność siebie. „Mam na samochodzie proporczyk prezydenta Rosji. Nie zatrzymają nas”[94].

Prezydencki ził popędził krętą drogą prowadzącą z Archangielskoje do Moskwy. Za nim ruszyła kawalkada rządowych samochodów. Jechali wprost na południe; poranne słońce świeciło im prosto w twarze, co znacznie ograniczało widoczność. Kiedy wjechali na autostradę łączącą Moskwę z Mińskiem, wyprzedzili setki czołgów, pojazdów opancerzonych i ciężarówek z żołnierzami, zmierzających w stronę centrum miasta. Sznur pojazdów wojskowych zdawał się nie

mieć końca. Żołnierzy obudzono o 4.30 i rozkazano ruszyć do Moskwy w pełnym rynsztunku bojowym. Podobne kolumny kierowały się ku stolicy z północy i południa.

W Białym Domu zebrało się już kilkudziesięciu dziennikarzy, zarówno radzieckich, jak i zachodnich. Jeśli miało dojść do znaczącego oporu przeciwko tym, którzy wyrwali władzę Gorbaczowowi z rąk, ta wielka budowla na lewym brzegu Moskwy niemal na pewno stałaby się centralnym jego ośrodkiem. Zaprojektowana przez zespół radzieckich architektów, reprezentowała najgorsze tradycje postalinowskiego modernizmu. Ten osiemnastopiętrowy gmach na pewno nie wyglądał jak symbol nie opierzonej jeszcze rosyjskiej demokracji. Przemierzając jego korytarze, łatwo było się pogubić w ich plątaninie. Był to budynek tego rodzaju, że jeśli chciało się dotrzeć do bufetu na najwyższym piętrze, najpierw trzeba było jechać windą na siódme piętro, przejść korytarzem, zejść schodami dwa piętra i potem pojechać na górę inną windą. Okazało się jednak, że labirynt korytarzy i podziemnych tuneli zapewnił obrońcom Białego Domu bezpieczeństwo.

Jelcyn po raz pierwszy od początku zamachu pojawił się przed dziennikarzami. Był blady i roztrzęsiony. Wydawało się, że przygniata go ogrom zadania. Żadna z republik nie pośpieszyła Rosji z pomocą, a Jelcyn miał świeżo w pamięci widok potężnego arsenału, który szykował się do ataku. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. „W stronę tego gmachu zmierza przynajmniej pięćdziesiąt czołgów" - zakomunikował reporterom po krótkiej konsultacji przeprowadzonej szeptem z jednym ze współpracowników. - „Jeśli ktoś chce ujść z życiem, powinien o to zadbać teraz"[95].

Kiedy powrócił do swego gabinetu na czwartym piętrze Białego Domu, widział już rząd czołgów stojących wzdłuż nabrzeża. Grupa moskwian otoczyła czołgi i kłóciła się z ich załogami. Nikt się jakoś nie bał, mimo że z radia i telewizji wylewały się straszne ostrzeżenia GKChP kierowane do wszystkich, którzy by się ośmielili stawić opór. „Nagle poczułem jakieś szarpnięcie w środku" - twierdzi w swoich pamiętnikach. - „Musiałem natychmiast tam być, chciałem stać razem z tymi ludźmi"[96].

Tłum na widok olbrzymiej postury prezydenta kroczącego z godnością schodami przed Białym Domem i zmierzającego w stronę czołgów zaczął wiwatować. Natychmiast rozległy się okrzyki: „Jelcyn, Jelcyn!" i „Precz z partią!" Jelcyn w otoczeniu współpracowników i ochroniarzy zbliżył się do opatrzonego numerem 110 czołgu Dywizji Tamańskiej i pozował do zdjęć. Kamery telewizyjne warczały

jak zwariowane, kiedy prezydent uścisnął prawicę dowódcy czołgu. Załoga była oszołomiona, zaskoczona tym, co się dzieje.

„Jak widać, na razie nie będą strzelać do prezydenta Rosji” - żartował z tłumem Jelcyn[97].

Pomocne dłonie pomogły mu się wdrapać na czołg. Kilkunastu ochroniarzy i deputowanych rosyjskich wspięło się wraz z nim. Ktoś trzymał w górze biało-niebiesko-czerwoną flagę Rosji sprzed rewolucji bolszewickiej 1917 roku. Prezydent, stojąc tuż przy wieżyczce czołgu, wyprostował się, uniósł dłoń, by uciszyć zebranych. Nadał swej twarzy chmurny wyraz i zaczął odczytywać „Odezwę do Obywateli Rosji”, którą wraz z przyjaciółmi zredagował tego ranka.

„Użycie siły jest zupełnie nie do przyjęcia!” - zagrzmiał Jelcyn. - „Jesteśmy absolutnie przekonani, że nasi rodacy nie dopuszczą, by zatriumfowała tyrania i bezprawie puczystów, którzy stracili poczucie wstydu i honor! Wzywamy członków sił zbrojnych, by okazali swoje wysokie poczucie odwagi cywilnej i odmówili udziału w reakcyjnym zamachu stanu!”

Kiedy stał na czołgu, otoczony wiwatującymi zwolennikami, Jelcyn poczuł zarówno przypływ energii, jak i niezwykłą ulgę. Czuł się tak, jak niegdyś w szkole, kiedy nie zawahał się oskarżyć nauczycielki o sadyzm. Teraz wszystko jest jasne. Niezwykle skomplikowana walka polityczna została sprowadzona do prostej sytuacji: wy albo my. O n i - pozostający przy władzy - mieli armaty. Ale o n , Jelcyn, miał palące poczucie moralnej słuszności i legitymacji politycznej. Po jego stronie było też społeczeństwo.

FOROS
19 sierpnia 1991

Z dnia na dzień prywatne zacisze Gorbaczowa przekształciło się w luksusowe - i zupełnie odcięte od świata - więzienie. Prezydent stał się więźniem sił bezpieczeństwa wyznaczonych do jego ochrony. Prezydencka rodzina nie miała możliwości ucieczki z Foros, podobnie jak nikt z zewnątrz nie miał dostępu do obwarowanej posiadłości. Lądowisko śmigłowców zastawiono wozami strażackimi, by udaremnić próbę udzielenia pomocy tą drogą. Straż graniczna zamknęła wszystkie drogi dojazdowe do Obozu Jutrzenki, którym to kryptonimem KGB określała „daczę” prezydenta. Poprzedniej nocy Gorbaczow i jego sekretarka naliczyli światła szesnastu okrętów wojennych blokujących zatokę[98].

Na gruncie przyległym bezpośrednio do willi mimochodem ustalił się dystans między przeciwnymi grupami straży. Ochroniarze prezydenta, z wyjątkiem generała Miedwiediewa, pozostali lojalni wobec Gorbaczowa. Nie próbowano ich rozbroić i pozwolono im chronić prezydenta. Zadanie strzeżenia posiadłości z zewnątrz powierzono świeżemu kontyngentowi funkcjonariuszy KGB, który przybył z Moskwy wraz z konspiratorami. Zajęli oni bramę wjazdową, skonfiskowali wszystkie pojazdy i decydowali, kto może pozostać, a kto opuścić strzeżony teren. Przejęli też wszelkie urządzenia umożliwiające łączność ze światem zewnętrznym.

Jednym z pierwszych, którzy podjęli próbę dostania się do Obozu Jutrzenki po zamachu, był wyższy rangą doradca prezydenta do spraw broni jądrowej, pułkownik Wiktor Wasiljew". Miał przejąć *czemodanczik* z rąk Kiryłłowa i eskortować Gorbaczowa w drodze powrotnej do Moskwy. Wraz z dwoma asystentami zameldował się przy wjeździe do Foros około ósmej rano. Nikt z tej trójki nie miał pojęcia, co się stało w kraju. W wojskowym ośrodku wypoczynkowym, gdzie byli zakwaterowani, nie było ani telewizji, ani telefonu.

Po sprawdzeniu przepustek strażnik kazał ekipie przydzielonej do *czemodanczika* poczekać i skontaktował się telefonicznie ze swymi przełożonymi. W kilka chwil później pojawił się pułkownik KGB i powiedział im, że przepustki są nieważne. Kiedy zapytali dlaczego, poradził im, aby posłuchali radia, które na okrągło nadawało dekrety GKChP.

Minister obrony potrzebował wielu godzin namysłu, by zdecydować, co uczynić z teczką kodową. Nie było szczególnego pośpiechu. *Czemodanczik* i tak prze-

stał działać z chwilą odcięcia łączności w Foros, o 16.32 poprzedniego dnia. (Minister obrony i szef sztabu generalnego mieli identyczne urządzenia, którymi mogli się posłużyć w razie ataku nuklearnego na Związek Radziecki.) Znaczenie *czemodanczika* było teraz raczej symboliczne niż praktyczne. Bez niego Gorbaczow przestał być zwierzchnikiem sił zbrojnych. Stało się to, bez zbędnych ceremonii, o czternastej 19 sierpnia, kiedy po ekipę kodową przyjechał wojskowy łazik. Tego samego wieczoru odlecieli do Moskwy na pokładzie samolotu prezydenckiego, zabierając z sobą także *czemodanczik*.

Konspiratorzy odcięli kabel radiowo-telewizyjny dochodzący do posiadłości prezydenta. Gorbaczow miał jednak mały odbiornik radiowy firmy Sony, którego słuchał przy goleniu. Całą noc kręcił gałką, starając się natrafić na informacje o planach GKChP. Nie dowiedział się niczego aż do szóstej rano, kiedy Radio Moskwa zaczęło nadawać oświadczenie Janajewa, że przejął władzę jako „p.o. prezydent".

Oprócz obstawy i sekretarki Gorbaczow wziął z sobą jedynie swego doradcę do spraw polityki zagranicznej, Anatolija Czerniajewa, który pomagał mu w pisaniu artykułu zarysowującego różne scenariusze rozwoju wypadków w kraju. Jednym z nich była opcja wprowadzenia stanu wyjątkowego, wskazana przez Gorbaczowa tylko po to, by ją odrzucić. Kiedy przybyli konspiratorzy, Czerniajew przebywał w domku gościnnym, na tyłach rezydencji prezydenckiej. Nie mógł opuścić posesji. Miał pozostać z Gorbaczowem do końca zamachu.

W poniedziałek rano Czerniajew zastał prezydenta jeszcze w łóżku. Gorbaczow sporządzał na własny użytek notatki. Plecy wciąż dawały mu się we znaki i każdy ruch przyprawiał go o nieznośny ból. Razem spróbowali przeanalizować szanse sukcesu zamachowców. Gorbaczow był pełen pogardy dla puczystów. Nie wierzył, że uda im się uzdrowić gospodarkę i przywrócić porządek. Na dłuższą metę byli przegrani. Obawiał się jednak, że na razie mogą się okazać górą.

„To się może skończyć bardzo źle" - powiedział ponuro. - „W tej sytuacji ufam Jelcynowi. On im nie ulegnie, nie pójdzie na żadne ustępstwa. Może dojść do rozlewu krwi"[100].

Raisa Gorbaczow wzięła na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo. Wstrząśnięta zdradą Bołdina i Plechanowa, stała się teraz nadwrażliwa. Przeraziło ją obwieszczenie GKChP, wedle którego Gorbaczow był niezdolny do wypełniania swych obowiązków ze względu na zły stan zdrowia. Doszła do wniosku, że następnym krokiem spiskowców będzie próba uczynienia z jej męża trwałego

inwalidy. W ten sposób mogliby uzasadnić swe oświadczenie. W obawie przed próbą otrucia zabroniła rodzinie jeść produkty, które zgromadzono w daczy przed ich przyjazdem. Jej córka, Irina, zebrała wszystkie owoce z domu i ukryła je w kredensie, żeby mieć pewność, że przynajmniej jej dzieci będą miały co jeść[101]. Raisa, pewna, że w całym domu zainstalowane są podsłuchy, nalegała, by wszystkie poufne rozmowy prowadzone były na zewnątrz.

Po śniadaniu cała rodzina Gorbaczowów i Czerniajew zjechali przeszklonymi ruchomymi schodami na skalistą plażę. Podczas gdy dzieci pływały w morzu, Gorbaczow i Czerniajew usiedli w maleńkiej przebieralni, planując następne posunięcie prezydenta. Gorbaczow postanowił bombardować przywódców GKChP ciągłymi żądaniami, by w ten sposób wywrzeć na nich presję psychologiczną. Czerniajew spisał pierwsze polecenia prezydenta, które następnie wręczył zastępcy Plechanowa, przedstawicielowi GKChP w Foros:

1. Żądam natychmiastowego przywrócenia łączności rządowej.

2. Żądam natychmiastowego podstawienia samolotu prezydenckiego, abym mógł wrócić do pracy.

W piątkowe popołudnie funkcjonariusze ochrony, którzy pozostali lojalni wobec prezydenta, zdołali sklecić prowizoryczną antenę telewizyjną. Telewizor zaczął działać w porze konferencji prasowej GKChP, którą zwołano tego wieczoru. Gorbaczowa uderzyły, nie mniej niż innych obywateli kraju, nie tyle słowa zamachowców, ile ich wygląd. Był to widok zaiste rozrzewniający. Zwolennicy silnej ręki wydawali się niezwykle zdenerwowani i niepewni siebie. Janajew nie mógł opanować drżenia dłoni, kiedy obiecywał odbudować prawo i porządek.

Nie mniej uderzający był absolutny brak respektu dziennikarzy dla niedoszłych zbawców narodu. Po sześciu latach głasnosti najwyraźniej nie mieli ochoty stracić swych ciężko wywalczonych swobód. Dwudziestoczteroletni reporter „Niezawisimoj Gaziety", najnowszego niezależnego dziennika moskiewskiego, zadał pytanie: „Czy zdajecie sobie panowie sprawę, że przeprowadziliście zamach stanu? Które porównanie wydaje się wam bliższe: z rokiem 1917 czy 1964?" Inni dziennikarze chcieli wiedzieć, czy Janajew będzie chciał skorzystać z rad chilijskiego generała Pinocheta i dlaczego społeczeństwo ZSRR nie może się dowiedzieć, co dokładnie dolega Gorbaczowowi.

Obejrzawszy to żałosne widowisko, Gorbaczow postanowił odwołać się do ra-

dzieckiej i międzynarodowej opinii publicznej. Po północy usiadł przed obiektywem rodzinnej kamery wideo, by nagrać swe wystąpienie. „Wszystkie doniesienia dotyczące mego stanu zdrowia są nieprawdziwe. Na podstawie tego kłamstwa przeprowadzono antykonstytucyjny zamach stanu. Legalnego prezydenta kraju powstrzymuje się od wypełniania jego konstytucyjnych obowiązków (...). Nałożono na mnie areszt i nikomu nie pozwala się opuścić terenu daczy. Jestem otoczony przez oddziały wojskowe od strony lądu i morza. Nie wiem, czy uda mi się przekazać tę wiadomość na zewnątrz, ale uczynię wszystko, by ta taśma dotarła na wolność”[102].

Gorbaczow odczytał odezwę czterokrotnie. Córka Irina i zięć Anatolij pocięli następnie taśmę na cztery odcinki. Umieścili je w maleńkich kopertach i zakleili taśmą klejącą. Potem zaczęli łamać sobie głowy, jak ją przeszmuglować poza Obóz Jutrzenki.

MOSKWA
20 sierpnia 1991

Marszałek Dmitrij Jazów prawie nie spał od dwóch nocy, odkąd wydał swoim oddziałom rozkaz zajęcia ulic stolicy. Był przygnębiony i rozdrażniony. Przyłączył się do spisku przeciwko zwierzchnikowi sił zbrojnych, gdy się przekonał, że Gorbaczow prowadzi Związek Radziecki i armię ku katastrofie. Ale im dłużej się przyglądał temu, jak działają współspiskowcy, tym większe dręczyły go wątpliwości, czy podjął właściwą decyzję. Połowę z nich stanowili pijacy, a drugą - nieudacznicy[103].

Przywracanie władzy radzieckiej nie przebiegało dobrze. W Moskwie aż huczało od plotek, że sześć czołgów z Dywizji Tamańskiej przeszło na stronę Jelcyna. Czołgi te wyznaczono do zajęcia pozycji na moście Kutuzowa, o kilkaset metrów od Białego Domu. Po rozmowach z przywódcami Rosji major Siergiej Jewdokimow zgodził się ustawić je w pozycji obronnej wokół gmachu parlamentu, z lufami na zewnątrz. Były i inne oznaki nieposłuszeństwa. Akademia wojsk spadochronowych w Riazaniu zadeklarowała swe poparcie dla Jelcyna, podobnie jak garnizony na Sachalinie i Kamczatce, oddalone o osiem stref czasowych na wschód. Podupadło też morale pięciu tysięcy żołnierzy okupujących teraz centrum Moskwy.

„W co też się wdaliśmy” - gderał Jazów na spotkaniu z wyższymi dowódcami we wtorek o szóstej rano, kiedy wysłuchiwał raportów na temat sytuacji w armii.

Opozycja wobec GKChP rozszerzyła się nawet na rodzinę ministra obrony. Pucz wstrząsnął i sprawił zawód jego żonie, Emmie. Mimo że przechodziła rehabilitację po poważnym wypadku samochodowym, kazała podstawić dla siebie samochód i przyjechała do siedziby ministerstwa przy placu Arbackim, o kilometr od Kremla. Szlochając, cała w gipsie, dokuśtykała do gabinetu Jazowa.

„Dima, to jest wojna domowa. Musisz przerwać ten koszmar. Zadzwoń do Gorbaczowa”[104].

Poruszony płaczem żony Jazów wyjaśnił jej łagodnie, że nie ma możliwości porozumienia się z prezydentem. „Emmo, proszę, postaraj się mnie zrozumieć. Jestem sam”.

Gdy rozmawiali, na ekranie telewizora w rogu gabinetu Jazowa ukazał się Janajew. Transmitowano konferencję prasową GKChP. Emma chciała wiedzieć, dlaczego jej mąż nie jest z nimi. Jazów tylko machnął ręką w stronę swoich wspólników.

„Dima, popatrz, z kim się zadajesz. Zawsze śmiałeś się z tych ludzi. Zadzwoń do Gorbaczowa".

Minister obrony czuł się rozdarty między lojalnością wobec prezydenta i lojalnością wobec Związku Radzieckiego, czy przynajmniej wobec swojej wizji ZSRR. Rubaszny i prostolinijny generał zawsze starał się wymigać od intryg pałacowych. Był to jeden z powodów, dla których cieszył się zaufaniem Gorbaczowa, mimo ograniczonych horyzontów intelektualnych i braku formalnego wykształcenia. Miał sześćdziesiąt siedem lat i był oficerem starej szkoły. Całe jego życie toczyło się wokół armii i partii komunistycznej. Do wojska wstąpił jako kilkunastoletni chłopak w czasie II wojny światowej. Dwukrotnie był ranny na froncie. Wkrótce miał świętować pięćdziesięciolecie służby w siłach zbrojnych.

Jazów nie potrafił zdradzić spiskowców tak rychło po zdradzeniu Gorbaczowa. Rozkazał przystąpić do operacji zajęcia siedziby parlamentu Rosji.

Jelcyn także nie mógł zasnąć minionej nocy. Jego sytuacja przedstawiała się rozpaczliwie. Biały Dom był całkowicie bezbronny. Robotnicy w praktyce zlekceważyli jego apel o natychmiastowe przystąpienie do strajku generalnego przeciwko GKChP. Chociaż tu i ówdzie wybuchały sporadyczne protesty, większość ludności wydawała się nieczuła na to, co się dzieje w Moskwie.

Ale rosyjski prezydent miał jedną, wielką przewagę: w walce przeciwności dodawały mu sił. Zarówno jako sportowiec, jak i polityk był w najlepszej formie wtedy, gdy przegrywał o dwadzieścia punktów i walczył, by nie wypaść z gry. Zdolność do niemal nadludzkich wyczynów przeplatana długimi okresami bezczynności jest cechą narodową Rosjan, którą Jelcyn posiadł w nadmiarze. Przypływ aktywności politycznej w czasie zamachu ostro kontrastował z biernością spiskowców, którzy po katastrofalnej konferencji prasowej praktycznie zniknęli z widoku.

Wspinając się na czołg przed Białym Domem, Jelcyn stał się symbolem demokratycznej opozycji wobec nowego reżymu. W drugim dniu puczu wydawał dekrety prezydenckie, które stanowiły podstawę prawną do nieposłuszeństwa wobec władzy GKChP. W krótkim czasie zwołał rosyjski parlament na nadzwyczajne posiedzenie, wydał nakaz aresztowania przywódców zamachu, zawiesił działalność Komunistycznej Partii Rosji i sam ogłosił się wodzem naczelnym wszystkich radzieckich sił zbrojnych na terenie Rosji. Żołnierze patrolujący ulice Moskwy musieli teraz zdecydować, komu będą posłuszni: Jazowowi czy Jelcynowi.

20 sierpnia, we wtorek, szefowie radzieckich służb bezpieczeństwa i armii zebrali się w południe w gabinecie wiceministra obrony, Władysława Achałowa, dla omówienia planów ataku na Biały Dom. Większość umundurowanych uczestników narady dobrze się znała, ponieważ razem służyli w Afganistanie. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych reprezentował ostatni dowódca oddziałów radzieckich w tym kraju, Borys Gromow. Obok siedział Paweł Graczow, któremu podlegały wojska powietrznodesantowe. Dowódca oddziału „Alfa”, Wiktor Krapuchin, przyszedł na spotkanie w mundurze polowym. Obecny był także Walentin Warennikow, dowodzący siłami lądowymi ZSRR, który przed dwoma dniami tubalnym głosem żądał ustąpienia Gorbaczowa.

Spotkanie otworzył generał KGB Gienij Agiejew, przedstawiając zarys Operacji „Grom”. Jej powodzenie uzależnione jest od skoordynowania działań armii, KGB i MSW, mówił. Spadochroniarze Graczowa będą odpowiedzialni za utrzymywanie strefy bezpieczeństwa wewnątrz okręgu o promieniu kilometra wokół Białego Domu. Ich zadanie będzie polegało na tym, by nie dopuścić demonstrantów na teren rozciągający się między rzeką a ambasadą amerykańską. Siły Gromowa wbiją się następnie klinem w tłum zwolenników Jelcyna, którzy już otaczali gmach parlamentu. Siły KGB na czele z oddziałem „Alfa”, przemieszczą się na tyły oddziałów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i przypuszczą szturm na budynek, w trakcie marszu ostrzeliwując obiekt z granatników. Na dachu Białego Domu wylądują śmigłowce.

Po przedarciu się do budynku, ciągnął generał, oddział „Alfa” aresztuje rosyjskich przywódców, strzelając do wszystkich, którzy będą stawiali opór. Specjalne dziesięcioosobowe grupy żołnierzy KGB przeczeszą cały obiekt w poszukiwaniu zwolenników Jelcyna. W skład tych pododdziałów będą wchodzili także fotografowie, których zadaniem będzie robienie zdjęć obrońców parlamentu wyposażonych w broń palną. Fotografie pozwolą komitetowi twierdzić, że pierwsze strzały padły z przeciwnej strony.

Zarówno Graczow, jak i Gromow powątpiewali w powodzenie operacji, ale swoje myśli zachowali dla siebie. Wskazali jednak na przeszkody natury technicznej, sugerując, że aby powiódł się plan KGB, do Moskwy należy ściągnąć większe siły. Graczow nalegał, by uczestnicy narady wysłuchali raportu jego podwładnego, generała Aleksandra Lebiedia, który właśnie dokonał rozpoznania wokół Białego Domu i okolic.

„Zbiera się liczny tłum” - relacjonował Lebied’. - „Wznoszą barykady. Niemożliwe będzie wykonanie zadania bez znacznych ofiar w ludziach. W Białym Domu

jest mnóstwo uzbrojonych ludzi”[105].

„Generale, waszym obowiązkiem jest optymizm!” - wybuchnął Warennikow, który od początku zamachu domagał się aresztowania Jelcyna. - „Wnosicie do tego pokoju pesymizm i niepewność!”

Podobnie jak inni wysocy rangą oficerowie, Lebied’ czuł się zagubiony i oszołomiony. Przez ostatnich czterdzieści osiem godzin tkwił w niezrozumiałym dlań koszmarze. W poniedziałek Graczow rozkazał mu, by zameldował się w Białym Domu, gdzie miał pomóc w organizacji „obrony i ochrony” budynku. Niejasne było przeciwko komu: aż do późnego popołudnia nie słyszał o powstaniu GKChP. Prowadził ze współpracownikami Jelcyna rozmowy na temat rozlokowania wokół gmachu czołgów, których lufy miały być skierowane na zewnątrz. „Mimo wszystkich wysiłków nie mogłem zrozumieć, co się dzieje”, opowiadał później, przedstawiając swoją sytuację jako „poniżającą”. We wtorek rano, w równie tajemniczy sposób, Graczow polecił mu wycofać czołgi spod Białego Domu. „I znów nic nie rozumiałem” - Lebiediowi wydawało się, że uczestniczy w jakiejś „idiotycznej zabawie” rodem z teatru absurdu. Będzie później wysławiany za swą rolę w obronie Białego Domu. Jednakże, jak przyznał w pamiętnikach, „kiedy prowadziłem swych żołnierzy na Moskwę, wykonywałem rozkazy, a kiedy ich wyprowadzałem, także wykonywałem rozkazy”[106].

W ciągu popołudnia pogłoski o Operacji „Grom” zaczęły przenikać do oddziałów, które zajęły pozycje wokół centrum Moskwy. W większości jednostek wiadomość o mającym nastąpić wkrótce ataku na rosyjski parlament powitano z niepokojem. Przez półtora dnia od rozlokowania się żołnierzy w stolicy moskwianie wciągali ich w nie kończące się dysputy na temat legalności stanu wyjątkowego i losów Gorbaczowa. Wizja strzelania do rodaków napełniała ich przerażeniem. Początek operacji wyznaczono na środę, na trzecią w nocy.

Dyskusje żołnierzy z tłumem były szczególnie żywe na placu Maneżowym, poprzedniego dnia zajętym przez jednostki specnazu spod Moskwy. W ciągu ostatnich miesięcy żołnierze zostali przeszkoleni w działaniach wspierających oddział „Alfa” w nie sprecyzowanych „akcjach antyterrorystycznych”. Byli pełni zapału i gotowi do walki. Ale nawet oni zaczęli teraz mieć wątpliwości co do najnowszych rozkazów.

Operacja zaczęła się źle. Wjazd do Moskwy został opóźniony z powodu wypadku drogowego z udziałem dwóch pojazdów opancerzonych i samochodu

osobowego. Jeden żołnierz z objawami wstrząsu mózgu został zabrany do szpitala.

Zanim kolumna pancerna dotarła do placu Maneżowe- go, dojazd został zablokowany przez trolejbusy. Żołnierze specnazu zepchnęli je z drogi, po czym natychmiast natknęli się na tłum nie uzbrojonych cywilów. Żaden z żołnierzy nie odbył jednak szkolenia w zakresie postępowania z tłumem. Wyparcie z placu demonstrantów, bez użycia siły, zajęło im resztę dnia.

Tej nocy żołnierze usiłowali odpocząć trochę w swych transporterach opancerzonych. Ale sen bezustannie przerywały im wizyty delegacji deputowanych ludowych, reprezentujących rosyjski parlament i radę miejską Moskwy. Deputowani rozdawali pakiety dekretów Jelcyna, namawiając żołnierzy, by zignorowali rozkazy GKChP i uznali władzę parlamentu rosyjskiego. Na oficerach specnazu wrażenie wywarły wpięte w klapy czerwone znaczki deputowanych - oznaczające ich oficjalny status. Omawiając w swoim gronie sytuację, stopniowo doszli do wniosku, że obalenie Gorbaczowa odbyło się z pogwałceniem konstytucji. Niepewność oficerów zachęciła deputowanych do zwiększenia nacisków.

„Chodźmy na Kreml i ustalmy to od razu z Janajewem" - zaproponował półżartem Borys Niemców, poseł z nadwołżańskiego Niżnego Nowgorodu[107].

„Nie, chłopcy, to wasza sprawa" - odparł pułkownik specnazu. - „Róbcie, co chcecie. Nie będziemy wam przeszkadzać".

Wczesnym wieczorem oddziały specnazu otrzymały rozkaz wycofania się z placu Maneżowego i powrotu do koszar w Tiepłym Stanie, na południowy zachód od Moskwy. Powiedziano im, że w nocy wezmą udział w „operacji specjalnej". Wszystkim żołnierzom polecono włożyć kamizelki kuloodporne i pobrać po dwa magazynki ostrych naboi. Całą dywizję postawiono w stan gotowości bojowej. Oficerowie byli przekonani, że wkrótce otrzymają rozkaz szturmu na Biały Dom. Po raz pierwszy w swej karierze zaczęli się sprzeczać między sobą, czy powinni wykonać rozkaz.

„Nie dam rozkazu do strzelania" - zapowiedział jeden z dowódców kompanii swoim ludziom. - „Działajcie w zgodzie z własnym sumieniem"[108].

„Jeśli każą mi strzelać, zastosuję się do rozkazu" - zadeklarował porucznik.

Po krótkiej dyskusji oficerowie osiągnęli porozumienie. Zatrzymają się przy pierwszej barykadzie, wyłączą radiostacje i odmówią dalszego udziału w szturmie na gmach parlamentu.

Kiedy kolumna specnazu wycofywała się z placu Maneżowego, na jednym z

transporterów powiewała nie radziecka flaga, lecz trójkolorowa, rosyjska. W tych okolicznościach był to niezwykły akt nieposłuszeństwa. Cywilni funkcjonariusze KGB towarzyszący kolumnie natychmiast wszczęli dochodzenie. Stwierdzili, że flagę zatknięto na rozkaz dowódcy plutonu, kapitana Olega Niewzorowa. Kazali mu zdjąć flagę, dodając: „Z tobą pogadamy później".

Przez cały dzień przed Białym Domem gromadziły się rzesze mieszkańców Moskwy. Graczow, posłużywszy się siecią weteranów wojny w Afganistanie, przekazał rosyjskim przywódcom wiadomość, że wydano rozkaz uderzenia na budynek. Najlepszym wyjściem z sytuacji byłoby, radził, wezwanie moskwian do obrony gmachu. Atakujące oddziały na pewno z najwyższą niechęcią potraktują rozkaz strzelania do bezbronnych cywilów[109].

Obrońcy Białego Domu przez całe popołudnie wznosili barykady ze złomu i wyrwanej z ulic kostki brukowej. Lokalne przedsiębiorstwo transportowe dostarczyło kilkadziesiąt ciężkich pojazdów, którymi zatarasowano drogi dojazdowe do gmachu parlamentu oraz pobliskie mosty. Wkrótce rejon Białego Domu przypominał plac Tiananmen w 1989 roku, tuż przed atakiem wojska. Dziesiątki tysięcy ludzi ustawiły się w kilku kręgach dookoła budynku, trzymając się za ręce. Byli gotowi poświęcić życie w razie ataku wojska. Wiele osób przyniosło kieszonkowe radia. W większości nastawiono je na częstotliwość niezależnej rozgłośni Echo Moskwy, która na bieżąco informowała o ruchach wojsk.

Wielką część tłumu stanowili młodzi ludzie, z których wielu wcześniej nie wykazywało żadnego zainteresowania polityką. Dopiero zamach stanu kazał im się zjednoczyć. Zdali sobie sprawę, że polityczna przyszłość kraju ma dla nich osobiście wielkie znaczenie. Członkowie nowej warstwy przedsiębiorców także znaleźli się na barykadach. Maklerzy moskiewskiej giełdy towarowej, chcąc zamanifestować poparcie dla Jelcyna, przeszli w pochodzie do Białego Domu, niosąc stumetrowej długości trójkolorową flagę Rosji.

Przez dwa pierwsze dni puczu panowała cudowna, słoneczna pogoda. Teraz niebo zasnuło się chmurami i zaczęła siąpić nieprzyjemna mżawka. Obrońcy Białego Domu popadali w coraz bardziej ponury nastrój. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że trwają właśnie ostatnie przygotowania do ataku. Najpierw szturmu spodziewano się wczesnym rankiem. Kobietom nakazano opuścić budynek. Zabarykadowano wszystkich dwadzieścia wejść na parterze. Krótko po osiemnastej deputowani zebrani w gabinecie Jelcyna na czwartym piętrze za-

częli wydawać histeryczne oświadczenia, emitowane następnie przez Echo Moskwy. Wynikało z nich, że nadchodzi ponury kres młodej rosyjskiej demokracji.

„Wzywam was, bracia oficerowie!” - wołał Aleksandr Ruckoj, wiceprezydent Rosji, były bohater wojny w Afganistanie. - „Myślcie o rozkazach, które otrzymujecie. Nie bronicie interesów państwa, ale junty. Nikt wam tego nie wybaczy”[110].

Kiedy napięcie wśród deputowanych, którzy pozostali w Białym Domu, sięgnęło zenitu, dostrzeżono ożywienie tłumów na zewnątrz gmachu. Uwagę wszystkich przyciągał starszy mężczyzna z bujnymi, siwymi włosami, usiłujący przedrzeć się przez koncentryczne kręgi obrońców. Nie obyło się bez krzyków, popychania i szturchania. Niektórzy prosili, by wpuścić tego człowieka do siedziby parlamentu, podczas gdy inni upierali się, by go nie przepuszczać.

„Muszę się widzieć z Jelcynem!” - wołał mężczyzna cały czas, usiłując przekrzyczeć wrzawę. Na twarzy miał wypisaną determinację.

W końcu udało się ustalić tożsamość intruza. Był to światowej sławy muzyk Mścisław Rostropowicz, pozbawiony przez reżym Breżniewa w 1978 roku obywatelstwa ZSRR z powodu przyjaźni z Aleksandrem Sołżenicynem. Rostropowicz grał na swej wiolonczeli przy Murze Berlińskim w listopadzie 1989 roku, a teraz z całego serca chciał bronić wolności ojczystej Rosji. Wiadomość o puczu dotarła do niego w Paryżu. Przyleciał do Moskwy pierwszym wolnym lotem Air France. Oszukał straż graniczną, mówiąc, że przyleciał na konferencję rosyjskich emigrantów, która odbywa się w Moskwie. Na miejscu przyznali mu wizę wjazdową. Z lotniska przyjechał taksówką prosto pod Biały Dom. Rosyjscy deputowani żartowali później, że w czasie puczu jemu jednemu powiódł się szturm na siedzibę parlamentu[111].

Widok Rostropowicza przepychającego się w stronę barykad w tak krytycznej chwili nie zachwycił wszystkich obrońców Białego Domu. Niemców, poseł z Niżnego Nowgorodu, obawiał się, że któryś z co bardziej nerwowych obrońców może nie wytrzymać i zacznie strzelać. A jednak Jelcyn natychmiast docenił symboliczną wartość osobistości tego formatu stojącej po jego stronie. Pozwolił zatem sześćdziesięcioczteroletniemu wiolonczeliście pełnić przez jakiś czas straż przed swym gabinetem. Niezwyciężony Rostropowicz pożyczył od któregoś z obrońców karabinek AK-47 i wkrótce opowiadał z kilkoma innymi ochotnikami dowcipy o Leninie[112]. Nalegał, by wszyscy zwracali się do niego per Sława.

Najważniejsze zadanie w szturmie na Biały Dom wyznaczono „Alfie”, antyterrorystycznemu oddziałowi uderzeniowemu KGB, który przeprowadził już wiele

delikatnych operacji na zlecenie Kremla. Kilkudziesięciu członków „Alfy" rozmieszczono w lesie nieopodal daczy Jelcyna w Archangielskoje już w poniedziałek wczesnym rankiem. Bez trudu mogliby pochwycić prezydenta, gdy udawał się do Moskwy swoją limuzyną, ale rozkaz aresztowania go nigdy nie nadszedł. W przekonaniu, że to on rozdaje karty, Kriuczkow wolał poczekać, aż jego przeciwnik zrobi fałszywy ruch. Był to fatalny błąd szefa KGB. We wtorek po południu cena aresztowania Jelcyna była już wielokrotnie wyższa.

Dowódca oddziału „Alfa", Wiktor Karpuchin, zwołał swych oficerów na odprawę o 17.30, tuż po powrocie z Ministerstwa Obrony. Nakreślił plan Operacji „Grom".

„Kto wydał ten rozkaz?" - zagadnął Michaił Gołowatow, jego zastępca.

„Rozkaz wydał rząd".

„Czy to rozkaz na piśmie?"

„Rozkaz wydał rząd"[113].

Gołowatow i jego podkomendni znacznie lepiej rozumieli nastroje szeregowych żołnierzy niż Karpuchin, wielokrotnie odznaczony tytułem Bohatera Związku Radzieckiego, zawsze pędzący na spotkania z „górą". Wiedzieli, że zwykli członkowie „Alfy" mają dość roli pionków w kremlowskich szachach politycznych. Ostatnią kroplą goryczy było zdobycie przed ośmioma miesiącami stacji telewizyjnej w Wilnie. Politycy, którzy rozkazali oddziałowi „Alfa" zaatakować grupę nie uzbrojonych cywili, nie chcieli wziąć na siebie odpowiedzialności za rozlew krwi, który był wynikiem tej akcji. Władze usiłowały wręcz wyprzeć się młodego porucznika, który zginął w walce.

Kiedy jeden z podkomendnych stwierdził, że plan ataku na Biały Dom jest „bez sensu", Karpuchin stracił cierpliwość. Nazwał obrońców budynku „szubrawcami". Stwierdził, że pierzchną wobec zdecydowanego ataku. Rozkazał swym podwładnym przeprowadzić rekonesans okolic gmachu.

Rozpoznanie potwierdziło ich najgorsze obawy. Wokół Białego Domu zgromadziło się około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, z czego kilka tysięcy miało broń. Operacja „Grom" była wykonalna na poziomie technicznym - dowódcy średniego szczebla „Alfy" szacowali; że szturm potrwa od piętnastu do pięćdziesięciu minut, ale straty po obu stronach będą olbrzymie. Możliwe, że w czasie ataku życie straci połowa ludzi z oddziału.

Gołowatow, który stał na czele ataku na litewską stację telewizyjną, przeprowadził wśród swych ludzi nieformalny sondaż. Wszyscy wyrażali obiekcje względem operacji.

„Nie pójdziemy do Białego Domu, żeby zabijać ludzi” - zarzekał się jeden z komandosów.

„A my was tam nie poprowadzimy ” - odparł Gołowatow[114].

Olbrzymie napięcie panujące wewnątrz Białego Domu było już dla obrońców nie do zniesienia. Około dwudziestej z Jelcynem połączył się przez interkom rosyjski premier Iwan Siłajew, który prowadził jakieś rozmowy z GKChP. Powiedział, że zezwolił swoim pracownikom udać się do domu i sam także zamierza opuścić gmach. W jego głosie brzmiało poczucie klęski: „Chcę się pożegnać, Borysie Nikołajewiczu. Dziś w nocy będzie już po nas. To pewna informacja. Niech przyjdą po mnie do domu. Do widzenia”[115].

Wkrótce po dezercji premiera Jelcyn za pośrednictwem Echa Moskwy zaapelował, by jak najwięcej ludzi przyszło pod Biały Dom: „Obywatele Rosji! W tej rozstrzygającej chwili poprzyjcie tych, którym w wyborach powierzyliście los swego kraju. Lud rosyjski musi wspólnym wysiłkiem pokonać siły reakcji. Musicie przeciwstawić się czołgom i transporterom opancerzonym, stanowczo odrzucić dyktaturę. Jedność i solidarność to klucze do naszego zwycięstwa (...). Dni konspiratorów są policzone. Prawo i ład konstytucyjny zatriumfują! Mimo wszystko Rosja będzie wolna!”[116]

Choć zbliżała się godzina milicyjna, rozpoczynająca się, zgodnie z rozkazem GKChP o dwudziestej trzeciej, tysiące moskwian odpowiedziało na odezwę prezydenta. Nieco wcześniej tego wieczoru Dmitrij Komar, lat dwadzieścia trzy, który służył w Afganistanie jako spadochroniarz, wyznał przyjaciołom, że ma dość walki na całe życie. Wysłuchawszy jednak apelu Jelcyna, zdecydował się pójść na barykady. Poprosił tylko przyjaciela, by przekazał jego rodzicom, że nie wróci na noc do domu: „To mój obowńązek. Muszę tam być. Powiedz mamie, że umówiłem się z kolegami. Niech się nie martwi”[117]

Ilja Kriczewski, dwudziestoośmioletni architekt i poeta amator, cały wieczór także słuchał Echa Moskwy. Krótko po dwudziestej drugiej zadzwonił telefon. Odezwał się stary kolega z wojska, proponując, by przyjrzeli się akcji protestacyjnej pod Białymi Domem. Umówili się na spotkanie przy pobliskiej stacji metra Barrikadnaja, nazwanej tak na pamiątkę rewolucji 1905 roku. Ilja włożył brunatną kurtkę z kapturem i czerwono-czarne buty kowbojskie - obiekt zazdrości kolegów. Ojciec zatrzymał go w drzwiach i zagadnął, dokąd idzie.

„Na spacer”.

„Po co? Słyszałeś, że jest godzina milicyjna”.
„Nie pójdę daleko”[118].

Telefony dzwoniły także całą noc w gabinetach ministrów tak zwanych resortów siłowych. Dowódcy Operacji „Grom” czekali jeden na drugiego, kto uczyni pierwszy ruch. Nikt nie chciał wziąć odpowiedzialności za przelew krwi wokół Białego Domu, ale nikt też nie był skłonny przeciwstawić się GKChP. Wszyscy - każdy na swój sposób - prowadzili podwójną grę.

Późnym wieczorem do Graczowa zadzwonił szef sił powietrznych, Jewgienij Szaposznikow. Dowódca lotnictwa znany był ze swych „demokratycznych” sympatii. Graczow ufał mu. Poskarżył się, że hołota na Kremlu chce uczynić z niego kozła ofiarnego. Kiedy Szaposznikow wspominał później przebieg tej rozmowy, zauważył, że dowódca wojsk powietrznodesantowych zapowiedział, iż prędzej złoży dymisję albo się zastrzeli, niż wyda rozkaz ataku na Biały Dom. Rozpatrywali kilka opcji, włącznie z wysłaniem spadochroniarzy, by zaaresztowali członków GKChP, albo z ostrzelaniem Kremla.

„Nie, to doprowadziłoby do kompletnego zamieszania i zagroziłoby życiu wielu ludzi” - stwierdził Graczow. - „Po prostu bądźmy pod telefonem i spróbujmy nie dopuścić do idiotyzmów”[119].

Po rozmowie telefonicznej zarówno Graczow, jak i Szaposznikow wysłali do Jelcyna sygnał, że nie zezwolą swoim oddziałom na zaatakowanie Białego Domu.

Pierwsze strzały padły tuż po północy, o kilometr od Białego Domu, na Sadowym Kole, arterii komunikacyjnej okrążającej śródmieście. Kolumna kilkunastu pojazdów opancerzonych z Dywizji Tamańskiej przejechała obok ambasady amerykańskiej i skierowała się w stronę Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przecinając teren wokół rosyjskiego parlamentu. Kiedy pojazdy zbliżyły się do tunelu pod aleją Kalinina, żołnierze w pierwszych transporterach zauważyli barykadę zagradzającą im drogę. Wzniesiono ją z autobusów komunikacji miejskiej, złomu i betonowych bloków.

Kiedy kolumna wjechała do tunelu, z góry posypały się na nią kamienie, butelki i kostka brukowa. Setki obrońców Białego Domu zebrały się na podjeździe prowadzącym z Sadowego Koła ku alei Kalinina. Nie mieli wątpliwości, że właśnie zaczyna się długo oczekiwany atak. Powietrze wypełniło skandowanie: „Rosja, Rosja!”, poprzedzielane okrzykami: „Faszyści!”, „Łobuzy!” i „Wynocha!”

Załogi otwierających kolumnę transporterów zaczęły panikować. Droga do

przodu była zablokowana, nie było też miejsca, by zawrócić. Żołnierze postanowili przedrzeć się przez barykadę. Rozkołysali autobusy i kilkakrotnie uderzyli w nie transporterem. Dwóm załogom udało się przedrzeć, miażdżąc nogę jednemu z obrońców. Rozwścieczeni demonstranci wskoczyli na pojazdy, które wciąż tkwiły unieruchomione w tunelu, i zarzucili brezentowe płachty, zasłaniając kierowcom wizjery, aby nie widzieli, którędy mają jechać. Tych, którzy wychylali się z włazów, zmuszano do poddania się. Inni żołnierze strzelali w powietrze, usiłując przestraszyć swoich prześladowców.

W cztery godziny po apelu Jelcyna Dmitrij Komar był w samym sercu walki. Jako nastolatek marzył o karierze pilota. Jednak doświadczenia wojenne z Afganistanu, o których nie chciał opowiadać nawet swojej rodzinie, skłoniły go do porzucenia tych planów. Teraz jednak, kiedy na ulicach Moskwy rozbrzmiewały echem strzały, znów poczuł się w swoim żywiole.

Ośmielony spirytusem, który popijał tego wieczoru, Komar wspiął się na transporter opancerzony numer 536. Pokrywa tylnego włazu uchyliła się w wyniku wielokrotnych zderzeń z barykadą. Komar zaczął się wpychać do środka. Jeden z żołnierzy pomyślał, że intruz chce przejąć wóz,

więc nakazał mu wyjść. Komar odmówił. Żołnierz wystrzelił z automatu. Kule ominęły Komara, ale stracił równowagę. Spadł z pojazdu i roztrzaskał sobie czaszkę o nawierzchnię ulicy[120].

„Faszyści, mordercy!” - zawrzał tłum, kiedy wiadomo już było, że padła pierwsza śmiertelna ofiara ataku. Demonstranci przenieśli ciało Komara na pobocze, po czym otoczyli transporter, usiłując się nań wspiąć. Z górnego podjazdu do autostrady ludzie zaczęli ciskać koktajle Mołotowa. Dym wnet wypełnił ciasną kabinę, uniemożliwiając żołnierzom zaczerpnięcie powietrza.

W obawie przed zlinczowaniem załoga nie wychodziła z transportera. Zamiast tego wystrzelono w górę kilka serii z karabinka AK-47. Strzały odbiły się rykoszetem od na pół otwartych pokryw włazu i raniły kilku demonstrantów. Jednego z obrońców, Władimira Usowa, kula trafiła w głowę. Następnie rozjechał go ciężki pojazd opancerzony.

Ilja Kriczewski, poeta amator w czarno-czerwonych butach kowbojskich, także dostał się tej nocy w wir walki. Były czołgista liczył, że uda mu się przekonać żołnierzy, aby nie atakowali Białego Domu. Usow i Komar zginęli na jego oczach. Rozwścieczony, zaczął rzucać kamieniami w stronę transportera z numerem 536. Ruszył biegiem w stronę pojazdu z zaciśniętą pięścią wzniesioną w

górę. Właśnie wtedy dosięgła go kula, trafiając wprost w czoło. Zmarł natychmiast.

Kiedy rozpoczęła się strzelanina, ochroniarze Jelcyna zaczęli wprowadzać w życie tajny plan ucieczki prezydenta z Białego Domu. Popędzili z nim do garażu w podziemiach i wsadzili do kuloodpornego ziła. Wyjazd z garażu wychodził na boczną uliczkę; od ambasady amerykańskiej dzieliło go około pięciuset metrów. Rosyjscy oficjele uzgodnili z amerykańskimi dyplomatami, że udzielą prezydentowi schronienia, jeśli jego życie znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Jelcyn siedział w limuzynie przez kilka minut, słysząc odgłosy walk na ulicach. Potem mówił, że kategorycznie odmówił opuszczenia Białego Domu, gdy tylko zrozumiał, co się dzieje[121]. Wraz ze swymi współpracownikami spędził sporą część nocy w podziemnym schronie bombowym, za hermetycznie zamykanymi drzwiami ze stali. Nie wiadomo jednak, czy w razie ataku na Biały Dom mógłby w ten sposób ocalić życie. Prokuratura wykazała później, że kierownictwo KGB miało dokładne plany labiryntu tuneli i bunkrów pod gmachem, a żołnierze strzegli wszystkich wyjść.

Po zewnętrznej stronie barykady niektóre jednostki zaczęły już realizować pierwsze etapy Operacji „Grom". Wkrótce po północy specnaz opuścił koszary w Tiepłym Stanie w pełnym rynsztunku bojowym. Oddziały ruszyły aleją Lenina i Trasą Możajską, prowadzącą wprost na Biały Dom.

Szefowie resortów siłowych, którzy w południe uczestniczyli w naradzie w Ministerstwie Obrony, ciągle konsultowali się telefonicznie ze sobą. Korzystając ze standardowej radzieckiej taktyki wojskowej - zmylenia i wprowadzania zamieszania - Graczow wstrzymał wysłanie swych spadochroniarzy do Białego Domu, gdzie mieli oczyścić drogę dla „Alfy". Kiedy wywiązały się walki przed ambasadą USA, Graczow zadzwonił do Gromowa, by się dowiedzieć, co robią oddziały MSW.

„Stoją i czekają. Nigdzie się nie ruszają" - odparł ostatni dowódca radzieckich wojsk w Afganistanie[122].

Do Graczowa dodzwonił się teraz Karpuchin. Dowódca „Alfy" stwierdził, że ze swymi ludźmi czeka pod mostem, po drugiej stronie Białego Domu. (Ta informacja okazała się fałszywa: „Alfa" tej nocy nie opuściła koszar.) Skoro tylko Karpuchin wyczuł, co zamierza Graczow, przyznał mu się, że jego oddział nie weźmie udziału w akcji.

„Dziękuję” - odparł Graczow. - „Moich ludzi nie ma już w Moskwie. Nie zrobię już żadnego ruchu”.

W siedzibie KGB Kriuczkow przez całą noc oczekiwał raportu z ataku na Biały Dom. Około drugiej dotarły do niego przerażające wieści od ministra obrony Jazowa. Armia zdecydowała się nie brać udziału w operacji. Wysłuchawszy swoich podwładnych opisujących sytuację wokół gmachu parlamentu, Jazów wydał rozkaz wstrzymania wszelkich ruchów wojska.

Przewodniczący KGB poprosił szefów służb bezpieczeństwa i armii do swojego gabinetu na czwartym piętrze Łubianki. Jazów odmówił i wysłał swego zastępcę Aczałowa. Kiedy Aczałow wszedł do pokoju, powitał go wybuch furii zebranych przy stole członków GKChP.

„A więc strach was obleciał?!” - zapytał Bakłanow, przewodniczący delegacji do Foros.

Wybuchła kłótnia o to, kto jest odpowiedzialny za fiasko akcji. Funkcjonariusze KGB obwiniali wojsko o tchórzostwo i niekompetencję, Bakłanow atakował Kriuczkowa za to, że nie odciął łączności Białego Domu, generałowie obwiniali cywilów. W końcu Kriuczkow ugiął się przed realiami wojskowymi i miękkim głosem zapowiedział współspiskowcom: „Tak więc wygląda na to, że musimy odwołać akcję”[123].

Pucz upadł.

FOROS
21 sierpnia 1991

Konspiratorom pozostało tylko jedno: błagać Gorbaczowa o wybaczenie. To, że rozważali takie rozwiązanie, odzwierciedla ogrom ich desperacji. Uwięzili prezydenta na cztery dni, odcięli łączność ze światem i odebrali mu *czemodanczik*. Ale wiedzieli też o rywalizacji z Jelcynem i znali jego skłonność do lawirowania. W przeszłości wykorzystywali już te cechy Gorbaczowa. Jeśli zdołają go przekonać, że kierowały nimi pobudki patriotyczne, jak zapobieżenie rozpadowi ZSRR, istniała szansa na osiągnięcie kompromisu.

W Foros Gorbaczow wraz z rodziną zebrali się wokół radia. Słyszeli o strzałach w pobliżu Białego Domu, o oporze rosyjskiego parlamentu i wycofaniu wojska ze stolicy. Jasne było, że pucz się nie powiódł. Wyżsi przedstawiciele władz państwowych i partyjnych, którzy milczeli na wczesnych etapach zamachu, występowali teraz w radiu moskiewskim, potępiając GKChP i dając wyraz wierności wobec Gorbaczowa.

Chociaż większość wiadomości napawała otuchą, było też dość powodów do zmartwień. Raisa Gorbaczow zaniepokoiła się szczególnie, kiedy usłyszała z BBC, że Kriuczkow wyraził zgodę, by delegacja parlamentarzystów udała się do Foros i stwierdziła osobiście, że prezydent jest niezdolny do wykonywania obowiązków głowy państwa. Po trzech bezsennych nocach doszła do wniosku, że konspiratorzy zamierzają uczynić z jej męża inwalidę, by uzasadnić swe wcześniejsze kłamstwa[124]. W panice zaczęła poszukiwać odpowiedniej dlań kryjówki. Była tak przestraszona, że przeżyła niegroźny atak. Przez kilka godzin nie była w stanie mówić ani poruszyć ręką.

Krótko przed siedemnastą przez bramę Obozu Jutrzenki przemknął długi sznur ziłów i wołg. Puczyści - Kriuczkow, Jazów, Bakłanow, Łukianow - przylecieli na Krym samolotem prezydenckim. Dwie godziny później z Moskwy odleciał inny samolot z rosyjskimi przywódcami na pokładzie, na czele z wiceprezydentem Aleksandrem Ruckojem i premierem Siłajewem. Za wszelką cenę chcieli pierwsi spotkać się z Gorbaczowem, aby przedstawić mu swoją wersję wydarzeń.

Kiedy limuzyny podjechały pod rezydencję prezydenta, ochroniarze wierni uwięzionej głowie państwa wyskoczyli z zarośli i wymierzyli broń w przybyłych.

„Stać!”[125]

Obstawa zaprowadziła puczystów do domku gościnnego, gdzie mieszkał Czerniajew. Był on znacznie niższy szarżą od większości przybyłych, piastujących wysokie stanowiska państwowe. Kiedy go jednak ujrzeli, natychmiast zaczęli bić pokłony i się kajać. Na twarzach mieli wypisaną klęskę i pokorę. Czerniajew spojrzał na nich kamiennym wzrokiem i, zdegustowany, odszedł. Później sekretarka Gorbaczowa, Olga Łanina, spostrzegła, że palący papierosa Jazów płacze. Słyszała, jak mamrocze do siebie: „Jestem cholernym głupcem”[126].

Gorbaczow przez jednego z oficerów ochrony przekazał puczystom, że nie spotka się z nimi, dopóki nie zostanie przywrócona łączność telefoniczna. Odparli, że to trochę potrwa.

„Powiedz im, że nigdzie mi się nie śpieszy” - odrzekł na to Gorbaczow[127].

Łączność ze światem została przywrócona o 18.38, tak nagle, jak się zerwała przed siedemdziesięcioma czterema godzinami. Gorbaczow ze swego gabinetu na piętrze zadzwonił do najważniejszych przywódców republik, począwszy od Jelcyna. W trakcie kolejnych rozmów telefonicznych zaczął odzyskiwać władzę nad krajem i prerogatywy zwierzchnika sił zbrojnych. Puczystów pozbawił dostępu do wiertuszki, ustanowił osobiste zwierzchnictwo nad kremlowską gwardią, rozkazał ministrowi lotnictwa wydać pozwolenie na lądowanie samolotu Ruckoja na pobliskim lotnisku wojskowym. Potem zatelefonował do prezydenta Busha, który spędzał właśnie wakacje w Kennebunkport w stanie Maine, by powiadomić go o upadku spisku i podziękować za publiczne wyrazy poparcia.

Rosyjska delegacja przybyła na teren rezydencji około dwudziestej, wkrótce po tym, jak Gorbaczow skończył rozmowę z Bushem. Natychmiast wprowadzono ich do domu. Było to pełne triumfu, iście słowiańskie spotkanie. Ruckoj i Siłajew rzucili się w objęcia prezydenta. Ściskali się, całowali i płakali na przemian. Wszyscy usiłowali mówić jeden przez drugiego, aby dać upust emocjom ostatnich trzech dni. Zarówno Gorbaczow, jak i Rosjanie zapomnieli, że jeszcze parę tygodni temu byli śmiertelnymi wrogami.

Rosjanie kategorycznie sprzeciwili się jakimkolwiek rozmowom Gorbaczowa ze „zdrajcami”, którzy wciąż przebywali w domku gościnnym. Prezydent stwierdził, że chce porozmawiać jedynie z Łukjanowem, swym starym przyjacielem ze studiów, oraz Władimirem Iwaszką, zastępcą sekretarza generalnego KPZR. Obaj twierdzili, że nie mają nic wspólnego z GKChP i z całych sił sprzeciwiali się zamachowi. Gorbaczow niecierpliwie słuchał ich wyjaśnień. „Nie wieszajcie mi makaronu na uszach” - skwitował tłumaczenia rosyjskim idiomem oznaczającym: „Mnie nie oszukacie”.

„Posłuchaj, Anatoliju, znamy się od czterdziestu lat. Powinieneś rzucić się przed lufy karabinów. Opóźniłeś zwołanie Rady Najwyższej o prawie tydzień. Co ty w ogóle sobie myślisz, mówiąc, że «zrobiłeś to, zrobiłeś tamto»? Gdybyś się opowiedział po stronie prawa i prezydenta, zwołałbyś Radę Najwyższą następnego dnia. Tak właśnie postąpił Jelcyn!”[128]

Pokonując opory Raisy, która wciąż była w szoku spowodowanym uwięzieniem, Ruckoj nalegał, by wszyscy tego wieczoru powrócili do Moskwy. Zwycięstwo nad GKChP było jeszcze wątłe i teraz należało je ugruntować. Były bohater wojenny z Afganistanu osobiście dopilnował organizacji od strony bezpieczeństwa. Rodzina Gorbaczowów miała polecieć samolotem rosyjskim, wraz z rosyjską delegacją. Kriuczkow został oddzielony od swoich ochroniarzy. Posadzono go z tyłu samolotu. Jazów i inni konspiratorzy odlecieli prezydenckim odrzutowcem.

Kiedy samolot wyruszył w drogę do Moskwy, wszyscy się w końcu odprężyli. Wznoszono toasty za zdrowie prezydenta i zwycięstwo nad dyktaturą. „Wlatujemy w nową erę” - zapowiedział Gorbaczow”[129].

Kriuczkow siedział z tyłu, zagłębiony w myślach. Zacisnął dłonie na teczce i gapił się przez iluminator w nocne niebo. Generał Aleksandr Sterligow, doradca Ruckoja i były pracownik KGB, usiadł obok. Szef KGB nie próbował nawet podejmować rozmowy, chociaż w którymś momencie westchnął, że w rezultacie wydarzeń ostatnich dni prawdopodobnie będzie się musiał podać do dymisji. Kiedy wylądowali w Moskwie, ruszył do wyjścia, aby opuścić samolot wraz z prezydencką świtą.

„Poczekajcie chwilkę” - poradził Sterligow.

Po kilku minutach Kriuczkow znów wstał z fotela i znów został usadzony:

„Jeszcze chwileczkę”.

Zapadło niezręczne milczenie.

„Myślę, że rozumiem, co się dzieje” - rzekł wolno Kriuczkow.

„Zrozumieliście prawidłowo”.

Przewodniczącego KGB oskarżono o zdradę stanu i zabrano do więzienia w Lefortowie[130].

MOSKWA
23 sierpnia 1991

Mimo że Gorbaczow utrzymywał, że jest „innym człowiekiem powracającym do innego kraju”, początkowo nie rozumiał, jak wielkie zmiany zaszły w Związku Radzieckim w czasie jego trzydniowego aresztu w Foros. Zamiast udać się wprost z lotniska do Białego Domu, aby oddać cześć jego obrońcom, pojechał do domu, aby się wyspać. Na konferencji prasowej zwołanej nazajutrz wciąż utrzymywał, że Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego jest „siłą postępową”, mimo zdrady, której dopuścili się jej przywódcy. Wyznał, że sam pozostanie wierny „drodze socjalizmu”[131].

Do jakiego stopnia Gorbaczow mylnie ocenił nastroje panujące w kraju, okazało się tego wieczoru, kiedy dziesiątki tysięcy uczestników demonstracji antykomunistycznej udało się pod siedzibę KGB na Łubiance. Krzycząc: „Wolność, wolność!” i „Precz z KGB!”, podjęli próbę obalenia pomnika Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela radzieckiej bezpieki. Aby nie dopuścić do zamieszek, władze miejskie Moskwy wysłały na plac dźwigi, by oderwały stojącego na samym środku placu „Żelaznego Feliksa” od piedestału. Za żaluzjami wyposażonymi w otwory strzelnicze stali w gotowości bojowej strzelcy wyborowi, skłonni przeciwstawić się szturmowi na gmach. Wyżsi funkcjonariusze KGB z zapałem niszczyli dokumenty.

Następnego dnia gniew ludu zwrócił się przeciwko siedzibie milicji przy ulicy Pietrowka i gmachowi Komitetu Centralnego przy Starej Płoszczadi. W zwycięskim obozie Jelcyna żywiono obawy, że rewolucja zaczyna się wymykać spod kontroli. Trzeba było coś zrobić dla skanalizowania emocji tłumu i nadania im pożądanego kierunku. Przyszedł czas na zakończenie rewolucji.

W odpowiedzi na żądanie moskiewskich władz miejskich szef gabinetu Jelcyna, Giennadij Burbulis, wydał oświadczenie wzywające Gorbaczowa do powstrzymania „intensywnej akcji niszczenia dokumentów” trwającej w Komitecie Centralnym. „Niezbędne jest, aby sekretarz generalny zarządził czasowe zawieszenie wszelkiej działalności w gmachu KC” - napisał Burbulis. Następnie zaniósł dokument Gorbaczowowi z prośbą o aprobatę.

„Zgadzam się” - nakreślił w prawym górnym rogu ostatni sekretarz generalny KPZR - „M. Gorbaczow, 23 VIII 91”[132].

Nie było czasu, by przepisać notatkę na maszynie. Ludzie wdrapywali się już na żelazne ogrodzenie siedziby milicji przy Pietrowce. Należało skierować tłum

na Starą Płosz- czad', oddaloną od gmachu policji o cztery kilometry.

„Mer potrzebuje waszej pomocy!" - krzyczeli przedstawiciele władz miejskich przez megafon. - „Wszyscy do KC!". Radykalny major lotnictwa wziął mikrofon i zaapelował do demonstrantów, by nie przerywali tego, do czego już się wzięli. Mimo to możliwość wyrównania rachunków ze znienawidzoną partią komunistyczną dała pożądany efekt. Wielka część tłumu zaczęła odpływać[133].

Tymczasem na Starej Płoszczadi przedstawiciele rady miejskiej zastanawiali się, w jaki sposób doręczyć do KC instrukcję Gorbaczowa nakazującą „zawiesić" pracę Komitetu Centralnego. Najpierw usiłowali skorzystać z głównego, oficjalnego wejścia ozdobionego dwoma marmurowymi kolumnami, które tradycyjnie zarezerwowane było dla wewnętrznego kręgu członków Politbiura. Strażnicy KGB o kamiennych twarzach odmówili im wstępu. Potem przedstawiciele magistratu udali się na tyły gmachu. W wyniku gorącej dyskusji zaprowadzono ich ostatecznie na pierwsze piętro, do gabinetu Nikołaja Kruicziny, kierownika administracyjnego Komitetu Centralnego KPZR.

Kruczina wstał zza biurka, kiedy niespodziewani goście pokonali podwójne dźwiękoszczelne drzwi oddzielające jego przestronny gabinet od sekretariatu. Brodaty mężczyzna o wąskiej młodzieńczej twarzy wsunął mu w dłoń pomiętą kartkę papieru.

„Musicie zarządzić natychmiastową ewakuację budynku" - nakazał mężczyzna, przedstawiwszy się jako Wasilij Szachnowski, szef gabinetu mera Moskwy. - „W przeciwnym razie nasi zwolennicy przyjdą tu i sami was wyrzucą"[134].

Kruczina przeczytał notatkę. Kiedy ujrzał nakreślony w nagłówku podpis Gorbaczowa, jego uporządkowany, pełen ustabilizowanego ładu świat nagle rozsypał się w proch.

„To niemożliwe. Nie możecie tak po prostu zamknąć Komitetu Centralnego" - odparł stanowczo, zerkając na zegar ścienny. Zbliżała się piętnasta.

„Spójrzcie za okno. Tam jest olbrzymi tłum. Jeśli spokojnie nie opuścicie gmachu, rozerwą na strzępy każdego, kogo tutaj znajdą".

Kruczina podszedł do okna, z którego rozciągał się widok na *Starą Płoszczad'*. Rozsunął białe firanki i wyjrzał przez okno. Tysiące demonstrantów, trzymając się za ręce, sformowały łańcuch wokół gmachu. Za nimi stało jeszcze więcej ludzi. Niektórzy unieśli zaciśnięte pięści. Inni trzymali w dłoniach afisze, na których napisali: „Niech żyje demokracja", „Puczyści pod sąd", „Precz z aparatczykami z Komitetu Centralnego". Przez podwójne szyby okien przebijały się

okrzyki: „Precz z partią!” Tu i ówdzie ludzie darli na strzępy legitymacje partyjne.

W tłumie byli funkcjonariusze milicji, ale wydawało się, że są po stronie demonstrantów. Z głośnika umocowanego na dachu samochodu milicyjnego słychać było relację z obrad parlamentu rosyjskiego. Tłumy zaczęły głośno wiwatować, kiedy jeden z deputowanych zgłosił wniosek o rozwiązanie partii komunistycznej jako „organizacji zbrodniczej”.

Kruczina zaczął się zastanawiać nad swoim położeniem. Poza strażnikami KGB nie miał do dyspozycji żadnych sił. Za dwie godziny budynek i tak zacznie pustoszeć w związku z rozpoczynającym się weekendem. Notatka podpisana przez Gorbaczowa mówiła tylko o „czasowym” zawieszeniu działalności Komitetu Centralnego, a nie o jego likwidacji. Jeśli aparatczycy odmówiliby opuszczenia gmachu, mogliby zostać zaatakowani przez żądny zemsty tłum. Postanowił więc udostępnić Szachnowskiemu i jego koledze, Jewgienijowi Sewastianowowi, radiowęzeł alarmowy.

Zawezwano sekretarkę, by przeprowadziła przedstawicieli mera przez labirynt korytarzy do innej części budynku, gdzie mieścił się pokój radiowęzła. Znów wdali się w podobną dyskusję jak ta, którą przed chwilą toczyli z Kruczina. „Co to znaczy, że mamy opuścić budynek? Czy podłożono bombę albo coś podobnego?” - pytał Konstantin Miszyn, zastępca kierownika gospodarczego, próbując się zdobyć na dowcip. Notatka Gorbaczowa zaszokowała byłego przywódcę Komsomołu. Instynkt polityczny podpowiadał mu, aby

zarządzić opuszczenie budynku przez kobiety, mężczyzn zaś wezwać do walki w obronie gmachu. Ale oto przed oczyma miał instrukcję podpisaną przez człowieka, który wciąż pełnił funkcję sekretarza generalnego partii, której naczelną zasadą było przestrzeganie centralizmu demokratycznego: decyzje podjęte na górze obowiązują wszystkich poniżej.

„Jeśli już kierownictwo podejmie decyzję, musimy się do niej zastosować” - powiedział później Miszyn. - „W przeszłości dyscyplina zawsze była jednym z głównych źródeł siły naszej partii. Ale w tej chwili okazała się straszną słabością”[135].

Miszyn pokazał gościom, jak się obsługuje radiowęzeł. Sewastianow, szef służb bezpieczeństwa mera, usiadł przed konsolą.

„Mówi do was przedstawiciel mera Moskwy” - powiedział do mikrofonu. - „W drodze porozumienia z prezydentem, w nawiązaniu do niedawnych wydarzeń, podjęto decyzję o zamknięciu budynku. Macie godzinę na opuszczenie gmachu.

Można wziąć z sobą jedynie rzeczy osobiste. Wszystko inne musi tu pozostać”.

Informację powtórzył dwukrotnie. Sewastianow i Szach- nowski słyszeli jego słowa odbijające się echem od ścian wielkiej budowli. Kiedy wyszli z pokoju, w którym mieściło się centrum radiowęzła, posłyszeli już tupot nóg na korytarzach. Aparatczycy opuszczali budynek. „Jak szczury uciekające z tonącego statku” - pomyślał Szachnowski, rozdarty pomiędzy niesmakiem i wielką radością.

W wielu wydziałach KC trwały gorączkowe zabiegi mające uniemożliwić przedstawicielom obozu Jelcyna przechwycenie tajnych dokumentów. Walentin Falin, sekretarz odpowiedzialny za wydział spraw międzynarodowych, kazał zmienić tabliczkę na drzwiach swego gabinetu na „V. I. Falin, Deputowany Ludowy ZSRR”. Liczył na to, że demokraci dwa razy pomyślą, zanim zdecydują się na pogwałcenie immunitetu parlamentarnego. Kazał swemu współpracownikowi, Anatolijowi Smirnowowi, zniszczyć listę lewicowych partii na Zachodzie, które otrzymywały pomoc finansową Kremla. Kiedy przez radiowęzeł nadano rozkaz ewakuacji gmachu, urzędnicy partyjni wpadli w panikę. W niszczarki dokumentów wrzucano całe sterty akt wraz

z dużymi spinaczami. Maszyny zacinały się, nie dając sobie rady z metalem[136].

Za rogiem, w komitetowym bufecie przy ulicy Ipatjewa, nad roślinkami doniczkowymi i schludnie nakrytymi stołami zaległa przygniatająca cisza. Strażnicy sprawdzali czerwone karty wstępu do jednej z najlepszych restauracji w Moskwie. Kelnerki w fartuchach rdzawego koloru przemykały się między stołami, notując zamówienia konsumentów. Kilku aparatczyków siorbało ostatnie miski dotowanego barszczu. Nagle wbiegł szef sali. „Już po wszystkim” - oznajmił. - „Naprawdę zamykają budynek”. Ciszę przerwał pojedynczy, poważny głos: „I z czego się tak cieszysz? Do tej pory karmiłeś nas. Teraz będziesz karmił Amerykanów”[137].

Podczas gdy biurokraci lękali się o swój los, do gmachu KC wkroczyło kilkudziesięciu moskiewskich milicjantów dla wsparcia Szachnowskiego i Sewastianowa. Ten ostatni rozkazał im pilnować wejść. Szachnowski raz po raz pojawiał się w jednym z okien na parterze, by tłumaczyć niecierpliwej ciżbie demonstrantów, co się dzieje.

„Działalność Komitetu Centralnego została zawieszona” - tłumaczył Szachnowski, unosząc świstek papieru podpisany przez Gorbaczowa. Tłum niezmiennie nagradzał oklaskami tę wiadomość. Moskwianie patrzyli na podpis sekretarza generalnego, jakby to był jakiś magiczny symbol.

„Przyjaciele, następnym życiowym dokonaniem będzie dla nas ściągnięcie gwiazd z Kremla” - zapowiedział Sewastianow. - „Ale pamiętajmy. Są wśród nas prowokatorzy, siły ekstremistyczne. Nie dawajcie posłuchu nikomu, kto chciałby tu zasiać niepokój”[138].

Tłum tymczasem cieszył się publicznymi drwinami z Gorbaczowa, transmitowanymi przez radio i telewizję z Białego Domu, po drugiej stronie Moskwy. Był to odwet Jelcyna za poniżenia doznane niegdyś od genseka i partyjnej elity. Teraz los odwrócił się od Gorbaczowa, Jelcynowi zaś pozwolił wyszarpnąć coś dla siebie.

Dla Gorbaczowa sama sytuacja była już wystarczająco poniżająca. Prezydenta ZSRR, zdradzonego przez sojuszników, ocalił od politycznego, a pewnie i fizycznego unicestwienia Jelcyn i parlament rosyjski. Teraz usiłował wytłumaczyć swym zbawcom, dlaczego tak bardzo ufał przywódcom, którzy w zamian go uwięzili. Deputowani wyśmiewali go i kwitowali jego tłumaczenia wyciem. Gorbaczow machał prawym palcem wskazującym, bezskutecznie usiłując ich zmusić, by przestali go dręczyć. Do mównicy zbliżył się Jelcyn. Górując nad prezydentem ZSRR, kazał mu odczytać protokół posiedzenia gabinetu, zdradzający rozmiary zdrady jego byłych współpracowników.

„No dalej, czytaj” - naciskał Jelcyn, celując swym potężnym palcem wskazującym w Gorbaczowa.

Zaskoczony bezczelnością swego niegdysiejszego protegowanego, Gorbaczow spojrzał nań z nienawiścią. Potem, zdając sobie sprawę, że wpadł w pułapkę, uśmiechnął się niewyraźnie. Jelcyn odwrócił się, nie mogąc ukryć malującego mu się na twarzy wyrazu triumfu. Kręcił głową, jakby nie dowierzał, co przyniosła historia.

Kilka minut później Jelcyn zaproponował deputowanym „chwilę odpoczynku” - podpisanie dekretu zawieszającego działalność rosyjskiej partii komunistycznej. Protestujący Gorbaczow apelował do deputowanych, by „pozostali demokratami do końca”. Jego głos utonął w oklaskach i tupaniu. „Dekret został podpisany” - ogłosił prezydent Rosji z drwiną w głosie. Demonstranci otaczający gmach Komitetu Centralnego przy Starej Płoszczadi gorącą owacją wyrazili swoje poparcie.

Przez siedemdziesiąt lat po rewolucji 1917 roku partia komunistyczna celowo kryła się za mgłą tajemniczości, uważając ją za klucz do utrzymywania władzy. Przywódców partyjnych, odgrodzonych rytualnym murem od ludzi, którymi

rządzili, otaczała aura wszechwiedzy i wyniosłości. Prawie nic nie było wiadomo o ich życiu prywatnym czy osobistych poglądach politycznych. Nikomu spośród zwykłych śmiertelników nie wolno było wiedzieć, gdzie ci biurokratyczni supermani zaopatrują się w odzież, jakie książki czy filmy przypadają im do gustu ani w jaki czarodziejski sposób pojawiają się w dni świąt państwowych na trybunie Mauzoleum Lenina. Wszystko było ukryte za zaciągniętymi zasłonami budynku KC i sunących przez milczące miasto limuzyn. W miarę wyjaśniania tajemnic automatycznie słabł uścisk żelaznej niegdyś ręki, którą partia trzymała w ryzach społeczeństwo. Teraz zerwano ostatnią zasłonę: wyjrzała zza niej grupa przerażonych i wcale nie wybitnych ludzi, którym bardziej zależało na uratowanie siebie niż reżymu, któremu służyli.

Aparatczycy opuszczający gmach Komitetu Centralnego przechodzili przed szpalerem demokratów, skandujących: „Hańba, hańba!" Na widok tych nachmurzonych biurokratów w szarych garniturach i białych koszulach rozległ się przeszywający gwizd. Raz po raz kazano im otwierać teczki, by się upewnić, że nie wynoszą z gmachu żadnych dokumentów.

Jurij Prokofiew, szef moskiewskiego komitetu KPZR, trafił w ręce rozwścieczonego tłumu, kiedy wyszedł przez drzwi tuż obok partyjnego bufetu. Przez kilka sekund zanosiło się na lincz. Uratowali go milicjanci, którzy utorowali mu następnie drogę do taksówki, przy ogłuszającym akompaniamencie wyzwisk.

Na początku lat siedemdziesiątych, z myślą o sytuacjach wyjątkowych, zbudowano w Moskwie podziemną sieć tajnych tuneli. Gmach Komitetu Centralnego na Starej Płoszczadi, siedziba KGB oraz Kreml były ponadto połączone linią kolejki podziemnej. Inna linia metra łączyła utajnione lokale KGB i podmoskiewskie ośrodki dowodzenia nuklearnego. Zwycięscy przywódcy rosyjscy nie mieli zamiaru dopuścić, by oficjele partyjni skorzystali z tych udogodnień. Kiedy tylko do KC dotarły posiłki, Szachnowski i Sewastianow rozstawili posterunki przy wejściach do tuneli, by udaremnić ucieczkę ewentualnym zainteresowanym.

Uczyniono wyjątek dla kilku członków osobistego zespołu Gorbaczowa, którzy pracowali w budynku, gdy zajmowali go demokraci. Doradca prezydenta do spraw polityki zagranicznej, Czerniajew, nie chciał wraz ze zhańbionymi aparatczykami wychodzić pokornie na ulicę. Była to kwestia godności osobistej. Czerniajew pozostał po stronie Gorbaczowa w czasie jego uwięzienia w Foros. Uważał, że powinno się mu oszczędzić gwizdów żądnego zemsty tłumu. W końcu ludzie Jelcyna ustąpili. Czerniajew pod eskortą udał się podziemnym tunelem na Kreml[139].

Do dwudziestej pierwszej w olbrzymim budynku przy Starej Płoszczadi praktycznie nie było już nikogo. Odesłano strażników KGB, ucichł tumult. Wasilij Szachnowski stwierdził, że pozostał praktycznie jedyną osobą w pogrążonym w ciszy gmachu, chronionym przez kilkudziesięciu członków moskiewskiej milicji municypalnej.

Zajścia ostatnich czterech i pół dni zlały się w świadomości Szachnowskiego w jedno. Partię komunistyczną porzucił w tym samym czasie co Jelcyn. Żyjąc od jednego kryzysu do drugiego, nie miał prawie czasu na sen ani myślenie. Teraz zaś, niespodziewanie, wałęsał się po ciemnych korytarzach opuszczonej cytadeli światowego ruchu komunistycznego. W towarzystwie nowo mianowanego komendanta budynku, Aleksandra Sokołowa, postanowił zwiedzić swe nowe władztwo. Sprawdził wejścia. Zaglądał do magazynów, zerkając na dopiero co sprowadzony z zagranicy najnowszy sprzęt wideo. Zajrzał przez drzwi do przepastnego gabinetu sekretarza generalnego partii na czwartym piętrze i do sąsiadującej z nim sali konferencyjnej Politbiura.

Potem, nagle, zrozumiał. Zwrócił się do Sokołowa i obwieścił podniesionym głosem: „Aleksandrze Iljiczu, właśnie zamknęliśmy Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego”.

MOSKWA
24 sierpnia 1991

Podczas gdy zwycięzcy świętowali swój triumf, zwyciężeni boleli nad swoją klęską. W dniu, kiedy zakazano działalności partii komunistycznej, doradca wojskowy Gorbaczowa, marszałek Achromiejew, usiadł w swym gabinecie na Kremlu, rozmyślając o upadku puczu. W końcu wziął do ręki pióro.

Najpierw napisał do przewodniczącego parlamentu radzieckiego, składając rezygnację z mandatu deputowanego ludowego. Następnie przygotował kilkustronicową mowę pożegnalną do deputowanych. Przyznał, że poparł pucz przeciwko zwierzchnikowi sił zbrojnych, co nazwał „świadomym złamaniem przysięgi żołnierskiej". Nic nie było mu wiadomo o puczu, dopóki się nie rozpoczął. Ale i tak sądził, że przynajmniej od roku jego radziecka ojczyzna zmierza ku „destrukcji". Dlatego też czuł się moralnie zobowiązany wesprzeć każdego, kto działał z zamiarem zapobieżenia tej tragedii, nawet mimo że wątpił w powodzenie przewrotu. Nie można jednak stać z boku, kiedy rozsypuje się wielonarodowe, olbrzymie państwo, a siły zbrojne są o krok od upadku.

„Te trzy idee - państwo, naród radziecki i siły zbrojne - nadały znaczenie memu życiu i życiu milionów innych ludzi. Okazuje się, że moje życie traci teraz wszelki sens"- pisał[140].

Sześćdziesięcioośmioletni marszałek dowiedział się o puczu podczas urlopu w Soczi, na wybrzeżu Morza Czarnego. Natychmiast zorganizował powrót do Moskwy, aby zaproponować swoje usługi GKChP. Pomógł nakreślić plany szturmu na Biały Dom i aresztowania niepokornych przywódców rosyjskich. Noc spędził wówczas na kanapie w swoim gabinecie na Kremlu. Kiedy było już jasne, że pucz się nie powiedzie, napisał w swoim dzienniku: „Niech historia odnotuje - sprzeciwiali się rujnowaniu wielkiego państwa.

I niech historia osądzi, kto miał rację, a kto ponosi winę".

Napisawszy kilka listów do starego przyjaciela z wojska,

Achromiejew wrócił do swej daczy. Żona, Tamara, wciąż była w Soczi. Ale córki, Natasza i Tatiana, przebywały w domu z dziećmi. Ojciec wydawał się nerwowy i zamyślony, ale opanowany. Po raz pierwszy od czasu zamachu wydawało się, że ma ochotę szczerze z nimi porozmawiać.

Po obiedzie rodzina rozsiadła się na werandzie. Zjedzono wielkiego arbuza. Wiatr szeleścił w gęstwie wysokich jodeł. Natasza i Tatiana unikały tematu Gorbaczowa, uznawszy, że to tylko rozzłościłoby ojca. Zamiast tego prosiły go, by

opowiedział o swoich przygodach z czasów wojny. Zaczął mówić o oblężeniu Leningradu, podczas którego niemalże umarł z głodu: ważył wówczas zaledwie czterdzieści dwa kilogramy. Potem opowiedział o klęsce Hitlera pod Stalingradem, której także był świadkiem.

Natasza w końcu zapytała ojca o pucz: „Zawsze mówiłeś, że zamach jest niemożliwy. A teraz do niego doszło i wziął w nim nawet udział minister obrony. Jak to wytłumaczysz?"

Achromiejew pomyślał chwilę, po czym odparł: „Nawet teraz nie jestem w stanie tego wytłumaczyć"[141].

Nazajutrz rano Achromiejew udał się swą służbową wołgą na Kreml. Był w radosnym nastroju; obiecał, że wieczorem weźmie wnuczkę na spacer do ogrodu. Pół godziny później Natasza zadzwoniła z informacją, że po południu sama odbierze matkę z lotniska.

Pierwszej, nieudanej, próby samobójczej Achromiejew dokonał kilka minut po telefonie Nataszy. Przywiązał stryczek do ramy okna, ale sznur zerwał się pod jego ciężarem. Kwadrans przed dziesiątą opisał, co się stało. Widziano go tego przedpołudnia, jak idzie korytarzami Kremla, najwidoczniej zmierzając do bufetu. W południe zadzwonił do bazy po szofera, zamawiając go na trzynastą. Kierowca czekał i czekał, ale marszałek się nie pojawił.

Na krótko przed dwudziestą drugą oficer dyżurny na Kremlu, odbywając obchód głównego budynku rządowego, spostrzegł, że drzwi pokoju 19A są uchylone. Wydawało mu się, że to bardzo późna pora na pracę. Pchnął drzwi i ujrzał szczupłe, poskręcane ciało Achromiejewa zwisające z kaloryfera pod oknem. Wokół szyi zaciągniętą miał białą nylonową linę. Jej drugi koniec uwiążemy był do metalowej klamki okna. Obok leżało przewrócone drewniane krzesło. Trup miał na sobie mundur marszałka Związku Radzieckiego[142].

Prowadzący śledztwo znaleźli na biurku Achromiejewa sześć listów. Jedna z kopert zawierała banknot pięćdziesięciorublowy i notatkę adresowaną do współpracownika, z prośbą o uregulowanie rachunku w bufecie na Kremlu za jedzenie i napoje, które marszałek zjadł w czasie puczu. W innym liście Achromiejew prosił swych kolegów w wojsku, by pomogli rodzinie w przygotowaniach do pogrzebu. Był tam także prywatny list do żony. I notatka, która zapewne miała stanowić polityczne epitafium marszałka:

> Nie potrafię żyć, gdy umiera moja ojczyzna i niszczone jest wszystko, w co wierzyłem. Mój wiek i dotychczasowe życie dają mi prawo do zakończenia życia. Walczyłem do końca.

Siergiej Achromiejew, 24 sierpnia 1991 roku[143]

Nikołaj Kruczina powrócił do swego gabinetu w gmachu KC wieczorem 25 sierpnia, w niedzielę, na spotkanie z nowymi administratorami budynku. Wydawał się dość spokojny, kiedy mówił o przejęciu majątku KPZR przez rosyjski rząd oraz socjalnych potrzebach mniej więcej tysiąca zatrudnionych w Komitecie Centralnym biurokratów. Na koniec spotkania, krótko po dwudziestej pierwszej, Szach- nowski rzucił: „I, oczywiście, musimy osobno porozmawiać o finansach partii”[144].

Kierownik administracyjny zbladł. „W porządku, porozmawiamy o tym jutro” - odrzekł, obcesowo kończąc rozmowę. Zebrał swoje rzeczy z przedpokoju i wyszedł. Szach- nowski odniósł wrażenie, że jest to uczciwy, zapracowany urzędnik, który jednak ma powody, by się czuć nieco zawstydzony. Pewnie miał coś wspólnego z tworzeniem tajnych struktur handlowych za partyjne pieniądze.

Kruczina został odwieziony do domu przy ulicy Pletniewa w centrum miasta. Mieszkał w jednym z komfortowych bloków mieszkalnych zarezerwowanych dla najwyższych działaczy partyjnych. Około pół do jedenastej powiedział „dobranoc” swej żonie i udał się do gabinetu, tłumacząc, żerna „trochę pracy”. Skreślił kilka listów i uporządkował swe sprawy.

„Moje sumienie jest czyste” - napisał do rodziny w jednym z listów. - „Nie jestem przestępcą. Jestem tchórzem”. Podkreślił słowo „tchórz”[145].

Kiedy nad Moskwą zajaśniał świt, oblewając czerwoną poświatą złocone kopuły cerkwi, rozsypujące się domy mieszkalne i pompatyczne, przypominające tort ślubny wieżowce, wyszedł na balkon na czwartym piętrze, wspiął się na balustradę i skoczył w objęcia śmierci.

W niespełna siedemdziesiąt lat po zdobyciu władzy w wyniku zbrojnego przewrotu radziecka partia komunistyczna przestała istnieć. W chwili zgonu liczyła piętnaście milionów członków. Żaden z nich nie stawił czynnego oporu. Aby zamknąć gmach, który był siedzibą światowego ruchu rewolucyjnego, wystarczyło kilkunastu milicjantów i kartka podstemplowanego papieru. Kiedy nadszedł koniec, komuniści byli zbyt wyczerpani i załamani, by walczyć.

Śmiertelne wyczerpanie nastąpiło po okresie „sześćdziesięciu lat i dziesięciu”, biblijnej długości życia ludzkiego organizmu. Komuniści wyczerpali zasoby kraju, którym rządzili przez blisko trzy czwarte stulecia - kraju pod wieloma względami równie szczodrego jak Ameryka Północna. Wyczerpali możliwości

poszerzania granic socjalizmu. Wyczerpali cierpliwość swego ludu niespełnionymi obietnicami i nieosiągalną utopią. Mówiąc krótko, wyczerpali swą wspaniałą ideę, która poruszała miliony ludzi ogromem i prostotą, ideę budowy raju na ziemi.

Trwałość komunizmu i szybkość jego upadku to dwie strony tej samej monety. W końcu nadeszła chwila, kiedy to, co przesądzało o sile systemu - masowe represje, sztywna centralizacja, wszechobejmująca ideologia i potęga zbrojna - stało się jego słabością. Bezwzględnie dławiąc wszelkie objawy ruchów narodowych i prześladując dysydentów politycznych, bolszewicy stworzyli warunki do jednoczesnego załamania się i komunizmu, i państwa radzieckiego. Kiedy zaczęły się chylić ku upadkowi, nikt nie potrafił temu zaradzić.

Historia wskaże wielu pretendentów do tytułu pogromcy komunizmu. Papież Jan Paweł II ujawniał zło moralne i polityczną izolację przywódców komunistycznych. Andriej Sacharow podkreślał uniwersalność praw człowieka w czasie, gdy większość rodaków milczała. Lech Wałęsa stanął na czele robotniczego buntu przeciwko robotniczemu państwu. Afgańscy mudżahedini udowodnili, że Armia Czerwona nie jest niezwyciężona. Ronald Reagan zmusił radzieckich liderów do wyścigu zbrojeń, którego kosztom ZSRR w żaden sposób nie mógł sprostać. Borys Jelcyn naruszył monolityczną strukturę Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Michaił Gorbaczow zezwolił, by miliony obywateli poznały tragiczną historię własnego narodu.

Udział tych wszystkich ludzi w demontażu imperium był znaczący. Komunizmu nie pokonał jednak jeden człowiek czy nawet wielu pojedynczych ludzi. W ostatecznym rachunku komunizm pokonał się sam.

Epilog

Związek Socjalistycznych Republik: Radzieckich przestaje istnieć.

prezydenci Rosji, Ukrainy i Białorusi, grudzień 1991

Ludzie nie znają litości: czyni się im dobrze i nikł nie dziękuje.

Aleksander Puszkin, Borys Godunow

SARAJEWO
22 września 1991

Według świadectwa tych, którzy ich znali, Siergiej Achromiejew i Nikołaj Kruczina odebrali sobie życie, ponieważ nie mogli sobie wyobrazić miejsca dla siebie w nowym, postkomunistycznym ładzie. Upadek partii, której obaj lojalnie służyli przez ponad cztery dekady, był dla nich także upadkiem tego, w co wierzyli. W ostatnich dniach komunizmu dochodziło do takich tragedii zarówno w Związku Radzieckim, jak i w Europie Wschodniej, ale były to raczej wyjątki niż reguła. W zasadzie klasa aparatczyków doskonale adaptowała się do życia w warunkach zmian.

Archetypem komunisty, który przedzierzgnął się w nacjonalistę, był serbski prezydent, Slobodan Milosevic. Je- sienią 1991 roku realizacja planu budowy Wielkiej Serbii, nakreślonego w marcu, była już bardzo zaawansowana. Nie przeszkodzili mu w tym studenci, których demonstracje nieomal pozbawiły go władzy. Serbscy separatyści, ciesząc się poparciem Milosevicia, przejęli władzę nad jedną piątą terytorium sąsiedniej Chorwacji. Jugosłowiańska Armia Ludowa (JNA), największa formacja wojskowa na Bałkanach, gwałtownie nabierała wyłącznie serbskiego charakteru. Chorwacki Vukovar, miasto położone nad Dunajem, oblegały połączone siły JNA i serbskich oddziałów ochotniczych. Wówczas Milosevic zwrócił uwagę na Bośnię i Hercegowinę, gdzie półtora miliona Serbów mieszkało wraz z dwoma milionami Muzułmanów i ośmiuset tysiącami Chorwatów.

Bośnia była miniaturą Jugosławii. Republika ta stanowiła mozaikę różnorodnych grup etnicznych i odmiennych tradycji religijnych, obejmującą tereny po obu stronach odwiecznej granicy między Rzymem i Bizancjum, Austro-Węgrami i Turcją. Był to także punkt zapalny Bałkanów, na który wystarczyło skrzesać jedną iskrę, by nastąpił wybuch. Wszyscy pamiętali strzały oddane przez serbskiego studenta w czerwcu 1914 roku, które dały początek I wojnie światowej. W siedemdziesiąt pięć lat później Bośnia nie miała już strategicznego znaczenia dla wielkich mocarstw. Miała jednak przesądzić o wyniku jugosłowiańskiej wojny domowej i o rozwiązaniu znacznie szerszej kwestii: czy na rumowisku komunizmu można zbudować „nowy ład światowy".

Bośni udawało się stać na uboczu walk między Serbią i Chorwacją, odgrywając rolę bezstronnego pośrednika. Aby taki układ polityczny mógł zdać egzamin, Muzułmanie musieli wygrywać Chorwatów przeciwko Serbom. Jeśli Chorwacja

zdołałaby się oderwać od federacji jugosłowiańskiej, wątła równowaga etniczna w Bośni zostałaby mocno nadwerężona. Republika stanęłaby wobec strasznego wyboru. Mogłaby ogłosić niepodległość, ryzykując zbrojny bunt serbskich nacjonalistów. Mogłaby też pozostać wewnątrz odchudzonej, zdominowanej przez Serbów Jugosławii, czemu gwałtownie sprzeciwialiby się bośniaccy Chorwaci i Muzułmanie. Wystarczyło zajrzeć do sąsiadów, tuż za granicą, aby się przekonać, jak wyglądałoby życie w takim państwie. Reżym Miloszevicia, skarżący się na dyskryminację Serbów w Chorwacji, odmawiał elementarnych praw obywatelskich mniejszościom albańskiej i muzułmańskiej w Kosowie i Sandżaku.

Mimo że Bośnia stąpała tuż nad krawędzią urwiska, Miloszević podjął szereg działań mających wykazać, że to on będzie decydował o biegu wydarzeń, bez względu na to, jakie decyzje podejmą władze Bośni. Najpierw utworzył własną sieć polityczną w republice, opierającą się na Serbskiej Partii Socjaldemokratycznej (SDS), będącej głównym narzędziem służącym mu do wywoływania zamieszek w Chorwacji na obszarach zamieszkanych przez Serbów. Następnie, posługując się swoimi koneksjami w JNA, zagwarantował swym bośniackim stronnikom przygniatającą przewagę- w uzbrojeniu i amunicji - nad ich przyszłymi przeciwnikami. Począwszy od końca 1990 roku, rząd Miloszevicia realizował całkiem logiczną i dobrze przemyślaną strategię zbrojenia bośniackich Serbów z myślą o nadchodzącej wojnie. Strategię tę oznaczono kryptonimem RAM.

Istnienie planu RAM zostało ujawnione przez premiera rządu federalnego, Antę Markovicia, w czasie rozprawy ze stronnikami Miloszevicia we wrześniu 1991 roku[1]. Wówczas, poza nazwą planu, niewiele było wiadomo na temat RAM. Ale elementy układanki stopniowo zaczęły dawać wyobrażenie o całości, kiedy do oddziałów SDS i komisariatów zdominowanej przez Serbów milicji w całej Bośni zaczęły nadchodzić dostawy broni. Niekiedy broń była rozprowadzana bezpośrednio przez cztery korpusy JNA stacjonujące w Bośni. Ich dowódcami byli Serbowie. W innych wypadkach broń transportowano z Serbii. Później okazało się, że bośniacki minister spraw wewnętrznych, muzułmański biznesmen nazwiskiem Alija Delimustafić, częściowo był świadom tego procederu. Przymykał jednak oczy na dostawy broni z Belgradu dla chorwackich Serbów w zamian za niewielkie partie kurtek wojskowych dla podlegających mu sił milicyjnych. Część broni zarezerwowanej dla chorwackich Serbów przechwytywana była przez Serbów w Bośni[2].

We wrześniu 1991 roku serbska kampania politycznej i wojskowej infiltracji Bośni przybrała jawne formy. Bośniaccy Serbowie, naśladując strategię swych

rodaków w Chorwacji, oficjalnie ogłosili autonomię czterech zamieszkanych przez Serbów regionów, stanowiących około sześćdziesięciu procent terytorium Bośni i Hercegowiny. Równocześnie Czarnogóra, sojusznik Serbii, skierowała oddziały składające się z kilku tysięcy rezerwistów z zadaniem zajęcia strategicznych pozycji na wzgórzach okalających stolicę Hercegowiny - Mostar. Muzułmanie i Chorwaci odpowiedzieli na tę mini inwazję mobilizacją własnych rezerwistów, co przywódcy SDS uznali za preludium do wojny domowej[3]. JNA przeprowadziła następnie mobilizację dwudziestu tysięcy własnych żołnierzy w Bośni i Hercegowinie, wbrew życzeniu kolegialnego ciała prezydenckiego republiki.

Istnieją jednoznaczne dowody na to, że większość tych posunięć inspirowana była z Belgradu. Przywódca SDS, Radovan Karadżić, do tej pory uważany był za lojalnego sojusznika i klienta Miloszevicia. Przed dwoma miesiącami Miloszević nalegał na JNA, by zajęła pozycje wzdłuż rzeki Neretwy, udzielając tym samym wsparcia serbskiej ludności Hercegowiny. Celem tego manewru było zapewnienie bezpieczeństwa „tym wszystkim terytoriom, które zamieszkują Serbowie" aż do ostatecznego rozpadu Jugosławii. We wrześniu dowódcy wojskowi zaczęli wprowadzać jego plan w życie[4].

Nazajutrz po zajęciu przez czarnogórskich rezerwistów wzgórz wokół Mostaru leciałem samolotem z Belgradu do Sarajewa. Zbierałem materiały do cyklu artykułów na temat przeobrażenia się komunizmu w nacjonalizm: Jugosławia była podręcznikowym przykładem tego, co groziło Związkowi Radzieckiemu po upadku władzy centralnej. Chociaż zachodnie rządy starały się jak mogły lekceważyć wzrost napięcia w Bośni, nikt, kto śledził rozwój wydarzeń w Jugosławii, nie miał wątpliwości, że do kolejnej wielkiej eksplozji dojdzie wkrótce właśnie w Bośni.

Rząd bośniacki kierowany przez Muzułmanów z całych sił starał się przyciągnąć uwagę międzynarodowej opinii publicznej. Wobec tego, że serbscy nacjonaliści już dysponowali zdecydowaną przewagą w uzbrojeniu, robienie wokół siebie hałasu było jedynym realnym orężem politycznym rządu Bośni. Kilka godzin po przybyciu do Sarajewa pozwolono mi przyglądać się pracom komisji rządowej badającej wydarzenia w Hercegowinie. Wkrótce znalazłem się na tylnym siedzeniu czarnego mercedesa, mknącego doliną dzikiej Neretwy w poszukiwaniu czarnogórskich rezerwistów. Tuż obok siedział przewodniczący komisji, Rusmir Mahmutcehajić, wicepremier. Mijaliśmy miejsca, w których rozgrywały się słynne epizody walk partyzantki Tity z hitlerowcami, a premier wyłuszczał mi

własną interpretację ostatnich wydarzeń w republice.

„To końcowy etap planu Miloszevicia - tworzenia Wielkiej Serbii. Bardzo trudno będzie nam uniknąć wojny. Miloszević napotka na opór ze strony Bośni - polityczny, społeczny, a nawet terrorystyczny. On jest jak Hitler. Świat musi zrozumieć, co się stanie, jeśli nikt go nie powstrzyma! Dojdzie do ludobójstwa. To szaleniec. Jak możemy ufać jego zapewnieniom, skoro Albańczycy w Kosowie zostali pozbawieni wszelkich praw?! Sądzi, że będziemy dla niego łatwą zdobyczą, ale jest w błędzie”[5].

Za nami sunął długi sznur opli, bmw i mercedesów - do wyboru, do koloru - samochodów wyższych urzędników państwowych. Skład komisji był wiernym odbiciem polityki bośniackiej koalicji. Na jej czele stał wicepremier Mahmutcehajić, Muzułmanin, a w jej skład wchodzili także Serb i Chorwat. Przedstawicielem Serbów był wiceminister odpowiedzialny za milicję, nominowany na stanowisko przez

SDS Karadżicia. Nie przejawiał wielkiego zainteresowania pracami komisji, raczej starał się mieć na oku pozostałych jej członków. Na jego twarzy malowało się butne rozbawienie. Kiedy zagadnąłem go, pytając, co jego zdaniem może osiągnąć komisja, wzruszył ramionami i odparł: „Nic”. Każdemu z polityków towarzyszyła osobista ochrona, której członkowie podejrzliwie obserwowali pozostałych ochroniarzy. Członkowie obstawy muzułmańskiej i chorwackiej nosili lśniące garnitury i ciemne okulary; Serbowie odziani byli w mundury połowę w stylu Rambo. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby.

Przerywając wykład, by posłuchać radiowych doniesień z frontu, Mahmutcehajić spekulował na temat pobudek, jakie kierowały Miloševiciem, kiedy wysłał czarnogórskich rezerwistów do Hercegowiny: chciał mianowicie wykroić serbski w większości region z terenów położonych na wschodnim brzegu Neretwy w grudniu 1991 roku. Wersja numer dwa: zająć górzysty rejon w głębi kraju powyżej Dubrownika, średniowiecznego miasta na Adriatyku, odcinając go od reszty Chorwacji. Wersja trzecia: zdestabilizować sytuację społeczno-polityczną w Bośni i Hercegowinie, uprzedzając tym samym ogłoszenie niepodległości przez koalicyjny rząd pod kierunkiem Muzułmanów. W świetle tego, co się wydarzyło potem, wszystkie trzy wytłumaczenia wydają się jak najbardziej do przyjęcia.

Po drodze widzieliśmy więcej uzbrojonych ludzi, reprezentujących oszałamiającą mozaikę formacji paramilitarnych. Niektórzy salutowali nam, kiedyśmy ich mijali. Inni witali nas nachmurzonymi minami. W końcu kolumna rządowa dotarła do mieszanej, muzułmańsko-chorwackiej wsi. Wnet wokół nas zebrała się

gromada mieszkańców. „To nie jest jugosłowiańskie wojsko, to serbska armia!” - krzyknął jeden z wieśniaków. „Zachowują się jak zwierzęta, wszyscy są pijani!” - zawołał inny. „Strzelają do nas przez całą noc!” - dodał trzeci. „Dajcie nam broń! Nikt już nie jest bezpieczny!” - krzyczał czwarty.

„Broni, broni!” - skandowali wieśniacy, spoglądając na nas równie twardo i srogo jak otaczające ich góry.

Kiedy odwiedziliśmy jeszcze inne wsie na wschodnim brzegu Neretwy, wyjaśniła się przyczyna niepokoju. Z Czarnogóry przybył długi sznur ciężarówek i autobusów turystycznych, z których wysypało się około trzech tysięcy niechlujnych rezerwistów. Część tej lumpen armii zakwaterowano na terenie lotniska wojskowego w Mostarze. Pozostali obozowali na otwartej przestrzeni. W przerwach w ostrzale chorwackich i muzułmańskich wsi rezerwiści spędzali większość czasu w barach, zaczepiając miejscowe kobiety lub strzelając w niebo. Ich przybycie poważnie nadwerężyło wewnętrzne stosunki w tym rejonie. Muzułmanie i Chorwaci widzieli w przybyszach bezpośrednie zagrożenie. Serbowie traktowali ich jak potencjalnych sojuszników w przyszłej walce, mimo że otwarcie nie okazywali satysfakcji.

Przemierzywszy niemałe połacie Hercegowiny, w końcu natrafiliśmy na kilkudziesięciu Czarnogórców próżnujących przed barem „Slobo” w maleńkiej wioseczce Potkosa. Stoły zastawione były pustymi butelkami po piwie. Ministrowie wysiedli z limuzyn. Z dwu stron ozwał się szczęk odbezpieczanej broni i ładowanych magazynków, kiedy uzbrojone grupy stanęły naprzeciw siebie po obu stronach górskiej szosy.

„Cześć, chłopcy. Czy mogę mówić z kimś, kto tu dowodzi?” - zagadnął wicepremier, siląc się na przyjazny ton.

Nie było odpowiedzi. Czarnogórcy bawili się swoimi karabinami. Wicepremier wycofał się.

Słońce chowało się za przepięknymi górami, kiedy kolumna ruszyła. Nagle posłyszeliśmy strzały. Nasza eskorta milicyjna natrafiła na barykadę zagradzającą drogę, o kilometr drogi od baru „Slobo”. Z lasu przy drodze wyszli, wyglądający na podnieconych, żołnierze. Wymachiwali karabinami snajperskimi M-76 i kałasznikowami. Szereg obróconych w ruinę domostw po drugiej stronie drogi zamykał nam drogę odwrotu. W każdy z dwudziestu samochodów rządowych mierzył z broni jeden żołnierz.

„Wyłączyć silniki. Nie ruszać się” - zakomenderowali żołnierze, celując wprost w nas.

Nasz szofer instynktownie sięgnął po swój niemiecki pistolet, ale szybko zrozumiał, że sytuacja jest beznadziejna. Wpadliśmy w zasadzkę. Jeden strzał i skończyłoby się jatką. Kilka następnych chwil dało nam do myślenia, na czym polega prawdziwa równowaga sił w Bośni i Hercegowinie. Ministrowie uwięzieni w swoich mercedesach i bmw mogli się powołać na wolę wyborców, ale to druga strona miała broń. Co gorsza, sam rząd był głęboko podzielony na tle wizji przyszłości republiki. Serbscy członkowie komisji rządowej podzielali poglądy i uznawali cele ludzi, którzy grozili nam swymi karabinami. Nie było wątpliwości, która strona ma większe szanse na zwycięstwo w ostatecznej konfrontacji.

Po około dziesięciu minutach wicepremierowi pozwolono opuścić samochód i podejść do dowództwa oddziału. Po kolejnych dziesięciu minutach pełnych napięcia negocjacji pojawił się oficer JNA i rozkazał nam wracać do Sarajewa. Żołnierze zniknęli w lesie równie cicho, jak z niego wyszli.

Po powrocie do Sarajewa politycy sprzeczali się na temat znaczenia najazdu Czamogórców i szans uniknięcia wojny na pełną skalę. Politycy muzułmańscy upierali się przy interwencji zagranicznej. Bombardowali Wspólnoty Europejskie i Organizację Narodów Zjednoczonych prośbami o przysłanie sił pokojowych nie po, lecz przed wybuchem walk. Stolice na Zachodzie, zajęte przede wszystkim rozpadem Związku Radzieckiego i wojną między Chorwacją i Serbią, nie okazały najmniejszego zainteresowania tymi apelami.

Potajemne uzbrajanie ludności serbskiej stawiało muzułmańskie kierownictwo rządu przed nierozwiązywalnym dylematem. Z wojskowego punktu widzenia roztropnie byłoby uzbroić własnych zwolenników, tak jak to zrobił Zagrzeb w przededniu wojny w Chorwacji. Na płaszczyźnie politycznej jednakże taki krok doprowadziłby do zerwania z SDS i upadku wielopartyjnej koalicji. Prezydent Bośni, Alija Izetbegović, był przekonany, że największe szanse na zachowanie pokoju zapewni jak najbardziej ugodowe nastawienie względem mniejszości serbskiej. Z tego powodu wybrał inną drogę niż chorwacki przywódca Franjo Tudjman. W Bośni, w przeciwieństwie do Chorwacji, Serbowie nie mogli w uzasadniony sposób narzekać na dyskryminację. Usiłowania belgradzkiej telewizji, polegające na ukazywaniu Izetbegovicia jako islamskiego fundamentalisty, który chce zbudować muzułmańskie państwo w sercu Europy, byłyby śmieszne, gdyby nie miały złowróżbnego wydźwięku.

Izetbegović, mężczyzna niskiego wzrostu, o zmiętej, acz uprzejmie uśmiechniętej twarzy, był jesienią 1991 roku postacią ze wszech miar tragiczną. Szarpany

wątpliwościami i pobożnymi, lecz sprzecznymi ze sobą życzeniami, bardziej przypominał Hamleta niż Chomeiniego. Wciąż wierzył, że najpewniejszą drogą ratunku dla Bośni i Hercegowiny jako społeczności wielonarodowej jest zachowanie Jugosławii w formie państwa federalnego. Aby dowieść swej szczerości, przystał na żądanie JNA rozwiązania jednostek obrony terytorialnej założonych przez Titę, z tego mianowicie powodu, że mogłyby rzekomo stanowić bazę dla powstania wrogich sobie wojsk o charakterze etnicznym. Ale armia go zdradziła. Nie zachowała neutralności w tym konflikcie, zaczęła natomiast rozprowadzać broń wśród serbskich rebeliantów. W czasie rzekomych manewrów przygotowywała się do nadchodzącej wojny, urządzając stanowiska artyleryjskie w górach powyżej Sarajewa[6].

Jako przywódca partii o charakterze etnicznym, Izetbegović musi wziąć na swe barki współodpowiedzialność za bratobójcze walki, które rozdarły Bośnię na części. Wówczas jednak główną jego winą był nadmierny optymizm i naiwność. Kiedy w grudniu 1991 roku Wspólnoty Europejskie uznały oderwane od federacji republiki Chorwacji i Słowenii, stwierdził, że nie ma wyboru: musi wyprowadzić Bośnię ze zdominowanej przez Miloszevicia Jugosławii. Ale nie zadbał o to, by zapewnić własnym ludziom środki do obrony przed nieuniknioną rzezią z rąk Serbów. Oszukiwał się, uważając, że nie dojdzie do wojny w Bośni i Hercegowinie, gdyż jest to zbyt upiorna wizja, by o niej w ogóle myśleć.

„Wynik wojny byłby straszny” - zakomunikował mi w prezydenckiej siedzibie w Sarajewie. - „Nie byłoby zwycięzców ani zwyciężonych. Byłaby to katastrofa. Co drugi obywatel republiki ma broń - legalnie lub nielegalnie. Oznaczałoby to wojnę powszechną w Jugosławii. Wszyscy interesują się Bośnią i wszyscy zostaliby wciągnięci do tej wojny. Walki rozszerzyłyby się na Serbię, przez Sandżak i Kosowo. Wojna w Bośni i Hercegowinie doprowadziłaby do wojny w Europie”[7].

Siedziba partii SDS Karadżicia oddalona była od gabinetu prezydenckiego jedynie o kilkaset metrów. Równocześnie tkwiła w całkiem innym świecie. Karadżić dobrze wiedział, czego chce, i miał jasną strategię osiągnięcia swych celów. Nie krył swego przeświadczenia, że Serbom należy się dwie trzecie terytorium Bośni i Hercegowiny, nawet jeżeli stanowią zaledwie jedną trzecią ludności republiki. Poza tym Serbowie byli gotowi do walki o swe cele terytorialne. Trudno było o większy kontrast niż ten - między muzułmańskim intelektualistą o ciepłym głosie a przemawiającym ostrym głosem serbskim nacjonalistą, który poprzednio pracował jako psychiatra sarajewskiej drużyny piłki nożnej.

W dniu, kiedy byłem umówiony na spotkanie z Karadżiciem, w Sarajewie aż

huczało od doniesień o faksie, rozesłanym rzekomo do oddziałów SDS w całej Bośni. Sarajew- ska gazeta „Oslobodjenje” opublikowała treść „instrukcji” wraz z oświadczeniem SDS, że jest to „brudne fałszerstwo”. Wedle instrukcji, Karadżić miał rzekomo wzywać swych zwolenników: „W razie oporu wobec uzasadnionych, ludzkich żądań narodu serbskiego - musicie być bezwzględni. Oko za oko, ząb za ząb”[8].

Chociaż Karadżić zaprzeczał, jakoby wysłał notę tej treści, w mojej obecności używał podobnego języka. Kilkakrotnie przerywał naszą rozmowę, by odbierać telefony od lokalnych szefów SDS i omawiać z nimi plany pełnej mobilizacji. „Tu się ważą losy Serbii!” - krzyczał do telefonu. - „To nasza historyczna szansa! Musimy działać!”.

Znowu zwracając się do mnie, wyłożył mi swą udziwnioną wersję historii Bośni. „Muzułmanie usiłują zapanować nad Bośnią. Chcą utworzyć tu państwo islamskie, ale my, Serbowie, nie zamierzamy im na to pozwolić. Nie można zmuszać chrześcijan, żeby żyli w państwie muzułmańskim. Proszę spojrzeć, do czego doszło w Libanie. Muzułmanie bośniaccy są, tak naprawdę, Serbami zmuszonymi do przejścia na islam, kiedy przybyli tu Turcy. Mają bardzo wysoki przyrost naturalny. Czekają tylko, aż będą stanowili pięćdziesiąt procent ludności, by ogłosić powstanie państwa muzułmańskiego. Nie rozumiem, dlaczego Ameryka popiera tę antyserbską koalicję”.

Chciałem się dowiedzieć, czy zgodziłby się na jakiś rodzaj luźnej konfederacji między Bośnią i Serbią, o czym się wówczas dyskutowało. Potrząsnął swoim pióropuszem pofalowanych siwych włosów w kategorycznym „nie”.

„Nigdy się na to nie zgodzimy. Konfederacja nie jest stabilnym typem państwa. Próby stworzenia konfederacji mogą się skończyć jedynie wojną lub rozłamem. Prawdopodobnie jednym i drugim. Oni nie mogą zająć naszego terytorium”.

Przekonałem się, o jakie państwo chodzi Karadżiciowi, kiedy pokazał mi mapę mającą wykazać, że wiele bośniackich miast zamieszkanych w większości przez Muzułmanów to w gruncie rzeczy miasta „serbskie”. Ujrzała ona światło dzienne na fali tak zwanej Wojny Map, kiedy każda grupa etniczna stawiała absurdalne żądania terytorialne. Jeśli jednak spojrzeć w przeszłość, mapa Karadżicia była wyjątkowo dalekowzrocznym dokumentem. Tak mniej więcej miała wyglądać Bośnia za kilka lat, kiedy w ramach „czyszczenia etnicznego” wypędzono z domów setki tysięcy Muzułmanów.

Opuszczając tego jesiennego, złocistego popołudnia siedzibę Karadżicia, poczułem ukłucie nostalgii za miastem i stylem życia, którym groziła zagłada. Sarajewo, wzniesione wzdłuż wąskiej doliny rzecznej, otoczone wysokimi górami, było urokliwą mieszanką Wschodu i Zachodu, starego i nowego. Strzeliste minarety dziesiątek meczetów zaznaczały się na zboczach tuż obok przysadzistych cerkwi i solidnych austro-węgierskich gmachów, jak poczta czy bośniacka siedziba prezydenta. Brukowana starówka, Baś-Ćarśija, była feerią kolorów i typowej dla krajów Wschodu krzątaniny. Nieco dalej, wzdłuż doliny Miljaćki, wznosiły się nowoczesne wieżowce z czasów komunistycznych. W każdym innym mieście uchodziłyby za szkaradne blokowisko, ale tutaj dodawały jedynie kolejną nutę do eklektycznego czaru miasta. Sarajewo, pełne kawiarni i nocnych klubów, zawsze było miastem tolerancji i hedonizmu. Zawsze rozbrzmiewała tu radość i śmiech.

To właśnie w Sarajewie posłyszałem odległy jeszcze grzmot rozpoczynający trzęsienie ziemi, które miało pochłonąć dotychczasowy porządek. Było to 4 maja 1980 roku, w niedzielę. Jadąc z Dubrownika wzdłuż doliny Neretwy, znalazłem się tu o zmierzchu. Ruch uliczny wydawał się niezwykle chaotyczny: samochody pędziły we wszystkich możliwych kierunkach, ignorując najbardziej podstawowe zasady ruchu drogowego. Kiedy meldowałem się w hotelu Europa w Baś-Ćarśiji, recepcjonista płakał. Powiadomił mnie, że niespełna godzinę temu zmarł Tito. Tak jak innych sarajewian, przerażała go myśl o tym, co się teraz stanie z jego krajem, skoro zabrakło człowieka trzymającego w całości Jugosławię przez trzydzieści pięć lat. Na ekranie telewizora w kącie recepcji widać było archiwalną kronikę filmową. Tito dawał właśnie zdecydowaną odprawę „każdemu najeźdźcy". Stary marszałek zapowiadał: „Tak jak walczyliśmy z Niemcami w czasie wojny, jak walczyliśmy w roku 1948, tak jesteśmy gotowi do walki dziś i będziemy gotowi w przyszłości, kiedy mnie już zabraknie".

Bośnia cieszyła się pokojem jeszcze przez dziesięć lat po śmierci Tity, ale teraz zaczęło brakować jej szczęścia. Zagrożenie nie nadchodziło z zewnątrz, jak sugerował Tito, ale od wewnątrz. Legalny rząd usiłował poradzić sobie z piątą kolumną rozlokowaną w samym środku republiki, ale był za słaby, żeby się obronić. Serbscy nacjonaliści w Sarajewie i Belgradzie stosowali sprawdzone techniki agresji. Wracając ze spotkania z Karadżiciem, myślałem o sytuacji w Czechosłowacji przed zajęciem jej przez III Rzeszę w 1938 roku. Podgrzewając nastroje nacjonalistyczne wśród ludności niemieckiej w Sudetach, naziści umożli-

wili sobie zajęcie całego kraju niemal bez walki. Świat stał z boku i biernie przyglądał się agresji.

Nie trzeba było mieć wielkiej wyobraźni, by przewidzieć, jaki los czeka Sarajewo w razie wybuchu wojny. Los ten miał już swoje imię: Vukovar.

VUKOVAR
19 listopada 1991

Kiedy armia jugosłowiańska i serbskie formacje ochotnicze po trwającym osiemdziesiąt siedem dni bezlitosnym ostrzale artyleryjskim wkroczyły w końcu do Vukovaru, miasto przedstawiało koszmarny obraz ruin, zniszczenia i śmierci. Przeszyte kulami ciała leżały bezładnie na ulicach zawalonych gruzem, pośród wypalonych budynków mieszkalnych wałęsały się bezpańskie psy, wzdłuż dróg naznaczonych lejami po wybuchach min stały spalone samochody i czołgi. Ci, którzy przeżyli, mrużyli oczy, wychodząc na oświetlone słońcem ulice z piwnic i suteren, krzycząc z przerażenia na widok makabrycznych obrazów zniszczenia. Wydawało się, że z powodzi pocisków artyleryjskich, bomb i kul nie uratowała się ani jedna ściana, drzwi czy dach. Nawet drzewa były rozszarpane na kawałki.

Przed wojną Vukovar był urokliwym naddunajskim miastem, znanym z barokowych kościołów i wielkich zakładów obuwniczych. Teraz przypominał Drezno po serii alianckich nalotów. Europa nie widziała tak wielkich zniszczeń od czasów II wojny światowej. Serbscy zwycięzcy mówili o „wyzwoleniu" Vukovaru z rąk chorwackich „faszystów", teraz można było jednak „wyzwolić" tylko tych nielicznych, którym udało się pozostać przy życiu. Jeśli historia kiedykolwiek odnotowała zniszczenie miasta w celu uratowania go - Vukovar był właśnie takim miastem.

Dla Chorwatów stał się on symbolem ich determinacji w oporze wobec serbskiej agresji. To był ich Stalingrad. Przez wiele tygodni Radio Vukovar nadawało wiadomości ze swego nadajnika UKF: „Vukovar wciąż walczy. Vukovar nie padł". Miasta broniło około tysiąca pięciuset słabo uzbrojonych milicjantów i ochotników. Mimo to przez trzy miesiące odpierali ataki około dwudziestu tysięcy ludzi, dysponujących wsparciem czołgów, artylerii i lotnictwa. Kiedy w połowie września JNA przysłała kolumnę czołgów do pobliskiego przedmieścia - Borovego Naselja - chorwaccy obrońcy zdziesiątkowali intruzów za pomocą ręcznych granatników przeciwpancernych. Nie mogąc zdobyć Vukovaru, atakując z ziemi, JNA zmieniła taktykę i starła miasto na proch, uderzając z powietrza granatami moździerzowymi, rakietami i bombami. Zmuszeni szukać schronienia w piwnicach, mieszkańcy miasta pili deszczówkę i żywili się twardym jak kamień pieczywem. Wielu zmarło z braku opieki medycznej.

Okrucieństwa popełniano po obu stronach. Dowódcy wszystkich niemal for-

macji nie mieli oporów przed dokonywaniem egzekucji na cywilach podejrzanych o zdradę lub, zwyczajnie, z powodu ich pochodzenia etnicznego. Oprócz tysięcy ludzi, którzy stracili życie w wyniku ostrzału artyleryjskiego, wielu po prostu gdzieś znikło. Walki były szczególnie zacięte wokół fabryki w Borovie, po północnej stronie miasta.

Kiedy na początku listopada JNA i serbskie oddziały ochotnicze otoczyły Vukovar, chorwaccy obrońcy walczyli o każdy dom i każdą piwnicę, dopóki nie zabrakło im amunicji. Kilkuset obrońców zdołało zbiec przez pola. Kilkuset kolejnych poddało się; byli traktowani względnie dobrze. Bojownicy chorwaccy pochwyceni przez ochotników serbskich byli często rozstrzeliwani na miejscu, często w obecności zagranicznych dziennikarzy, którym pozwolono obserwować „wyzwalanie” miasta[9].

Kiedy minęła już ich godzina próby, Serbowie i Chorwaci, którzy ocaleli, byli zbyt wstrząśnięci, żeby poczuć ulgę. „Zycie nie ma już dla mnie znaczenia” - wyznała Chorwatka Marina Rodić, która w czasie walk straciła męża i syna. „Nikt nie wygrał w Vukovarze. Wszyscy przegraliśmy”- stwierdził Milan Bosnie - Serb, który spędził w piwnicy sześćdziesiąt trzy dni[10].

W szpitalu, trafionym kilkanaście razy w trakcie walk, piwnice pełne były rannych żołnierzy i cywilów. 19 listopada szpital otoczyły oddziały JNA i serbskie formacje paramilitarne. Pokojowy wysłannik ONZ, Cyrus Vance, usiłował się dostać do szpitala, ale nie dopuścił go oficer JNA, major Veselin Slavancinin, dowódca jednostek artylerii, które zrównały z ziemią dużą część miasta[11]. Major stwierdził, że szpital jest zaminowany i nie może zagwarantować międzynarodowym obserwatorom bezpieczeństwa. Ale obie

strony uzgodniły, że czterystu dwudziestu chorwackich pacjentów zostanie ewakuowanych na terytorium kontrolowane przez Chorwatów.

Następnego dnia serbscy żołnierze oddzielili dwustu lekko rannych mężczyzn od pozostałych pacjentów. „Rozkazali wszystkim, którzy byli w stanie chodzić, aby wsiedli do autobusów oczekujących na tyłach szpitala” - wspomina Viktor Djurisić, ciężko ranny robotnik zakładów w Borovie. - „Już nigdy ich nie zobaczyliśmy”[12].

Wedle naocznych świadków, przesłuchanych przez wysłanników ONZ, więźniów zabrano do wielkiego budynku używanego jako garaż dla sprzętu rolniczego w pobliskiej wsi Ovcara. Tutaj zostali tak ciężko pobici, że co najmniej dwóch mężczyzn zmarło. Serbscy żołnierze podzielili potem pacjentów na dwu-

dziestoosobowe grupy. „Jedna po drugiej, grupy kolejno ładowane były na ciężarówkę i wywożone. Mniej więcej co piętnaście minut ciężarówka wracała pusta i zabierała następną grupę rannych”[13].

Dzięki informacjom udzielonym przez Chorwata, któremu udało się zbiec z ciężarówki, prowadzący śledztwo przedstawiciele ONZ zdołali zlokalizować masowy grób na skraju zadrzewionego parowu, oddalonego o pięć minut jazdy samochodem od Ovcary. Pobliskie drzewa nosiły liczne ślady kul. Na ziemi leżały całe stosy pustych magazynków od kałasznikowów. Na niektórych ciałach znaleziono różańce i krzyże rzymskokatolickie, co wskazywałoby, że należały raczej do Chorwatów niż do Serbów. Po zbadaniu miejsca kaźni eksperci doszli do wniosku, że dokonujący egzekucji stali „na północno-zachodniej stronie grobu i [strzelali] po przekątnej w kierunku południowo-wschodnim, w stronę lasu”. Materialne dowody masakry zostały poparte zeznaniami naocznych świadków. „Zabijaliśmy ich w Ovcarze od siedemnastej do pierwszej nad ranem” - przytaczano przechwałki jednego z ochotników serbskich, który snując swą opowieść, raczył się przy śniadaniu śliwowicą. - „Błagali, płakali i zarzekali się, że nie strzelali do naszych ludzi”[14].

W ciągu kilku następnych lat podobne okrucieństwa popełniano zarówno w Chorwacji, jak i Bośni. Pół wieku po tym, jak cywilizowany świat dowiedział się o okropnościach Oświęcimia i Buchenwaldu i poprzysiągł, że „nigdy więcej”, obozy koncentracyjne i kaźnie znów pojawiły się na europejskiej ziemi. Straszne terminy, takie jak „ludobójstwo” i „czystki etniczne”, powróciły do słownika. Do czasu osiągnięcia końcowego porozumienia pokojowego, pod koniec 1995 roku, w byłej Jugosławii zginęło, jak wynika z szacunków, ćwierć miliona ludzi. Blisko trzy miliony wypędzono z własnych domów.

Zniszczenie i śmierć Vukovaru powtarzały się w nie kończącej się mnogości odmian w Dubrowniku, Tbilisi, Srebre- nicy, Duszanbe, Groźnym i dziesiątkach mniejszych miast i miasteczek w byłym świecie komunistycznym. Vukovar był dopiero początkiem.

Zachodni przywódcy mieli możliwość - a jak chcą niektórzy, historyczny obowiązek - wkroczenia na Bałkany, zanim walki wymknęły się spod kontroli. Jugosławia była po części tworem amerykańskim. Główną rolę w budowie na gruzach imperiów otomańskiego i austro-węgierskiego Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców odegrał w czasie konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 roku

nie kto inny, jak właśnie prezydent USA, Woodrow Wilson. Po II wojnie światowej kraj ten był jednym z ważniejszych elementów równowagi między Wschodem i Zachodem. Stany Zjednoczone objęły Jugosławię nieformalnymi gwarancjami bezpieczeństwa, by udaremnić inwazję radziecką po uniezależnieniu się Tity od Moskwy w 1948 roku. Amerykańscy politycy odwiedzający Belgrad nigdy nie pomijali sposobności do poparcia „niepodległości, niezaangażowania i terytorialnej integralności” kraju.

Jednak od pewnego czasu wiadomo było, że Jugosławia zmierza w kierunku gwałtownego rozpadu. W październiku 1990 roku Centralna Agencja Wywiadowcza opracowała tajny raport przewidujący dezintegrację kraju, mającą nastąpić w ciągu półtora roku. Zdaniem autorów opracowania istniało „wysokie prawdopodobieństwo”, że polityka wzniecania nacjonalistycznych awantur uprawiana przez Milosevicia i Tudjmana zepchnie kraj w otchłań wojny domowej[15].

Zamiast działać natychmiast po otrzymaniu tych ostrzeżeń, administracja Busha potraktowała kryzys jako sprawę głównie europejską. Przez większą część 1991 roku prezydent Bush i sekretarz stanu James Baker zajęci byli wojną

w Zatoce Perskiej i rozpadem Związku Radzieckiego. Politycy ci, myślący w geostrategicznych kategoriach zimnej wojny, narodowy interes USA w Europie postrzegali niemal wyłącznie przez pryzmat powstrzymywania komunizmu. Grzech Zachodu względem Jugosławii był, przede wszystkim, grzechem braku wyobraźni politycznej. Upadek reżymów komunistycznych w Europie Wschodniej wywołał w zachodnich stolicach stan fałszywej euforii. Chełpliwie mówiono o „nowym ładzie światowym” i „końcu historii”. Zauroczeni własną retoryką, amerykańscy politycy nie dostrzegali, iż pojawiający się na miejscu komunizmu nacjonalizm jest głównym zagrożeniem dla zachodnich demokracji i że Jugosławia będzie pierwszym polem bitwy ery postradzieckiej.

Historii wcale nie było śpieszno do swego końca: historia dopiero się zaczynała - po przymusowym uśpieniu trwającym kilka dziesięcioleci. Kryzys jugosłowiański miał symboliczne znaczenie dla wyzwań, które wkrótce miały się stać cechą charakterystyczną nowej epoki. Miloszeviciowie i Tudjmanowie pojawiali się niemal w każdym miejscu byłego świata komunistycznego. Zimna wojna ustępowała walce ideologicznej innego rodzaju. Po jednej stronie byli ci, którzy wyznawali amerykańskie ideały demokracji i pluralizmu, wolnego rynku, wolnych instytucji i wolności słowa. Po drugiej - ci, którzy dostrzegali polityczny lub gospodarczy interes we wznoszeniu barier wobec wolnej wymiany ludzi, dóbr i

idei. Przefarbowani komuniści - dzisiejsi nacjonaliści - zdołali utrzymać władzę jedynie dzięki rozbudzaniu nienawiści etnicznych, przez dziesiątki lat uśpionych.

Nacjonalizm, podobnie zresztą jak komunizm, ma naturalną zdolność do reprodukcji, dopóki nie napotka przeważającej siły albo się nie rozpadnie w rezultacie sprzeczności wewnętrznych. Nacjonalizm rozwijał się w warunkach chaosu gospodarczego, wskazując kozły ofiarne i oferując gotowe, całkowicie bezbolesne rozwiązania głęboko zakorzenionych problemów. Do końca 1991 roku wirus ów rozprzestrzenił się na spore połacie Europy Wschodniej, rzucając cień na demokratyczne osiągnięcia poprzednich dwóch lat. Przyjezdni mogli odnieść wrażenie, że uczestniczą w podróży wehikułem czasu do 1945 albo 1917 roku. Przywracano życie flagom, symbolom narodowym, partiom politycznym, a nawet nazwom ulic - dokładnie w takiej formie, w jakiej istniały, zanim do władzy doszli komuniści. Tak jakby region ów nagle rozbudził się z długiej politycznej hibernacji.

W niektórych krajach wirus nacjonalizmu przyjął relatywnie łagodną formę. Takim przypadkiem była Czechosłowacja, gdzie Czesi i Słowacy zdołali przeprowadzić w miarę cywilizowany rozwód. W wielu innych miejscach jednakże wirus ów okazał się zapalnikiem bratobójczych wojen. Zanim zapadła jesień 1991 roku, nasiona przyszłych kataklizmów zostały posiane w byłych republikach radzieckich, takich jak Gruzja, Tadżykistan, Azerbejdżan i Mołdawia. Na Kaukazie emerytowany generał lotnictwa ZSRR Dżochar Dudajew z zapałem formował swą armię, liczącą sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy. W ciągu kilku tygodni miał ogłosić się prezydentem Czeczenii - kraju, o którego istnieniu wiedzieli tylko nieliczni ludzie na Zachodzie.

Oczywiście były granice tego, co zachodnie rządy mogły zrobić dla powstrzymania fali waśni etnicznych. Ameryka nigdy nie okazała zainteresowania Kaukazem. Jugosławia jednakże stanowi całkiem inny przypadek. Kraj ów obejmował tereny rozciągające się po obu stronach uświęconej wielusetletnią tradycją granicy między Rzymem i Bizancjum, islamem i chrześcijaństwem, Wschodem i Zachodem. Stany Zjednoczone zostały już wciągnięte w dwie wojny światowe zainicjowane przez konflikty w Europie Wschodniej. W czasie zimnej wojny kolejni prezydenci USA nie taili, że ostro zareagują na agresję radziecką w Jugosławii. Gdyby Zachód był przygotowany do walki z odrodzonym nacjonalizmem - Jugosławia mogła być dlań polem do popisu.

Pierwsza i najlepsza okazja pojawiła się zimą, na przełomie roku 1990 i 1991.

Wiadomo było, że Jugosławia powoli zaczyna się rozpadać. Wyżsi urzędnicy administracji Busha wyrażali potem żal, że nie zdecydowali się na stanowczą ingerencję właśnie w tym momencie[16]. Stany Zjednoczone mogły wówczas zwołać ogólnoeuropejski szczyt, którego zadaniem byłoby opracowanie i wdrożenie pakietu podstawowych zasad rozwiązania Jugosławii. Szczyt mógłby już wówczas udzielić gwarancji bezpieczeństwa mniejszościom etnicznym w tym państwie. Bez silnego przywództwa USA europejscy politycy nie byli w stanie osiągnąć wspólnego stanowiska. Niemcy były politycznie, historycznie i gospodarczo powiązane z Chorwacją i Słowenią, które niegdyś należały do cesarstwa austro-węgierskiego. Wielka Brytania i Francja, dla odmiany, miały historyczne związki z Serbią. Podziały między zachodnimi rządami znalazły wyraz w wysyłaniu sprzecznych sygnałów do przywódców jugosłowiańskich.

Kolejną okazją do zdecydowanego działania była jesień 1991 roku, kiedy JNA przystępowała do oblężenia Vukovaru i Dubrownika. Szczególnie Dubrownik mógł zostać bez większego wysiłku otoczony ochroną okrętów NATO patrolujących Adriatyk. Dubrownik, architektoniczna perła dalmatyńskiego wybrzeża Chorwacji, miał sześćsetletnią historię odpierania najeźdźców. W październiku 1991 roku serbska artyleria rozlokowana w górach wznoszących się nad Dubrownikiem zaczęła zasypywać oblężone miasto gradem pocisków. Naczelny dowódca wojsk NATO, generał John Galvin, przyznał później w Kongresie, że jego okręty bez większego trudu mogłyby pokonać artylerię serbską. „Mogliśmy wysłać VI Flotę (...) na Adriatyk i prowadząc bardzo ograniczone działania wojskowe, zademonstrować zdecydowanie państw Zachodu, by nie dopuścić do wymknięcia się sytuacji spod kontroli”[17].

Jeszcze inna możliwość zapobieżenia rozprzestrzenianiu się wojny pojawiła się kilka tygodni później, kiedy władze Bośni błagały zachodnie rządy o wysłanie w ramach sił pokojowych kontyngentu kilkuset żołnierzy, aby nie dopuścić do wciągnięcia Bośni w wojnę serbsko-chorwacką. I mimo że amerykańscy oficjele z uwagą i zrozumieniem słuchali próśb Aliji Izetbegovicia, nie uczynili nic. Stany Zjednoczone nie były gotowe do działania w pojedynkę. Organizacja Narodów Zjednoczonych uznała, że w Bośni panuje pokój, w związku z czym nie ma powodu wysyłać tam sił pokojowych. Wysłannik ONZ Cyrus Vance uznał, że skierowanie wojska do Bośni byłoby „przedwczesne”[18]. ONZ wprowadziła natomiast embargo na dostawy broni do sześciu republik jugosłowiańskich, na czym głównie skorzystali Serbowie, już od dawna uzbrojeni po zęby.

Przez cały 1991 rok administracja Busha zdobyła się tylko na jedną poważną

próbę zapobieżenia katastrofie w Jugosławii. Próba ta zakończyła się fiaskiem. 21 czerwca Baker przyjechał na dzień do Belgradu, aby namówić skłóconych polityków jugosłowiańskich do rozwiązywania sporów drogą pokojową. Wykorzystał okazję, by ostrzec ich przed „niebezpieczeństwami dezintegracji" i ogłosić, że Waszyngton nie uzna żadnej republiki, która będzie próbowała odłączyć się od federacji. W przeciągu kilku dni po jego wyjeździe zarówno Chorwacja, jak i Słowenia ogłosiły niepodległość. Chociaż Baker opowiadał się przeciwko użyciu siły przez rząd federalny, Miloszević zinterpretował jego poparcie dla zjednoczonej Jugosławii jako zielone światło dla wysłania wojska przeciwko ruchom secesjonistycznym. Wydał jugosłowiańskiej armii tajne rozkazy bronienia terytoriów zajmowanych przez Serbów zarówno w Chorwacji, jak i w Bośni[19].

Nieudana próba dyplomatyczna poważnie zniechęciła Bakera. Powrócił do Waszyngtonu w przekonaniu, że Stany Zjednoczone „nie obstawią żadnego charta w tym wyścigu", jak to ujął. Wysłuchawszy przywódców Serbii, Chorwacji i Bośni, narzekał, że nie mogą się wydostać z „piętnastego wieku". Jego punkt widzenia podzielał także prezydent, który podobnie jak wielu ludzi w Waszyngtonie, miał problemy ze zrozumieniem plątaniny politycznej na Bałkanach. Bush słuchał swoich ekspertów do spraw polityki zagranicznej z widocznym zakłopotaniem, po czym prosił: „Jeszcze raz powiedzcie mi, o co w tym wszystkim chodzi"[20].

Brak zainteresowania ze strony Busha i Bakera oznaczał, że Jugosławia nie jest priorytetem dla amerykańskiej administracji. Odpowiedzialność za uporanie się z kryzysem została scedowana na zastępcę sekretarza stanu, Law- rence'a Eagleburgera, i doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, Brenta Scowcrofta, którzy uchodzili za „ekspertów od spraw bałkańskich", ponieważ obaj pracowali w ambasadzie USA w Belgradzie. Przy poparciu Pentagonu doszli do wniosku, że interes Stanów Zjednoczonych wymaga, aby trzymać się z dala od tego europejskiego, w zasadzie, kryzysu. „Europejczycy powtarzali nam, że problem ów powstał na ich własnym podwórku i że sami chcieliby pokierować jego rozwiązaniem" - stwierdził później Scowcroft. - „Bardzo chętnie na to przystaliśmy"[21].

Departament Stanu starał się zdystansować od kryzysu. W październiku jugosłowiański ambasador w Waszyngtonie odbył z Eagleburgerem długą rozmowę o „nowych nastrojach izolacjonistycznych" w Ameryce. Wysyłając relację z rozmowy do Belgradu, zacytował Eagleburgera, który mówił, że koniec zimnej

wojny bardzo ograniczył strategiczne znaczenie Jugosławii i że Stany Zjednoczone nie widzą potrzeby aktywnego angażowania się w takich krajach jak Jugosławia, które niegdyś stwarzały szansę na powstrzymanie ekspansjonizmu radzieckiego[22].

Przywódcy jugosłowiańscy zdawali sobie sprawę, że w stolicach europejskich panuje zamieszanie, i wyciągnęli z tego wnioski. Jasne było, że Zachód, na czele ze Stanami Zjednoczonymi, nie ma dość odwagi, by wikłać się w bałkański galimatias. Na wiosnę 1991 roku Miloszević wysłał jugosłowiańskiego ministra obrony z tajną misją do Moskwy, by się wywiedział, czy Związek Radziecki udzieli pomocy Jugosławii w razie interwencji zbrojnej Zachodu. Rosjanie odpowiedzieli, że nie ma takiej możliwości. Według ich wywiadu, dodali, Zachód w żadnych okolicznościach nie zamierza interweniować w Jugosławii[23].

Serbscy przywódcy wiedzieli, że mogą działać całkowicie bezkarnie.

PUSZCZA BIAŁOWIESKA
8 grudnia 1991

Śnieg prószył z lekka, kiedy przywódcy Rosji, Ukrainy i Białorusi dotarli do starego domku myśliwskiego Breżniewa w białoruskim lesie. Był piękny, zimowy dzień, powietrze zimne i rześkie. Prezydent Białorusi, Stanisław Szuszkiewicz, usiłując grać rolę serdecznego gospodarza, zapraszał gości na spacer wśród sosen, nawet małe polowanie. Nikt jednak nie podchwycił jego propozycji. Pozostali przywódcy byli nazbyt podenerwowani i podnieceni, by myśleć o rozrywkach. Spotkali się w tej ustronnej leśnej chacie, aby pogrzebać Związek Radziecki.

Białowieski rezerwat przyrody w pobliżu polskiej granicy był doskonałym miejscem na tajną schadzkę. Najbliższym miastem był Brześć, oddalony o osiemdziesiąt kilometrów. Chaty strzegły specjalne oddziały wojska. Zablokowano wszystkie drogi dojazdowe. Dziennikarze pozostali w Mińsku, stolicy Białorusi. Gorbaczow spędzał weekend w swojej daczy pod Moskwą, gryząc się tym, że liderzy trzech republik słowiańskich nie dopuścili go do swych rozmów. Ani on, ani nikt inny w Moskwie nie miał pojęcia, co się dzieje głęboko w białoruskim lesie.

Zanim doszło do spotkania przywódców republik w Puszczy Białowieskiej, władza rządu centralnego była już znacznie uszczuplona. Prawie codziennie pojawiały się wiadomości o nowych prztyczkach wymierzonych w nos Gorbaczowa. Na początku listopada radziecki prezydent poleciał do Madrytu na spotkanie z prezydentem George'em Bushem; kiedy powrócił do Moskwy, przekonał się, że pod jego nieobecność republiki obaliły siedemdziesiąt związkowych urzędów ministerialnych. Bez konsultacji z Gorbaczowem rząd rosyjski pod przewodnictwem Jelcyna postanowił zaprzestać odprowadzania podatków do skarbu centralnego i przejął kontrolę nad złożami ropy naftowej i gazu na terytorium Rosji. Pod koniec listopada niektórzy komentatorzy zaczęli porównywać zakres władzy Gorbaczowa z uprawnieniami angielskiej królowej.

Ale najpotężniejsze uderzenie w jego władzę miało dopiero nastąpić. Pierwszego grudnia odbyły się wybory prezydenckie na Ukrainie, drugiej po Rosji - pod względem liczby mieszkańców i pozycji - republice ZSRR. Wyborom towarzyszyło referendum w sprawie niepodległości. Ukraińcy opowiedzieli się za niepodległością stosunkiem głosów prawie dziewięć do jednego. Pierwszym prezydentem Ukrainy został były ideolog komunistyczny, Leonid Krawczuk. Pragnąc

uzyskać wiarygodność w oczach rodaków, oświadczył, że nie widzi przyszłości dla Związku Radzieckiego. „Możliwości Gorbaczowa ingerowania w nasze sprawy po referendum będą praktycznie równe zeru" - obwieścił reporterom, kiedy wrzucał do urny kartę wyborczą. - „Nie można się przeciwstawiać woli milionów ludzi"[24].

Kilka dni później, w czasie spotkania Jelcyna i Gorbaczowa na Kremlu, Jelcyn oświadczył, że nie wyobraża sobie nowego związku bez pięćdziesięciu trzech milionów Ukraińców. „Jeśli inaczej się nie uda, będziemy musieli rozważyć inny wariant" - dodał enigmatycznie[25]. Gorbaczow domyślił się, że Jelcyn wywrze na Krawczuka presję, by osiągnąć kompromis. Tymczasem Sybirak myślał o zupełnie innym rozwiązaniu.

Od kilku miesięcy Jelcyn i jego doradcy nosili się z zamiarem rozwiązania ZSRR. Klęska sierpniowego puczu zburzyła równowagę sił między Rosją i centrum. Gorbaczow nie mógł teraz uczynić nic bez zgody Jelcyna. Mimo to Jelcyn zdawał sobie sprawę, że nie będzie całkowicie niezależny dopóty, dopóki działać będzie prezydent ZSRR. Gardził ciągłym lawirowaniem politycznym Gorbaczowa, które - jak sądził - mogło w końcu doprowadzić do wojny domowej. Poza tym nie potrafił wybaczyć mu poniżenia, które z jego strony spotkało go w 1987 roku, kiedy wyciągnął go ze szpitalnego łóżka tylko po to, by wysłuchał oskarżeń żądnych zemsty partyjnych towarzyszy. W wyniku tych przeżyć popadał w osłabiające ataki depresji, zaczął cierpieć na bezsenność i rozstrój nerwowy. Nadszedł czas wyrównania rachunków.

W ciągu dwudziestu czterech godzin przygotowano wyrok śmierci na Związek Radziecki oraz świadectwo urodzenia Wspólnoty Niepodległych Państw. Współpracownicy trzech liderów nie spali przez całą noc, pracując nad tekstem wspólnego oświadczenia. Wyjątkowa tajemnica i pośpiech towarzyszące spotkaniu znacznie utrudniły zadanie. W domku myśliwskim nie było kserokopiarki. Kiedy politycy chcieli skopiować dokumenty dotyczące rozwiązania ZSRR, musieli przepuszczać je przez faksy. Pod ręką były jedynie dwie maszynistki, które mogły przygotować dokumenty w trzech językach[26].

Wszystko było gotowe 8 grudnia po południu. Jeden po drugim Jelcyn, Krawczuk i Szuszkiewicz kolejno podpisywali wspólny komunikat, w którym oświadczyli, że „Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich przestaje istnieć jako podmiot prawa międzynarodowego i rzeczywistości geopolitycznej". W oświadczeniu sygnatariusze postawili również żądanie przejęcia głowic nuklearnych znajdujących się na terenie ich republik.

Teraz pozostało już tylko jedno: powiadomienie świata o tym, co właśnie zaszło. Kolejność przeprowadzania rozmów telefonicznych odzwierciedla hierarchię priorytetów białowieskich konspiratorów. Na szczycie listy był Nursułtan Nazarbajew, prezydent Kazachstanu, jedynej niesłowiańskiej republiki, na której terenie rozlokowano broń nuklearną. W tej chwili Nazarbajew był akurat w samolocie, w drodze do Moskwy. Jelcyn usiłował się z nim połączyć, licząc na to, że go przekona, by udał się bezpośrednio na Białoruś. Ale radziecka kontrola powietrzna nie zgodziła się na połączenie i nie udało się nawiązać kontaktu z Nazarbajewem, dopóki nie wylądował w Moskwie. Obrażony na swych słowiańskich kolegów, że nie skonsultowali z nim projektu wcześniej, przez kilka dni odmawiał podpisania deklaracji rozwiązującej Związek Radziecki.

Następny na liście był prezydent Bush. Jeśli porozumienia białowieskie miały wejść w życie, na mapie świata pojawiłoby się dwanaście nowych państw powstałych na ruinach Związku Radzieckiego. (Trzy republiki bałtyckie zdołały ustanowić niepodległość bezpośrednio po puczu.) Sukces całemu przedsięwzięciu zapewnić mogło szybkie uznanie nowych państw przez społeczność międzynarodową. W przeciwnym razie mogło dojść do sporów terytorialnych pomiędzy byłymi republikami radzieckimi, co groziło powtórką wydarzeń na Bałkanach, z tym że przybrałyby one tutaj znacznie większe rozmiary.

Najprostszym sposobem skontaktowania się z prezydentem USA było posłużenie się radzieckim systemem telekomunikacji rządowej, tak zwaną wiertuszką, nad którą kontrolę wciąż jednak sprawował Gorbaczow. Jelcyn, nie chcąc ryzykować, zdecydował się zamówić połączenie za pośrednictwem zwyczajnej centrali. Za kilka minut zadzwoniła przerażona telefonistka: centrala Białego Domu nie mogła zrozumieć, o co jej chodzi. Słuchawkę przejął, mówiący płynnie po angielsku, rosyjski minister spraw zagranicznych, Andriej Kozyriew. Musiał cierpliwie tłumaczyć telefonistce w Białym Domu, kim dokładnie jest Borys Jelcyn i dlaczego tak ważne jest uzyskanie połączenia z prezydentem[27].

Poinformowano także rosyjskie i radzieckie ministerstwa obrony. Dopiero po przeprowadzeniu tych wszystkich rozmów konspiratorzy postanowili zadzwonić do Gorbaczowa i powiadomić go o zniknięciu jego kraju i, w logicznym następstwie powyższego, jego posady. Tym razem słuchawkę dzierżył w dłoni prezydent Białorusi, najmłodszy członek trójki spiskowców. Pozostali przywódcy przysłuchiwali się rozmowie, korzystając z innych aparatów podłączonych do tej samej linii. Aż za dobrze wiedzieli, jak zareaguje na to Gorbaczow.

Zanim Szuszkiewicz dodzwonił się do niego, radziecki prezydent już kipiał ze

złości. Ostatnich kilka godzin spędził przy telefonie, zapamiętale usiłując się dowiedzieć, co się dzieje w Puszczy Białowieskiej. Wyglądało na to, że nikt nic nie wie. Czuł się prawie tak bezsilny, jak w sierpniu, kiedy odcięto mu wszelką łączność ze światem. Wyżalił się reporterom, że jest „zaskoczony", że Jelcynowi nie starczyło przyzwoitości, by zadzwonić do niego osobiście.

„Dlaczego do mnie dzwonisz?" - rzucił ostro Gorbaczow, kiedy Szuszkiewicz powiadomił go o porozumieniu. - „Chcesz powiedzieć, że już o wszystkim zdecydowaliście?"

Kiedy Szuszkiewicz uprzejmie wyznał, że nie tylko podpisano porozumienie, ale poinformowano już nawet Busha, Gorbaczow eksplodował: „To hańba! Rozmawialiście z prezydentem Stanów Zjednoczonych, a na rozmowę z prezydentem własnego kraju nie znaleźliście czasu?! Wstydźcie się!"[28]

MOSKWA
25 grudnia 1991

Po powrocie do Moskwy Jelcyn ociągał się z wizytą na Kremlu, aby oficjalnie powiadomić radzieckiego prezydenta, że stracił zarówno pracę, jak i swój kraj. Krążyły pogłoski, że w stan gotowości postawiono oddział „Alfa", który miał dokonać aresztowania „białowieskiej trójki" za usiłowanie dokonania zamachu stanu. W rozmowie telefonicznej z Gorbaczowem Jelcyn zasugerował, że może zostać pochwycony, gdyby odważył się przekroczyć próg masywnej fortecy z czerwonej cegły.

„Co się z tobą dzieje?" - z niedowierzaniem w głosie zapytał Gorbaczow, wciąż posługując się familiarną formą „ty", jak wobec swoich podwładnych. - „Postradałeś zmysły?"[29]

Jelcyn niepotrzebnie się obawiał. Gorbaczow był rozwścieczony postępowaniem przywódców trzech republik słowiańskich, ale nie zamierzał uciekać się do siły, by zachować władzę. Niepowodzenie próby podpisania nowego układu związkowego oznaczało klęskę wszystkiego, co usiłował osiągnąć w ciągu minionych dziewięciu miesięcy. Uważał likwidację Związku Radzieckiego za katastrofę polityczną i gospodarczą, która mogła jedynie doprowadzić do jeszcze większych problemów i zamieszania. W ostatecznym rozrachunku przyjęcie lub odrzucenie porozumień białowieskich zależało jednak od obywateli radzieckich.

„Uszanuję wybór dokonany przez organy przedstawicielskie społeczeństwa" - oświadczył w jednym z wywiadów prasowych. - „Niech ludzie sami decydują"[30].

Gorbaczow rozpoczął pierestrojkę, próbując dopuścić społeczeństwo do udziału w podejmowaniu decyzji, które do tej pory zapadały na Kremlu w ścisłym kręgu przywódców. Uwalniając nieprzewidywalną siłę opinii publicznej, stopniowo utracił kontrolę nad własną rewolucją. Zaprowadziła go tam, dokąd nigdy nie zamierzał się udać. Teraz rewolucja zaczynała pożerać i jego. Mimo to ten następca Lenina, Stalina, Chruszczowa i Breżniewa pozostał wiemy politycznemu wyborowi, którego dokonał u progu pierestrojki. W przeciwieństwie do swych poprzedników, nie zamierzał siłą narzucać własnej woli.

Przez następne dwa tygodnie Gorbaczow dwoił się i troił, aby zmobilizować opinię publiczną przeciwko rozwiązaniu potężnego niegdyś mocarstwa radzieckiego. Wydawał odezwy, składał oświadczenia, udzielał wywiadów. Usiłował przekonać parlamentarzystów poszczególnych republik radzieckich, aby odrzu-

cili decyzje podjęte w ich imieniu. Spotykał się z dowództwem wojska, redakcjami gazet, laureatami Nagrody Nobla. Żadne z jego posunięć nie przyniosło najmniejszego efektu.

Naród, wyczerpany ciągłym debatowaniem i gwałtownie pogarszającymi się warunkami życia, stracił zainteresowanie dla tego, co miał im do powiedzenia car.

Nim zdjął z barków swe brzemię, Gorbaczow musiał jeszcze zadbać o kilka spraw. W końcu, 23 grudnia, przeprowadził na Kremlu trwającą dziewięć godzin rozmowę ze swym politycznym nemezis, Jelcynem. Obaj politycy rozmawiali o przekazaniu nuklearnego *czemodanczika* i zapewnieniu Gorbaczowowi odpowiedniej pensji prezydenckiej. (Uradzono, że Gorbaczow otrzyma rublową równowartość czterdziestu dolarów miesięcznie, limuzynę oraz sześciu ochroniarzy.) Gorbaczow wezwał potem swego współpracownika, Jakowlewa, na świadka oficjalnego przekazania Jelcynowi tajemnic Kremla.

Trzej mężczyźni razem rozdzierali koperty z mocnego żółtego papieru, zawierające dowody najokropniejszych zbrodni Stalina. Patrzyli na mapę Europy nakreśloną przez Mołotowa i Ribbentropa w sierpniu 1939 roku, dzielącą Polskę i państwa nadbałtyckie pomiędzy nazistów i komunistów. Przeglądali instrukcje Stalina dla NKWD nakazujące eksterminację elity polskiego korpusu oficerskiego - jeńców straconych w Katyniu. Szczególnie Jakowlew zaszokowany był tym, co zawierało archiwum prezydenckie, *oso- baja papka.* Jako szef komisji badającej wydarzenia czasów stalinowskich, od lat poszukiwał tych dokumentów, ale Gorbaczow niezmiennie twierdził, że nie można ich odnaleźć.

„Jak to możliwe?” - zapytał Gorbaczowa[31].

Prezydent stwierdził, że sam dopiero otrzymał te kompromitujące dokumenty od archiwisty, który dokonał przeglądu akt tuż przed ich przekazaniem Jelcynowi. Jakowlew spojrzał na swego starego przyjaciela z zadziwieniem i niedowierzaniem. Jelcyn odnotował incydent w swej nie znającej przebaczenia pamięci. Przydało mu się to później, kiedy potrzebował amunicji przeciwko ojcu głasnosti.

Gorbaczow zdawał sobie sprawę, że nie może oczekiwać na wiele współczucia ze strony Jelcyna. Zaskoczyła go jednak diametralna zmiana w postawie jeszcze niedawno płaszczącego się przed nim personelu i służb bezpieczeństwa. Kiedy wiadomo już było, że odchodzi ze stanowiska, wydawało się, że wszyscy lekce-

ważąco schodzą mu z drogi. Rosyjskie służby bezpieczeństwa powiadomiły Raisę, aby usunęła wszystkie rzeczy osobiste z prezydenckiej daczy. Tuż przed ustąpieniem z urzędu zasięg władzy Gorbaczowa nie wykraczał poza niespełna trzydzieści hektarów Kremla. Kopanie upadłego przywódcy także należy do historycznie uświęconych tradycji Rosji.

25 grudnia, tuż po siedemnastej, Gorbaczow zadzwonił do prezydenta Busha, który udał się na święta do Camp David. Starał się nadać swemu głosowi brzmienie godne męża stanu. Była to ostatnia jego rozmowa z przywódcą tego mocarstwa. Zapewnił prezydenta USA, że nie ma powodów do niepokoju w zakresie bezpieczeństwa radzieckich arsenałów nuklearnych. Prosił go, by czynił wszystko, co w jego mocy, dla poparcia Wspólnoty Niepodległych Państw, a w szczególności Rosji. Bush stwierdził, że to, co razem osiągnęli, „przejdzie do historii”[32].

Gorbaczow spędził ostatnią godzinę w swoim gabinecie na drugim piętrze Kremla, tuż obok sali konferencyjnej Politbiura. Współpracownicy doszli do wniosku, że prezydent zapewne wolałby nie zostawać sam na sam z guzikiem nuklearnym i oświadczeniem o rezygnacji. Dotrzymywali mu więc towarzystwa, wspominając dawne czasy szefa partii w Stawropolu. Na kilka minut przed dziewiętnastą przeszedł do przedpokoju, gdzie zaimprowizowano studio telewizyjne. Było tam może ze dwanaście osób, łącznie z kierownictwem radzieckiej telewizji oraz CNN, która nadawała wystąpienie Gorbaczowa do stu pięćdziesięciu trzech krajów świata.

Współpracownicy przez chwilę dyskutowali, czy powinien podpisać rezygnację z funkcji zwierzchnika sił zbrojnych przed czy po podpisaniu rezygnacji ze stanowiska prezydenta ZSRR. Gorbaczow przerwał spór, prosząc swego sekretarza prasowego o pióro. Wypróbował je na nie zapisanej kartce. „Wolę coś bardziej miękkiego” - stwierdził. Przedstawiciel CNN wyjął swoje pióro i wręczył Gorbaczowowi, który od razu podpisał dokument.

Dokładnie o dziewiętnastej zaczął swoją przemowę do dwustu osiemdziesięciu milionów obywateli Związku Radzieckiego. Odczytując tekst umieszczony w seledynowej teczce, po raz ostatni usiłował wytłumaczyć „ludowi”, przede wszystkim dlaczego rozpoczął pierestrojkę. Przyznał, że Związek Radziecki wlecze się daleko z tyłu za krajami zachodnimi mimo obfitości żyznej ziemi, ropy naftowej i wielu innych zasobów naturalnych. Stwierdził, że jest dumny ze swej roli w zakończeniu zimnej wojny i udziału w przywróceniu wolności obywatelom

ZSRR. Szczególny nacisk położył na kilka zdań, które zredagował osobiście i dopisał do tekstu w ostatniej chwili. Wygłosił je pod koniec dziesięciominutowego przemówienia[33]: „Jest dla nas żywotnie ważne, aby uchronić demokratyczne zdobycze ostatnich kilku lat. Zapłaciliśmy za nie cierpieniem w całej naszej historii, naszymi tragicznymi doświadczeniami. Nie wolno ich teraz, w żadnych okolicznościach i pod żadnym pretekstem, porzucać. W przeciwnym razie przekreślimy wszystkie nasze nadzieje na lepszą przyszłość".

Po wystąpieniu, o 19.35, po raz ostatni ściągnięto czerwoną, radziecką flagę z Kremla. Kilka chwil później nad Moskwą powiewać zaczęła trójkolorowa, biało-czerwono- -niebieska flaga Rosji Jelcyna. Wśród grupki turystów zgromadzonych na placu Czerwonym słychać było słabe oklaski. Ozwało się też parę gwizdów. Wciąż prószył śnieg.

Siedemdziesiąt cztery lata po szturmie na Pałac Zimowy w Piotrogrodzie Związek Radziecki przestał istnieć.

Spośród wszystkich niepospolitych przywódców dwudziestego wieku - ludzi miary Lenina, Stalina, Hitlera, Roosevelta, Churchilla - ostatni sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego był na pewno postacią najbardziej kontrowersyjną. Jego nazwisko kojarzyć się będzie z epokowymi przemianami, które dały efekt przeciwny spodziewanemu. Był komunistą, który zdemontował komunizm, reformatorem, którego pogrzebały własne reformy, imperatorem, który dopuścił do rozpadu ostatniego wielonarodowego imperium świata. Chciał wprowadzić Związek Radziecki w erę informacji, ale de facto musiał poprowadzić go do upadku. Wszczął rewolucję i skończył jako jedna z jej ofiar.

Największą zasługą Gorbaczowa było nie to, co zrobił, ale to, do czego dopuścił, niemal wbrew sobie. Jeśli Ronald Reagan był wielkim „komunikatorem", Gorbaczow był wielkim „ułatwiaczem". W przeciwieństwie do dawnych bolszewików, którzy siłą chcieli budować utopię, Gorbaczow pozwolił historii toczyć się jej naturalnym torem. Chciał nie tyle zmieniać historię, ile raczej dać się unieść jej fali. Nawet wówczas, kiedy zdawał sobie sprawę, dokąd go prowadzi własna rewolucja, nie cofnął się przed poniesieniem konsekwencji swych czynów.

Błędy Gorbaczowa, jak na przykład jego polityczne wizje, były błędami na wielką skalę. Silnie wierzył w zdolność partii komunistycznej do zreformowania

samej siebie, nawet wtedy, gdy była już beznadziejnie zdyskredytowana. Entuzjastyczny zwolennik wyborów - sam nigdy nie poddał swych osiągnięć pod osąd wyborców. W 1989 roku odrzucił ideę bezpośrednich wyborów i zezwolił, aby w nowym radzieckim parlamencie nominowano go w ramach bloku mandatów nie podlegających głosowaniu. Wówczas miał jeszcze spore szanse na zdobycie społecznego poparcia - gospodarka nie była jeszcze tak bardzo nadwerężona, a on sam wciąż cieszył się prestiżem. Wybrał jednak drogę solidarności ze swymi towarzyszami z Politbiura. Za lojalność wobec partii drogo zapłacił w czasie ostatecznej rozprawy z Jelcynem. Przekonał się wówczas, że nie dysponuje żadną pewną bronią polityczną. Odrzucił karabin maszynowy, ale nie sięgnął po legitymację pochodzącą z urn wyborczych. Nigdy nie był w stanie udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi Andriejowi Sacharowowi, który pytał go w czasie pierwszego Zjazdu Deputowanych Ludowych: „Po czyjej jest pan stronie, Michaile Siergiejewiczu?”

Innym wielkim zaniedbaniem było jego podejście do gospodarki. Bardziej przyczynił się do przyśpieszenia kresu „imperium zła” swą zagmatwaną polityką gospodarczą niż

Reagan jakimkolwiek swoim posunięciem. Deficyt budżetowy wzrósł z poziomu niewiele przewyższającego trzy procent w chwili obejmowania stanowiska przez Gorbaczowa do oszałamiających trzydziestu-pięćdziesięciu procent, kiedy ustępował z urzędu. Katastrofalna w skutkach kampania antyalkoholowa w latach 1986-1987 wyeliminowała najbogatsze, jednostkowe źródło dochodów budżetu. Dla zmniejszenia deficytu rządowe drukarnie pracowały w nadgodzinach, produkując banknoty o coraz mniejszej wartości. Gorbaczow jeszcze bardziej pogorszył sytuację, nie chcąc uwolnić cen. Doprowadziło to do chronicznych braków zarówno towarów konsumpcyjnych, jak i dóbr przemysłowych. Był to początek jednej z najdotkliwszych zapaści gospodarczych, jakie kiedykolwiek przytrafiły się uprzemysłowionemu państwu.

Były to błędy monumentalnych rozmiarów, ale dobrze przysłużyły się historycznym celom. Transformacja komunizmu w kapitalizm musiała być procesem bolesnym. Totalitarny porządek ustanowiony przez Lenina i Stalina był tak straszny i tak głęboko zakorzeniony w duszach Rosjan, że nie można go było obalić wprost. Gorbaczow, aby pozostać przy władzy i kontynuować swe reformy, musiał działać ukradkiem. Mistrz kremlowskiej intrygi lawirował pomiędzy rywalizującymi frakcjami, ukrywając swe prawdziwe zamiary za mgłą ko-

munistycznej frazeologii. Obłuda i fałsz okazały się bardzo przydatne: najwyższym imperatywem było przetrwanie polityczne. Gdyby Gorbaczow ujawnił wszystkie swe zamiary, towarzysze z Politbiura znacznie wcześniej próbowaliby go obalić. A kiedy zrozumieli, co się dzieje, było już za późno. Partia została zniszczona od środka.

Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego gotowa była walczyć o zachowanie władzy tak długo, jak tylko miała szansę na sukces. Represyjny aparat totalitarnego państwa nastawiony był na bezlitosne dławienie wszelkich buntów. Odkąd to państwo posiadło broń nuklearną, stało się odporne na obcą inwazję. A zatem jedynym wyjściem była śmierć z wyczerpania.

Ironią losu jest, że aby powiodło się historyczne dzieło likwidacji komunizmu, musiał ustąpić człowiek, który je zapoczątkował. Gorbaczow objął władzę, obiecując odwrócić niekorzystny, trwający kilkadziesiąt lat, trend w podupadającej gospodarce radzieckiej oraz ożywić idee marksizmu-leninizmu. Gdyby mu się powiodło, system otrzymałby nowe tchnienie życia, przynajmniej na jakiś czas. O wiele słabsza byłaby presja na przeprowadzenie znaczących reform politycznych. Pogłębiający się kryzys gospodarczy umożliwił transformację ku demokracji, ale przepełnił ją też niebezpieczeństwem wynikającym z tęsknot wielu ludzi za bezpieczeństwem, które gwarantowała im autorytarna przeszłość.

Na dłuższą metę upadek ZSRR był nieunikniony, z tej prostej przyczyny, że konstrukcję tę zbyt obciążono na szczycie, aby mogła podźwignąć siebie samą. Ale nikt nie potrafił przewidzieć ani tego, kiedy nastąpi upadek, ani jak się dokona. Historia odnotuje, że to właśnie Gorbaczow uruchomił łańcuch wydarzeń prowadzących do rozpadu pierwszego państwa socjalistycznego na świecie. Dzięki zadziwiającej mieszaninie geniuszu i niekompetencji, idealizmu i egotyzmu, naiwności i przebiegłości niegdysiejszy wiejski chłopak z Priwolnoje zadał śmiertelny cios najtwardszej dyktaturze, jaką kiedykolwiek znała ludzkość.

Chcąc ożywić system komunistyczny, Gorbaczow odniósł sukces w dziele jego zniszczenia.

POSŁOWIE
PROF. DR. HAB. ANDRZEJA PACZKOWSKIEGO

KOMUNIZM:
NIESPODZIEWANY FINAŁ I JEGO BADACZE

Koniec rewolucji komunistycznej, Marzenie, które przegrało, Zycie i śmierć bloku sowieckiego, Dziwna agonia sowieckiego imperium, Wielkie bankructwo, Kiedy wali się mur, Zgon ZSRR, Wynędzniałe supermocarstwo, System sowiecki: od kryzysu do rozpadu, Upadek imperium... - wystarczy wejść do dużej księgami nowojorskiej, paryskiej czy londyńskiej, aby w działach poświęconych polityce i historii najnowszej zobaczyć na półkach dziesiątki książek o tych lub podobnych tytułach[4]. Na okładkach często widnieją połamane sierpy i młoty, rozpadająca się gwiazda, kontur (byłego) Związku Sowieckiego pożłobiony pęknięciami, zerwane łańcuchy. Dominujący jest, rzecz jasna, kolor czerwony.

Liczba publikacji nie jest zaskoczeniem: Ojczyzna Światowego Proletariatu od dawna budziła żywe zainteresowanie zarówno tych, którzy piszą - historyków, analityków, dziennikarzy - jak i tych, którzy czytają. A także, oczywiście, tych którzy rządzili. Toteż sowietologia należała do najbardziej rozbudowanych i najszczodrzej finansowanych działów nauk społecznych, od kiedy zaś tylko stało się

[4] Niekiedy mamy do czynienia z nader wymyślnymi próbami. Jedna z prac francuskich nosi tytuł *La chute finale,* co jest pastiszem słynnych słów *Międzynarodówki: „c'est la lutte finale*" (w polskiej wersji „bój to jest nasz ostatni", a więc polskie tłumaczenie powinno chyba brzmieć „klęska nasza ostatnia"). Podobnie trudno przetłumaczyć tytuł jednej z prac amerykańskich - *Soviet Disunion,* który nawiązuje do angielskiej nazwy Soviet Union, od której pochodził skrót używany w plakietkach na samochodach zarejestrowanych w ZSRR (SU). Może „rozwiązany związek"?

to możliwe, każda szanująca się redakcja, stacja telewizyjna czy radiowa starały się mieć za „żelazną kurtyną" korespondentów. Oszałamiające rozprzestrzenienie się Związku Sowieckiego na nieomal całą Europę Środkowo- i Południowo-Wschodnią w końcowym okresie II wojny światowej, tryumf komunistów chińskich, niespodziewanie szybkie opanowanie technologii broni jądrowej, a wnet także techniki rakietowej, „ideologiczny podbój" znacznej części Trzeciego Świata, wszystko to stanowiło dla świata zachodniego wyzwanie nie tylko militarne, ekonomiczne i polityczne, ale także intelektualne. Badano i analizowano wszystko, co tylko było możliwe: poczynając od najazdu Tatarów i panowania Iwana Groźnego przez przemówienia Lenina i system dowodzenia Armii Czerwonej po strukturę płac kołchoźników i język prozy Szołochowa.

Choć istniały znaczne, a nawet drastyczne, różnice w poglądach na „naturę komunizmu", przeważało przekonanie o trwałości zarówno ZSRR i bloku sowieckiego, jak i innych państw, w których komunizm zwyciężył. Przekonanie to dla jednych było powodem do nadziei, że zatryumfuje on na całym globie, a „gnijący" kapitalizm skazany jest na nieuchronną zagładę, dla innych zaś bodźcem, aby ostrzegać przed apokalipsą grożącą niekomunistycznej części świata. Bywało i tak, że najbardziej zdeklarowani antykomuniści byli jednocześnie najbardziej pesymistyczni co do możliwości zahamowania niepowstrzymanej ekspansji Moskwy, wykorzystującej niezwykłą mieszankę uniwersalnej ideologii, potęgi militarnej, dywersji i złota.

Historycy i politolodzy z państw zachodnich usilnie studiowali mniej i bardziej odległą sowiecką przeszłość, starając się dociec, jakie były powody, dla których system tak mocno zakorzenił się w społeczeństwach, które podbił. Spora ich część - może nawet większość badaczy mających przeważające wpływy w środowiskach akademickich - kładła nacisk na spontaniczny i masowy akces do „rewolucji proletariackiej" od chwili jej wybuchu i wojny domowej, włącznie z okresem, gdy bez względu na koszty ludzkie „budowano podstawy socjalizmu" - tj. kolektywizowano rolnictwo czy przeprowadzano gorączkową industrializację. Ale także wśród tych, którzy za najważniejszy czynnik uważali terror i wszechmoc upartyjnionego państwa, niewielu ośmielało się sądzić, że system komunistyczny jest „odwracalny". Od chwili, gdy agencja TASS ogłosiła komunikat o udanej próbie z ładunkiem nuklearnym (tj. od lata 1949 r.) i wizja pokonania komunizmu w wyniku zbrojnej, globalnej konfrontacji legła w archiwum, powszechne było przekonanie, iż niezależnie od tego, czy rządził on terrorem, czy

wyrażał interesy mas, zapewnił sobie trwałość. Tym bardziej oczywistą, że zarówno Moskwa, jak i Pekin zdołały wybrnąć z głębokich nawet kryzysów zarówno wewnętrznych (śmierć Stalina, Rewolucja Kulturalna), jak i wynikłych na imperialnych peryferiach (Węgry w 1956 r., Czechosłowacja w 1968 r.).

Nic więc dziwnego, że „większość prac - pisał w 1981 r. jeden z czołowych intelektualistów europejskich, Greko- Francuz Cornelius Castoriadis - naznaczona była wyraźnie ideologią «odprężenia» i pobożnymi życzeniami, jakie leżą u jej podstaw: zbliżanie się systemów, era technokracji menedżerskiej w Rosji, zwrot ku społeczeństwu konsumpcyjnemu (...). To po prostu nie do wiary, do jakiego stopnia sowietolodzy mogli dosłownie traktować retorykę komunistyczną i oddawać się nieprawdopodobnym interpretacjom tej retoryki, zapominając, że większość przemówień nie znaczy dokładnie nic"[5]. Teoria konwergencji opierała się jednak nie tylko na ideologicznych przekonaniach lewicowych intelektualistów, ale również na praktyce. W wielu krajach zachodnich państwo nie tylko coraz aktywniej zajmowało się redystrybucją dochodu narodowego *(welfare state),* lecz także było właścicielem niemałej części majątku - fabryk, linii kolejowych, telekomunikacji, banków. W bloku sowieckim natomiast po śmierci Stalina odstąpiono od najbardziej okrutnych przejawów powszechnego terroru, a nawet zdarzały się „powiewy" liberalizacji, zaś stopa życiowa poprawiała się, choć następowało to z bardzo niskiego poziomu. Zbliżanie się systemów miało być gwarancją pokoju światowego, a jednocześnie zakładało nie tylko trwałość, ale i stopniowy rozwój gospodarczy i cywilizacyjny państw komunistycznych.

Analizy systemu (najczęściej badano sam Związek Sowiecki, co wynikało z tego, że był on zarówno supermocarstwem, jak i państwem „modelowym", na którym wzorowały się inne) podejmowano także w obrębie ogólniejszej teorii modernizacji. Wychodziła ona z założenia, iż „nadrobienie wielowiekowego opóźnienia" jest możliwe, a przynajmniej bardziej efektywne i prawdopodobne, w warunkach reżimu autorytarnego, który daje o wiele większe możliwości mobilizacji sił ludzkich (dzięki przymusowi) i środków materialnych (dzięki etatyzacji gospodarki i jej centralnemu zarządzaniu) niż państwo demokratyczne. Z takiej właśnie perspektywy opisywano m.in. sowieckie „pięciolatki" i kolektywizację. Tak czy inaczej przeważało przekonanie, że system komunistyczny jest zarazem trwały (aczkolwiek mogą występować konflikty między poszczególnymi

5 Cornelius Castoriadis: *W obliczu wojny*, Wyd. „Aneks", Londyn 1985, s. 87.

państwami -jak między Chinami i ZSRR) i ma naturalną tendencję do rozprzestrzeniania się, gdyż jest pozytywnym wzorcem dla krajów biednych, w szczególności postkolonialnych.

Jednak nawet ci badacze, którzy nie mieli żadnych lewicowych inklinacji i nie żywili sentymentu do Pierwszego Państwa Robotników i Chłopów (oraz jego naśladowców) i którzy widzieli w nim nie tylko zbrodnie i absolutny - jeśli tak można powiedzieć - brak swobód, ale także niezliczone mankamenty gospodarcze, byli przekonani raczej o trwałości, niż widzieli perspektywę upadku. Jeden z najbardziej znanych historyków zajmujących się analizą leninizmu, Alain Besançon, w słynnym eseju z 1981 r., pisząc o gospodarce sowieckiej, porównał ją do raka, ale - podkreślał - „rak jest tkanką chorą i zarazem mnożącą się”[6]. Przenikliwy obserwator i badacz, odważny i konsekwentny w stawianiu hipotez i prognoz, przy tym jeden z współtwórców polityki amerykańskiej (nie tylko wówczas, gdy piastował odpowiedzialne stanowiska w federalnej administracji, ale wpływowy przez swoje książki i wykłady), Zbigniew Brzeziński, pisał latem 1986 r., że „amerykańska polityka wobec Związku Radzieckiego musi być wolna od utopijnych marzeń i apokaliptycznych koszmarów oraz prowadzona spokojnie, z równym naciskiem, przez kilka dziesięcioleci [podkreślenie moje - A. P.]”[7]. W prognozie „faz odwrotu od komunizmu”, zamieszczonej w tej samej książce, zgodnie z którą takie państwa jak Węgry czy Polska znajdowały się na drodze od „komunistycznego autorytaryzmu” do „autorytaryzmu postkomunistycznego” (z możliwością „przeskoczenia etapu” i wejścia wprost w stan „pluralizmu postkomunistycznego”), nie przewidywał, aby oba mocarstwa komunistyczne, tzn. Chiny i ZSRR, w dającej się przewidzieć przyszłości wyszły z fazy „komunistycznego autorytaryzmu”.

Trafnie oceniając dynamikę i kierunek zmian oraz cały proces, który nazwał „więdnięciem komunizmu”, nie chciał ryzykować zbyt optymistycznej - z punktu widzenia świata demokratycznego - prognozy co do tempa zmian. Zapewne obawiał się, aby wola państw demokratycznych stosowania „równego nacisku”, zarówno za pomocą instrumentów ekonomicznych, jak i takiej ważnej broni, jaką były prawa człowieka, nie słabła i w wyniku tego nie nastąpiła przedwczesna demobilizacja, co zdarza się, gdy sukces jest bliski.

---

[6] Alain Besançon: *Anatomia widma. Ekonomia realnego socjalizmu,* Wyd. Krąg, Warszawa 1984, s. 53.

[7] Zbigniew Brzeziński: *Plan gry,* Wyd. Prawy Margines, b.m. w. 1987, s. 16.

A jednak: 25 grudnia 1991 r., po upływie pięciu lat od chwili, gdy Brzeziński formułował swoją prognozę-zalecenie, z wieży Kremla opuszczono flagę Związku Sowieckiego, zaś nowa, która ją zastąpiła - flaga Rosji - nie była już (i do dziś nie jest) znakiem imperium o globalnym zasięgu.

Nie trzeba było jednak czekać na ten doniosły moment, aby w badaniach nad systemem komunistycznym nastąpił zwrot: wydarzenia, które dokonywały się w Związku Sowieckim od mniej więcej 1988 roku, a szczególnie to, co się działo w Europie Środkowo-Wschodniej w ciągu 1989 r. - od Warszawy i Budapesztu zaczynając, na Sofii i Bukareszcie kończąc - skłoniły do powszechnych poszukiwań przyczyn słabości systemu, zamiast, jak to najczęściej poprzednio bywało, doszukiwać się powodów jego sity. Nieliczni tylko mogli odwoływać się do swoich dawniejszych wypowiedzi, w których rysowali spodziewany upadek na podstawie przesłanek nie ideowych, ale wynikających z analizy rzeczywistości[8]. Inni opatrywali swoje nowe książki podtytułami, w których powtarzały się określenia *rethinking, revise, reconsideration* czy *reassessment* - jednym słowem: „rewizja" (poglądów). Wszyscy, nie tylko politolodzy, ekonomiści czy socjolodzy, ale także filozofowie i coraz liczniej historycy - oraz, oczywiście, dziennikarze - „rzucili się", aby badać przyczyny i przebieg upadku, do którego tęskniły (często równie mocno bojąc się tego, co się stanie) miliony ludzi.

Zaiste jest się nad czym zastanawiać, gdyż tak jak zwycięstwo Lenina w latach 1917-1921 i utworzenie totalitarnego państwa na blisko jednej szóstej powierzchni lądów naszej (małej zresztą) planety, tak jego rozpad stał się jednym z najważniejszych wydarzeń nie tylko XX wieku, ale w ogóle dziejów nowożytnych. Konsekwencje tego pierwszego dosyć dobrze już znamy, skutki drugiego są nam dostępne tylko w skali krótko- lub średniookresowej. Tym bardziej więc poznanie stanu sprzed „momentu 0" i mechanizmów, które doprowadziły do upadku, jest istotne, gdyż pozwala lepiej zrozumieć to, co dzieje się „po", i domniemywać kierunki oraz tempo dalszych zmian. Żyjemy bowiem w kolejnej - żeby użyć sławetnego określenia Melchiora Wańkowicza - międzyepoce.

Nie sposób tu, oczywiście, nawet w drastycznym skrócie, przedstawić wszyst-

---

[8] Należała do nich, znana polskim czytelnikom dzięki publikacjom w „drugim obiegu", Hélène Carrère d'Encausse, która w wydanej w 1978 r. książce *L'empire éclaté* (wyd. polskie pt. *Spękane imperium,* Wyd. Głos, Warszawa 1985) przewidywała, iż jedną z głównych przyczyn - nieuchronnego - rozpadu Związku Sowieckiego będą konflikty narodowościowe i aspiracje niepodległościowe nie-Rosjan.

kich - tzn. nawet wszystkich ważniejszych - teorii, koncepcji i analiz, które powstały w ciągu ostatnich, w praktyce ponad dziesięciu, lat. Zapewne niebawem jakiś (najpewniej amerykański) historyk czy politolog opublikuje potężny tom, w którym usystematyzuje je i podzieli na odpowiednie kategorie. Tymczasem spróbuję przedstawić tu, oczywiście pobieżnie, pewien ciąg rozumowania, choć wiele w nim punktów słabych i pozostawia on liczne znaki zapytania.

Najpierw trzeba jednak uprzytomnić sobie, że w badaniach nad procesem schyłku i upadku Związku Sowieckiego i systemu komunistycznego nieomal we wszystkich państwach, które znajdowały się w obszarze jego bezpośredniego (w sensie geopolitycznym) oddziaływania, dysponujemy tak ogromną masą dokumentów, relacji i świadectw - różnego rodzaju i różnej proweniencji - jakiej nie mieli chyba nigdy ci, którzy podejmowali próby opisu i zrozumienia wydarzeń równie nieodległych w czasie. Wynikło to z szybkości i głębokości zachodzących zmian. Setki „decydentów", także z najwyższych szczebli, naprędce spisywało i publikowało wspomnienia i (mniej lub bardziej autentyczne) dzienniki, a dostęp do archiwów, choć nierównomierny, jest stosunkowo szeroki, co pozwala na częściową przynajmniej weryfikację owej memuarystyki i ujawnianie faktów (i opinii), których wspominający nie znali i nie pamiętają. Lub nie chcą pamiętać. Dotyczy to nie tylko aktorów wydarzeń ze strony komunistycznej, ale także - choć mniej ekscytujących badaczy i publiczność - ich antagonistów czy to z „frontu wewnętrznego" (opozycjonistów), czy np. z administracji Stanów Zjednoczonych. Weryfikacja ta jest niezbędna, gdyż - co zupełnie naturalne - relacjonujący, publikując wspomnienia, najczęściej, a nawet z reguły, zamierzają za ich pomocą osiągnąć jakiś cel polityczny, przynajmniej zaś przedstawić swoją rolę w pozytywnym świetle. Nie ma sensu wymienianie tutaj nawet najważniejszych czy najciekawszych, choć - jeśli nie liczyć polskich aktorów wydarzeń, od Rakowskiego i Urbana po Wałęsę i Olszewskiego - nieliczne tylko dostępne są w krajowych księgarniach.

Proliferacji wspomnień towarzyszy - może nie tak bujny - rozrost publikacji źródłowych, zarówno dokumentów, które znajdują się w archiwach państwowych od Waszyngtonu przez Berlin po Moskwę, jak i takich, które wydobyte zostały ze zbiorów prywatnych, a ściślej rzecz biorąc, z domowych szaf i regałów niedawnych prominentów, ich doradców lub... ochroniarzy. Dostępne są więc stosunkowo liczne fragmenty protokołów posiedzeń sowieckiego Politbiura i różnego rodzaju ekspertyzy (głównie polityczne i ekonomiczne) przygotowy-

wane dla tego gremium, podobnego typu materiały z kilku innych państw komunistycznych (z oczywistą przewagą dokumentów z b. NRD), a nawet - jednak znacznie rzadsze - dokumenty służb bezpieczeństwa[9]. Pojawiły się też „na rynku" np. dokumenty Departamentu Stanu czy Rady Bezpieczeństwa Narodowego dotyczące strategii i taktyki wobec państw komunistycznych.

Wszystko to razem tworzy pokaźną bazę dla badaczy, a nawet słyszy się narzekania, iż jest ona zbyt obszerna, że nie ma możliwości ogarnięcia wszystkich źródeł, a w związku z tym selekcja tych, które się wykorzystuje, staje się mniej lub bardziej przypadkowa. Podobny problem stwarza obfitość publikowanych monografii, a zwłaszcza artykułów analitycznych rozrzuconych w setkach fachowych czasopism i prac zbiorowych, toteż nieraz się zdarza, iż ktoś „odkrywa Amerykę", dochodząc do podobnych ustaleń czy wniosków, jakie już ktoś gdzieś ogłosił.

Jednym z punktów wyjścia jest przyjęcie tezy, iż system komunistyczny od przełomu lat 50. i 60. nie był już, tak jak uprzednio, monolityczny, a różnice między poszczególnymi państwami czy grupami państw pogłębiały się. Chodzi przy tym nie tylko o sprzeczności interesów - jak między Moskwą a Pekinem - ale o odmienności wewnętrzne, aczkolwiek pewne generalne rozwiązania ustrojowe („kierownicza rola" partii komunistycznej, gospodarka nakazowo-rozdzielcza, kontrola nad życiem społecznym i intelektualnym, scalająca rola ideologii etc.) były wspólne. Jeśli problem rozpatrywać w wymiarze globalnym, można skonstatować, że Związek Sowiecki oraz te kraje komunistyczne Europy, które były od niego uzależnione, różniły się od pozostałych państw komunistycznych wyższym poziomem zaspokajania potrzeb społecznych, niższym stopniem represywności i większym otwarciem na świat demokratyczny. Tylko Jugosławia przewyższała je w tych pozycjach. Jednym z czynników, które na to wpłynęły, był fakt, iż państwa te przeszły, aczkolwiek z niejednakową intensywnością, a nawet w różnym czasie, przez etap destalinizacji, tak więc krwawy i masowy terror nie był już w nich stosowany, nawet *in extremis* (jak Czechosłowacja po 1968 r. czy Polska po wprowadzeniu stanu wojennego). Toteż dosyć często spotyka się opinie, iż - skrótowo mówiąc - rok 1956 był początkiem detotalitaryzacji większości państw komunistycznych w Europie i samego ZSRR. Zbigniew

[9] Przykładem systematycznego ogłaszania dokumentów tej proweniencji może być seria pt. *„Securitas imperii. Sbornik k problematice bezpećnostnich služeb"*, wydawana przez czeskie MSW.

Brzeziński - w cytowanym *Wielkim bankructwie* - oceniał, iż wśród państw europejskich w komunistycznym totalitaryzmie tkwi już tylko Albania (obok Korei Północnej i Kuby). Jest oczywiste, iż zelżenie totalitarnego nacisku raczej ułatwia, niż utrudnia dalszą ewolucję. I taka jest konkluzja tej części wywodu.

Drugim założeniem jest, iż zarówno sam Związek Sowiecki, jak i wszystkie pozostałe kraje komunistyczne - z najbardziej rozwiniętymi gospodarczo (Czechosłowacja, Węgry, NRD) włącznie - trwały w systemie, który węgierski ekonomista Janos Komai określił jako „gospodarkę niedoboru", tzn. taki stan, w którym braki w zaopatrzeniu zarówno gospodarstw domowych, jak i przedsiębiorstw (z wyjątkiem dla części sfery militarnej) mają charakter strukturalny, a nie koniunkturalny. W istocie więc gospodarka ta była w stanie permanentnego kryzysu, nawet wówczas, gdy wykazywała wysoką dynamikę wzrostu. Jakkolwiek zarówno przywódcy, jak i partyjno-rządowa propaganda okazywali publicznie samozadowolenie, to jeśli *czyta* się dokumenty z poufnych zebrań czy rozmów na wysokim szczeblu, przebija z nich nieustanny niepokój - a to o zbiory zbóż, a to o wydobycie surowców, a to o produkcję podstawowych artykułów codziennego użytku. Większość elit komunistycznych zdawała sobie sprawę, że sytuacja gospodarcza jest częściej zła (lub bardzo zła) niż dobra, tyle że jedynym stosowanym remedium było „dalsze doskonalenie" używanych dotychczas instrumentów zarządzania. A więc „udoskonalanie kryzysu". Wszyscy znajdowali się bowiem w ideologicznej pułapce aksjomatu „społecznej własności środków produkcji", i to niezależnie od tego, czy i na ile marksizm- leninizm był jeszcze prawdziwym credo, a na ile już tylko retorycznym lepiszczem i legitymizacyjną „podkładką".

Na gospodarce państw komunistycznych - z ZSRR, jak zwykle, „na czele" - wielkim ciężarem kładł się wysiłek militarny, także zresztą uzasadniany ideologicznie, choć ideologia nie była już tak ofensywna jak ongiś (rewolucja światowa). W październiku 1969 r. Leonid Breżniew oświadczył Gomułce, iż wydatki wojskowe (nie wiem, czy wliczał także koszty „przygody w kosmosie") stanowią ponad jedną czwartą budżetu państwa[10], a nic nie wskazuje na to, aby w latach następnych poziom ten uległ zmianie. Raczej odwrotnie, gdyż mimo „inicjatyw pokojowych" wyścig zbrojeń - oraz będący jego częścią „wyścig w kosmosie" - trwał w najlepsze i wchodził na coraz wyższy pułap technologiczny. Kosztowne

---

[10] „Protokół z rozmów polsko-radzieckich w Moskwie 1-3 października 1969 r.", w: *Tajne dokumenty Biura Politycznego. PRL-ZSRR 1956- -1970,* Wyd. „Aneks", Londyn 1998, s. 600.

było też utrzymywanie imperium, zwłaszcza - ale nie tylko - jego części pozaeuropejskiej. Nie było to bowiem tradycyjne imperium kolonialne, którego eksploatacja przynosi metropolii zyski, ale strategiczno-ideologiczne, na które trzeba stale łożyć - w gotówce i w broni - nie spodziewając się zysków innych niż polityczne. Przerzucanie części kosztów na pozostałe państwa Układu Warszawskiego niewiele pomagało Centrum, natomiast obciążało gospodarki państw satelitarnych, które m.in. z tego powodu stale zabiegały w Moskwie o tanie surowce. Innymi słowy, mało wydajna i niezwykle marnotrawna gospodarka z najwyższym trudem wytrzymywała rosnące koszty ekspansji wojskowej i politycznej, co coraz bardziej dotkliwie odczuwali na własnej skórze ludzie radzieccy, tkwiący bezradnie w tasiemcowych kolejkach po zakup podstawowych produktów.

Tymczasem, gdy kłopoty gospodarcze zaczęły się stopniowo kumulować, Związek Sowiecki stanął w obliczu niespodziewanych trudności. Jedna - interwencja w Afganistanie - rozpoczęła się „na własne życzenie”. Druga - powstanie „Solidarności” - była m.in. konsekwencją owej (częściowej) de- totalizacji w sferze swobód i gospodarczego (też częściowego) otwarcia na świat kapitalistyczny, co wyrażało się przede wszystkim zaciąganiem pożyczek, których znaczna część topiona była w odmętach „księżycowej ekonomii”. Oba te wydarzenia miały różne skutki: wojna afgańska głównie ekonomiczne, dodając nowych ciężarów ledwie dyszącej gospodarce. Pokojowa rewolucja „Solidarności” zaś głównie polityczne, podważając jedną z fundamentalnych zasad systemu, którą był monopol organizowania społeczeństwa. Wprawdzie działo się to w imperium zewnętrznym, a nie w samej metropolii, ale Polska znajdowała się w miejscu nader wrażliwym strategicznie. Interwencja w Afganistanie i wprowadzenie stanu wojennego w Polsce pociągnęły za sobą zarówno doraźne, jak i długofalowe, ale zawsze dotkliwe dla Moskwy, reakcje świata zachodniego - m.in. przyspieszenie nowych, technologicznie wysoko zaawansowanych projektów militarnych, udane starania o obniżkę cen ropy naftowej, głównego źródła dochodów dewizowych ZSRR, czy wytrwałe podsycanie obu ognisk niepokoju (w Afganistanie i w Polsce). Jest wielce prawdopodobne, iż bez tych dwóch wydarzeń i ich konsekwencji imperium sowieckie mogłoby jeszcze długo trwać w stanie stagnacji.

Jakby tego było mało, dała o sobie znać biologia, gdy począwszy od listopada 1982 r., w ciągu niespełna dwóch i pół roku zmarło trzech kolejnych sekretarzy generalnych. Doprawdy: przekonywający opis atmosfery panującej na Kremlu, po którym włóczył się samotny duch Lenina, a za plecami tetryczejących starców

panoszyły się koterie o niejasnych powiązaniach, może powstać chyba tylko pod piórem któregoś z mistrzów latynoamerykańskiego realizmu magicznego. Jak zgodnie potwierdzają różne świadectwa, narastało przekonanie - przede wszystkim w środowiskach intelektualnych (bynajmniej nie tylko dysydenckich), ale co ważniejsze, także w obrębie elit partyjnych i wojskowych - iż musi stać się coś większego i ważniejszego niż kolejny pogrzeb. Wedle równie zgodnych ocen, w społeczeństwie widoczne było narastające zmęczenie, frustracja, erozja wartości moralnych oraz zanikanie wiary w przyszłość.

Czynnikiem - niestety słabo jeszcze zbadanym - który mógł mieć wpływ na Moskwę, były zmiany w Chinach, w których przywództwo komunistyczne stanęło przed koniecznością podjęcia zasadniczych decyzji z powodu śmierci (1976 r.) Mao Tse-tunga. Miała ona efekt podobny do tego, co się działo w ZSRR po śmierci Stalina, z walką o sukcesję włącznie. Po zwycięstwie w niej Deng Xiaoping przystąpił, na przełomie lat 70. i 80., do (szczątkowej) detotalizacji oraz rozpoczął gruntowną reformę gospodarczą. Była ona wprawdzie ubrana w szaty ulubionej retoryki niedawno zmarłego Wielkiego Sternika, ale prowadziła w kierunku odwrotnym niż te, które on ogłaszał - przez likwidację kołchozów ku urynkowieniu gospodarki. Pierwsze sukcesy przyszły nieomal błyskawicznie, a na początek Chiny uzyskały samowystarczalność żywnościową, co było cichym marzeniem panów na Kremlu, którzy rokrocznie za setki milionów dolarów kupowali gdzie tylko się dało zboże i pszenicę. Powodzenie to dawało do myślenia, tym bardziej że rozpoczęta dwadzieścia lat wcześniej rywalizacja bynajmniej nie wygasła.

Wszystko to razem tworzyło splątany zbiór motywacji do wyrwania się z „okresu zastoju”, jak oficjalnie już określano epokę Breżniewa, który panował blisko 20 lat. Próbę tę wiąże się - słusznie - z kolejnym sekretarzem generalnym, Michaiłem Gorbaczowem, który objął najwyższy urząd w marcu 1985 r. Nie wiem, czy Gorbaczow znał ostrzeżenie, które sformułował wielki XIX-wieczny francuski myśliciel i niezwykle wnikliwy obserwator Alexis de Tocqueville pod adresem tych władców, którzy pragną dokonać reform: wejście na drogę reformy jest wejściem na drogę, która z dużym prawdopodobieństwem prowadzi do destabilizacji i rewolucji. Ale nawet jeśli je znał, to zapewne i tak by się nie powstrzymał przed podjęciem, skromnej w końcu, inicjatywy nieco poważniejszego, niż to próbowano do tej pory, ale jednak tylko - „udoskonalenia systemu”. Była w tym idealistyczna wiara w socjalizm i jego samoregulacyjne moce,

„ucieczka do przodu” wobec grożącej klęski w wyścigu zbrojeń i narastające poczucie misji odnowiciela ładu światowego, który oparty będzie na nowych, uniwersalnych wartościach, co da mu „rolę przywódcy politycznego i moralnego w skali światowej”[11]. Stopniowo uruchamiały się jednak siły, których istnienia albo nie podejrzewano, albo je bagatelizowano, a wobec nikłych osiągnięć na jednym polu -np. w gospodarce - podejmowano działania na kolejnych. Ani Gorbaczow, ani chyba nikt z jego politycznego otoczenia i intelektualnego zaplecza, nie miał wizji pożądanego porządku ustrojowego. Aczkolwiek głównym hasłem pierestrojki było „mieć inicjatywę”, działania polegały raczej na reagowaniu na to, co przynosił dzień, niż były realizacją przemyślanych zamierzeń.

To, że sowiecki lodowiec zaczął tajać, zostało stosunkowo szybko odczute w krajach Europy Środkowo-Wschodniej i w dwóch spośród nich uruchomiono własne procesy reformatorskie: komunistyczni przywódcy Węgier i Polski odwoływali się przy tym - jak zwykle - do „przykładu ZSRR”, zaś postępujące w nich zmiany były z kolei argumentem dla Gorbaczowa w jego potyczkach z konserwatystami. W obu wszakże przypadkach zaistniał ten sam „efekt Tocquevilla”, tj. utrata kontroli nad reformą i przekształcenie jej w zmianę ustrojową - ku demokracji parlamentarnej i gospodarce rynkowej. Mało tego: po polskim Okrągłym Stole, wyborach z 4 czerwca 1989 r. i powołaniu koalicyjnego rządu Tadeusza Mazowieckiego oraz po zawarciu kompromisu między partią komunistyczną i opozycją demokratyczną na Węgrzech, uruchomiony został mechanizm „kuli śnieżnej” i w ciągu dwóch ostatnich miesięcy tego roku partie komunistyczne utraciły monopol władzy we wszystkich europejskich krajach uzależnionych od Moskwy. W ten sposób Gorbaczow, który chciał być przywódcą świata, pozbawiony został realnego wpływu na wydarzenia w tej części Starego Kontynentu. A gdy po załamaniu się komunizmu w NRD doszło do zjednoczenia Niemiec, twórca pierestrojki, gła- snosti i nowego myślenia stał się fetowaną wprawdzie na całym świecie, ale raczej już tylko ozdobną figurą. „Gorbimania” zachodnich społeczeństw (i rządów) osiągała stan orgazmu, ale nie wynikało z tego nic więcej niż przyjemność. Żadnej prokreacji.

Można sądzić - aczkolwiek to sprawa raczej wiary niż racjonalnego dowodu - że w całym tym procesie wydarzenia w Polsce, a ściślej rzecz biorąc, postawa

[11] Jacques Levesque: *1989. La fin d’un empire. L’URSS et la liberation de l'Europe de l'Est,* Presses de la Fondation Nationale des Sciences Politiques, Paris 1995, s. 42.

znacznej części społeczeństwa i antykomunistycznych (lub ostrożniej: niekomunistycznych) środowisk, odegrały niezmiernie ważną rolę. Cokolwiek by sądzić o „reformatorskich siłach" w PZPR, oczywiste się wydaje, iż bez nieustępliwego, trwającego ze zmiennym natężeniem co najmniej od lata 1980 r., nacisku społecznego nie byłyby one w stanie wyjść poza program „udoskonalania socjalizmu". Istnienie zorganizowanej opozycji - coraz widoczniej i coraz bardziej świadomie poza- ustrojowej - miało rolę decydującą, zmuszając komunistów, by porzucili strategię kooptacji, czyli prób wkomponowania jej w istniejący system, i wyrazili zgodę na zasadę negocjacji, w której podstawą było uznanie podmiotowości i reprezentatywności „drużyny Wałęsy". Choć wchodzenie w proces transformacji ustrojowej miało w Polsce wyjątkowo spokojny (ewolucyjny) przebieg - co nie pozostało bez konsekwencji dla późniejszego biegu wydarzeń wewnętrznych - to właśnie wynikami wyborów do „kontraktowego" Sejmu ruszona została lawina, która wybiła z rytmu Gorbaczowowskie reformy i spowodowała spadek autorytetu kremlowskiego Gospodarza.

To, co rozgrywało się w Związku Sowieckim i Europie Środkowo-Wschodniej mniej więcej od połowy lat 80. (pomijam tu casus Chin, które poszły - jak zwykle - własną drogą), ma jednak nie tylko „wewnątrzsystemowy" czy „wewnątrzkomunistyczny" kontekst. Otóż wszystkie te zmiany można wpisać - a najpełniej uczynił to Samuel Huntington - w rozległe zjawisko „trzeciej fali demokratyzacji"[12]. Fala ta rozpoczęła się w połowie lat 70. w trzech autorytarnych krajach południowej Europy (Portugalia, Grecja, Hiszpania) i stopniowo rozlewała się po całym świecie, obejmując kolejno dyktatury latynoamerykańskie (z najsłynniejszą gen. Pinocheta w Chile), dotarła do „azjatyckich tygrysów" (Korei Południowej i Tajwanu) i niektórych rejonów Czarnego Kontynentu, w tym przede wszystkim do Republiki Południowej Afryki. W istocie jest coś irracjonalnego w fakcie, iż państwa o zupełnie odmiennych tradycjach i wzorach kulturowych, o autorytarnych, ale przecież bardzo różnych reżimach, o najróżniejszym poziomie rozwoju gospodarczego, jedno po drugim, jak szczury przywoływane przez dźwięk Zaczarowanego Fletu, opuszczały piwnice wojskowych czy partyjno-ideologicznych dyktatur i sunęły ku salonom Demokracji. Nie wszystkie zresztą wyszły, nie wszystkie, które wyszły, na salony owe dotarły. Niemała gromadka (np. państw afrykańskich) wróciła tam, gdzie była, sporo innych zatrzymało się

---

[12] Pod takim tytułem ukazała się polska wersja jego książki (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995, ss. 327), której oryginalny tytuł brzmi: *The Third Wave. Democratization in the Late Twentieth Century* (University of Oklahoma Press 1991).

w pół drogi wyznaczonej przez autorytaryzmy nacjonalistyczne (jak Serbia). Tak więc historia się nie kończy, tak jak nie skończył się - choć skurczył się i przepotwarzył - komunizm jako system realizujący, w krwawym trudzie swych poddanych i całkowicie bez powodzenia, XIX- -wieczną utopię „świetlanej przyszłości".

Dziś tempo i temperatura badań nad procesem gnicia sowiecko-europejskiego wydania komunizmu wydatnie opadły. Zainteresowania społeczne, a za nimi i pasje badawcze, przenoszą się - co jest naturalne - na czas bieżący. Brzeziński i Huntington, żeby ograniczyć się do tych dwóch cytowanych powyżej autorów, zajmują się prognozami na wiek XXI, proponując zresztą nieomal całkowicie odmienne wizje możliwego rozwoju wydarzeń[13]. Politolodzy i socjolodzy opuszczają ten obszar poszukiwań i stopniowo zaczynają go opanowywać historycy, którym na ogół obca jest dążność do ujęć syntetycznych, konstruowania modeli i hipotez, a kontentują się mozolnym dzierganiem faktów. Niemniej jednak seria wydarzeń rozpoczęta pod koniec lat 70. z pewnością długo jeszcze będzie przedmiotem wytrwałych poszukiwań, publicznych debat i naukowych oraz politycznych kontrowersji.

Książka Michaela Dobbsa znajduje się w głównym nurcie wielkiego dziennikarstwa, w którym wiedza o szczegółach, sprawne pióro i bogaty język stowarzyszone są z umiejętnością widzenia opisywanych wydarzeń z perspektywy chłodnego obserwatora wyposażonego w warsztat wytrawnego historyka. Nie zbliża się ona do natchnionych reportaży Ryszarda Kapuścińskiego, ale dalsza jest jeszcze od przeteoretyzowanych monografii, które królują na rynku postsowietologicznym. Jeżeli można ją z czymś porównywać - zarówno pod względem sposobu wykładu, jak i poziomu - to chyba z twórczością Barbary W. Tuchman, wysoko cenionej i pilnie czytanej na całym świecie. *Precz z Wielkim Bratem* jest z całą pewnością świetnym przewodnikiem po rozpadającym się gmachu, w którego ruinach żyje kilkaset milionów ludzi. Także tu, w Polsce.

Andrzej Paczkowski

[13] Zbigniew Brzeziński: *Wielka szachownica. Główne cele polityki amerykańskiej,* Świat Książki, Warszawa 1998, ss. 286; Samuel P. Huntington: *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego,* Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A., Warszawa 1997, ss. 539.

UWAGI ŹRÓDŁOWE

Upadek komunizmu umożliwił dostęp do rogu obfitości niedostępnych poprzednio dokumentów. W czasie pracy nad tą książką opierałem się na wielu wywiadach z bezpośrednimi uczestnikami, pamiętnikach przywódców radzieckich i wschodnioeuropejskich, ujawnionych materiałach archiwalnych, bieżących publikacjach prasowych i mych własnych notatkach reporterskich. Jeśli specjalnie tego nie zaznaczam, wywiady, na które się powołuję, przeprowadziłem osobiście. Starałem się podać nazwiska wszystkich osób cytowanych bezpośrednio. W czasie kompletowania materiałów zebrałem protokoły licznych posiedzeń radzieckiego Politbiura, które w przypisach oznaczyłem rosyjskim skrótem CKSD. Wszelkie tłumaczenia są mojego autorstwa. Ponieważ dostęp do radzieckich archiwów wciąż jest ograniczony, kopie tych materiałów zdeponowałem w National Security Archive w Waszyngtonie.

Pomocne w rekonstrukcji wydarzeń były także programy dokumentalne BBC, wyprodukowane przez Brian Lapping Associates - *The Second Russian Revolution, Fall of the Berlin Wall* oraz *Yugoslavia: Death of a Nation*. Tą drogą chciałem podziękować Normie Percy i Brianowd Lappingo- wi za zezwolenie na użycie cytatów pierwotnych kopii *The Second Russian Revolution,* które przechowywane są w bibliotece London School of Economics. Szczegóły wydawnicze wszystkich cytowanych książek podaję w zestawieniu bibliograficznym. W przypisach posługiwałem się następującymi skrótami:

BBC	British Broadcasting Corporation
CDSP	Current Digest of the Soviet Press
CKSD	Centralny Magazyn Akt Nowych
CNN	Cable News Network
FBIS	Foreign Broadcast Information Service
ICAO	International Civil Aviation Organization
KC KPZR	Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego
LAT	„Los Angeles Times”

MN	„Moskowskije Nowosti"
NSC	Rada Bezpieczeństwa Narodowego
NYT	„New York Times"
RFE/RL	Radio Wolna Europa/Radio Swoboda
UN	Organizacja Narodów Zjednoczonych
WP	„Washington Post"

PRZYPISY

I. BUNT PROLI

1. Prognoza pogody, NYT, 27 grudnia 1979, s. B8.
2. Sergo Mikojan, syn byłego przywódcy radzieckiego Anastasa Mikojana, opowiedział mi o szczegółach dotyczących daczy Breżniewa. Zob. także pamiętniki jego lekarza: Jewgienij Cza- zow, *Zdorowije i wlast',* ss. 86-87.
3. Roy Medvedev, *The Advantages of Mediocrity,* „Moskowskije Nowosti" (Moskwa), 11 września 1988, ss. 8-9, przetłumaczone na angielski w: CDSP, vol. XL, nr 36, s. 5.
4. Szczegóły dotyczące stanu zdrowia Breżniewa zdradza Cza- zow, ss. 115-144, oraz były ochroniarz, Michaił Dokuczajew, *Diewiatka,* „Nowoje Wriemia" (Moskwa), nr 32 (1993), ss. 36- -40.
5. Czazow, s. 128.
6. Władimir Miedwiediew, *Czełowiek za spinoj,* ss. 148-149.
7. Czazow, s. 134.
8. Ibid., ss. 149-151. Zachodnie relacje incydentu: NYT, 7 października 1979, s. Al, oraz depesze Reutera z Berlina, 6 października 1979.
9. Czazow, s. 150. Zob. także: Edward Gierek, *Przerwana dekada,* ss. 93-94.
10. Zdeněk Młynar, *Mróz od Wschodu,* s. 173.
11. Zob. na przykład szacunki Departamentu Obrony za 1980, zamieszczone w: David Holloway, *The Soviet Union and the Arms Race,* ss. 134-140. Publikacja amerykańskiego Departamentu Obrony pt. „Soviet Military Power" (1981, s. 71) także utrzymuje, że Sowieci w latach 70. „radykalnie zmniejszyli" dystans do USA w „dosłownie każdej ważnej podstawowej technologii".
12. *Wyacheslav Molotov,* Molotov Remembers: Conversations with Felix Chuev*, s. 8.*
13. Wiceminister spraw zagranicznych ZSRR Gieorgij Komijen- ko, „Nowaja i Nowiejszaja Istorija" (Moskwa), nr 3 (maj-czerwiec 1993), s. 107.
14. Ibid., s. 108.
15. Oświadczenie kapitana Abdula Haduda, w relacji pułkownika A. Ljachowskiego i pułkownika W. Zabrodina, „Armija" (Moskwa), nr 6 (marzec 1992), ss. 60-61.

16. O radzieckich podejrzeniach względem Amina zob. raport Komisji Biura Politycznego ds. Afganistanu, cytowany w: Aleksandr Liachowski, *Tragiedija i doblest' Afgana,* ss. 102-103. Zob. także Komijenko, s. 110, Georgi Arbatov, *The System,* s. 119, i Anatoly Dobrynin, *In Confidence,* s. 436.
17. O poglądach KGB - zob. pamiętniki pułkownika Aleksandra Morozowa, byłego zastępcy dowódcy placówki KGB w Afganistanie, opublikowane w: „Nowoje Wriemia" (Moskwa), nr 38- -41 (1991).
18. Andrei Gromyko, *Memoirs,* s. 99.
19. Notatka podpisana przez Konstantina Czernienkę, 27 grudnia 1979, CKSD. Kopia w posiadaniu autora.
20. Czazow, s. 133.
21. Arbatov, s. 266.
22. Larisa Vasilieva, *Kremlin Wives,* s. 219. [W polskim wydaniu książki Wasiliewej, *Kremlowskie żony, o* Tatianie Andropowej można przeczytać tylko tyle: „Spoza ich pleców ledwo widać sylwetkę Tatiany Andropowej - pominęłam ją milczeniem. Dlaczego? Nie wiem. Tajemnicza Tatiana", s. 462 - przyp. tłum.l
23. NYT, 3 kwietnia 1994. O szczegółach działalności Andropo- wa w Budapeszcie zob. także: „Izwiestia", 24 czerwca 1992, oraz Arnold Beichman i Mikhail S. Bemstam, *Andropov,* ss. 145-160.
24. Alexander Werth, *Russia at War,* ss. 213-217.
25. „Soviet Military Power" (1981), s. 12.
26. Czazow, s. 90.
27. Ibid., s. 205.
28. Protokół posiedzenia Politbiura 12 czerwca 1984, CKSD.
29. Arbatov, s. 198.
30. O powodach poparcia przez Gromykę inwazji na Afganistan zob. zapiski byłego ministra spraw zagranicznych Aleksandra Biessmiertnych i doradcy Gorbaczowa ds. polityki zagranicznej Anatolija Czerniajewa w: *Princeton University Conference on the Cold War,* vol. Ill, 26 lutego 1993.
31. Władimir Miedwiediew, s. 130.
32. „Wojenno-Istoriczeskij Żurnał" (Moskwa), nr 11 (1993), ss. 30- 35.
33. Czemiajew, *Princeton University Conference...,* vol. III, ss. 22- -23. Zob. także: Dobrynin, s. 439.
34. Czazow, s. 152.
35. Kopia odręcznie napisanej rezolucji, uzyskana z CKSD, została opublikowana w: „Washington Post", s. Al, 15 listopada 1992. Jedynym pełnym członkiem Biura Politycznego, który nie kontrasygnował dokumentu, był Aleksiej Kosygin, który był wówczas obłożnie chory i wkrótce ustąpił z funkcji premiera ZSRR. Według Komijenki, s. 110, decyzja o inwazji została podjęta wspólnie przez Breżniewa, Susłowa, Andropo- wa, Ustinowa i Gromykę.
36. „Wojenno-Istoriczeskij Żurnał" (Moskwa), nr 11 (1993), ss. 32- -34.

37. *Henry S. Bradsher,* Afghanistan and the Soviet Union, *s. 179.*
38. Notatka Czernienki, 27 grudnia 1979, CKSD. Zob. także: Dobrynin, s. 439.
39. Dobrynin, s. 440.
40. „Armija”, nr 6 (marzec 1992), s. 66.
41. „Armija”, nr 7 i 8 (kwiecień 1992), s. 54. Rekonstruując wydarzenia z 27 grudnia, opierałem się także na: Michaił Bołtu- now, *Alfa - swierchsiekrictnyj otriad KGB.* W poszukiwaniu perspektywy afgańskiej dotarłem do: Raja Anwar, *The Tragedy of Afghanistan-,* autor ów potwierdza wiele szczegółów pojawiających się w relacjach radzieckich.
42. „Armija”, nr 7 i 8, s. 55
43. Anwar, s. 189.
44. Bołtunow, s. 37.
45. Ibid., s. 44.
46. Ibid., s. 72.
47. „Armija”, nr 7 i 8, s. 57.
48. Ibid.
49. Ibid., ss. 55-56. Zob. także: Liachowski, ss. 144-151.
50. Ibid., s. 56.
51. Bołtunow, ss. 86-89. O charakterze i alkoholizmie Karmala zob.: Leonid Szebarszyn, *Ruka Moskwy,* ss. 206-209.
52. Foreign Broadcast Information Service (FBIS-SOV-79-251), 28 grudnia 1979, ss. Dl-2.
53. Dane dotyczące strat w ludziach w trakcie szturmu na pałac Amina są rozbieżne. Te pochodzą z półoficjalnej wersji wydarzeń w: „Armija”, nr 7 i 8, s. 56.
54. Opis starej daczy Chruszczowa pochodzi od Sergo Mikojana, który spędzał tam w latach 50. i 60. wakacje z rodziną; przeprowadziłem z nim rozmowę w marcu 1994.
55. O dyskusji na temat problemów radzieckiego rolnictwa w tym okresie zob.: Valery Boldin, *Tén Years That Shook The World,* s. 35. Zob. także: Zhores A. Medvedev, *Gorbaczev,* ss. 103-112.
56. Eduard Shevardnadze, *The Future Belongs to Freedom,* ss. 23-26.
57. W czasie konferencji prasowej 15 października 1992 Gorbaczow powiedział, że ta rozmowa odbyła się w grudniu 1979. W swoich wspomnieniach, s. 37, Szewardnadze także umiejscawia rozmowę w Picundzie, ale twierdzi, że odbyła się zimą 1984, na krótko zanim Gorbaczow został przywódcą ZSRR.
58. Boldin, s. 36.
59. „Stawropolskaja Prawda”, 6 maja 1978, cytowana w: Zhores A. Medvedev, s. 216.
60. FBIS-SOV-79-251, s. D3.
61. XXV Zjazd KPZR. Oficjalny stenogram. Politzdar 1976, vol. I, s. 186.

62. Shevardnadze, s. 26. Wywiad z marca 1994.
63. Uchwała KC KPZR z 23 czerwca 1980, CKSD, Liachowski, s. 113.
64. Lech Wałęsa, *Droga nadziei,* s. 43.
65. Roman Laba, *The Roots of Solidarity*, ss. 15-56.
66. Lech Wałęsa, *Droga nadziei,* ss. 62-63.
67. Neal Ascherson, *The Book of Lech Wałęsa,* s. 55. Zob. także: Jean-Yves Potel, *Gdansk: La Mémoire ouvrière 1970-1980,* ss. 156-159.
68. Wałęsa, *Droga nadziei,* s. 117. Relacja Borowczaka ze strajku zob. w: Stan Persky i Henry Flam, *The Solidarity Sourcebook,* ss. 73-78, „Solidarność", nr 11, 30 sierpnia 1980 (stoczniowy biuletyn strajkowy), którzy przeprowadzili wywiady z inicjatorami strajku. *The Polish August* (red. Oliver MacDonald) zawiera pełne tłumaczenie wszystkich biuletynów strajkowych na język angielski.
69. Persky i Flam, s. 74.
70. Wywiad z uczestnikiem strajku Grzegorzem Obemikowiczem, 14 sierpnia 1980.
71. Wałęsa, *Droga nadziei,* s. 117.
72. Biuletyn strajkowy Solidarności nr 11.
73. Wałęsa, *Droga nadziei,* s. 117.
74. Jest kilka różnych wersji tego przemówienia. Ta pochodzi z wyczerpującego polskiego opracowania poświęconego strajkowi, autorstwa Andrzeja Drzycimskiego i Tadeusza Skutnika, *Gdańsk Sierpień '80,* s. 437. Zob. także wywiad przeprowadzony przez Orianę Fallaci w marcu 1981, przedrukowany w: Persky i Flam, s. 102.
75. Persky i Flam, s. 102; Fallaci, *Dwa wywiady,* s. 13.
76. Gierek, s. 169.
77. Po upadku komunizmu budynek stał się siedzibą centrum ban- kowo-finansowego, gdzie mieści się m.in. Giełda Papierów Wartościowych S.A. w Warszawie.
78. Protokół Politbiura z 15 sierpnia 1980 w: Zbigniew Włodek (red.), *Tajne dokumenty Biura Politycznego: PZPR a Solidarność 1980-1981,* ss. 28-34.
79. Ibid., s. 29.
80. Przemówienie Gierka do stoczniowców gdańskich z 25 stycznia 1971. Zob. artykuł Mieczysława Rakowskiego, „Polityka" nr 12 (21 marca 1981).
81. Gierek, s. 160.
82. O podejrzeniach Gierka względem swoich towarzyszy z Politbiura zob. w: Gierek, ss. 155-160. W swych pamiętnikach zarówno Kania, jak i Jaruzelski zaprzeczają, jakoby byli uczestnikami spisku zmierzającego do obalenia pierwszego sekretarza.
83. Włodek, s. 33.

84. August 1980: The Strikes in Poland, *s. 11.*
85. Akta grupy „Lato ’80”, która istniała niemal do 1982 roku, zostały opublikowane w: „Życie Warszawy”, 12 maja 1994, *Ekstra,* ss. 1-3. Zob. także: Jerzy Jachowicz, *Tajemnice wojny z narodem,* „Gazeta Wyborcza” (7 listopada 1990), s. 1, oraz Włodek, s. 24.
86. Wywiad z Kuroniem z 17 sierpnia 1980.
87. Posiedzenie Biura Politycznego z 23 sierpnia, Włodek ss. 54-57.
88. Gierek, s. 165.
89. Wywiad z Czesławem Szałańskim, osobistym elektrykiem Gierka, lipiec 1993.
90. Posiedzenie Biura Politycznego z 26 sierpnia, Włodek ss. 70-72.
91. Raport Gierka ze spotkania z ambasadorem Aristowem dla Biura Politycznego, 28 sierpnia, Włodek, s. 78. W swoich wspomnieniach, s.168, Gierek twierdzi, że Breżniew zadzwonił do niego bezpośrednią linią z Kremla, oferując mu „pomocną dłoń”, jeśli „weźmie wrogów za mordę”. Nie ma innych dokumentów mogących udowodnić wersję Gierka rozmowy telefonicznej z Breżniewem, a zarówno Kania, jak i Jaruzelski mają sceptyczny stosunek do tego, czy w ogóle rozmowa taka się odbyła. Gierek utrzymuje, że obaj byli obecni, kiedy zadzwonił doń radziecki przywódca, i słuchali rozmowy. Kania i Jaruzelski temu zaprzeczają. Ponieważ Gierek kilkakrotnie udowodnił, że nie jest wiarygodnym świadkiem, jego wspomnienia powinno się traktować z ostrożnością.
92. Stanisław Kania, *Zatrzymać konfrontację,* s. 32.
93. Ibid., s. 32. Relacja Kani z działań Gierka w tym okresie znajduje potwierdzenie u Jaruzelskiego oraz Witalija Pawłowa, byłego rezydenta KGB. W wywiadzie udzielonym w czerwcu 1993 Pawłów stwierdził, że z wiarygodnych źródeł wie, iż Gierek chciał poruszyć sprawę wojskowej pomocy ZSRR dla Polski, ale sprzeciwił się temu Kania.
94. „Zycie Warszawy”, 12 maja, 1994, s.l. Zob. także: Kania, s. 33.
95. Posiedzenie Biura Politycznego z 29 sierpnia, Włodek, ss. 84-90. Szeroko mówiło się wówczas, że o wiele bardziej zatwardziały komunista, Stefan Olszowski, także opowiadał się za użyciem siły. Zob., na przykład, Neal Ascherson, *The Polish August,* s. 162. Olszowski mógł posłużyć się Kruczkiem jako pretekstem, ale dokumenty Biura Politycznego wskazują, że sam przyjął umiarkowane, wyczekujące stanowisko, nalegając jedynie na „konsultacje” z Kremlem i ostrą kampanię propagandową przeciwko strajkującym.
96. Wywiad z pułkownikiem Ryszardem Kuklińskim, „Kultura” (Paryż, sierpień 1987), przetłumaczony w: „Orbis”, nr 32 (Philadelphia, zima 1988), s. 14. Według Kuklińskiego, kierownictwo partyjno-państwowe ustanowione zostało 24 sierpnia 1980 i natychmiast zajęło się przygotowaniami do wprowadzenia stanu wojennego.
97. Radzieckie Politbiuro 25 sierpnia powołało komisję pod kierownictwem Susłowa, której zadaniem było śledzenie wydarzeń w Polsce. Część archiwów ko-

misji Susłowa odtajniono w sierpniu 1993, w związku z wizytą Jelcyna w Polsce, i opublikowano w formie broszury. Zob.: *Dokumenty. Teczka Susłowa,* ss. 12-25.

98. Notatka Politbiura z 28 sierpnia 1980, cytowana w: Mark Kramer, *New Evidence on the Polish Crisis,* „Cold War International History Project Bulletin", nr 5 (1995), s. 120.

99. A. Kemp-Welch (red.), *The Birth of Solidarity,* s. 140.; Drzycimski i Skutnik, ss. 433-434.

100. Scena przy bramie została zarejestrowana w filmie *Człowiek z żelaza* oraz *Robotnicy '80.*

101. Zbigniew Brzeziński, *Cztery lata w Białym Domu,* ss. 443- -444.

102. Wywiad z Kuklińskim w WP, 27 września 1992, s. Al. Zob. także portret Kuklińskiego autorstwa Bena Weisera, w: WP Magazine, 13 grudnia 1992.

103. Wywiad z Kuklińskim w: „Kultura", ss. 3-57, częściowo przełożony na język angielski w: „Orbis" 32 (1988), ss. 7-31. Wydanie to (ss. 32-48) zawiera także wyjątki dzienników Brzezińskiego z okresu spędzonego w Białym Domu, poświęcone polskiemu kryzysowi w grudniu 1980. Jaruzelski przedstawia wersję tych wydarzeń w: *Les Chaines et le Refuge,* ss. 237-239.

104. Wywiad z Brzezińskim z kwietnia 1994. Zob. także: Jaruzelski, *Les Chaînes et le Refuge,* ss. 24-29.

105. Brzeziński, „Orbis", s. 36.

106. Brzeziński, „Orbis", s. 37; *Cztery lata w Białym Domu,* s. 549.

107. Kania, s. 84.

108. Jaruzelski, *Les Chaînes,* ss. 16, 242.

109. Ibid., s. 239. 4 grudnia, w czasie konferencji prasowej w Warszawie, rzecznik prasowy PZPR, Józef Klasa, stwierdził, że polscy komuniści mają „prawo i obowiązek" zwracać się z prośbą o pomoc do innych państw socjalistycznych w razie „realnego zagrożenia socjalizmu", ale złożenie takiej prośby nie przyjdzie im „lekko". WP, 5 grudnia 1980, s. A20.

110. Deutschland Archiv, nr 3, marzec 1993, s. 336. *Zob.* także: „Moskowskije Nowosti", nr 48 (28 listopada 1993), s. 12.

111. Kania, s. 88.

112. Nekrolog Honeckera, LAT, 29 kwietnia 1994.

113. Młynar, s. 115.

114. Jaruzelski, *Les Chaînes,* s. 240.

115. Kania, s. 91. Witalij Swietłow, funkcjonariusz KPZR, który służył jako tłumacz, zapamiętał tę rozmowę nieco inaczej. Cytuje Breżniewa, który miał powiedzieć: „W porządku, nie będzie manewrów. Ale jeśli zobaczymy, że was obalają - wkroczymy". Wywiad, „Gazeta Wyborcza", nr 291 (11 grudnia 1992), s. 14.

116. Kania, ss. 92-93.

117. Protokoły Biura Politycznego z 29 października 1980, CKSD.

118. Jaruzelski, *Les Chaînes,* s. 237. Zob. także artykuł generała Anatolija Gribkowa, zastępcy szefa sztabu wojsk Układu Warszawskiego w: „Wojenno-Istoriczeskij Żumał" (Moskwa), nr 9 (wrzesień 1992), s. 55.

119. Jaruzelski, *Les Chaînes,* s. 241. Jaruzelski utrzymuje, że Breżniew unieważnił plany inwazji ze względu na opozycję Kadara i Ceau§escu, ale nie przedstawia dowodów na poparcie swej tezy.

120. Gribkow, s. 54.

121. Kukliński, „Kultura" (Paryż, kwiecień 1987), ss. 25-26.

122. Posiedzenie Politbiura z 22 stycznia 1981, CKSD.

123. Raport komisji Susłowa na temat Polski z 16 kwietnia 1981, CKSD, opublikowany w: *Dokumenty. Teczka Susłowa,* s. 40.

124. Kukliński, „Orbis" (zima 1988), s. 22.

125. Jaruzelski, *Les Chaînes,* s. 256.

126. Posiedzenie Politbiura z 9 kwietnia 1981, CKSD. Polska wersja przebiegu tego spotkania w: Jaruzelski, *Les Chaînes,* ss. 253-257, i Kania, ss. 120-123.

127. Depesza z Moskwy, WP, 3 grudnia 1980, s. A21.

128. Informacja z archiwów NRD, „Moskowskije Nowosti", nr 48 (28 listopada 1993), s. 12.

129. Arbatov, s. 272.

130. Wywiad z Jaruzelskim z sierpnia 1993. Jaruzelski wskazuje na tę rozmowę z Ustinowem jako zawoalowaną groźbę radzieckiej interwencji militarnej.

131. Wywiad z Gorbaczowem, „Trybuna" (Warszawa), 9 listopada 1992, s. 2.

132. Zob., na przykład, komentarze Susłowa na posiedzeniu Biura Politycznego z 29 października 1980, CKSD, lub raport komisji Susłowa z 16 kwietnia 1981, opublikowany w: *Dokumenty. Teczka Susłowa,* s. 38.

133. Posiedzenie Politbiura z 9 kwietnia 1991, CKSD.

134. Kukliński, „Orbis", s. 23.

135. Wywiad z rezydentem KGB Pawłowem, lipiec 1993. Pawłów zaprzeczył, jakoby KGB pozyskiwał bezpośrednio polskich obywateli, ale zob.: Wojciech Jaruzelski, *Stan wojenny. Dlaczego?,* ss. 346-349, i Kukliński, „Orbis", ss. 28-30.

136. Jaruzelski dowiedział się o tej legendzie, kiedy odwiedził go jeden z byłych sąsiadów, co nastąpiło już po objęciu przezeń urzędu prezydenta Polski w 1989. Wywiad z Jaruzelskim przeprowadziłem w sierpniu 1993.

137. Wywiad z Jaruzelskim. Zob. także: Jaruzelski, *Les Chaînes,* ss. 41-66.

138. Wywiad z Jaruzelskim.

139. Jaruzelski, *Les Chaînes,* s. 50.

140. Ibid., s. 116.

141. Ibid., s. 38.

142. Ibid., s. 279.

143. Mieczysław Rakowski, *Jak to się stało,* s. 25.
144. Dokumenty. Teczka Susłowa, *s. 52.*
145. Wywiad ze Swietłowem, „Gazeta Wyborcza”.
146. Jan Nowak [Jeziorański], *'Wojna w eterze*, s. 255.
147. Janusz Rolicki, *Edward Gierek. Replika,* s. 84.
148. Jaruzelski, *Les Chaînes,* s. 146.
149. Zob., na przykład, dyskusję radzieckiego Biura Politycznego z 29 października 1980, w której Gromyko określa Jaruzelskiego jako „osobę godną zaufania”, ale wyraża troskę po jego oświadczeniu, że „polscy żołnierze nie będą strzelać do polskich robotników”. CKSD.
150. Czesław Kiszczak, *Generał Kiszczak mówi...,* s. 129.
151. Jaruzelski, *Les Chaînes,* s. 291.
152. Rakowski, s. 25.
153. Jaruzelski, *Les Chaînes,* s. 272.
154. Wywiad z rzecznikiem prasowym polskiego rządu, Jerzym
155. Urbanem, „CIA miała agenta w polskim Sztabie Generalnym”, WP, 4 czerwca 1986. Zob. także: Jaruzelski, *Stan wojenny,* ss. 356-358.
156. Wywiad z byłym członkiem NSC, Richardem Pipesem, 2 czerwca 1994. Według Pipesa, CIA trzymała informacje udostępnione przez Kuklińskiego pod tak ścisłą kontrolą, że nigdy nie trafiły one w tryby „machiny biurokratycznej”. Nawet sekretarz stanu Alexander Haig nie był świadom istnienia Kuklińskiego. Pipes dowiedział się później, że CLA uważała ostrzeżenia Kuklińskiego za „absolutnie nie do przyjęcia”. CIA nigdy nie wyjaśniła swego postępowania w jego sprawie.
157. Jaruzelski, *Stan wojenny,* s. 404.
158. Wywiad z Jaruzelskim z sierpnia 1993.
159. Kiszczak, ss. 129-130.
160. Dokumenty. Teczka Susłowa, *s. 78. Jaruzelski,* Stan wojenny, *ss. 390-391.*
161. Wywiad z Jaruzelskim z sierpnia 1993.
162. Ibid.
163. Posiedzenie Biura Politycznego z 10 grudnia 1981. CKSD, przetłumaczone w: „Cold War International History Project Bulletin”, nr 5 (1995), s. 137.
164. Wywiad z Jaruzelskim, „Gazeta Wyborcza”, 14 grudnia 1992, s. 13. Nigdy nie opublikowano oficjalnego zapisu tej rozmowy. Były rezydent KGB w Warszawie, Pawłów, twierdzi, że Susłow odrzucił prośbę Jaruzelskiego o wsparcie wojskowe w razie trudności przy wprowadzaniu stanu wojennego. Cytuje Susłowa, który miał powiedzieć: „Pomożemy wam materialnie, finansowo i politycznie, ale nie militarnie”. Wywiad z Pawłowem, „Gazeta Wyborcza”, 20 lutego 1993, s. 15.
165. „Gazeta Wyborcza”, 14 grudnia 1992, s. 13.

166. Zeznania Jaruzelskiego przed komisją sejmową, 9-10 marca 1993. *Sąd nad autorami stanu wojennego,* s. 235.

167. Polegam na relacji mojego asystenta z WP, Marka Olbri- cha, który był obecny na ostatnim posiedzeniu Komisji Krajowej Solidarności w Gdańsku.

168. Wywiad, WP, 16 listopada 1982, ss. A1-A14.

169. Wywiad z Bujakiem; Maciej Łopiński, Marcin Moskit [tj. Zbigniew GachJ, Mariusz Wilk, *Konspira. Rzecz o podziemnej Solidarności,* s. 5.

170. Wałęsa, *Droga nadziei,* ss. 241-242.

171. Dobbs, WP, 17 stycznia 1982, s. Al; 14 marca 1982, s. Al.

172. Debata Biura Politycznego KPZR z 14 stycznia 1982, przetłumaczona na język angielski w: „Cold War International History Project Bulletin", nr 5 (1995), s. 138.

173. Czazow, s. 148.

174. Władimir Miedwiediew, s. 176.

175. Czazow, ss. 168-169.

176. Kopia raportu przeciekła do korespondenta WP w Moskwie Dusko Dodera (WP, 3 sierpnia 1983, s. Al). Pełny tekst raportu z Nowosybirska został opublikowany w: Tatiana Zaslavskaya, *A Voice of Reform,* ss. 158-183. Zasławska przedstawiła tło raportu w wywiadzie, który przeprowadziłem z nią w sierpniu 1987.

177. Cytat z: Henry Rowen i Charles Wolf (red. red.), *The Future of the Soviet Empire,* s. 26.

178. Brzeziński, s. 36.

179. LAT, 7 listopada 1981, ss. 1, 8.

180. Peter Hebblethwaite i Ludwig Kaufmann, *John Paul II,* s. 108.

181. David Willey, *God's Politician,* s. 30.

182. Hebblethwaite i Kaufmann, s. 34.

183. Wywiad z Eugeniuszem Szumiejką, *Konspira,* s. 208.

184. Posiedzenie Biura Politycznego z 26 kwietnia 1984, CKSD.

185. Ibid.

II. BUNT MASZYN

1. „Soviet Military Power” (1981), s. 64.
2. Report of the Completion of the Factfinding Investigation Regarding the Shooting Down of Korean Airlines Flight 007 *(International Civil Aviation Organization, 1993), s. 49. Christopher Andrew i Oleg Gordijewski,* Historia KGB*, ss. 521- -523.*
3. Wywiad z Osipowiczem, „Izwiestia”, 24 stycznia 1991, przetłumaczony w: FBIS-SOV-91-025, s. 8. Zob. także: Seymour M. Hersh, *„The Target Is Destroyed*”, ss. 17-19.
4. Alexander Zuyev, *Fulcrum*, ss. 124-126.
5. Osipowicz, op. cit.
6. ICAO, aneks, ss. 65-66.
7. Ibid., ss. 146, 149.
8. Ibid., s. 103.
9. Ibid., ss. 127-129.
10. Osipowicz, s. 11.
11. ICAO, aneks, ss. 9-10.
12. ICAO, ss. 56-59.
13. Osipowicz, s. 13.
14. ICAO, aneks, s. 72.
15. Czazow, s. 181, Arbatov, s. 286.
16. Zob., na przykład, przemówienie z okazji obchodów pięćdziesięciolecia KGB, 20 grudnia 1967, przedrukowane w: Martin Ebon, *The Andropov File*, ss. 166-176.
17. Czazow, s. 175.
18. Ibid., s. 90.
19. S. F. Achromiejew i G. M. Komijenko, *Głazami marszała i di- płomata*, s. 49.
20. Posiedzenie Biura Politycznego z 2 września 1983, CKSD, opublikowane w: „Rossijskije Wiesti”, 25 sierpnia 1992, ss. 1- -4, przetłumaczone w FBIS-SOV-92-167, s.7.
21. Achromiejew i Kornijenko, ss. 45-46.
22. „Rossijskije Wiesti”, loc. cit.
23. „Izwiestia”, 23 maja 1991, s. 6, przetłumaczone w: FBIS-SOV- -91-104, s. 5.
24. Wywiad z Osipowiczem, „Izwiestia”, 25 stycznia, 1991, s. 7, przetłumaczone w: FBIS-SOV-91-025, s.12.
25. „Izwiestia”, 23 maja 1991.
26. NYT, 11 września 1983, s. A16.
27. Ronald Reagan, *An American Life*, s. 588.

28. Ibid., ss. 585-586.
29. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 1, s. 249.
30. Yegor Ligachev, *Inside Gorbachev's Kremlin,* s. 70.
31. *Nikołaj Ryżkow,* Pierestrojka - Istorija priedatielstw*, s. 78.*
32. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 1, s. 264.
33. Wypowiedź Griszyna w serialu telewizyjnym BBC *The Second Russian Revolution.* Zob. także: Anatolij S. Czerniajew, *Szest' liet s Gorbaczowym,* ss. 30-31, i Boldin, s. 59.
34. Roxburgh, *The Second Russian Revolution,* ss. 5-6. Zob. także: Ryżkow, ss. 78-79. Ligaczow (ss. 68-70) przedstawia nieco inną wersję wydarzeń, ale jego relacja jest podkolorowana w celu wyeksponowania jego własnej roli w wyborze Gorbaczowa.
35. Zob., na przykład, komentarze Gieorgija Arbatowa w *The Second Russian Revolution.*
36. Przemówienie Gorbaczowa do byłych kolegów szkolnych z 16 czerwca 1990, nagrane przez BBC do filmu *The Second Russian Revolution.* Gorbaczow odwoływał się także do tego incydentu w przemówieniu do intelektualistów amerykańskich w Waszyngtonie z czerwca 1990 (FBIS-SOV-90-107, s. 15). Zob. także Raisa Gorbaczow, *...mam nadzieję!,* s. 16, i Gorbaczow, *Żyzn i rieformy,* vol. 1, s. 265.
37. Boldin, ss. 62-63. Zob. także Czemiajew, ss. 29-30.
38. MN, nr 7, 11 lutego 1993, s. 15.
39. Raisa Gorbaczow, s. 96. Zob. także Gail Sheehy, *Gorbachev,*
40. s. 40.
41. Robert Conquest, *The Harvest of Sorrow,* s. 303.
42. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 1, s. 42.
43. Ibid., s. 38.
44. Ibid., s. 39.
45. Wystąpienie w centralnej telewizji z 29 listopada 1990.
46. Achromiejew i Kornijenko, ss. 61-62.
47. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 1, s. 66.
48. Zdenek Młynar, *11 Mio Compagno di Studi Mikhail Gorbachev,* „L/Unita" (Rzym, 9 kwietnia 1985), s. 9.
49. Raisa Gorbaczow, s. 60.
50. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 1, s.157.
51. Ibid., s. 106.
52. Robert G. Kaiser, *Why Gorbachev Happened,* s. 76.
53. Wywiad z sierpnia 1993.
54. Wywiad z września 1993.

55. Reagan, *An American Life,* ss. 614-615.
56. George Shultz, *Turmoil and Triumph,* s. 568.
57. Edward Jay Epstein, *Petropower and Soviet Expansion, Commentary* (lipiec 1986), s. 26.
58. Dobbs, *Oil's Skid Fuels Gorbachev's reforms,* WP, 28 maja 1990, ss. Al, A18.
59. Protokół posiedzenia radzieckiego Biura Politycznego z 29 października 1981, CKSD.
60. Czerniajew, s. 40.
61. Wywiad z Ablem Aganbegianem, BBC/Lapping.
62. „Izwiestia", 8 czerwca 1990. Wedle byłego premiera Ryżko- wa, decyzję podjęto ze względu na „panującą sytuację międzynarodową i naszą doktrynę wojskową".
63. Zob. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 1, s. 285.
64. BBC, 6 września 1985, SU/8049/C/1.
65. Wypowiedź producenta Eduarda Sagaliewa dla „Wriemii". Zob.: David Remnick, *Grobowiec Lenina,* ss. 171-172. Zob. także: Boldin, ss. 110-111.
66. Boldin, s. 100.
67. BBC, 9 września 1985, SU/8051/C/1.
68. De Custine, *Empire of the Czar,* s. 437.
69. Czerniajew, s. 39.
70. BBC, 6 września 1985, SU/8049/C/1.
71. Wywiad z doradcą Gorbaczowa ds. polityki zagranicznej, Czer- niajewem, lipiec 1993. Zob. także: Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy*, vol. 1, s. 276.
72. Ronald Reagan, *Speaking My Mind,* s. 247.
73. Konferencja prasowa prezydenta z 29 stycznia 1981.
74. Reagan, *An American Life,* s. 635.
75. Donald T. Regan, *For the Record,* ss. 308-309.
76. Gorbaczow, *Żyzn i rieformy,* vol. 2, s. 14.
77. Lou Cannon, *President Reagan: The Role of a Lifetime,* s. 280. Zob. także: Reagan, *An American Life,* ss. 636-637.
78. Opowieść koleżanki szkolnej Julii Karagodiny, zob.: Remnick, ss. 183-186.
79. Wywiady z doradcą NSC Robertem McFarlane'em z grudnia 1993 i byłym urzędnikiem Departamentu Stanu Tbmem Si-
80. monsem. Jack Matlock, były ekspert NSC ds. Związku Radzieckiego, także powoływał się na fałszywą książkę Lenina, w czasie konferencji w Princeton 26 lutego 1993, sesja IV.
81. Wywiady przeprowadzone w studenckich rozgłośniach radiowych 9 września 1985.

82. Transmitowane przez telewizję orędzie do narodu amerykańskiego z 16 stycznia 1984. Przemówienie o „imperium zła” wygłoszone zostało na forum National Association of Evangelicals w Orlando na Florydzie 8 marca 1983.
83. Wywiad z McFarlane’em z grudnia 1993.
84. Joan Quigley, *What Does Joan Say?,* ss. 126-130.
85. Robert i Suzanne Massie, *Journey,* s. 190.
86. Wywiad Massie z marca 1994.
87. Daniel Schorr, *Reagan Recants; His Path from Armageddon to Detente,* LAT, 3 stycznia 1988. Zob. także: Cannon, ss. 289-291.
88. Martin Anderson, *Revolution,* ss. 82-83.
89. Przemówienie telewizyjne z 23 marca 1983.
90. Rozmowa odbyła się w ambasadzie ZSRR 20 listopada. Zob.: Don Oberdorfer, *The Turn: From the Cold War to a New Era,* ss. 147-150.
91. Relacja Shultza, konferencja w Princeton, sesja IV.
92. Przemówienie na forum parlamentu brytyjskiego z 8 czerwca 1982.
93. Kaiser, s. 119.
94. Wywiad z lipca 1994.
95. Wywiad z marca 1994.
96. Konferencja w Princeton, sesja II.
97. Notatka NSC z 12 listopada 1985, udostępniona autorowi przez Roberta McFarlane’a.
98. Boldin, ss. 95-96.
99. Dusko Doder i Louise Branson, *Gorbachev - Heretic in the Kremlin,* ss. 16-17.
100. „Wiestnik” (wydawnictwo radzieckiego MSZ), nr 1 (sierpień 1987). Cytowane przez Oberdorfera, s. 162.
101. Czemiajew, s. 61.
102. Ibid., s. 70.
103. A. M. Aleksandrow-Agentow, *Ot Kołlontaja do Gorbaczowa,* s. 289.
104. Gorbaczow, *Żyzn’ i rieformy,* vol. 2, s. 14.
105. Dobrynin, s. 586.
106. Czemiajew, konferencja w Princeton, sesja II.
107. Wywiad z Diatłowem z kwietnia 1992. Drobiazgowy opis katastrofy w: Grigorij Miedwiediew, Raport z Czarnobyla, oraz w: Piers Paul Read, *Ablaze.*
108. Grigorij Miedwiediew, ss. 62-64.
109. Wywiad z Diatłowem.
110. Grigorij Miedwiediew, s. 76.
111. Grigorij Miedwiediew, ss. 100-101.
112. Wywiad autora, WP, 21 sierpnia 1988, s. A10.
113. Yuri Shcherbak, *Chernobyl, a Documentary Story*, ss. 152-154.

114. Wywiad ze Szczerbakiem, *The Second Russian Revolution, część* II, BBC-TV, marzec 1991.

115. Wywiad, kwiecień 1991.

116. Grigorij Miedwiediew, s. 150.

117. *Nigel Hawkes,* The Worst Accident in the World, *8. 122.*

118. „Izwiestia”, 24 kwietnia 1992.

119. Grigorij Miedwiediew, ss. 198-201.

120. Chernobyl, Symbol of Soviet Failure, *WP, 26 kwietnia 1991.*

121. O atmosferze na posiedzeniach Politbiura pisze m.in. Bołdin, ss. 162-165.

122. Czemiajew, ss. 87-88.

123. Tajne dokumenty Biura Politycznego na temat Czarnobyla w: „Izwiestia”, 17 kwietnia 1993, ss. 1 i 5.

124. Czemiajew, ss. 89-90.

125. Zob., na przykład, list do Gorbaczowa od redaktora naukowego „Prawdy”, Władimira Gubariewa, z 16 maja 1986, opublikowany w: „Rodina” (Moskwa), nr 1 (1992).

126. Grigorij Miedwiediew, s. 12.

127. Czemiajew, s. 88.

128. Klasyczną definicję Wielkiej Gry daje George N. Curzon w: *Russia in Central Asia.*

129. O taktyce specnazu zob.: B. W. Gromow, *Ograniczonnyj kon- tingient,* ss. 198-205 oraz w: *Tainy afganskoj wojny,* „Armi- ja” (Moskwa), nr 10 (maj 1992), ss. 50-51.

130. Muhamad Yousaf, *The Bear Trap,* ss. 174-177.

131. Liachowski, s. 379.

132. Tajna notatka do Breżniewa z Instytutu Gospodarki Światowej od Olega Bogomołowa, WP, 26 kwietnia 1988.

133. Bradsher, ss. 189-199.

134. Wywiad z Brzezińskim z kwietnia 1994.

135. *William Casey,* The Secret War Against Hitler, *s. XTV.*

136. Joseph E. Pérsico, *Casey,* s. 7.

137. National Security Decision Directive 166. Zob.: Robert Gates, *From the Shadows,* ss. 348-349.

138. Zob.: Shultz, ss. 691, 844, 866.

139. Yousaf, ss. 78-79.

140. Ibid., ss. 189-195. WP, 19 lipca 1992, s. Al.

141. Wywiad z Abramowitzem ze stycznia 1994.

142. Wywiad z Michaelem Pillsburym, byłym urzędnikiem Departamentu Obrony, styczeń 1994.

143. Ibid.
144. Agentem był prawdopodobnie Dmitrij F. Poliakow, generał radzieckich sił obrony powietrznej. Stracony po zidentyfikowaniu go przez Aldricha Amesa w 1986.
145. Czemiajew, s. 115.
146. Oficjalne protokoły Biura Politycznego z 13 listopada 1986, CKSD; Czemiajew, s. 130.
147. Dobrynin, s. 442.
148. Wywiad z Czemiajewem z lipca 1993.
149. Dobrynin, s. 443.
150. Wywiad z Czemiajewem z lipca 1993.
151. Radzieckie szacunki kosztów wojny podają: Ryżkow, ss. 232- -233, Czemiajew, s. 193, oraz Achromiejew i Komijenko, s. 167.
152. Ryżkow, s. 231.
153. Czemiajew, ss. 14, 25, 192.
154. Zob., na przykład, komentarze Paula Nitze, konferencja w Princeton, sesja III.
155. Gromow, s. 219, Achromiejew i Komijenko, s. 167.
156. Wywiad z lipca 1993.
157. Czemiajew, s. 120.
158. Wywiad z czerwca 1993.
159. Gromow, s. 254.
160. Rozmowa odbyła się 16 grudnia 1986. Andriej Sacharow, *Wspomnienia*, t. 3 *Gorki, Moskwa i gdzie indziej,* s. 22.
161. „Prawda", 28 maja 1992, s. 3.
162. Achromiejew i Komijenko, s. 76.
163. Boldin, s. 167.
164. Czemiajew, s. 159.
165. Dobrynin, s. 625.
166. Boris Yeltsin, *The Struggle for Russia,* s. 179.
167. Borys Jelcyn, *Wyznania,* ss. 24-25.
168. Lew Suchanów, *Tri Goda s Jelcynym,* s. 143.
169. Yeltsin, *The Struggle,* s. 98.
170. Jelcyn, *Wyznania,* s. 67.
171. Ibid., s.151.
172. „Izwiestia", nr 2, 1989, KC KPZR, ss. 214-215.
173. Jelcyn, *Wyznania,* s. 81.
174. Ibid., s. 144.
175. Boldin, s. 235.

176. „Izwiestia”, KC KPZR, s. 241.

177. Jelcyn, *Wyznania,* s. 143.

178. Czemiajew, s. 135.

179. Gorbaczow, *Żyzn’ i rieformy,* vol. 1, s. 374.

180. Jelcyn, *Wyznania,* s. 149. Gorbaczow utrzymuje, że stan Jelcyna był zadowalający.

181. „Moskowskaja Prawda”, 13 listopada 1987.

182. Borys Jelcyn, *Ispowied’ na zadanu tiemu,* s. 178. Tb kluczowe stwierdzenie zostało, w niewytłumaczalny sposób, pominięte w angielskiej wersji - *Against the Grain* [a także polskiej, pt. *Wyznania* - przyp. tłumi. Gorbaczow twierdzi, że do rozmowy doszło przed plenum moskiewskiego komitetu partii.

183. Ligachev, ss. 83 i 264.

184. Ibid., ss. 256-260.

185. Wywiad z kwietnia 1993.

186. Wywiad z czerwca 1993.

187. Wywiad dla „Komsomolskiej Prawdy” z 5 czerwca 1990. Dodatkowe szczegóły spraw rodzinnych Jakowlewa znaleźć można w artykule Billa Kellera w NYT Magazine z 19 lutego 1989.

188. Przemówienie z okazji setnej rocznicy urodzin Chruszczo- wa, „Moskowskije Wriemia”, 16 kwietnia 1994.

189. Wywiad z czerwca 1993.

190. Ibid.

191. Ligachev, s. 105.

192. Czemiajew, s. 204.

193. BBC, *The Second Russian Revolution,* część II; wywiady BBC/ /Lapping z Łaptiewem, Starkowem i Bieliajewem. Zob. także: Roxburgh, ss. 83-87. Incydent relacjonuje też: Ligachev, ss. 298-307.

194. „Prawda”, marzec 1988.

195. Czemiajew, ss. 204-205.

196. Dobrynin, s. 737.

197. Przebieg wydarzeń zrekonstruowany na podstawie Czemia- jewa oraz stenogramów Biura Politycznego z debaty 25 marca, opublikowanej w: Mikhail Gorbachev, *Avant-Mémoires,* ss. 211-230. Zob. także: Witalij Worotnikow, *A było eto tak,* ss. 198-203.

198. Ligachev, ss. 304-308.

199. Czemiajew, ss. 208-212.

200. Wywiad w WP z 18 maja 1988.

201. Gorbachev, *Avant-Mémoires,* s. 215.

202. Boldin, s. 169.

203. Czemiajew, s. 204. Zob. także: Worotnikow, s. 234.

204. Zob., na przykład, konferencja prasowa Gorbaczowa w Paryżu z 6 października 1985.

205. Wywiad z Niklusem z października 1988.

206. Dobbs, *Gorbachev Plan Wins Support in Estonia*, WP, 17 października 1988, s. Al.

207. Ligachev, ss. 137-140. Wywiad z Jakowlewem z czerwca 1993.

208. Czemiajew, s. 250.

209. FBIS-SOV-99-236, 8 grudnia 1988, ss. 11-19.

210. Czemiajew, s. 267.

211. Ryżkow, s. 179; Czemiajew, s. 267.

212. WP, 12 grudnia 1988, s. Al.

213. Posiedzenie Biura Politycznego z 29 lutego 1988, CKSD.

III. BUNT NARODOW

1. Wywiad z Czemiajewem z lipca 1991.
2. Wywiad, Termez, 6 lutego 1989.
3. Abdur Rahman, cytowany w *Afghanistan, the Great Game,* s. 3.
4. Cytowany w WP, 13 lutego 1989, s. Al.
5. Gromow, ss. 327-328.
6. Ibid., s. 311.
7. Ibid., s. 258.
8. Ibid., ss. 312, 342.
9. Ibid., s. 341.
10. Ibid., s. 347.
11. *Dobbs,* Soviet Voter's Revolt Carries Hidden Dangers for Gorbachev, *WP, 29 marca 1989, s. A18.*
12. Taśma wideo z demonstracją zarejestrowaną przez gruzińskiego filmowca Eldara Szengalaja.
13. Przemówienie Rodionowa na zjeździe z 30 maja 1989 (FBIS- -SOV-89-125-S), s. 8. Wrażenia osoby z zewnątrz o Rodiono- wie - zob.: Anatolij Sobczak, *Tbiliskij izlom,* ss. 79-90, 108- -110.
14. Sobczak, ss. 134, 70-71. Instrukcje Ministerstwa Obrony wydane Rodionowowi zostały przedrukowane na s. 211.
15. Wersję Rodionowa tej rozmowy znaleźć można: ibid., s. 130. Wersja Patiaszwilego zob.: FBIS-SOV-89-125-S, s. 13.
16. Sobczak, s. 132.
17. Przebieg wydarzeń zrekonstruowany na podstawie taśmy wideo z zarejestrowaną demonstracją i relacji Sobczaka, ss. 138-144.
18. Oprócz śledztwa komisji Sobczaka bardzo pomocny okazał się też raport przygotowany przez Physicians for Human Rights, *Bloody Sunday - Trauma in Tbilisi,* luty 1990.
19. Stenogram KGB, Sobczak s. 66.
20. WP, 19 maja 1989, s. A38.
21. Zob.: Dobbs, *Gorbachev, Deng to Meet on Rough Roads to Reform*, WP, 14 maja 1989, s. Al.
22. „Moskowskije Wriemia", 16 kwietnia 1994, s. 8.
23. Patrick Tyler, *Deng's Daughter Opens a Long-Shut Door*, NYT, 13 stycznia 1995, s. Al.
24. Orville Schell, *Mandate of Heaven,* s. 137.
25. Harrison Salisbury, *Tiananmen Diary,* s. 161.
26. NYT, 13 stycznia 1995, s. Al.

27. Cytowane w: Yi Mu i Mark Thompson, *Crisis at Tiananmen*,
28. s. 268.
29. Salisbury, s. 56.
30. De Custine, s. 346 i nast.
31. Wystąpienie Leonida Suchanowa, FBIS-SOV-89-112-S, s. 25.
32. Wystąpienie Jurija Wlasowa, FBIS-SOV-89-127-S, s. 34.
33. Wystąpienie Jurija Kariakina, FDIS-SOV-89-142-S, s. 10.
34. FBIS-SOV-89-125-S, ss. 5-14.
35. Wystąpienie Aleksieja Jabłokowa, FBIS-SOV-89-159-S, ss. 23-27.
36. Wystąpienie Jurija Czemiczenki, FBIS-SOV-89-134-S, ss. 18 -20.
37. Boldin, s. 224.
38. Andriej Sacharow, *Gorki, Moskwa i gdzie indziej,* s. 121.
39. Wywiad z Jakowlewem z lipca 1993.
40. FBIS-SOV-89-142-S, s. 3. Zob. także: Anatoli Sobchak, *For a New Russia*, ss. 31-33, i Sacharow, *Gorki, Moskwa i gdzie indziej,* ss. 122-124.
41. Sobchak, *For a New Russia*, s. 32.
42. Worotnikow, ss. 239, 260-261.
43. Boldin, ss. 226-228.
44. Wywiad z Andriejem Graczowem z grudnia 1989.
45. WP, 7 czerwca 1989, s. A17.
46. *Wałęsa,* The Struggle and the Triumph, *ss. 167 i 174.*
47. WP, 5 czerwca 1989, s. Al; *The Curtain Rises,* LAT, 17 grudnia 1989, s. Q6.
48. Wywiad z lipca 1993.
49. Rakowski, s. 227.
50. Ibid., s. 228. Zob. także oficjalne stenogramy zebrania, opublikowane w paryskiej „Kulturze", nr 3 (1993), ss. 41-51.
51. The Curtain Rises, *LAT, s. Q6.*
52. Yan Kasimov, *Holiday - making in Crimea,* MN, nr 34, 1992,
53. s. 10.
54. Tytuł komentarza Adama Michnika, „Gazeta Wyborcza", 3 lipca 1989.
55. WP, 7 lipca 1989, s. A19.
56. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 2, s. 355.
57. WP, 27 października 1989, s. A22.
58. Wywiad z sierpnia 1993.
59. Wywiad z kwietnia 1993.
60. Czemiajew, ss. 294-295.
61. Ibid., s. 295.
62. Rakowski, s. 254.

63. Wywiad z Gieorgijem Szachnazarowem, doradcą Gorbaczowa, lipiec 1993.
64. Rakowski, ss. 244-245.
65. Blaine Harden, *Refugees Force a Fateful Choice,* WP, 14 stycznia 1990, s. A35.
66. Peter Wyden, *Wall,* s. 23.
67. Informacje uzyskane w Muzeum Checkpoint Charlie.
68. Depesza Reutera z Berlina, 18 sierpnia 1995.
69. Wyden, s. 681.
70. Wywiad z doradcą Wałęsy, Bronisławem Geremkiem, który był obecny przy rozmowie, lipiec 1993.
71. BBC/Lapping, *Fall of the Wall,* część II.
72. Rekonstrukcja wydarzeń prowadzących do upadku Muru wg: „Der Spiegel", 8 października 1990. Zob. także: Elizabeth Pond, *Beyond the Wall,* ss. 1-3, 130-134.
73. *Peter Ross Range,* When Walls Come Tumbling Down.
74. *BBC/Lapping,* Fall of the Wall.
75. „Time", edycja europejska, 20 listopada 1989, s. 15.
76. 10 listopada 1989. Pełny tekst przedrukowany w: Harold James i Maria Stone (red. red.), *When the Wall Came Down,* ss. 46-49.
77. Relacja naocznego świadka, byłego radzieckiego dyplomaty Igora Maksymiczewa, w: „Niezawisimaja Gazieta", 10-11 listopada 1993.
78. „Der Spiegel", 41 (1990), ss. 104-109.
79. „Niezawisimaja Gazieta", 10 listopada 1993.
80. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 2, s. 412.
81. „Der Spiegel", 20 (1995), ss. 68-81.
82. Boldin, s. 143.
83. Wywiad z Koczemasowem, MN, 29 listopada 1992, s. 12.
84. Czemiajew, s. 304.
85. Archiwa wschodnioniemieckiej partii komunistycznej, fragmenty cytowane w: Hannes Adomeit, *Post-Soviet Affairs* (lipiec-wrzesień 1994), s. 215.
86. Koczemasow, op.cit.
87. Wywiad BBC/Lapping z doradcą prezydenta Jurijem Osipia- nem.
88. Wywiad BBC/Lapping.
89. Koczemasow, op. cit., zob. także: Jakowlew.
90. „Niezawisimaja Gazieta", 10 listopada 1993.
91. Ibid.
92. Dubćek Returns; Prague Spring Reformer Cheered in Wen- ceslas Square, *WP, 25 listopada 1989, s. Al.*
93. Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy*, vol. 2, s. 353.
94. Wywiad z sierpnia 1988.

95. Zob. Alexander Dubćek, *Nadzieja umrze ostatnia,* ss. 12-82

96. passim.

97. *Wywiad z sierpnia 1988. Zob.: Dobbs,* The Czech's Long Dissent: Playwright Vaclav Havel, 20 years after the Soviet Invasion, *WP, 22 sierpnia 1988, s. Cl.*

98. Młynar, *Mróz od Wschodu*, s. 107.

99. Dubćek, ss. 203 i 259.

100. *Dobbs,* The Autumn of Alexander Dubćek, *WP, 17 sierpnia*

101. s. A12.

102. *Dobbs,* The Czech's Long Dissent.

103. Police Riot Sticks Spawn a Revolution, *WP, 14 stycznia 1990, s. A39.*

104. WP, 25 listopada 1989, s. Al.

105. *David Pryce-Jones,* The Strange Death of the Soviet Empire, *s. 335.*

106. A Brutal Mistake Sparks a Revolution, *LAT, 17 grudnia 1989, s. Q12.*

107. Dobbs, *Romania's Cult of the Personality,* „Guardian" (Londyn, 20 czerwca 1980).

108. Czemiajew, s. 81; Gorbaczow, *Żyzn' i rieformy,* vol. 2, s. 397.

109. Stenogram posiedzenia egzekutywy politycznej, opublikowany w: „Romania Libera", 10 stycznia 1990.

110. Świadectwo naocznego świadka w relacji autora, grudzień

111. 1989.

112. *Edward Behr,* Kiss the Hand You Cannot Bite, *s. 17.*

113. Stenogram rozprawy, cytowany w: John Sweeney, *The Life and Evil Times of Nicolae Ceauęescu,* s. 225.

114. Ibid., s. 217.

115. Bieżące notatki autora. Zob.: Dobbs, *Dictator's Dream Took Harsh Toll,* WP, 5 stycznia 1990, s. Al.

116. Wywiad z byłym członkiem plutonu egzekucyjnego NKWD Władimirem Tb kari e we m, „Observer" (Londyn, 6 października 1991), s. 1.

117. 82. Kongres, *The Katyn Forest Massacre,* s. 1661.

118. Ibid., s. 1660.

119. Wywiad z Dmitrijem Wołkogonowem z stycznia 1995. Zob. także: „Komsomolskaja Prawda", 15 października 1992, s. 3.

120. Jelcyn udostępnił Polsce kopie dokumentów katyńskich w październiku 1992. Faksymile i tłumaczenie na język angielski zob.: Wojciech Materski i inni, *Katyń. Dokumenty ludobójstwa.*

121. *The Katyn Documents: Politics and History,* materiały RFE/ /RL, vol. 2, nr 4 (22 stycznia 1993), s. 27.

122. Wspólne oświadczenie Szewardnadzego, Falina i Kriuczko- wa, w posiadaniu autora. Zob. także: Materski i RFE/RL, *The Katyn Documents*, ss. 28-29.

123. Wywiad ze stycznia 1993. Zob.: Dobbs, *Gorbachev's Veracity Challenged,* WP, 22 stycznia 1993, s. A23.

124. Bołdin powiedział w wywiadzie, że pokazał Gorbaczowowi oryginały tajnych protokołów radziecko-niemieckich w lipcu 1987. Gorbaczow mimo to twierdził, że oryginałów nie można odnaleźć.

125. Oświadczenie złożone wobec autora w styczniu 1993.

126. Wywiad z czerwca 1993.

127. Memorandum Falina z 22 lutego 1990, cytowane w: RFE/RL, *The Katyn Documents*, s. 29.

128. Oficjalny komunikat TASS z 15 kwietnia 1990.

129. Yeltsin, *Struggle for Russia,* s. 291.

130. Jelcyn, *Wyznania,* ss. 152-153.

131. Ibid., s. 159.

132. Suchanów, ss. 145 i 150.

133. Ibid., s. 146.

134. Ibid., s. 153.

135. Michał Heller i Aleksander Niekricz, *Utopia u władzy,* s. 223.

136. Notatki autora. *Yeltsin wins presidency of Russia,* WP, 30 maja 1990, s. Al.

137. *Dobbs,* Yeltsin Presses for Sovereign Russia, *WP 31 maja 1990, s. Al.*

138. Yeltsin, *Struggle for Russia,* s. 18. Nieco inaczej relacjonuje przebieg rozmowy Suchanów, s. 269.

139. Yeltsin, *Struggle for Russia,* ss. 20-21.

140. Wywiad z Wiktorem Ałksnisem w: „Sowietskaja Rossija", omówiony w *Conservative calls on Gorbachev to get tough,* WP, 22 listopada 1990, s. A62.

141. Wywiad z Pietrakowem z lutego 1991.

142. Shevardnadze, s. 212.

143. Ibid., s. 197.

144. Ibid., ss. 223-226.

145. Shevardnadze quits as foreign minister, *WP, 21 grudnia 1990, s. Al.*

146. Cytat za: Kaiser, ss. 388-389.

IV. BUNT PARTII

1. Shevardnadze, s. 215.
2. Yevgenia Albats, *The State Within a State*, ss. 279-280.
3. Wywiad radiowy z prowadzącym śledztwo w sprawie zamachu, FBIS-SOV-92-024, s. 61
4. Wadim Bakatin,*Nieizbieżnaja otstawka,* „Znamia" (Moskwa), nr 12 (1991), ss. 216-219.
5. Albats, s. 277.
6. Debata Biura Politycznego z 2 kwietnia 1981, CKSD.
7. Wadim Bakatin, *Izbawlienije ot KGB,* s. 46.
8. Albats, s. 24.
9. *Bakatin,* Izbawlienije ot KGB, *s. 44.*
10. Ibid., s. 50.
11. Wywiad z sierpnia 1993.
12. Oleg Kalugin, *The First Directorate*, ss. 243-244.
13. W. Stiepankow i E. Lisów, *Kriemliowskij zagowor,* ss. 53- 54.
14. Wywiad z żoną Kriuczkowa, „Moskowskaja Prawda", 22 sierpnia 1992 (FBIS USR-92-119), s. 10. Zob. także: Andrew i Gor- dijewski, s. 446, oraz Leonid Szebarszyn, *Iz żyzni naczolnika razwiedki*, ss. 7-9.
15. Wywiad z Gorbaczowem przeprowadzony przez Jurija Szcze- koczikina, „Litie-ratumaja Gazieta", 4 grudnia 1991 (FBIS- -SOV-91-233), s. 26.
16. Czemiajew, s. 484.
17. Autor był świadkiem tych wydarzeń. Zob.: *Soviet troops seize Lithuania's TV station* oraz *Lithuania under Soviet military curfew,* WP, 13 stycznia 1991, s. Al i WP, 14 stycznia, ss. Al, A13.
18. Wywiad z litewskim prokuratorem generalnym, Paulaska- sem, „Izwiestia", 14 stycznia 1992 (FBIS-USR-92-013), s. 28.
19. Wywiady z krewnymi ofiar ze stycznia 1991. Zob. także oficjalne oświadczenie zastępcy litewskiego prokuratora generalnego, Norkunasa, 18 luty 1991.
20. Wywiad z 13 stycznia 1991.
21. Stiepankow i Lisów, ss. 272-279.
22. Bołtunow, s. 188.
23. Oświadczenie Norkunasa.
24. Rozmowa radiowa podsłuchana przez władze litewskie. Zob.: „Litieratumaja Gazieta" (Moskwa, 10 lipca 1991), s. 3.
25. „Komsomolskaja Prawda", 28 sierpnia 1991, s. 4. (FBIS-SOV- -91-171), s. 35.
26. Remnick, s. 272.
27. Wywiad z 13 stycznia 1991, godz. 7.00.

28. Wywiad z maja 1990. Zob. artykuł o Landsbergisie, *Unlikely revolutionary leader Lithuanian drive*, WP, 7 maja 1990, s. A13.
29. Wywiad z maja 1990.
30. Ibid.
31. WP, 17 stycznia 1991, s. A18.
32. WP, 14 stycznia 1991, s. A16.
33. Remnick, s. 437.
34. WP, 15 stycznia 1991, s. Al.
35. „Litieratumaja Gazieta" (15 lipca 1992), s. 12 (FBIS-USR-92- -097), s. 117.
36. Stiepankow i Lisów, s. 271.
37. MN, nr 3 (1991), s. 1.
38. Czemiajew, s. 411.
39. „New Times", nr 12 (1992), s. 12. W wywiadzie udzielonym w sierpniu 1993 Gorbaczow stwierdził, że nigdy nie zamierzał iść za radą Jakowlewa i Ignatienki. Dodał, że jego obecność była niezbędna w Moskwie.
40. Raport Wnieszekombanku, cytowany w: Stiepankow i Lisów, s. 304.
41. *Republics assume Kremlin debt*, WP, 30 października 1991, s. A31.
42. „Moskowskije Nowosti", nr 46 (17 listopada 1991), s. 9. *Much of Soviet gold is sold,* WP, 28 września 1991, s. Al.
43. Kopie zezwoleń eksportowych, udostępnione przez Istok, są w posiadaniu autora. W rosyjskiej prasie ukazało się sporo artykułów na temat skandalu „Żniwa '80", szczególnie na łamach „Izwiestii" w dniach 21-26 października 1992. Zob. też: „Trud", 30 grudnia 1992.
44. Postanowienie rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z 4 lipca 1994, dotyczące oddalenia zarzutów w sprawie Isto- ku, w posiadaniu autora. Tarasów następnie powrócił do Rosji, jako deputowany ludowy chroniony immunitetem parlamentarnym. Zob. także oświadczenie rosyjskiego prokuratora generalnego, Nikołaja Makarowa, złożone Radzie Najwyższej 24 czerwca 1993.
45. Oświadczenie Makarowa.
46. Wywiad z września 1992. Zob.: Dobbs i Coll, *Ex-Communists are scrambling for Quick Cash*, WP, 1 lutego 1993, s. Al.
47. Stiepankow i Lisow, ss. 302-303.
48. Wywiad z radzieckim prokuratorem Siergiejem Aristowem z marca 1993.
49. „Komsomolskaja Prawda", 22 stycznia 1992.
50. Wywiad ze stycznia 1993.
51. Stephen Handelman, *Comrade Criminal,* s. 372.
52. Wywiad z września 1993.
53. Yeltsin, *Struggle for Russia,* ss. 224-234.
54. Nota Wesołowskiego z 24 września 1991, która przeciekła do „Komsomolskiej

Prawdy”.

55. Cyt. za: Robert D. Kaplan, *Balkan Ghosts,* s. 39.
56. BBC/Lapping, *Death of Yugoslavia,* Program 1.
57. Taśma wideo BBC ze spotkania.
58. Były mer Belgradu, Bogdan Bogdanovic, cytowany przez Stephena Engelberga, NYT Magazine, 1 września 1991.
59. Slavoljub Djukić, *Izmedju slave i anateme,* s. 187.
60. Wywiad (Vukovar) z lipca 1993. Fragment ten powstał na podstawie reporterskiej podróży do Jugosławii i Chorwacji w celu napisania cyklu artykułów o spuściźnie po komunizmie. Zob.: Dobbs, *Yugoslavia Maps a Road to Ruin,* WP, 5 września 1993, s. Al.
61. Wywiad (Zagrzeb) z lipca 1993.
62. Zob., na przykład, Roger Cohen, *In Balkans, Doing Well by Waging War,* NYT „Week in Review”, 26 marca 1995, s. 4.
63. Laura Silber i Allen Little, *Yugoslavia: Death of a Nation,* ss. 140 i 146.
64. BBC/Lapping, *Death of Yugoslavia,* Program 3.
65. Wywiad z byłym dyrektorem Vladimirem Husarem (Zagrzeb) z lipca 1993.
66. Maiy Battiata, *In Croatia, Time Heals No Ethnic Wounds,* WP, 13 lipca 1991, s. Al.
67. Wywiad z Jakowlewem z 22 sierpnia 1991.
68. Yeltsin, *Struggle for Russia,* s. 39; wywiad z Gorbaczowem, BBC, *Second Russian Revolution,* część ostatnia.
69. Stiepankow i Lisow, s. 85.
70. Wywiad z konstruktorem tego osprzętu w: „Komsomolskaja Prawda”, 28 stycznia 1992, s. 2 (FBIS-SOV-92-019, s. 7).
71. Stiepankow i Lisow, s. 138;*During the Soviet coup, who held nuclear control*?, WP, 23 sierpnia 1992, s. Al.
72. „Izwiestia”, 24 września 1991 (FBIS-SOV-91-185).
73. Stiepankow i Lisow, s. 9; konferencja prasowa Gorbaczowa, Moskwa, 22 sierpnia 1991.
74. Konferencja prasowa Gorbaczowa; wywiad z Raisą Gorba- czową, „Trud”, 3 września 1991; Gorbaczow, *Zyzn’ i rieformy,* vol. 2, s. 558.
75. Mikhail Gorbachev, *The August Coup,* s. 23.
76. Boldin, s. 26.
77. Stiepankow i Lisow, s. 13.
78. Dziennik Czemiajewa, „Izwiestia”, 30 września 1991.
79. Gorbachev, *The August Coup,* s. 21; Stiepankow i Lisow, s. 14.
80. Gorbachev, *The August Coup,* s. 23.

81. Stiepankow i Lisow, s. 15; wyjątki raportu prokuratury w: „Nowaja Jeżedniewnaja Gazieta", 6 sierpnia 1993, s. 3; wywiad telewizyjny z Raisą Gorbaczową, FBIS-SOV-91-194, s.
82. 32.
83. Stiepankow i Lisow, s. 89.
84. Raport prokuratury, „Nowaja Jeżedniewnaja Gazieta", 30 lipca 1993, s. 3.
85. Ibid.
86. Stiepankow i Lisow, s. 90.
87. Raport prokuratury.
88. Stiepankow i Lisow, s. 90.
89. Yeltsin, *Struggle for Russia,* s. 54.
90. Wspomnienia Chasbułatowa, „Rossijskaja Gazieta", 19 sierpnia 1992, ss. 1-3.
91. Aleksandr Lebied', *Za dierżawu obidno,* s. 381.
92. Yeltsin, *Struggle for Russia,* s. 58. Autor był obecny na manewrach.
93. Ibid., s. 58.
94. „Komsomolskaja Prawda", 19 sierpnia 1992, s. 1.
95. Yeltsin, *Struggle for Russia,* ss. 42 i 61.
96. Konferencja prasowa Jelcyna, w której uczestniczył autor.
97. Yeltsin, *Struggle for Russia,* s. 68.
98. W obecności autora.
99. Dziennik Czemiajewa, „Izwiestia", 30 września 1991.
100. Stiepankow i Lisow, ss. 139-143.
101. Czemiajew, s. 485; dziennik Czemiajewa.
102. Gorbaczow, *Żyzn' i rie formy,* vol. 2, s. 566.
103. Gorbachev, *The August Coup,* ss. 91-92.
104. Relacja Jazowa, „Izwiestia", 10 października 1991, s. 7.
105. Stiepankow i Lisow, s. 175.
106. Ibid., s. 161.
107. Lebied', ss. 383-411.
108. Siergiej Grigoriew, *Istina momienta*, 8. 190.
109. Ibid., ss. 21-26.
110. Stiepankow i Lisow, s. 175.
111. WP, 21 sierpnia 1991, s. 24.
112. Grigoriew, ss. 49-50, 200.
113. Yeltsin, *Struggle for Russia*, s. 86.
114. Stiepankow i Lisow, ss. 171-173.
115. Wywiad w „Litieraturnoj Gazietie", CDSP, vol. XLIII, nr 37 (28 sierpnia 1991),

s. 20.

116. Wspomnienia Chasbułatowa, „Rossijskaja Gazieta”, 19 sierpnia 1992.
117. Grigoriew, s. 33.
118. U. Kazarin i B. Jakowlew (red. red.), *Smiert’ dogowora,* s. 110.
119. „Moscow” (listopad-grudzień 1991).
120. Victoria Bonnell (red.), *Russia at the Barricades*, s. 205.
121. Wywiad z prokuratorem generalnym, cytowany w: *Krasnoje iii bieloje?,* ss. 124-129. Zob. także: Kazarin i Jakowlew, ss. 94-97.
122. Yeltsin, *Struggle for Russia*, ss. 92-93.
123. Wywiad z Graczowem, „Izwiestia”, 4 września 1991. Zob. także zeznania Graczowa i Gromowa przed prokuratorami, MN, nr 29 (1994), s. 8; Stiepankow i Lisow, ss. 174-176.
124. Stiepankow i Lisow, ss. 183-184.
125. Wywiad z Raisą Gorbaczowa, cytowany w: *Krasnoje iii bieloje?,* ss. 141-142.
126. Dziennik Czemiajewa.
127. Cyt. za: Stuart H. Loory i inni, *Seven Days That Shook the World*, s. 148.
128. Konferencja prasowa Gorbaczowa z 22 sierpnia 1991.
129. Wywiad z Czemiajewem z lipca 1993.
130. Dziennik Czemiajewa.
131. N. Gułbinskij i M. Szakina, *Afganistan, Kreml, Lefortowo*, s. 135.
132. Konferencja prasowa Gorbaczowa z 22 sierpnia 1991.
133. Kopia dokumentu w posiadaniu autora.
134. Film wideo CNN.
135. Wywiad z Szachnowskim z maja 1992.
136. Wywiad z Miszynem z maja 1992.
137. Zeznania Smimowa przed rosyjskim Tiybunałem Konstytucyjnym z 29 lipca 1992.
138. MN, 1 września 1991.
139. Wideo CNN.
140. Wywiad z urzędnikiem KC z sierpnia 1991.
141. „Dien’ ”, 19 stycznia 1992, s. 1.
142. Wywiad z rodziną Achromiejewa z czerwca 1992.
143. Stiepankow i Lisow, s. 239.
144. „Sowietskaja Rossija”, 28 września 1991, s. 6.
145. Wywiad z czerwca 1992.
146. Stiepankow i Lisow, s. 236.

EPILOG

1. „Vreme” (Belgrad), 23 września 1991, s. 7.
2. Wywiad dla korespondenta wojskowego „Vreme”, Milośa Va- sicia, sierpień 1994.
3. Wywiad z przywódcą SDS Radovanem Karadżiciem, wrzesień 1991.
4. Borisav Jović, *Pośledni dani SFRJ,* ss. 349, 386.
5. Notatki autora. Zob.: Dobbs, *Bosnian Republic Resembles Tin- derbox Waiting to Explode*, WP, 24 września 1991, s. Al.
6. John Kifner, *With Little, Bosnians Sharpen Fighting Skills,* NYT, 5 grudnia 1993. Zob. także: Tom Gjelten, *Sarajevo Daily,* ss. 75-76, i zdobyte dokumenty JNA opublikowane przez Państwową Komisję ds. Zbrodni Wojennych w Bośni i Hercegowinie, biuletyny nr 3 i 4, marzec-kwiecień 1993.
7. Wywiad z 23 września 1991.
8. „Oslobodjenje” (Sarajewo), 23 września 1991, s. 3.
9. Chuck Sudetic, NYT, 21 listopada 1991, s. Al.
10. Duśan Stojanovic, depesza Associated Press z 19 listopada 1991.
11. Blaine Harden, *Serbs Blamed for Mass Croatian Grave,* WP, 26 stycznia 1993.
12. Wywiad (Vinkovci) z lipca 1993.
13. Dokument Rady Bezpieczeństwa ONZ S/25274, 10 lutego 1993, s. 29.
14. Harden.
15. *Don Oberdörfer,* Despite Accurate Warning, U.S. Failed to Act on Balkans, *WP, 2 lipca 1993, s. Al.*
16. Wywiady z byłym sekretarzem stanu Lawrence’em Eaglebur- gerem i byłym doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego Bren- tem Scowcroftem z grudnia 1995.
17. Zeznania przed House Armed Services Committee z 25 maja 1993, H201-211.
18. Wywiad z byłym ambasadorem USA w Belgradzie Warrenem Zimmermannem, marzec 1995.
19. Jović, s. 349.
20. Wywiad ze Scowcroftem. Zob. także Dobbs, *Bosnia Crystallizes U.S. Post Cold War Role,* WP, 3 grudnia 1995, s. Al.
21. Wywiad z grudnia 1995.
22. Jovic, ss. 395-396.
23. Ibid., s. 295.
24. *Ukraine seen going independent,* WP, 2 grudnia 1991, s. Al.
25. Andriej Graczow, *Kriemlowskaja chronika,* s. 339.
26. Yeltsin, *Struggle for Russia,* s. 112. Zob. także: Fred Hiatt i Margaret Shapiro, *Snubs Helped Seal Old Union’s Fate,* WP, 14 grudnia 1991, s. Al.

27. Wywiad WP z Kozyriewem, grudzień 1991, zob.: Hiatt i Shapiro, ibid.
28. Wywiad z Kozyriewem. Zob. także: Graczow, s. 343.
29. Graczow, s. 344.
30. Ibid., s. 352.
31. Wywiad z Jakowlewem, lipiec 1993.
32. *Gorbachev: The Final Hours,* ABC „Primetime Live”, 26 grudnia 1991; Graczow, s. 390.
33. Graczow, s. 389.

BIBLIOGRAFIA

Achromiejew S. F., Komijenko G. M., *Głazami marszała i diplomata,* Mieżdunarodnyje Otnoszenija 1992.

Aksjutin Jurij V. (red.), *L. I. Breżniew: Matienały k biografii,* Politiczeskaja Litieratura 1991.

Albats Yevgenia, *The State Within a State,* Farrar, Straus and Giroux 1994.

Aleksandrów-Agentów A. M., *Ot Kołłontaja do Gorbaczowa,* Mieżdunarodnyje Otnoszenija 1994.

Anderson Martin, *Revolution,* Harcourt, Brace, Jovanovich 1988. Andrew Christopher, Gordijewski Oleg, *Historia KGB,* Warszawa 1997.

Anwar Raja, *The Tragedy of Afghanistan,* Verso 1988.

Arbatov Georgi, *The System,* Times Books 1992.

Ascherson Neal, *The Polish August,* Penguin, Londyn 1981. Ascherson Neal i inni, *The Book of Lech Wałęsa,* Penguin 1982. *August 1980: The Strikes in Poland,* Radio Free Europe Research 1980.

Bakatin Wadim, *Izbawlienije ot KGB,* Nowosti 1992.

Baker III James A., *The Politics of Diplomacy,* Putnam 1995. Behr Edward, *Kiss the Hand You Cannon Bite,* Villard Books 1991.

Beichman Arnold, Bemstam Mikhail S., *Andropov,* Stein and Day 1983.

Beschloss Michael E., Talbott Strobe, *At the Highest Levels,* Little, Brown 1993.

Boldin Valery, *Ten Years That Shook the World,* Basic Books 1994. Bołtunow Michaił, *Alfa - swierchsiekrietnyj otriad KGB,* KEDR *1992.*

Bonnell Victoria i inni (red. red.), *Russia at the Barricades,* M. E. Sharpe 1994.

Bradsher Henry S., *Afghanistan and the Soviet Union,* Duke University Press 1985.

Brezhneva Luba, *The World I Left Behind*, Random House 1995. Brzeziński Zbigniew, *Wielkie bankructwo. Narodziny i śmierć komunizmu w XX w.,* Paryż 1990

Brzeziński Zbigniew, *Cztery lata w Białym Domu. Wspomnienia,* Warszawa 1990.

Cannon Lou, *President Reagan: The Role of a Lifetime*, Simon and Schuster

1991.

Carrère d'Encausse Hélène, *Decline of an Empire*, Newsweek Books 1979.

Casey William, *The Secret War Against Hitler*, Regnery Gateway 1988.

Czazow Jewgienij, *Zdorowije i wlast*\ Nowosti 1992.

Czerniajew Anatolij S.*,Szest' liet s Gorbaczowym*, Progress 1993. Conquest Robert, *The Harvest of Sorrow,* Oxford University Press 1986.

Curzon George N., *Russia in Central Asia,* 1889.

Custine Astolphe de, *Listy z Rosji. Rosja w 1839 roku...*

Djukić Slavoljub, *Izmedju slave i anateme,* Filip Visnjié 1994. Dobbs Michael i inni, *Poland, Solidarity, Wałęsa,* McGraw-Hill 1981.

Dobrochotow L. N. (red.), *Gorbaczow - Jelcyn: 1500 dniej politi- czeskogo protiwostojanija,* Terra 1992.

Dobrynin Anatoly, *In Confidence,* Times Books 1995.

Doder Dusko, Branson Lousie, *Gorbachev - Heretic in the Kremlin,* Viking 1990.

Dokumenty. Teczka Susłowa, Interpress 1993.

Drzycimski Andrzej, Skutnik Tadeusz, *Gdańsk Sierpień '80,* AIDA 1990.

Dubćek Alexander, *Nadzieja umrze ostatnia,* Warszawa 1995. Ebon Martin, *The Andropov File,* McGraw-Hill 1983.

Fallaci Oriana, *Dwa wywiady,* Samodzielna Oficyna Literacka 1982.

Feschbach Murray, Friendly Alfred, Jr., *Ecocide in the USSR,* Basic Books 1992.

Garton Ash Timothy, *Wiosna obywateli: rewolucja 1989 widziana w Warszawie, Berlinie i Pradze,* Londyn 1990.

Gates Robert M., *From the Shadows,* Simon and Schuster 1996. Gierek Edward, *Przerwana dekada,* FAKT 1990.

Gjelten Tom, *Sarajevo Daily*, HarperCollins 1995.

Glenny Misha, *The Fall of Yugoslavia,* Penguin 1992. Gorbachev Mikhail, *The August Coup,* HarperCollins 1991. Gorbachev Mikhail, *Avant-Mémoires,* Odile Jacob 1993. Gorbaczow Raisa, *...mam nadzieję!,* Warszawa 1992.

Gorbaczow Michaił S., *Żyzn' i rieformy,* Nowosti 1995.

Graczow Andriej, *Kriemlowskaja chronika,* Eksmo 1994.

Grigoriew Siergiej, *Istina momienła,* Respublika 1992.

Gromow B. V., *Ograniczonnyj kontingient,* Progress 1994.

Gromyko Andrei, *Memoirs*, Doubleday 1989.

Gulbinskij N., i Szakina M., *Afganistan, Krieml, Lefortowo,* Lada- -M 1994.

Gwertzman Bernard, Kaufman Michael T. (red. red.), *The Decline and Fall of the*

Soviet Empire, Times Books 1992.

Handelman Stephen, *Comrade Criminal: Russia's New Mafia,* Yale University Press 1995.

Hawkes Nigel i inni, *The Worst Accident in the World*, Pan Books 1986.

Hebblethwaite Peter, Kaufmann Ludwig, *John Paul II,* McGraw- -Hill 1979.

Heller Michał, Niekricz Aleksander, *Utopia u władzy,* Londyn 1985.

Hersh Seymour M., *„The Target Is Destroyed",* Random House 1986.

Holloway David, *The Soviet Union and Arms Race,* Yale University Press 1983.

Hopkirk Peter, *The Great Game,* Oxford University Press 1991.

Jakowlew Aleksandr N., *Priedisłowija; obwał; posliesłowije,* No- vosti 1992.

James Harold, Stone Marla (red. red.), *When the Wall Came Down,* Routledge 1992.

Jaruzelski Wojciech, *Les Chaînes et le Refuge,* Jean-Claude Lattes 1992.

Jaruzelski Wojciech, *Stan wojenny. Dlaczego?,* BGW 1992.

Jelcyn Borys, *Wyznania,* Warszawa 1990. Oryginał rosyjski: *Ispo- wied' na zadanu tiemu,* Sriednie-Uralskoje Publishing House 1990.

Jovié Borisav, *Pośledni dani SFRJ,* Politika 1995.

Kaiser Robert G., *Why Gorbachev Happened,* Simon and Schuster 1991.

Kalugin Oleg, *The First Directorate,* St. Martin's Press 1994.

Kania Stanisław, *Zatrzymać konfrontację,* BGW 1991.

Kaplan Robert D., *Balkan Ghosts,* St. Martin's Press 1993.

Kazarin U., Jakowlew B. (red. red.), *Smiert' dogowora,* Nowosti 1992.

Katyn Forest Massacre, 82nd U. S. Congress, 1951-1952.

Kemp-Welch A. (red.), *The Birth of Solidarity,* Macmillan Press, 1983.

Kennedy Paul, *Mocarstwa świata. Narodziny, rozkwit, upadek*, Warszawa 1994.

Khrushchev Nikita, *Khrushchev Remembers,* Little, Brown 1970.

Kiszczak Czesław, *General Kiszczak mówi...,* BGW 1991.

Klass Rosanne (red.), *Afghanistan - The Great Game Revisited,* Freedom House 1987.

Krasnoje iii bieloje?, Terra 1992.

Kto jest' kto, „Nowoje Wriemia" 1993.

Laba Roman, *The Roots of Solidarity,* Princeton University Press 1991.

Lebied' Aleksandr, *Za dierżawu obidno,* Moskowskaja Prawda 1995.

Liachowski Aleksandr, *Tragiedija i doblest' Afgana,* GPI Iskona 1995.

Ligachev Yegor, *Inside Gorbachev's Kremlin,* Pantheon Books 1993.

Loory Stuart H. i inni, *Seven Days That Shook the World,* Turner 1991.

Łopiński Maciej, Moskit Marcin [tj. Zbigniew Gach], Mariusz Wilk, *Konspira. Rzecz o podziemnej Solidarności,* University of California Press 1990.

MacDonald Oliver (red.), *The Polish August,* Left Bank Books 1981

Maksimiczew Igor, *Posliednij god GDR,* Mieżdunarodnyje Otnoszenija 1993.

Malcolm Noel, *Bosnia - a Short History,* New York University Press 1994.

Massie Robert i Suzanne, *Journey,* Knopf 1975.

Materski Wojciech i inni, *Katyń. Dokumenty ludobójstwa,* Warszawa 1992.

Matlock Jack F. Jr., *Autopsy of an Empire,* Random House 1995.

McFarlane Robert C., *Special Trust,* Cadell & Davies 1994.

Medvedev Roy, Chiesa Giulietto, *Time of Change,* Pantheon Books

1989.

Medvedev Zhores A., *Gorbachev,* Norton 1986.

Miedwiediew Grigorij, *Raport z Czarnobyla,* Warszawa 1991.

Miedwiediew Roj, *Licznost' i epoka: politiczieskij portriet Breżniewa,* Novosti 1991.

Miedwiediew Wadim, *Raspad,* Mieżdunarodnyje Otnoszenija 1994.

Miedwiediew Władimir, *Czełowiek za spinoj,* Russlit 1994.

Młynar Zdenek, *Mróz od Wschodu,* Warszawa 1981.

Molotov Vyacheslav, *Molotov Remembers: Conversations with Felix Chuev,* Ivan R. Dee 1991.

Morrison John, *Boris Yeltsin: From Bolshevik to Democrat,* Dutton 1991.

Narodnyje Dieputaty SSSR, Izdanije Wierchownogo Sowieta SSSR 1990.

Nowak [Jeziorański] Jan, *Wojna w eterze,* Odnowa 1956.

Oberdorfer Don, *The Turn: From the Cold War to a New Era,* Poseidon Press 1991.

Pawłów Walentin, *Gorbaczow-pucz: awgust iznutri,* Dielewoj Mir 1993.

Pérsico Joseph E., *Casey,* Viking 1990.

Persky Stan, Flam Henry, *The Solidarity Sourcebook,* New Star Books, 1982.

Pipes Richard, *Rewolucja rosyjska,* Warszawa 1994.

Pond Elisabeth, *Beyond the Wall,* Brookings Institution 1993.

Potel Jean-Yves, *Gdansk: La Mémoire ouvrière 1970-1980,* Maspero 1982.

Pryce-Jones David, *The Strange Death of Soviet Empire,* Henry Holt 1995

Quigley Joan, *What Does Joan Say?,* Birch Lane Press 1990.

Rakowski Mieczysław, *Jak to się stało,* BGW 1991.

Read Pierce Paul, *Ablaze,* Random House 1993.

Reagan Ronald, *An American Life,* Simon and Schuster 1990.

Reagan Ronald, *Speaking My Mind,* Simon and Schuster 1989.

Reed John, *Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem,* Warszawa 1956

Regan Donald T., *For the Record,* St. Martin's Press 1989.

Remnick David, *Grobowiec Lenina,* Warszawa 1997.

Rolicki Janusz, *Edward Gierek. Replika,* BGW 1990.

Rowen Henry S., Wolf Charles, Jr. (red. red.), *The Future of the Soviet Empire,* St. Martin's Press 1987.

Roxburgh Angus, *The Second Russian Revolution,* BBC Books 1991.

Ryżkow Nikolaj, *Pierestrojka - istorija priedatielstw,* Nowosti 1992.

Sacharow Andriej, *Wspomnienia,* Warszawa 1991

Salisbury Harrison, *The New Emperors,* Avon Books 1993.

Salisbury Harrison, *Tiananmen Diary,* Little Brown 1989.

Schell Orville, *Mandate of Heaven,* Simon and Schuster 1994.

Schweizer Peter, *Victory,* Atlantic Monthly Press 1994.

Komisja Sejmu RP, 9-10 marca 1993. *Sąd nad autorami stanu wojennego,* BGW 1993.

Shane Scott, *Dismantling Utopia: How Information Ended the Soviet Union,* Ivan R. Dee 1994.

Shawcross Wiliam, *Dubcek,* Simon and Schuster/Tbuchstone 1990.

Shcherbak Yuri, *Chernobyl, a Documentary Story,* Macmillan 1989.

Sheehy Gail, *Gorbachev,* Mandarin 1991. Wydanie amerykańskie: *The Man Who Changed the World: The Lives of Mikhail S. Gorbachev,* HarperCollins 1990.

Shevardnadze Eduard, *The Future Belongs to Freedom,* Free Press 1991.

Shultz George P, *Turmoil and Triumph,* Macmillan 1993.

Silber Laura, Little Allan, *Yugoslavia: Death of Nation,* TV Books 1996.

Sobchak Anatoly, *For a New Russia,* Free Press 1992.

Sobczak Anatolij, *Tbiliskij izlom,* Srietienije 1993.

Soviet Military Power, U. S. Defense Department, 1981.

Steele Jonathan, *Eternal Russia,* Harvard University Press 1994. Stiepankow Walentin, Lisów Jewgienij, *Kriemlowskij zagowor,* Ogoniok 1992.

Stokes Gale, *The Walls Came Tumbling Down,* Oxford University Press 1993.

Suchanów Lew, *Tri goda s Jelcynym,* Waga 1992.

Sweeney John, *The Life and Evil Times of Nicolae Ceauęescu,* Hutchinson 1991.

Szebarszyn Leonid, *Iz żyzni naczolnika razwiedki,* Mieżdunarod- nyje Otnoszenija 1994.

Szebarszyn Leonid, *Ruka Moskwy,* Centr-100 1992.

Thompson Mark, *A Paper House: The Ending of Yugoslavia,* Vintage 1992.

Wałęsa Lech, *Droga nadziei,* Kraków 1990.

Wałęsa Lech, *The Struggle and the Triumph,* Arcade 1993. Wasiliewa Larysa, *Kremlowskie żony,* Warszawa 1995.

Werth Alexander, *Russia at War,* Dutton 1964.

Willey David, *God's Politician,* Faber and Faber 1992.

Włodek Zbigniew (red.), *Tajne dokumenty Biura Politycznego PZPR a Solidarność 1980-1981,* Aneks 1992.

Worotnikow Witalij, *A było eto tak,* Sowiet Weteranor 1995. Wyden Peter, *Wall,* Simon and Schuster 1989.

Yeltsin Boris, *The Struggle for Russia,* Times Books 1994.

Yi Mu, Thompson Mark, *Crisis at Tiananmen,* China Books 1989. Yousaf Muhamad, *The Bear Trap,* Leo Cooper 1992. Zaslavskaya Tatiana, A *Voice of Reform,* M. E. Sharpe 1989. Zimmerman Warren, *Origins of Catastrophe,* Times Books 1996. Zuyev Alexander, *Fulcrum,* Warner Books 1992.